

# Brylant

## Graham Masterton



calibre 0.9.43

# Graham Masterton

## Brylant *Prolog*

Jego matka zawsze umiała go zadziwić. To było w jej stylu. Ale tym razem zaskoczyła go bardziej niż kiedykolwiek. Z obitego błękitnym pluszem pudełka na biżuterię wyjął olbrzymich rozmiarów diament, podniósł go do góry i w zaciemnionej sypialni zaczął mu się z zachwytem przyglądać, czując przy tym nagły zawrót głowy. Był to brylant, połyskliwy, prostokątny kamień; za duży, żeby człowiek mógł go bez wysiłku połknąć. Był jeszcze nie oprawiony; odkąd jubiler nadał mu ostateczny kształt i połysk, nikt nie próbował przy nim manipulować.

Właściwie nie miał pojęcia, ile diamenty były warte, chociaż słyszał, że te najbardziej okazałe, takie jak ten, nie były wyceniane według liczby karatów; gdyby tak było, to nawet najbogatsi ludzie tego świata nie mogliby sobie na niego pozwolić. Był przekonany, że na aukcji zostanie wyceniony na setki tysięcy dolarów, a może nawet miliony.

Jestem milionerem, pomyślał. Czuł się, jak gdyby właśnie wyszedł z piwniczki z winem i dopiero na świeżym powietrzu odkrył, jak bardzo był pijany.

Nie miał wątpliwości, że kamień był prawdziwy. Obracając go w palcach, przypomniał sobie słowa szeptane przez matkę jakieś pięć tygodni temu. Siedzieli na oplecionej bluszczem werandzie domu wielebnego Ponsforda w Herne Hill, podczas gdy reszta towarzystwa grała w krykieta na wypalonym przez słońce trawniku.

— Twój ojciec zatroszczył się o ciebie — powiedziała wtedy. — To znaczy twój prawdziwy ojciec. Zabezpieczył ciebie i twoje dzieci. Kiedy odejdę, o nic nie będziesz się musiał martwić.

— Ale ty nie odejdziesz — uśmiechnął się do niej, chwytając jej rękę w swoje dłonie. Miała założone białe letnie rękawiczki. Wydawało mu się, że trzyma w rękach nieżywego szpaka, same kości i pióra.

Nie wiadomo, czy było to przeczucie, czy jakaś wróżba przekazana przez pogodę, chmury, a może miało to coś wspólnego z dżentelmenami grającymi w krykieta — odeszła trzy tygodnie po przyjęciu. Zaczęło się letnim przeziębieniem, które przeszło w zapalenie płuc. Mając trzydzieści trzy lata, Peter Ransome został sierotą.

Wybiło go to z rytmu. Nie był przygotowany na samotność ani na ból; kiedy porządkował sprawy matki z panami Winchellem i Golightlym, prawnikami zajmującymi się sprawami spadkowymi w Croyden; i kiedy doprowadzał do porządku dom matki w Kennington w południowym Londynie, który stał niedaleko boiska Oval do krykieta. Wtedy właśnie wpadły mu w ręce fotografie i pamiątki po matce z odległej przeszłości: czarno-białe zdjęcie jego ojczyma z biskupem Woolwichem, jeszcze jedna fotografia matki stojącej obok Cecila Rhodesa na tle jakiegoś zamazanego krajobrazu, naszyjnik z lwim zębem, srebrna tabakierka z wytłoczonym Wodospadem

Wictorii — poczuł się tak, jak gdyby nie wiedział, kim był albo dlaczego tutaj był. Odziedziczył fragmenty życia innych ludzi, chociaż nie było już na świecie nikogo, z kim byłby spokrewniony w prostej linii.

Jego ojczym, wielebny Hugh Ransome, zmarł na atak apopleksji na dzień przed rozpoczęciem uroczystości związanych z jubileuszem królowej Wiktorii, 21 czerwca 1897 roku. Gorączka przygotowań do przyjęcia dla dzieci i staruszków w Kennington oraz upał: tego po prostu było dla niego za dużo.

Jego prawdziwy ojciec zmarł rok wcześniej. Utopił się. Stało się to na powracającym z Madagaskaru liniowcu „Andromeda”. Wypadek, na temat którego szeroko wówczas rozpisywała się prasa. Jeden ze świadków stwierdził z całą stanowczością, że pan Blitz „z pełną premedytacją” przeskoczył przez reling i wpadł do Oceanu Indyjskiego, po czym natykał się tyle wody, że utonął, zanim pośpieszono mu z pomocą. Jednakże pani Blitz uparcie dementowała pogłoski o samobójstwie. Jej mąż był „w znakomitej kondycji fizycznej”, tak powiedziała koronerowi, był zdrowy i zamierzał rozkręcić nowy interes w Kapsztadzie.

Ale teraz Peter był tutaj, w wielkim domu z czerwonej cegły na Montacute Road, w domu, do którego przylegał zaniedbany trawnik w kształcie trójkąta, na którym posadzono pospolite drzewa. Miał przed sobą otwarte pudełko na biżuterię, które należało do jego matki, a w palcach trzymał diament większy, niż mógł to sobie wymarzyć. Musiał być prawdziwy, był o tym przekonany, chociaż nie miał żadnego doświadczenia, jeżeli chodzi o diamenty, i nie wiedział, w jaki sposób to sprawdzić. Mógł jedynie wyryć na szybie od sypialni swoje nazwisko, ale nie wydawało się to najszcześniejszym pomysłem. Pięć lat temu zmarł jego ojczym. Przez cały ten okres Peter utwierdzał się w przekonaniu, że uczucie pomiędzy jego matką a prawdziwym ojcem było szczególnie silne i bardzo wyjątkowe. Nawet ich przypadkowe rozstanie nie było w stanie go zniszczyć.

Jeżeli miłość pomiędzy jego matką a jego prawdziwym ojcem była w połowie tak niepohamowana, jak opisywała to matka (była skromną kobietą, wdową po pastorze, ich miłość musiała być dwa razy tak silna i zmysłowa, jak jemu opowiadała), to diament, który ją symbolizował, musiał być autentyczny i bez skazy.

Do sypialni weszła służąca matki, Olive. Trzymała w ręce szczotkę do czyszczenia dywanów. Na głowie miała chaos, setki farbowanych loczków i gdzieś tam poutykane grzebyczki ze skorupy żółwia.

— Proszę pana, czy gdybym odsłoniła zasłony, to okazałabym brak szacunku dla zmarłej? — zapytała. — Bardzo nie chciałabym, żeby nadwerężył pan sobie oczy. Mój Henry zepsuł sobie oczy, walcząc w ciemnościach pod Nicholson's Nek.

Peter przezornie zamknął diament w dłoniach i odwrócił się sztywno i bardziej dystyngowanie, niż zamierzał.

— Zrób to bez względu na wszystko — powiedział. — Nie sądzę, żeby matka chciała widzieć swój dom w takim ponurym nastroju.

Olive rozsunęła grube brokatowe zasłony, grzechocząc mosiężnymi kółkami. Promienie słoneczne oświetliły wzorzysty dywan oraz biały kilim na łóżku, na którym zaledwie dwa tygodnie temu jego matka zamknęła na zawsze oczy, jak gdyby głęboko zasnęła. Na ścianie obok łóżka wisiał prosty, drewniany krucyfiks; matka zawsze mu powtarzała, że dostała go od misji w Afryce Południowej, kiedy jeszcze była małą dziewczynką — zanim umiała mówić po angielsku.

— Czy chciałby pan wypić herbatę, proszę pana? — zapytała Olive.

Peter w dalszym ciągu miał mocno zaciśnięte dłonie.

— Tak, herbatę — powiedział. — Zaraz zejść na dół.

— Bardzo dobrze, proszę pana.

Kiedy Olive opuściła sypialnię, Peter podszedł do owalnego zwierciadła, które wisiało niedaleko okna. Zobaczył w nim ciemnowłosego, nieśmiało wyglądającego młodego mężczyznę w prostym, szarym garniturze; młodego mężczyznę, którego karnacja była zbyt ciemna, aby mógł uchodzić za Anglika, i którego krótki, prosty nos i ostro zarysowane czoło były zbyt europejskie, aby brano go za czystej krwi Afrykanina. Rasowo był zlepkiem trzech narodowości: w jednej trzeciej Holendrem, w jednej trzeciej Hotentotem i w jednej trzeciej niemieckim Żydem.

Był przyzwyczajony do problemów wynikających z jego ciemnej skóry. Pracował jako mechanik samochodowy dla przedsiębiorstwa Vulcan w Southport, Cheshire. Pomimo że miał zręczne ręce i umiał posługiwać się kluczem francuskim, wiedział, że nigdy nie zrobią go szefem. Brał udział w wyścigach samochodowych, kiedy tylko był wolny jakiś samochód i wystarczająca ilość etyliny. Ale nigdy nie pozwolono mu zrobić licencji kierowcy pierwszej klasy. Taka, niestety, była Anglia, która tolerowała mieszańców, ponieważ byli jasnym dowodem kolonialnych zdobyczy imperium, ale za to bardzo rzadko pozwalała zbliżyć się „kolorowemu” do towarzystwa.

To, że jego ojczym, wielebny Hugh Ransome, był darzony szacunkiem za swoją pracę wśród biedaków południowego Londynu i pogaństwa Afryki Południowej, bardzo Peterowi pomogło. Ojczym nauczył go dobrych manier, niuansów konwersacji, pokazał mu, jak się ubierać. Wszystko to jednak nie rozjaśniło mu skóry. Wiedział już od czasów szkoły, że tylko cud boski może sprawić, że znajdzie się w bezpośredniej bliskości śmietanki towarzyskiej Anglii rządzonej przez króla Edwarda.

A może właśnie sprawi to diament? Może to był ten cud, który zmieni całe jego życie? Otworzył dłonie. Wielki kamień był ciepły, miał temperaturę zbliżoną do temperatury jego własnego ciała. Złapał promień słońca, a właściwie jedynie jego wierzchołek, i rozjaśnił się brylantowymi tęczkami oraz drżącymi jaskrawymi trójkątami odbitego i rozszczepionego światła, przypominał obwieszony zwierciadełkami pokój w miniaturze.

— Twój ojciec zatroszczył się o ciebie — wyszeptala wtedy matka i słowa te zapadły mu głęboko w pamięć.

Przypomniawszy sobie, jak dwadzieścia lat temu, w jeden z zimowych wieczorów spędzanych na plebanii, siedział na matczynych kolanach i opiekował nad kominkiem bułeczkę nadzianą na widelec. Policzki paliły go od ognia, a matka powiedziała mu wtedy:

— Czy opowiedziałam ci już historię mężczyzny, który zrezygnował ze wszystkiego, co posiadał, z całego swojego majątku, nawet posiadłości, które tak kochał, tylko po to, żeby swojej sekretnej miłości kupić najdroższy kamień świata?

Odpowiedział wtedy, że nie i że chciałby ją usłyszeć. Ale ona uśmiechnęła się tylko nieznacznie, zmierzwiła mu włosy palcami i ostrzegła go, żeby był ostrożny i nie upuścił bułeczki w ogień. Teraz jednak wiedział, co miała na myśli.

Przejrzał szuflady matczynej toaletki i znalazł jedwabną saszetkę używaną kiedyś do przechowywania pojemniczka ze złotym proszkiem. Wpuścił diament do saszetki i zaciągnął tasiemkę, po czym włożył ją do kieszeni. Następnie przejrzał się w zwierciadło, poprawił krawat i szedł do salonu, gdzie Olive przygotowywała herbatę. Na stole stał już spory czajnik Rockingham z aromatyczną cejlońską herbatą i mały talerzyk z niezbyt świeżymi kruchymi ciasteczkami.

— Bardzo pan blady, sir, jeżeli wolno mi zauważyć — powiedziała Olive. — Czy nie jest pan przypadkiem chory?

— Nie sędzę — odpowiedział Peter. — Proszę nalać. Olive nalała herbaty, a para z nad filiżanki uniosła się do góry i mieszała z promieniami słonecznymi.

— Rozmyślałam o pańskiej matce, sir — powiedziała Olive smutnym głosem. — Taka

wspaniała kobieta; a jaka była śliczna, kiedy była młodsza.

— Tak — mruknął Peter, sącząc parzącą usta herbatę. Ani myślał wspominać przeszłość razem z Olive. — Bardzo mi jej brakuje.

Dokończył herbatę w samotności. Spróbował ciasteczko, ale było zbyt czerstwe i miało zapach śmierci. W końcu, około trzeciej, wyszedł z domu i skierował się na przystanek przy końcu drogi, aby poczekać na konny omnibus, który zawiozłby go przez rzekę do samego Londynu. Po drugiej stronie ulicy dwóch bosonogich, bezdomnych chłopców czyściło stojącą na rogu gazową latarnię uliczną, podczas gdy inny chłopiec, ubrany w marynarski mundurek, obserwował ich z przerażeniem. Jego niania zatrzymała się, ażeby poplotkować przez chwilę z listonoszem.

Omnibus przyjechał mocno spóźniony. Ponieważ był to ciepły, letni dzień, Peter usiadł na dachu i zapalił papierosa. Na Blackfriars Bridge znaleźli się w korku ulicznym i omnibus zatrzymał się tam około dwudziestu minut, a chłodny wietrzyk od Tamizy niósł wszystkie zapachy unoszące się nad dokami, zapachy przypraw i towarów z rozładowywanych statków oraz z magazynów portowych. Peter wyjął następnego papierosa, ale nie dopalił go do końca; zduł i wyrzucił na ulicę.

Do niewielkiego sklepu jubilerskiego mieszczącego się naprzeciwko Holborn Circus dotarł przed piątą. Ulice były przepełnione powozami, wozami i platformami do przewożenia beczek z piwem ciągnionymi przez konie, a hałas podków oraz kół z metalowymi obręczami był ogłuszający. Kiedy otworzył drzwi do sklepu, zadźwięczał dzwonek. Wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi i znalazł się w ciszy.

Sklep był niewielki. Wzdłuż ścian stały gabloty ze szkła i mahoni, wypełnione pierścionkami, wisiorkami i srebrnymi buteleczkami do perfum — biżuteria dla niższych warstw społecznych, rodzaj klejnotów, które ciężko pracujący urzędnik mógł podarować wybrance swojego serca na gwiazdkę albo sklepikarz kupić żonie z okazji rocznicy ślubu. Wnętrze sklepu pachniało kurzem, pastą do srebra i różnymi chemicznymi odczynnikami.

Z tylnych drzwi wyszedł mężczyzna wymizerowany jak krawiec, jego blond włosy opadały mu na prawe oko.

— Mój drogi przyjacielu! — wykrzyknął jak tylko rozpoznał gościa. — Cóż za niespodzianka!

Peter wyciągnął rękę na przywitanie.

— Jak się masz, Samuelu? Czy ty nigdy nie przytyjesz?

— To nie dlatego, że nie dojadam — powiedział Samuel. — Interes idzie jak nigdy dotąd. Chcesz coś kupić, czy wpadłeś, żeby pogadać?

Samuel Kellogg był kolegą szkolnym Petera z Kennington. Kiedy jego ojciec zmarł na gruźlicę, przeprowadził się do Bloomsbury, aby zamieszkać ze swoim wujkiem Maxem i pomóc w rodzinnym interesie z klejnotami. Mimo to przyjaciele utrzymywali ze sobą kontakt nawet wtedy, kiedy Peter przeniósł się do Southport. Ostatnio spotkali się zeszłego lata, aby zjeść wspólną kolację w Runcorn's Chop House na Oxford Street.

— Zmarła moja matka — powiedział Peter. — Byłem w Kennington, żeby uporządkować dom.

— Mój drogi przyjacielu — powiedział Samuel współczująco.

— Była bardziej słabowita, niż myślałem — stwierdził Peter. — Przypuszczam, że nie służył jej brytyjski klimat. Zawsze łatwo się przeziębiała i łapała grypę.

— Bardzo ci współczuję — powiedział Samuel.

— Dzięki — mruknął Peter, próbując się uśmiechnąć.

— Chodź na zaplecze — zaproponował Samuel. — Mam tam trochę herbaty i pyszny pieróg z cielęciną.

Podniósł mahoniową pokrywę lady i Peter poszedł za nim do pokoju na zapleczu, gdzie stała



kanapa w oplakanyim stanie, a w kominku leżał zeszloroczny popiół. Na stole jubilerskim wałały się szczytce, kłębek srebrnego drutu oraz lutownica. Na ścianie wisiał frywolny kalendarz z rozebraną tancerką z pióropuszem strusich piór we włosach i sznurkami pereł na kostkach nóg.

— Nie sądzę, żebyś widział się z Walterem — powiedział Samuel, zdejmując pokrywkę z czajniczka i nieufnie zaglądając do środka.

— Nie widziałem się z nim. Słyszałem, że pojechał na Malaje założyć plantację drzew kauczukowych.

— Muszę ci wyznać, że zawsze przypominał mi plantatora kauczuku.

Peter przesunął kilka sfatygowanych numerów „The London Illustrated News” na bok i usiadł na kanapie.

— Być może. A jak wygląda plantator kauczuku? — zapytał.

Samuel wzruszył ramionami.

— Myślę, że kauczukowato. Czy przyrządzić świeżej?

— Nie rób sobie kłopotu. Przyszedłem raczej w interesach.

— Rozumiem — powiedział Samuel, siadając. Odciął kawałek ciasta z cielęcina i wpakował sobie do ust. — Przypuszczam, że twoja biedna mama zostawiła trochę klejnotów do twojej dyspozycji?

— Jeszcze się im nie przyjrzałem — powiedział Peter.

— Głównie interesowałem się tym — dodał i wyciągnął z kieszeni niewielką, zaciągniętą tasiemką szaszetkę, którą otworzył i odwrócił do góry dnem nad stołem jubilerskim Samuela.

Diament spadł na blat, potoczył się i zatrzymał na krawędzi stołu, błyszcząc w świetle gazowej lampki. Samuel, z gębą wypchaną pierogiem, gapił się w niego, jak gdyby była to trzecia tablica przykazań, spuszczone przez Boga wprost z nieba.

— Wielki Boże, co to...? — zawołał. — Chyba nie chcesz powiedzieć, że to prawdziwy kamień?

Peter pokiwał głową.

— Jestem raczej przekonany, że tak.

— Ale przecież to jest diament — powiedział Samuel.

— Nie znajduje się diamentów takiej wielkości. Ten jest wielki jak Regent. Większy. Nie może być prawdziwy. Gdzie, na Boga, go znalazłeś?

— W pudełku na biżuterię mojej matki.

— Nawet nie w sejfie? Nie może być prawdziwy. Mój drogi przyjacielu, gdyby to był prawdziwy diament, byłby wart... milion funtów. Może nawet więcej. Takich diamentów nie trzyma się w pudełku na biżuterię. Trzyma się w sejfie, w Coutts.

— Może tak, a może nie. Czy złodziej mógłby podejrzewać żonę pastora, że w swoim pudełku na biżuterię trzyma diament wartości miliona funtów? Kilka pierścionków, to byłoby możliwe; wisiołek z tombaku. Ale nie diament za milion funtów.

Samuel podniósł diament i spojrzał na niego z niezadowoloną miną. Następnie wziął do ręki swoją jubilerską lupę z dziesięciokrotnie powiększającą soczewką i zaczął go dokładnie badać.

— Trudno cokolwiek powiedzieć przy gazowym oświetleniu — zaczął. — Ale jeżeli to prawdziwy diament, to jest wspaniały. Trzeba by mu dodać trochę różowawej barwy, rozumiesz? Niewiele, ale wtedy będzie naprawdę fantastyczny i podniesie to jego wartość od czterech do pięciu razy, jeżeli oczywiście znajdziesz kogoś, kto zapłaci takie pieniądze.

— A więc uważasz, że jest prawdziwy?

— Mój drogi przyjacielu, nie mogę powiedzieć na pewno. To właśnie cały urok

„diamentowego” interesu. Nawet kupcy z reputacją nie są czasami w stanie stwierdzić, czy niektóre diamenty są prawdziwe, czy też nie. Na rynku znajduje się wiele fantastycznych fałszyfikatów, a jeżeli są oprawione, to jeszcze trudniej je rozróżnić. Niektórzy fałszerze oprawiają gorszej jakości diamenty w doskonałej jakości złoto lub srebro, rozumiesz o co chodzi, a następnie malują spód diamentu na czarno, przez co odbija więcej światła. Tak było ze słynnym tęczowym naszyjnikiem Romanowów. George Kunz, amerykański znawca kamieni szlachetnych, a przy tym bardzo sceptyczny facet, zdrapał farbę paznokciem i okazało się, że diamenty były pośledniej wartości pomalowanymi kamieniami.

— Ale ten kamień nie jest oprawiony — powiedział Peter.

— Prawda — odparł Samuel. — Ale może okazać się, że to topaz albo szkło Strassera, zawierające dużą ilość ołowiu, a nawet kwarc; chociaż wątpię, żeby to był kwarc, ponieważ jest zbyt połyskliwy.

Peter nie odzywał się przez chwilę, obserwując przyjaciela badającego kamień przez lupę, a następnie powiedział:

— Muszę powiedzieć ci jedną rzecz, co być może zmieni twoje nastawienie do sprawy.

— A więc słucham — powiedział Samuel — bo jeżeli to jest prawdziwy diament, nie odczujesz braku pieniędzy do końca życia. Wcale nie żartuję.

— Wielebny Ransome nie był moim prawdziwym ojcem — zaczął Peter. — Nigdy o tym nie mówiłem, zwłaszcza wtedy gdy byłem w szkole, ponieważ czułem się tym faktem zakłopotany. Moim prawdziwym ojcem był Barney Blitz.

Samuel odłożył diament i ze zdziwieniem spojrzał na swojego szkolnego kolegę.

— No, teraz to mnie zupełnie rozłożyłeś. To taki kawał, prawda? Wrócisz do swoich kumpli z Kennington i powiesz im, jak to Samuel Kellogg uwierzył, że ten kawałek szkła z bożonarodzeniowego rogu obfitości jest wart miliony funtów.

— Samuelu, mówię ci prawdę. Przysięgam. Kiedy moja matka była w Afryce Południowej, przez wiele lat żyła z Barneyem Blitzem. On był moim prawdziwym ojcem.

— Rozłożyłeś mnie na łopatki — powiedział Samuel. Peter wskazał na diament.

— To dlatego jestem pewien, że diament jest prawdziwy. I dlatego musisz mi powiedzieć, gdzie mogę go sprzedać. Nie chcę zostać nabity w butelkę. Mój ojciec dał go mojej matce, żeby zabezpieczyć mnie na przyszłość. Nie chciałbym go zawieść, sprzedając diament pierwszemu lepszemu kupcowi i dostać za niego tylko jedną czwartą faktycznej wartości.

Samuel popatrzył na diament przez dłuższą chwilę.

— Musisz mi wybaczyć — powiedział. — Ale nigdy dotąd nie widziałem takiego diamentu, i z pewnością nigdy już nie zobaczę. Muszę zapamiętać ten moment dokładnie. A więc Barney Blitz był twoim ojcem, tak? Rozłożyłeś mnie na łopatki.

— Problem polega na tym, że nie bardzo wiem, dokąd pójść z takim diamentem — powiedział Peter.

Samuel ostrożnie położył diament na stole.

— Znam tylko jednego człowieka, który mógłby się tym zająć. To Garth Steinman. Nie wiem, czy o nim słyszałeś czy nie, ale jest kupcem zajmującym się sprzedażą i kupnem niezwykłych i wyjątkowych klejnotów. Jest ekscentrykiem, ale za to bardzo bogatym ekscentrykiem. Zdobył szmaragdy Montforta dla ostatniej królowej. Jest przyjacielem Rothschildów i J.P. Morgana. Posiada dom w St. John's Wood, chociaż teraz może go tam nie być. Zimy spędza we Włoszech, a lata w Szwajcarii.

Peter wziął diament i wsunął go z powrotem do saszetki.

— Pozostaje mi spróbować. Czy możesz postarać się o jego adres?

— Mój drogi przyjacielu — powiedział Samuel. — Przez wzgląd na taki diament, nawet cię do niego zaprowadzę.

Samuel zamknął sklep wcześniej i poszli w kierunku Gray's Inn Road, żeby złapać dorożkę. Ruch uliczny był teraz niewielki. Promienie zachodzącego słońca zaglądały do wnętrza dorożki, oświetlając unoszący się tam pył. Skręcili na zachód w kierunku stacji Euston, prawie ze sobą nie rozmawiając. Peter czuł, że cały jego świat uległ zmianie, odnosił wrażenie, że brał udział w jakimś teatralnym przedstawieniu, że nie było to prawdziwe życie.

Dotarcie do cichej, leżącej na uboczu uliczki w St. John's Wood, gdzie mieściła się rezydencja Gartha Steinmana, zabrało im około dwudziestu minut. Dom Steinmana był jednym ze stojących w rzędzie olbrzymich i przebogatych posiadłości, otoczonych wysokimi murami i żywopłotami. W tych dniach St. John's Wood, chociaż położone o milę na północ od Marylebone, była spokojną, odizolowaną wioską, rządzącą się swoimi prawami. Wyczuwało się powietrze czystsze niż w Holborn. Peter i Samuel wygramolili się z dorożki i zapłacili dorożkarzowi szylinga i trzy pensy, trzy pensy napiwku.

Samuel pociągnął za dzwonek przy bramie. Ale minęło ponad pięć minut, zanim ogrodnik, który ciągnął za sobą wózek wypełniony właśnie wykopanymi cebulkami żonkili, przechodził przed frontem domu i zauważył ich. Nieco później pojawił się lokaj w zielonym płaszczu i pończochach, aby dowiedzieć się, czego chcą.

— Chcemy porozmawiać z panem Steinmanem, jeżeli jest w domu — powiedział Peter.

— Czy jest pan umówiony, sir?

— Mam coś lepszego niż zaproszenie.

— Sir?

— Jestem w posiadaniu największego diamentu świata. Lokaj odpowiedział:

— Obawiam się, że pan Steinman nie może dzisiaj nikogo przyjąć. Cierpi na ból głowy.

Peter sięgnął do kieszeni, wyjął diament i podniósł go do góry. Zaświecił w promieniach słonecznych tak jasno, jak gdyby się zapalił.

Lokaj nie mógł oderwać od niego spojrzenia.

— Powiedz panu Steinmanowi, że widziałeś diament na własne oczy — powiedział cicho Peter.

— Powiedz mu, że opłaci mu się zapomnieć przez pięć minut o bólu głowy.

— Tak jest, sir — odpowiedział lokaj i poszedł w kierunku domu.

Peter zerknął w przelocie na Samuela i wyszczerzył zęby w uśmiechu był optymistycznie nastawiony, a jednocześnie trochę przestraszony.

Minęło kolejne pięć minut, zanim lokaj pojawił się ponownie. Bez słowa otworzył wejście i wpuścił ich do środka.

Zamknął bramę i poprowadził ich nieco spadzistym podjazdem wysypanym żwirem w kierunku portyku z kolumnami. Klomby wzdłuż podjazdu wypełnione były białymi i żółtymi różami, a ich zapach był tak intensywny, że przyprawiał o mdłości. Peter przypomniał sobie, że nie jadł przez cały dzień, nie licząc przypadkowego kęsa zestarzałego kruchego ciasteczka.

Lokaj otworzył przed nimi czarno malowane, frontowe drzwi i wprowadził obu przyjaciół do przestronnego, wysokiego holu, którego styl przypominał Peterowi mocno przesadzone, bizantyjskie wnętrza. Gdziekolwiek spojrzeć były łuki wyłożone złotą i błękitną mozaiką, a fontanna z posążkami przedstawiającymi splecione w uścisku morskie syreny pluskała wodą, której szmer odbijał się cichym echem od ścian.

— Zechciejcie, panowie, przejść do popołudniowego pokoju — poprosił lokaj i wprowadził



ich uroczyście do biblioteki z żółtym, koloru słońca dywanem, która mieściła się na końcu korytarza.

Przy szerokim obitym skórą biurku, paląc tureckie cygaro osadzone w długiej rurce, siedział mały, pulchny człowieczek z błyszczącymi, zaczesanymi do góry włosami i w monoklu. Miał na sobie żółty jedwabny szlafrok, który kolorystycznie był dobrze dobrany do dywanu, a na nogach miał założone żółte jedwabne pantofle.

Na sofie stojącej w drugim końcu pomieszczenia, tuż obok ściany złoconych i oprawnych w skórę książek, leżała prześliczna dziewczyna; nie wyglądała na więcej niż szesnaście, siedemnaście lat; miała haftowaną, jedwabną opaskę podtrzymującą zaczesane do góry blond włosy; była ubrana w wielowarstwowy szlafroczek z tak delikatnego muślinu, że Peter dojrzał jej różowawe brodawki.

— Może byście się przedstawili — powiedział grubas zza biurka.

— Nazywam się Peter Ransome — rzekł Peter. — A to pan Samuel Kellogg, mój przyjaciel. Pan Kellogg jest jubilerem.

— Rozumiem — burknął Garth Steinman. — A kim pan jest?

— Jestem mechanikiem automobilowym — odpowiedział Peter.

Garth Steinman zanotował kilka słów w leżącym przed nim notatniku. Następnie zamknął go i powiedział:

— Zadaję sobie pytanie, skąd u mechanika automobilowego olbrzymi diament.

— Jestem jego prawnym właścicielem, panie Steinman. Dostałem go w spadku po mojej zmarłej matce. Po mojej... niedawno zmarłej matce.

— Moje kondolencje — powiedział Garth Steinman. — Pańska matka była zamożną kobietą? Czy mogę poznać jej nazwisko?

— Nie była zamożna w pełni tego słowa znaczeniu, ale oczywiście miała diament — wyszeptał Peter.

Garth Steinman podniósł do góry głowę, jedno oko miał zamknięte, drugim spoglądał przez monokl, przypominało ono dopiero co otwartego małża.

— Rozumiem. Nie jest trudno zbadać pochodzenie diamentu, jeżeli zna się odpowiednich ludzi. Mój lokaj powiedział mi, że kamień jest wyjątkowy, przynajmniej jeżeli chodzi o wygląd.

Peter wyjął diament z kieszeni i położył go na samym środku zamkniętego notatnika Gartha Steinmana. Przez dziesięć sekund Garth Steinman popatrzył na Petera i dopiero później zwrócił uwagę na kamień.

— No cóż, hmmm — powiedział.

Piękna blond dziewczyna na drugim końcu pokoju usiadła i zaczęła robić notatki. Podczas gdy Peter i Samuel stali w bezruchu i obserwowali go w milczeniu, Garth Steinman umieścił diament na arkuszu białego papieru i dokładnie się mu przyglądał. Jego cygaro dopalało się w popielniczce, a jedynym dźwiękiem w pokoju, oprócz słabego szmeru fontanny w holu, był chrapliwy oddech Steinmana, kiedy wpuszczał i wypuszczał ustami powietrze.

Teraz Steinman wyjął dwudziestokrotnie powiększającą lupę i poddawał diament badaniu na jasność i przejrzystość, a przy okazji sprawdzał, czy nie miał plam, które tworzyły mikroskopijnej wielkości pęcherzyki, czy nie ma „pajęczyny” spowodowanej pęknięciami trudnymi do zauważenia gołym okiem oraz skaz, które czasami pojawiają się w wiązaniach między poszczególnymi bliźniaczymi kryształami,

Po dłuższej chwili starannego studiowania, włożył diament, złożył lupę i schował ją do kieszeni na piersi.

— Rzadko uda się komukolwiek mnie zaskoczyć — powiedział grubym głosem. — Znam wartość i pochodzenie niemal każdego wartościowszego klejnotu na całym świecie. Mam przyjaciół

na dworze rosyjskim, w Wiedniu i w Berlinie. Cecil Rhodes, zanim umarł, był moim bliskim przyjacielem, a Ernest Oppenheimer regularnie depezuje do mnie z De Beers i zaprasza mnie na obiad, kiedy tylko jest w Londynie czy Bernie.

Garth Steinman zamilkł i wziął diament do prawej ręki.

— Ten kamień jednak mnie zadziwił. Mogę pana zapewnić, że jest prawdziwy. Nikt nie jest w stanie wykonać fałszywego diamentu takiej wielkości, ponieważ bez trudu można byłoby to rozpoznać. Któż by się na to odważył? To byłby absurd. Panie Ransome — bo tak pan się nazywa? — jestem pewien, że ten kamień to słynny diament Rio, który w 1888 roku na aukcji w Nowym Jorku został sprzedany kupcowi o nazwisku Greenberg. Nie pamiętam za ile, myślę, że za około dwa miliony. Rozmiar, cięcie oraz kolor, wszystko zgadza się z tym, co wiem na temat Rio.

W tym momencie blondynka podniosła się z sofy, przeszła przez pokój, zamiatając długim trenem swojego szlafroka żółtokanarkowy dywan i zatrzymała się w pobliżu biurka Gartha Steinmana. Patrzyła na diament, jak gdyby była zahipnotyzowana. Peter posłał jej przyjacielski, przelotny uśmiech, ale go nie odwzajemniła.

— Jak pan myśli, ile jest wart? — zapytał Samuel. Garth Steinman wydał policzki.

— To zależy od jego historii. Jeżeli pan Ransome potrafi udowodnić, że wszedł w jego posiadanie drogą jak najbardziej legalną, to możemy spróbować bezpośrednio u kupców i prywatnych kolekcjonerów, na dworach królewskich i tym sposobem uda nam się sprzedać go bez wystawiania na aukcji, gdzie zazwyczaj otrzymuje się mniej. Obecnie ceny rynkowe są stabilne. Jeżeli odpowiednio zagramy, możemy dostać od trzech do czterech milionów. Oczywiście spodziewam się prowizji, trzydziestu procent.

— Czy to nie za wiele? — zapytał Peter. Garth Steinman uśmiechnął się z rezerwą.

— Siedemdziesiąt procent z trzech milionów, czyli to, co pan otrzyma, to chyba lepsze niż nic? Na świecie nie ma wielu ludzi, którzy potrafią sprzedać diament dla pana, mogę pana o tym zapewnić. No cóż, chyba wiedział pan o tym, w przeciwnym razie nie przyniósłby go pan tutaj.

— On ma rację, Peter — wtrącił Samuel.

Peter pomyślał przez chwilę, po czym skinął głową.

— W porządku, panie Steinman, zostawiam sprzedaż panu. Oczywiście, wypisze mi pan pokwitowanie, że diament zostaje u pana. I proszę o skontaktowanie się ze mną, jeżeli znajdzie pan klienta, przed zawarciem transakcji.

— Naturalnie — powiedział Garth Steinman. — Czy napijecie się, panowie, brandy?

Peter dostał wiadomość od Gartha Steinmana dopiero po upływie miesiąca. Wrócił do pracy w fabryce automobilowej Vulcan w Southport. Pewnego ponurego sierpniowego dnia otrzymał telegram następującej treści: „Proszę natychmiast przyjechać do Londynu. Mam klienta — Steinman”. Peter powiadomił swojego szefa, że źle się czuje, wsiadł w omnibus i pojechał do swojego małego mieszkanka na obrzeżach Southport, żeby pośpiesznie spakować kufer podróżny. W porze podawania herbaty siedział już w pociągu, który jechał z Northampton do Londynu. Wschodni horyzont oraz równiny wschodniej Anglii oświetlane były przez błyskawice nadchodzącej burzy. Do St. John's Wood przyjechał o szóstej.

Garth Steinman przywitał go przy drzwiach. Tym razem Steinman był ubrany w znakomicie skrojony wieczorowy garnitur oraz koszulę ze stojącym kołnierzykiem, przez co jego głowa przypominała blady świąteczny pudding podany na białym talerzu.

— Jest pan punktualny — zauważył z zadowoleniem i wprowadził Petera do środka. — Lubi pan goliznę? — zapytał, kiedy przechodzili obok fontanny w holu.

Peter spojrzął na niego.

— Umiarkowanie — odpowiedział. — Na wszystko jest odpowiedni czas i miejsce.

Garth Steinman zarechotał głośno.

— Lubię pański styl, panie Ransome. Ale oczywiście pan, jako potencjalny bogacz, może sobie pozwolić, ażeby mieć styl.

Poszli do biblioteki. Dziewczyny z blond włosami tym razem nie było. Natomiast przy oknie, stał barczysty mężczyzna około pięćdziesiątki, palący cygaro. Miał na sobie czarny surdut oraz spodnie z lampasami. Jego mała twarz sprawiała wrażenie ciągle rozbawionej. Pod nosem jeżył się gruby wąs.

— Panie Ransome — powiedział Garth Steinman — przedstawiam panu Herr Alberta Ballina. Być może słyszał pan o Herr Ballinie, jest dyrektorem linii Hamburg—Ame-rika. Jest również bliskim przyjacielem Kaisera i właśnie dlatego dzisiaj tu przyjechał.

Herr Ballin posunął się o krok do przodu. Jedną rękę trzymał w kieszeni, a w drugiej dzierzył cygaro. Popatrzył przez chwilę na Petera, opuścił powieki, żeby ochronić oczy przed dymem i powiedział:

— Widziałem pański diament, panie Ransome, i przedstawiłem panu Steinmanowi swoją ofertę. Zamierzam sprezentować go Kaiserowi na urodziny.

— Cóż, jestem pewien, że Kaiser będzie zachwycony — powiedział Peter z wahaniem. — Czy oferta jest uczciwa, panie Steinman?

— Trzy miliony siedemset pięćdziesiąt tysięcy — uśmiechnął się Steinman. — Trzy miliony płatne w gotówce w dwóch ratach, przez londyński bank. Pozostała kwota w papierach wartościowych linii Hamburg—Amerika.

Albert Ballin usiadł w małym fotelu i skrzyżował mięsiste nogi.

— Chyba nie odmówi mi pan, panie Ransome? Mówią, że zawsze dostaję to, czego chcę. Moi wrogowie nazywają tę cechę „ballinizmem”.

— Zachęcam pana do przyjęcia oferty — powiedział Steinman. — Wątpię, czy znajdziemy hojniejszego klienta od Herr Ballina.

Peter pomyślał przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

— Oferta wydaje się uczciwa. Oczywiście, jeżeli Herr Ballin będzie usatysfakcjonowany.

Albert Ballin pokiwał głową.

— Jestem bardziej niż usatysfakcjonowany. To jeden z największych skarbów na ziemi.

— Pewnie będziesz chciał go najpierw zbadać? — zapytał Steinman.

— Myślę, że mogę ci zaufać — Ballin roześmiał się. — Zresztą zawsze mogę go wrzucić do szklanki z czystym likierem miętowym, prawda? To niezawodny test na diamenty.

Garth Steinman powiedział:

— Możesz go wrzucać, w co tylko zapragniesz. A powinienem cię ostrzec, że test z likierem miętowym, to nic innego jak tylko jedna z tych romantycznych bzdur. Mówi się, że kiedy diament zanurzysz w likierze miętowym, pokaże się w pełnej krasie ze względu na właściwości załamywania światła, podczas gdy kamień syntetyczny nie zmieni swojej barwy. Problem polega na tym, że w dzisiejszych czasach syntetyki również załamują światło. Nie chciałbym, żebyś się wygłupił.

— W porządku — powiedział Herr Ballin. — Przeprowadzę testy. Panie Ransome, jeżeli jest pan zadowolony z ceny, to rano porozmawiam z moimi bankierami.

— Do ceny nie mam zastrzeżeń — powiedział Peter. — Zastanawiam się jedynie nad przyszłym losem diamentu.

— Losem? — zdziwił się Herr Ballin.

— Zastanawiam się, czy to dobrze, że brylant będzie prywatną własnością Kaisera oraz

niemieckiej monarchii.

Garth Steinman podszedł do biurka, na którym na małej, białej, aksamitnej poduszczyce leżał diament, i wziął go do ręki.

— Powinien pan zrozumieć, panie Ransome, że diamenty, nawet w większym stopniu niż ludzie, mają swoje przeznaczenie. Cokolwiek by ich właściciele zrobili, i tak znajdą swoje miejsce w historii. Jeżeli ten diament nie będzie szczęśliwy u Kaisera, to u Kaisera nie zostanie. Nie bardzo rozumiem, dlaczego się pan martwi. Jest pan teraz zamożnym człowiekiem i może pan robić wszystko, na co ma ochotę. Nie zdziwiłbym się, gdyby zaczął pan jeździć na wyścigach samochodowych swoimi własnymi samochodami.

— Tak — powiedział wolno Peter. Złapał się na tym, że przez cały czas patrzył na diament. Błyszczał tak mocno, że wcale nie miał ochoty go stracić. Garth Steinman natychmiast domyślił się, co czuł, odgadł to z jego twarzy. Mocno złapał go za ramiona. — Nigdy nie dostanie pan lepszej ceny, przyjacielu. I proszę mi wierzyć, diamenty lepiej czują się w rękach tych, których na nie stać. Innym przynoszą nieszczęście i pecha.

— *Sehr philosophisch* — uśmiechnął się Herr Ballin. Peter po raz ostatni wziął diament do ręki. Tyle dla niego znaczył, więcej niż Herr Ballin i Garth Steinman mogli zrozumieć. Utożsamiał miłość jego ojca i matki, był ostatnim niewzruszonym wspomnieniem uczucia, dzięki któremu on, Peter Ransome, istniał, jego osobistych lęków i ambicji, które jedynie mógł przewidzieć.

— Bardzo dobrze — powiedział w końcu i położył diament z powrotem na biurku. Pożegnał się z Herr Ballinem i Garthem Steinmanem i wyszedł pośpiesznie z domu, nie mówiąc ani słowa.

Jeszcze tego samego dnia stał nad Tamizą przy nabrzeżach Chelsea, obserwując zachodzące słońce. Wrzucał monety do rzeki, ponieważ teraz był człowiekiem, który mógł sobie na to pozwolić; każda moneta, która z pluskiem wpadała do wody, przez ułamek sekundy była swego rodzaju diamentem oświetlonym słońcem.

Nigdy w życiu nie czuł się taki samotny.

# Część pierwsza

Kiedy Barney wspiął się po schodach na górę i stanął przed drzwiami swojego mieszkania, ze środka usłyszał głos matki. Łkała, wyzywała, uderzała drewnianą chochlą w garnki i naczynia. Furia, błaganie o litość, łzy oraz czysty nonsens wymieszane w jednym garnku. Tak było zawsze. Wystarczyło, żeby stracić cały szacunek należny matce. A gdyby teraz wszedł ojciec? Co powiedziałyby? „Dlaczego nie mam takich synów, jakich mają inne kobiety — synów, którzy szanują swoje matki? Chyba nie macie pojęcia o tym, jak cierpiałam, rodząc takich dwóch urwisów jak wy? Czy to jest właśnie nagroda za to?”

Barney wyciągnął mosiężny klucz z kieszeni swojej ciemnej kamizelki. Był przyczepiony do długiego, pięknego łańcuszka. Zawahał się przez chwilę, a później, z rezygnacją, otworzył drzwi. W matowe szyby okien na półpiętrze stukały krople deszczu, jak gdyby jakiś pesymistycznie nastawiony do życia Romeo ciskał w nie garściami żwiru. Barney ponownie zawahał się, po czym popchnął drzwi. Przewiew przyniósł ze sobą duszący zapach pomidorów z przypalonego gulaszu, który zmieszał się z wilgotnym wieczornym powietrzem. Barney dotknął *mezuzah*, która wisiała na futrynie, i wszedł do środka.

Na ścianie, obok kołka, na którym powiesił swój płaszcz, znajdował się staloryt przedstawiający Drensteinfurt w Westfalii, w Niemczech. Był brudny i gdzieś tam z plamkami rdzy. Barney dotknął go w taki sam sposób jak to zwykł robić ojciec.

Pani Blitz była w kuchni; przypominała jednoosobową orkiestrę, waląc chochlą w zlewozmywak, szafki oraz wiszące w rzędzie metalowe patelnie. Jej włosy były w nieładzie, jak gdyby przeleciał przez nie huragan. Garnek z gulaszem dymił niemiłosiernie na rozgrzanej płycie pieca, na podłodze walały się kawałki warzyw.

— Poczekajcie tylko! — zaskrzeczała. — Poczekajcie tylko, jak odejdą wasi przyjaciele, kiedy skończą się pieniądze i nikt was już nie będzie kochał! — Po czym uderzyła chochlą w cedzak, później w drzwi, a na końcu w nieduży półmisek, który leżał w zlewozmywaku. — Mówicie o wdzięczności! Mówicie o obowiązkach! Czy to się nazywa wdzięczność? Czy to się nazywa obowiązek? *Riboyne Shel O'lem!*

Barney zamknął za sobą drzwi. Matka krzyczała dalej:

— I nawet nie próbujcie do mnie przychodzić! Nigdy nie przychodźcie do mnie żebrać o pieniądze! — Nagle urwała w pół słowa, wydając przy tym dźwięk ludzaco podobny do zgrzytu zamka — była teraz cicha, zaskoczona, stała wyprostowana i sztywna, jak gdyby zamieniła się w słup soli, jak gdyby ujrzała nie jego, Barneya, ale samego *Tateh*, ojca Barneya, który wrócił z cmentarza, uśmiechając się po swojemu i głaszcząc wąsa, ubranego w swój najlepszy garnitur.

— Mamusiu — powiedział Barney łagodnie. Powoli, jak gdyby odgrywając teatralną rolę w swojej własnej osobistej tragedii, pani Blitz zbliżyła się do niego, rozpostarła ramiona i złapała go w mocnym uścisku, tak że czuł jej wystające żebra przez grubą kamizelkę, jej przerażającą chudość. I to było wszystko, co mógł zrobić jako syn, wziąć ją w ramiona, ze współczuciem pogłaskać jej czarne, zniszczone włosy i wyszeptać:

— Mamusiu... znowu *tarrarom*?... a tym razem, dlaczego?

W kuchni pokazał się jego starszy brat Joel. Był drobniejszy niż Barney, miał ciemne włosy po matce oraz jej szczupłą, wyrazistą twarz. Miał podwinięte do góry rękawy od koszuli, a za uchem zatknięty fioletowy ołówek. Spojrzał na Barneya, następnie rozejrzał się dokoła, a potem podszedł do pieca i zdjął z płytki garnek z przypalonym gulaszem.

— Jak to dobrze, że nikt nie jest dzisiaj głodny — zauważył, wachlując dłonią, żeby rozgonić

dym. — Mama spaliła tyle gulaszu, że można by nim nakarmić wszystkich stąd do Cherry Street.

— Co się stało? — zapytał Barney, ciągle trzymając matkę w objęciach, ale teraz trochę bardziej sztywno.

Jego matka podniosła głowę. Trudno było mu uwierzyć, że to ta sama pogodna i energiczna kobieta, która wychowała rodzinę Blitzów — ta sama kobieta, która karmiła ich klopsikami, ubierała we flanelowe ubranka i śpiewała im piosenki z Münsteru w „starych dobrych czasach”. Trudno było ją skojarzyć z tą śliczną dziewczyną, która uśmiechała się z zawieszanej w saloniku fotografii oprawionej w złoczone ramki, dziewczyną, która obejmowała, z dumą i zadowoleniem, ramię uśmiechniętego, postawnego mężczyzny z pięknie utrzymanym wąsem i w meloniku.

Ale cztery lata temu, siódmego dnia Tishri, mężczyzna zmarł na gruźlicę w swojej położonej na piętrze sypialni; i kiedy czekała przed drzwiami pokoju, słuchając przytłumionego mamrotania rabiego i doktora, Feigel Blitz powoli gasła nie tylko psychicznie, ale i fizycznie. Od tamtej pory jej oczy przestały pasować do jej twarzy, jej usta wymawiały jakieś słowa, których znaczenia nie rozumiały. Czasami wydawało się, że była w znakomitym nastroju, lecz mówiła rzeczy dziwne i smutne. A kiedy wydawało się, że była nieszczęśliwa, wypowiadała pogodne i wesołe zdania. Kobieta, która patrzyła teraz na Barneya, była jego matką, którą kiedyś bardzo kochał. Sąsiedzi z góry nazywali ją *meshuggeneh*, wariatką. Rabbi, kiedy przychodził z wizytą, zawsze brał Barneya za rękę i ścisnął ją znacząco, jak gdyby chciał powiedzieć: rozumiem twoje problemy, ale, *nu-nu*, w końcu ona jest twoją matką.

Barney powtórzył pytanie:

— Co się stało, Joelu? Co się tutaj dzieje?

Joel wzruszył ramionami. Pani Blitz powiedziała:

— On odchodzi. Pakuje swoje kufry.

— Wyjeżdżasz? — zapytał Barney.

— Zgadza się — odpowiedział Joel. — I gdyby nie ta donośna kanonada, wrzaski i piski, to może miałbym szansę wszystko ci porządnie wytłumaczyć.

— Nie mogę uwierzyć — powiedział Barney. — To znaczy, że teraz się pakujesz?

— Wszystko pakuje — wtrąciła pani Blitz. — Koszule, buty, nawet gacie!

— A co, może powinienem zostawić gacie w domu? — wypalił Joel.

— Barney, powiedz mu — załkała pani Blitz. Nagle gwałtownie odwróciła się i wrzasnęła na Joela: — Jesteś taki sam jak twój ojciec! On też mnie zostawił! Odszedł! Akurat wtedy, kiedy potrzebowałam go najbardziej!

Barney mocno przytrzymał matkę za ramiona.

— Mamo — powiedział. — Krzyki do niczego nas nie doprowadzą.

— Szepty również nie! — zawołała pani Blitz. — Wrzaski, płacze, a jaka to różnica? A może powinnam zaśpiewać piosenkę? *Ein Knabchen sah' ein Röselein steh'n... Röselein auf der Heide...* Pamiętasz tę piosenkę? Ale jaka różnica? On w dalszym ciągu ma zamiar odejść... pierwszy syn opuszcza swoją matkę i swojego brata! Bóg powinien rzucić na ciebie przekleństwo, Joel!

— Bóg już to zrobił! — wrzasnął Joel i trzasnął drzwiami tak mocno, że z listwy odpadł płat wysuszonej farby.

Feigel Blitz złapała Barneya za nadgarstek. Nic nie mówiła, ale jej twarz skurczyła się, jak gdyby poczuła, że coś pełźnie jej po plecach. Nagle puściła go i odwróciła się tyłem.

— Jesteś głodny? — zapytała. Wyciągnęła garnek z gulaszem ze zlewozmywaka, podniosła pokrywkę i spojrzała do środka, na zwęgloną zawartość.

— Mogę zjeść w barze — odpowiedział Barney.



— Nie, nie... mogę przyrządzić ci klopsiki... a może chcesz kapusty?

— Mamo...

— No cóż — powiedziała, przykrywając garnek pokrywką. — Wiem, co o tym wszystkim myślisz. On jest już dużym chłopcem, ma prawo robić to, na co ma ochotę. Ale przecież ma rodzinę. Teraz, kiedy ojca już nie ma, jest główną osobą przy stole. Nie uważasz, że to pewnego rodzaju odpowiedzialność?

— Tak, mamo, myślę, że masz trochę racji.

Na kuchennej ścianie wisiał kalendarz na 1868 rok, prezent od pani Jany z przeciwka. Na kartce z dzisiejszą datą był cytat z Biblii po polsku: *Bądźcie naśladowcami moimi, tak jak ja jestem naśladowcą Chrystusa.*

— Mam też śledzia — zaproponowała matka. Barney przez chwilę obserwował ją, jak krążyła między odrapanym stołem a zlewozmywakiem, tam i z powrotem, uśmiechając się do niego chorym, dziwnym, przerażającym bezmyślnym uśmiechem.

— Chciałbyś śledzia? — zapytała.

— Muszę porozmawiać z Joelem — powiedział Barney.

— A teraz, proszę... obiecaj mi, że tutaj zaczekasz i przygotujesz mi jakąś kolację. I nie zaczynaj krzyczeć. Obiecujesz, prawda? — W domu swojej matki zawsze zachowywał się przytomnie, zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo był „amerykański”.

— No cóż, jak uważasz — powiedziała obojętnie, co zawsze doprowadzało go do furii.

Otworzył drzwi kuchenne i wąskim, mrocznym korytarzem dotarł do sypialni Joela. Drzwi od pokoju matki były otwarte na oścież. Przechodząc obok, spojrzał na wysokie drewniane łóżko, toaletkę bez wyrazu, zdjęcie starego kraju. Pokój pachniał pudrem, zwiędniętymi fiołkami, kobietą w średnim wieku zasypiającą samotnie w swoim łóżku. Poczul ból w sercu. W końcu ona jest moją matką.

Joel zajmował większą z dwóch pozostałych sypialni. Okno z zabrudzonymi szybami wychodziło na Clinton Street, gazowe latarnie już były zapalone, chociaż dopiero dochodziła siódma wieczorem. Kończył się kwiecień. Deszcz bębnił w rynny. Dwa kufry Joela stały otwarte na jego metalowym łóżku, były już prawie zapakowane. Widać było jego koszule nocne w paski, książki geologiczne i żeglarskie, jego najlepsze, brązowe, wysokie buty.

Barney stanął w drzwiach i zaczął go obserwować. Barney był wysoki jak na swój wiek — miał dziewiętnaście lat — i szeroki w ramionach. Wszyscy w rodzinie twierdzili zgodnie, że wygląd odziedziczył po swoim *elter zayde*, swoim dziadku, Yusselu Blitzu. To właśnie Yussel pierwszy rozpoczął interes krawiecki, szyjąc zimowe kurtki dla farmerów i rzeźników w swojej rodzinnej wiosce Drensteinfurt niedaleko Münster, na szarych równinach Westfalii. Yussel nie wyglądał na krawca: był silny, barczysty, pochodził z biednej, ale za to szanowanej *mishpocheh*. Barneyowi powtarzał no aż do znudzenia, że odziedziczył po Yusselu brązowe, kręcone włosy, wysklepione czoło oraz nos, który bardziej przypominał nos zawodowego boksera niż zwykły żydowski *schnoz*.

Po matce Barney odziedziczył oczy — głęboko osadzone, wyraziste, brązowe, świecące jak czubki najlepszych butów Joela.

— Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej? — zapytał Joela cicho.

— No cóż, to była nagła decyzja — odpowiedział Joel, pakując ostatnią parę ręcznie robionych skarpet. — Jeszcze wczoraj wieczorem nie byłem zdecydowany. Piłem wtedy herbatę z Moişe... i nagle postanowiłem to zrobić. Jaka różnica? Znasz się na robocie równie dobrze jak ja. Teraz interes jest twój.

— Jaka różnica? — powiedział z naciskiem Barney. — A taka, że zostawiłeś mnie z całym

kramem i nikim do pomocy. Ot, jaka różnica!

— Moişhe pomoże.

Barney przetarł oczy. Był wyczerpany długim dniem pracy, siedzeniem za biurkiem, chodzeniem po sklepach.

— Dlaczego nie powiedziałeś, że chcesz odejść? — zapytał. — Porozmawialibyśmy o tym, znaleźli jakieś wyjście.

— Nie było o czym gadać, a rozwiązaniem jest fakt, że odchodzę — powiedział Joel bezbarwnym głosem. — Barney, przykro mi. Jeżeli nie chcesz zająć się interesem, to go sprzedaj. Kup mamie dom w mieście. Niech zaopiekują się nią *kuzinehs*.

— Ruchel i Rivke? Te dwie stare wrony? Wykończyłyby ją w sześć miesięcy. A oprócz tego, co z ludźmi, którzy dla nas pracują? Co oni robią, jeżeli sprzedam?

Joel zatrzasnął wieka kufrow i zaczął zapinać skórzane pasy.

— Barney — powiedział, kontrolując swój głos. — Po prostu mam to w nosie. Wiem, jak to odbierzesz. Wiem, że myślisz, iż wszystkich zawiodłem, włącznie z tobą. Ale przez wszystkie te lata dusiłem się i wiem, że jeżeli teraz nie wyjadę, to skończę jak ojciec, przed czterdziestką. Duszę się, Barney. Duszę się kredą, materiałami, nićmi. Duszę się na Clinton Street. I co najważniejsze, duszę się, kiedy widzę matkę. — Przerwał, wstydząc się przez chwilę tego, co powiedział. — Duszę się matczyną miłością, jej nastrojami.

Nie mogę do końca życia zastępować *Tateh*. Nie dam rady. Zresztą nie mam na to ochoty.

Joel zamilkł, ręce położył na wieku kufra, jak gdyby było to pianino i jak gdyby chciał na nim zagrać kilka zagubionych, sentymentalnych tonów.

— Co zamierzasz zrobić? — zapytał Barney.

— Zaciągnąłem się na pasażerski parowiec „Stockdale”. Odpływa dzisiaj wieczorem z portu dla parowców Cunard Liverpool w Jersey. Najpierw płynie do Anglii, a potem do Południowej Afryki.

Barney zbliżył się do okna, stąpając po zielono-żółtym linoleum pokrywającym podłogę. Ulica była opustoszała. Była przecież pora kolacji, a poza tym lało jak z cebra, ot, jeden z tych wilgotnych nowojorskich wieczorów, kiedy wydaje się, że całe miasto tonie w morzu. Na chodniku po przeciwnej stronie ulicy stał sprzedawca obwarzanków przy swoim wózku. Był przygarbiony, z ronda jego kapelusza strumieniami lała się woda.

— Będzie mi ciebie brakowało — powiedział Barney. — Wiesz, zawsze myślałem, że będziemy razem do końca naszych dni. Rozumiesz, jako partnerzy w interesie.

Joel spróbował się uśmiechnąć.

— Nie wyjeżdżam na zawsze — powiedział. — Chcę po prostu odetchnąć świeżym powietrzem, to wszystko. Mam za sobą dziesięć lat grzebania się w podszewkach, kamizelkach i kołnierzykach. Sam wiesz, jak to jest, Barney.

— Jasne — powiedział Barney, nie odwracając się od okna. — Pot, harówka i liche pieniądze. A na dodatek Moişhe i David. I znoszenie złych humorów mamy, i zjadanie parszywych posiłków, z ciągłym udawaniem, że są wspaniałe, aby jej nie zmartwić. Ale co powiedziałby *Tateh*, gdyby wiedział?

— *Tateh* nie żyje — odpowiedział Joel z naciskiem. Podniósł głowę, spojrzął na Barneya, a potem wyciągnął do niego ramiona i bracia uścisnęli się mocno i serdecznie. Barney, pomimo że go Joel rozczarował, a może właśnie dlatego, poczuł, że wilgotnieją mu oczy.

— Joelu — powiedział chrapliwie.

— Muszę już iść, Barney — wyszeptał Joel. — Będzie mi ciebie brakowało... myślę, że mamy

również... ale muszę.

Barney stał wyprostowany. Wytarł oczy chusteczką i wydmuchał nos.

— Pewnie — powiedział. — Wiem.

— Hej... a pamiętasz, jak zeszyliśmy razem nogawki najlepszych spodni *Tateh*?

— Jasne, że pamiętam — odpowiedział Barney. — Wciągnął je na siebie, jak tylko wstał z łóżka i rozłożył się jak długi. To była zabawa!

Joel złapał młodszego brata za rękę.

— Włał nam pasem, pamiętasz? Zrobić taki kawał własnemu ojcu!

Nie bardzo wiedzieli, o czym mają ze sobą rozmawiać. Barney znał Joela wystarczająco dobrze, żeby zdawać sobie sprawę, że cokolwiek by powiedział, Joel i tak wyjedzie. Joel zawsze taki był. Cichy, zdeterminowany i uparty. Być może za dużo cech odziedziczył po matce.

— Afryka Południowa, powiadasz? — zapytał, starając się podtrzymać rozmowę. — Ojczyzna czarnych?

Joel skrzywił się, a zaraz potem roześmiał.

— Poradzisz sobie beze mnie. Podczas gdy ja będę siedział w chacie z trawy, zajadając białe bułeczki o zapachu słonia, ty będziesz produkować tuzinami spodnie!

— Tak, myślę, że tak będzie. — Barney poczuł niewyobrażalny smutek.

W drzwiach sypialni pojawiła się pani Blitz, kurczowo zaciskając dłonie. Barney zerknął na Joela i zwrócił się do matki:

— Mamo?

— Kolacja gotowa — zakomunikowała, kiwając głową. Jej rozbiegane oczy przypominały dwie tropikalne rybki.

— Okay, w takim razie idziemy — rzucił Barney. — Joel, usiądziesz z nami przy stole?

— Nie mogę się spóźnić. — Joel spojrzał na spakowane kufry. — Statek odpływa o dziesiątej.

— Musisz znaleźć czas na ostatni wspólny posiłek — powiedział Barney.

Poszli do ciągle jeszcze zadymionej kuchni, gdzie na stole, na talerzach, znajdowały się klopsiki, chleb, zimne filety z ryby w ilości wystarczającej, żeby nakarmić dziesięciu wygłodniałych mężczyzn. Joel wysunął krzesło dla matki, która usiadła w końcu stołu.

— A więc? — powiedziała, nakładając im klopsiki. — Czy już postanowiłeś, co zrobisz?

Joel podniósł widelec i spojrzał na matkę.

— Wyjeżdżam, mamo. Już ci mówiłem.

— A więc nie chcesz posłuchać Barneya?

— Barney nie próbował mnie przekonać. Barney wie, co czuję. W każdym razie Barney ma szansę poprowadzić cały interes. To będzie dla niego pożyteczne doświadczenie.

Feigel Blitz spojrzała na drugiego syna.

— Mam nadzieję, że nie jesteście w zмовie? Barney, przeżuwając klopsika, odpowiedział:

— Nie mogę zmusić go, żeby został, mamo. Jest moim starszym bratem. Chce jechać i to wszystko.

— Naprawdę wyjeżdżasz? — warknęła pani Blitz. Joel położył widelec na stole i odepchnął od siebie talerz.

— Już ci mówiłem, mamo. Wyjeżdżam. I sędę, że będzie lepiej, jeżeli w tej chwili wyjdę.

— Siadaj — rozkazała matka. Jej nieruchoma twarz zbladła.

— Mamo, ja wyjeżdżam. Nic nie jest w stanie mnie...

— *Shahl* — zaskrzeczała pani Blitz. — Pewnie myślisz, że zrobiłam dla ciebie kolację za nic, że zjesz, a później mnie zostawisz? Co z ciebie za syn? Co powiedziałyby twój ojciec? Zostawiasz

interes? Czy ty jesteś niespełna rozumu? Zostawiasz Blitzów, Krawców? Jak możesz wypiąć się na to wszystko?

— Mamo, proszę — błagał Barney. — On wyjedzie, czy tak, czy siak. Czy nie możemy po prostu zjeść kolacji, powiedzieć *Shema* i pobłogosławić go na drogę? Mamo?

Pani Blitz wyrzuciła ramiona do przodu, strącając na podłogę talerze, klopsiki oraz filety z ryby. Następnie złapała długi, ostry nóż, którego używała do krojenia chleba, i dźgnęła nim wściekle w kierunku ręki Joela. Ten odskoczył, stracił równowagę i przewrócił się na krzesło. Pani Blitz podniosła się od stołu i stanęła nad nim, trzymając w obu dłoniach nóż, tuż nad jego głową.

Barney był szybszy. Jednym mocnym uderzeniem przewrócił stół, który upadł na leżącego brata. Następnie sięgnął po nóż tkwiący w dłoniach matki, wrzeszcząc:

— Mamo! Co robisz? Mamo!

Nie zdążył powstrzymać jej pierwszego ciosu w dół. Nóż o czarnym ostrzu, ostry i wąski od ciąglego ostrzenia, przeciął skórę ręki Barneya pomiędzy kciukiem a wskazującym palcem i wszedł głęboko w mięsień. Krew zaczęła kapać na podłogę, szkarłatne plamki wykrzykników. Barney złapał się za nadgarstek i osunął na kolana.

Zapanowała niesamowita cisza. Pani Blitz patrzyła na swoich synów w szoku. Joel wydostał się spod przewróconego stołu i powstał, strzepując z ubrania kawałki jajka, ryby oraz okruszki chleba. Krwawiący Barney klęczał skulony na podłodze pomiędzy krzesłami i rozrzuconymi klopsikami, miał zaciśnięte zęby i szarą twarz.

Z mieszkania obok słychać było skrzypce grające melodię taneczną *mazel tov*. To młody Leib Ginzberg ćwiczył na ślub swojej siostry. Cóż za absurdalna sytuacja!

Joel, bez słowa, podarł obrus na pasy, uklęknął obok Barneya i opatrzył ranę. Pani Blitz nie ruszała się z miejsca, chwiała się lekko, jak gdyby była na pokładzie promu, ciągle zaciskała ręce na nożu.

— Zaprowadzę cię do lekarza — powiedział Joel. — Będzie musiał zeszyć ranę.

Barney potrząsnął głową.

— Spóźnisz się na statek. Dochodzi ósma.

— Jesteś moim bratem — nie ustępował Joel. Barney bardziej zdecydowanie potrząsnął głową.

— Mogę sam iść do lekarza. Chcę, żebyś zdążył na statek. Jeżeli nie wyjedziesz teraz, nie wyjedziesz nigdy.

Joel spojrzał na matkę.

— Daj spokój — powiedział Barney. — Czy to nie dlatego właśnie chcesz wyjechać, przez takie awantury? Czy nie dlatego chcesz się stąd wydostać?

Joel był wytracony z równowagi, niezdecydowany. Przejechał dłonią po czole, żeby zetrzeć pot. Matka patrzyła na niego z dziwnym wyrazem twarzy, który mógł oznaczać rezygnację, żal albo po prostu wzgardę dla wszystkiego i wszystkich, również dla siebie.

— Mamo? — zaczął Joel.

Ale pani Blitz odwróciła się na pięcie i poszła w kierunku swojej sypialni. Usłyszeli, jak zamyka za sobą drzwi i przekręca klucz w zamku. Bracia wymienili spojrzenia w milczeniu.

— Jeżeli nie będziesz miał się na bacności, pewnego dnia zabije cię, *chas uesholem*.

— Nie — powiedział Barney. — Najpierw zabije siebie.

— Lepiej pójdę się pożegnać — powiedział Joel bez entuzjazmu.

Podszedł do drzwi matczynej sypialni i zapukał. Nie było odpowiedzi. Wykrzywił się do Barneya, wzruszył ramionami i zawołał:

— Do widzenia, mamo!

— Jedź, jedź! — zaskrzeczała zza drzwi. — I *cholera* z tobą!

Joel zawahał się. Westchnął.

— Lepiej pójdę po moje kufry. Zniosę je na ulicę i zawołam dorożkę. A ty idź do lekarza. Nie czekaj.

Przystanęli na chwilę w ciemnym korytarzu.

— No cóż, żegnaj, bracie — powiedział Joel.

— Nie dotkniesz *mezusah*? — zapytał Barney. Joel uśmiechnął się i potrząsnął głową.

— To tylko głupi przesąd, przynajmniej ja tak uważam. Robiłem to, ponieważ ojciec to robił. Zresztą, to nie jest już mój dom.

Mocno się uścisnęli.

— Kocham cię — powiedział Joel. — Przykro mi, że zostawiam cię z całym bałaganem.

— Poradzę sobie — odpowiedział Barney.

— Na pewno. Ale pamiętaj, pewnego dnia, kiedy już będę bogaty, wrócę. Obiecuję. I wtedy ty również będziesz bogaty.

Barney przycisnął zranioną dłoń do piersi. Opatrunek z obrusa był już ciemnoczerwony.

— Żegnaj, Joelu. Niech Bóg ma cię w opiece. — Potem odwrócił się szybko i zaczął schodzić po schodach.

Śnieg spadł wcześniej tego roku, w trzecim tygodniu października. Barney wracał z trwającego wiele godzin spotkania z przedstawicielem firmy B. Meyberg & Co. z Broadwayu, zajmującej się kupnem męskiej garderoby. Białe płatki śniegu wściekle wirowały na wietrze. Postawił kołnierz swojego czarnego wełnianego płaszcza i poprawił kapelusz. Szedł szybkim krokiem Hester Street, trzymając ręce głęboko schowane w kieszeniach. Śnieg padał i padał. | Ulice pokryte były grząską bieżą rozjeżdżoną przez dorożki i konne tramwaje. Natychmiast pojawili się podejrzanie wyglądający, wymizierowani mężczyźni ze szcotkami w rękach, ustawili się na skrzyżowaniach, wyciągając dłonie w jednopalczastych rękawicach, prosząc o napiwki. Wspinając się po schodach do mieszkania Blitzów, Krawców, strząsając płatki śniegu z rękawów, z kapelusza, Barney zastanawiał się, ile jeszcze razy będzie musiał pokonywać tę stromą, wąską klatkę schodową, otrzepując płaszcz ze śniegu, starzejąc się i siwiejąc za każdym udanym podejściem.

Zatrzymał się na półpiętrze, żeby spojrzeć na ulicę pokrytą topniejącym śniegiem. Zmarszczył brwi.

W niewielkim, oszklonym pomieszczeniu, tuż przy wejściu do krawieckiego sklepu, David grzał stopy przy olejowym piecyku, przyszywając jedwabną tasiemkę do rękawa marynarki. Barney otworzył drzwi, wszedł do środka i powiesił kapelusz na drewnianym wieszaku.

— Czy Moishe już wrócił? — zapytał. David kiwnął głową.

— Dziesięć minut temu. Czy pada śnieg? Itzik powiedział, że może padać.

— Pada. Jeszcze nie pozamiatałeś? Robi się późno. Nie chcę, żeby przez cały *Shabbes* był tutaj bałagan.

— Moishe powiedział, żebym dokończył przyszywanie wstążek. Zamówienie Wojskowej Akademii.

Barney wziął do ręki leżące na biurku rachunki i faktury.

— Okay, jeżeli Moishe tak powiedział...

David wrócił do szycia. Nucił pod nosem jakąś monotonną melodię, która nie miała ani początku, ani końca. Przeglądając rachunki, Barney spojrzął na niego z irytacją, ale nic nie powiedział. David był poczciwym prostaczkiem, *golem*, gdyby kazał mu się zamknąć, nie zrozumiałby, gotów wybuchnąć płaczem.

To ojciec Barneya zatrudnił Davida w interesie, robiąc uprzejmość jednej zesoich *kuzineh*. Wysoki, wielkonosy, z ciałem kształtu gruszki, z długimi, dyndającymi rękami David był trzecim dzieckiem przybranego brata Rivke, sławnego, uzdolnionego ginekologa, doktora Abrahama Steina. Doktor Stein, który mieszkał na Fifth Avenue, chociaż w bardzo skromnej posiadłości, był ojcem trzech wielkonosych córek i Davida. David dopóty był dumą swoich rodziców, dopóki jego umysł nie zatrzymał się w rozwoju, gdy chłopiec miał trzynaście lat. Po serii groteskowych incydentów polegających na tym, że obnażał się przed służącymi oraz przed jedną dystygowaną pacjentką, doktor Stein, chcąc nie chcąc, poprosił Rivke, żeby przekonała ojca Barneya, aby ten znalazł chłopakowi miejsce u Blitzów. Tłumaczył to dobrem chłopca. Żeby uchronić go przed — no, pewnymi rzeczami.

Rivke, kobieta, której włosy przypominały zwój drutu kolczastego, ostentacyjnie obwieszona granatami, potrafiła zmusić diabła, żeby postąpił tak, jak ona chciała. Ojciec Barneya twierdził, że wwiercała się w jego kości. — Wwierca się w moje kości — mówił, zaciskając przy tym zęby oraz krzywiąc twarz.

A więc David nucił swoją niezbyt skomplikowaną melodię, mając zapewnioną przyszłość, a Barney, zmęczony, szarpiąc pejsy, próbował dowiedzieć się, przeglądając dzisiejszą pocztę, czy przedsiębiorstwo, którym zarządzał, przyniosło zysk czy straty. W dzisiejszych czasach zawsze można było liczyć na mały profit, ale bez Joela nie było łatwo. Moishe był dobry, kiedy trzeba było pośpiesznie wykonać jakieś zamówienie, zdecydować, ile należy kupić materiału; ale Moishe nie lubił odpowiedzialności. Nie martwił się wpływami pieniężnymi, nie dbał o margines opłacalności produkcji. Wierzył — być może całkiem słusznie — że tylko Bóg jest w stanie wpływać na takie rzeczy, a któż ma odwagę mieszać w kaszy Bogu?

Przez zakurzone szyby pomieszczenia, w którym stał, Barney mógł zobaczyć część zabałaganionego, niskiego warsztatu, oświetlonego tyloma lampkami gazowymi, że wyglądało jak święte miejsce podczas *Chanukah*, Święta Światła, ziluminowane tuzinami *menorah*. Mnóstwo głów pochylonych było nad stołami, jego krojczowie, ich pomocnicy, szwaczki trudzili się przy robocie nad ostatnimi płaszczami wojskowymi dla Akademii; i chociaż niebo za oknem było ciemne jak pokryta nalotem blacha miedzi, a śnieg ciągle padał, żadne z nich, ani na moment, nie podniosło głowy do góry i nie spojrzalo w okno. Musieli skończyć zamówienie przed szabatem.

Barney zerknął ponownie na Davida.

— Wracasz do rodziców na *Shabbes*? — zapytał. — Na Fifth Avenue?

David, nie przestając nucić, wzruszył ramionami.

— A może chciałbyś spędzić *Shabbes* ze mną oraz moją matką? — zaproponował.

Postarał się, aby pytanie zabrzmiało zupełnie obojętnie. Zaczął się w duchu modlić — o, wstydzie! — żeby David wyjechał na szabat do swojej rodziny. Starał się zapomnieć, ile razy ojciec przyprawdzał do domu *oyrech auf Shabbes*, czasami nawet brudnego ulicznego muzyka z obojem. Pewnego razu przyprawdził niezwyklego, ekscentrycznego boksera, który uparł się, żeby zgnać łyżki, a później na powrót je wyprostować. W końcu wszystkie je wyprostował — powiedział ojciec do matki. W jakiś zadziwiający sposób, dzięki swojemu żywiołowemu charakterowi, ojciec Barneya umiał niezręczność przerobić na żart, kłopot na znakomitą zabawę i każdy z tych dni przepojony był miłością rodzinną, przywiązaniem oraz szacunkiem dla gości. W każdym razie tak to wówczas odbierali.

Barney wiedział, że był inny niż ojciec. Bardziej wojowniczy, łatwiej wpadał w złość i był krytyczny wobec ludzkiej słabości. Być może Nowy Jork to sprawił, uodpornił go na krzywdę i stał się mniej tolerancyjny wobec tych wszystkich jęczących *shlemielów*, którzy wieszali się przy domach



swoich przyjaciół. Stwardniał, ponieważ całkiem sam musiał prowadzić interes Blitzów, Krawców, oraz na skutek zmiennych nastrojów swojej matki. Odkąd Joel wyjechał, matce pogorszyło się i pewnego ranka przyłapał ją, jak rozcinała nożem materac Joela w przekonaniu, że Joel ukrył się w środku, żeby ją drażnić, żeby drwić ze swojej drogiej, szalonej matki.

David skończył przyszywać tasiemkę, odgryzł koniec nitki i bezmyślnie spojrzał na Barneya.

— Tak — odpowiedział. — Chciałbym.

— Doskonale — powiedział Barney bez entuzjazmu swoim amerykańskim akcentem. — Porozmawiam tylko z Moişhe, dowiem się, jak sprawy stoją, i możemy iść.

Wszedł do warsztatu, idąc między ławkami w kierunku przeciwległej ściany. Zazwyczaj pomieszczenie było gwarne, pracownicy śmiali się i żartowali. W końcu nikt ich nie zmuszał, żeby zaharowywali się na śmierć. Ale tego popołudnia, kiedy niespełna dwie godziny brakowało do zachodu słońca, pokój tętnił pracą, nikt nie rozmawiał, słychać było jedynie nożyce tnące materiał oraz syczenie gazu.

W narożniku, gdzie zmagazynowano tuziny bel samodziału, tweedu oraz innych materiałów, Irving i Hyman przycinali ostatnie kieszenie do mundurów; obok nich siedział na stołku młody Benjamin, który pilnie nawlekał igły. Irving i Hyman, mężczyźni ze srebrzystymi włosami, byli najlepszymi krojczykami Blitzów. „Tnij! — zwykł mówić ojciec Barneya. — Tych dwóch uszyłoby ci płaszcz z arkusza papy i jeszcze byłbyś z niego dumny”. Wyglądali jak bracia, chociaż wcale nimi nie byli. Irving, w okularach krótkowidza zsuniętych na koniec nosa, o twarzy przypominającej puszczyka, wyemigrował z Monachium. Hyman, którego czarna kamizelka zawsze naszpikowana była błyszczącymi igłami, przywiózł swoją rodzinę do Nowego Jorku z Zamościa w Polsce. Ale byli nierozłączni. Święta spędzali razem, razem łowili ryby z mola na Stanton Street i opowiadali te same, dziwaczne dowcipy, z których Barney śmiał się do rozpuku.

— Sprzedałeś Meybergowi peleryny? — zapytał Irving, nie podnosząc głowy, kiedy Barney podszedł bliżej.

— Wezmą pół tuzina, na próbę.

— Na próbę? — zdziwił się Hyman. — Materiał, z którego je zrobiliśmy, to *shmattel*. Powinni wiedzieć, że płaszcze są kiepskimi aktorami bez próby.

Barney skrzywił się. Jedna ze szwaczek podniosła głowę do góry; była nią łagodnego usposobienia i bardzo pojętna Sarah Feinberg. Musnął dłonią jej ramię, kiedy przechodził obok.

Moişhe siedział przy oknie, poddając mundury dokładnej inspekcji, sprawdzał, czy szwy trzymają oraz czy dobrze przyszyte są guziki. Moişhe był małym tłuściochem z obwisłymi policzkami oraz z łysiną na czubku głowy, otoczoną rzadkimi, ryżymi kłaczkami. Cała jego głowa przypominała jajo legendarnego ptaka Roka. Jego brzuch, napęczniały od klusek *matzo* i chleba, którymi przez lata Moişhe sobie dogadzał, żył własnym życiem; czasami Irving wpatrywał się w niego z uwagą i wołał:

— Jak leci, *bubeleh*?

— Co słychać, Barney? — zapytał Moişhe, rozkładając arkusz bibuły na kolejnej złożonej marynarce. Potarł palcem lewe oko, co oznaczało, że był zmęczony.

— Kończycie? — zapytał Barney. — Chciałbym zamknąć za dwadzieścia minut.

— Prędzej za godzinę — powiedział Moişhe, wychylając się, żeby odebrać następną marynarkę od Benjamin.

Barney spojrzał przez okno. Śnieg przestawał padać, a chmury wiszące nad wybrzeżem w Jersey zaczynały jaśnieć: atmosfera jak na płótnie Berniniego, *Ekstaza św. Teresy*. Promienie słoneczne odbijały się od mokrych dachów, ulice wypełniały się powozami, hałas kół stawał się coraz głośniejszy.

— Posłuchaj, przecież nie musicie wysyłać mundurów dzisiaj — powiedział Barney, rozglądając się dookoła. — Możecie to zrobić w poniedziałek rano. Wyślecie je przez posłańca.

Moishe nieznacznie wzruszył ramionami, nie przerywając składania rękawów marynarki.

— Moishe — nalegał Barney. — Przecież to nie ma znaczenia. Zanim spakujesz całe zamówienie, wszyscy z Akademii Wojskowej wyjadą na weekend do domów. Mogą być *goyim*, ale mają swoje rodziny, podobnie jak i my. Myślisz, że będą czekać na mundury, nerwowo obgryzając paznokcie?

— Obiecaliśmy, że dostarczymy dzisiaj — powiedział spokojnie Moishe. Spojrzał na Barneya małymi, bezkompromisowymi oczkami, które wyglądały jak rodzyнки w chlebie. — My u Blitzów, jeżeli mówimy dzisiaj, to znaczy nie mniej nie więcej jak dzisiaj. Nie jutro, nie siedemnastego dnia Tammuz w przyszłym roku. Dzisiaj!

Barney powstrzymał się od uśmiechu, patrząc z zainteresowaniem, jak Moishe składa następne rękawy, jak przesadnym ruchem swojej pulchnej ręki strzepuje kawałek nitki, która przyczepiła się do materiału. Następnie powiedział:

— Chciałbym ci przypomnieć, Moishe, że nazywasz się Teitelbaum, nie Blitz. Ja jestem Blitz i kiedy mówimy u Blitzów, to moja *medina*, nie twoja. Za dwadzieścia minut zamykamy bez względu na to, czy skończycie, czy też nie.

Moishe podrzucił głowę do góry jak mors, który próbuje wydostać się na powierzchnię wody.

— Myślisz, że twój ojciec pozwoliłby na to, żeby dwu-studolarowe zamówienie zostało dostarczone dwa dni później? — zapytał. — Twój ojciec zdjąłby płaszcz, podwinął rękawy i pomógł mi pakować. Nie stałby tutaj jak jakiś *fonfer* i nie mówiłby, żeby kończyć! Mamy swoją dumę u Blitzów! Dobrą reputację! Nawet twój brat, Joel, pomagałby, a Joel wiedział tyle o krawiectwie, że mógłbyś zapisać to na główce od szpilki!

Barney skrzywił się i ze zrozumieniem objął tłuszciocha ramieniem.

— Daj spokój, Moishe. Doceniam twoją lojalność wobec Blitzów. Podziwiam twoją ciężką pracę. Kocham cię, Moishe. Ale naprawdę nie będzie różnicy, czy dokończycie dzisiaj, czy w poniedziałek. Nie daj się prosić, Moishe, jest prawie *Shabbes*.

Moishe wyszarpnął chusteczkę z kieszeni swoich opiętych spodni i przetarł policzki.

— Twój ojciec powinien cię teraz zobaczyć — powiedział. — Teraz jesteś typowym Amerykaninem, wiesz? Cała ta gadanina, szczytne idee, byle nie pracować. *Shlepper*.

— Pewnie, pewnie — powiedział Barney. — Taki ze mnie *shlepper*, że przekonałem Meyberga, żeby wziął sześć z tych tweedowych prochowców na próbę oraz żeby złożył u mnie dziesięć solidnych zamówień na kurtki myśliwskie. Wiesz, o które chodzi, te ze skórzanymi wypustkami.

Moishe spojrział na marynarkę, którą właśnie składał, a potem ponownie na Barneya.

— Dziesięć, hm? No cóż, mogli zamówić piętnaście. Barney podniósł ręce do góry na znak, że się poddaje.

— Moishe, nigdy z tobą nie wygram. Ale musisz przyznać, że interes jakoś się kręci. Dobry obrót, stały profit. Być może za miesiąc będziemy mogli pomyśleć o podwyższeniu pracownikom zarobków.

Moishe zachnął się.

— Przypuszczam, że idzie dobrze. Jednakże bardzo dobrze pamiętam dni, kiedy był z nami twój ojciec.

— Oczywiście, że pamiętasz. Jak mógłbym cię za to winić. Jestem młody i zupełnie inny. Ale nie jestem za młody, żeby nie zrozumieć, co czujesz.

Moishe położył dłonie na ramionach Barneya.

— Barney, pozwól, że o coś cię zapytam. O coś bardzo osobistego, poważnego.

— Nie ma sprawy — odpowiedział Barney. Odwrócił głowę i zawołał: — Irving, Hyman, kończcie już! Zamykamy za dwadzieścia minut.

— Wysłuchaj mnie uważnie — powiedział Moishe. — Nie zamierzam ciebie ganić. Będę mówił prawdę. Obserwuję cię od sześciu miesięcy, to jest od momentu, kiedy wyjechał Joel. Nie lubisz tego interesu? To znaczy krawiectwa. Starasz się i umiesz naganiać pieniądze, ale nie masz do tego serca, zgadza się?

Barney wojowniczo zmarszczył brwi.

— Dlaczego tak uważasz?

— Och, daj spokój, Barney, nie jestem ślepcem. Ile zmieniłeś tutaj, odkąd Joel wyjechał? Produkujemy gotowce dla magazynów, college'ów, prowadzimy sprzedaż wysyłkową, przez katalogi. Trzydzieści mundurów dla nowojorskiej Akademii Wojskowej. Takiego zamówienia nie mieliśmy od początku istnienia firmy.

Barney nic nie odpowiedział. Podczas gdy Moishe mówił, zbliżył się do nich Irving i stanął w odległości dwóch, trzech stóp, słuchając z zainteresowaniem.

— Moishe ma rację, Barney — powiedział. Jego głos był łagodny, wyrozumiały, ale brzmiała w nim nutka tęsknoty i melancholii. — U Blitzów zawsze robiono na zamówienie. Wysokiej jakości garnitury na miarę. Jedne z najlepszych w Nowym Jorku. Oczywiście, że mamy stałych klientów, którzy wiedzą, czego chcą, i za nic w świecie nie pójdą do innego zakładu. Ale w dzisiejszych czasach, kiedy mówisz Blitz, większość ludzi kojarzy nazwę firmy z gotowymi produktami. Handel już się do tego przyzwyczaił, a wkrótce przyzwyczają się klienci.

— Następna sprawa — wtrącił Hyman, który doszedł kilka chwil wcześniej. — David powiedział mi, że odsyłasz pojedynczych klientów z kwitkiem.

Barney westchnął, wyjął z kieszeni zegarek, żeby sprawdzić, która godzina, i powiedział:

— No cóż, nie mogę zaprzeczyć.

— Nie możesz zaprzeczyć, że co? — zapytał Irving.

— Wszystko to prawda — odpowiedział Barney. — Nie mogę zaprzeczyć, że nie mam serca do krawiectwa. Nie mogę zaprzeczyć, że próbuję zmienić profil Blitzów, że próbuję przekształcić zakład męskiego krawiectwa w dom o dobrej reputacji, szyjący wyłącznie gotowe produkty. Nawet nie mogę zaprzeczyć, że odsyłałem z kwitkiem pojedynczych klientów. Prawda jest taka, że tego wymaga biznes, przynajmniej ja to tak pojmuję. Cóż to za interes, jeżeli Irving spędza dwa dni na krojeniu jednego garnituru, za który dostaniemy dziesięć dolarów, czterdzieści trzy centy, podczas gdy w tym samym czasie mógłby wykroić sześć, za które otrzymalibyśmy sześć dolarów i dwadzieścia dwa centy za sztukę? Wydaje się, że robię to dla waszej korzyści, dla swojej korzyści, a w szczególności dla korzyści rodzin oraz dzieci, które są od nas zależne.

Moishe wyglądał na zakłopotanego.

— Masz rację, Barney, na swój sposób. Ale Irving oraz Hyman... to artyści. Mogą stworzyć garnitur, który będzie wyglądał jak zaczarowany, płaszcz, który doskonale będzie leżał w ramionach, doskonale skroić kłapy...

— Wiem — powiedział Barney. — Moishe, ja o tym wiem. I dlatego sklepy kupują nasze gotowe produkty. Są znakomite i nasze ubrania doskonale się sprzedają.

— Ależ, Barney, spróbuj mnie zrozumieć. To tak, jakbyś chciał, żeby Michał Anioł zakładał tapety.

W pierwszej chwili Barney chciał ostro przygadać Moishemu, ale się powstrzymał. Ci

mężczyźni byli prawie jak jego rodzina, byli starymi przyjaciółmi ojca, i co najważniejsze, mistrzami w zawodzie. Był na tyle wrażliwy, że potrafił zrozumieć, o czym mówił Moişhe, i że jeżeli nie będzie umiał się pohamować, zniecierpliwi się, wpadnie w złość, to wypowie słowa, które będą kęsać jak trenowane do walki brytany. Po ojcu odziedziczył poczucie humoru, ciepło oraz równowagę psychiczną, po matce nieokiełznany temperament. Podniósł ręce do góry, chcąc pokazać, że dobrze ich rozumiał, i że prosi o spokój.

— Posłuchajcie mnie — powiedział miękko. — Wierzę, że proszę was o wykonywanie pracy, która nie jest godna waszych umiejętności. Ale spróbujcie na wszystko spojrzeć z mojego punktu widzenia. Wypracowałem pewien kapitał, przez to interes Blitzów urośnie, okrzepnie. Może zbyt szybko się śpieszę. Wiem, że jestem młody. Być może za bardzo kieruję się zyskiem i niewystarczająco zwracam uwagę na istotę biznesu. Ale jeżeli będą dochody, wszystko się zmieni. Jeżeli zdobędziemy zaufanie, stworzymy przedsiębiorstwo krawieckie, jakiego żaden z was do tej pory nie oglądał. Ze wszech miar wspaniałe. Ale proszę was, żebyście zrozumieli, że w sześć dni nie staniemy się firmą jak Lord & Taylor. Nawet w sześć miesięcy.

Hyman pokiwał głową powoli.

— Mówisz jak Amerykanin — powiedział, odwracając się. Powiedział to z taką bezbarwną intonacją, że tylko osoba znająca jidysz mogła tego dokonać, takim płaskim głosem, że Barney nie potrafił odgadnąć, czy starał się go obrazić, powiedzieć mu komplement, czy po prostu był to jedynie trafny komentarz bez podtekstów.

Moişhe poszedł poszukać płaszczy i wszyscy zaczęli przygotowywać się do wyjścia; zwijali bele materiałów, utykali igły oraz szpilki w małe poduszeczki, chowali papierowe wzory, zamiatali skrawki materiałów oraz kawałki nitki. Gazowe lampki zostały przykręcone tak, że paliły się jedynie małymi, niebieskawymi płomykami.

— Podejrzewam, że śpieszysz się dzisiaj do domu — powiedział Moişhe, czyszcząc kapelusz.

Barney, który pomagał zbierać guziki, powiedział:

— Nie bardziej niż zwykle. Dlaczego?

— Z powodu *oyrech auf Shabbes*, którego będziesz podejmował — powiedział Moişhe, mrugając porozumiewawczo okiem.

— Masz na myśli Davida? — zapytał Barney, mocując się z belą granatowego kaszmiru.

— Davida? — zapytał Moişhe. — Nie miałem na myśli Davida. Myślałem o Leah Ginzburg. Nie wiedziałeś, że ma do was przyjść? Jej *bubbe* zachorowała, a więc jej matka musiała udać się na Front Street, żeby się nią zaopiekować, a jej ojciec ciągle siedzi w Jersey. W tym układzie ona spędza szabat z wami. Być może zostanie do niedzieli.

— Kto ci o tym powiedział?

— Twoja mama. A któż by inny? Przyszła tutaj po południu, kiedy ty byłeś u Meyberga.

— Leah Ginzburg? — zawołał zdziwiony Barney, upuszczając na ziemię materiał. — Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym od razu? *Oy geualtl* Gdybym wiedział wcześniej, nie zapraszałbym Davida. Zaprosiłem Davida, a tu przychodzi Leah! Na miłość boską, dlaczego David nic mi nie powiedział? Przecież musiał wiedzieć!

Moişhe, który zapinał właśnie płaszczy, uśmiechnął się do Barneya ze współczuciem.

— Może Davidowi również podoba się Leah? A może smakują mu twojej matki *knaydelel* A może po prostu zapomniał?

— Zapomniał? Ten *nebech* nigdy o niczym nie zapomina.

— No cóż, myślę, że powinieneś być wdzięczny — powiedział Moişhe. — Nie w każdy *Shabbes* masz okazję do spełnienia dobrego uczynku. Powinieneś dziękować Bogu.

Barney spojrział na niego wściekle, ale natychmiast rozluźnił się i roześmiał.

— Myślę, że masz rację. Dziękuję ci, Boże, że dałeś mi możliwość, abym okazał dobroć mojemu bliźniemu! Ale mając w pobliżu Leah Ginzberg, czy muszę też mieć Davida Steina?

Nadszedł Irving, zawijając wokół szyi długi wełniany, szary szal, który przypominał zmęczonego pytona, niesionego do domu przez zaklinacza węzów. Żona zawsze zmuszała go, żeby nosił szale, nawet latem, aby uchronić go przed chorobą, którą sama nazwała „sztywnieniem karku”.

— Posłuchaj, Barney — zaczął ochrypłym głosem. — Nie chciałbym, żebyś myślał, że bez przerwy kwękam. Ale jesteśmy rodziną, prawda? Możemy powiedzieć, co mamy na wątrobie. Żadnych sekretów. Może w przyszłym tygodniu powinniśmy porozmawiać o całym interesie, o pracy, którą Hyman i ja mamy wykonywać. Ona jest nam obca. Przede wszystkim jestem nieszczęśliwy i wiem, że Hyman jest również nieszczęśliwy. A co najgorsze, Sussman wie, że jesteśmy nieszczęśliwi.

— Sussman? — Rozbawienie zniknęło z twarzy Barneya tak szybko, jak płytka fotograficzna ciemnieje w blasku słońca. — Czy Sussman zaproponował wam pracę?

— Nie umiem kłamać — powiedział Irving.

— Cóż, jeżeli Sussman złożył wam propozycję, a tutaj jesteście nieszczęśliwi, to lepiej będzie, jak odejdziecie. Nie chciałbym was przetrzymywać wbrew waszej woli.

Moishe spojrział na nich z zakłopotaniem.

— Posłuchaj, Barney, wszyscy jesteśmy zmęczeni. Zostawmy to do poniedziałku.

Barney, nie odrywając oczu od Irvinga, pokiwał z rozmysłem głową.

— Oczywiście — powiedział. — Być może podczas szabatu będziemy mieli okazję przeczytać w *Talmudzie* co nieco o lojalności.

W pomieszczeniu zapanowała cisza. Irving odszedł bez słowa, a tuż za nim Hyman. Barney obserwował ich, jak szli pomiędzy niebieskimi światełkami, głowy mieli spuszczone; następnie odwrócił się do Moishego i powiedział:

— No?

Moishe wzruszył ramionami.

— Wkrótce przyjdą do rozumu. Ale musisz pamiętać, że są starzy i mają swoje zdanie. Zaakceptowałiby Joela. Wiedział, jak zagrać, umiał postawić na swoim, był starszym synem swojego ojca. Nie ryzykował postawienia interesu do góry nogami. Oni nie są ciebie pewni.

Barney stał z rękami na biodrach. Drzwi od warsztatu zamknęły się za Irvingiem i Hymanem z ostrym piskiem źle dopasowanych listew. Widział ich niewyraźne sylwetki przez szyby oszklonego pomieszczenia; wolno schodzili po schodach.

— W porządku — powiedział. — Zostawmy to do poniedziałku. Ale nie zapominajmy, kto u Blitzów jest *balebossem*, dobrze?

Moishe objął Barneya ramieniem.

— Dam ci dobrą radę. Wypoczywaj, módl się i pamiętaj, że każdy w swoim życiu ma jakąś miłość, oczywiście, nie mówię teraz o rodzinie. Twoją miłością mogą być pieniądze. Irving i Hyman mogą kochać znakomicie skrojone garnitury.

David czekał na Barneya w oszklonym pomieszczeniu. Był zamotany w jasnobrązowy płaszcz, który Barney złośliwie nazywał „workiem do okrywania wielbłądów”. Jego blisko siebie osadzone oczy jarzyły się z zadowolenia.

— Jesteś gotowy? — zapytał Barney na wszelki wypadek, a David pokiwał głową z entuzjazmem. Zachowuje się jak lunatyk, pomyślał Barney. Cóż za *oyrech*.

— Idźcie już, ja wszystko pozamykam — powiedział Moishe, wyciągając kółko z kluczami. —

Musisz zająć się swoimi gośćmi — zwrócił się do Barneya.

— Właśnie — podchwycił Barney i zbiegł szybko po schodach. Nie interesowało go, czy David pobiegł za nim. Oczywiście, David pobiegł, kiedy Barney znalazł się na chodniku, na którym tłoczyli się sklepikarze, którzy przed chwilą pozamykali swoje sklepy, krawcy, posługaczki, śpieszące do tureckich łaźni, sprzedawcy uliczni ze swoimi skrzypiącymi wózkami, goniące się dzieciaki, David był tuż za nim, wpadł na niego z rozpędu.

— *Shalom aleichem*, Moishe! — zawołał Barney, patrząc na Davida.

— *Aleichem shalom* — doszło do niego z góry.

Barney pociągnął Davida za ramię niechętnym i niecierpliwym ruchem, jak gdyby był walizką pełną brudnej bielizny, i poprowadził go zatłoczoną ulicą Clinton w kierunku czynszowej kamienicy, stojącej na rogu Monroe Street 121, gdzie jego matka wyciągała już czyste ubranie, żeby udać się do synagogi.

Znowu zaczął mocniej padać śnieg, mokre płatki kapryśnie wirowały w powietrzu.

Kiedy wrócili z synagogi do domu, w sąsiedztwie panowała już cisza; czarodziejski i szczególnie spokojny, który nastawał w przeludnionych mieszkaniach nowojorskiego Lower East Side'u w piątki po zachodzie słońca. Prawie w każdym domu, w każdej kamienicy czynszowej, nawet w suterenach o zawilgoconych ścianach, gdzie w szafach chrobetały szczury, żony i matki oraz córki przebierały się w najlepsze rzeczy, jakie posiadały, i zapalały szabasowe świece.

— Bądź błogosławiony, Panie nasz, o Boże, Królu Wszechświata, któryś zesłał nam swoje przykazania i nakazał zapalać szabasowe światła.

Niebo nad Clinton Street zaciągnięte było chmurami; atrament koloru umbry rozlany na mokrym kartonie rysunkowym. Było teraz za ciepło na śnieg, ale między domami oraz pozamykanymi sklepami zacinała mżawka, a wilgotne chodniki lśniły w światłach gazowych lamp. Dookoła we wszystkich oknach migotały płomyczki świec; ulicami wracali w skupieniu do domów z synagogi mężowie i ojcowie, każdy z nich w towarzystwie niewidzialnych szabasowych gospodarzy — aniołów, których ściągnięto na ziemię modlitwami. Ich kroki odbijały się echem o ściany domów.

Tu była kraina biedoty, brudna, podła i bezkompromisowa. Rozmokłe odpadki, pozostałości po całodziennym handlu, gniły w rynsztokach — liście kapusty, zmięte kule papieru pakowego, kawałki krwistego mięsa, rybie wnętrznosci. W grząskim błocie walał się makaron. Barney zatrzymał się na rogu Monroe Street, naprzeciwko domu Rutgersów, i na chwilę stanął, aby popatrzeć na deszcz, odpadki oraz oświetlone okna. Poczul chłód, który doprowadzał go do łez.

— Dlaczego się zatrzymałeś? — zapytał David. Barney przetarł oczy chusteczką przyczepioną do klapy.

— Nie zrozumiałbyś. Chodźmy już.

David starał się dotrzymać mu kroku, kiedy przechodzili przez ulicę.

— Mógłbyś mnie wypróbować — wymamrotał.

— Wypróbować? — zdziwił się Barney.

— No cóż, jesteś smutny, prawda? — zauważył David.

— A kto nie jest? Powiedz mi, z czego tu się cieszyć.

— Przez większość czasu wyglądasz na szczęśliwego — powiedział David.

— Ponieważ *Shabbes* jest tylko raz w tygodniu. Większość czasu spędzam na robocie, staram się, żeby interes nie podupadł, wyklócam się o pieniądze z kupcami, toczę boje z Irvingiem i Hymanem oraz wszystkimi innymi. Nie mam chwili dla siebie; bo to jest tak, że dopiero jak masz chwilę dla siebie, możesz być sobą. Dzisiaj wieczorem jestem smutny. Ale co z tego?

— Ale dlaczego jesteś smutny? — chciał wiedzieć David. Barney szedł teraz tak szybko, że



David ledwo nadażał.

— Nie wiem — odparł Barney. — A gdybym nawet wiedział, to i tak tobie bym nie powiedział.

David złapał go za rękaw, próbując zatrzymać.

— Czy naprawdę aż tak mnie nienawidzisz?

— Ależ to nieprawda. Dlaczego miałbym cię nienawidzić?

— Nienawidzisz mnie, ponieważ jestem głupi. Posłuchaj, Davidzie, wcale cię nie nienawidzę.

— To dlaczego nie powiesz mi, dlaczego jesteś smutny?

— Ponieważ... — Barney zawahał się i nie dokończył.

Stali przed kamienicą. Padająca mżawka sprawiła, że lampy przybrały kolor mleczu. Barney spuścił głowę i spojrzał na sześć stopni, które wiodły do pomalowanych na czarno drzwi frontowych, oraz na mokre, metalowe barierki. David stał obok niego, trzęsąc się, jak gdyby przebył tysiąc mil, żeby poznać z ust najznakomitszego rabbiego sekret wszechświata.

— Jestem smutny, ponieważ nigdy nie będę taki jak mój ojciec — powiedział Barney, bardziej do siebie niż do Davida. — Mój ojciec przyjechał tutaj, do Nowego Jorku, kiedy miał piętnaście lat, razem z moim dziadkiem. Przywiózł ze sobą stare, dobre zasady postępowania, pamiętając o swoim starym kraju. Ale ja jestem Amerykaninem. I nic na to nie poradzę. Nie potrafię kontynuować starych tradycji w taki sposób, w jaki to robił mój ojciec. Rozumiesz, o czym mówię? Ja znam te stare zasady. Myślę o nich przez cały czas, nawet wtedy, kiedy siedzę w tramwaju. Ale one nie są częścią mnie i ja nie jestem ich częścią.

Przetarł powieki wierzchem dłoni.

— Ja już należę do innego świata. Już nie jestem *Deutsche Jehudim*, a jeszcze nie jestem prawdziwym Amerykaninem. Czuję się, jakby to wyrazić, wyobcowany.

David w skupieniu gryzł wargi. Trudno było stwierdzić, czy rozumiał, o czym opowiadał Barney. W końcu, sepleniąc jak dziecko, powiedział:

— Pamiętam ciebie, jak byłeś więźniem na Ziemi Egipskiej, ziemi niewoli. — Po czym bez słowa ruszył schodami do frontowych drzwi.

Barney został jeszcze przez chwilę, czując, jak krople deszczu zalewają mu oczy. Odebrał to jako karę za jego niewiarę w ortodoksyjne zasady. A potem wyjął klucze i wszedł za Davidem do środka. Kiedy otworzył drzwi do mieszkania, zauważył stojącą na korytarzu Leah Ginzburg. Wewnątrz unosił się aromatyczny zapach pieczonego kurczaka oraz zupy, wymieszany z wonnościami mocnych przypraw.

— Jesteś przemoczony — powiedziała łagodnie. David uśmiechnął się do niej.

— To łzy Boga — powiedział, po czym odwrócił się do Barneya i uśmiechnął się również do niego.

Barney odwzajemnił się szybkim, zakłopotanym skrzywieniem ust.

— Twoja mama obawiała się, że nie zdążycie na czas — powiedziała Leah.

Barney nie odpowiedział. Nie chciał być nieuprzejmy wobec matki w szabat. Nie chciał powiedzieć Leah, że właśnie matka sprawiała, że bał się wracać do domu.

— Jest w saloniku?

Leah kiwnęła głową. Barney znał Leah od momentu, kiedy ukończył siedem lat, i zawsze był zwariowany na jej punkcie. Dawniej Ginzburgowie mieszkali po drugiej stronie ulicy, na trzecim piętrze, pod numerem 129. W dzieciństwie, każdego zakurzonego lata, Barney bawił się z Leah na werandzie z frontu domu albo między wózkami poubieranych w kaftany, brodatych polskich oraz armeńskich Żydów, którzy sprzedawali ryby, galanterię oraz owoce. To były gorące, pełne zamieszania dni na ulicach Clinton i He-ster. W tamtych czasach dla Barneya najważniejsze było

szaleńcze uczucie, którym obdarzali go rodzice. Fascynowali go dorożkarze strzelający z batów oraz sześcioletnia dziewczynka z ładną twarzą w kształcie serduszka i z lokami niesfornie wymykającymi się spod przepaski.

Ojciec Leah zaczynał jako sprzedawca uliczny, handlując przechodzonymi rzeczami. Potem wynajął niewielki sklepik na Hester Street i sprzedawał towary tekstylne. Ponieważ jego klientami byli biedacy, sklep z towarami tekstylnymi zamienił się w lombard. Niedługo po tym pan Ginzberg zaoszczędził tyle pieniędzy, że mógł wynieść się z Clinton Street i kupić skromny dom bliżej centrum. Został szefem firmy Loeb and Landis, spółki zajmującej się różnymi finansowymi transakcjami. Ale nigdy nie zapomniwał o przyjaciółach z Tenth Ward: o Moishem Teitelbaumie, Irvingu Finkelsteinie oraz ojcu Barneya, kiedy jeszcze żył, swoim starym *cheura*, który kiedyś mu pomógł, gdy przyплыł do nowej ojczyzny i nie mógł sobie znaleźć miejsca, o wszystkich kumplach Żydach, którzy karmili go zupkami i ofiarowywali kąć do spania, kiedy nie miał dokąd pójść.

Matka Barneya nic o tym nie wiedziała, a sam Barney odkrył to dopiero wtedy, kiedy przeglądał księgi Blitzów po wyjeździe Joela: Nathan Ginzberg pożyczył Blitzom przeszło tysiąc dolarów, całkiem bezinteresownie, byle tylko przeżyli krach w 1857 roku. Pieniądze nigdy nie zostały oddane.

A teraz Leah była gościem w szabat. Miała na sobie prostą białą sukienkę obszytą białą koronką, włosy spięte białą jedwabną wstążką, miała smagłą twarz; była piękna, a jej brązowe oczy przypominały oczy Cyganki ze wschodniej Europy. Było w niej coś dzikiego, nieokiełznanego. Barney często wyobrażał ją sobie z ustami posmarowanymi sokiem jagodowym i ze złotymi obrączkami na palcach u stóp; jednej nocy widział ją we śnie całkiem nagą — niewysoką, tylko pięć stóp wzrostu, ale za to z wielkim biustem i z tak delikatną skórą, że przeszywał go dreszcz, kiedy ją dotykał koniuszkami palców — obudził się wtedy spocony, zmieszany i zawstydzony.

— To jest David Stein — powiedział Barney.

Kiedy przyszli do domu, żeby się umyć i przebrać, Leah była w trakcie ubierania się. Matka Barneya, niespokojna, ale w miarę przyjaźnie nastawiona, nie chciała jej przeszkadzać.

Leah dygnęła przed Davidem, a on się do niej uśmiechnął. Barney spodziewał się, że matka uprzedziła Leah, iż David jest opóźniony w rozwoju. Chociaż mogła tego nie zrobić. Ostatnio była w tak abstrakcyjnym nastroju, że trudno było przewidzieć, co robi; jej umysł był jak rozbite lustro.

Pani Blitz wyszła z saloniku.

— Co się tutaj dzieje? — zapytała. — Modlicie się w korytarzu?

— Przepraszam, już idziemy — odpowiedział Barney. Na widok matki przebiegł mu po plecach silny i nieprzyjemny dreszcz. Po raz pierwszy od wielu lat matka założyła swoją ślubną suknię. Była miejscami pożółkła i gdzieniegdzie powyciągana, ale była to ta sama ekstrawagancka biała sukienka z jedwabiu i dreźnieńskiej koronki, którą matka miała na sobie w Niemczech, kiedy wychodziła za mąż za ojca Barneya. Na dzisiejsze czasy była niemodna i prawie makabryczna. W talii była opięta jak skórka na parówce, a materiał pod pachami pożółkł od potu. Ze sposobu, w jaki pomachała mu ręką, Barney wyczuł, że coś było nie w porządku, coś nieprzyjemnego wisiało w powietrzu. Dlaczego założyła ślubną suknię? Dlaczego?

Salonik był mały, ale to był ich najlepszy pokój. Na ścianach wisiały koszyki z kwiatami na ciemnoczerwonym tle, a zasłony zostały wykonane z najlepszej jakości weluru. Były tam: tania komoda z różanego drewna, na której płonęły szabasowe świece, oraz stół obiadowy, który ojciec Barneya przyniósł na własnych plecach z pchlego targu. Brzydko pachniał, jak gdyby serwowano na nim wszystkie posiłki szabasowe od wielu, wielu lat i nigdy nie otwierano okien w pomieszczeniu, w którym stał. Ktoś mógłby pomyśleć, że matka trzyma uwięzione w saloniku wszystkie szczęśliwe chwile, które bezpowrotnie minęły.

Barney zajął główne miejsce przy stole. Leah, siedząca po jego prawej ręce, uśmiechała się do niego nieśmiało. Nie chciał patrzeć na Davida, który od momentu, gdy znalazł się w saloniku, nie przestawał się uśmiechać lakierowanym uśmiechem żołnierza-zabawki. Nie mógł też długo patrzeć na swoją matkę.

Mając suche gardło, powiedział:

— I w ten oto sposób niebiosa, ziemia, słońce, księżyc i gwiazdy zostały stworzone. Siódmego dnia Bóg skończył swoją pracę i właśnie siódmego dnia udał się na spoczynek. I Bóg pobłogosławił siódmy dzień i poświęcił go...

Pobłogosławił wino i stworzył *broche* na cześć zaczętego szabasus oraz na cześć opuszczenia Egiptu. Barney już powiedział w myślach *broche*, kiedy ujrzał Leah w jej szabasowej sukience; specjalną *broche*, zarezerwowaną dla pięknych ludzi. Wypił łyk wina z kielicha *Kiddush* i zdawał sobie sprawę z faktu, że przez cały czas jest uważnie obserwowany przez Leah. Cicho śpiewała modlitwę na przyjęcie opiekuńczych aniołów, którzy powrócili do domu razem z nim, kiedy przyszedł z synagogi.

— Przychodźcie w pokoju, pobłogosławcie nas pokojem i odejdźcie w pokoju...

Matka Barneya, nie czekając, aż Leah skończy, zaczęła nabierać łyżką wątróbkę z kurczęcia oraz oliwki i nakładać sobie na talerz. Głos Leah załamał się, ale Barney podniósł głowę i spojrzał na nią, dodając jej otuchy. Skończyła się modlić w momencie, gdy matka popchnęła w jej kierunku swój talerz z taką ilością wątróbki, że sam Moische Teitelbaum zaniemówiłby ze wzruszenia.

— Święta szabatowa już nie są takie, jak kiedyś bywały — poskarżyła się Feigel Blitz. — Kiedy żył twój ojciec, Barneyu, miały prawdziwy świąteczny nastrój. Cała rodzina zbierała się przy stole, Joel, ty, a jakich *oyrech* twój ojciec przyprowadzał z ulicy do domu! Święci, oto jacy byli! A rodzina! I gdzie jest teraz moja rodzina?

Leah wyciągnęła rękę przez stół nakryty białym, lnianym obrusem i złapała panią Blitz za dłoń.

— Pani Blitz — powiedziała łagodnie. — My jesteśmy teraz pani rodziną. Nikt o pani nie zapomniał.

David opuścił głowę i patrzył w talerz pełen wątróbki ze zdziwieniem, jak gdyby nie mógł sobie uzmysłwić, skąd ona się tam wzięła. Potem, bezmyślnie, chwycił za widelec i zaczął dziobać nim krawędzie talerza.

— Zniknął cały nastrój — powiedziała Feigel Blitz głośno do wszystkich i zarazem do nikogo. — Ojciec siadał zawsze tam, gdzie teraz siedzi Barney, i mówił nam, za co i za kogo modlił się w synagodze. I co czuł w swoim sercu! Bliskość Boga! Ale dzisiaj, ci młodzi Amerykanie nawet nie pomyślą o swojej umęczonej matce! Czy myślą o *mitzuoth*? Leah! Powiedz mi, o czym oni myślą?

Leah spojrzała na Barneya i zarumieniła się. W popłochu puściła rękę pani Blitz, ale ta z kolei przytrzymała ją mocnym uściskiem, patrząc na nią z oburzeniem.

— Myślisz o poślubieniu *takiego gnifa*? Chcesz go stąd zabrać? O, nie, on ma obowiązki! Obowiązki wobec swojej matki! Poczekaj tylko, a zobaczysz! Ten młody mężczyzna już wziął ślub ze swoją wiarą! Dzisiaj wieczorem urządzimy mu zaślubiny! Ale nie z tobą, piękna, młoda damo! O, nie. Ożeni się ze swoimi obowiązkami! Ze mną!

*Riboyne Shel O'lem.*, pomyślał Barney. To dlatego ubrała się w swoją ślubną suknię.

— Mamo — powiedział. — Czy nie moglibyśmy teraz po prostu zjeść kolacji, a porozmawiać o tym później?

Leah pospieszyła mu z pomocą:

— Ta siekana wątróbka z kurczęcia jest wspaniała. Czy mogłabym dać przepis mojej matce? Feigel Blitz dotknęła czoła koniuszkami palców, jak gdyby się żegnała.

— Być może zawinił twój ojciec — wymamrotała. — Był pobożny, tak, ale obciął *payess*, chciał wyglądać jak Amerykanin. Amerykanie nie mają *payess*, powiedział! Czy widziałaś kiedyś Amerykanina z pejsami? W dwa dni po przyjeździe tutaj, po opuszczeniu Wyspy Eliasza, obciął pejsy, a niedługo po tym obciął i zgolił brodę. Tego dnia, kiedy obciął pejsy, płakałam całą noc. Twój biedny ojciec.

David położył na stole widelec.

— A ja ciebie znam — powiedział do Leah z dziecinną prostotą. — Spotkałem ciebie przedtem.

Leah spojrzała na Barneya. Barney pokręcił powoli głową.

Szabasowa kolacja dobiegała końca, przerywana od czasu do czasu wybuchami gniewu Feigel Blitz oraz bezsensownymi, pustymi komentarzami Davida. Barney przez cały czas miał dreszcze, czuł się jak mumia zawinięta w stumetrowy bandaż, był zbyt spięty, żeby powiedzieć coś sensownego czy pobożnego. Kiedy kolacja się skończyła, odszedł od stołu i poszedł prosto do swojego pokoju. Stał w ciemności z zaciśniętymi pięściami i szczękami i modlił się do Boga, żeby dał mu siłę przetrwać. Robił to goręcej niż kiedykolwiek.

O Boże. Królu Niebios, daj mi siłę, żebym wytrwał z matką. Daj mi wiarę, żebym mógł być takim, jakim ona chce, żebym był. Daj mi spokój. Ale przede wszystkim, dobry Boże, pozwól mi uwierzyć, głęboko w sercu, że jestem prawdziwym Żydem. Chcę to czuć w moich kościach oraz w mojej krwi, którą odziedziczyłem dzięki wierze mojego ojca, jego ojca oraz ojca jego ojca.

Nagle usłyszał delikatne stukanie do drzwi. Barney otworzył oczy i odwrócił się. Stukanie powtórzyło się.

— Barney? To ja, Leah.

Otworzył drzwi. Pocił się. W przyciemnionym świetle korytarzowych lamp mógł zobaczyć, jak świecą się jej oczy i błyszczą usta. Z łagodnością, z jaką nie zwracał się do nikogo, powiedział:

— Leah? Co się stało?

— Chcę ci powiedzieć, że to nie jest twoja wina — wyszeptała. — To, co twoja matka powiedziała podczas kolacji, ja wiem, że ona jest...

— Sąsiedzi nazywają ją *meshuggeneh* — wtrącił Barney beznamiętnie.

Po przedstawieniu, które urządziła jego matka podczas kolacji, poczuł, że nie musi już być wobec niej lojalny. Ale w dalszym ciągu nie mógł powstrzymać się od łez.

Leah dotknęła jego ręki.

— Rozumiem. Dlatego właśnie przyszedłam ci to powiedzieć... nie jestem przeciwko tobie, lubię cię, Barney. Zawsze byliśmy dobrymi przyjaciółmi.

— Tak — powiedział ochrypłym głosem.

Stali i patrzyli na siebie w milczeniu przez następnych kilkanaście sekund. Barney, przez ułamek sekundy, zobaczył siebie, jak siedzi obok niej pod wózkiem ulicznego sprzedawcy na rogu ulic Hester i Clinton; są odgradzeni od ulicy zasłonami z płótna, które wiszą aż do ziemi z każdej strony wózka. Było tam przyjemnie i ciemno, czuli się jak we własnym domu. Dorośli byli niczym więcej jak szurającymi po chodniku butami pozbawionymi właścicieli i przesuwanymi się jak na paradzie. Leah musiała mieć wtedy siedem albo osiem lat. Był rok 1858. Ojciec Barneya został uratowany przez ojca Leah, chociaż nikt z rodziny o tym nie wiedział. Leah miała na sobie szmaragdowozieloną sukienkę, emanowała ciepłem dziecięcym, pachniała delikatnie perfumami. Barney często zastanawiał się, kiedy zakochał się w Leah i teraz doszedł do wniosku, że to musiało stać się wtedy.

Leah podniosła rękę do góry i dotknęła jego policzka.

— Nie pozwól jej, żeby uczyniła cię nieszczęśliwym — powiedziała.

Potrząsnął głową. Zamilkli i dalej stali, patrząc na siebie. Barney nie zapomniał tej sceny do końca swoich dni. Patrzyła na niego z lekko przechyloną na bok głową, z błędzącym uśmiechem na ustach.

— Kocham cię — powiedział, może nie tak dobitnie, jak powinien to zrobić kochanek, nie starał się przy tym powiedzieć nic innego niż to, że kochają za to, że jest Leah, i za to, że jest mu oddaną przyjaciółką, kiedy naprawdę jej potrzebuje.

Teraz już wyraźnie się uśmiechnęła, odwróciła i zeszła korytarzem do kuchni. Barney zobaczył tam matkę zmywającą naczynia. Widział też Davida opartego niedbale o futrynę drzwiową, chrupiącego ogórki konserwowe. Cóż za szabat, pomyślał i ponownie zamknął drzwi od swojej sypialni. W ciemności przycisnął dłonie do twarzy tak, że już zupełnie nic nie widział.

Wiedział, że ma przyjaciół. Wiedział, że ma *meshpocheha*, który mu pomoże. Ale to było za mało. Przecież miał dopiero dziewiętnaście lat, a musiał pilnować krawieckiego interesu oraz zwalczać opozycję w osobach Irvinga i Hymana i radzić sobie z ciągłymi wybrykami matki. A tego już było za wiele. Najgorsze z tego wszystkiego było to, że od sześciu miesięcy nie miał żadnej wiadomości od Joela. Brat nie napisał ani jednego listu. Czuł się tak, jak gdyby dźwigał Blitzów na własnych barkach niczym worek wypełniony wierzgającymi kozłętami.

Później, w saloniku, przy szabasowych świecach czytał głośno fragmenty z piątej Księgi Mojżesza.

— Nie dasz w ofierze Panu, twojemu Bogu, wołu czy owieczki, które nie są doskonałe, ponieważ obrazisz tym Pana, twojego Boga.

Matka siedziała po drugiej stronie stołu, ręce położyła na kolanach, przymknęła powieki, ale pomimo to Barney widział jej błyszczące oczy. David nawet nie starał się słuchać. Bawił się frędzelkami obrusa i uśmiechał się od czasu do czasu do Leah. Ona natomiast była skupiona, chociaż wyraźnie skrepowana. Czasami szeptała słowa *Torah* razem z Barneyem.

— Jeżeli między wami znajdzie się mężczyzna, czy kobieta... którzy odejdą i będą służyć innym bogom i będą oddawać im cześć, czy to słońcu, czy księżycowi, czy gwiazdom, sprowadźcie tego mężczyznę, czy tę kobietę z powrotem i ukamienujcie na śmierć.

W końcu, chociaż było dosyć wcześnie, udali się na spoczynek. Matka Barneya odeszła od stołu bez słowa, nawet ich nie pożegnała. Leah miała spać w pokoju Joela, a David miał spędzić noc na rozkładanej kanapie. Ta kanapa, obwieszona i wytarta od częstego używania, była miejscem spoczynku tylu *oyrechów*, że Barney nawet nie pamiętał ich twarzy. On i Joel pomagali ojcu taskać ją po schodach na dół, na małe podwórko, gdzie była obficie posypywana perskim proszkiem przeciwko insektom, który skutecznie zabijał wszelkiego rodzaju pluskwy, robaki i pchły.

Barney przebrał się w nocną koszulę, stanął przy oknie, na którego szybach wisały krople deszczu, i spojrzął na podwórko otoczone ponurymi kamienicami. W każdym z tych domów, na zewnątrz kuchennych okien, wisały sznurki do suszenia bielizny, a na niektórych z nich „suszyły się” pościela i kilimy ciężkie od wody. Powyżej sznurków rozciągało się nocne niebo z plamami chmur.

Wgramolił się na łóżko. Obok niego, na małej drewnianej półce, leżała oprawiona w skórę *Torah*, którą dał mu ojciec w tym samym czasie, kiedy podarował mu modlitewny szal, *tallis*, w dniu jego *Bar Mitzimh*. Stała tam również przydymiona fotografia Joela, już nieco wyblakła od słońca, które zaglądało do sypialni Barneya na godzinę dziennie.

Położył głowę na poduszkę i cichutko odmówił modlitwę. Pobłogosławił matkę w nadziei, że Pan przywróci jej zdrowie. Modlił się za Joela, gdziekolwiek był; modlił się za siebie, żeby miał cierpliwość, rozum i siłę, aby stawić czoło najbliższym latom.

Zasnął, i niemalże natychmiast przyśniła mu się Leah. Śniło mu się, że biegł ulicą Hester w

kierunku Bowery, krzycząc za nią z wysiłkiem, żeby zatrzymała się. Ale ona biegła dalej, nie odwracając się do tyłu, zanurzając się w tłum popołudniowych klientów, z rozwianą sukienką ginącą w kalejdoskopie barw, światła i cienia. Był ciężki sierpniowy dzień na Lower East Side. Nie mógł złapać tchu, ulotniła się cała jego energia. Czuł się tak słaby, że obawiał się, iż zaraz się przewróci i wpadnie do rynsztoka.

Niespodziewanie obudził się. Otwierając szeroko oczy, zaczął uważnie nasłuchiwać. Słyszał, jak Leah ciężko dyszy w sąsiedniej sypialni — wydawała jakieś dziwne, zduszone dźwięki, jak gdyby cierpiała na astmę albo była podniecona. Po chwili jęknęła:

— Nie, nie, Davidzie, nie!

Barney odrzucił pierzynę i wyskoczył z łóżka. Szarpnął drzwi od sypialni. Drzwi od pokoju Leah były otwarte na oścież, a jej nocna lampka jeszcze się paliła, chociaż knot był tak nisko przykręcony, że na początku Barney nic nie widział, tylko cienie.

Leah ponownie krzyknęła i rzuciła się na łóżku; teraz już rozumiał, co się tutaj działo.

To był David. Dziecinny, śmieszny David. Leżał na łóżku obok Leah, mając jedną nogę przerzuconą przez jej biodra. Koszula nocna, którą miał na sobie, a którą pożyczył od Barneya, była zadarta wysoko do góry, tak że Barney widział jego tłuste pośladki i kawałek sterczącego, fioletowego penisa. Rzucił się na Leah, wykonując ruchy zjadliwej marionetki, wyglądał jak ogarnięty furia Pinokio. Leah miała ręce ponad głową, uwięzione w staniku i koronkowych rękawach nocnej koszuli i walczyła, żeby się uwolnić. Barney z przerażeniem ujrzał jej duże sutki oraz zaokrąglone uda. Barney złapał Davida za fałdy nocnej koszuli, szarpnął, ale pękła z głośnym trzaskiem. Leah zapiszczała i widząc szansę, spróbowała się uwolnić, ale David odepchnął Barneya z siłą lunatyka i rzucił się na nią, mocno przywierając do jej ciała. Barney złapał go jeszcze raz i tym razem udało mu się go ściągnąć na podłogę z krawędzi łóżka.

— Jesteś szalony! — wrzasnął Barney tak głośno, że natychmiast zabolalo go gardło. — Jesteś szalony!

David zaczął uciekać na czworakach po dywanie, z tyłkiem wysoko uniesionym w powietrzu. Barney kopnął go tak mocno, że chłopak aż potoczył się pod zielone biurko i zawył, chwytając się za głowę.

Barney wpadł we wściekłość, która gwałtownością w niczym nie ustępowała huraganowi na morzu. Podbiegł do Davida, szarpnął go do góry tak, że ten stanął na równe nogi, i rzucił na biurko. David uderzył w nie plecami i upadł z powrotem na podłogę, a za nim poleciał deszcz szpilek do włosów, grzebyków i szczotek.

— Jesteś wstrętny! — wrzeszczał na niego Barney. — Wstrętny, szalony i chory!

David potoczył się do stołu i złapał za nogę, próbując się podźwignąć. Jego twarz była biała jak kreda, z nosa zwisały mu smarki. Barney złapał go jeszcze raz, próbując postawić na nogi, ale cienka, znoszona bawełna jego nocnej koszuli nie wytrzymała i pękła na całej długości, a David osunął się na ziemię jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Barney rozchylił materiał, poszukał głowy Davida, złapał go za włosy i mocno szarpnął, wrywając duży pęk. Barney był w takim stanie, że nic do niego nie docierało, nie kontrolował się, nie myślał, był ogarnięty szałem. Uderzył Davida pięścią w kość policzkową, a potem walnął go między oczy. Szarpał go, kopał, okładał pięściami, a David leżał na podłodze, przewalając się z boku na bok, wrzeszcząc wniebogłosy i wyjąc za każdym uderzeniem.

W końcu, szczękając zębami w szoku, Barney stanął nad Davidem, zupełnie wyczerpany. Leah klęczała na łóżku z zarzuconym na ramiona kocem. Jej twarz była twarzą Leah, którą tak dobrze znał, ale jakby trochę inną. Była jak twarz, którą widzisz, niespodziewanie pochylając się nad miednicą z



wodą.

— Barney — powiedziała z rozpaczą. — Barney... Barney ją usłyszał, ale nie zareagował. Gniew nie wypalił się w nim jeszcze do końca.

— Jakby jeszcze tego brakowało — wycharczał. — Jakby mało było kłopotów z interese, jakby mało było problemów z Irvingiem i Hymanem. Jeszcze ciebie tu brakowało! Co ja mam zrobić? Czy mam się tobą opiekować do końca życia? Czy mam cię prowadzić za rączkę, ty przygłupi *golemie*? Przecież ja nie mogę tego robić! Nawet nie chcę! Jesteś szalony, jesteś niczym więcej jak szalonym lunatykiem!

Oparł ręce na biurku, ciężko dysząc. David nie podnosił się z podłogi, leżał w kałuży krwi, która ciekła mu z nosa, i kwilił.

— Ten wszawy interes jest wszawym interese, nawet bez twojej pomocy! — Barney wrzasnął na niego. — Kupa śmierdzących, źle wychowanych staruchów i durnowatych bab! Mam gdzieś materiały, gazowe oświetlenie i walkę, żeby jakoś to było! Mój Boże w Niebiosach, Davidzie, gdyby nie ta wariatka, która nazywa siebie moją matką, nie zostałbym tutaj ani chwili dłużej! Joel miał rację, że wyjechał. To właśnie powinienem zrobić: wyjechać i zostawić całe to jęczące, kwękające, zwariowane bractwo i pozwolić, żebyście udusili się własnym smrodem.

Nagle zapanowała głęboka cisza. Czasami tak bywa, kiedy czujesz, wiesz na pewno, że właśnie umarł ktoś bliski. David po omacku pełznął w kierunku łóżka, kaszłał, ciągnąc za sobą poplamioną krwią koszulę. Leah popłakiwała, łzy błyszczały w skąpym świetle lampki oliwnej, palce przyciskała do ust.

— Wariatka? — rozległ się cichy, przejmujący głos.

Barney spojrział w kierunku drzwi. Na korytarzu, mając jeszcze na sobie swoją ślubną suknię, stała jego matka. Ręce miała splecione w jakimś skromnym geście, jak gdyby pozowała do ślubnej fotografii. Włosy były w nieładzie, nie miała butów na nogach, ale uśmiechała się.

— Mama? — zdziwił się Barney. — Mamo, przepraszam. Nie chciałem. Straciłem głowę. Ten... David, rzucił się na Leah. Nie wiedziałem, co mówię. Mamo?

— Chcesz wyjechać? — zapytała pani Blitz. — Chcesz mnie zostawić, tak jak to zrobił twój ojciec, tak jak twój brat, Joel. Czy tego właśnie pragniesz?

— Pani Blitz — wtrąciła się Leah, przelękając łzy. — Pani Blitz, on nie chciał.

— Byłeś niewolnikiem w kraju egipskim. — David wymamrotał z cierpieniem.

— No cóż, nareszcie poznałam prawdę — powiedziała Feigel Blitz. — Teraz już wiem wszystko. Wariatką mnie nazywa. Wariatką! Po tylu latach małżeństwa! Czy byłam wariatką w dniu, kiedy mnie poślubiłeś? Czy kiedy ze mną tańczyłeś, czy myślałeś wtedy, ta dziewczyna to wariatka? Czy tak myślałeś przez wszystkie te lata? Co? Jacobie, zadałam ci pytanie!

Słyszac imię ojca, Barney odniósł niespodziewane wrażenie, że ktoś wbił w jego ciało tysiące igieł. Rzadko kiedy było ono wymawiane, zarówno przez Feigel, jak i przez Barneya. Nawet przyjaciele rodziny żyli w przekonaniu, że imię Jacob było prawie święte, a przy tym tabu. Imię, którego w obecności pani Blitz nie wolno było wymawiać lekkim tonem.

— Mamo? — powiedział Barney, idąc wolno w jej kierunku. — Mamo, to ja, Barney.

— Nie zostawisz mnie — powiedziała z przekonaniem, kręcąc głową na boki wystudiowanym ruchem. — Nigdy mnie nie zostawisz. Nigdy więcej.

Odwróciła się i niepewnym krokiem poszła korytarzem do kuchni. Zamknęła za sobą drzwi i przekręciła klucz. Barney westchnął głęboko.

— Idź doprowadzić siebie do porządku — powiedział do Davida. — W mojej sypialni jest wiadro z wodą i miednica.

David oddalił się chyłkiem, trzymając się w bezpiecznej odległości od Barneya. Barney zignorował go i spojrzał na Leah.

— Nie zdziwię się, jeżeli będziesz chciała, żebym cię zaprowadził do jakiegoś innego domu — powiedział. — Może do państwa Feinbaumów?

— Nie. Ze mną wszystko w porządku. Jestem tylko smutna, bardziej niż kiedykolwiek byłam. On mnie nie skaleczył. — Ciągłe jeszcze miała łzy w oczach i trzęsły jej się ramiona.

— Nie wiem, co powiedzieć. Nie wiem nawet, czy potrafię wszystko naprawić.

— To nie była twoja wina, Barney. Nie mogłeś wiedzieć.

— Już drugi raz mi przebaczasz.

— Czy chcesz, żeby ci było przebaczone? — zapytała. Wolnym ruchem potarł kostki u rąk. Na pięści miał zdarty naskórek — efekt uderzenia Davida w zęby.

— Chciałbym być gdzieś indziej — odpowiedział. — Obojętnie gdzie, byle nie tutaj.

— Napiłabym się herbaty — powiedziała Leah. — Czy myślisz, że pogwałcę szabat, jeżeli zrobię herbatę?

— Nie. W takich okolicznościach na pewno nie — powiedział Barney. — Pójdę nastawić czajnik.

Poszedł z powrotem do swojego pokoju i narzucił na ramiona stary, znoszony, kasztanowego koloru szlafrok, który kiedyś należał do ojca. David stał w kącie i starannie obmywał zimną wodą opuchnięte usta. Nie odezwał się, kiedy wszedł Barney. Zamarł w bezruchu i nie poruszył się, dopóki Barney nie wyszedł.

Barney podszedł do kuchennych drzwi i spróbował je otworzyć. Były zamknięte na klucz, więc zapukał.

— Mamo? Otwórz, to ja, Barney.

Nie było odpowiedzi. Zastukał głośniejsze i zawołał:

— Mamo! Otwórz drzwi!

Zastanawiał się przez chwilę, czy przypadkiem nie wyszła. Jeżeli tak, to David i Leah mieli odcięty odwrót, ponieważ swojego czasu ich stary przyjaciel Daniel Lipschitz powiększył kuchnię, zamurując część korytarza, tak że jedyna droga do sypialni wiodła przez kuchnię. Teraz już zapukał bardzo głośno.

— Mamo! Posłuchaj, wcale nie zamierzam cię zostawić! Obiecuję! Tylko otwórz drzwi!

Usłyszał szuranie, a zaraz potem głucho uderzenie — jak gdyby matka uderzyła ciałem w drzwi.

— Mamo! Czy wszystko z tobą w porządku? Słyszałaś, co powiedziałem?

— Obiecujesz? — zapytała matka niewyraźnym szeptem.

— Mamo, obiecuję. Nie wiedziałem, co mówię. David napastował Leah i straciłem rozum. Czy możesz to zrozumieć, mamo? Mamo?

Czekał. Niecierpliwie poruszył klamką.

— Mamo, otwórz drzwi, natychmiast.

W końcu usłyszał, jak w zamku wolno poruszył się klucz. Tani mechanizm zazgrzytał i ponownie zapanowała cisza. Popchnął drzwi, ale udało mu się otworzyć je tylko na kilka cali; wyglądało na to, że matka się o nie opierała.

— Mamo, czy możesz odejść od drzwi? — zawołał. — Co ty robisz, mamo? Opierasz się o drzwi. Zrób krok do tyłu!

Matka wydawała charczące dźwięki. Zdał sobie sprawę, że wydarzyło się coś strasznego, że matka popełniła jakiś szkaradny czyn. Naparł mocno na drzwi i przecisnął się przez szparę. Kiedy już był w środku, drzwi zatrzasnęły się za nim pod naporem bezwładnego ciała. Matka patrzyła na niego

i śmiała się z jego przerażenia.

Była cała pocięta kuchennym nożem. Na czole widniały małe trójkątne rany, kiedy próbowała wbić nóż w swoją głowę. Z pociętych policzków lała się strumieniami krew i spływała po szyi. Na piersiach, w miejscu, gdzie bezlitośnie wbijała ostrze, koronka sukienki była oblepiona posoką. Cała kuchnia poznaczona była krwawymi odciskami dłoni, upstrzona jasnoczerwonymi plamami.

Barneyowi zrobiło się niedobrze. Ściany kuchni zaczęły się kołysać jak szalki uchylnej wagi, której centrum stanowiła uśmiechnięta twarz matki. Po chwili, z niestosownym chichotem, osunęła się na ziemię.

— Leah! — zawołał Barney. Jego głos echem odbijał mu się w głowie. — Leah, na pomoc!

W drzwiach pojawiła się twarz Davida z posiniaczonymi policzkami. Rzucił okiem na panią Blitz, zauważył kałuże krwi i zapytał z dziecinną desperacją:

— Co się stało? Barney, co się stało?

Barney ukląkł obok matki. Jej zalane krwią oczy spojrzały na niego. Wyszepiała:

— Jacobie?

Barney wziął ją za rękę. Była lepka od krwi, wyglądała jak pomalowana.

— Feigel... — powiedział. Nigdy przedtem nie nazywał ją po imieniu. — Ptaszyno.

— Kochasz mnie, prawda? — mówiła błagalnym głosem. — Nie zostawisz mnie?

— Nie — odpowiedział. Zaczął płakać. — Nie, Feigel, nie zostawię cię.

— Tak długo cię nie było — powiedziała. Teraz krew zaczęła wypływać jej z ust, kapiąc na linoleum. — Nigdy więcej mnie już nie zostawiaj. Proszę, Jacobie.

Uszło z niej życie, ale oczy miała ciągle otwarte. Jej ręka opadła na podłogę. Barney podniósł głowę do góry, wykrzywiając żałośnie usta, i zauważył Leah, stojącą w drzwiach, zeszywniałą ze strachu.

— Zabiłem ją — powiedział Barney. — Zabiłem własną matkę.

Leah zaczęła wycofywać się z kuchni, przyciskając ręce do policzków. Wpadła na Davida, który stał w korytarzu, obgryzając paznokcie, zmartwiały ze zgrozy. Spojrzała na niego, jak gdyby nie wiedziała kim był.

Barney wstał. Otarł łzy ręką, brudząc policzki krwią matki. Kiedy w końcu przyjechał doktor Seligman, jakąś godzinę później, Barney stał przy piecu kuchennym, twarz miał ukrytą w dłoniach i czekał, aż zagotuje się woda w czajniku.

— Herbaty? — zapytał doktora Seligmana. Doktor Seligman wyjął binokle, rozejrzał się dookoła i szybko potrząsnął głową.

Listy od Joela znalazł po pogrzebie. Siedział na łóżku matki, przerzucając papiery, oglądając kosztowności, i nagle zauważył paczuszkę starannie zawiniętą w chustę. Znalazł trzy listy.

Pierwszy był z Liverpoolu, z Anglii. Kiedy płynęli przez Atlantyk, morze było wzburzone i Joel cierpiał na morską chorobę przez trzy dni; ale później ocean uspokoił się, pogoda wyklarowała i wszystko było dobrze. Pisał, że ją kocha, i przysyłał pozdrowienia dla Barneya. Liverpoolczycy byli osobliwymi ludźmi, którzy nigdy nie mówią, że dokądś idą, ale że dokądś „zdążają”.

Kolejny list był z Kapsztadu. „Mamo, koniecznie powiedz Barneyowi, cóż to za miejsce! Jakie możliwości!” Trzeci list, najbardziej poplamiony i pognieciony, dotarł około dwóch tygodni temu, a wysłany został z Orajerivier w Afryce Południowej. Joel zainwestował pieniądze, które zarobił na statku, w niewielką farmę i uprawiał ziemię. „Proszę, pozwól Barneyowi wyjechać do mnie. Bardzo potrzebuję jego pomocy i wiem, że Barneyowi spodoba się tutaj. Nie zamykaj go w warsztacie krawieckim — Moishe sam sobie poradzi. Mamo, pracując tutaj razem, zrobimy fortunę. To jest

prawdziwa *goldeneh medina!*"

Barney złożył listy i włożył je z powrotem do kopert. Siedział na łóżku, nie poruszając się, i wpatrywał się w nie. Z korytarza dochodził go głos matki Leah, która mówiła podniesionym głosem.

— Takiemu *levaya* nie oddałabym nawet psa! Czy nie słyszałaś, co mówił rabbi?

Dopiero teraz rozumiał, jak jego matka musiała potwornie cierpieć. Kochała ojca tak bardzo, że jego śmierć postrzegala jako rozmyślną ucieczkę. To nie Bóg sprawił, że cierpiała. To musiała być wina Jacoba. I kiedy wyjechał Joel, jej przypuszczenia się potwierdziły. To były jakieś dziedziczne obciążenia w rodzinie Blitzów, że młodzi mężczyźni mieli skłonności do uciezek i stawali się nieposłuszni. Wkrótce miała zostać zupełnie sama, pozbawiona miłości, nieprzydatna.

Barney spojrział na swoją prawą dłoń, na białą, na cał długą bliznę między kciukiem a palcem wskazującym. Doktor Seligman nic nie powiedział, kiedy Barney poprosił go, żeby mu ją zeszył, ale być może, doktor Seligman dokładnie wiedział, co nieubłagane miało się wydarzyć. Może widział to oczami wyobraźni.

Usłyszał, jak ktoś niezdecydowanie puka do drzwi sypialni.

— Proszę wejść — powiedział.

To byli Irving i Hyman, zakłopotani i rozdygotani. Irving powiedział:

— Przychodzi ci powiedzieć, jak nam jest przykro. Taki szok, wiesz, a twoja matka była taką cudowną kobietą. Świętą.

— Świętą? — zdziwił się Barney. Zapanowała niezręczna cisza.

Hyman, nerwowo i przeprasza ją, wzruszył ramionami.

— Zamierzasz prowadzić dalej interes? — zapytał Irving. — Blitzów, Krawców?

— A czy znasz jakiś powód, dla którego nie powinienem?

— Nie, wcale nie. Tylko zapytałem.

— A więc wszystko w porządku — powiedział Barney. — Dopóki wy jesteście szczęśliwi. W każdym razie zawsze możecie skorzystać z oferty Sussmana.

— Sussman — prychnął Hyman. — Dlaczego mam iść do Sussmana?

— To już twoja sprawa — odpowiedział Barney. — Sprzedaję swoje udziały Moishemowi. Wycofuję się.

Irving zmarszczył brwi.

— Nie możesz tego zrobić. To był interes twojego ojca.

— Mój ojciec nie żyje, mówię ci o tym, gdybyś zapomniał. A niedawno zmarła moja matka, co zwalnia mnie od odpowiedzialności za prowadzenie dalszej działalności. Mam dosyć, Irvingu. Przykro mi.

— Ale przecież dobrze ci idzie.

— Kilka dni temu myśleliście inaczej. Chcieliście zamówień, nie gotowych ubrań. Dalej, Irvingu, niech sentymentalizm nie zaćmi twojego rozumu. Jesteście w krawiectwie od czterdziestu lat. Niedoświadczony młodzik będzie wam mówił, jakie szyć ubrania?

— Dostarczyliśmy mundury Akademii — powiedział Hyman. — Przyznali, że wykonanie jest znakomite. Niedługo złożą następne zamówienie.

Barney zebrał listy i papiery leżące na łóżku — dowody tożsamości matki, świadectwo urodzenia, listy od przyjaciół i krewnych, którzy zostali w północnych Niemczech.

— To dobre wieści — powiedział, nie podnosząc wzroku. — Szkoda, że będziecie musieli powrócić do prywatnych zamówień.

Ponownie ktoś zapukał do drzwi. Weszła Leah. Barney wstał z łóżka i wyciągnął do Irvinga rękę, zrobił to pewnie i zdecydowanie, jak mężczyzna, który potrzebuje przyjaźni, a nie przebaczenia.

Irving uściskał ją i uśmiechnął się z żalem.

— Szkoda, że odchodzisz. Zakład Blitzów już nie będzie taki sam, skoro nie będzie w nim żadnego Blitz.

— Prawdopodobnie będzie lepszy — powiedział Barney. Irving i Hyman wyszli, a Leah podeszła bliżej. Stała i długo na Barneya patrzyła, zanim cokolwiek powiedziała.

— Moishe Teitelbaum powiedział mi, że pozbywasz się udziałów.

Pokiwał głową.

— Czy... czy nie działasz zbyt pochopnie z powodu tego, co wydarzyło się w piątek wieczorem?

— Nie — odpowiedział krótko. — Zawsze chciałem to zrobić. Odkąd Joel wyjechał.

— Zostaniesz w Nowym Jorku?

— A po co? Ze względu na to zaniedbane mieszkanie na Clinton Street? Przez wzgląd na pamięć o matce?

— Dla mnie — powiedziała Leah.

Barney położył rękę na zimnym mosiężnym oparciu. Sypialnia stała się nagle ciasna, duszna i zagracona. Na toalecie matki leżała szczotka do włosów z wplecionymi jej włosami. Wbrew zwyczajom europejskich Żydów, rodzina Feigel nie goliła córkom włosów, kiedy wychodziły za mąż. Biblia nie nakazywała kobietom, żeby nosiły *shaytl*, perukę; co prawda, matka Feigel protestowała, ale poszła na kompromis i zgodziła się, żeby Feigel miała na głowie chustkę.

— Muszę wyjechać — powiedział Barney. — Nic mnie tu nie trzyma, nic dobrego mnie tu nie spotkało.

— Kocham cię — powiedziała Leah prosto z mostu. Barney dotknął jej dłoni. Były małe i zimne.

— Wydaje ci się, że mnie kochasz — powiedział. — Ale czy spotykałaś się z innymi mężczyznami? Nie myślę o tych dobrze ułożonych chłopcach, których twoja matka zapraszała na herbatę. W porównaniu z nimi, każdy wydałby ci się godny miłości.

— Ale ja ciebie kocham — powiedziała zdecydowanym tonem.

Pocałował ją w czoło.

— I tak wyjadę. Chcę być bogaty, Leah. Kiedy wrócę do Nowego Jorku, chcę kupić posiadłość na Third Avenue. Daj mi dwa lata, to wszystko, wrócę i obsypię cię złotem. Oczywiście, jeżeli jeszcze będziesz mnie chciała. Potarła policzki palcami.

— Matka zawsze mi mówiła, że przypominasz tych twardzieli z Bowery.

Złapał ją za nadgarstki. Następnie podniósł jej rękę do góry i ucałował. W jej oczach błyszczały łzy.

— Nie zapomnisz wrócić, prawda? — zapytała. Potrząsnął głową. Rozległo się głośne pukanie do drzwi.

Tym razem był to rabbi Levitz, krępy i grymaśny mężczyzna z rudą brodą i małymi okularami na nosie.

— Proszę wejść, rabbi — zaprosił go Barney. — Rozmawialiśmy o pogrzebie.

Rabbi podniósł do góry rękę.

— Błogosławię was — powiedział. — Tworzycie wspaniałą parę.

Leah odwróciła się, żeby wyjść.

— Być może, pewnego dnia... — powiedziała łagodnie. Rabbi Levitz uśmiechnął się do niej, kiedy szła w kierunku drzwi.

— Właśnie o tym chciałbym z tobą porozmawiać — zwrócił się do Barneya. — Czy nie powinniście pomyśleć o ślubie? Leah Ginzberg jest niezłą partią.

Barney przetarł oczy.

— Jestem zmęczony, rabbi. Właśnie pochowałem matkę. Nie chcę rozmawiać o małżeństwie.

— Chcesz wyjechać, prawda? Moişhe powiedział mi...

— Tak. Myślałem o Kalifornii. Ale znalazłem list od Joela, z Afryki Południowej. Pisze, że kupił farmę i chce, żebym mu pomógł. No cóż, w takim układzie, myślę, że pojedę.

Rabbi jeszcze raz podniósł do góry rękę.

— Powinieneś zabrać ze sobą żydowską narzeczoną. Może właśnie taką dziewczynę jak Leah. Nie możesz przewidzieć, jakiego rodzaju kobiety spotkasz w Afryce Południowej. Może *schwartzeh*?

Barney nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

— W Afryce Południowej są Żydówki, rabbi. Rabbi Levitz wykrzywił się ze wstrętem.

— Może Holenderki. Ale nie *lanclsleit*. Na pewno nie Niemki.

Popatrzyli na siebie w milczeniu.

— No cóż — powiedział rabbi Levitz. — Nie chciałbym zajmować ci zbyt wiele czasu. Chcę ci tylko powiedzieć, że jest mi przykro z powodu twojej matki. Pamiętam Feigel, kiedy była śliczną, wesołą dziewczyną. Ona i twój ojciec byli moimi ulubieńcami.

— Czy moja matka jest w niebie? — zapytał Barney. — Pomimo...

Rabbi pokiwał głową.

— Była opętana przez diabła, *dybbuka*, i próbowała z nim walczyć najlepiej jak umiała. Kłuła się nożem, żeby się go pozbyć. Twoja matka jest w niebie, Barney, razem z twoim ojcem. Była porządną kobietą.

— A ja? — zapytał jeszcze raz Barney. — Czy znajdzie się miejsce w niebie i dla mnie?

— Dlaczego wątpisz? — zapytał rabbi.

— Sam nie wiem. Czasami czuję, że tracę wiarę. Czasami czuję się bardziej Amerykaninem niż Żydem.

— A nie możesz być jednym i drugim? Barney odwrócił wzrok.

— Próbowałem. Ale kiedy pomyślę o swoim ojcu, dziadku i pradziadku... to czuję, że jestem inny.

Rabbi złapał Barneya za ramię.

— To nieprawda — powiedział serdecznie. — Nie jesteś jedynym młodym mężczyzną, z którym rozmawiałem o tych sprawach i który tak to czuje. Twój ojciec odczuwał podobnie. Obciął swoje *payessy*, żeby łatwiej mu było robić interesy z gojami, i dlatego że chciał pokazać, iż przeszłość pozostawił za sobą. Tak to bywa z wszystkimi pokoleniami — pytania, wątpliwości, kim się jest. Niemcem czy Żydem? Amerykaninem czy Żydem?

— W takim razie jaka jest odpowiedź? — zapytał Barney.

— Należy studiować *Torah*, szukać oświecenia w słowach Boga, wykonywać swoje obowiązki z lekkim sercem. Oto odpowiedź.

— I tylko tyle? Rabbi uśmiechnął się.

— Najwybitniejsi mężowie w historii poświęcili swoje życie, aby postępować w myśl tych trzech przykazań, i zmarli niezadowoleni.

Po godzinie skończyła się skromna stypa. Do sypialni weszli Ginzburgowie, aby złożyć Barneyowi kondolencje — pan Ginzburg z żalobną miną podał Barneyowi rękę, a pani Ginzburg, z zaciśniętymi ustami, z pogardą na twarzy, rozglądała się po obskurnej sypialni jak wścibska kura. Kiedy wszyscy goście wyszli, przyszła pani Kowalski, która mieszkała piętro wyżej, aby posprzątać. Pani Blitz zawsze patrzyła na nią z góry — na tę ciemną *Poylish opstairsikeh* — ale pani Kowalski

starannie pomyła kieliszki po winie, wytarła podłogę w kuchni, a później, wycierając ręce w fartuch, zapytała Barneya matczynym głosem, czy nie chce zjeść kolacji.

Barney, który siedział przy stole z ostatnim kieliszkiem wina w ręce, odpowiedział:

— Nie, dziękuję. Teraz muszę przyzwyczaić się do robienia pewnych rzeczy samodzielnie.

Pani Kowalski powiesiła fartuch na drzwiach.

— Powinieneś ożenić się — powiedziała z szerokim uśmiechem. — Cóż to za mężczyzna bez żony?

Moishe kupił od Barneya akcje Blitzów, Krawców, za 2123 dolary, chociaż w gotówce był w stanie wyłożyć tylko 750. Reszta została wpisana na hipotekę jego domu z frontem zrobionym z brązowego kamienia, na Suffolk Street, którego był właścicielem na spółkę ze swoim kuzynem, Avrumem, współwłaścicielem koszernego sklepu mięsnego na Brooklynie. Barney natychmiast wziął 150 dolarów i poszedł do biura żeglugi parowcowej Inmana, aby kupić bilet do Liverpoolu na parowiec „City of Paris”: Następnie wstąpił do Lorda & Taylora i nabył nowy, lekki garnitur w kolorze khaki, dwie pary mocnych, płóciennych wysokich butów, koszule, bieliznę i grube skarpety. Kupił również rewolwer typu Colt Shopkeeper, ponieważ Joel opisał kolonię jako bardzo dziką.

W noc poprzedzającą wyjazd po raz ostatni wspiał się po schodach do warsztatu Blitzów. Wszyscy już poszli do domów, ale kiedy tak stał na głównym przejściu między ławkami, potrafił sobie ich wszystkich wyobrazić i wydawało mu się, że słyszy śmiechy dziewczyn, pobrzękiwanie nożyc oraz głucho uderzenia o stół bel materiałów, rozwijanych przez Hymana. Dotknął dłonią części drewnianej konstrukcji i spróbował przypomnieć sobie, jak wyglądał jego ojciec, pochylony nad wzorami, ubrany w swoją czarną, roboczą kamizelkę z dyndającym złotym łańcuszkiem od zegarka. Matka wysyłała go do niego z tacą przykrytą białą serwetą. Zazwyczaj były na niej *latkes* albo filety z ryby na zimno. Podczas posiłków ojciec brał Barneya na kolana i mówił: „Pewnego dnia, ty i ja, będziemy tutaj razem pracować”.

Drzwi od warsztatu zaskrzypiały. To był Moishe. Ciężko dysząc, podszedł do Barneya i wręczył mu małą paczkę zawiniętą w brązowy papier.

— Byłem u ciebie w domu — powiedział, wycierając czoło. — Pani Kowalski powiedziała mi, że prawdopodobnie będziesz tutaj.

— Co to jest? — zapytał Barney, biorąc do ręki paczuszkę.

— Otwórz, a zobaczysz.

Barney powoli rozwinął paczkę. Wewnątrz było płaskie pudełko, a w nim starannie złożony, nowy szal modlitewny. Barney wziął go w ręce i założył sobie na ramiona.

— Jestem bardzo wzruszony — powiedział. — Dziękuję.

— Od nas wszystkich. Od Irvinga i Hymana również. Chcemy ci życzyć szczęścia, ale nie chcemy, żebyś o nas zapomniał.

— Nie umiałbym o was zapomnieć. Przykro mi, że was zawiodłem.

— Jak to, zawiodłeś? Jesteś młody, musisz myśleć o sobie. Musisz iść za głosem serca. Twój ojciec przyjechał do Ameryki, aby szukać szczęścia. Ty musisz pojechać gdzie indziej.

Barney z powrotem zapakował szal.

— Będzie mi brakowało Clinton Street — powiedział. — Mimo wszystkich problemów.

Moishe gwałtownie złapał go za ramię.

— Clinton Street będzie tęsknić za tobą.

Ranek był zimny, suchy i wietrzny. Barney zamknął za sobą drzwi od mieszkania i wyszedł na ulicę. Z wysiłkiem podniósł starą skórzaną walizę i poszedł Clinton Street w kierunku skrzyżowania

z Hester. Głowę miał opuszczoną, starał się nie interesować widokami, które wkrótce miały należeć do przeszłości. Kiedy dotarł do narożnika, wiatr był tak przeszywający, że musiał podnieść kołnierz.

„City of Paris”, jeden z pierwszych parowców na Atlantyku, otrzymał błękitną wstęgę za najszybsze pokonanie odległości między Liverpooliem a Nowym Jorkiem, płynąc z prędkością trzynastu i pół węzła. Ale podczas rejsu, na którym płynął Barney, przez pierwsze dwa tygodnie listopada 1868 roku, ocean był wzburzony, wyglądał tak, jak gdyby jakaś armia wojska rozbiła na powierzchni szare namioty, które zapadały się, podnosiły i znowu zapadały. Przez sześć dni parowiec rozwijał prędkość nie większą niż osiem węzłów. Barney, skulony na pokładzie drugiej klasy, ubrany w nieprzemakalny płaszcz, nigdy nie czuł się tak źle w swoim życiu. Był chory i zmęczony. Pod koniec pierwszego tygodnia zaczął już wierzyć, że na chwiejącym się pokładzie spędził lata. U góry rozciągało się granitowe niebo. Opętała go myśl, że nigdy nie uda mu się przepłynąć Atlantyku. Aby zabić czas, czytał ilustrowane magazyny albo grywał w karty z siedmioletnim angielskim chłopcem, który wspaniale znosił podróż i wygrywał trzy gry na cztery. Modlił się w kabinie, którą dzielił z pewnym Szkotem w wytartym, tweedowym ubraniu; czasami wspólnie walczyli z wiatrem i falami na pokładzie, trzymając się relingu, chwytając za liny i zataczając się w jakichś dziwacznych *pas-de-deux* na deskach, podczas gdy statek zapadał się w wodzie. Steward, który obsługiwał pasażerów drugiej klasy, żartobliwie określał ich próby jako mozolne, taneczne, chwiejne oraz wymiotne.

Kiedy dobijali do portu w Liverpoolu, mżył deszcz. „City of Paris” miał dwa dni spóźnienia i przez to Barney nie złapał parowca „Rubric”, należącego do towarzystwa White Star, do Lizbony i dalej, płynącego wzdłuż wybrzeży Afryki, do kolonii na Przylądku. W hałaśliwej budzie pokrytej dachem z blachy falistej kupił dla siebie bilet na niemiecki statek „Weser”, który odpływał za cztery dni. Później ciągnąc za sobą walizę, przeszedł się mokrymi, brukowanymi ulicami Liverpoolu, żeby znaleźć jakieś miejsce, gdzie można by się zatrzymać.

Podczas tych czterech dni czuł się podle i samotnie. Zatrzymał się w małym pensjonacie, prowadzonym przez masywnie zbudowaną kobietę, która hałaśliwie rechotała i piła czysty dżin zmieszany z lekką, taną herbatą. Powiedziała Barneyowi, że jej mąż pojechał do Ameryki Południowej i że zawsze jest zadowolona i pełna otuchy. W pierwszej chwili myślał, że „zadowolenie” wynika z jej zamiłowania do trunków, ale kiedy pewnej nocy zapukała do drzwi jego sypialni i zaproponowała wypicie drinka u niej w łóżku, to zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie jest z tych kobiet, które przyjaciel jego ojca określał słowem *jentz*. Zawahał się przez moment, propozycja wydała mu się kusząca. Ciągłe padał deszcz, był tysiące mil od domu i perspektywa spędzenia nocy w kobiecych ramionach była nęcąca. Mogła mieć zbawienny wpływ na jego psychikę. Ale powiedział sobie, że jest z nim Bóg, towarzyszą mu wspomnienia o przyjaciółach i przewrócił się na bok w swoim wąskim łóżku, próbując zasnąć. Syreny parowców grały żalobną kołysankę.

Trzeciego dnia przeszedł się wzdłuż Mersey, obserwując mewy, kołyszące się na szarej, siczonyj deszczem wodzie. Za nim znajdowały się doki, dymią kominy statków żeglugi przybrzeżnej, pocztowo-pasażerskich oraz parowców pływających przez Atlantyk. Dobrze prosperujące, zbudowane z kamienia, wiktoriańskie budynki biur handlowych stały obojętne. Przed nim rozciągało się ponure ujście rzeki, a z boku, hen daleko, mokre, zielone wzgórza Cheshire.

Pomyślał o matce, wyobraził sobie, że idzie za nim, jakieś dwa, trzy kroki z tyłu, tak że nie mógł jej widzieć. Zatrzymał się i odwrócił, ale nikogo nie było. Tylko wilgotne, odbijające fale, kamieniste nabrzeże i rozciągające się u góry deszczowe niebo. Zmówił za nią modlitwę. Chciał ją sobie przypomnieć taką, jaka była przed śmiercią ojca — łagodną i uśmiechniętą. Pragnął zapomnieć



krwawą jatkę w kuchni.

Zjadł posiłek u Weinmana, w małej żydowskiej restauracyjce niedaleko doków. Usiadł przy stole z klejącym się, marmurowym blatem i zamówił tłustą, słoną wołowinę. Właściciel był mrukliwy i nieprzyjazny: Barney nie potrafił zrozumieć jego liverpoolskiego jidysz. Ale następnego ranka, kiedy Barney wypływał, właściciel przegonił go od kasy, gdy chciał zapłacić 9 dinarów za śniadanie.

— Gdziekolwiek byś jechał, będziesz potrzebować pieniędzy — powiedział opryskliwie. — Spływaj, zanim zmienię zdanie, i powodzenia.

„Weser” był parowcem bocznokołowym należącym do linii Bremerhaven. Miał prawie dwadzieścia lat. Barney został ulokowany w nieforemnej kabynie przylegającej do osłony koła łopatkowego. Dzielił ją z portugalskim handlarzem wina, który pocił się obficie i bełkotał przez sen oraz spędzał całe dnie, gapiąc się ponuro w ocean i dłubiąc w zębach wykałaczką. Ale kiedy minęli Zatokę Biskajską i mieli już za sobą dzień zwłoki, naprawiając w Korunie pękniętą łopatkę, „Weser” płynął w kierunku południowym spokojnym morzem ze stałą prędkością siedmiu węzłów i każdego nowego dnia do kabiny Barneya przedostawało się więcej promieni słonecznych przez bulaj, było coraz cieplej i otucha wstępowała w jego serce.

Bocznokołowiec okrążył zamglone wybrzeże Sierra Leone, minął Wybrzeże Kości Słoniowej, Złote Wybrzeże oraz Wybrzeże Niewolnictwa.

Barney godzinami przebywał na pokładzie, nawet w porach posiłków, aby obserwować pokryte mgłą zielone wzgórza zachodniej Afryki, które powoli zostawały w tyle. Niebo było upstrzone pierzastymi chmurkami, ale żółtawego koloru woda, zabarwiona szlamem Nigru, ciągle odbijała promienie słoneczne.

Niedaleko zamku w Cape Coast, „Weser” rzucił kotwicę i zatrzymał się na jeden dzień, żeby uzupełnić wodę w zbiornikach i świeże owoce. Nie było tutaj portu i wszystko musiało być przewożone przez tubylców wiosłowymi łódkami, odważnie prującymi spienione bałwany oceanu. Barney oparł się łokciami o reling i przez całe popołudnie obserwował zbliżające się i oddalające łódki oraz załadunek owoców, które windowano w koszach na pokład. Nad rozrzuconymi dachami domków w mieście górował dziwaczny budynek, otoczony niskimi fortyfikacjami; przypominał trochę zamek, a trochę wiejski dom z wielką, łopoczącą na wietrze flagą Zjednoczonego Królestwa. Barney czuł zapach dżungli w powietrzu i słodki aromat przejrzałych owoców.

— Tak, nareszcie jakieś interesujące miejsce — zauważył Anglik o nazwisku Hunt, który wsiadł na „Wesera” w Lizbonie. Hunt był zawsze nieskazitelnie ubrany, elegancki i całkiem przystojny, ale miał tylko cztery stopy jednaście cali wzrostu. W swoim białym tropikalnym ubraniu wyglądał jak dziesięcioletni chłopczyk z fałszywą brodą. Kiedy spotykali się na pokładzie, zawsze formułował luźne uwagi i kurtuazyjnie kłaniał się przy obiedzie.

— Ten zamek, Elmina Castle, był kiedyś imperium niewolnictwa. Wysyłano stąd tysiące niewolników do Ameryki — byli chwytni przez mieszkańców Ashanti i pędzeni w łańcuchach na wybrzeże. A więc można by powiedzieć, że właśnie tutaj rozpoczęła się wasza wojna domowa, jeżeli dokładnie się temu przyjrzeć.

— Chyba tak — odpowiedział Barney ostrożnie.

— Jesteś Amerykaninem, prawda? — zapytał Hunt.

— Tak. Amerykaninem. I Żydem.

Hunt odchylił klapy płaszcza i wsunął kciuki w kieszenie swojej wspaniałej białej kamizelki.

— No cóż — powiedział, wybuchając śmiechem, czego Barney wcale nie mógł zrozumieć. — Jestem pewien, że wkrótce będziesz musiał o tym zapomnieć.

— A to dlaczego?

Hunt oparł łokcie na relingu. Kolejna łódka dobijała do burty „Wesera” z ładunkiem cytryn.

— Mój drogi przyjacielu, nie dbam za bardzo, kim są moi kumple, ale w Kolonii na Przylądku jest mnóstwo facetów, którzy o to dbają. Nie jesteś Anglikiem, a więc nie będą przejmować się tym, gdzie chodziłeś do szkoły, ale dadzą ci do wiwatu, kiedy dowiedzą się, że jesteś jednym z Wybrańców. Może nie potraktują cię jak kogoś z plemienia Bantu, ale bardzo podobnie. A więc gdybym był tobą — przyjmij przyjacielską radę — zapomnielibym o pochodzeniu.

— Dlaczego mi to mówisz? — zapytał Barney. Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

— Ponieważ cię lubię. Wyglądasz na porządnego gościa.

— Być może nim jestem, ale nie potrafię wyprzeć się swoich ojców tylko po to, aby zaprzyjaźnić się z kilkoma angielskimi bigotami.

Hunt podniósł brew do góry i teatralnie westchnął.

— Problem polega na tym, drogi przyjacielu, że ci angielscy bigoci są tutaj jedynymi ludźmi, nie licząc Holendrów, którzy posługują się kaczym językiem i jedzą tylko ser i szynkę. Oczywiście są i czarni, ale przypuszczam, że nie czułbyś się dobrze, obracając się tylko w ich towarzystwie.

— Mam tutaj brata. Napisał mi, że to kraj wielkich możliwości.

— Bo to prawda! Ale wszystko zależy od punktu widzenia. Możliwości — oczywiście! Ale jakiego rodzaju? Pracuję dla gubernatora, sir Philipa Woodhouse'a, i możesz przyjąć to za pewnik, że Kolonia na Przylądku jest zadłużona na ponad milion funtów. Nie ma tam bogactwa. Pomarańcze, bydło, kilka farm i to właściwie wszystko. Wszyscy klepią biedę. Dlaczego tam jedziesz — nie mam najmniejszego pojęcia.

Barney wyjął chusteczkę, złożył ją na czworo i wytarł pot z twarzy i karku. Zielone płótno zawieszane nad pokładem dla pasażerów drugiej klasy przypuszczalnie miało chronić przed słońcem, ale zamiast tego chroniło przed ożywczą bryzą i było pod nim pięć razy goręcej. Wyglądało na to, że „Weser” był gotowy do dalszej podróży. Wszystkie łódki odpłynęły, pokład drżał na całej długości, zaczęto gromadzić parę.

— Chcę zacząć wszystko od nowa — powiedział Barney. — Tylko dlatego tu przyjechałem.

— Postąpiłeś słusznie — powiedział Hunt. — Ale najpierw musisz poznać ludzi. Posłuchaj, mogę ci pomóc. Zabrać cię do Oranjerivier z kimś godnym polecenia — przedstawić panu Pellingowi z banku. Wy, żydowscy chłopcy, nie pijecie, prawda?

— Dlaczego pytasz?

— Bez powodu. Zastanawiałem się jedynie, czy nie poszedłbyś ze mną do mojej kajuty na kieliszek brandy. Znakomity gatunek, francuska. Kupiłem ją w Lizbonie.

— Nie, dziękuję — odpowiedział Barney.

— A może partyjkę remika? Nie na pieniądze, oczywiście, jedynie dla zabawy.

— Nie wiem — zawahał się Barney. Nie chciał być niegrzeczny. — W porządku — powiedział. — Na pół godzinki.

Hunt wyprostował się i przeczesał brodę palcami.

— Doskonale. Jestem zachwycony. Przyjdź za dziesięć minut. Kajuta 23C, przy prawej burcie. Zapukaj w ten sposób. — Pokazał, jak puka listonosz do drzwi, uderzając palcem w reling. Rat-ta-ta-rat-tat-rat.-tat!

Barney obserwował Hunta, jak oddalał się, i nagle odwrócił się twarzą do relingu. Koła łopatkowe „Wesera” zaczęły się obracać, uderzając w brązową wodę. Syrena zagwizdała przeszywająco, dźwięk odbił się echem od wybrzeża. Barney zamyślił się głęboko, a „Weser” pruć wody Zatoki Gwinejskiej, płynąc w kierunku następnego miejsca postoju, Port-Gentil, który

znajdował się mniej niż jeden stopień na południe od równika, w Gabonie. Dotknął jarmułki na czubku głowy, jak gdyby po raz pierwszy ją tam odkrył.

Po dziesięciu minutach otworzył lakierowane drzwi i zszedł na pokład C, gdzie znajdowały się koje pasażerów drugiej klasy. Choć wszystkie bulaje były otwarte, otwory wentylacyjne również, panowała tu straszna duchota. Wytarł czoło z potu i poszukał kajuty 23C.

Kiedy w końcu ją znalazł, zapukał. Hunt zawołał:

— Wejść! — I Barney ostrożnie otworzył drzwi.

Bulaj był zasłonięty zieloną zasłonką z płótna, a niewielką kajutę oświetlała mała lampka marynarska. Składany, przyczepiony do ściany stół był rozłożony, a na nim leżała talia kart, stała kryształowa karafka z brandy, karafka z wodą oraz dwie szklanki. Hunt stał w narożniku, mając na sobie ciemnoniebieski płaszcz kąpielowy. Przeglądał się w lustrze wiszącym niedaleko bulaja i nacierał policzki lawendową wodą.

— Czuję się osłabiony — powiedział, nie odwracając się. — Nie dziwota, że zachodnią Afrykę nazywają Grobem dla Białego Człowieka. Ten upał! A przy tym na wszystko możesz zachorować. Na świerzb, malarię, ospę, możesz zarazić się glistą. Nie masz nawet czasu pomodlić się do Boga, żebyś niczego nie podłapał — a już to masz!

Niespodziewanie odwrócił się. Miał gładko przylizane włosy i zaróżowione od pocierania policzki.

— A więc, mój wybrany przyjacielu, co mi powiesz? — zapytał.

Barney spojrzał na Hunta z niedowierzaniem. Widział mężczyzn poprzebieranych za kobiety, jak paradowali na Broadwayu, a tuż po jego *Bar Mitzuah* ojciec mówił mu coś o nadzwyczajnych grzechach cielesnych. Ale Hunt przeobraził się z wytwornego, małego Anglika w coś zupełnie dziwnego. Przypominał złowrogiego karła z przypudrowaną brodą.

— Czy nie uważasz, że wspaniale wyglądam? — zapytał Hunt. — Kończyłem Winchester. Oczywiście to nie to samo co Eton, ale nie było źle. Kwiat znakomitej młodzieży, niewinnej i pełnej nadziei. Duma Imperium Brytyjskiego.

Barney stał w drzwiach i nie ruszał się.

— Przepraszam — powiedział. — Wydaje mi się, że nie powinienem wchodzić.

— Ależ musisz! Przygotowałem już karty! I jestem pewien, że namówię cię na szklaneczkę brandy.

Barney uśmiechnął się niewyraźnie. Przeżył szok, kiedy zobaczył Hunta w makijażu i niebieskim płaszczu kąpielowym. Ale teraz, właściwie nie wiedząc dlaczego, poczuł do niego sympatię, a nawet serdeczność, chociaż wiedział, że nikt go nie zmusi, żeby wszedł do oświetlonej na zielono kajuty.

— Nie czuję się zbyt dobrze — powiedział Barney. — To z powodu upału. A może to przez rybę, którą jedliśmy na obiad?

— Mój drogi przyjacielu, jeżeli źle się czujesz, powinieneś się położyć. Proszę, oto moja koja.

Barney podniósł do góry rękę.

— Pójdę do swojej kajuty. Bardzo ci dziękuję.

Hunt podszedł bliżej. Zmarszczył się jak żona, która zaczęła podejrzewać, że spotkanie w interesach męża odbyło się w zaciemnionym pokoju hotelu St. Nicholas.

— Na tym polega cała trudność — powiedział podnieconym głosem. — Nie potrafimy zrozumieć, że ktoś może się znaleźć... — Zawahał się i powiedział: — ...w kłopotliwej sytuacji. — Zaakcentował to tak, jak gdyby znalazł odpowiedź na zagadkę, nad którą zastanawiał się przez cały dzień.

Barney powiedział:

— Myślę, że wiem, co masz na myśli.

— Tak? — zawołał Hunt, rozpromieniając się.

— Cóż... może nie do końca. Ale musisz zrozumieć, że to właśnie ja znalazłem się w kłopotliwej sytuacji. Moja kłopotliwa sytuacja polega na tym, że nie chciałbym ciebie obrazić i nie mogę przyjąć twojego zaproszenia. Przykro mi.

Usta Hunta zacisnęły się. Widać było po jego twarzy, że przeżywa różne gwałtowne emocje. Teatralnym gestem odrzucił poły płaszcz kąpielowego i obnażył płaską klatkę piersiową z kępką włosów pośrodku oraz zwisający penis, purpurowego koloru. Spojrzał na Barneya wyniośle i wyzywająco, próbując sprowokować go, żeby powiedział, czy jest pod wrażeniem, czy też nie.

Barney poczuł pustkę w głowie, ukłonił się, mówiąc:

— Przepraszam — i odwrócił się.

— Mój drogi przyjacielu! — zawołał Hunt.

Ale Barney oddalał się szybkim krokiem korytarzem drugiej klasy. Dotarł do schodów i wyszedł nimi na pokład spacerowy. Przystanął na chwilę w cieniu markizy, aby zebrać myśli, wpatrując się w morze koloru ochry i słuchając miarowych uderzeń łopatek.

Podszedł do niego steward w obcistej, przepoconej tropikalnej marynarce i zaproponował sok ananasowy z wodą sodową.

— Dziękuję — powiedział Barney i poszedł do swojej małej, ciasnej kajuty, żeby położyć się na godzinę lub dwie i poczytać.

„Weser” wpłynął do zatoki Table w czwartek, 3 grudnia 1868 roku. Słońce błyszczało na krawędziach góry Table. Na południowej półkuli było lato i chociaż dopiero była ósma, dzień był ciepły i wiał wiaterek. Barney tłoczył się przy relingu razem z innymi pasażerami drugiej klasy.

W momencie gdy „Weser” wchodził w cień olbrzymiej góry z płaskim szczytem, syreny zawyły przeciągle. Było już tu pięć czy sześć statków, a między nimi dwa klipry herbaciane wracające do Anglii z Bombaju. Załoga jednego z nich przypatrywała się „Weserowi” z zaciekawieniem. Wszyscy stali, a ich głowy z tyłu zdobiły kitki. Kiedy zauważyli młodą, piękną dziewczynę, która chowała się pod parasolem na pokładzie pierwszej klasy, zaczęli machać rękami i przeraźliwie gwizdać.

Kiedy „Weser” rzucił kotwice, większość pasażerów poszturchując się i przekrzykując, pośpieszyła do swoich kajut, aby dokończyć pakowanie. Barney, który już dawno spakował skórzaną walizę, został na pokładzie i nie niepokojony przez nikogo podziwiał Kapsztad.

U podnóża góry Table, która oświetlona słońcem błyszczała jak złoto, stały domy, kościoły i biura otoczone zielonymi dębami i morwami. Większość budynków wyglądała na holenderskie — były pomalowane na biało, z płaskim frontem, z ładnymi strzechami pokrytymi słomą — chociaż Barney zauważył również kilka nowszych budynków zbudowanych w ciężkim, przesadnym stylu brytyjskiego imperium oraz siedemnastowieczny, kamienny zamek. Nad miastem sterczały dwie wysokie wieżyczki kościołów — jedna przypominała olbrzymi tort weselny, a druga — prosta i strzelista — należała do holenderskiego Kościoła Zreformowanego.

Chociaż wiatr niósł silny zapach soli, Barney wyczuwał aromat wydzielany przez kwiaty i inne rośliny.

— No cóż, nareszcie w domu — powiedział głos obok niego. To był Hunt w swoim przepiśmym szarym garniturze. Pachniał lawendą.

Barney pokiwał głową. Tak naprawdę, to nie wiedział, co powiedzieć. Sięgnął do kieszeni swojej letniej marynarki, świeżo wyprasowanej przez Chińczyka, obsługującego pralnię na „Weserze”, i wyjął druciane okulary słoneczne z cienkimi, czarnymi soczewkami, które starannie

zaczepił za uszy.

Hunt kaszlnął nerwowo.

— Groźnie w nich wyglądasz. Przypominasz faceta, którego poznałem w Kaffraria. Strzelał dla sportu do Murzynów.

Barney zdjął okulary.

— Wiesz... — zaczął Hunt. — Chcę tylko powiedzieć, jak mi przykro z powodu tego, co się wydarzyło. To drażliwa sprawa. Ktoś inny na twoim miejscu złożyłby meldunek kapitanowi, a nawet gubernatorowi. To bardzo miło z twojej strony.

Barney patrzył przed siebie, na wybrzeże. Do „Wesera” zbliżały się cztery wiosłowe lichtugi, prując dziobami fale.

— Nic wielkiego się nie stało — odpowiedział.

— W każdym razie doceniam to — powiedział Hunt. — I jeżeli uda ci się o tym zapomnieć, to jestem gotów tobie pomóc. Załatwię ci przewodnika do Oranjerivier, z tragarzem, oczywiście; przedstawię cię panu Huttonowi z banku Standard. To najmniej, co mogę dla ciebie uczynić.

Barney spojrział na Hunta. A potem wyciągnął rękę. Po raz pierwszy od czasu, kiedy Joel zostawił mu na karku cały interes Blitzów — a może nawet od dnia, kiedy umarł jego ojciec — poczuł się pewnie i spokojnie. Nawet nie wiedział dlaczego. Może dlatego, że ułożyły się stosunki z Huntem i to w taki sposób, w jaki nigdy nie ułożyły się z matką, Moishem czy Davidem Steinem.

— W Księdze Rodzaju napisano: Przebaczaj grzechy swoim braciom — powiedział Barney Huntowi.

Hunt podał mu rękę, a potem odsunął się krok do tyłu, aby pokazać, że nie zamierza spoufalać się bez zaproszenia.

— Znakomicie — ucieszył się Hunt. — Znajdę ci miejsce, gdzie będziesz mógł zatrzymać się na noc, a jutro poszukam przewodnika.

W ciągu godziny znaleźli się na brzegu. Na kamienistej plaży, brodząc po kolana w pianie, czekali czarni tragarze, żeby przenieść ich walizki i kufry z lichtugi na plac, gdzie stały różnego rodzaju i koloru wózki zaprzęgnięte w woły, omnibusy ciągnięte przez konie oraz inne pojazdy. Na Hun-ta czekał podniszczony rządowy powóz zaprzęgnięty w jednego konia. Hunt z entuzjazmem zaproponował Barneyowi przejażdżkę do centrum miasta.

— Po Portugalii, Przylądek zawsze zaskakuje mnie swoją cywilizacją — powiedział Hunt, kładąc nogę na nogę, kiedy powóz wiozł ich suchymi, pociętymi koleinami drogami. — Może tu nie być lizbońskich restauracji czy lizbońskiej opery, czy lizbońskiego handlu. Ale, na Boga, wiesz, gdzie jesteś. Wszystko toczy się tutaj według określonego porządku.

— Myślę o tym, co powiedziałaś mi wcześniej, że Kolonia na Przylądku jest bardzo biedna — powiedział Barney.

— To prawda — pokiwał głową Hunt. — I to sprawia, że życie tutaj jest prostsze. Nie ma mieszkańców niepewnego pochodzenia z aspiracjami, żeby mieszać się do życia towarzyskiego białych. Nie ma czarnuchów, wobec których trzeba być grzecznym i uprzejmym. Pewnie, jest tutaj kilku kłótliwych Holendrów, ale ci naprawdę najgorsi wynieśli się do Transvaalu i do Orange Free State.

— Nie ma Żydów? — zapytał Barney. Hunt skrzywił się, jakby go zabolął ząb.

— W każdym razie niewielu — powiedział. — Niewielu.

Wjechali z turkotem na plac Ratuszowy, szeroki, zakurzony, okolony okazałymi, białymi, holenderskimi fasadami domów — niektóre z nich podparte były jońskimi kolumnami i udekorowane girlandami rzeźbionych owoców i kwiatów. Na placu tłoczyli się ludzie i zwierzęta, mniej więcej w

równej proporcji. Niedaleko powozu stanął staruszek z małpą na łańcuchu i z holenderską katarynką. Ryk wołów, gdakanie trzepoczących skrzydłami kurcząt, krzyki gawiedzi układały się w jakąś kakofoniczną symfonię.

Kręciło się tam kilkudziesięciu żołnierzy brytyjskich w tropikalnych mundurach z modnymi, sztywnymi wąsikami i kozimi bródkami, i prawie tyle samo żeglarzy z bokobrodami, w kapeluszach żeglarskich z szerokimi rondami. Wokół nich tłoczyli się pazerni na każdego szylinga sprzedawcy uliczni, w ostro zakończonych kapeluszach ze słomy; trzymali przed sobą tace zawieszane na ramionach, na których znajdowało się wszystko — od słodyczy po żywy drób. A przez środek placu, tanecznym krokiem, z godnością, jaką nie byli w stanie poszczycić się znani Barneyowi Murzyni z Ameryki przez generacje gnębieni niewolą, szły kobiety Bantu w jaskrawych chustach na głowach i kwiecistych sukniach ze szkółki misyjnej, które okrywały je od stóp do głów z wiktoriańską skromnością, ale i tak nie mogły powstrzymać pełnego triumfu tańca ich bioder oraz skomplikowanego tańca biustów. Prawie każda z nich niosła pod pachą paczkę zawierającą różnorodne towary, takie jak pomarańcze, figi, ryby, zielenina, a na dodatek — znudzonego dzieciaka.

Pojazd zatrzymał się pod holenderskim domem krytym słomą. Budynek nazywał się Karczma Pod Strzechą. Czarny woźnica zszedł z kozła, aby otworzyć drzwi i rozłożyć schodki. Hunt powiedział:

— Tutaj możesz przenocować. Pytaj o pana Shearera — jest właścicielem — i powiedz mu, że jesteś gościem rządowym. Jutro, w południe, spotkamy się w jadalni Clarka na Adderley Street.

Woźnica wziął walizę Barneya i poszedł w kierunku frontowych drzwi, otworzył je i postawił ciężar w chłodnym korytarzu, którego ściany pokryte były czarno-białymi płytkami. Następnie wyszedł na zewnątrz. Barney podszedł do mahoniowego biurka, nad którym w nierównym szyku wisiały zegary pokazujące czas w Londynie, Moskwie, Nowym Jorku i Hadze. Spojrzał na brzydki, wykonany z pozlacanego brązu zegar, który uzmysłowił mu, że w Nowym Jorku jest piąta rano. Spróbował wyobrazić sobie, jak teraz wygląda Clinton Street — ciemna, mroźna i pokryta grubym śniegiem.

Urzędnik z małpią twarzą obserwował go z zaciekawieniem, a następnie bez pośpiechu zapytał:

— Tak?

— Ach, przepraszam — powiedział Barney. — Proszę o pokój na jedną noc. Pojedynczy, to wszystko.

— Czy to cały pański bagaż? — zapytał urzędnik, spoglądając przez ladę na walizę Barneya jak gdyby to był mały, niezbyt mile widziany pies.

Barney skinął głową. Urzędnik podrapał się za uchem końcem pióra i zaczął hałaśliwie przewracać strony księgi meldunkowej.

— Mam pokoik na górze, z tyłu. Trochę ciasny i trochę za gorący, bo zaraz pod dachem.

— Jestem gościem rządu — zaryzykował Barney. Urzędnik przestał się drapać i spojrzał na niego ze współczuciem.

— Och, jeżeli tak, to muszę pana prosić, żeby zapłacił pan z góry.

— Czy zastałem pana Shearera? Właściciela?

— Dobry Boże, nie. Pana Shearera nigdy nie ma w Kapsztadzie w środku lata. Pojechał do Wellington, dla zdrowia.

Nie spiesząc się, Barney zapłacił za pokój, a szczerzący zęby Bantu w za dużych białych spodniach poszedł przodem krętymi schodami, żeby pokazać mu drogę na najwyższe piętro. Idąc korytarzem, Barney zauważył kolorową litografię królowej Wiktorii i księcia Alberta, którym Bantu z zadowoleniem zasalutował.

Urzędnik miał rację. Pokój Barneya był maleńki i tak gorący, że Barney zaczął się pocić, jak tylko przekroczył próg. Ale był czysty, z białymi ścianami i żółtą podłogą z szerokich desek. Na środku stało żelazne łóżko oraz krzesło. Natychmiast podszedł do okna i otworzył je na oścież. Okno wychodziło na mały, ogrodzony ogródek, z pięknymi bugenwillami, zacieniony dzięki rosnącemu tam drzewu, którego nazwy nauczył się później — *Huil Boerboonboom*.

Za ogrodem i za rozrzuconymi starymi holenderskimi domami rozciągały się pagórki u stóp góry Table, a za nimi sama góra. Nad jej płaskim, równo ściętym szczytem, na błękitnym niebie wisiały pufiaste kumulusy.

Barney usiadł na krawędzi łóżka. Powiedział *broche* za przepiękną scenerię Kapsztadu oraz *broche* za pokój, w którym mieszkał, i *broche* za szczęśliwy przyjazd. A potem podniósł głowę i zamknął oczy. Zaczął wdychać zapach kwiatów, ciepła i owoców. Poczł się tak, jak gdyby przedwcześnie znalazł się w raju.

Tego wieczoru posiłek zjadł samotnie w ogrodzie, pod szeleszczącymi liśćmi drzewa *Huil Boerboonboom*, przy świecach. Podano mu dziwną smażoną rybę, którą kelner nazywał *snoek*. Popijał winem owocowym, a na koniec zjadł kilka skibek chleba posmarowanych *moskonfytem*, zawiesistym syropem z winogron. Od stolików obok dochodziły go głosy farmerów, mówiących z ostrym brytyjskim akcentem, rozmawiających o morelach, bydło i słabej kondycji ekonomicznej Kolonii. Suchy Szkot z rzadką, rudą brodą siedział rozwalony na krześle i głośno perorował:

— No cóż, według mojego rozeznania, sir Philip powinien udać się w daleką podróż i poszukać jeszcze jednego diamentu. Kilka diamentów takich jak Eureka i przynajmniej stać byłoby go, żeby odmalować Dom Rządowy.

Jeden z jego kompanów pociągnął spory łyk whisky i potrząsnął głową.

— Nie ma szans, McFee. Pamiętasz tego faceta o nazwisku James Gregory — tego, którego przysłano z Londynu, od Emanuela? Przesłał w tym miesiącu raport do „Magazynu Geologicznego”, w którym napisał, że nie ma najmniejszej szansy na znalezienie diamentów w rzece Oran-ge, ani nigdzie w pobliżu. Nazywa to oszustwem. Południowoafrykańską bańką mydlaną.

— Ale jeden diament był — zauważył mężczyzna o nazwisku McFee. — A jeżeli był jeden, to dlaczego nie miałyby ich być więcej?

— To był fuks — wtrącił dogmatycznie następny farmer. — Jeżeli znajdziesz suwerena na placu Riebeecka, to nie zaczniesz rozkopywać ulicy, żeby znaleźć więcej, prawda? Gregory twierdzi, że Eureka został przypuszczalnie przyniesiony i upuszczony przez strusia.

— I gdzie twój optymizm? — zapytał McFee. — Tylko pomyśl. Facet znajduje spory diament i jest zabezpieczony do końca życia.

— Czy zamierzasz pojechać nad rzekę Orange, aby zacząć szukać? — zapytał przyjaciel.

McFee podniósł do góry szklankę.

— Nie ja, Bernardzie. To dla mnie za ciężka praca. A poza tym — i tak nie wiem, jak taki diament wygląda, nawet gdybym się na niego natknął. .

Tej nocy Barney leżał na złożonej pościeli pod moskitierą i myślał o tym, co powiedział McFee. Jeden spory diament. Tylko jeden spory diament. Na zewnątrz, w upalnej, aromatycznej ciemności, goście pili i śmiali się. Ktoś przez chwilę grał jakąś zaimprovizowaną melodię na skrzypcach. Barney spał i śnił o spotkaniu z Joelem. Z jakiegoś powodu Joel wcale na niego nie zwracał uwagi i Barney obudził się wczesnym rankiem, czując, jak mu włosy stają dęba na głowie.

Jadalnia Clarka była ulubionym miejscem spożywania posiłków przez młodych agentów biur żeglugowych i pracowników bankowych, zatrudnionych w okazałych, zbudowanych z kamienia, białych budynkach na Adderley Street. U Clarka podawano całkiem smaczne pierogi z wołowiną,

tluczone ziemniaki, stek z antylopy i ostro przyprawionego, smażonego *snoeka*. Wszędzie siedzieli głośni, młodzi mężczyźni z ogorzałymi twarzami, mówiący z akcentem brytyjskich szkół publicznych. Nad głowami kręcił się wiatrak, prując ciężkie, gorące powietrze, którego powiew poruszał liśćmi aspisu, znajdującego się na ścianach jadalni.

W drzwiach pojawił się Hunt, mając na sobie eleganckie białe ubranie oraz słomkowy kapelusz na głowie. Był w towarzystwie ponurego Holendra, który na pierwszy rzut oka, ze względu na wypłowiałą, szarą lnianą marynarkę i znoszone, wysokie buty, wyglądał na rasowego przewodnika.

— Widzę, że trafiłeś bez żadnych problemów. — Hunt uśmiechnął się, podając Barneyowi rękę. — Oto twój przewodnik, Simon de Koker. Panie de Koker — oto pan Barney Blitz z Nowego Jorku.

Simon de Koker zdjął swój sflaczały kapelusz i dokładnie wytarł pot z czoła serwetą leżącą na stole. Miał typową, długą holenderską twarz, długie bokobrody i jasne, wypłowiałe od słońca oczy. Kąciki ust opuszczone były ku dołowi — nie wiadomo, czy z powodu pesymistycznej natury, czy dlatego, że cierpiał, czy dlatego, że był kalwinistycznym cynikiem — tego Barney nie potrafił odgadnąć. Później Barney zwykł mówić, że kiedy Bóg dawał dzieciom uśmiech,

Simonowi de Kokerowi przez pomyłkę dał uśmiech odwrócony do góry nogami.

— Chcesz się udać do Oranjerivier? — zapytał Simon de Koker, z wyraźnym holenderskim akcentem.

— Mieszka tam mój brat. Ma tam farmę.

— Żyd, który ma farmę w Oranjerivier? Barney nalał Huntowi wina do szklanki.

— Tak. Nazywa się Joel Blitz.

Simon de Koker pociągnął spory łyk wina. Powoli pokręcił głową.

— Znam wszystkie farmy w Oranjerivier. Nie ma tam nikogo o nazwisku Blitz. I nie ma tam żadnych Żydów, to wiem na pewno.

Barney sięgnął do kieszeni i wyjął z niej list od Joela.

— Napisał do mnie. Popatrz, tu jest naszkicowana mapa, jak się tam dostać z samego Oranjerivier.

Holender wziął mapkę i zaczął ją studiować. Na nosie osiadły mu kropelki potu. W końcu oddał Barneyowi list i powiedział:

— Znam tę farmę. Nazywa się *Derdeheuvel* — trzecie wzgórze. Kiedyś należała do *uoortrekera* o nazwisku van Diedrich. A potem van Diedrich umarł i jego córka sprzedała farmę. Nie wiem komu. Teraz właścicielem jest facet z Portugalii. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Nazywa się *Monsaraz*.

Barney opadł na krzesło. Nagle poczuł się osamotniony. Przeanalizował już wcześniej wszystko, o czym napisał mu Joel w liście. Wiedział z detalami, co może go spotkać, gdy zamieszka w Kolonii na Przylądku. Joel poinformował go o upałach w lecie i zimowych mrozach oraz o Hotentotach. Ale Barney nigdy nie przypuszczał, nawet przez chwilę, że może nie znaleźć Joela.

— Posłuchaj — przerwał milczenie Hunt. — Powinniśmy zamówić obiad. Co zjesz, Barney? Polecam ci *snoeka*.

— Jadłem *snoeka* na kolację — odpowiedział Barney. — Spróbuję stek z antylopy.

— Czy stek z antylopy jest koszmernym posiłkiem dla Żyda? — zapytał Simon de Koker.

Barney skinął głową.

— Antylopy mają rozszczepione kopyta i przeżuwają pokarm. Uczyłem się o tym w szkole. Być może kucharz nie zrobi jej według ścisłych zasad dietetycznych, ale kiedy nie ma wyjścia, wolno nam jeść potrawy, które są *tmyfne*. W przeciwnym razie, na świecie byłyby miliony głodujących Żydów. Do stolika podszedł kelner Malaj i przyjął zamówienie. Hunt poprosił o następną karafkę wina i



trochę chleba. Siedział zmarszczony, popijał wino i zagryzał chlebem.

— Czy w dalszym ciągu chcesz wyruszyć do Oranjerivier? — zapytał Barneya. — To około siedmiuset mil stąd, konno albo na wózku ciągnionym przez woła. Najwcześniej dotrzesz tam za pięć tygodni. Ale możesz podróżować nawet dwa miesiące. I co zrobisz, jeśli nie znajdziesz brata?

— A mam jakiś wybór? — zapytał Barney. — Nie znajdę tutaj żadnej pracy. Jestem krawcem. Do tego niezbyt dobrym.

— Ile masz pieniędzy? — zapytał Simon de Koker.

— Około dziewięćdziesięciu funtów — odpowiedział Barney.

— Ach tak — mruknął Simon de Koker żałośnie. — Za te pieniądze uda ci się przeżyć jakieś sześć, siedem miesięcy. Znam farmera, który może wynająć ci *solder*, strych.

— Ale jak znaleźć brata?

Simon de Koker wzruszył ramionami.

— Jeżeli umarł na malarię, nie będziesz miał problemów, żeby znaleźć jego grób. Jeżeli jest pijakiem, znajdziesz go w barze Maloneya, niedaleko Dutoitspan, to więcej niż pewne. Ale jeżeli sprzedał to, co miał, to możesz go już nigdy nie znaleźć. To zależy.

Barney wziął z talerza skibkę chleba, urywał kawałki i wkładał sobie do ust.

— Spróbuję go znaleźć — powiedział. — Postarajcie się to zrozumieć.

— Oczywiście — odparł Hunt. — Ale co zrobisz, jeżeli on nie żyje albo wyjechał, nie zostawiając żadnej wiadomości? To niezbyt gościnna kraina. Tych, których nie wykończy malaria, wykończą czarnuchy.

— Czy wiesz coś na temat diamentów? — zapytał Barney. — Wczoraj podsłyszałem kilku facetów, którzy mówili, że jeżeli uda ci się znaleźć porządnej wielkości diament nad rzeką Orange, to będziesz urządzony do końca życia.

Simon de Koker roześmiał się głośno, chociaż usta miał ciągle wygięte w podkówkę. Słuchanie jego śmiechu było prawie tak przyjemne jak wsadzanie palca między drzwi.

— Diamenty? — zawołał. — Był tylko jeden diament, Eureka, znaleziony kilka lat temu na brzegu Orange przez faceta o nazwisku Schaltz van Niekirk. Ale to był przypadek. Zbieg okoliczności. Prawdopodobnie diament przebył tysiące mil przeniesiony przez jakiegoś zwierzaka, może strusia. W ubiegłym roku pokazano go na wystawie w Paryżu. Byłbyś głupcem, gdybyś liczył na to, że znajdziesz jeszcze jeden.

— Ile będę musiał tobie zapłacić za podróż do Oranjerivier? — zapytał Barney.

Kelner przyniósł jedzenie — smażonego *snoeka* dla Hunta i pieróg dla Simona de Kokera. Malaj postawił stek z antylopy przed Barneyem i zapytał, czy przynieść *moskonfyt*. Barney potrząsnął głową.

Simon de Koker powiedział:

— Zabiorę cię do Oranjerivier i znajdę ci zakwaterowanie za dziesięć funtów, plus żarcie dla wołu, woda — trzy pensy za bukłak i trzydzieści szylingów za tragarza.

— Jesteś głupcem, że chcesz tam jechać — powiedział Hunt, krojąc rybę. — Znalazłbym ci bez trudu pracę tutaj, w banku albo nawet w siedzibie rządu.

Barney z przyjemnością wahał aromatyczny zapach antylopiego mięsa. W tamtych czasach Great Karoo obfitowała w antylopy.

— Cóż — powiedział. — Byłem głupcem, że zrezygnowałem ze swojego zakładu w Nowym Jorku i przyjechałem tutaj, żeby spotkać się z bratem. Ale byłbym większym głupcem, gdybym nie zrobił co w mojej mocy, żeby go odnaleźć. Simonie de Koker, jeżeli zechcesz być moim przewodnikiem, wyruszam do Oranjerivier.

— Okay, zaprowadzę cię tam — powiedział Simon de Koker, odkrawając kawałek pieroga.

Simon de Koker, mimo żalostnej twarzy, okazał się sympatyczniejszy, niż to się na początku wydawało. Rankiem w dniu wyjazdu czekał na Barneya przed Karczmą Pod Strzechą, ubrany w czerwoną koszulę w kratę oraz olbrzymi biały kapelusz, i palił glinianą fajkę. Na wozie zaprzęgniętym w woła leżał jego kufer podróżny wykonany ze skóry nosorożca oraz wypchany worek jutowy, który wyglądał, jak gdyby upchnięto w nim pięciu małych chłopców.

— A gdzie tragarz? — zapytał Barney, mocując się ze swoją walizą.

— Będzie później — odparł de Koker. — Na razie jedziemy do Paarl pociągiem.

Linia kolejowa z Kapsztadu do Wellington o długości sześćdziesięciu trzech mil była jedyną kolonialną linią kolejową, nie licząc siedmiomilowej trasy łączącej Durban, główne miasto Natalu, z wybrzeżem Oceanu Indyjskiego. Wnętrza kraju nie przecinały linie telegraficzne, a wszelka poczta i artykuły żywnościowe przewożone były do Transvaalu i do Orange Free State wozami zaprzęgniętymi w woły. Worek jutowy Simona de Kokera zawierał listy i paczki dla brytyjskich i holenderskich farmerów. Niektóre przesyłki ofrankowane były rok temu.

— Ci holenderscy osadnicy są z żelaza — powiedział Simon de Koker, kierując wóz na pobrużdżony koleinami plac przed budynkiem kapsztadzkiej stacji kolejowej w holenderskim stylu. — Większość z nich przebyła tysiąc mil, a może i więcej, a co musieli przeżyć w górach i na pustyni, to jeden Bóg raczy wiedzieć. Nam też nie będzie lekko, ale trzydzieści lat temu było tam piekło na ziemi. Nawet teraz klepią biedę. Ale przynajmniej nie muszą oglądać Brytyjczyków, a to już jest dużo.

Mała lokomotywa parowa z trudem ciągnęła wagony pod górę. Ocean oddalał się, u góry rozciągało się jaskrawe niebo. Simon de Koker siedział ze skrzyżowanymi ramionami i nogami, obserwując drzewa, jaskrawo kolorowe krzewy i skalne krawędzie. Palił swoją fajkę. Oprócz nich, w przedziale było jeszcze dwoje pasażerów: holenderska dziewczyna z wielkimi, bladymi dłońmi, w niebieskim, letnim kapeluszu, który rozmiarem był zbliżony do koła od wozu, oraz podniecony, dwudziestopięcioletni Anglik, który obficie się pocił i nerwowo dotykał swojej kolekcji siatek do łapania motyli.

Barney zapytał Simona de Kokera:

— Czy uważasz, że jestem głupcem, skoro próbuję znaleźć swojego brata?

De Koker wzruszył ramionami i odpowiedział, nie wyjmując fajki z ust:

— Jeżeli twój brat żyje i ty go znajdziesz, to kto ośmieli się powiedzieć, że byłeś głupcem? Ale jeżeli umarł i wszystkie jego pieniądze przepadły i jeżeli znajdziesz tylko jego grób...

— Śnił mi się pierwszej nocy, kiedy tutaj przyjechałem — powiedział Barney. — I śnił mi się żywy.

— W takim razie — zaczął de Koker ze smutną twarzą — twoje szansę poważnie wzrosły.

Paarl było niewielką osadą zabudowaną domkami w stylu holendersko-przyłądkowym. Było tam kilka farm usytuowanych w kwiecistej, górzystej okolicy. Powietrze było tutaj świeższe, a orzeźwiający suchy wiaterek przynosił zapach lata i kwitnących roślin. Kilka mil stąd, w Wellington, właściciel Karczmy Pod Strzechą spędzał swoje letnie wakacje. Barney i Simon de Koker wygramolili się z pociągu i przeszli przez mały placzyk. W cieniu rosnących w rzędzie drzew morwowych stał wóz zaprzęgnięty w woła, który lejcami był przywiązany do barierki. Z tyłu wozu spał Murzyn; wystrzępiony kapelusz zsunięty miał na oczy, a jego długie, gołe nogi oblepiały muchy.

— Aaa, przekłęci — powiedział Simon de Koker bez emocji. — Znowu dali mi Donalda. Donaldzie, obudź się, ty leniwy czarnuchu! Wiesz, dlaczego nazwali go Donald? Jego prawdziwe imię brzmi Simkwe. Ale pewien cholerny Szkot, który wynajął go do przejścia przez Great Karoo,

zwracał się do niego per Donald. Kiedy tylko Simkwe powiedział: „Ja Simkwe”, ten cholerny Szkot poprawiał go: „Jesteś Donald, Donald, i nigdy o tym nie zapominaj, Donaldzie”.

Donald podskoczył na wozie.

— Już nie śpię, sir! — zawołał.

— Miło mi to słyszeć — powiedział Simon de Koker. — Idź do pociągu i przynieś nasze bagaże. Pośpiesz się.

— Dobrze, sir! — krzyknął Donald i pobiegł w kierunku dworca. Jak na Murzyna był za bardzo krępy, a jego skóra była koloru cukierka toffi, wcale nie przypominała czarnej skóry buszmenów czy Zulusów.

— Jest mieszańcem — wyjaśnił Simon de Koker. — Pół-Hotentotem i pół-Burem, ale za to całym głupcem. To przez słońce, jeżeli chcesz wiedzieć. Wysuszyło mu mózg.

— A skąd weźmiemy wodę i prowiant? — zapytał Barney.

— Za chwilę po to wszystko pojedziemy — oznajmił Simon de Koker. — Zarówno wóz, jak i Donald należą do mojego przyjaciela, Henka Jeppe'a, który ma plantację owoców. Kilka dni temu zawiadomiłem go, że przyjeżdżamy pociągiem. Wszystko powinno być gotowe.

Na placu pojawił się Donald, trzymając kufer ze skóry nosorożca Simona de Kokera na głowie, a dwie inne torby pod pachami.

— Pan Henk powiedział, że jedziesz do Oranjerivier, panie Simon.

— Zgadza się, Donaldzie.

— To dobrze, panie Simon. Moja siostra mieszka w Oranjerivier.

— Myślałem, że twoja siostra mieszka w Hope Town.

— To moja inna siostra, panie Simon.

Donald wspiął się na wóz i cmoknął na woła. Powoli jego kanciaste mięśnie na zadnich nogach zaczęły się podnosić w górę i opadać w dół, jak szpule w maszynie do szycia, i wóz skręcił w ulicę przylegającą do placu.

— Donald ma wszędzie siostry — zauważył Simon de Koker. — Nie są to prawdziwe siostry, jeżeli wiesz, co mam na myśli. Donalda wychowali brytyjscy misjonarze i już we wczesnym wieku poznał sztukę hipokryzji. Rozumiesz, dobre obyczaje zamiast prawdy.

Nie czekając na komendę de Kokera, Donald zatrzymał wóz przed dużym kościołem z elegancką, białą, holenderską fasadą. Obok niego znajdował się cmentarz otoczony niskim, na biało pomalowanym murem. Simon de Koker zszedł z wozu i wszedł na teren cmentarza przez frontowe, kute z żelaza wrota. Barney widział, jak stał w skupieniu między cyprysami, trzymając w dłoniach kapelusz. Za chwilę wrócił i wspiął się na wóz.

— Kiedyś miałem żonę — powiedział Simon de Koker, podczas gdy wóz, klekocząc, zjeżdżał z góry ulicą obsadzoną po obydwu stronach młodymi gruszami. — To było siedem lat temu. Zamierzałem osiedlić się i założyć farmę. Ożeniłem się z nią tutaj, w Paarl. Tutaj właśnie mieszkała. Widzisz ten dom ze strychem za tamtym murem?

Barney czekał, aż Simon de Koker powie coś więcej, ale przewodnik zamilkł. Podskakiwali na siedzeniu w milczeniu, aż w końcu dotarli do bramy wiodącej na małą, schludną plantację owoców. Na dziedzińcu, na którym biegały kurczęta, zauważyli dużą, jasnowłosą kobietę, rozwieszającą pranie na sznurze. Okoliczne wzgórza obsadzone były rzędami drzew morelowych i pomarańczowych; ich liście szeleściły na wietrze, jakby zapraszając do poczęstunku. Simon de Koker zeskoczył na ziemię.

— To była ptasia żmija — powiedział. — Pierwsza wycieczka Adaleeny do buszu. Zbieraliśmy gałęzie na ognisko i ona ją podniosła. Ptasia żmija wygląda jak uschnięta gałązka. No i ukąsiła ją. Nic nie mogło jej ocalić. Zaniósłem ją z powrotem do Paarl.

— Przykro mi — powiedział Barney. Simon de Koker spojrział na niego bez emocji.

— Nie powinno ci być przykro, człowieku. Jeżeli ludziom w tym kraju nie przestanie być wreszcie przykro, to ten kraj nie przeżyje, a ci ludzie również.

Pojawił się Henk Jeppe, żeby ich przywitać. Był to mały, zażywny, czerwony na twarzy mężczyzna z przyszczyżonymi na jeża włosami. Miał silne, umięśnione ręce.

— Jak leci, Sy? — zawołał do Simona de Kokera. — A to kto, Żyd?

— Barney Blitz — powiedział Simon de Koker. — Jedzie do Oranjerivier, aby znaleźć brata.

— Gdybym był tobą, młody człowieku, to byłbym ostrożny — poradził mu Henk Jeppe. — Wzdłuż rzeki Orange mieszka wielu nieokrzesanych facetów, którzy nie są zbyt uprzejmi w stosunku do Żydów, a nawet w stosunku do katolików.

— Jestem Amerykaninem, panie Jeppe — odpowiedział Barney. — Moi rodzice, podobnie jak pańscy holenderscy farmerzy, przebyli długą drogę, żeby uciec przed prześladowaniami. Wydaje mi się, że mamy ze sobą wiele wspólnego.

— Cóż, zrobisz, jak uważasz, młody człowieku — powiedział Henk Jeppe. — To była tylko przyjacielska rada. Twardy kraj wydaje twardych ludzi. Czy wiesz, gdzie przebywa twój brat?

Barney potrząsnął głową.

— Zamierzam znaleźć kogoś, kto będzie wiedział, dokąd on pojechał.

Henk Jeppe zerknął na Simona de Kokera i powiedział:

— *Dit is een krankzinnig idee.*

— *Misschien* — wzruszył ramionami Simon de Koker. — *Dat weten we pas wanneer we het proberen.*

Barney zapytał Henka Jeppe'a:

— Pyta pan de Kokera, czy jestem szalony? Zmieszany Henk Jeppe wyrzucił obie ręce do góry w geście, który mógł oznaczać: a czego się spodziewałeś?

Ich wóz czekał na nich z tyłu dziedzińca farmy Henka. Przymocowano do niego kabłąki, na których zawieszono płótno. Przypominał teraz wóz amerykańskich osadników. Załadowano na niego sześć beczek wody, dwie skrzynie *biltongów*, suszone morele, świeże pomarańcze, bekon, ser i proch. Cztery woły, które Henk Jeppe zamierzał im wynająć, stały w pobliskim *kraalu*, leniwie opędzając się ogonami od much.

— Jeszcze jedna rada — powiedział Henk Jeppe do Barneya, kładąc mięsiste dłonie na biodrach. — Spraw sobie porządny kapelusz. Taki z szerokim rondem. Jeżeli tego nie zrobisz, wkrótce będziesz *krank*.

Tej nocy Barney i Simon de Koker byli gośćmi na kolacji w domu państwa Jeppe'ów. Podano potrawkę z wołowiny, świeże warzywa, pieczoną szynkę (za którą Barney grzecznie podziękował) oraz ciasteczka serowe, które przypomniały mu wypieki matki. W oświetlonej lampami olejowymi izbie, przy długim stole siedzieli trzej synowie Henka Jeppe, wszyscy wielcy, z ogorzałymi twarzami, jego dwie dobrze zbudowane córki, siostrzeniec, białowłosy teść oraz milcząca, pomarszczona na twarzy pani domu. W oknie paliła się latarnia, która informowała przechodniów, że Jeppe'owie przyjmują w domu gości.

Po kolacji Henk Jeppe przeczytał fragment z Biblii, a jego cała rodzina siedziała ze spuszczonej głowami w pełnej szacunku ciszy. Simon de Koker ziewnął.

— Wyruszamy o świcie, Barney — powiedział, kiedy stali u stóp spiralnych schodów, wykonanych z żółtego drewna. Sypialnia Barneya znajdowała się na samej górze.

— Za kilka dni po raz pierwszy zobaczysz Great Karoo.

Ich samotna wyprawa przez Great Karoo miała wielki wpływ na psychikę Barneya. Zbliżyła go do Boga, ale oddaliła od ortodoksyjnych zasad, tak jak oddala się niesione przez wiatr ziarenko południowoafrykańskiego kwiatu, *stapeliae*, kiedy tylko słońce otworzy jego pąki.

Krajobraz był wypalony, bezkresny, wszędzie w powietrzu unosił się pył, z jednej strony ciągnęły się blade wzgórza Swartberge — w kierunku południowo-wschodnim, z drugiej pagórki Nieuweveldberge w kierunku północno-zachodnim, a z przodu była tylko równina i zamglony od gorączki horyzont. Wóz skrzypiał i podskakiwał na spękanej ziemi, rozgniatał kołami skarłowaciałe krzewy oraz trawę. Barney siedział pod osłoną z płótna, spał, czytał albo gapił się bezmyślnie w becзки z wodą, które ustawione były na końcu platformy. Simon de Koker palił fajkę i prawie się nie odzywał. Gryzący dym rozwiewał się na wietrze.

Barney pomyślał o matce i ojcu oraz przypomniał sobie słowa napisane w *Torah*. Dzieci Izraela podróżowały przez pustynię podobnie jak on, szukały spełnienia obietnicy i wielokrotnie wątpiły w Boga. I nic w tym dziwnego, skoro przemierzasz bezkresną, wyludnioną krainę, smaganą wichrami oraz paloną przez słońce. Wątpliwości Barneya, jadącego przez Great Karoo, nie były związane z istnieniem Boga. Dowody Jego istnienia można było napotkać na każdym kroku — w każdym łańcuchu wzgórz, na każdej mili kwadratowej zarośli — jednym słowem, wszędzie. Barney w większym stopniu czuł bliskość Boga tutaj, niż kiedy przesiadywał w synagodze na Clinton Street.

Zaczął zastanawiać się nad dogmatami ortodoksyjnego wychowania. Doświadczenia z dzieciństwa dobrze przygotowały go do życia w getcie nowojorskiego Lower East Side'u. Ale nie był przygotowany do spotkania z ogromnym, boskim tworem, jakim był świat, a zwłaszcza w bezpośredniej konfrontacji. Migotliwy obraz Great Karoo był dla Barneya daleko bardziej przekonującym dowodem wiecznych boskich planów niż cała księga *Teitsh-Chumash*. Czuł, że zaczyna uczyć się życia w tym kraju, że będzie umiał przystosować się w taki sposób, w jaki uczynili to żyjący tu ludzie. Teraz był w stanie zrozumieć Boga lepiej niż wtedy, kiedy pokornie recytował *schachris*, *mincha* i *mairev* każdego dnia i ślęczał z nosem utkwionym w Talmudzie.

Lata później napisał: „Wychowywałem się, ucząc się religii, która mówiła o walce i przetrwaniu. Ale żyjąc w Nowym Jorku — jakaż to była walka? Byliśmy biedni, to prawda. Musieliśmy ciężko pracować. Czy na tym polegała walka, że musiałeś na nowo rozpaćić w piecu matki, ponieważ zgasł na szabat, niszcząc *kugel*? Co oznaczały słowa: przeżyć, śmierć, czy o życie chodziło? W Kolonii na Przylądku po raz pierwszy dowiedziałem się, co naprawdę znaczy walka i przetrwanie — i dopiero tutaj odkryłem, że walka i przetrwanie znaczą dla mnie więcej niż religia, której się uczyłem”. Trzeciego dnia podróży, kiedy ich wóz z trudem przejechał przez *hooyulakte*, płaski teren porośnięty wysoką trawą wzdłuż żyznych brzegów rzeki Ganka, Barney zszedł z platformy i wspiał się na kozioł, mając na głowie wypłowiały kapelusz z szerokim rondem. Simon de Koker spojrział na niego, ale nic nie powiedział.

— Owce — zauważył Barney, wskazując ręką pasące się w oddali szare stado owiec. — Czy znajdujemy się w pobliżu jakiejś osady?

Simon de Koker wyczyścił fajkę, stukając nią w rączkę od hamulca, wykonaną z drzewa zapachowego. Od dwóch godzin powoził, podczas gdy Donald spał z tyłu, mając długie nogi przewieszane przez tylną klapę. Pustynia wydawała się stara i rozległa — taka zresztą była naprawdę. Pod grubymi warstwami wulkanicznego prochu spoczywały zgniecione szczątki prehistorycznych stworzeń, mające 270 milionów lat; a zeszłej nocy, kiedy zbierali chrust na ognisko, Barney znalazł kamienny skrobak, którym posługiwali się kiedyś prymitywni buszmeni, żyjący na Great Karoo.

— Zbliżamy się do Beaufort West — wyjaśnił Simon de Koker bezbarwnym głosem. — Te

owce należą do stada merynosów Arthura Kinneara. Zobacysz ich więcej, kiedy jeszcze bardziej zbliżymy się do miasta. Mieszkańcy żyją z wełny. Wełna, wełna i jeszcze raz wełna.

— Czy nie jest tu zbyt sucho dla owiec? — zapytał Barney.

— Będiesz zaskoczony. Pełno tutaj w okolicy podziemnych źródeł. Kiedyś przyjechałem tu podczas deszczów. Zielona trawa, pełna kwiecica, rozciągała się aż po horyzont. Powiedziałbyś, że to kraina mlekiem i miodem płynąca. Hotentoci nazywają ten obszar „Koup”, co, jeżeli przetłumaczysz dosłownie, znaczy „tłuszcz z owczego ogona”. Tak tutaj pojmują dobrobyt.

Jechali jeszcze godzinę lub dwie, po czym dotarli na cypel, z którego bez przeszkód mogli podziwiać miasteczko Beaufort West. Simon de Koker zatrzymał woły, które odwróciły głowy, spojrzały na niego wielkimi brązowymi oczami i wydały ze swoich gardeł sfrustrowany pomruk. Wóz stał otoczony ciernistymi krzakami, u stóp wzniesienia. Przed nimi, w szerokiej dolinie, znajdowały się brązowe i czerwone dachy budynków Beaufort West. Barney zobaczył dzwonnice ratuszową w kształcie latarni oraz okazałe, wykonane z szarego kamienia fasady budynków miejskich. Zauważył również skromne, ładnie utrzymane domki farmerów, które znajdowały się pomiędzy migdałowymi, akacjowymi oraz cyprysowymi drzewami. Dalej, na północny wschód, w kierunku Trzech Sióstr i Victoria West, rysował się tylko zamglony horyzont.

Z miejsca, gdzie się zatrzymali, mogli usłyszeć przytłumione śmiechy dwóch mężczyzn, którzy naprawiali strzechę w domu znajdującym się niedaleko od nich, oraz zgiełk czyniony przez biegające na podwórku ptactwo. Ktoś walił młotem, a echo odbijało się o ściany doliny, ocienione z powodu późnego popołudnia.

— Zdjąłeś swoją małą czapczkę — zauważył Simon de Koker.

— Moją jarmułkę? Nie była zbyt praktyczna. Simon de Koker pokiwał głową, jak gdyby wszystko rozumiał.

— Jedynym praktycznym wyposażeniem na Great Karoo są: dobry, szeroki kapelusz, zespół zdrowych wołów, beczki z wodą i sprawna strzelba. W dalszym ciągu jest tutaj sporo lwów i leopardów.

— A Biblia — nie wymieniłeś Biblii? — zapytał Barney. Simon de Koker ściągnął usta.

— Owszem, jeżeli podróżujesz zimą. Możesz trafić na mroźną noc, a nie zawsze jest w pobliżu wystarczająca ilość drewna na ognisko. Pewien mój przyjaciel spalił Biblię, kartka po kartce, żeby się ogrzać w nocy, kiedy jechał do Kompas-bergu. Pastor rozgrzeszył go, ponieważ zaczął od ostatniej księgi Nowego Testamentu.

Spędzili noc w domu hodowcy owiec o nazwisku Alf Loubser, który mieszkał we własnoręcznie zbudowanym budynku w kształcie litery T. Loubser i Simon de Koker usiedli na werandzie i pili holenderski dzin, płucząc usta piwem. Nad stołem syczała lampka olejowa, a ostatnie promienie słoneczne oświetlały szczyty Nieuweveldberge. Barney usiadł na uboczu, poczuł się zmęczony. Córka Loubsera, Louise, nieśmiała dziewiętnastoletnia blondynka w niebieskiej sukience w kratkę i drewnianych chodakach na nogach, przyniosła mu szklankę słodkiego, białego wina oraz domowego wypieku ciasteczka.

— Nie jesteś szczęśliwy? — zapytała Barneya, kiedy usiadła ze skrzyżowanymi nogami na poduszce, obserwując, jak je.

— Szczęśliwy? — zdziwił się Barney. — A dlaczego miałbym być szczęśliwy?

— Nie wiem. Do tej pory jeszcze się nie uśmiechnąłeś. Przyjrzał się jej uważnie. Była ładna, na swój *milcheding*, holenderski sposób. Miała niebieskie oczy i zadarty nosek. Lampka, która wisiała tuż nad nią, była zasłonięta jej głową, i dlatego wyglądała, jakby nosiła koronę, zrobioną z migotliwych, tańczących promyków.

— To dlatego, że jestem tutaj obcy — powiedział Barney. — Tęsknię trochę za domem. W Nowym Jorku, skąd pochodzę, jest teraz zima. Na ulicach powinien leżeć śnieg.

Zrobiło się już całkiem ciemno i nad Koupem zaświeciły południowe gwiazdy. Suchy, gorący, wieczorny wiatr zaczął wiać z północno-zachodniego kierunku, od Kalahari.

— Masz żonę? — zapytała córka Loubsera. Barney potrząsnął głową.

— Często marzę o mężu — przyznała się cicho dziewczyna.

Wyciągnął ramię i złapał ją za rękę. Na trzecim palcu miała cienki, srebrny pierścionek z opalem.

— Dostałam go od Nilsa Groenewalda. Powiedział, że daje mi go na pamiątkę, żebym o nim nie zapomniała. Pojechał do Bloemfontein, do pracy na farmie bydła. Pewnego dnia — mówił — będzie miał swoją własną farmę. Wtedy wróci i się ze mną ożeni.

Barney zapytał łagodnie:

— Kochasz Nilsa Groenewalda?

— Jest bardzo uczciwy. Bardzo poważny. Moja przyjaciółka Attie mówi, że jest Holendrem przez duże H. Tak, lubię go.

W drzwiach budynku pokazała się Mevrouw Loubser i zawołała:

— Louise! Chodź i pomóż mi pozmywać naczynia! A potem zaraz do łóżka!

Louise podniosła się, wytrzepała sukienkę, a potem spontanicznie przechyliła się do przodu i pocałowała Barneya w czoło.

— Dobranoc — wyszeptała. Jej oddech pachniał goździkami, które jej matka wkładała do jabłecznika.

Simon de Koker spojrzał na Barneya przez ramię. Jego twarz była jak zwykle bez wyrazu, ale Barney domyślał się, o czym myśli. Po drugiej stronie stołu Alf Loubser dopijał kufel domowego pilsa. Był przysadzisty i ogorzały na twarzy, przystojny jak dobrze odchowany kuc. Wyczuwał, że coś się dzieje, ale nie wiedział za bardzo co.

— No cóż — powiedział. — Chodźmy spać. Muszę być na nogach o piątej rano.

Barney dostał mały, na biało pomalowany pokój w drewni, skąd dochodził aromatyczny zapach drzewa owocowego suszonego na zimę. W pomieszczeniu stało proste, holenderskie łóżko, przewrócona do góry nogami skrzynka na owoce, która służyła jako stolik, dzban z wodą i miska. Barney zerwał z siebie koszulę oraz spodnie i namydlił się kawałkiem zielonego, domowego mydła.

Na zewnątrz szeroko rosnące drzewo koralowe migotało w świetle księżyca. Ktoś nieśmiało zapukał do jego drzwi. Barney zmarszczył się i powiedział:

— Proszę chwilę poczekać.

Sięgnął po rącznik. Drzwi otworzyły się na oścież — to była Louise. Weszła i szybko zamknęła za sobą drzwi. Stała w świetle świecy, jej oczy błyszczały, rękę przyciskała do piersi.

— Louise — powiedział Barney. — Nie możesz tutaj przychodzić.

— Dlaczego? Zawsze tutaj śpię latem. Zwłaszcza, kiedy mamy gości w domu.

Barney mocniej ściągnął się rącznikiem w pasie.

— Przestań, Louise, a gdyby twój ojciec dowiedział się, że tutaj byłaś?

— A od kogo? Ty jemu nie powiesz, prawda? Nils Groenewald też nic mu nie mówił.

Barney spojrzał w kierunku łóżka.

— Ty i Nils...?

— Kocham Nilsa. Ciebie również kocham. Nie pocałujesz mnie?

— Louise, prawie ciebie nie znam — zaprotestował słabo Barney.

Podeszła bliżej i otoczyła go ramieniem.

— W takim razie przedstawię się. Nazywam się Louise Stella Loubser. Mam siedemnaście lat. Mieszkam razem z matką i ojcem w środku niczego. Kiedy byłam młodsza, udawałam, że wcale nie jestem samotna. Rozmawiałam z lalkami. Ale teraz lalki mi nie wystarczają.

— Jutro wyjeżdżam. Może już nigdy się nie spotkamy — wyszeptał Barney.

Louise pocałowała go w usta. Była drżąca i podniecona.

— To właśnie dlatego — powiedziała.

Odpięła górny guzik swojej niebieskiej sukienki. Barney patrzył na nią i wydawało mu się, że jest pijany albo śni. Kiedy miał piętnaście lat, pocałował zaciśniętymi ustami Naomi Bernstein; kiedy miał siedemnaście lat, chodził z ładną, wysoką dziewczyną z Cherry Street, dopóki nie rzuciła go dla posłańca z falistymi, jasnymi włosami, które przypominały papuzi grzebień. Ale ciągle był prawiczkim; i chociaż ojciec swojego czasu dokładnie mu powiedział to, co mężczyzna powinien wiedzieć o kobietach, i wyjaśnił na czym polegają święte męskie obowiązki, bliskość Louise sprawiła, że zrobiło mu się gorąco, poczuł się bezradny i zakręciło mu się w głowie.

Chwyliła go za rękę i delikatnie przycisnęła ją do swojej piersi. Barney patrzył na nią, na błyszczące półksiężycy pod jej oczami, oświetlone światłem świecy. Powieki miała tak jasne, że wydawało mu się, iż świecą. Powoli pochylił się do przodu i pocałował ją.

— Czasami pytam swoje lalki, co to znaczy być szczęśliwym — wymamrotała Louise. — Nie umięją mi odpowiedzieć. Nie mówią, co powinnam zrobić.

Drugi guzik sukienki Barney odpiął własnoręcznie. Potem trzeci i czwarty. Louise, z otwartymi ustami i dziecinnym, ale wielkim zainteresowaniem, obserwowała wysiłki Barneya, który wsunął rękę pod jej stanik i wyłuskawszy spod niego piersi, przykrył je dłońmi. Czuł, jak sterczały jej sutki.

— Jesteś taki poważny — powiedziała. — I do tego taki piękny. Kocham twoje kręcone włosy. Jesteś pięknym nieznajomym.

Obejmując Louise ramieniem, Barney poszedł w kierunku łóżka. Poluźnił ręcznik, który opadł na podłogę, i usiadł na łóżku. Louise stała przed nim wyprostowana. Nagle złapała za brzegi sukienki i zadarła ją wysoko do góry, odsłaniając przed Barneyem silne, białe uda oraz łono pokryte jasnymi włosami. Serce zaczęło walić mu od pożądania. Dotknął palcami jej gołych nóg i wyszeptał:

— Louise Stella Loubser...

Zakaszła raz czy dwa razy, po czym usiadła na niego okrakiem, przyciskając zadartą do góry sukienkę łokciami do swoich boków. Natychmiast zaczęła podskakiwać na nim w górę i w dół, jak gdyby ubijała masło. Jej drobne, białe paluszki złapały go za loki z tyłu głowy i przyciągnęły ją do piersi. Poczul jej sutek w oku. Podskakiwała coraz szybciej i jeszcze gwałtowniej. Czuł się tak, jak gdyby przyszło mu przeciskać się w skulonej pozycji przez rurę długości pięciuset metrów.

— *In Godsnaam* — dyszała Louise.

Barney nie wiedział, co robić: czy pomóc jej w podskakiwaniu, czy też przyciągnąć do siebie i nie pozwolić jej tego robić. Ale w końcu — nareszcie — nadeszła rozkosz, która wynagrodziła niewygodną pozycję i zagłuszyła w nim poczucie winy i wstyd prawiczka, nastąpił odpływ, i w tym ostatnim momencie złapał Louise Stellę Loubser tak mocno, że zajęczała:

— Ach, ach!

Świeca dopaliła się, a oni jeszcze leżeli obok siebie w łóżku. Przez nie dociągnięte zasłonki Barney zauważył, że niebo zaczyna się rozjaśniać. Słychać było poranne ptaki, które swiergoliły na koralowym drzewie. Na Great Karoo zaczął się świt.

Louise pocałowała go w milczeniu, zapięła sukienkę i wyszła, trzymając swoje drewniane chodaki w ręce. Słyszał, jak cichutko, na palcach szła kaczą ścieżką, która łączyła drewnię z domem. Barney wstał, podszedł do drzwi i patrzył, jak się oddalała. Na zewnątrz pały się gęsi.



Jedna z nich odwróciła głowę, spojrzała na Barneya i zagegała.

Barney i Simon de Koker wyruszyli o szóstej, tuż po śniadaniu, które składało się z sera i ciemnego chleba. Jedli w wyłożonej czarno-białymi płytkami kuchni. Mevrouw Loubser krzątała się przy garnkach. Na żelaznym piecyku gotował się obiad dla Alfa Loubsera — gotowana baranina oraz kluski. Pachniały liście laurowe i rozmaryn. Louise nigdzie nie było widać.

— Proszę pożegnać ode mnie córkę — powiedział Barney, wspinając się na wóz. Simon de Koker i Donald już tam byli. De Koker nabijał tytoniem swoją fajkę.

Mevrouw Loubser patrzyła gdzieś w bok. Z białym czepkiem na głowie przypominała kobietę z obrazu Vermeera. Miała chropowate dłonie od grzebania w ziemi, bielienia lnu i skubania gęsi.

Simon de Koker strzelił z bata. Donald uśmiechnął się szeroko, właściwie nie wiadomo do kogo. Woły pociągnęły wóz, który opuścił podwórko Loubsera i skręcił w Donkin Street, ulicę z posadzonymi po obu stronach młodymi gruszami, wiodącą na południe. Niebo było już błękitne, gdzieś tam pojawiły się kumulusy.

— Jak znalazłeś Louise? — zapytał Simon de Koker po dwudziestu minutach, kiedy znaleźli się już na obrzeżach miasta.

— Louise? — zdziwił się Barney.

Simon de Koker niespodziewanie zachichotał.

— Ona jest trochę stuknięta. Biedny stary Loubser nie może się doczekać, żeby ktoś zrobił jej dziecko, ożenił się z nią i zabrał z jego domu.

Nastąpiła długa cisza. Potem Barney powiedział ze złością:

— Myślałem, że ma wyjść za mąż za kogoś o nazwisku Nils Groenewald.

— To cała historia, kolego — powiedział Simon de Koker. — Miało tak być. Ale Nils Groenewald pojechał do Transvaalu, żeby zbić fortunę na farmie bydła. Tydzień po wyjeździe został zabity przez Zulusów. Mówią, że go wypatroszyli. I od tego czasu...

Barney patrzył na Simona de Kokera i nic nie mówił. Kierując się na północny wschód, jechali przez smagane wiatrem *hooyulakte*. W oddali widzieli Alfa Loubsera i jego ludzi, jak zbierali do kupy stado merynosów. Simon de Koker pomachał ręką i Alf Loubser zrobił to samo. Barney nacisnął na oczy swój kapelusz z szerokim rondem i spojrzał w przeciwnym kierunku.

Kilka miesięcy później Barneyowi wydawało się, że to nie on jechał przez pustkowia do Oranjerivier, ale ktoś zupełnie inny. Ten ktoś spędził sześć tygodni swojego życia, trzęsąc się na twardej, drewnianej desce wozu zaprzęgniętego w woły, jadącego w tumanach kurzu. Ten ktoś każdego wieczoru schodził z wozu i zbierał patyki, a potem siadał, wyczerpany, przy trzeszczącym, syczącym ognisku, podczas gdy Donald gotował w kociołku fasolę pomieszaną z kawałkami suszonego mięsa — albo, jeżeli dopisało im szczęście, piekł świeże, ociekające krwią antylopie steki.

Pewnej nocy przez kilka strasznych godzin ten ktoś leżał, nie śpiąc, pod baobabem i słuchał porykiwań lwów — żarłocznych, odbijających się echem dźwięków, które przypominały łoskot ton węgla wrzucanych do pustej studni. I każdego dnia, kiedy tylko poranny wietrzyk omiatał Karoo, ten ktoś modlił się do Boga o szczęśliwy przyjazd do Oranjerivier, żeby nie zostać rozszarpanym przez dzikie bestie oraz ukąszonym przez żmije i żeby znaleźć brata w dobrym zdrowiu.

Do Oranjerivier dotarli całkiem niespodziewanie. Jeszcze kilka minut wcześniej wóz trząsał się i skrzypiał, jadąc po wyschniętej trawie nękaną wiatrem piasku, a tu nagle zaczął toczyć się porośniętym zieloną trawą traktem, brzegiem zamulonej, wolno płynącej rzeki.

— Tam — powiedział Simon de Koker, wskazując na rzekę. — To jest Oranjerivier.

Barney stanął na koźle. Nie bardzo wiedział, czego się spodziewać. Oto zobaczył dwadzieścia albo trzydzieści domków, otoczonych namiotami, flagami, magazynami, *kraalami* oraz kilkoma prowizorycznymi chatami.

— Czy możesz mnie zawieźć prosto do *Derdeheuvel*? — zapytał Barney.

— Gdziekolwiek zechcesz — powiedział Simon de Koker.

Jechali aleją między plotkującymi wierzbami, aż dotarli do samotnej farmy, która rozciągała się na zboczu wzgórza. Farma otoczona była płotem ze sztachet, a droga, która prowadziła do domu, ocieniona była topolami i innymi drzewami. Dochodziła czwarta i cienie rzucane przez drzewa przecinały twardo ubitą ziemię.

Donald skierował wóz na podwórko. Miejsce było w opłakanym stanie i wyglądało na opuszczone przez ludzi. Na szczycie strzechy jęczał i skrzypiał na wietrze zardzewiały wiatrowskaz. Biała farba łuszczyła się, a gdzieniegdzie nawet odpadała płatami z ozdobionej sztukaterią fasady. Ramy okienne były szare i przegniłe. Jakiś zabłąkany kogut wałęsał się po podwórku, spojrzął na nich z oburzeniem i oddalił się bez pośpiechu.

— Nikogo tutaj nie ma — powiedział Barney. Simon de Koker zeskoczył z wozu i przywiązał woły do barierki otaczającej werandę. Cztery zakurzone bestie stały cierpliwie w słońcu, od czasu do czasu machając ogonami, żeby odpędzić muchy.

— Nie znasz *Monsaraza* — oznajmił Simon de Koker.

Podczas gdy Donald zajął się wygrzebywaniem z wiadra resztek zgęstniałej masy, żeby przynieść wodę dla wołów, Simon de Koker złapał Barneya za rękaw i pociągnął go w kierunku frontowych drzwi. Były szeroko otwarte, więc weszli do środka bez pukania, bez wołania i nie dotykając pozbawionej połysku mosiężnej gałki dzwonka.

Wnętrze domu było jeszcze bardziej niechlujne. Na podłodze i dywanach wały się śmieci i odpadki, a wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu. Idąc przez korytarz, potykali się o porozrzucane zardzewiałe części pługa. Leżały tam: zepsuty zegar ścienny, dwa krzesła bez oparcia, kilkanaście puszek po farbie, podarta portugalska gazeta, banjo bez strun, tyle butelek po winie, że trudno było się doliczyć, i przydymione lustro ścienne, w którym Barney i Simon de Koker zobaczyli swoje odbicia. Wyglądali jak duchy starych osadników, spaleni przez słońce, spoceni, pokryci kurzem. Na pustkowiu jedynym lustrem był mały, wypolerowany, metalowy krążek, którego używali przy goleniu, a więc Barney zobaczył swoje odbicie w prawdziwym lustrze po raz pierwszy po sześciu tygodniach. Wyglądało na to, że schudł i nieco pożółkła mu skóra na twarzy, ale przypominał Afrykanera, białego mieszkańca Afryki.

Nagle usłyszeli hałas w sąsiednim pokoju i w drzwiach pojawiła się wysoka, czarnoskóra kobieta. We włosy miała wplecione czerwone i niebieskie paciorki, jej oczy były przekrwione od nadużywania dzinu. Miała na sobie prostą, białą, bawełnianą sukienkę, postrzępioną na brzegach i przybrudzoną ziemią. Nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat. Oparła się o ścianę, drapiąc się po łokciach jak staruszka. Wciągnęła nosem powietrze. Chyba ich nie zauważyła.

— Gdzie jest *Monsaraz*? — zapytał władczo Simon de Koker. — Właściciel w domu?

Kobieta zawahała się przez chwilę, po czym prześliznęła się obok nich i zniknęła w sąsiednim pomieszczeniu, które — jak Barney przypuszczał — musiało być kuchnią.

— Mam nadzieję, że nie przestraszyłeś się, kolego — powiedział Simon de Koker. — Ujrzysz jeszcze dziwniejsze przypadki tego, co cywilizacja zrobiła z tubylcami. Oni, na tych terenach, byli zawsze bardzo okrutni. Jeżeli kobieta miała bliźnięta, to zabijali jedno z nich po urodzeniu, zatykając niemowlęciu usta błotem. Mogę opowiedzieć ci co nieco o *Zulusach*.

Barney spojrzął na niego i bez słowa wszedł do pokoju, z którego wyszła kobieta.

W środku było ciemno. Żaluzje były spuszczone, jedynie przez wąskie szpary świeciło słońce, penetrując duszne, zaciemnione pomieszczenie. Pokój śmierdzał potem, seksem i zwiędłymi kwiatami. Na mosiężnym łóżku w narożniku leżał blady, młody mężczyzna ze spiczastą bródką, kompletnie ubrany w poplamiony biały garnitur i w kapeluszu panama, ze zwisającym z rozporoka penisem.

— Czy pan nazywa się Monsaraz? — zapytał Barney. — Jest pan właścicielem?

Młody mężczyzna na łóżku nie odpowiedział.

— Szukam brata — powiedział Barney. — Derdeheuvel kiedyś było jego. Nazywa się Joel Blitz. Pan de Koker, który jest tutaj ze mną, mówi, że mógł pan kupić farmę właśnie od niego.

Monsaraz głośno pociągnął nosem.

— Blitz? — zapytał głosem ochrypniętym od alkoholu. — Czułem, że był Żydem. Powiedział mi, że nazywa się Barker.

— Czy wie pan, gdzie teraz jest?

Monsaraz usiadł, zmarszczył brwi, po czym wstał, chowając to, co mu wystawało, w spodnie, ale nie przejmując się zupełnie rozpiętym rozporkiem. Podeszedł, ciągnąc za sobą nogi, do wysokiego mahoniowego biurka i nalał sobie dżinu z kamionkowej butelki, która stała za lusterkiem. Pijąc, przeglądał się w nim, jak gdyby szukał znaków szybko zbliżającego się końca.

— Prawdę mówiąc — powiedział, wycierając usta — nie mam pojęcia. Zielonego pojęcia. Zapłaciłem mu, on dał mi dokumenty i wyjechał. Starał się, żeby farma przynosiła zyski, ale się nie udało.

— Wygląda na to, że tobie również się nie poszczęściło — zauważył Simon de Koker.

— To prawda — zgodził się Monsaraz. — Ale ja nie próbuję.

— Czy Joel nie wspominał panu, dokąd zamierza pojechać? — zapytał Barney.

Monsaraz beknął.

— Nie należał do tych, którzy mówią. Był bardzo... zamkniętym w sobie mężczyzną.

— To jakby nie Joel — powiedział Barney.

— Ludzie zmieniają się, kiedy tu mieszkają — zauważył Monsaraz. — Spójrzcie na mnie. Kiedyś byłem bardzo obiecującym agentem bankowym, który został wysłany za morze. A teraz jestem nędznym farmerem. Nawet tym nie jestem.

— W tym domu śmierdzi — powiedział Simon de Koker.

Monsaraz nalał sobie kolejnego drinka.

— Tak — powiedział. — Śmierdzi biedą. Czy chcecie dżinu?

Barney potrząsnął przecząco głową.

— Chcę znaleźć swojego brata, to wszystko, czego chcę.

— Żałuję, że nie mogę panu pomóc — powiedział Monsaraz. — Ale w tym kraju ludzie znikają bardzo często. Czasami dlatego, że tego pragną, czasami dlatego, że tego nie chcą. Tu jest trochę gorzej niż w piekle.

— Proszę posłuchać — powiedział Barney. — Co powiedziałby pan na to, gdybym tutaj został przez jakiś czas? Mógłbym spróbować uratować farmę.

Monsaraz spojrział na niego uważnie.

— A co chciałby pan w zamian?

— Potrzebuję jakiegoś zajęcia i muszę mieć gdzie mieszkać. Ma pan pieniądze, prawda?

Monsaraz popatrzył na niego podejrzliwie i machnął ręką.

— Trochę — powiedział. — Czy chce pan przez to powiedzieć, że chce zapłaty?

— Jeżeli farma będzie w dobrej kondycji, to będzie się nam żyło niezgorzej. Zapłaci mi pan,

gdy zacznie przynosić zyski.

— No, no, no — mruknął Monsaraz, podchodząc bliżej.

— Młody biznesmen.

Simon de Koker skrzywił się.

— Dlaczego chcesz tutaj zostać? — zapytał Barneya.

— Jeżeli chcesz szukać brata, to znajdę ci miejsce u Reitza. Czysto tam i schludnie. Będzie ci tam wygodnie. Tutaj to śmietnik.

— Wkrótce będzie inaczej — zapewnił go Barney. — Jeżeli innym się powiodło, to panu Monsarazowi też powinno się powieść.

— Nie jestem tego taki pewien — powiedział Monsaraz z powątpiewaniem. — Twojemu bratu się nie udało.

— Nie jestem moim bratem — odparował Barney. Monsaraz zatoczył się i wzruszył ramionami.

— W takim razie, zgadzam się. Jeżeli sam pan tego chce. Ale proszę nie spodziewać się z mojej strony żadnej pomocy.

Barney odwrócił się do Simona de Kokera.

— Chciałbym ci teraz zapłacić za przywiezienie mnie tutaj — powiedział. Nagle poczuł się pewnie, chociaż nie miał pojęcia, dlaczego chciał tutaj zostać. — Jeżeli to możliwe, to chciałbym zabrać Donalda na jakiś czas, żeby pomógł mi wynająć kilku robotników. Możemy pozwolić sobie na robotników, panie Monsaraz?

— Pod warunkiem, że ich pensje nie będą miały wpływu na zakup dżinu do tego domu, panie Blitz — odpowiedział Monsaraz. Był blady i ledwo trzymał się na nogach, zachowywał się tak, jakby zamierzał zwymiotować. — Ta kobieta była jak pajak — dodał. — Wielki, czarny pajak.

Na zewnątrz, na podwórku, Barney dał Simonowi de Kokerowi siedemnaście funtów. Ten kiwnął na Donalda i położył obie dłonie na jego czarnych ramionach.

— Zostaniesz z panem Blitzem i pomożesz mu znaleźć Bantu do pracy na farmie — powiedział. — Opiekuj się panem Blitzem albo przyjadę i utnę ci parówkę. Zrozumiałeś?

— Tak, sir — pokiwał głową Donald, uśmiechając się szeroko. — Chcę tu zostać, tutaj w Oranjerivier. Bardzo dobre siostry tutaj, bardzo uprzejme. Zostanę tutaj długi czas.

Barney uśmiechnął się i podał Simonowi de Kokerowi rękę.

— Dzięki, de Koker. Sądzą, że pokazałeś mi coś więcej niż tylko drogę. Udowodniłeś mi, że Kolonia na Przylądku to kraj, w którym trzeba walczyć, żeby przeżyć, albo po prostu nie żyć.

Simon de Koker wierzchem dłoni otarł pot z czoła.

— Przyjechałeś tutaj, ponieważ wydarzyło się w twoim życiu coś tragicznego, prawda? Ktoś umarł? Kogoś chcesz zapomnieć?

Barney skinął głową.

— No cóż, nie zapomnij o nich całkowicie. Ja zawsze pamiętam swoją Adaleen. Niech ten kraj ci o nich przypomina.

Opuścił głowę, a potem zaraz podniósł ją do góry, patrząc Barneyowi prosto w oczy. Jego opuszczone kąciki ust prawie wykrzywiły się w uśmiech.

Jesienią, kiedy dzikie drzewa rosnące w buszu zaczęły zmieniać kolor swoich zielonych jak mięta liści, rozeszły się słuchy, że w okolicy rzeki Orange znaleziono diamenty. Na początku Barney puszczał plotki mimo uszu. Przez cały styczeń i luty 1869 roku pracował od świtu do zmierzchu na farmie Derdeheuvel. Donald nie odstępował go ani na krok.

Zatrudnili dwunastu Bantu i dwóch na pół wykształconych mieszkańców — Griqua. Jeden z nich

był kuzynem Nicholasa Waterboera, wodza większości plemion Griqua, i Barney zrobił go szefem. Drugi Griqua, który nazywał się Adam Hoovstraten, był wysoki i szczupły jak żyrafa, ale za to bardzo obeznany z piłą i piłowaniem; Barney wykorzystał go do naprawy domu i stajni.

Derdeheuvel była zaniedbywana przez lata. Barney widział ślady działalności brata, jak próbował dźwignąć gospodarstwo — na wpół zaorane pole z tyłu domu, nowy wybieg dla kurcząt. Ale wyglądało na to, że Joel szybko stracił ochotę do pracy i poddał się. Był tam nawet nowy wiatrak leżący na boku w stodole, który czekał na kogoś, kto by go postawił. Drugiego tygodnia swojej bytności na farmie Barney pożyczył sprzęt do wiercenia od farmera za wzgórzem, twardego Anglika o nazwisku Stubbs, z twarzą jak arkusz brązowego, pomarszczonego papieru, i w ciągu pięciu dni wiatrak stał na cokołach i pracował.

Monsaraz prawie wcale nie interesował się postępowaniem robót, czasami tylko wychodził na werandę, opierał się o barierkę i obserwował Barneya, który naprawiał stajnię dla bydła. Ilekroć Barney spojrzał w jego kierunku, podnosił do góry szklankę i wołał: *Salut!* A zaraz potem wchodził do domu i w zaciemnionym pokoju kładł się do łóżka z jedną ze swoich czarnych dziewcząt. Były dwie — jedną z nich ochrzcił Prudencja, a drugą nazwał *A Moça da Fazenda*, co po prostu znaczyło „Wieśniaczka”. Zabawiał się z nimi całymi dniami i nocami, ale nigdy nie zdejmował swojego białego ubrania.

Barney był przekonany, że Monsaraz ukrywał gdzieś na farmie tysiące funtów. Choć nie pracował, nigdy nie brakowało mu alkoholu; i kiedykolwiek Barney poprosił o pieniądze, żeby kupić inwentarz, Monsaraz wciskał kopertę wypchaną pięciofuntowymi banknotami pod drzwi sypialni Barneya, zawsze późno w nocy. Na początku marca Derdeheuvel było już świeżo pomalowane. W stajniach stała setka wytrzymałego bydła szkockiej rasy. Barney nigdy nie pytał Monsaraza, skąd miał pieniądze i dlaczego ktoś taki jak on, z niewyczerpanymi funduszami, skazał się na banicję i zamieszkał nad rzeką Orange.

Każdego wieczoru, kiedy bydło było już spędzone do stajni, Barney siadał w swoim pokoju i przy świetle lampki oliwnej pisał listy. Napisał kilka ciepłych słów do Leah i Moishego, ale głównie korespondował z urzędami pocztowymi, prokuratorami oraz przedstawicielami władzy całej północnej Kolonii na Przylądku i Griqualandii, pytając o brata. Nie wszyscy odpisywali. Ci, którzy odpowiedzieli, pisali, że nie ma już nadziei na znalezienie brata. „To wielka, rozległa i niebezpieczna kraina” napisał urzędnik Crown Agent z Hope Town. „Prawdopodobnie pański brat został rozszarpany przez lwy”.

W marcu 1869 roku Kolonię na Przylądku ogarnęła gorączka poszukiwania diamentów. Schalk van Niekirk, ten sam, który kilka lat wcześniej znalazł Eurekę, pojawił się na scenie z kolejnym kamieniem. Diament został znaleziony przez pasterza z plemienia Griqua na farmie, niedaleko rzeki Orange. Później wszedł w jego posiadanie czarownik plemienny, który używał go jako amuletu. Van Niekirk odkupił go za 500 sztuk owiec, dziesięć krów oraz jednego konia. Ale kiedy wysłał go do Kapsztadu, do wyceny, okazało się, że to wspaniały biały diament o wadze osiemdziesięciu pięciu karatów. Nazwano go Gwiazdą Afryki Południowej i sprzedano hrabiemu z Dudley za 25 000 funtów. Kładąc diament na stole w parlamencie, sekretarz kolonialny sir Robert Southey powiedział: „Panowie, oto kamień, na którym zostanie zbudowana przyszłość Afryki Południowej”.

Korespondent z „Colesberg Advertiser” zapytał złośliwie: „Ciekawe, co teraz powiedziałyby Gregory, gdyby tutaj był. Może ten kamień również został upuszczony przez strusia?”

W ciągu kilku następnych tygodni inne diamenty znaleziono na brzegach rzeki Vaal, trochę dalej na północ, na terenie Orange Free State. „Cape Argus” wydrukował nagłówki, które głosiły: *Diamenty! Diamenty! Diamenty!* W kwietniu wszystkie trakty wiodące z Kapsztadu w głąb kraju

załudniły się kopaczami różnych narodowości.

Great Karoo była jak zwykle nieprzystępna, zakurzona i bezlitosna, co spowodowało, że kilku kopaczy zmarło po drodze, ale pewien reporter stwierdził, że kiedy umierali, widzieli oczami duszy diamentowe pola, które błyszczały, jak gdyby były pokryte kroplami rosy, widzieli diamenty w falującej trawie i wiszące na gałęziach drzew wzdłuż całej rzeki Vaal, a drogi i dróżki wyglądały jak pokryte szronem.

Nie zważając na polityczną niezależność Orange Free State, który w 1834 roku został w bezwzględny sposób podbity przez Holendrów, wtargnęły tam hordy pazernych poszukiwaczy diamentów z jednym tylko pragnieniem: wzbogacić się. Wkrótce brzegi wzdłuż rzeki Vaal i Orange zostały rozparcelowane na niewielkie działki i ci, którzy przybyli zbyt późno, musieli szukać diamentów „na sucho”, w sporej odległości od wody. Farmerzy w Hopetown, Klipdrift i Pniel znaleźli swoje płoty i ogrodzenia powalone na ziemię oraz powyrywane z korzeniami drzewa. Jeden po drugim wyprzedawali ziemię, bo nie widzieli sensu gospodarowania na farmach, które były systematycznie niszczone przez bezprawnie działających poszukiwaczy diamentów.

Przed przybyciem awanturników Barney spacerował czasami brzegami rzeki Orange, która płynęła niedaleko Derdeheuvel; schylił się nawet kilka razy, żeby podnieść garść żwiru i przepuścić między palcami, ale nie znalazł nic, co w przybliżeniu przypominałoby diament. Niedługo potem porośnięte drzewami brzegi rzeki zostały zajęte przez kopaczy. Raz czy dwa razy, z czystej ciekawości, poszedł zobaczyć, jak przepuszczają błoto przez kuchenne sita, oddzielając patykami kamyczki. Rzadko odzywali się do niego. Jedyne słowa, które usłyszał od tych brodatych mężczyzn w tanich roboczych koszulkach i poplamionych błotem spodniach, były wypowiedziane podejrzliwym tonem „dzień dobry” i „do widzenia”. Godzinami przesiadywali przy swoich składanych drewnianych stolikach, wybierając nawet najmniejsze okruchy diamentowe z sit, przelewając przez nie i przesypując tony błota i żwiru, wydobywanego przez ich pomocników — Murzynów. Barney doszedł do wniosku, że szukanie diamentów przypomina mu znaną z bajek pracę za karę, kręcenie złotego sznura ze snopków słomy.

Na pastwiskach zakwitły różowo-białe kwiaty, zwiastuny zbliżającej się zimy. Przez dwa tygodnie lał deszcz, z czego bardzo cieszyli się farmerzy. Afrykanerzy, widząc zbierające się chmury burzowe, zawsze mówili z nie tajoną radością: „Pogoda się polepsza”. Ale deszcz był morderczy dla poszukiwaczy diamentów, zwłaszcza że znacznie oziębiło się i wyłobione dziury w ziemi zaczęły zamarać. Słońce, które zasłaniały chmury, przypominało wielką kulę opalu. Pomimo tego setki kopaczy przyjeżdżało z Kapsztadu i Durban. Podróżowali skrzypiącymi wozami albo na zmęczonych koniach i kiedy docierali do ocienionych przez wierzby brzegów rzeki Vaal, zrywali kapelusze z głów, podrzucali je do góry i wrzeszczeli z radości, a potem budowali prowizoryczne chatki i marzyli o olbrzymiej wielkości diamentach.

Niektórzy z nich stawali się bogaczami od razu. Jeden młody poszukiwacz klęczał w kościele i znalazł diament wciśnięty w klepisko. Pewien Anglik zrezygnował ze swojej działki, ponieważ kopiąc w niej od wielu tygodni nie znalazł niczego, ale mężczyzna, który przyszedł po nim, już pierwszego dnia wykopał rów na sześć cali głęboki i znalazł prawie trzydziestokaratowy diament, który sprzedał za 2500 funtów.

Barney z radością odkrył, że farma zaczyna prosperować. Oranjerivier było oddalone od działek diamentowych, a więc pola nie odwiedzali poszukiwacze marzący o milionach i nie szukali tam drewna na ogniska, burząc stodoły i rozwalając płoty. Było jednak na tyle blisko, że Barney wysyłał tam codziennie jednego ze swoich Griqua z wozem załadowanym jajami, beczkami z mlekiem i świeżą wodą, żeby sprzedawał produkty poszukiwaczom diamentów, co w znacznym

stopniu podreperowało budżet Derdeheuvel. Mleko — 1 szyling 6 pensów za wiadro; woda — 5 pensów za wiadro; jajka — 2 pensy za sztukę. Drogo, ale cóż mieli zrobić kopacze? Barney założył nawet biuro pośrednictwa pracy dla czarnych, używając Donalda jako tłumacza i pośrednika w rozmowach z miejscowym *dikgoro* czy tubylczymi społecznościami. Chociaż brał za jednego tubylca 35 funtów i 3,5 pensa miesięcznie, co było znacznie drożej niż gdzie indziej, wielu poszukiwaczy diamentów wolało robotników Barneya od zwykłych nicponiów, którzy kręcili się w pobliżu działek, chociażby ze względu na uczciwość tych pierwszych. Jeżeli którykolwiek z nich próbował się zemścić na swoim panu za to, że go bił czy źle traktował, i połykał lub chował wydobyte diamenty do kieszeni, Donald wkraczał do akcji i dawał mu porządnie w skórę. „Kilka batów dla nauczki” mówił po ojcowsku.

— Wkrótce diamenty się skończą — powiedział Monsaraz pewnego wieczoru, kiedy siedzieli przy kolacji, zajadając sporządzony przez Donalda *bobotie*. — I wtedy te ziemne glisty w ludzkich skórach zostawią nas w spokoju.

Barney spojrział na Monsaraza oświetlonego światłem z kandelabra. Był blady od przedawkowania dżinu i braku słońca. Pod okiem bez przerwy drgał mu mięsień.

— Wolałbym, żeby zostali — powiedział Barney ostrożnie, sięgając po butelkę z winem. — Dzięki nim farma ma zyski. W tym miesiącu zarobiliśmy na czysto pięćdziesiąt omem funtów.

Monsaraz odsunął talerz.

— Dlaczego on zawsze gotuje to malajskie paskudztwo? — wymamrotał. Nalał sobie do szklanki dżinu, który wypił trzema długimi łykami.

— Wkrótce wszystko się tutaj zmieni, panie Monsaraz. Będzie musiał się pan z tym pogodzić. Dzisiaj rano znaleźli nad rzeką siedmioipółkaratowy diament. Jeszcze kilka lat i poszukiwacze założą w Oranjerivier swoje własne miasto, z ratuszem, gmachem sądu i...

— Sąd? — warknął Monsaraz. — Czy myśli pan, że to zabawne? Sąd?

— Chciałem tylko powiedzieć, że...

— Przypuszczam, że to pańskie żydowskie poczucie humoru. Sąd? Czy męczenie mnie sprawia panu przyjemność?

— Ależ o czym pan mówi? — zaprotestował Barney. — Chciałem powiedzieć, że...

— Bardzo dobrze pan wie, o czym mówię! — krzyknął Monsaraz. — Cholernie dobrze pan wie, o czym mówię!

Wstał od stołu i zatoczył się kilka razy, zanim złapał równowagę.

— Cholernie dobrze pan wie, o czy mówię — powtórzył. — Cholernie dobrze.

Otworzył szeroko usta, ciężko dysząc. Mięśnie gardła zaczęły mu pulsować i nagle wymiotował nie strawione mięso i jarzyny na swój biały garnitur. Barney zamknął oczy i zaczął się modlić.

W ciągu dwóch następnych lat Barney wielokrotnie miał ochotę wyjechać z Derdeheuvel. Monsaraz jednak uspokoił się i bardzo rzadko wybuchał gniewem, a ponadto Barney nie miał dokąd pójść. Co prawda wierzył, że Joel żyje i mieszka gdzieś w Kolonii na Przylądku albo w Orange Free State. Czasami zostawiał farmę pod opieką Donalda, a sam wyruszał lekkim powozem zaprzęgniętym w jednego konia do Hopetown, Jagersfontein, a nawet do Klipdrift. Zawsze przy takich okazjach zabierał ze sobą zapas suszonego mięsa, ser oraz suszone owoce, które sprzedawał spotykanym po drodze poszukiwaczom diamentów. Czasami poszukiwacze diamentów płacili mu kolonialnymi funtami, ale najczęściej — małymi diamentami. Zima ustąpiła miejsca wiośnie, a po wiośnie nadeszło gorące lato. Barney poznał niemalże wszystkich kopaczy diamentów, poznał ich metody pracy, wiedział, gdzie znajdują się najlepsze działki. Zaprzyjaźnił się też z kilkoma mężczyznami,

którzy diamenty skupowali, zakładając swoje biura w pobliżu działek.

Jego ulubieńcem był Harold Feinberg, który prowadził skup w małej, drewnianej, wzmocnionej żelaznymi prętami chatce; wybudował ją w Klipdrift, nad rzeką Vaal. Feinberg przyjechał do Afryki Południowej z londyńskiego East Endu, zostawiając rodzinną fabryczkę, w której produkował cygara. Postąpił tak ze względu na pogarszające się zdrowie. Miał trzydzieści sześć lat, był gruby i cierpiał na astmę. Zawsze nosił na głowie biały korkowy hełm, nawet wtedy, kiedy przebywał pod dachem. Kiedykolwiek Barney przyjeżdżał do niego z wizytą, Feinberg zapraszał go do dusznego pokoiku na zapleczu. Siadali w fotelach, pili czarną mocną herbatę, a gospodarz wyciągał diamenty z szuflady biurka, kładł je na blacie i wyjaśniał Barneyowi, ile są warte.

— Ten na przykład... siedem i trzy czwarte karata, doskonały, ale szklisty. A ten... dwadzieścia jeden karatów, ale ze skazą... musisz nauczyć się na nie patrzeć.

Od Harolda Feinberga Barney dowiedział się wszystkiego o nielegalnie działających kupcach diamentów... byli to ludzie, którzy obozowali na obrzeżach diamentowych pól i płacili mniej za przyniesione kamienie, nie troszcząc się, kim był właściciel, ani skąd pochodził. Właśnie do tych kupców bez licencji przychodzili czarnoskórzy robotnicy, którzy kradli diamenty z działek swoich panów, albo nieuczciwi wspólnicy, którzy chcieli oszukać swoich partnerów. Ale na ogół diamentowy interes był czysty i wszyscy postępowali zgodnie z prawem. Stafford Parker, Anglik o surowej twarzy, mianował się gubernatorem okręgu Klipdrift oraz prezydentem Stowarzyszenia Poszukiwaczy Diamentów, mającego na celu prawną ochronę interesów kopaczy. Wzorując się na swoich doświadczeniach z czasów kalifornijskiej gorączki złota, Parker zmusił wszystkich kopaczy diamentów do przeczytania, podpisania i przestrzegania długiej listy nakazów i regulacji oraz powołał magistrat, który podczas swego codziennego urzędowania wysłuchiwał skarg i wniosków. Złodzieje karani byli chłostą albo wleczeni za galopującym koniem po kamienistym korycie rzeki Vaal.

W 1870 roku Stafford Parker posunął się jeszcze dalej i ogłosił diamentowe pola Republiką Poszukiwaczy Diamentów, której był pierwszym prezydentem. Barney spotkał go dwa razy — za pierwszym razem było to przed namiotem Dana Evansa, w Gong Gong. Miejscowy wódz Griqua, Jan Bloem, był tam również i siedział przy ognisku na małym składanym krzeselku. Miał na sobie jaskrawo-żółty garnitur w kratę. Barney po raz pierwszy w życiu miał okazję zobaczyć takie cudencko. Parasol Bloema, ciasno zrolowany, tkwił obok niego w miękkiej ziemi.

Stafford Parker okazał się białobrodym, niewysokim mężczyzną, bardzo mocno opalonym. Silnie potrząsnął Barneya za rękę i zapytał:

— Jest pan poszukiwaczem? Nie, to niemożliwe. Nie ma pan zniszczonych rąk.

— Jestem farmerem, sir, w Oranjerivier.

— Nie wygląda pan na farmera. I nie mówi pan jak farmer.

— Przybyłem z Nowego Jorku. Miałem tam interes — odpowiedział Barney. — Krawiectwo.

Stafford Parker spojrzał na niego ostro.

— Krawiectwo? Żyd?

— Tak, sir.

— Hmm. Trzymaj się pan lepiej z dala od handlu diamentami. I tak zbyt wielu srulów się tym zajmuje.

Barney zaczerwienił się.

— Kogo nazywa pan srulem, sir?

— Przecież tak was przezywają — odpowiedział cierpkim głosem Stafford Parker.

— Ignoranci oraz ludzie wrogo do nas nastawieni, sir.



— Tak też myślałem — powiedział Stafford Parker. — Ale obawiam się, że będąc lojalnym poddanym Korony Brytyjskiej, uważam za słuszne i sprawiedliwe ignorowanie facetów, którzy ukrzyżowali naszego Pana, oraz wrogie nastawienie do ich potomków.

Stafford Parker oddalił się na sztywnych nogach, zostawiając Barneya dyszącego ze wściekłości. Z drugiej strony ogniska Jan Bloem słuchał wymiany zdań z wyraźnym zainteresowaniem.

— Anglicy mają zwyczaj obrażania wszystkich, których spotkają na swojej drodze — powiedział po chwili. — To ich tradycja, która przekazywana jest z pokolenia na pokolenie. Henryk V, sir Walter Raleigh, Jerzy III, a teraz Stafford Parker. Niech to po panu spłynie jak woda po kaczce.

Barney spojrział na niego uważnie. Słowa, które wypowiedział czarnoskóry mężczyzna z dzikim wyrazem twarzy, o płaskich, świecących policzkach i z kręconą brodą, wydały mu się bardzo cywilizowane. Dwa złote koła błyszcząły pod rondem jego wysokiego kapelusza.

— Musi pan kiedyś przyjechać do mojej wioski, to porozmawiamy o judaizmie — ciągnął dalej Griqua. — My, Griqua, jesteśmy mocno wierzącymi chrześcijanami i uwielbiamy muzykę religijną. Z przyjemnością wysłucham pańskiej opinii na temat Biblii.

— Tak — odpowiedział Barney. Nie bardzo wiedział, co dodać. Po raz pierwszy od przeszło osiemnastu miesięcy ktoś chciał zmusić go do obrony judaizmu. Mogło to być dla niego niezbyt przyjemne, tym bardziej że już dawno nie uczestniczył w starych obrządkach religijnych. Jedynie *schachris*, *mincha* i *rnaireu* odmawiał codziennie i odpoczywał w *Shabbes*. A tu ten śmiesznie wyglądający mieszaniec chciał z nim dyskutować o Talmudzie. — Ja... ja... wrócę tu za miesiąc — dodał jękając się. — Poproszę swojego człowieka, żeby mi objaśnił, jak dostać się do twojej wioski.

— Z niecierpliwością będę pana oczekiwał — powiedział Jan Bloem i zdjął kapelusz.

Wrócił do Derdeheuvel. Zimowe kwiaty ponownie rozkwitły, zapowiadając najzimniejszą porę roku. Był rok 1871. Monsaraz stawał się coraz bardziej ponury, pił coraz więcej i prawie wcale się nie odzywał. Krzyczał za to po nocach i wygłaszał długie, niezrozumiałe tyrady; czasami zamykał się na całe dnie w swoim pokoju. Były okresy, kiedy czuł się lepiej, zasiadał wtedy z Barneyem do kolacji podanej na werandzie — jeżeli było ciepło, ale ograniczał się do wypicia kilku szklanek dżinu.

Raz, tylko jeden raz, przysłał Barneyowi do pokoju jedną ze swoich dziewcząt. Zapukała do saloniku pewnego wieczoru, w czerwcu 1871 roku, kiedy to Barney pracował przy swoim biurku, mając na sobie długi, biały, bawełniany szlafrok, który Donald kupił na miejscowym rynku. Miał szerokie rękawy, a brzegi obszyte były czerwoną tasiemką.

— Panie? — powiedziała dziewczyna, otwierając drzwi. Była drobna, przystojna i bardzo czarna. Włosy miała związane w krótki mysi ogonek z wplecionymi kolorowymi paciorkami. Miała na sobie prostą, na brązowo pofarbowaną togę, pod którą falowały duże, jędrne piersi. Pod spodem musiała być naga.

Barney podniósł głowę znad stołu. Odłożył pióro. Ostatnio coraz gorzej widział, z przemęczenia, postanowił nawet posłać kogoś do Durbanu po okulary.

— Tak? — zapytał. — Czego chcesz?

— Pan Mont-harry powiedział, żebym tutaj przysła.

Barney wstał.

— Rozumiem. Czy dał ci jakąś kartkę?

— On mówi, że ty jesteś sam, panie. Przyszłam, żebyś nie był sam.

— To znaczy kazał ci przyjść do mojego łóżka? Dziewczyna pokiwała głową.

Barney spojrział na list, który właśnie pisał. „Drogi Panie. Od kilku lat próbuję znaleźć swojego brata Joela Blitza vel Barkera i zastanawiam się...” Wziął do ręki pióro i złamał je na pół, kładąc kawałki na blacie stołu.

Czarna dziewczyna patrzyła na niego zdumiona.

— *Efidile* — powiedziała.

Barney wiedział, co oznaczały te słowa. „Umarło”. Ban-tu wierzyli, że przedmioty domowego użytku mają duszę i jeżeli ktoś stłukł talerz albo filiżankę, zawsze mówili *efidile*, tak jakby umarł człowiek.

Następnego ranka przy śniadaniu Barney i Monsaraz pokłócili się. Monsaraz był jeszcze pijany po nocnej libacji i kaszłał, wypluwając krwawą flegmę.

— Nie chcę, żebyś przysyłał mi swoje dziewczyny! — krzyczał Barney.

— Chciałem wyświadczyć ci przysługę! — nie pozostawał mu dłużny Monsaraz. — Boże, jesteś zarozumiałym, niewdzięcznym łajdakiem! Myślałem, że jesteś na tyle człowiekiem, że możesz zapragnąć kobiety, i tylko dlatego kazałem jej do ciebie przyjść!

— Jestem człowiekiem — powiedział Barney. — Ale kiedy potrzebuję kobiety, to znajduję ją sobie sam. Nie potrzebuję resztek z twojego stołu! Jakiegoś wybrakowanego towaru!

— Ona nie była wybrakowanym towarem! — wypalił Monsaraz. Musiał przestać krzyczeć przez dłuższą chwilę, ponieważ chwycił go atak kaszlu. W końcu złapał butelkę dzinu, przepłukał sobie nim gardło i wreszcie był w stanie dokończyć. — To dziewczyna, którą nazwałem Zanza. Jest z plemienia Tswana. Nazwałem ją Zanza, ponieważ gra na instrumencie muzycznym. Na czymś, co przypomina ksylofon zrobiony z metalu.

— Nie chcę jej — powiedział Barney tak spokojnie, jak umiał.

— No cóż, twoja sprawa. Ale czasami zastanawiam się, jak możesz wytrzymać. Tylko praca i żadnych kobiet. Czy wy, Żydzi, macie jakichś świętych? Nie? To dziwne, bo ty z pewnością zaliczyłyś się w ich poczet.

Tego samego dnia po południu Barney osiodłał konia, którego razem z czterema innymi kupił w Hopetown, i ruszył na przejażdżkę, aby skontrolować północno-wschodnią część Derdeheuvel. Lubił jeździć konno, chociaż wcale nie był dobrym jeźdźcem. Monsaraz twierdził, że przypomina wtedy plaster wołowiny podrzucany na kocu. Zatrzymał wierzchowca na szczycie niewielkiego wzgórza i spojrział na pofałdowane pola, otaczające pomalowane na biało budynki farmy. Był chłodny, wietrzny dzień i miał na sobie tweedową marynarkę, którą zrobił sam, obcinając dół prochowca.

Monsaraz, chociaż był grubiański, miał rację. Potrzebował kobiety. A nawet więcej — potrzebował żony. Dziewczyny, która byłaby kochanką, przyjaciółką, powierniczką sekretów i z którą dzieliby się odpowiedzialnością. Zdał sobie sprawę, zresztą nie po raz pierwszy w swoim życiu, jak dokuczliwa była samotność. Miał dwadzieścia dwa lata i oprócz kilku przypadkowych znajomych z kręgu kopaczy diamentów, farmerów i handlarzy, nie miał żadnych przyjaciół. Czasami chodził z Donaldem na ryby, ale jego na pół afrykański dialekt, którym mówili Griqua, był dla Barneya zazwyczaj niezrozumiały, a do tego sam Donald był dziecinny i irytujący.

Barney czuł, że ma w sobie ogromne rezerwy ciepła, które chciałyby przelać na ludzi, nawet na Monsaraza, czuł się psychicznie bardzo silny. Wiedział, że organizując farmę, postąpił prawidłowo. Głęboko w podświadomości czuł, że drzemie w nim ambicja, której na razie nie potrafił określić — ambicja jak chmura gradowa, ciemna i ciężka. Tylko wtedy, kiedy będzie umiał zrozumieć swoją ambicję, będzie mógł wyrazić swoje uczucia — ponieważ dopóki nie będzie w stanie zrozumieć, czego oczekuje od życia, nigdy nie dowie się, kim jest i co go tutaj przywiodło.

Większość miejscowych farmerów polubiła go, chociaż niewielu z nich potrafiło zrozumieć jego żydowską łagodną naturę oraz wyrafinowane nowojorskie maniery. Holendrzy zamieszkujący Kolonię byli ludźmi bezpośrednimi, szczerymi, wydawali się aż ordynarni; ale jeżeli zmuszeni byli do przebycia siedmiuset mil, żeby uwolnić się od Brytyjczyków, to mieli w pełni do tego prawo. Niektórzy nazywali go prosto z mostu „Żydkiem”, ale zaraz potem klepali życzliwie po ramieniu, aż się wyginał, i zapraszali, żeby obejrzał dopiero co urodzone cielę czy owcę. Wiedzieli, że jego farma była schludnie utrzymana, że czarnoskórzy robotnicy byli szczęśliwi, pracując dla niego, i że osiągał zyski. A co najważniejsze, był amerykańskim Żydem, nie brytyjskim.

Żaden z nich nie wiedział, co czuł, kiedy kładł się spać w swoim wąskim, drewnianym łóżku z rzeźbionym w kwiaty wezłowiem. Żaden z nich nie wiedział, jak często w snach widział swojego ojca, pogrążonego w smutku, ciężko pracującego, nie mogącego sobie wybaczyć, że nie powiedział żonie oraz synom, jak mają bez niego żyć. Żaden z nich nie wiedział, jak często zaciskał dłonie w pięści i potem powoli je otwierał w obawie, że znajdzie na nich matczyną krew.

Ci, którzy lubili go najbardziej, nazywali go żydowskim Burem i częściej zapraszali do domów na obiady. Pik Du Plooy, którego farma graniczyła z Derdeheuvel na wschodzie, był wyjątkowym przyjacielem, prawdziwym z krwi i kości Burem z zawadiacką twarzą i jasnymi, prawie białymi włosami. Taki był Simon de Klerk, niewysoki, kwadratowy mężczyzna, który swoją farmę leżącą na przeciwległym brzegu rzeki Orange nazwał *Pnddagang*, co znaczyło Żabia Ścieżka. Pomimo to, że lubili towarzystwo Barneya, był dla nich *Uitlanderem*, cudzoziemcem i Żydem; i jeżeli tylko jedna z ich córek wykazywała większe zainteresowanie jego osobą, natychmiast zapadała cisza albo zaczynało wygłaszać głośno uwagi, jak trudno mu przyjdzie, biedakowi, znaleźć miłą i odpowiednią dla siebie żydowską dziewczynę, bo nie było ich zbyt wiele w okolicy Oranjerivier.

A już zostawiając na boku jego żydostwo, to mieszkał z Monsarazem, a Monsaraza wszyscy uważali za diabła.

Jednego wieczoru, krótko po kolacji z Du Plooyem, podczas której zjedli pierogi z wołowiną, Barney wsiadł do swojego powozu, kierując się w stronę Derdeheuvel. Zatrzymał kuce, kiedy znalazł się przy rzece, między wierzbami. Ogniska rozpalone przez poszukiwaczy diamentów rozświetlały noc, przypominając obozowisko jakiejś dziwnej armii. Siedział na koźle z zamkniętymi oczami, modląc się do Boga, żeby go oświecił, żeby dał mu siłę i powiedział, co ma robić.

Nic się nie wydarzyło. Rzeka Orange obmywała skały; wieczorny wietrzyk poruszał gałązkami wierzb; owady śpiewały swoją monotonną *ihubo*, pieśń na tysiąc głosów.

Powierzchnia wody błyszczała i migotała w skąnym świetle ukrytego za chmurami księżyca. Barneyowi wydawało się, że świecą diamenty.

Zimą oraz wiosną 1871 roku trzy zupełnie nie związane ze sobą wydarzenia całkowicie zmieniły życie Barneya.

W Vooruitzigt, na posiadłości należącej do dwóch braci o surowych twarzach, Johannes a i Diedricha De Beerów, o milę od Bultfontein, znaleziono diamenty. Leżały rozrzucone na polu. Dwa miesiące później grupa poszukiwaczy, których z powodu dziwnych okryć głowy przewano Partią W Czerwonych Kapeluszach, miała szczęście wyrzucić ze swojego obozu czarnego służącego Damona, który nadużywał alkoholu. Następnego ranka Damon, który przez całą noc wędrował po wzgórzach znanych jako Colesberg Kopje, wrócił z pełną garścią surowych diamentów — diamentów lepszej jakości niż te, które kiedykolwiek tutaj znajdowano. Gorączka diamentów rozpoczęła się. Po kilku godzinach, kiedy tylko wiadomość wydostała się na zewnątrz, hordy poszukiwaczy ruszyły do Vooruitzigt, szukając w żółtawej glebie szlachetnych kamieni z uporem i wściekłością mrówek.

Colesberg Kopje natychmiast przemianowano na Nową Gorączkę Diamentów De Beerów. Namioty, chaty poszukiwaczy diamentów, handlarzy, karciarzy, prawników, magików i prostytutek powstawały jak grzyby po deszczu. Nawet Harold Feinberg opuścił swoje pomieszczenia w Klipdrift i wybudował biuro naprzeciwko siedziby spółki London & South African Exploration Company, tuż przy grząskim trakcie, który służył De Beerom jako główna droga.

Dużo później Barney opowiadał, że cały kraj ogarnęło podniecenie. Wszyscy opowiadali sobie niestworzone historie o fortunach, które powstawały w ciągu jednej nocy. Bracia De Beerowie, którzy kiedyś kupili farmę za pięćdziesiąt funtów, teraz sprzedali ją za sześć tysięcy i wyjechali w inne okolice. Później z żalem mówili każdemu, że uczciwszą ceną byłoby sześć milionów.

Drugim wydarzeniem, które zmieniło życie Barneya, był przyjazd do Nowej Gorączki Diamentów De Beerów angielskiego prawnika, Briana Knighta, który postanowił otworzyć tutaj interes i przywiózł ze sobą żonę Clemmie oraz dwie córki, Agnes i Faith.

Trzecim wydarzeniem było znalezienie brata, Joela.

Barney wybrał się w podróż do Nowej Gorączki Diamentów De Beerów w październiku 1871 roku. Chciał zobaczyć się z Haroldem Feinbergiem. Wiózł ze sobą małą skórzaną sakiewkę, wypełnioną nie obrobionymi diamentami, które dostał w zamian za mleko, jajka oraz inne produkty żywnościowe od kopaczy znad rzeki Orange. Był pewien, że Harold Feinberg da mu za nie rozsądną cenę. Oprócz tego chciał przez pewien czas odpocząć od Monsaraza. Jego portugalski pracodawca pił coraz więcej i coraz mniej myślał — tłukł szyby w oknach, rzucał talerzami, bił kobiety Bantu, które przychodziły do niego, aby pofiglować. W noc poprzedzającą wyjazd Barneya, Monsaraz opowiedział mu długą i żalosalną historię o tym, co zrobił z dwiema nieletnimi dziewczynkami z plemienia Venda, z którymi zamknął się w swoim pokoju na trzy dni.

Barney zabrał ze sobą Donalda, a chudego Adama Hoovstratena zrobił nadzorcą swoich czarnych robotników. Donald uwielbiał podróże. Siedział wtedy z ważną miną na drewnianej desce w powozie i wysokim głosem śpiewał psalmy. Barney nie słyszał takich treli od kiedy opuścił Nowy Jork. W tym czasie Donald mianował się majordomusem Barneya i dżentelmenem dżentelmena i nigdy nie wspominał o powrocie do Paarl.

— Być może znajdziemy panu jakąś miłą dziewczynę w Colesberg — powiedział do Barneya, kiedy siedzieli przy ognisku, kilka mil na północ od Ritchie, gdzie rzeka Modder wpływała do Riety. Była chłodna, cicha noc, a niebo błyszczało gwiazdami.

— Skąd przyszło ci do głowy, że szukam dziewczyny? — zapytał Barney. Marynarkę, którą wkładał na siebie w podróż, oraz bryczesy powiesił na pobliskim krzaku i pracowicie szył swoją *ueldschoen*, przy której odeszła podszewka.

Donald mocniej owinął się płaszczem. Palił fajkę, aromatyczny dym mieszał się z zapachami nocy.

— Pan Monsaraz mówi, że szuka pan dziewczyny. Wytwornej dziewczyny. Nie czarnej. I również nie kurwy.

— To żaden pana Monsaraza interes. Twój również nie, jeżeli już o tym mówimy.

Donald wzruszył ramionami.

— Tylko pan tak mówi. Ale jeżeli pan chce, to pomogę panu znaleźć siostrę. Mam pięć dobrych sióstr w Oranjerivier, a dwie w Bultfontein.

— Widziałem kilka twoich sióstr, Donaldzie. Wszystkie są brzydkie jak nie wiem co.

— Brzydkie, tak — pokiwał głową Donald. — Tak, brzydkie! Ale dobre na kilka godzin! Nigdy nie są zmęczone.

Barney sięgnął po swoje emaliowane naczynie z mocną, holenderską kawą i wypił łyka. Jutro

rano dotrą do Nowej Gorączki Diamentów De Beerów, a właściwie do Kimberley, ponieważ taka była oficjalna nazwa. Stało się tak w wyniku protestu brytyjskiego sekretarza kolonialnego, ponieważ nie potrafił wymówić ani Vooruitzigt, ani Colesberg Kopje, chociaż właściwie nawet nie próbował. Ponadto uważał, że nazwa typu Nowa Gorączka Diamentów De Beerów przyniesie ujmę Imperium Jej Wysokości. Postanowił przechrzcić diamentowe miejsce i nadać mu imię swojego ulubionego administratora.

— Co myślisz o Monsarazu, Donaldzie? — zapytał Barney. — Tylko nie kłam.

Świecące oczy Donalda spojrzały na Barneya przez ognisko.

— Biblia mówi: „Nie sądź, a nie będziesz sądzony”.

— Monsaraz sam się osądził — odparł Barney. — Wszystko to, co zrobił, zaciska się pętlą wokół jego szyi.

— No cóż — powiedział Donald. — Skoro pan Monsaraz sam się osądził, to my już nie musimy tego robić. Sprawa zakończona.

— Boję się o farmę, o swój własny byt. Pracowałem na niej przez dwa lata, podźwignąłem z upadku. Co się z nią stanie, jeżeli Monsaraz umrze albo postanowi sprzedać ją kopaczom diamentów?

Donald wyciągnął z ogniska tłącą się gałązkę i przypalił fajkę.

— Pan Monsaraz nie sprzeda. Kiedyś powiedział do mnie: Donald, przyjechałem tutaj do Oranjerivier, ponieważ to koniec świata. Sekretne miejsce. Powiesz komuś w Portugalii o Oranjerivier — odpowie, nie, nie znam takiego miejsca. Nigdy o czymś takim nie słyszałem, człowieku.

— Ale teraz staje się sławne na cały świat. Dzięki diamentom.

— Trafił pan w sedno sprawy — zgodził się Donald. — I właśnie dlatego pan Monsaraz jest przerażony. Ale nie będzie próbował ucieczki. Powiedział, że chce umrzeć na swoim własnym *kleinplasie*, na swojej własnej, małej farmie.

— Cieszę się, że staje się sentymentalny, kiedy mówi o miejscu, które ja doprowadziłem dla niego do porządku.

Donald nie odpowiedział. Sam nigdy niczego nie posiadał, nawet nie miał takich aspiracji. Jego biali znajomi stanowili dla niego tajemnicę, której nie potrafił przeniknąć, byli kapryśni jak Rhubega, bóg pogody.

Barney przewracał się na swoim materacu. Ciepły wietrzyk od Modder poruszał źdźbłami trawy. Wiosenne noce na północnej części Przylądka były najsuchszymi, najmuzykalniejszymi miejscami na ziemi. Sucha muzyka, która unosiła się nad suchymi trawami, pogwizdywania pasterzy Venda, którzy umieli porozumiewać się na wielkie odległości, gwizdząc melodie, zastępujące słowa.

Harold Feinberg ucieszył się, kiedy go zobaczył, chociaż był bliski załamania z powodu światowych cen diamentów. Nie lubił swojego nowego biura; chata faktycznie była podła, a na dodatek obok niego, w sąsiednim pomieszczeniu, mieszkała rudowłosa Irlandka, która trudniła się uprawianiem nierządu, i co dziesięć minut ściany budynku trzęsły się jak podczas trzęsienia ziemi. Harold poczęstował Barneya gorącym rumem i mlekiem. Donald poszedł poszukać sobie jakąś siostrę, a oni usiedli na progu chaty i rozmawiali.

— Jest więcej diamentów, niż ktokolwiek mógłby sobie wyobrazić — powiedział Harold. — Nieźle mi idzie, chociaż krach na rynku. Kopacze przynoszą mi pierwszorzędnej jakości diamenty wiadrami. Mówię poważnie, wiadrami. W wiadrach! Mogę grymasić, wybierać, co tylko chcę.

— Dlaczego masz takie podłe biuro? — zapytał Barney z uśmiechem.

— A czego byś chciał, żebym wybudował pięciopiętrowy gmach w gotyckim stylu z błota,

trawy i blachy falistej? Cegły, balkony z prętów i wszystkie zresztą materiały budowlane przysyłają z Kapsztadu oraz Durbanu. Do tej pory nie było jeszcze dostawy i trzeba będzie na nią poczekać przynajmniej kilka tygodni. Zresztą, biuro nie jest najważniejsze. Najważniejszą rzeczą jest być tam, gdzie znajdują się diamenty. Możesz założyć interes w norze albo w pałacu, bez znaczenia. Ale tam, gdzie wydobywane są diamenty, i to jest najważniejsze.

Barney zamieszał rum łyżeczką, po czym położył ją z powrotem na stole.

— Odkąd tu przyjechałem, otaczają mnie diamentowe działki, ale w dalszym ciągu jestem biedny jak przedtem.

— Przecież farma prosperuje dobrze.

— Nie najgorzej. Ale nie jestem bogaty. I nie mogę się spodziewać, że w końcu to się zmieni.

Farma należy do Monsaraza, nie do mnie.

— Może powinieneś kupić udziały jakiejś działki?

— Znasz ceny? Na pewno znasz. Od trzech do czterech tysięcy funtów. Do tej pory zaoszczędziłem jakieś siedemdziesiąt, osiemdziesiąt funtów.

Harold skrzywił się z dezaprobatą.

— Spróbuj znaleźć wspólnika. Znajdź kogoś, kto zechce z tobą kopać. To dobra rada, Barney. Życiowa szansa, bo kiedy przekopią całą ziemię, interes wkrótce się skończy.

W tym momencie na ulicy pojawił się energiczny mężczyzna z grubym wąsem i w kapeluszu z szerokim rondem.

Szedł chodnikiem szybkim krokiem, uderzając końcem laski w mijane po drodze budy. Mimo upału był ubrany w ciemny garnitur, zapiętą pod szyję koszulę z białym kołnierzykiem i krawat. Kiedy się zbliżył, Barney zauważył, że jego rzęsy są białe i szczeciniaste, jak u świni.

Harold wstał, ciągle trzymając w dłoni pusty kubek.

— Dzień dobry, panie Knight. Jak się pan miewa?

— Tak sobie — oznajmił Knight. Wyjął z kieszeni chusteczkę i głośno wydmuchał nos.

Harold spojrzał na niego ze współczuciem.

— Nie mogę powiedzieć, że bym wam zazdrościł, wam, prawnikom, tego całego bałaganu.

— No cóż, bywa i tak — odparł Knight, wlepiając wzrok w jakiś punkt po drugiej stronie ulicy. Barney odwrócił się i spojrzał w tym samym kierunku. Stały tam dwie dziewczyny w prostych, jasnych sukienkach, kręciły zalotnie parasolkami, rozmawiając z jakimś młodym, wysokim kopaczem w kapeluszu z wielkim, obwisłym rondem.

— A to mój młody przyjaciel z Oranjerivier — powiedział Harold. — Amerykanin z Nowego Jorku.

— Doprawdy? — zdziwił się uprzejmie Knight, ale cały czas patrzył na dziewczyny po drugiej stronie ulicy. W końcu, nie wytrzymując, krzyknął do nich ostro i donośnie:

— Agnes! Faith!

Dziewczyny natychmiast odwróciły się, zauważyły pana Knighta, machnęły ręką kopaczowi na pożegnanie i przebiegły przez ulicę, unosząc trochę sukienki, żeby nie zabrudzić brzegów. Stały przed ojcem, wstrzymując oddechy, z zaróżowionymi policzkami, przygotowane na burę.

— Proszę mi wybaczyć — powiedział Knight do Barneya, obdarzając go przelotnym spojrzeniem. — Wymagam od swoich córek posłuszeństwa i nie życzę sobie, żeby chichotały z poszukiwaczami diamentów, a one w mojej obecności podważają i wystawiają na szwank mój autorytet.

Barney przyjrzał się córkom Knighta z zaciekawieniem. Były bardzo ładne i miłe; chociaż ta, która wydawało mu się, że ma na imię Agnes, była odrobinę drobniejsza niż siostra, a jej jasne loki

bardziej się kręciły. Dziewczyny miały jarzące się, błękitne oczy, krótkie, proste nosy i zgrabne brody. Przypominały raczej Szwedki, a nie Angielki. Agnes miała delikatny, trochę niesymetryczny uśmiech, który później Barney często widział w swoich snach: uśmiech, który był niewinny, a jednocześnie nieco szelmowski.

— To jest pan... hmm... — *zaczaj* pan Knight przedstawiać Barneya swoim figlarnym córeczkom, machając w jego kierunku ręką.

— Barney — powiedział Barney. Harold Feinberg spojrział na niego mile zaskoczony, ale Barneyowi przypomniał się Hunt, kiedy rozmawiali na pokładzie „Wesera”: gdybym był tobą — przyjmij przyjacielską radę — zapomnielibym o pochodzeniu.

— Pan Barney jest z Nowego Jorku — dodał Knight. — Jest mi wstyd, że poznał was w takich okolicznościach, chichoczące z jakimś grubianinem po drugiej stronie ulicy.

Agnes i Faith posłusznie dygnęły przed Barneyem. Barney, trzymając w dłoniach swój kapelusz, skinął głową. Spojrział ukradkiem w oczy Agnes i naszły go wspomnienia, których nie potrafił umiejscowić.

— Jeżeli wolno wtrącić, panie Knight — powiedział odważnie Barney, sam nieco zaskoczony swoją postawą. — Mogę pana zapewnić, że ten mężczyzna po drugiej stronie ulicy jest z bardzo dobrej rodziny. Robiłem z nim interesy w Kapsztadzie i tutaj również. Zazwyczaj nie chwali się tym, ale jest spokrewniony z brytyjskim szlachcicem, z pewnym hrabią z Liverpoolu.

Pan Knight spojrział do tyłu, ale kopacz zniknął.

— Hmm — wysapał zmieszany. — Szlachcic? To zadziwiające, jakim pochodzeniem mogą się poszczycić niektórzy z tych niebieskich ptaków.

— Takie czasy, panie Knight — wtrącił Harold łagodnie. — Wszyscy chcą jakoś zarobić na godziwe życie. — Mrugnął do Barneya.

— Tak — powiedział Knight. — Myślę, że ma pan rację. Z pewnością ma pan rację. Przez wzgląd na jego szlachectwo, Agnes, przebaczam wam tym razem. Ale następnym razem nie zapomnijcie zapytać mnie o zgodę, jeżeli będziecie chciały porozmawiać z jakimś nieznanym; możecie zapytać też waszą matkę.

— Dobrze, tatusiu — odparła Agnes pełna skruchy.

— Nie mówmy już o tym — powiedział pan Knight. Stukał w płytę chodnika końcem laski, jak gdyby starał się przypomnieć sobie coś, co właśnie umknęło jego pamięci." W zamyśleniu potarł wąsa wierzchem dłoni.

— Jak interes, panie Feinberg? — zapytał.

— Oby tak dalej — pokiwał głową Harold.

— I tak powinno być — powiedział pan Knight. — A co u pana, panie...?

— Barney — powiedział Barney.

— Właśnie, właśnie. Czym się pan zajmuje?

— Jestem farmerem.

— Farmerem? Jak się panu wie?

— Oby tak dalej — powtórzył Barney słowa Harolda. Knight poruszył się niespokojnie i ściągnął usta.

— Tak. A może zje pan z nami dzisiaj kolację? Czy dysponuje pan wolnym czasem?

Agnes posłała Barneyowi błagalne spojrzenie spod parasolki. Faith, która to zauważyła, trąciła siostrę łokciem.

— Tak — odpowiedział Barney. — Z przyjemnością zjem z państwem kolację.

— Doskonale — zawołał pan Knight. — W takim razie o ósmej, u nas w domu. Pan Feinberg

wytłumaczy panu, jak nas znaleźć.

Harold uśmiechnął się i skinął głową. Był grzeczny i uprzejmy jak Żyd z East Endu. Co tylko pan rozkaże, mój panie. Co tylko pan rozkaże. Pan Knight skrzywił się do niego i oddalił, wymachując laską.

— Ocalił pan nam życie — powiedziała Faith, składając przed Barneyem wdzięczny ukłon. — Wychodzi na to, że jesteście pańskimi dłużniczkami.

— Był pan bardzo uprzejmy — uśmiechnęła się Agnes. — Pan oczywiście wiedział, kim był ten mężczyzna?

Barney potrząsnął głową.

— Nie mam zielonego pojęcia.

— Nazywa się Jack Westbury. Jest poszukiwaczem diamentów, nikiem więcej; a do tego niezbyt szczęśliwym. Wydał wszystko, co miał, na dwie działki w Kopje, ale do tej pory znalazł jedynie kilka małych kamyków, które są bez wartości. Ale za to jest bardzo przystojny — dodała, patrząc na Barneya i przechylając głowę na bok, co miało znaczyć, że jego również uznała za przystojnego.

Pan Knight, który oddalił się już kilka jardów, zatrzymał się, odwrócił na pięcie i spojrzął na córki swoimi świńskimi oczkami.

— Lepiej już idźmy — powiedziała Faith i wzięła siostrę pod ramię. — Nie będziemy mogły doczekać się kolacji, panie Barney. Do zobaczenia.

Barney podniósł do góry rękę, a dziewczyny pośpiesznie oddaliły się i dołączyły do ojca. Agnes, pomyślał. Owieczka. Zbyt niewinne imię dla tak prowokacyjnej młodej kobietki. Patrzył z rozbawieniem, jak dziewczyny mijają trzech pijanych poszukiwaczy diamentów słaniających się na nogach — wszyscy z okazałymi bokobrodami, w poplamionych gliną spodniach i ciężkich welwetowych marynarkach. Kopacze przystanęli — trudno im było utrzymać równowagę, wpadali na siebie jak wagony nagle zatrzymanego pociągu — i obejrżeli się za córkami Knighta, zauroczeni widokiem ich kostek u nóg. Jeden z kopaczy powiedział coś po hiszpańsku, a pozostali zapiali głośnym śmiechem.

— Co z tobą, panie Barney? — zapytał łagodnie Harold Feinberg, kiedy pan Knight z córkami zniknął już za rogiem rudery, która była holenderskim kościołem reformowanym.

Barney wsadził na głowę kapelusz.

— Czasami ciężko jest być Żydem.

— Czasami, w Orange Free State, ciężko być Anglikiem. Ale chyba nie masz zamiaru podać panu Knightowi jakiegoś fałszywego holenderskiego nazwiska, jak pan Botha, czy coś w tym rodzaju, tylko dlatego, że zaprosił cię na kolację?

— Źle mnie osądzasz — powiedział Barney.

— W porządku, przepraszam — wzruszył ramionami Harold.

Barney spojrzął Haroldowi prosto w oczy.

— Posłuchaj, Haroldzie. Zostałem wychowany na krawca. Mierzenie, krojenie i dostarczanie prochowców na zamówienie. Taki miał być los żydowskiego chłopca. Mógłbym też zostać rabinem. Być może mylę się i może straszne jest wyprzeć się swojego pochodzenia, ale odkąd opuściłem Lower East Side, zacząłem zdawać sobie sprawę z faktu, że prawdziwy świat jest właśnie tutaj. Świat pieniędzy, wpływów i klas społecznych. Świat, w którym możesz działać o wiele więcej, a nie jedynie do końca życia przyjmować zamówień na prochowce. Dużo czasu musiało minąć, zanim znalazłem w sobie odwagę, aby powiedzieć: dosyć, zamierzam zdobyć wszystko to, co ten świat może mi zaoferować. Czuję się winny, kiedy wspominałem ojca, oraz za to, co uczyniłem matce. Teraz jednak nadszedł czas, żebym zrobił coś na własną rękę. Muszę zdobyć szacunek ludzi. Ale aby



tego dokonać, muszę zataić swoje żydowskie pochodzenie. Kiedyś nadejdzie ten dzień, że spojrzę ludziom prosto w oczy i powiem: tak, jestem Żydem i jestem z tego dumny, ale wtedy będę zbyt potężny i zbyt bogaty, żeby ktokolwiek był w stanie mnie pokonać.

Harold Feinberg usiadł na stopniu, bezmyślnie bawiąc się pustym kubkiem.

— Barney — powiedział. — Przykro o tym słuchać.

— Czy mam spędzić resztę życia jako obywatel drugiej kategorii? Czy właśnie tego ode mnie oczekujesz?

— Nie! — zawołał Harold Feinberg z ogniem w oczach. — Ponieważ Żydzi, bez względu na to, jacy byli biedni, nigdy nie zaliczali się do niższej kategorii ludzi. Zostaliśmy wyprowadzeni przez Pana, naszego Boga, z Egiptu. Czy ty wiesz, co to oznacza? A ty mi mówisz, że zamierzasz o tym wszystkim zapomnieć, zapomnieć o swoich obowiązkach wobec Pana, przynajmniej do chwili, kiedy staniesz się bogaty i sławny, tylko po to, żeby wpuścili cię do swoich klubów.

— Nigdy ze mną w ten sposób nie rozmawiałeś — zauważył Barney.

— Bo nigdy nie miałem okazji — odparł Harold.

Na ulicy pojawił się mężczyzna w białym fartuchu, niosący na głowie tacę wypełnioną miodowymi pierniczkami. Na szyi miał dzwoneczek, którym poruszał co kilka kroków. W białym świetle południa przypominał zjawę zarażoną trędem.

— Lepiej już sobie pójdę — powiedział Barney.

— Uważaj na Knighta — przestrzegł go Harold. — Możesz uważać go za dżentelmena i człowieka, którego warto poznać, ale pamiętaj o tym, że żaden prawnik nie przywozi do tego kraju żony i córek, jeżeli nie ma ważnego ku temu powodu. Ten facet miał praktykę w Londynie, dopóki go nie zgnębili. Później próbował założyć firmę prawniczą w Kapsztadzie, ale ludzie wkrótce poznali się na jego kuglarskich sztuczkach i przegonili stamtąd. Dlatego właśnie przyjechał tutaj. Miej się przed nim na baczności. Jest prawnikiem o niedobrej reputacji.

Barney oparł się ramieniem o żelazne pręty werandy przed biurem Harolda.

— Pewnego dnia — powiedział — zrozumiesz, że miałem rację.

Harold spojrzął na niego i uśmiechnął się.

— Tak. Tego właśnie się obawiam.

W ponurym, śmierdzącym stęchlizną biurze z blachy falistej, którego ściany drżały z powodu handlowych transakcji mieszkającej obok Irlandki, Harold zapłacił Barneyowi 212 funtów za przyniesione surowe diamenty. Barney widział, że z tej kwoty wydał już 175 funtów na artykuły pierwszej potrzeby oraz na materiały potrzebne do naprawy północnej ściany pomieszczenia dla bydła. Monsaraz weźmie trzydzieści funtów na alkohol, kobiety i pralnię. Donaldowi trzeba będzie zapłacić dwa funty i dla Barneya zostanie jedynie pięć funtów. Uznał, że to godziwa zapłata za miesięczną pracę: szeregowiec w armii brytyjskiej dostawał tylko jednego funta osiem szylingów miesięcznego żołdu, a do tego potracano mu za dodatkowe posiłki. Ale za te pieniądze nie był w stanie kupić diamentowej działki w Kimberley, ani też myśleć o zrobieniu fortuny.

Poważnie jak nigdy pożegnał się z Haroldem i wyszedł na oświetloną słońcem ulicę. Zastanawiał się przez chwilę, co też zrobiłby Monsaraz, gdyby nie wrócił z Kimberley — i gdyby zatrzymał całe 212 funtów dla siebie. Ale Barney wiedział, że gdyby tak postąpił, szybko nastąpiłby u niego psychiczny i fizyczny rozkład z powodu poczucia winy. Barney zdawał sobie sprawę z faktu, że gdyby uciekł z pieniędzmi Monsaraza, do końca życia prześladowałyby go wspomnienia o tym parszywym wraku człowieka w zabrudzonym białym garniturze i do śmierci słyszałby świństwa szeptane mu do ucha: „Ta mała Venda zapłakała tylko raz... ale zdzieliłem ją swoim *sjambokiem* i ucichła... była mokra od potu, drżała, rozebrana, ale cicha”.

Harold odprowadził Barneya do drzwi — był smutny, hełm przekrzywił mu się na ucho.

— Posłuchaj — powiedział do Barneya. — Wszystko, co powiedziałem, to prawda.

— Ja wiem — pokiwał głową Barney i cofnął się, żeby go uściskać. Przechodzący obok poszukiwacz diamentów przystanął niepewnie, próbując skoncentrować na nich uwagę, co było diabelnie trudnym zadaniem, biorąc pod uwagę wypite przez niego dwie butelki taniego londyńskiego dżinu.

— Chcę, żebyś wiedział, że zawsze możesz na mnie liczyć — powiedział Harold nieco zachrypłym głosem. — Cokolwiek bym mówił, zawsze jestem gotów pomóc bratu Żydowi. I cokolwiek się stanie... nie zostawaj na farmie zbyt długo. Nigdy nie będziesz Burem.

Barney udał się na poszukiwanie Donalda, żeby mu powiedzieć, że mają czas do rana, aby spakować kufry i przygotować powóz do podróży. Donald odkrył, że w Kimberley przebywał Jan Bloem, wódz Griqua, aby sprawdzić, jakież to bogactwa kryły się na terytorium należącym do jego plemienia. Bloem rozbił się obozem na zachód od Coles-berg Kopje. Był ze swoimi dwoma braćmi, matką palącą fajkę, służącymi oraz kucharkami i praczkami, które Donald wstępnie zakwalifikował jako kandydatki na swoje nowe siostry.

Barney szedł główną ulicą Kimberley z rękami w kieszeniach swoich podróżnych bryczesów i w kapeluszu nasuniętym na oczy. Przeszedł obok skleconych naprędce jaskiń hazardu, biur adwokackich, burdeli i chat, w których gnieździli się różnej maści handlarze. Jakaś półkrwi dziewczyna w łachmanach, która stała oparta o drzwi jednej z ruder, pokiwała do niego ręką. Barney uśmiechnął się i potrząsnął głową.

Tereny, na których mieściły się kopalnie, były oddalone od miasta jedynie o jakieś kilkaset jardów. Grunt był trudny, najeżony ostrymi kawałkami skał. Setki mężczyzn kopało szeroki, płytki krater, wystawiając plecy ku zakurzonemu niebu. Odgłosy łopat i kilofów układały się w jakąś nadzwyczajną symfonię na perkusję. Przez moment większość z nich uderzała kilofami w tym samym tempie, aby za chwilę zakłócić harmonię — teraz każdy członek orkiestry grał własne nuty. Wokół kopalń stały namioty, większość z nich osłonięta przed wiatrem matami z plecionej

trawy. Wszędzie stały załadowane drewnem wozy zaprzęgnięte w woły. W pierwszych tygodniach poszukiwań kopacze chodzili po terenie kopalni i kopali tam, gdzie stali, ale później niektórzy poszukiwacze diamentów zdjęli ze swoich działek warstwę ziemi o grubości od dziesięciu do dwudziestu stóp i potrzebowali stempli, żeby zabezpieczyć boki.

Barney przystanął i zaczął obserwować pracujących kopaczy oraz ich czarnych robotników. Żółta ziemia wożona była taczkami po wąskich ścieżkach między działkami i wysypywana przed namiotami, gdzie przesypywano ją przez sita. Praca była ciężka i wyczerpująca, ale przynosiła efekty. Pewien Holender o nazwisku Smuts kupił na samym początku działkę za pięćdziesiąt funtów i przez dwa miesiące poszukiwań wykopał diamenty o wartości dwudziestu tysięcy funtów. Kilka stóp od miejsca, w którym Damon znalazł pierwsze kamienie, inny kopacz trafił na pojedynczy kamień o wadze 175 karatów, który sprzedał za trzydzieści trzy tysiące funtów.

Do Barneya podszedł wysoki mężczyzna o smutnej twarzy, w kapeluszu z opadającym rondem i luźnej marynarce. Przystanął w pewnej odległości od Barneya, oparł ręce na biodrach i zaczął stroić miny, jak gdyby nie był zadowolony z tego, co zobaczył. Barney spojrzał na niego raz czy dwa i w końcu powiedział:

— Nie wygląda pan na zachwyconego. Mężczyzna spojrzał na niego. Miał nos, który przypominał ptasi dziób, i krzaczaste brwi.

— Oczywiście, że nie — odpowiedział z północnym akcentem, przez co Barney przypomniał

sobie wszystkich ludzi, których spotkał w Liverpoolu. — Te kopalnie to nic nie warte sracze.

— Proszę? — zdziwił się Barney.

— Sracze. Świńskie chlewy. Czy nie rozumie pan po angielsku? Drażą w nich jamy jak jacyś idioci. Niektórzy kopią pięć stóp w dół. A niektórzy dwadzieścia. Żadnej organizacji. Żadnej współpracy. A co się stanie, jak zejda sto stóp w dół?

— To niemożliwe, prawda? Żółta ziemia nie sięga tak głęboko.

Drażał spojrział na Barneya z irytacją.

— Czy uważa pan, że tylko w żółtej ziemi są diamenty?

— Nie wiem — odpowiedział Barney. — Ale tak mówią poszukiwacze. Diamenty znajdowano jedynie w żółtej warstwie, zarówno wzdłuż rzeki Vaal, jak i Orange. Nigdzie więcej.

— Mylą się — powiedział mężczyzna. — Proszę postawić mi drinka, a opowiem panu, jak srodze się mylą.

— Czy to jedynie pańskie domysły? — zapytał Barney. — Nie mam nic przeciwko postawieniu panu drinka, ale chcę wiedzieć.

— Żadne tam domysły — powiedział mężczyzna z oburzeniem. Podeszedł bliżej, tak że Barney mógł poczuć od niego zapach brandy. — Nazywam się Edward Nork. N-o-r-k, tak jak Jork. Jestem geologiem. Ostatnio pracowałem na uniwersytecie w Durham. Kiedyś pisałem do „Geological Magazine” na temat wygasłych wulkanów i właśnie dlatego tutaj jestem.

— Wulkany? — zapytał zaskoczony Barney.

Nork złapał go za łokieć i powiodł w kierunku głównej ulicy. Stała tam chata, na której napis informował, że zwała się Rajską Karczmą. Weszli do środka, gdzie powietrze było gęste od dymu tytoniowego, a kopacze w szerokich, słomkowych kapeluszach odbywali swoją południową sjęstę, paląc gliniane fajki i popijając whisky.

— Co pan sobie życzył — zapytał Barney Norka.

— Pół butelki wystarczy — odparł Nork, siadając na małej beczulce. — Jedną wypilem już dzisiaj rano, a nie lubię przesadzać.

Barney zawołał karczmarza — Irlandczyka w brudnym fartuchu i zatłuszczonych okularach — i poprosił o butelkę Jamesona. Kiedy butelkę przyniesiono, Nork ostrożnie nalał trochę płynu do szklanki, a następnie podniósł butelkę do góry i wypił prosto z niej.

— W ten sposób zawsze zaoszczędzę trochę płynu, kiedy już jest pusta butelka — wyjaśnił bezwstydnie. Barney wzruszył ramionami. Alkoholizm Norka był jego prywatną sprawą.

— A teraz niech pan posłucha — powiedział Nork. — Kopacze głoszą teorię, że jedynie żółta warstwa gleby zawiera diamenty. Ale jeżeli na to spojrzeć z geologicznego punktu widzenia, nie ma najmniejszego sensu. Jeżeli płytka warstwa żółtej gleby jest tą, która kryje w sobie kamienie, to w takim razie, w jaki sposób diamenty tam się dostały i skąd?

Barney zakaszłał, ponieważ dym drażnił mu gardło, i potrząsnął głową.

— Diamenty, mój drogi przyjacielu, to nic innego jak forma zwykłego węgla, który jest produktem najbardziej znanym i najtańszym na świecie — powiedział Nork. — A dlatego są twarde, błyszczące i niezniszczalne, że zbudowane z węgla, który przebywał w bardzo wysokiej temperaturze i do tego pod wielkim ciśnieniem.

— Rozumiem — powiedział Barney, starając się dobrze wypaść.

— Nic pan nie rozumie — oznajmił Nork. — W strukturze ziemi jest tylko jedno miejsce, gdzie węgiel mógłby przeobrazić się w ten sposób, a tym miejscem są kratery wulkanów. W wulkanicznej materii, która z głębi ziemi wydostaje się na powierzchnię.

— Tak? — zdziwił się Barney, który w dalszym ciągu nie wiedział, do czego zmierza Nork.

— Czy pan tego nie rozumie? — zdenerwował się, Nork. — Colesberg Kopje to nic innego jak szczyt usypany przez lawę, która wypłynęła z podziemnych czeluści. Na wierzchu ziemia jest żółta, ponieważ była wystawiona na działania atmosferyczne; i tę właśnie diamentonośną, żółtą glebę znajduje pan wzdłuż rzek Orange i Vaal. Wody obydwu rzek zmywały ją ze szczytów stożków wulkanicznych i rozkładały wzdłuż brzegów.

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że diamentonośne pokłady mieszczą się pod żółtą warstwą? — zapytał Barney Norka, zniżając głos do zachrypniętego szeptu. — Że mieszczą się tak głęboko, że nigdy się nie dokopujemy do dna?

Nork podniósł palce do góry w znaczącym geście.

— Chyba że dokopujemy się do płynnego rdzenia naszej planety, mój chłopcze.

— Ale ja spotkałem poszukiwaczy diamentów, którzy porzucili swoje działki, ponieważ dokopali się do niebieskiego łóżyska skalnego.

— To przez ich głupotę, w wyniku niewiedzy — uśmiechnął się Nork. Pociągnął długi łyk z butelki i przetarł kark rękawem. — Niebieska gleba znajduje się jakieś sześćdziesiąt, osiemdziesiąt stóp pod powierzchnią. Wiem, że wygląda jak łóżysko skalne: ale mogę pana zapewnić, że nim nie jest. To diamentonośna warstwa ziemi, taka sama jak żółta, tylko że nie była wystawiona na działanie pogody. Ochrzcilem ją Norkitą.

— Norkitą? — zdziwił się Barney. — Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś ją tak nazywał.

— Nic dziwnego — powiedział Nork z rozdrażnieniem. — Ci wszyscy dookoła to banda głupców i niedowiarków. Ale pan niech mi uwierzy. Pewnego dnia, kiedy wszyscy dokopią się do niebieskiej warstwy, będzie pan mógł kupić działkę za bezcen i wtedy dopiero zbije pan majątek.

Barney przymknął powieki.

— Jeżeli jest pan tego taki pewien, to dlaczego mi pan mówi? Dlaczego nie zatrzyma pan tego dla siebie i nie kupi działki, na jaką przyjdzie panu ochota?

Nork zamilkł na chwilę, po czym głośno kichnął.

— Nie ma pan przypadkiem chusteczki? — zapytał. Barney wyciągnął z kieszeni szmatę czerwonego koloru, której używał do czyszczenia butów. — Przykro mi, ale to wszystko, co posiadam. Ale może pan ją zatrzymać.

— To przez ten cholerny kurz — powiedział Nork. — Jestem raczej chorowity. Prawdę mówiąc, jestem pijakiem, a do tego biednym jak mysz kościelna, i nie byłbym w stanie kupić działki nawet za jedną setną ceny, nawet gdybym był pewien, że zdołam nieco zaoszczędzić, nie wydając na alkohol. Och, nie musi pan tak na mnie patrzeć. Nie potrzebuję litości. My — moczymordy — wiemy, jak głęboko wykopać swój własny grób.

— Ale dlaczego pan mi o tym powiedział? — dopytywał się Barney.

— Przypomina mi pan kogoś, kogo kiedyś dobrze znałem — powiedział Nork, ściągając usta. — Wiem, że to niezbyt przekonująca argumentacja. Ale kiedy tak na pana patrzyłem, jak stał pan w pobliżu kopalni i tak bardzo mi go pan przypominał, natychmiast poczułem do pana syn<sup>^</sup>patię. Poważnie.

— Przypominam panu kogoś? A kogo? Nork lekceważąco pomachał ręką.

— Pewnego kopacza. Jest tutaj, w Kimberley. Porządny gość. Bardzo uczciwy, z poczuciem humoru. Ale rozstaliśmy się, wie pan, jak to bywa z ludźmi. Zresztą wszyscy się ze mną rozstają, kiedy poznają mnie bliżej. To z powodu Pani Wódeczki. Piję za dużo i później mówię rzeczy, których nigdy nie powiedziałbym po trzeźwemu. Kiedyś powiedziałem mu, że śmierdzi jak Żyd, a on chciał mnie trzepnąć kilofem. No i... Barney zwilżył językiem usta.

— Ten kopacz... czy przypadkiem nie nazywał się Bar-ker? Joel Barker?

— Nie, żaden Barker — prychnął Nork. — Nazywał się Havemann. Ale na imię miał Joel, tak, Joel Havemann. Ma działkę po drugiej stronie. Numer 172.

Barney zerwał się na równe nogi. Poczuł, że zaczyna brakować mu oddechu, tlenu, a do tego ten ohydny dym papierosowy. Powiedział do Norka:

— Jeżeli będę pana potrzebował, to gdzie mogę znaleźć?

— Znaleźć mnie? — zdziwił się Nork. — A po co?

— Może będę chciał z panem porozmawiać trochę o diamentach. Ale teraz idę poszukać działki numer 172. Przypuszczam, że ten Havemann jest kimś, kogo znam.

— No cóż... zawsze może pan zostawić wiadomość dla mnie tutaj — powiedział Nork. — Albo w jakimkolwiek barze w Kimberley. Albo w burdelu u pani Sperring. Wie pan, nie stać mnie na dziewczynki, ale czasami pani Sperring pozwala mi się u siebie przespać. Oboje pochodzimy z Leeds. Siadamy wtedy nad butelką tej ohydnej południowoafrykańskiej wody i wspominamy stare dzieje, kiedy mieszkaliśmy na Crown Street.

— Okay — powiedział Barney. Złapał Norka za rękę i dodał: — Dzięki. Może mi pan pomógł bardziej, niż pan przypuszcza.

— Mam nadzieję, że pomogłem panu bardziej niż pan przypuszcza — powiedział Nork. Trzymał w ręce butelkę whisky, która w trzech czwartych była już pusta. — Czy ma pan coś przeciwko temu... zanim pan odejdzie...?

Barney położył funta na stole zrobionym z beczki. Nork spojrział na niego z uniesionymi do góry brwiami i zawołał:

— Kimkolwiek pan jest, sir, jest pan dżentelmenem. Barney wyszedł z knajpy i szybkim krokiem poszedł w kierunku kopalni, nad którymi unosił się kurz i zgiełk. Lawirował między wozami zaprzęgniętymi w woły i osły, wszędzie słyszał głosy wypowiadające zdania w różnych językach: słyszał Niemców, Irlandczyków, Australijczyków, Greków. Jak to zauważył historyk James Anthony Froude, który odwiedził działki, byli tam kopacze z Ameryki i Australii, niemieccy kombinatorzy, Irlandczycy, handlarze, właściciele knajp, zawodowi szulerzy, adwokaci, byli oficerowie wojsk lądowych i marynarki wojennej, synowie z dobrych domów, którzy nie mieli ochoty hołdować rodzinnej tradycji albo zostali zmuszeni do wyjazdu; zadziwiająca, pstra zbieranina zauroczona rzeką pieniędzy, płynącą dzięki niebywalej produktywności kopalni.

Teren był na milę szeroki i rozparcelowano go na 1600 działek. Zgodnie z niepodważalnym prawem Stafforda Parkera, pojedyncza działka nie mogła mieć więcej niż trzydzieści jeden stóp kwadratowych — czyli była dziesięć razy większa niż standardowy grób — i żaden poszukiwacz diamentów nie mógł być właścicielem więcej niż dwóch działek. A to z kolei oznaczało, że chaos panujący na pojedynczej parceli — czarni robotnicy dźwigający wiadra, hałas toczących się tacek oraz rozbijanych na kawałki dużych kawałków skały — trzeba pomnożyć razy 1600, żeby dostać pełen obraz. A do tego upał i palące popołudniowe słońce.

Barney usłyszał śmiechy. Murzyn jadący na wozie zaprzęgniętym w muły próbował precyzyjnie się wąską ścieżką między dwiema głębokimi działkami, ale wóz przewrócił się i wpadł do dziury, zjeżdżając do góry kołami po dwudziesto-stopowym zboczu i przygniatając swoim ciężarem woźnicę. Dwóch albo trzech kopaczy roześmiało się głośno. Wypadki były tak częste, że kiedy do nich dochodziło, wszyscy znakomicie się bawili.

Barney zatrzymał się na chwilę, osłaniając oczy dłonią z powodu oślepiającego słońca. Dwóch czarnych próbowało podnieść wóz i uwolnić przygnięcionego mężczyznę, który wrzeszczał wniebogłosy. Rudowłosy kopacz biegał dookoła nich i krzyczał:

— Zabierzcie ten cholerny wóz z mojej działki! Zabierzcie to świństwo z mojej działki!

Z akompaniamentem kolejnego wybuchu wesołości i śmiechu wóz potoczył się jeszcze niżej, ciągnąc za sobą muły. Z ust leżącego Murzyna trysnęła fontanna jaskrawo-czerwonej krwi.

Dotarcie do działki numer 172 zabrało Barneyowi około dwudziestu minut. Była położona tuż obok działki, której właścicielem była spółka British Diamond Mining Company. Jej głębokość sięgała dziesięciu stóp. Ale nikt na niej nie pracował: był tam tylko jeden czarny robotnik, który w brązowym kapeluszu na głowie i przepasce na biodrach siedział na skale i leniwie przesiewał stertę wysuszonej ziemi.

— Hej! — zawołał Barney. Murzyn podniósł głowę do góry.

— Gdzie jest twój szef? — zapytał Barney. Czarnuch wzruszył ramionami.

— Pan Havemann, twój szef. Gdzie jest? Czy niedługo wróci?

Murzyn potrząsnął głową i wrócił do przesiewania ziemi. Barney poczekał chwilę, po czym ruszył w dół i mocno trzepnął robotnika w ramię.

— Mówię do ciebie — warknął. — Szukam pana Have-manna i chcę wiedzieć, dokąd się udał.

Murzyn spojrzał na niego bezmyślnie.

— Mówisz po angielsku? — zapytał Barney. — Afrikaana? Co? Mówisz Bantu?

— Marnuje pan czas — usłyszał Barney czyjś głos dochodzący z góry.

Barney odwrócił się. Na szczycie krawędzi, która oddzielała działkę 172 od działki 173, stał siwowłosy, mocno opalony mężczyzna w pasiastej koszuli i zabrudzonych okularach słonecznych. Kiedy zaczął schodzić w dół, jego stopy ślizgały się na grząskiej, żółtawej ziemi. Wyciągnął rękę.

— Nazywam się Stewart — powiedział. — Czy pan również ma kłopoty z Havemannem?

— Barney — przedstawił się Barney. — Kłopoty? Co pan ma na myśli?

Stewart rozejrzał się dookoła.

— Kimkolwiek jest albo raczej był, trudno było go nazwać kopaczem z krwi i kości. W końcu wczoraj przyłapali go i dostał to, na co zasłużył.

— Przyłapali go? A co uczynił?

— Jestem zdziwiony, że pan nic o tym nie słyszał — powiedział Stewart, rzucając na niego szybkie spojrzenie. — Przekupił dwóch czy trzech czarnuchów pracujących dla British Diamond Mining Company. Kiedy tylko znajdowali jakiś dorodny kamień, w tajemnicy przekazywali go jemu, a on dawał im połowę ceny, którą uzyskał od nielegalnie działających handlarzy na obrzeżach miasta. Nie wiem jak pan, aleja to nazywam złodziejstwem.

— Kradł diamenty? — zapytał Barney.

Stewart wydobył z oka paproch i przyglądał mu się z zainteresowaniem.

— To całkiem naturalne. Kradzież jest łatwiejsza niż kopanie. Tym cholernym czarnuchom nie można zaufać. Połykają diamenty, a później je wynoszą. W ubiegłym roku w Klipdrift złapałem jednego ze swoich ludzi, który wsadził sobie diamenty wartości dwóch tysięcy funtów głęboko w dupę. Pozwoliłem mu oddać je w naturalny sposób. Jeden Holender, który wydobywał kamienie na brzegu Vaal, przyłapał swojego robotnika wsadzającego sobie diamenty w dupę. Wpadł w taką furję, że wsadził mu palce w odbyty i wyszarpnął z niego trzy stopy jelit. Sam widziałem. Wszędzie było pełno krwi i kamieni.

Barney zdjął kapelusz i otarł pot z czoła.

— Co się stało z Havemannem? — zapytał.

— Przybył Stafford Parker i załatwił sprawę po swojemu. Przepytał świadków i tak dalej. Trzech czarnuchów powiedziało, że Havemann przekupił ich, a więc Stafford Parker kazał go rozciągnąć.

— Żartuje pan.

— A dlaczego miałbym żartować? Ten facet jest złodziejem. Co mamy zrobić z takimi jak on? Podziękować i postawić kolację u Groota?

*Riboyne Shel O'lem*, pomyślał Barney z przerażeniem. Wiedział, co to znaczy. To była najgorsza kara, którą Stafford Parker i jego nieoficjalny magistrat stosowali wobec tych kopaczy, którzy kradli diamenty z innych działek i po kryjomu sprzedawali. Gorsza niż chłosta i wleczenie za koniem po kamienistym łożysku rzeki Vaal. Rozciągnięcie polegało na przywiązaniu nagiego albo prawie nagiego delikwenta do czterech palików wbitych w ziemię i pozostawieniu go na łasce słońca, wiatru i mrówek.

Rozciągnięcie prawie zawsze kończyło się śmiercią skazanego. I jeżeli Joel Havemann rzeczywiście był Joelem Blitzem, to mogło oznaczać, że jego brat już nie żyje.

Barney spróbował przełknąć ślinę, ale gardło miał suche i zaciśnięte, i nie udało mu się.

— Gdzie to zrobili? — zapytał Stewarta.

— Gdzie zrobili — co?

— Gdzie go rozciągnęli? Czy wiesz, gdzie to zrobili? Stewart spojrzał na niego z ciekawością.

— Chce pan tam pójść? Musiał nieźle zależeć panu za skórę.

— No cóż, tak, kiedyś — kiedyś wszedł mi w drogę. Dawno temu.

Stewart wyciągnął rękę na południowy wschód.

— O ile wiem, zabrali go tam. Około jednej czwartej mili na południe od działki Haarhoffa. Zapytaj Haarhoffa, kiedy się z nim spotkasz, będzie wiedział. Ma działkę numer 190, na spółkę z facetem o nazwisku Marais.

— Dzięki — powiedział Barney niepewnym głosem. — Czy może mi pan powiedzieć, co się stanie z działką Havemanna?

— Sprzedadzą ją komuś innemu. Kupców nie brakuje.

— Rozumiem. Jeszcze raz dziękuję.

Wspiął się po pochyłości i poszedł w południowym kierunku w dokuczliwym upale. Był spragniony aż do bólu, język miał twardy i obolały. Zatrzymał się przy jednej z działek, żeby poprosić o wodę. Niemiecki poszukiwacz o twarzy koloru surowego wieprzowego mięsa sprzedał mu kubek brązowawej, ciepłej cieczy za jednego szylinga trzy pensy. Barney nie miał do niego żalu: w kopalniach w Kimberley wiadro wody kosztowało od pięciu szylingów sześciu pensów w górę. Swoimi opuchniętymi oczami Niemiec obserwował go, jak pił, i powiedział:

— Ja też marzę o szklance zimnego piwa.

Na krawędzi porośniętej dzikimi zaroślami, Marais, który przerwał na chwilę robotę, wyjaśniał Barneyowi, jak dotrzeć do miejsca, gdzie leżał rozciągnięty Havemann. Był ponurym Francuzem. Z gębą pełną kiełbasy powiedział Barneyowi, że kiedyś służył we francuskiej Legii Cudzoziemskiej.

— Było podobnie jak tutaj. Przez cały czas kopaliśmy. Barney dotarł do małej polanki, która przypominała fragment scenografii do opery, z której tak dumni są scenografowie.

Siegmund: Pić! Pić!

Sieglinde: Patrzcie tylko, jak za wodą tęsknią jego usta.

Polanka odgradzona była od kopalni gąszczem kolczastych krzewów, a z jej drugiej strony rosły rozłożyste drzewa pomarańczowe. Stał na niej samotny Griqua w workowatej białej koszuli i bawełnianych spodniach domowej roboty. Pod pachą miał Biblię. Usłyszał Barneya, który potykając się o gałęzie, podchodził coraz bliżej, i podniósł głowę, ale prawie w tym samym momencie odwrócił się i pochylił ponownie nad nagim mężczyzną, który leżał rozciągnięty na ziemi. Wyglądało na to, że się nad nim modlił.

Mężczyzna leżał spokojnie, chociaż nie spał. Jego przeguby u rąk i kostki u nóg oplecione były

powrozem i przytwierdzone do palików. Przypominał literę X. Klatkę piersiową i nogi miał już purpurowego koloru, a całe ciało pokryte było mikroskopijnymi rankami oraz opuchlizną — efekt pokąszenia przez mrówki. Miał gęstą brodę i długie czarne włosy, ale chociaż jego zniekształconą twarz pokrywał zarost, Barney od razu rozpoznał w nim swojego brata.

Podszedł bliżej, krocząc — bez nijakiego powodu — ostrożnie i powoli. Teraz dopiero zauważył tysiące pomarańczowych mrówek, które pokrywały ciało leżącego mężczyzny, jego opuchnięte uda, penis, który był obrzmiały i zakrwawiony od ukąszeń, brzuch, a nawet wargi. Ukląkł, pochylił się nad mężczyzną i wyszeptał:

— Joel?

Joel, którego twarz była dosłownie oblepiona przez mrówki, spojrzał na niego. Chciał coś powiedzieć, ale ledwo otworzył usta, wtargnęły w nie mrówki i musiał je wypluć. Barney odwrócił się do Griqua i zapytał:

— Jak długo tutaj leży?

— Jedną noc — odparł Griqua z akcentem afrykańskim. Podniósł do góry Biblię, którą do tej pory trzymał pod pachą. — Czytałem mu. Napisane jest, żeby przynosić ulgę cierpiącym.

— Umiesz czytać?

— Chodziłem do szkoły prowadzonej przez brytyjskich misjonarzy, tak jak Jan Bloem.

Barney sięgnął do kieszeni i wyjął z niej składany nóż. Bez słowa zaczął przecinać więzy krępujące Joela. Griqua stał bez ruchu i obserwował jego poczynania, nie zamierzając mu pomóc; ale kiedy powrozy zostały przecięte, położył Biblię na trawie i pomógł Barneyowi postawić Joela na nogi. Podczas gdy Griqua trzymał go mocno w pozycji pionowej, Barney strzepywał mrówki z ciała Joela i wybierał je z jego włosów.

— Dokąd możemy go zabrać? — zapytał Barney. — Nikt w Kimberley go nie przyjmie. Nawet moi przyjaciele.

— Taki był wyrok pana Stafforda Parkera — powiedział poważnie Griqua. — On nie pozwoli, żeby pan mu pomógł uciec.

— Nazwisko Stafford Parker wcale na mnie nie działa

— odpowiedział Barney. — Poza tym to mój brat.

— Wody — wyszeptał cicho Joel.

— Przyniosę ci — zapewnił go Barney. — Ale najpierw wydostaniemy się z tego miejsca. Czy masz jakiś transport?

— Barney zapytał Griqua.

— Ośli wózek. Jest przywiązany do drzewa pomarańczowego.

— Idziemy — powiedział Barney.

Wspólnymi siłami zanieśli Joela przez wysoką trawę pod drzewo pomarańczowe, obwieszane zielonymi, pokrytymi plamami owocami. Wózek był niewielki, a osioł spojrzał na nich z wyrzutem, kiedy się zbliżyli. Położyli Joela na deski i przykryli postrzępionym kocem.

— W porządku, jedziemy — powiedział Barney. Poganiając osła, pojechali w kierunku chat stojących w północnej części Kimberley. Nikt nie zwracał na nich uwagi, kiedy przejeżdżali główną ulicą, chociaż Joel głośno jęczał, żeby dać mu wody.

Obozowisko Griqua było oddalone o jakąś milę od Kimberley. Kilka zgrabnych namiotów — dar brytyjskiej armii — stało na zboczu pokrytego trawą wzgórza. Zbliżał się wieczór. Wózek mijał ogniska, na których gotowano kolację, i dotarł do najokazalszego namiotu, który kiedyś służył jako magazyn orkiestry wojskowej, a teraz był podróznym pałacem Jana Bloema.

— Proszę tutaj zaczekać — powiedział Griqua, ściągając wodze i zeskakując z wózka. —



Muszę powiadomić wodza o wydarzeniu. On zadecyduje, czy będzie pan mógł tutaj pozostać czy też nie.

Barney zszedł z wózka, podczas gdy Griqua zniknął wewnątrz namiotu. Zdjął z Joela koc i złożył go, żeby służył jako poduszka. Następnie podszedł do kobiety w prostej, szarej holenderskiej sukience, która tuliła w ramionach niemowlę, i poprosił o wodę.

Kobieta krzyknęła coś do dziewczyny, która siedziała przy ognisku i mieszała w czarnym, żelaznym garnku. Dziewczyna pokiwała głową, wstała i podeszła do beczki stojącej przy namiocie. Zbliżyła się do Barneya, trzymając w ręce naczynie ociekające czystą wodą, i poszła za nim w kierunku wózka.

— Joel przyniosłem ci wody — powiedział Barney łagodnie. Podtrzymał głowę brata, a dziewczyna przysunęła naczynie z wodą do jego spieczonych, obrzmiałych ust. Joel wypił tyle, ile mógł, po czym opadł z powrotem na koc.

Dziewczyna spojrzała na Barneya dużymi ciemnobrązowymi oczami. Niektóre kobiety rasy holendersko-hotentockiej były niesamowicie brzydkie; ale ta dziewczyna miała delikatne, kręcone włosy koloru sadzy i ładną, owalną twarz. Miała na sobie taką samą prostą sukienkę jak kobieta z dzieckiem, ale jej ciało było naturalnie piękne, atrakcyjne i czarujące.

— Czy to pański przyjaciel? — zapytała łamaną angielszczyzną.

— Nie, to mój brat. *Broeder* — wyjaśnił Barney. Dziewczyna powiedziała:

— Powinien... zejść. Spać.

— A jest tu jakieś miejsce, gdzie mógłby się położyć? Jakies łóżko?

Dziewczyna wskazała na namiot.

— Tam... jest dobre.

W tym samym momencie pojawił się Jan Bloem, w czarnym szapoklaku, brązowym pasiastym garniturze, z monoklem i w wysokich butach do jazdy konnej. Był w towarzystwie znanego Barneyowi Griqua i dwóch innych Griqua.

— No, no, no — powiedział. — To znowu pan.

— Znalazłem brata — powiedział Barney z prostotą. Jan Bloem spojrzał na Joela.

— Tak. Pięt Steyn już mi o tym opowiedział.

— Czy możemy położyć go do łóżka? — zapytał Barney.

— Nie jest w najlepszej kondycji.

— Jest złodziejem — oznajmił Jan Bloem, próbując przytrzymać monokl przy lewym oku.

— To tylko Stafford Parker tak mówi — odparł Barney.

— Ale ja znam Joela lepiej niż Stafford Parker. Mój brat nigdy niczego nie ukradł.

— Rozciągnęli go, żeby umarł — oświadczył Jan Bloem, Jego monokl znowu opadł. — Musiał zrobić coś, czym zasłużył sobie na taką karę. Nie uważa pan?

— Nie wiem. Teraz chcę położyć go do łóżka.

Jan Bloem założył ręce do tyłu i zaczął chodzić dokoła Barneya, przyglądając się mu, jak gdyby był figurką ogrodową. Joel, który leżał na wózku, głośno zajęczał. Ale Bloem zignorował to i kontynuował spacer z wzrokiem utkwionym w Barneya. Dym od ognisk wisiał między namiotami.

— Jeżeli wpuszczę pańskiego brata — dam mu schronienie, to wobec brytyjskiego prawa kolonialnego będę współnikiem jego zbrodni. Mogą zechcieć i mnie rozciągnąć.

— To jest pański kraj. Nie ośmielą się. Jeżeli Brytyjczycy będą pana niepokoić, sprzymierzy się pan z Burami; a jeżeli pan to robi, Brytyjczycy stracą wszystkie kopalnie diamentów do Orange Free State. Nie, panie Bloem. Nie ma żadnego ryzyka.

Jan Bloem nagle zatrzymał się.

— Brytyjczycy są nieobliczalni — powiedział. — Nigdy nie wiesz, co zrobią za chwilę. Ich politycy są całkowicie zależni od sądów wygłaszanych przez czytelników gazet.

— Być może mój brat umiera, panie Bloem. Jeżeli nie da mu pan schronienia, muszę zabrać go w inne miejsce.

Z pobliskiego namiotu wypadł Donald, a za nim tęga kobieta w średnim wieku z rozpuszczonymi włosami.

— Panie Blitz! — zawołał. — Co się tutaj dzieje? Barney wyjaśnił mu, wpatrując się pewnym i cynicznym wzrokiem w Jana Bloema.

— Sytuacja jest taka, że Joel umiera, ale nasz przyjaciel Griqua bardziej martwi się o polityków, kolonialny rząd brytyjski i zawłości prawa.

Donald pochylił się nad wózkiem i przyjrzał się uważnie Joelowi. Następnie wskazał na niego swoim długim palcem i zapytał:

— Czy to on? Czy to naprawdę pana brat? Barney pokiwał głową.

Donald odwrócił się do Jana Bloema, ciągle wskazując Joela palcem, i puścił wiązanek gardłowych słów w plemiennym narzeczu. Jan Bloem zaczerwienił się, tupnął nogą i nie pozostał mu dłużny. Ale Donald podniósł rękę do góry i wskazał palcem niebo, wyszczekując całą litanię słów, aż Jan Bloem pomachał ręką, żeby skończył.

— Poddaję się — powiedział Barney owi. — Tylko powiedz temu wściekłemu psu, żeby przestał kasać mnie po nogach.

— Donaldzie! — zawołał Barney i Donald umilkł, chociaż ciągle był bardzo wzburzony.

— Ta dziewczyna zajmie się pańskim bratem — powiedział Jan Bloem. — Nazywa się Natalia Marneweck. To dobra dziewczyna.

— A co ze Staffordem Parkerem? — zapytał Barney. — I z brytyjskimi władzami?

— Pomyślę o nich, kiedy nadejdzie odpowiednia pora — odpowiedział Jan Bloem z niezadowolaniem. Po czym odwrócił się na pięcie i poszedł do namiotu w otoczeniu swojej świąty. Szedł dumnym krokiem, co jakiś czas chrząkając, jak gdyby miał do wykonania nadzwyczaj ważne zadanie.

— Natalia? — powiedział Barney, odwracając się do dziewczyny. Dziewczyna uśmiechnęła się i zbliżyła, żeby pomóc Barneyowi i Donaldowi znieść z wózka Joela. Podeszedł do nich jakiś mężczyzna i podtrzymał nogi Joela. Wnieśli go do namiotu i położyli na uplecionej z trawy macie, przykrywając kocem. Joel otworzył na moment oczy i boleśnie uśmiechnął się do Barneya.

Barney podniósł się. Oprócz maty w namiocie była jeszcze drewniana skrzynia okuta brązem, przykryta kawałkiem białego materiału obszytego koronką. Stał na niej prosty drewniany krzyż, a obok niego leżała szczotka i grzebień.

Dziewczyna o imieniu Natalia powiedziała:

— Pomogę... twojemu bratu. Proszę teraz iść. Proszę. To dobrze, że on śpi.

Barney postać jeszcze przez chwilę, patrząc na Joela. Po raz pierwszy odkąd znalazł brata, miał czas, żeby pomyśleć o Nowym Jorku, o Blitzach, Krawcach, i długich latach poszukiwań, kiedy przyjechał do Afryki Południowej. Dotknął wierzchem dłoni policzkowana których pojawiły się łzy. Poszedł w kierunku otworu wyjściowego, przystanął niezdecydowany przed zasłoną i odwrócił się. Natalia uśmiechnęła się do niego łagodnie i współczująco, więc odwzajemnił uśmiech.

— Wrócę za godzinę — powiedział, wycierając oczy rękawem.

Na zewnątrz wiał chłodny, wieczorny wietrzyk. Przy namiocie czekał Donald.

— Co powiedziałaś Janowi Bloemowi? — zapytał Barney. — Dlaczego zmienił zdanie?

Donald wzruszył ramionami i odwrócił się w drugą stronę, patrząc na zacienioną dolinę.

Promienie słoneczne błyszczały jeszcze w rozłożystych koronach dzikich drzew, zapach suchych traw unosił się w powietrzu.

— Och, nic takiego. Po prostu przypomniałem mu, że zarówno Żydzi, jak i ludzie z plemienia Griąua mają tego samego Pana. Przypomniałem mu jego chrześcijańską przysięgę. Powiedziałem mu również, że taki wielki wódz jak on nie powinien okazywać strachu przed Brytyjczykami, a zwłaszcza przed białobrodym Staffordem Parkerem.

— To wszystko? — zapytał Barney.

Donald w dalszym ciągu nie patrzył mu w twarz.

— Hmm, być może wspomniałem, że wiem, iż kiedyś nie był wierny swojej żonie. I chyba powiedziałem mu, że jeżeli nie przyjmie pańskiego brata, to wkrótce jego żona się o tym dowie.

— Szantaż? — uśmiechnął się Barney.

— Ależ nie, sir. Przyjacielska przestroga.

Barney położył ręce na biodra i zamyślił się na chwilę, podziwiając piękno doliny.

— Wiesz co, Donaldzie — powiedział ciepło — chyba zaczynam pojmować podstawowe zasady chrześcijańskie.

Barney zastanawiał się, czy nie odwołać zaproszenia na kolację u rodziny Knightów, ale o siódmej Joel ciągle spał głębokim snem, a oczy miał opuchnięte i czerwone jak dojrzała figa. Natalia powiedziała mu, że prawdopodobnie obudzi się dopiero jutro rano.

— Chyba już nie umrze, co? — zapytał Barney, pochylając się nad zmaltretowanym, śpiącym bratem.

Natalia potrząsnęła energicznie głową.

— Nie umrze. Obiecuję. Barney dotknął jej ramienia.

— Byłaś dla niego dobra. Dziękuję ci.

— Wszyscy Griąua dobrzy ludzie — odparła.

— Zaczynam dochodzić do tego samego wniosku — powiedział Barney.

Donald czekał na niego na zewnątrz, trzymając w ręce wodze oraz bat, którym leniwie wymachiwał, oganiając się od owadów wściekle latających w powietrzu. Kilka metrów dalej, przy ognisku, siedział mężczyzna grający na instrumencie, którego dźwięk przypominał dźwięki drumli, podczas gdy krzepko wyglądająca kobieta, szczelnie zawinięta w czerwoną sukienkę, głośno śpiewała fragmenty z psalmów.

Barney i Donald siedzieli w milczeniu obok siebie na koźle powozu, a konie ciągnęły ich po nierównym, porośniętym trawą terenie w kierunku Kimberley. Kiedy wjechali na wzniesienie, mogli widzieć diamentowe kopalnie, na których rozpalono tysiące ognisk. W powietrzu unosił się zapach palonego drewna.

Wreszcie dotarli przed dom Knightów, mieszczący się przy głównej ulicy. Budynek należał do ładniejszych w mieście — był to na biało pomalowany bungalow z długą werandą i drewnianym dachem. Ładnie utrzymany ogródek otaczał niski płot ze sztachet, a ścieżka prowadząca do głównego wejścia do domu była wysypana białymi kamykami. W oknach nie było firanek i Barney widział siedzącą przy stole Agnes oraz Faith rozpalającą oliwne lampki.

— O której godzinie mam wrócić? — zapytał Donald. Barney spojrzał na zegarek.

— Przyjedź o jedenastej. Tak będzie dobrze.

— Być może dla pana. Barney podniósł brew do góry.

— A jakie masz plany?

Donald uśmiechnął się szeroko i trochę bezczelnie.

— Jan Bloem powiedział mi, że dzisiaj przyjeżdża nowa siostra, dobra, tłusta Hotentotka. Jan Bloem mówi, że nazywa się Ciężka Mary.

— Mogłem się domyślić. W porządku, bądź tutaj o jedenastej trzydzieści. Ale nie później.

— Jest pan dobrym człowiekiem, panie Blitz. Donald cmoknął na konie i odjechał, a Barney wszedł na werandę i zapukał w czarno pomalowane drzwi. Udawał, że nie zauważył gwałtownego poruszenia firanki w małym okienku przy drzwiach.

Sam pan Knight otworzył drzwi, chociaż było to dla niego z pewnością zupełnie nowe doświadczenie wpuszczać osobiście swoich gości. Był tak samo ubrany jak na ulicy, w czarny garnitur i białą koszulę z wyłożonym kołnierzykiem.

— Jest pan bardzo punktualny — powiedział takim tonem, że Barney nie był pewien, czy punktualność była dla niego cnotą czy też grzechem. — Dziewczyny nie mogły się doczekać.

Barney wszedł do salonu. Stały w nim różnego rodzaju drogie meble, nie zawsze pasujące do siebie: stoły wykonane z mahoni, inkrustowane wysokie komody, ohydne werniksowane fotele i kanapy. Graty, które prędeż spodziewałbyś się zobaczyć na wózku pchanym przez jakiegoś emigranta, mieszanina cennych przedmiotów otrzymanych w spadku i zwykłych śmieci.

Agnes i Faith stały przy ścianie i dygnęły, kiedy go zobaczyły.

— Ja też nie mogłem się doczekać — powiedział Barney. Zdjął kapelusz i rękawiczki, a pan Knight odebrał je od niego tylko po to, aby spojrzeć na nie z zakłopotaniem, ponieważ nigdzie nie było wieszaka, na który mógłby je powiesić.

— Decyzja o zamieszkaniu w Kimberley była dla nas bardzo trudna — powiedział pan Knight. — W poprzednim miejscu musieliśmy zostawić nasze najcenniejsze rzeczy. A do tego przyjaciół i życie towarzyskie. — Zakaszłał z zakłopotaniem. — Chyba się pan ze mną zgodzi, że życie towarzyskie tutaj nie jest zbyt kwitnące? Z pewnością nie jest.

— A jak interesy? — zapytał Barney.

Pan Knight znalazł w końcu miejsce, gdzie mógł umieścić kapelusz Barneya — było nim poroże gazeli afrykańskiej: kapelusz powiesił na prawym rogu, a rękawiczki na lewym.

— Interesy? — zapytał, poprawiając klapy garnituru i opierając pięści na biodrach. — O, tak, mnóstwo roboty. Spory o działki, spory o diamenty. I czasami spory o kobiety.

Do pokoju weszła drobna, blada kobieta, której twarz kolorem i kształtem przypominała migdał. Miała na sobie nieładną, jasnozieloną, bawełnianą sukienkę, a w uszach dyndały jej kolczyki z krwawnikami. Kiedy Barney wziął ją za rękę, poczuł się, jak gdyby próbował ocalić jakąś osobę z posmarowanymi tłuszczem rękami przed odpadnięciem od pionowej skały, na którą ta osoba starała się wejść.

— Moja lepsza połowa — wymamrotał Knight zakłopotany.

— Bardzo mi miło — powiedział Barney.

— Mnie również — odpowiedziała pani Knight niepewnym, jasnym głosem. — Kolacja prawie gotowa.

Agnes zachichotała. Wyglądała prześlicznie. Miała na sobie różową sukienkę ze świecącej bawełny z koronkowym żabotem. Faith włożyła skromniejszą szarą sukienkę, którą zdobiła broszka z kameą. Włosy miała zaczesane do tyłu.

— Mamusia miała kłopoty z nowym kucharzem, prawda, mamusiu? — zapytała Agnes.

Pan Knight zmarszczył brwi, ale pani Knight klasnęła w dłonie z rozbawieniem i powiedziała:

— Ci Malajowie... nie rozumieją po angielsku, ot, cały kłopot. Powiedziałam mu, żeby przyrządził ziemniaki sauté, a kiedy wróciłam do domu, odkryłam, że położył wszystkie małe ziemniaki po jednej stronie naczynia, a duże po drugiej. „Gotowe, pszepani — powiedział. —

Posorto-wałem ziemniaki tak jak pani kazała". Czy to nie zabawne?

— Tęskni za Kapsztadem — zauważył pan Knight niepotrzebnie, a jego żona poszła do kuchni, żeby uratować danie.

W końcu zasiedli do kolacji przy owalnym stole z chwiejącymi się nogami. Kiedy jedli już zupę, cienką lurę, w której pływały ziarenka groszku i która była tak pieprzna, że Barney poczuł, iż za chwilę wyparsknie wszystko na obrus, pan Knight wstał, zdjął z półki książkę pt. *Dobry i sumienny uczestnik Mszy świętej* i wsunął ją pod jedną z chwiejących się nóg, aby utrzymać stół w poziomie. Kiedy wyszedł spod stołu, był czerwony na twarzy.

— Nie zawsze tak było — ogłosił całemu światu mocnym głosem. — Swojego czasu mieliśmy najwspanialszy mahoniowy stół obiadowy w całej Kolonii.

— Nie przejmuj się tym, kochanie — powiedziała słodko jego żona.

— Czy zostanie pan w Kimberley do niedzieli, panie Barney? — zapytała Faith.

Barney był zadowolony, że miał szansę odłożyć łyżkę i wytrzeć usta w serwetkę. Serwetka była lniana, prawdziwa irlandzka, chociaż mocno już sprana.

— Zostanę na pewno — powiedział. — Mam kilka spraw do załatwienia w Kimberley.

— A więc może nam pan towarzyszyć podczas mszy w kościele? — zapytała Faith.

— Faith — zaprotestował jej ojciec grubym głosem. Barney odkrył jednak, że pomysł ten raczej mu się spodobał. Może w Anglii albo w Kapsztadzie młode kobiety nie powinny być eskortowane do kościoła przez młodego mężczyznę, żeby wspólnie recytować modlitwy, ale tu w Kimberley było to do przyjęcia. Na pewno lepsze niż chichotanie z kopaczami diamentów na ulicy, jak pospolite dziwki. I o niebo lepsze niż sekretne obłapiania za budynkiem probierczym, gdzie nie byłby w stanie kontrolować sytuacji. Pan Knight był pewien, że jego szelmowskie córeczki były jeszcze dziewczynkami, ale to mogło się zmienić. Jeszcze sześć miesięcy w tym prymitywnym, zapomnianym przez Boga mieście poszukiwaczy diamentów, prostytutek i złodziei i nie będzie już tak pewny siebie. Cnota dziewczęca jest krucha jak kwiat. Poza tym zdawał sobie sprawę z tego, jak atrakcyjne dla mężczyzn są jego córki.

— Smakowała panu zupa? — zapytała pani Knight.

Agnes wstała z krzesła, żeby posprzątać ze stołu naczynia. Knightowie z pewnością byli bez pieniędzy, a do tego mieli kłopoty ze służbą. Ale wykonywanie obowiązków służącej przez Agnes umożliwiło jej zbliżenie się do Barneya — kiedy odbierała od niego talerz — tak, żeby poczuł zapach jej perfum i żeby przez moment poczuł ciężar jej piersi na swoim ramieniu.

— Zupa była wspaniała — powiedział Barney. — Nie jadłem takiej, odkąd wyjechałem z Nowego Jorku.

— Biedni Nowojorcianie — wymruczała Agnes, odbierając talerz od ojca. Spojrzała na Barneya i posłała mu uśmiech, który był radosny, a zarazem prowokacyjny. Barney poczuł, że się rumieni i skoncentrował uwagę na bułce. Faith zauważyła, co się święci, ale pan Knight był zbyt zajęty wysnuwaniem zawiłych teorii prawniczych na temat podziału działek diamentowych, a pani Knight gryzła nerwowo usta, marszczyła brwi i słuchała męża, czyniąc bezowocne próby zrozumienia tego, o czym mówił.

— Przypuszczam, że jest pan farmerem dżentelmenem? — zapytał pan Knight Barneya, kiedy Agnes przyniosła i postawiła na stole wielką białą wazę, wypełnioną po brzegi brązowym gulaszem.

Barney uśmiechnął się krzywo.

— Chyba tak, chociaż co to jest warte tutaj, w samym środku niczego.

— Cóż, to jest bardzo ważne, stary przyjacielu — powiedział pan Knight. — Farmer dżentelmen może uzyskać członkostwo klubu Kimberley, podczas gdy zwyczajny farmer nie ma takiej szansy.

— Czy klub Kimberley jest taki ważny?

Pani Knight zachichotała z roztargnieniem, nakładając na talerze gulasz, a pan Knight spojrzął na nią z wyrzutem.

— Tak — powiedział, patrząc Barneyowi prosto w oczy. — Właściwie dopiero się organizuje, ale kiedy zostanie postawiony nowy budynek, rozpocznie działalność zgodną ze swoim statutem. To będzie klub dla dżentelmenów mających określoną pozycję w społeczeństwie; miejsce, gdzie będzie można w niewielkim, wybranym gronie podyskutować na temat interesów; enklawa dla tych, którzy mają odpowiednie pochodzenie.

— Czy pan jest już członkiem? — zapytał Barney. Pan Knight opuścił brodę, która oparła się na sztywnym kołnierzyku, i oznajmił z zadowoleniem:

— Jestem sekretarzem bilardu, ściśle mówiąc.

— I myśli pan, że ja mógłbym...?

— Byłoby to dla pana ze wszech miar korzystne. To kwestia zawierania znajomości wewnątrz określonego koła, jeżeli rozumie pan, co mam na myśli. A ci, którzy znajdują się poza obrębem, cóż... ci, którzy są na zewnątrz, nigdy się nie dowiedzą, co dzieje się wewnątrz.

Pani Knight ponownie zachichotała i podała Barneyowi talerz, na którym znajdowały się dziwnie wyglądające kawałki mięsa. Albo gulasz zrobiony został z mięsa jakiegoś zupełnie nie znanego zwierzęcia, albo nowy kucharz nie miał zielonego pojęcia, jak podzielić mostek na smakowite kąski.

Agnes złożyła dłonie i przycisnęła je do piersi.

— Czy to prawda, panie Barney, że w Ameryce są Indianie? I niedźwiedzie?

— Tak — pokiwał głową Barney. — Ale nie w Nowym Jorku.

— A więc nigdy ich pan nie widział? — zapytała Agnes. Barney poczuł nagle jej kolano przyciskające się do jego nogi. Opuścił głowę i spojrzął w talerz, na ohydnie wyglądające kawałki mięsa, kości zanurzone w kałuży tłustej mazi.

— Kiedyś widziałem Indianina — powiedział. — Byłem wtedy małym chłopcem. Komańcz imieniem Orle Pióra odwiedził Nowy Jork. Wożono go po ulicach miasta w powozie. Byłem raczej rozczarowany, miał na sobie wysoki kapelusz i prochowiec, a w ręce trzymał trzcinkę. Nie przypominał dzikusa, ani trochę.

Pan Knight głośno kichnął i powiedział:

— A propos dzikusów. Kiedyś w Kapsztadzie występowałem jako adwokat w bardzo interesującej rozprawie przed sądem. Mężczyzna oskarżony był o kradzież srebra z kasyna oficerskiego w zamku Cape. Posądzano go, że miał spore długi karciane, których nie był w stanie spłacić. Nazywał się Chatsworth. Absolwent Harrow School.

— Ale nie był dzikusem, kochanie? — niepewnie zapytała pani Knight.

Pan Knight poczęstował żonę takim spojrzeniem, że zaparło jej dech w piersiach. Wydawało się, że próbuje zmiażdżyć ją siłą swojego wzroku.

— Ten mężczyzna — kontynuował, ciągle patrząc na żonę — ten mężczyzna nie przyznawał się do winy. A najbardziej interesującą rzeczą w tym wszystkim był fakt, że jedynym świadkiem kradzieży był czarny sprzątac. A więc po wysłuchaniu dowodów stanąłem przed sądem i zapytałem, czy uważają, że czarnuch jest czymś ważniejszym — w świecie rządzonym przez Pana — niż na przykład koń do gry w polo, czy też jest mniej warty. Gdyby doszli do wniosku, że pełnej krwi koń do gry w polo — w świecie rządzonym przez Pana — jest ważniejszy niż byle czarnuch z wybrzeża na Przylądku, natychmiast zorientowałiby się, że jedyny świadek na rozprawie nie był do końca człowiekiem i jego tak zwane zeznania nie były wiarygodne. Muszę panu powiedzieć, że sędzią był

stary Clough-Parker, który był absolutnym fanatykiem gry w polo.

Barney był oszołomiony.

— I co, wypuścili go? Mam na myśli Chatswortha?

— Oczywiście. Uniewinnili całkowicie i bez wahania. Między nami mówiąc, pułkownik, który był tamtej nocy oficerem dyżurnym w kasynie, nienawidził Chatswortha z całej duszy. Myślę, że wierzył, że to Chatsworth razem ze swoją żoną dokonał kradzieży. Ale najważniejszą rzeczą w tym wszystkim jest to, że decyzja starego Clougha-Parke-ra stworzyła interesujący precedens... i to, że czarnuchy nie mogą świadczyć przed sądem, ponieważ nie są ludźmi, jest wykorzystywane do dzisiaj, chociaż nie tak często jak kiedyś. Sprawa jest znana jako Precedens Konia Do Gry W Polo.

Agnes przyciskała teraz swoje mocne udo do jego kolana, a kiedy na nią spojrział, obdarowała go pożądanym uśmiechem. Barney podniecił się, a zarazem zmieszał. Agnes podobała mu się bardzo: była ładna i wzbudzała w nim emocje, które można by porównać do uczuć doznanych po erotycznym śnie. Ale jego doświadczenia z dziewczętami sprowadzały się do dziecinnej przyjaźni z Leach i męczących zapasów z Louise Loubser. Często ukradkiem przyglądał się obnażonym piersiom czarnych dziewczyn z okolic Oranjerivier i myślał nawet o tym, żeby jedną z nich zaprosić do swojego pokoju na farmie. Ale nigdy nie starczało mu odwagi, bał się chorób albo wyobrażał sobie, że mógłby skończyć podobnie jak Monsaraz, który brał wszystko, co nie uciekało na drzewo.

Faith musiała wyczuć, co się działo pod stołem, bo nagle zasyczała — Agnes! — jak gdyby chciała zganić siostrę i przypomnieć jej, kto zaproponował Barneyowi wycieczkę do kościoła.

Barney jednak przestał zwracać uwagę na kokieteryjne zachowanie dziewczyn i zaczął zastanawiać się nad zupełnie inną sprawą — nad możliwością uniewinnienia Joela od ciężącego na nim zarzutu. Gdyby pan Knight zgodził się wystąpić w imieniu Joela i gdyby Stafford Parker zgodził się posłużyć Precedensem Konia Do Gry W Polo, to Joel mógłby zostać oczyszczony z zarzutów.

— Coś panu powiem, panie Barney — powiedział pan Knight. — Jeżeli naprawdę jest pan zainteresowany członkostwem w klubie Kimberley, to mógłbym pana zarekomendować. To bardzo by panu pomogło.

— Bilard — powiedziała pani Knight żałośnie, bez żadnego powodu. Barney spojrział na nią zaniepokojony, ale pan Knight potrząsnął głową, żeby nie zwracał na nią uwagi.

— Chcemy przyjąć jeszcze kilku dżentelmenów — powiedział pan Knight. — To dotyczy również amerykańskich dżentelmenów. Nie jesteśmy ogarnięci ksenofobią. — Nagle roześmiał się głośno, zadowolony ze swojego poczucia humoru i tolerancji.

Barney sięgnął ręką pod stół i złapał Agnes za kolano, żeby ją uspokoić. Zrobiło mu się gorąco, zaczerwienił się i poczuł, że dostał erekcji.

— Przypuszczam, że nie dopuszczacie do siebie... mieszańców? — zapytał.

— Mieszańców! Mój drogi przyjacielu! Nie przyjmujemy nawet absolwentów Winchester College! Nie, drogi kolego, nie uświadczysz między nami żadnych mieszańców. Żadnych Arabów, Chińczyków, Malajów, ani nawet pieprzonych Francuzów!

— A Żydów? — zapytał Barney.

Pan Knight, który właśnie przełykał gulasz, spojrział na Barneya, jak gdyby nagle zaczął go posądzać, że postradał zmysły.

— W dniu, w którym przyjmujemy Żyda do klubu Kimberley, wypiję pięć butelek brandy, jedna po drugiej, i pójdę poszukać miejsca, żeby się położyć i zasnąć snem wiekuistym. Żydzi! Pazerni na pieniądze Żydzi! Dlaczego pan o to pyta?

— Właściwie... — zaczął Barney suchym głosem. — Nie wszyscy Żydzi są tak zachłanni, jak się o nich mówi. A jeden z moich najlepszych przyjaciół jest Żydem. — Słowa nie przychodziły mu

łatwo, ale wiedział, że musi je wypowiedzieć. — Żydzi mogą być bardzo... no cóż, wrażliwi.

— Och, proszę mnie źle nie zrozumieć — przerwał mu Knight. Pożuł przez chwilę w ustach kawałek mięsa, skrzywił się z obrzydzeniem, po czym wyjął go, wielki i twardy, ze śladami zębów, i położył na brzegu talerza. — Żydzi są ludźmi, nie mam co do tego żadnych wątpliwości; nie tak jak czarnuchy. Mają swoją religię, nieważne jak perwersyjne mogą być jej zasady, i mają swoje życie rodzinne. I nawet słyszałem, od ludzi takich jak pan, że niektórzy Żydzi potrafią być mili i uprzejmi. Nie, nie, proszę mnie źle nie ocenić.

Barney poczuł że dłużej nie wytrzyma, wstanie od stołu i opuści bungalow Knighta. Czuł, że gotuje mu się mózg. Ale Agnes przyciskała jego dłoń do swojego uda i to go uspokajało, dostarczając erotycznych doznań, a przy tym trzeźwiąco na niego wpłynęło myślenie o Joelu, który w dalszym ciągu był narażony na niebezpieczeństwo ze strony Stafforda Parkera i jego siepaczy. Pan Knight, chociaż bigot pierwszej wody, mógł ocalić jego życie.

Musiał przyznać przed sobą samym, że pomysł zostania członkiem klubu Kimberley był w pewnym sensie atrakcyjny. Ugruntowałyby to jego pozycję, jako rzetelnego biznesmena i otworzyłyby kredyt zaufania w społeczeństwie, tak że mógłby zacząć wspinać się na szczyt drabiny.

Ale gdzie była ta drabina? W tym rozgardiaszu trudno było dociec. W każdym razie wszystko było lepsze niż prowadzenie farmy dla Monsaraza; i wszystko było lepsze niż żyć tak jak Knight, na cienkiej zupce i niemożliwych do realizowania marzeniach.

— Czy zgodziłby się pan pomóc mojemu żydowskiemu przyjacielowi wydostać się z nader trudnej i kłopotliwej sytuacji? — zapytał Barney.

Pan Knight spojrzał na niego z uwagą i przełknął łyk wina.

— Trudnej sytuacji, powiada pan.

— Został oskarżony o kradzież, niesłusznie.

— Aaa! Podobnie jak nasz przyjaciel Chatsworth.

— Tak — powiedział Barney. — I na tym nie koniec podobieństw w obydwu sprawach. O ile jestem zorientowany, jedynym świadkiem był Murzyn.

— Oskarżono go o kradzież? — zapytał pan Knight. — Mam nadzieję, że nie diamentów?

Barney pokiwał głową.

— Mówi się, że robotnicy pracujący dla British Diamond Mining Company zostali przez niego przekupieni i przynosili mu najlepsze diamenty. Sprzedawał je później na czarnym rynku.

— Mówi pan o panu Havemannie, prawda? — wtrąciła Faith zaskoczona. — Myślałam, że już go skazali i rozciągnęli.

Barneyowi zrobiło się gorąco.

— Znała go pani? — zapytał.

— Wszyscy go znali — powiedziała Faith. — Zresztą wszyscy znają tutaj wszystkich. Bardzo smutny mężczyzna, ale całkiem przystojny.

— Wystarczy, Faith - przerwał jej ojciec. Odłożył nóż i zapytał Barneya: — Czy Havemann żyje?

— Żyje - odparł Barney. - Nie czuje się najlepiej, ale żyje.

— Stafford Parker będzie go ścigał jak wściekłego psa, to mogę panu obiecać. W końcu go dopadnie i zastrzeli.

— Stafford Parker nie jest prawem — Powiedział Barney.

— To prawda, formalnie nie jest — zgodził się pan Knight. — Ale posiada wystarczającą władzę i wpływy, żeby kontrolować diamentowe pola. I musi pan przyznać, że nie jest niemiłe widziany. Oczywiście, jeżeli bliżej się temu przyjrzeć, jest w tym trochę bezprawia.



— Mimo wszystko, powinien rozpatrzyć apelację pana Havemanna.

Pan Knight zrobił niemądrą minę.

— Może, jeżeli będzie miał humor.

— Czy zgodzi się pan reprezentować pana Havemanna? Zapadło milczenie. Pan Knight z determinacją bawił się widelcem, dziobiąc nim kawałki mięsa leżące na talerzu.

— W samym Kimberley i okolicy prawie codziennie popełnianych jest mnóstwo przestępstw, które tolerowane są przez poszukiwaczy diamentów, ponieważ nie dotyczą fundamentalnych spraw, dla których oni tutaj są. A oni są tutaj wyłącznie dla diamentów, panie Barney, i wielu z nich sporo przecierpiało, zrezygnowało z wielu rzeczy, przebyło daleką drogę i wszystko to zrobili dla diamentów. Obrażają się wzajemnie i bluźnią, kwitnie prostytutka, pijaństwo i hazard. Są przypadki sodomii i kazirodztwa. Ale tego typu sprawy traktowane są tutaj jak wykroczenia — dziwactwa, jeżeli tak pan woli, ponieważ są oni mężczyznami o twardych charakterach i wszystko to, co wymieniłem, jest wybaczone. Jednakże kradzieży diamentów nie wybacza się nigdy. Ukraść diamenty, to tak jakby ukraść człowiekowi życie.

— Ale czy będzie go pan reprezentować? Czy spróbuje pan? Nie mam nikogo, do kogo mógłbym się zwrócić.

— Żyda, złodzieja diamentów? Prosi pan o bardzo dużo, panie Barney.

Barney zaczerpnął powietrza.

— Wiem. I wiem również, że szansę powodzenia są bardzo nikłe. Ale jeżeli powiodłoby się panu — proszę się nad tym zastanowić — byłby pan słynny na całą Kolonię.

— Być może — odparł pan Knight bezbarwnie. — Nie, muszę mieć czas, żeby się nad tym zastanowić. I oczywiście będę musiał porozmawiać z panem Havemannem, żeby usłyszeć jego wersję wydarzeń. Zabawne — spotkałem go raz czy dwa razy i nigdy nie przypuszczałbym, że jest Żydem. Ani pejsów, ani niczego w tym stylu.

— Nie wszyscy Żydzi przypominają Shylocka — powiedział Barney, odwracając się nagle do pani Knight, która właśnie w tym momencie starała się wydłubać kawałek wołowiny pomiędzy zębów, a następnie spojrzał na Agnes i Faith. Wydawało mu się, że to niemożliwe, iż nikt z obecnych nie rozpoznał w nim żydowskiego pochodzenia. To, że drżały mu nogi, Agnes mogła przypisać seksualnemu podnieceniu i częściowo była to prawda. Czuł, że spodnie stały się w pewnym miejscu jakby nieco ciaśniejsze. Odkąd żył, nie jadł takiej kolacji. Prawo, uprzedzenia, pożądanie i niestrawność.

Kiedy ujrzeni, że na stole pojawiła się podejrzanego koloru galaretka z koziego mleka, odsunęli skrzypiące krzesła i usiedli dookoła zielonego, wysokiego pieca. Pan Knight zapalił grube tureckie cygaro, rozsiadł się wygodnie, krzyżując nogi i poruszając stopami, kiedy mówił. Barney przysiadł na brzegu kanapy, a Agnes usadowiła się tuż obok niego, na poręczu, tak że mógł oddychać zapachem jej perfum, a ona palcami mogła dotykać jego włosów na karku, czego nie widział ojciec. Nuciała pod nosem jakąś melancholijną piosenkę, która odtąd miała przypominać Barneyowi ten wieczór do końca życia.

— Udzielę panu pewnej rady — powiedział pan Knight, I kiedy zegar na ścianie wybił jedenastą. — Niech pan uważa, z kim pan przestaje, ponieważ w Kimberley jest się znanym przez swoje towarzystwo. Oczywiście każdemu należy się trochę rozrywki — czarne kobiety i tak dalej. To zupełnie naturalne. Ale towarzystwo proszę sobie dobierać pierwszorzędne. A teraz, czy ma pan ochotę na szklaneczkę musującego wina?

Donald przyjechał o jedenastej trzydzieści. Barney skłonił się pani Knight, która chichotała i czerwieńnięła się na zmianę i podziękował jej za kolację, a Agnes i Faith, mocno objęte ramionami,

staraly się nie wybuchnąć głośnym śmiechem. Pan Knight stał wyprostowany z wyrazem twarzy, który mógłby zostać odczytany jako błaganie niebios o przetrwanie w trudnych czasach.

Barney wspiał się na kozioł i pomachał ręką rodzinie Knightów, która stała oświetlona w drzwiach swojego domu, jak gdyby pozowała do bożonarodzeniowej fotografii. Wszyscy gwałtownie wymachiwali rękami.

— Czy już? — zapytał Donald, podnosząc do góry bat. Barney właśnie miał powiedzieć, że „już najwyższy czas — jedziemy”, kiedy na ścieżce pojawiła się pędząca w ich kierunku Agnes. Trzymała brzegi spódnicy w jednej ręce, a w drugiej jakiś mały przedmiot z materiału, którym energicznie wywijiała.

— Pańskie rękawiczki, panie Barney! Zapomniał pan swoich rękawiczek.

Barney zeskoczył z powozu.

— Jestem niezmiernie wdzięczny — powiedział, kiedy podeszła bliżej.

— Schowałam je — wyszeptała. — Chciałam pożegnać pana bez świadków.

Barney spojrzał w jej szeroko rozwarte, błyszczące oczy. Była bardzo ładna i podniecała go jak żadna inna dziewczyna. Nawet przy Leah nie czuł się tak jak przy niej. Patrzył na jej kręcone włosy, wilgotne, zadające męki Tantala usta, wdychał jej zapach. Była dobrze wychowana, ale i prowokacyjna. Sposób, w jaki zabawiała się jego ręką przy kolacji, przyprawiał go o dreszcze.

Agnes wyciągnęła rękę, a Barney schował ją między swoimi dłońmi.

— Nie wiem, co powiedzieć — odezwał się.

— Ale ja wiem — wyszeptała. — Choć to i tak nie ma znaczenia. Kiedyś kochałam się w pewnym poruczniku z Kapsztadu... musiałam się z nim rozstać ze względu na interesy tatusia. Ale zdążył mnie nauczyć, jak zadowolić mężczyznę.

— Chcę się z tobą jeszcze spotkać — powiedział Barney.

— Więc przyjdź w niedzielę do kościoła. Bądź uprzejmy wobec Faith, ale usiądź obok mnie.

Barney nagle zdał sobie sprawę z tego, jak gorąca była noc; usłyszał niespodziewanie tysiące niestrudzenie brzęczących owadów. Był również pewien, że pan Knight marszczy się teraz, stojąc na werandzie, i że rozmowa z Agnes przedłużała się, była zbyt długa jak na omówienie spraw związanych z zapomnianymi rękawiczkami.

— Musisz iść — powiedział. Agnes mrugnęła do niego okiem.

— Wiem. Ale Faith będzie zazdrosna.

Pobiegła ścieżką w kierunku domu, a Barney przez chwilę za nią patrzył, po czym ponownie wspiał się na powóz.

— Ta kobieta wie, że jest pan Żydem? — zapytał Donald, strzelając z bata i cmokając na konie.

— A jaka to różnica? — zapytał Barney wyzywającym tonem, poluzowując krawat.

Donald skrzywił gębę w uśmiechu.

— Ona nie wie? Pan nie powiedział.

— Nie. Nie było okazji.

— Czy Bóg nie będzie na pana zły?

— Dlaczego miałby być zły?

— Bóg nie lubi, kiedy ktoś się Jego wypiera.

— Nie wyparłem się Boga. Posłuchaj, Donaldzie, żeby przeżyć w tym kraju, ażeby wzbogacić się, trzeba być białym i chrześcijaninem, i dżentelmenem. Tak się składa, że spełniam tylko jeden z tych warunków. Ale kiedy tylko ludzie zaczną wierzyć, że spełniam pozostałe dwa — niech zaczną tylko wierzyć, rozumiesz, nie kłamiąc mi prosto w oczy — to wtedy im powiem.

— Bardzo dobra — powiedział Donald.

— Bardzo dobra? Co bardzo dobra?

— Wymówka — powiedział Donald. — Bardzo dobra wymówka.

Kiedy Barney wrócił do obozowiska Griqua na wzgórzu, Joel już nie spał. Natalia kuciała przy jego legowisku, karmiąc go rosołem. Kiedy Barney wszedł do namiotu, Joel trzymał Natalię za nadgarstek i mówił:

— Dosyć zupy, dziękuję ci. Naprawdę już mam dosyć.

— Musisz nabrać sił — powiedziała Natalia, podnosząc łyżkę do jego ust.

Barney usiadł na brzegu legowiska.

— Rób to, co każe twoja pielęgniarka. — Uśmiechnął się do Joela.

Joel był nie ogolony, miał zaczerwienione oczy i był opuchnięty. Na policzkach widniały purpurowe, błyszczące plamy.

— Co za sens, żebym przytył? — zapytał Barneya. — Stafford Parker wytropi mnie z psami, kiedy tylko się dowie, że uciekłem.

— Czy oni naprawdę chcieli, żebyś tam umarł? Joel opadł na posłanie.

— Miałem leżeć rozciągnięty przez trzy dni. Gdybym nie umarł, to byłby jakiś cholerny cud.

— Przez przypadek dowiedziałem się, co się tobie przytrafiło. Nork mi opowiedział.

— Nork? Ten bufon?

— Nie wygląda na bufona.

— Jest pośmiewiskiem wszystkich górników. On i jego wyssane z palca teorie o wulkanach. Takiego *shlimazela* jak Nork znajdziesz w każdym miejscu. Przy kopalniach kręci się wielu złodziei, naciągaczy i tak zwanych profesorów.

Natalia wstała i wyniosła talerz z zupą przed namiot. Barney pochylił się nad Joelem i powiedział serdecznie:

— Cudownie, że ciebie znalazłem. Szukałem cię przez wszystkie te lata, odkąd tylko przyjechałem. Trzy lata i oto jesteś.

— Znalazłeś mnie kilka miesięcy za późno, braciszku — powiedział Joel. — Gdybyś pojawił się wcześniej, pomógłbyś mi kopać na mojej działce i wtedy, być może, do czegoś byśmy doszli.

— Czy na twojej działce nie było diamentów?

— Tylko garstka. Wystarczyło, żebym kupił sobie jedzenie i wodę. Wszyscy dokoła mnie znajdowali kamienie wielkości gołębih jaj i robili fortuny. A ja ledwo wiązałem koniec z końcem. A dlaczego, u diabła, myślałeś, że przekupiłem tych czarnuchów, żeby przynosili mi najlepsze diamenty, które znaleźli?

Barney spojrzał na niego.

— A więc naprawdę to zrobiłeś?

— A jak miałem przeżyć? Nie miałeś tutaj działki i nie wiesz, jaka cholerna to robota. Jest tak gorąco, że czujesz się jak na rozgrzanej patelni, a tu nic tylko skały, piach i nadwerężasz swój cholerny grzbiet.

— Jak cię złapali?

— Jeden z czarnuchów trochę przedobrzył. Płaciłem im połowę tego, co dostałem od chłopaków na czarnym rynku, ale jeden z nich zażądał dwóch trzecich. Powiedział, że jeżeli nie dostanie, to pójdzie wszystko zameldować szefowi British Diamonds. No cóż, powinienem mu zapłacić tyle, ile chciał, ale wtedy wściekłem się na niego i kazałem mu pójść do diabła. I do niego właśnie poszedł — prosto do Stafforda Parkera. Dlatego właśnie Stafford Parker mnie rozciągnął.

— Posłuchaj tylko — powiedział Barney. — Nieważne, czy ukradłeś te diamenty, czy też nie,

znalazłem kogoś, kto mógłby ci pomóc. Prawnik o nazwisku Knight. Powiedziałem mu, że jesteś moim przyjacielem, nie bratem, ponieważ jest uprzedzony do Żydów. Tak, wiem — nie tylko on jeden. Kiedyś doprowadził do uniewinnienia jakiegoś faceta w Kapsztadzie, ponieważ jedynym świadkiem był czarnuch.

— Chyba nie myślisz o tym poważnie? — zapytał Joel. — Jak tylko wytknę nos z namiotu, Stowarzyszenie Górników rozedrze mnie na strzępy. Najlepszą rzeczą, jaką można zrobić, to przeczekać, podreperować zdrowie i pryskać na wybrzeże.

— Joelu, nie możesz tego zrobić. Co z działką?

— I tak mija zabiorą i sprzedadzą na licytacji.

— Przecież musiałeś za nią zapłacić wszystkie pieniądze, jakie miałeś!

— To prawda — pokiwał głową Joel. — Farmę w Der-deheuvel kupiłem za pieniądze zarobione na statku. A potem sprzedałem ją temu cholernemu Portugalczykowi i za dwa razy wyższą cenę. Był zachwycony miejscem, a przy tym cholernie bogaty, a mnie praca na roli przestawała się już podobać. Wtedy właśnie kupiłem działkę w Klipdrift i dobrze mi się wiodło. Wydobywałem tyle diamentów, że mogłem dobrze się ubrać i być pijany przez cały rok. Nie myśl o mnie źle. Zaoszczędziłem również trochę pieniędzy. Do maja tego roku miałem jeszcze trzy tysiące funtów, akurat tyle, żeby kupić pojedynczą działkę w Kimberley.

— Joelu — powiedział Barney smutnym głosem, potrząsając głową.

— Mam nadzieję, że nie zamierzasz mnie sądzić? —

zapytał ostro Joel.

— Dlaczego tak myślisz?

— Ponieważ czuję, że masz na to ochotę, *schmendrick*.

— Co się z tobą stało, Joelu? Jesteś taki zgorzkniały. Joel potarł dłonią nie ogolone policzki.

— Zgorzkniały? Myślisz, że jestem zgorzkniały? — Odwrócił głowę i spojrzał w bok. — Tak

— powiedział mniej agresywnym i pewnym siebie tonem. — Tak, jestem zgorzkniały.

— Chcesz o tym porozmawiać?

Joel prychnął lekceważąco. Chociaż leżał odwrócony, Barney wiedział, że był zmartwiony.

— Jestem cholernym marnotrawcą — powiedział. — Miałem setki, tysiące funtów, kiedy byłem w Klipdrift, i wszystko roztrwoniłem. Na alkohol, hazard, konie, kobiety. Byłem jak rozpuszczony dzieciak. Pewnie, trochę zaoszczędziłem. Ale trzy tysiące z piętnastu to chyba niezbyt wiele, co? Zwłaszcza że większą część podarowałem kobiecie.

— Kobiecie? Jakiej kobiecie?

Joel spojrzał na Barneya i po obolałych policzkach popłynęły mu łzy.

— Była kurwą, Barney. Zwykłą kurwą. Kiedy przyjechałem tutaj po raz pierwszy, nie chciałem mieć z kurwami nic do czynienia. Starłem się myśleć o mamie. Ale... w jakiś... zawsze myślałem o sobie jak o jej własności. Prawie jakbym był jej mężem. Gdybym poszedł z kurwą, to zwiódłbym ją. Ale pewnej nocy schlałem się i poszedłem do burdelu, i tam właśnie spotkałem Meg. Była Irlandką. Włosy miała jak płomień. Pierwsza noc, którą spędziliśmy razem, była jak marzenie. Rano zapłaciłem jej za cały tydzień diamentami. Przez cały następny tydzień nie wychodziliśmy z łóżka i kochaliśmy się. Albo cudzołożyliśmy. Nazywaj to sobie, jak chcesz.

Do namiotu weszła Natalia z mosiężną misą wypełnioną po brzegi ciepłą wodą i ręcznikiem. Uklękła przy Joelu i zaczęła obmywać mu twarz.

— Ta Meg... — powiedział Barney. — Wszystko jej oddałeś?

— Prawie wszystko — odpowiedział Joel. — Miałem trzy tysiące funtów w banku i tych nie mogłem roztrwonić, dzięki Bogu. Kupowałem jej stroje, biżuterię i cokolwiek zapragnęła. Byłem

oszałały z miłości. Pewnego dnia wróciłem do chałupy wcześniej niż zwykle i znalazłem ją rozebraną w objęciach jakiegoś Niemca. To był koniec. Przez jakiś czas chodziłem jak obłąkany. Jeszcze teraz o niej pamiętam i cierpię, kiedy pomyślę o tym, co zrobiła.

Przez chwilę nic nie mówili. Nie widzieli się tyle czasu, prawie się nie znali. Ale nagle Joel zapytał:

— Jak się czuła mama, kiedy wyjeżdżałeś? Czy masz z nią kontakt listowny?

— Nie dostałeś mojego listu? — spytał Barney

— Listu?

— Wysłałem do ciebie list, zanim wyjechałem z Nowego Jorku. Był zaadresowany na Derdeheuvel.

Joel zmarszczył brwi.

— Z mamą wszystko w porządku, prawda? Nie jest chora?

Barney wziął brata za rękę. Chciał powiedzieć, że nie żyje, że od kilku lat leży pochowana na żydowskim cmentarzu — przez wszystkie te lata, podczas których on myślał, że jeszcze żyje. Przez wszystkie te lata, podczas których wyobrażał ją sobie w kuchni na Clinton Street, jak gotuje posiłki, których już nigdy nie miała gotować, jak w każdy piątek zapala szabasowe świece, których już nigdy nie miała zapalić. Chciał powiedzieć, że nie żyje, ale słowa uwięzły mu w gardle.

— Co się stało? Masz od niej jakieś wieści, prawda? Chyba coś napisała? — zapytał Joel.

— Joelu... — zaczął Barney zachrypniętym głosem. — Wyjechałem z Nowego Jorku, ponieważ mama umarła.

— Umarła? Mówisz mi, że mama umarła? Barney pokiwał głową.

— *Zeeser Gottenyu* — wyszeptał Joel. Złożył dłonie i przycisnął je do ust.

— Ona... mmm... doszło między nami do jednej z tych głupich kłótni. Zabiła się w kuchni. Joelu, ona postradała zmysły. Nikt nie mógł niczego zrobić, nie można było jej pomóc. Odkąd *Tateh* umarł...

— Tak — wyszeptał Joel. — Odkąd *Tateh* umarł.

— To nie była twoja wina — powiedział Barney. — Moja również nie, chociaż czasami prześladowają mnie wyrzuty sumienia i mam złe sny. Czasami budzę się i czuję jej krew na moich dłoniach. Są wilgotne i lepkie. Ale to tylko sny.

— Jak to zrobiła? — zapytał Joel. Miał rozszerzone źrenice, patrzył w bok, jak gdyby trudno mu było się skoncentrować.

— Nożem — odpowiedział Barney. Joel zamknął oczy.

— Nożem — powtórzył wolno. — Biedna mama. Rozmawiali dziwnymi, urywanymi zdaniami przez ponad godzinę, aż Joel zmęczył się. Barney opowiedział Joelowi o tym, co wydarzyło się w Nowym Jorku od momentu jego wyjazdu — o Huncie, Monsarazu, Staffordzie Parkerze, o wieczorze spędzonym z rodziną Knightów. Joel był prawie zdecydowany, aby natychmiast wyruszyć do Orange Free State, ale Barney zdołał go przekonać, że warto byłoby porozmawiać z Knightem o jego sprawie i o możliwości wniesienia apelacji. O drugiej nad ranem powieki Joela zaczęły opadać i Barney przykrył brata kocem, a sam począł zbierać się do wyjścia.

— Barney? — wymamrotał Joel.

— O co chodzi?

— Nie straszyla cię po nocach, co? Mam na myśli mamę.

— Wszyscy synowie na całym świecie są straszeni przez swoje matki, Joelu. Między innymi na tym polega macierzyństwo i synowska miłość do matek. Ale możliwe, że my jesteśmy straszni najbardziej.

Przed namiotem stała Natalia Marneweck z narzuconym na ramiona szalem. Na niebie iskrzyły się gwiazdy, jak gdyby rozrzucono na nim tysiące diamentów z kopalni w Kimberley. Kiedy Barney wyszedł z namiotu, Natalia odwróciła się i podeszła bliżej.

— Bratu jest już lepiej teraz?

— O wiele, dziękuję, bardzo ci dziękuję.

— Mam tutaj koce, jeżeli chcesz spać.

Dopiero teraz Barney zauważył dwa albo trzy biało--czerwone koce, które leżały rozłożone na trawie. Rozejrzał się po obozowisku, w namiotach było ciemno, ogniska pogasły oprócz jednego, które żarzyło się jeszcze, a przed namiotem Jana Bloema paliła się pochodnia. Wiał ożywczy wietrzyk, który delikatnie muskał Barneya po karku.

Bez słowa Barney podeszedł do rozłożonych koców i usiadł. Zdjął buty i ustawił je na trawie. Następnie zrzucił czarny płaszcz i złożył go w kostkę.

— Teraz pójdę do namiotu kuzynki — powiedziała Natalia. — Ten namiot przy ognisku.

Barney odpiął spinki od mankietów i spojrzał na nią. W swoim białym wełnianym szalu na ramionach, z lokami, które co chwila spadały jej na twarz, wyglądała w ciemności jak bohaterka jakiejś wiktoriańskiej powieści, jej twarz oraz złożone ręce były nieprawdopodobnie słodkie i piękne.

— Nie odchodź — powiedział. Był zaskoczony swoją własną bezpośredniością. Pogładził dłonią koc, na którym siedział, i powiedział:

— Zostań tutaj ze mną.

Zapadło milczenie. Natalia stała tam, gdzie stała, nie podeszła bliżej ani się też nie oddaliła.

— Ty myślisz, że kładę się z każdym mężczyzną? — zapytała po chwili.

— Wcale tak nie myślę. Chcę, żebyś położyła się obok mnie.

Podeszła z wahaniem i przykucnęła obok niego na trawie. Wyciągnęła rękę i zimnymi palcami dotknęła jego czoła.

— Pewnego dnia znajdę innego mężczyznę, z którym się położę — powiedziała. — Ale Biblia mówi, że to musi być mój mąż.

— Myślisz, że nie ożeniłbym się z tobą? Jesteś taka piękna.

Pochyliła się i pocałowała go w policzek.

— Ty też jesteś piękny. Ale nie wolno.

Chciała wstać, ale Barney schwycił ją za nadgarstek.

— Chcę, żebyś ze mną została — nalegał.

Natalia próbowała się wyrwać, ale Barney szarpnął ją za rękę i pociągnął na koc. Następnie wspiął się na nią i uwięził między swoimi udami.

Spojrzała na niego, z trudem łapiąc powietrze.

— Będę krzyczeć — ostrzegła go.

Barney schylił głowę i pocałował ją. Najpierw przechylił jej głowę i zaczął całować po szyi i policzku. Ale ona, ciężko dysząc, wyprostowała szyję, więc pocałował ją mocno w usta. Ugryzła go w wargę i poczuł cierpki smak swojej krwi, ale nie przestawał jej całować. Jęknęła cicho, próbując go odepchnąć.

Barney był dla niej za silny. Jego szerokie, bokserskie ramiona były pokryte twardymi mięśniami, żylaste i mocne. Te wszystkie miesiące pracy na farmie u Monsaraza, te wszystkie dni rąbania drzewa i wbijania pali pod opłotowa-nie, te wszystkie godziny spędzone w pocie czoła na dźwiganiu worków z karmą dla zwierząt, na podnoszeniu drewnianych bali sprawiły, że stał się na tyle silny, iż mógł już spróbować pójść własną drogą.

Jego hamulce puściły, był jak tama usypana z ziemi, która nie potrafi powstrzymać zimowej powodzi. Jego religijne zasady padły jak uderzony falą płot. Jego szacunek dla ojca i wina z powodu matki zawirowały i utonęły w wirze. W głowie huczał mu potok, w którym odpływały jego twarde zasady moralne, a zostały jedynie pożądanie, gniew i miłość, uczucia, których prawdziwych wartości prawie nie znał. Jego penis był napięty do bólu, pulsacje, które odczuwał, pozwalały mu myśleć tylko o jednej rzeczy, o wzięciu Natalii za każdą cenę i obniżeniu wewnętrznego napięcia, które Agnes Knight wzbudzała w nim przez cały wieczór.

Zerwał z ramion Natalii szal i szarpnął stanik jej misyjnej sukienki. Bawełniany materiał pękł, a dźwięk, który przy tym wydał, przypominał mu przez krótką jak mgnienie oka sekundę zakład krawiecki na Clinton Street; teraz jej ciężkie, brązowe piersi były już obnażone i przydusił je mocno dłońmi, te duże, miękkie piersi z twardymi brodawkami, które wystawały mu między palcami.

— Nie — wyszeptła Natalia, gdy miętosił i pieścił jej nagie piersi, skręcając brodawki kciukiem i wskazującym palcem. — Nie, nie wolno.

Walczyła z nim, ale walczyła w milczeniu, wbijając paznokcie w jego ramiona, próbując wyswobodzić się z uścisku jego ud. Każdy ruch jej bioder podniecał go jeszcze bardziej. Udało mu się przydusić ją mocno do ziemi i jedną ręką rozpiąć guziki przy spodniach; bieliznę już miał mokną od przedwczesnego wytrysku spermy. Powiedział sobie coś w myślach, co brzmiało jak modlitwa.

Nadludzkiem wysiłkiem, pół stojąc, pół podskakując, zerwał z siebie spodnie i bieliznę. Nagi, przykrył swoim ciałem Natalię i złapał za brzeg jej sukni.

Nagłym szarpnięciem całego ciała Natalia przewróciła się na brzuch, starając się jednocześnie kopnąć go piętami, ale Barney przytomnie zrobił unik, całym sobą przygwoździł ją do ziemi, jednocześnie zadzierając do góry jej sukienkę i odsłaniając pośladki.

— Natalio — jęczał przez zaciśnięte zęby. — Natalio, proszę, Natalio...

Wydając przytłumione jęki, Natalia próbowała pełznąć po trawie, odpychając się łokciami. Ale Barney złapał ją za uda i przyciągnął z powrotem. Siłą rozwarł jej nogi oraz pośladki, jak gdyby otwierał jakiś duży, brązowy owoc. Wewnątrz ciała Natalii było różowe i połyskliwe, a jej rozpaczliwe próby zaciśnięcia ud jeszcze bardziej go podnieciły.

Oplótł ją ramionami, próbując wdrzeć się w nią na oślep. Dwa razy uderzył penisem w jej udo i dwa razy Natalii udało się umknąć dzięki nagłym skrętom ciała. Ale teraz złapał ją za ramiona i loki na głowie, podźwignął do góry i zmusił, ażeby usiadła na niego w taki sposób, że jego twarde penis wszedł w nią głęboko, pulsujący i obolały od pożądania.

W pierwszej chwili wygięła plecy w pałąk, napinając wszystkie mięśnie, przez co przypominała marmurowy posąg dłuta Michała Anioła. Natalia próbowała wstać. Ale później, kiedy już wbijał się w nią po raz kolejny, mocno ściskając dłońmi jej piersi — jedną nagą i jedną przykrytą — Natalia zaczęła dostosowywać się do jego rytmu. Kiedy poczuł, jak drży, jak sapie, kiedy usłyszał ptasie dźwięki, które wydawała, nagle zdał sobie sprawę z tego, że ona również go pragnęła i to prawdopodobnie od samego początku. To wcale nie był gwałt, ale żądanie Natalii, aby pokazał jaki jest silny.

Zbliżał się nieuchronny koniec. Leżeli na trawie pod diamentowym niebem, poruszali się coraz szybciej, jak biegacze, jak konie wyścigowe. Uda Barneya były wilgotne od śliskich soków Natalii. Drżeli razem, wykrzywiali twarze w ekstatycznym cierpieniu, mocowali się, nie mogąc doczekać końca. W końcu nadszedł najważniejszy moment i od padli od siebie, dysząc, starając się odzyskać zachwianą równowagę wewnętrzną; każde z nich rozpamiętywało zdarzenia ze swojego życia, to, co wydarzyło się do punktu zwrotnego, który właśnie osiągnęli.

W gwałtownym akcie miłosnym dwa przeznaczenia zmieniły się nieodwracalnie. W ciągu pięciu

minut Barney zdał sobie sprawę zarówno ze swojej siły, jak i słabości oraz z tego jakie ważne zadania ma do spełnienia.

Złapał Natalię za rękę i odwrócił głowę, żeby na nią spojrzeć. Jej twarz błyszczała od potu. Wolną ręką trzymała się za pierś, nieświadomie gładząc palcami sutek. Nogi miała rozrzucone, kropelki nasienia na włosach łonowych błyszczały w świetle jak diamenty, jak dopiero co rozkrojony owoc w czasie tajemniczego pikniku pod chmurami nocnego nieba.

— Nienawidzisz mnie teraz? — zapytał Barney. Natalia spojrzała na niego przez chwilę i potrząsnęła głową.

— Nie powinienem tego robić — powiedział Barney. Usiadł i dotknął palcami jej włosów. — Mój Boże, nie powinienem tego robić.

Zaczął rozglądać się za porozrzucaną bielizną, ale Natalia również podniosła się i oplotła go ramionami, przytulając się do niego i przyciskając głowę do jego obnażonej klatki piersiowej.

— Miałam już męża — powiedziała. — W zeszłym roku mój mąż zmarł. Byłam smutna. Zawsze mówiłam — nigdy nie znajdę drugiego mężczyzny takiego jak mój mąż. Ale ty jesteś do niego podobny.

Barney czuł dotyk jej loków na gołej skórze, były bardzo kobiece, czuł się bezpiecznie i było mu ciepło. Dotknął ręką jej głowy.

— Mógłbym cię pokochać, Natalio — powiedział takim tonem, jak gdyby pytał ją, czy ona również mogłaby pokochać jego.

— Teraz musisz nazywać mnie Mooi Klip — powiedziała. — Tak nazywał mnie mąż.

— Mooi Klip?

— To znaczy „ładny kamień”. Tak nazwali pierwszy duży diament.

Pochylił głowę i delikatnie pocałował ją w czoło. Pachniała perfumami z piżma, mydłem Pears i potem.

— W porządku, Mooi Klip — powiedział. — Odtąd będziesz moim ładnym kamieniem.

Spali objęci na kocach aż do pierwszego, bladego promyka gwiazdy porannej, kiedy to obudziły się ptaki i wypełniły dolinę radosnym świergotem, kiedy trawy zaczęły się poruszać w porannym wietrze. Barney jeszcze drzemał, a dziewczyna imieniem Mooi Klip zwinęła swoje poślanie i poszła rozpalić ognisko, żeby — zanim słońce wzejdzie nad wschodnim horyzontem — przynieść Barneyowi emaliowany kubek z gorącą herbatą i kawałek ciepłego, ciastowatego chleba.

Barney oparł się na łokciu, siorbiąc herbatę i żując chleb, a Mooi Klip uklękła obok niego i obserwowała go z zadowoleniem nowej narzeczonej.

Stafford Parker przybył do obozowiska Griqua około południa. Jego czerwoną twarz okalała biała broda. Był w towarzystwie swojej zwykłej świty: członków magistratu, górników i tłumaczy. Nie wpadł do obozu zniecka: na pół godziny przed jego przybyciem przybiegł chłopiec Griqua, który wbiegł między namioty i ostrzegł Jana Bloema, że powinien spodziewać się wizyty ważnego gościa. Jan Bloem stanął przed swoim olbrzymim namiotem ubrany w najlepsze niedzielne ubranie, mając po swojej prawej ręce matkę, która siedziała w czerwonym, pluszowym fotelu — prezent od sir Philipa Woodhouse'a — ubrana w zielonoszmaragdową suknię i paliła glinianą fajkę.

Barney spędził cały ranek z Joelem, który trochę gorączkował i spocony rzucał się na swoim poślaniu. Kiedy jednak usłyszał obce głosy na zewnątrz, wiedział, że przyjechał Stafford Parker, odsunął zasłonę i wyszedł przed namiot.

— Tak, a więc jak się pan miewa? — zapytał Stafford Parker, stając przed Janem Bloemem z pięściami na biodrach. Kiedy tak stał w tej agresywnej i pewnej siebie pozie, przypominał



Barneyowi pana Knighta. Barney podszedł bliżej i stanął kilka stóp od fotela pani Bloem, był tak blisko, że czuł aromatyczny zapach tytoniu Navy Cut.

— Bardzo dobrze — uśmiechnął się Jan Bloem. — A pań?

Stafford Parker opuścił jedną rękę i strzelił palcami; jeden z jego kompanów, chudy mężczyzna z gałkowanym nosem i siną brodą, podał mu Biblię. Parker podniósł ją do góry i Barney natychmiast rozpoznał Biblię, z której jego przyjaciel Piet Steyn czytał Joelowi niektóre wersety. Musieli przez zapomnienie zostawić ją na ziemi, kiedy uwalniali Joela z więzów.

— Ta Biblia — powiedział Stafford Parker dobitnym głosem, który odbił się echem i przypominał dźwięk dwóch uderzonych o siebie cegieł — ta Biblia została znaleziona na miejscu przestępstwa.

— Aha — uśmiechnął się Jan Bloem. — Czyli gdzie?

— Kilkaset jardów w kierunku południowym od kopalni — odpowiedział Stafford Parker. — Tam, gdzie został rozciągnięty złodziej diamentów. Wyrok brzmiał: trzy dni, chyba że śmierć przysłaby prędzej.

— Rozumiem — powiedział Jan Bloem spokojnym głosem.

— A mnie się wydaje, że wcale pan nie rozumie — warknął Stafford Parker, potrząsając Biblią, jak gdyby to była kostka cukru. — Ponieważ skazany złodziej diamentów został bezprawnie uwolniony i ktoś pomógł mu zbiec. Ta Biblia należy do tego, kto to zrobił.

— Oczywiście ma pan dowody — powiedział bez emocji Jan Bloem. Odwrócił się, żeby uśmiechnąć się do swojej matki, która ponownie rozpałała fajkę, zaciągając się, wydmuchując dym i wymachując zapałkami.

— A jakich więcej dowodów potrzeba? — zagrzmiał Stafford Parker. — Tu jest ta Biblia. Ona jest dowodem.

— Mogła zostać zgubiona przy jakiejś innej okazji — zasugerował Jan Bloem. — Mogła zostać ukradziona właścicielowi i rozmyślnie podrzucona na miejscu przestępstwa.

— Mam gdzieś pański angielski ze szkoły misyjnej! — zawołał Stafford Parker. — I nie interesują mnie pańskie teorie! Na okładce Biblii jest napisane, że należy do Pięta Steyna, a Pięta Steyn, jak każdy bardzo dobrze wie, jest pańskim kuzynem. A więc jeżeli skazany złodziej gdzieś się ukrywa, to musi być tutaj, z panem, pańską matką i resztą plemienia.

— A gdyby tutaj był — to co z tego? — zapytał Jan Bloem.

Stafford Parker popatrzył na niego z grymasem na twarzy.

— Jeżeli on tutaj jest, mój dobry panie Bloem, to jestem upoważniony do przysporzenia panu więcej kłopotów, niżby się pan spodziewał. Mam prawo aresztować pana, pańskiego kuzyna i każdego z tego obozowiska, kto udzielił zbiegowi jakiejkolwiek pomocy.

Barney wysunął się do przodu i oparł ręce na oparciu fotela pani Bloem. Starsza kobieta zadarła głowę do góry i spojrzała na niego z wyraźnym zaciekawieniem wypisanym na jej dobrotliwej, orangutaniej twarzy. Kiwała głową, że zgadza się z każdym słowem wypowiedzianym przez Barneya, chociaż wcale nie rozumiała po angielsku.

— Pański zbieg jest tutaj, panie Parker — powiedział. — Ale znajduje się pod moją opieką, a nie pana Bloema, i to ja jestem całkowicie odpowiedzialny za jego uwolnienie. Nikt z tutaj obecnych nie jest w to zamieszany.

Stafford Parker odwrócił się i wlepił w Barneya zdumione spojrzenie.

— Znam pana. Znam pańską twarz. Spotkałem pana wcześniej — powiedział głośno.

— Nazywam się Barney Blitz. Kiedyś spotkaliśmy się w Gong Gong. Nazwał mnie pan wtedy srałem.

— Aha — powiedział Stafford Parker szorstkim tonem, chociaż Barney zauważył, że był zmieszany.

— Pański złodziej diamentów, jak go pan nazywa — powiedział Barney — był bliski śmierci. Uwolnienie go było aktem humanitarnym. Uwolniłem go również dlatego, że chcę zaskarżyć pański wyrok — zgodnie z prawem i uczciwie, w sądzie i przed ławą przysięgłych składającą się z dwunastu osób.

— To absurd! — wykrzyknął Stafford Parker, wymachując ręką. — Już został skazany. Został wydany wyrok. Jeżeli wszyscy odwoływaliby się od moich wyroków, zapanowałby chaos.

— Pana również powinniśmy aresztować — wtrącił sinobrody członek magistratu z ostrym akcentem z okolic Lancashire.

— Tak, powinniśmy! — huknął Stafford Parker, chociaż było oczywiste, że nie ma na to specjalnej ochoty. Mieszkańcom Kimberley wystarczyło, że sądzono i skazywano morderców, złodziei diamentów i szmuglerów. Inne przestępstwa, takie jak gwałt, przechowywanie zbiegów, pijaństwo były zbyt lekkie gatunkowo i nie opłacało się ich ścigać.

— Może mnie pan aresztować, jeżeli pan chce — zgodził się Barney. — Ale popełni pan jeszcze jeden błąd. Znam prawnika, który zgodził się występować w imieniu pana Havemanna, i jeżeli chce pan uchronić swoją reputację, powinien pan wysłuchać, co mamy do powiedzenia.

— Prawnika? Jakiego prawnika?

— Prawnika o uznanej reputacji i to już wszystko, co mogę powiedzieć.

— Blefuje pan — powiedział Stafford Parker. — Gra pan na czas, bo chce pan, żeby Havemann odzyskał siły. Jeżeli zgodzę się na pańską propozycję i wyznaczę datę przesłuchania, Havemann zwieje za granicę, jak tylko lepiej się poczuje.

Barney sięgnął do kieszeni i wyciągnął 212 funtów, które Harold Feinberg zapłacił mu za diamenty. Podniósł pieniądze do góry i powiedział:

— Tutaj jest więcej niż dwieście funtów. Może je pan zatrzymać jako kaucję.

Stafford Parker zmarszczył brwi, a jego pomocnik zaczął szeptać mu coś do ucha. Po chwili Parker odezwał się:

— Jeżeli wezmę pieniądze, to mogę zostać posądzony o przyjęcie łapówki. I dlaczego w ogóle mam się zgodzić na apelację? Jeżeli zgodzę się na nią, to przyznam się do błędu w pierwszej instancji.

— Być może mylił się pan, ale nie ze swojej winy — powiedział Barney. — Ale czy mógłby pan żyć ze świadomością, że skazał pan na śmierć niewinnego człowieka tylko z powodu swojego uporu, że nie chciał się pan zgodzić na apelację?

Stafford Parker naradził się ze swoim kompanem.

— Żądam utworzenia dobrej, solidnej ławy przysięgłych — powiedział. — Żadnych Griąua, żadnych obcych. I żadnych Amerykanów również.

— Bardzo dobrze — zgodził się Barney.

Parker zamilkł, z kwaśną miną rozmyślając nad propozycją Barneya. Jego doradca czekał na odpowiedź, nerwowo rozglądając się dookoła. W końcu Parker przemówił:

— W porządku. Jeżeli jest pan przekonany, że istnieją podstawy do wniesienia apelacji, to wysłucham pana.

— Czy weźmie pan pieniądze? — zapytał Barney. Stafford Parker potrząsnął głową.

— Może je pan schować. Jestem człowiekiem honoru i mam nadzieję, że pan również. — Podniósł do góry wyprostowany palec. — Jeżeli zagra pan nieuczciwie, panie Blitz, wypuszczę na pana swoje psy, które będą pana ścigać gdziekolwiek by się pan ukrył, w każdym zakątku Kolonii, aż

w końcu dopadną pana i wyszarpią pańskie żydowskie wnętrze.

— Nazywamy je kishkehami — uśmiechnął się Barney.

Stafford Parker obrócił się na pięcie i poszedł w kierunku zbocza. Tylko jego towarzysze odwracali się co kilka kroków i spoglądali na Barneya, Jana Bloema i na starą orangutanicę, która siedziała w swoim czerwonym fotelu między namiotami.

Jan Bloem włożył ręce do kieszeni swojego czarnego niedzielnego ubrania i spojrzął na Barneya z zainteresowaniem.

— Jest pan dzisiaj silny — powiedział z naciskiem. — Jak to się stało, że nagle stał się pan taki silny?

Barney wzruszył ramionami.

— Joel jest moim bratem. Myślę, że w końcu znalazłem cel, cel, którego nie miałem przedtem.

— Czy nie jest pan przypadkiem zakochany? — zapytał Jan Bloem.

Pani Bloem zakaszła i wypluła brązową ślinę na trawę. Barney nie odpowiedział, ale nie mógł powstrzymać uśmiechu.

Jan Bloem odwrócił głowę i jego wzrok spoczął na namiocie Natalii Marneweck.

— Rik Marneweck był moim bliskim, szczególnym przyjacielem — powiedział. — Kiedy umierał, przyrzekłem mu, że będę opiekować się wdową.

— Ja jej nie skrzywdzę — powiedział Barney. Jan Bloem wykrzywił twarz.

— Nie może składać pan takich obietnic. Nawet Jezus tego nie robił.

W sobotni wieczór chłopiec przyniósł wiadomość, że rozprawa odbędzie się w poniedziałek po południu, o trzeciej godzinie, i że Stafford Parker już wybrał ławę przysięgłych.

— Na pewno będą to sami protestancy bigoci — powiedział Joel z niepokojem, siedząc w łóżku i trzymając na kolanach miskę z *sosatie*, którą przyrządziła dla niego Mooi Klip. Miał podkrążone oczy i ciągle był nie ogolony. Trochę polepszył mu się humor, chociaż nie przestawał mówić o ucieczce i zrobieniu fortuny w Zanzibarze, gdzie mógłby założyć plantację goździków, albo na Madagaskarze.

— Na to właśnie liczyłem — uśmiechnął się Barney.

— Liczyłeś na protestantów? Jednym z tych cholernych zarzutów, które wysunięto przeciwko mnie podczas pierwszego procesu, był zarzut, że jestem Żydem. Stafford Parker powiedział, że złodziejstwo mam we krwi. Oczywiście, próbowałem to ukryć. Wiesz, jacy oni tutaj są. Ale jeden z górników zapamiętał mnie ze statku, na którym pracowałem; on nim również płynął. Już samo to, że byłem Żydem, wystarczyło, żeby mnie rozciągnąć.

— Tym niemniej — powiedział cicho Barney — miałem nadzieję, że wybiorą protestancką ławę przysięgłych. Staną przed wyborem: albo uwierzyć czarnemu, albo zaufać białemu, nieważne, czy jest Żydem, czy nie. Postaram się wykorzystać drzemające w nich uprzedzenia, żeby wybrali mniejsze zło.

Joel zjadł do końca *sosatie* i postawił miskę na podłodze przy swoim pościeliu.

— Zawsze uważałem, że masz głowę do interesów — powiedział. W jego głosie brzmiał podziw, ale i nutka zazdrości. — Teraz wiem, że powinienem nalegać, żebyś od razu ze mną wyjechał.

— A mama?

Joel dotknął powieki koniuszkiem palca, jak gdyby chciał strącić okruch winy do niej przyczepiony.

— Tak — powiedział. — Zapomniałem.

— Nie powinieneś siebie winić. To nie była twoja wina, ani moja.

— Być może. Ale ciągle ci się śni krew na dłoniach. A ja widzę w snach, jak wyglądała w dniu, kiedy wyjechałem.

Do namiotu weszła Mooi Klip i podniosła lampę, żeby skrócić knot.

— Joelu — upomniała go. — Czas spać.

— Jesteś jak matka — powiedział Joel z ironicznym uśmiechem. — Ta dziewczyna mówi mi, kiedy wstać, kiedy iść spać, kiedy umyć zęby. Karmi mnie, kąpie i traktuje jak swoją własność. Barney wstał.

— Jutro lepiej się poczujesz. A w poniedziałek będziesz zdrow jak ryba. Na pewno pokonasz Stowarzyszenie Górników.

— Kiedy masz się spotkać z twoim przyjacielem prawnikiem?

— Jutro, po mszy.

— Kościół? Wpuszczają Żydów do kościoła?

— Pana Barneya wpuszczą. Pana Blitza — nie. Joel przejechał palcami po zaroście.

— Mam nadzieję — oczywiście idzie mi tu wyłącznie o ciebie — że nie odkryją prawdy. Pogoniliby cię kopniakami do samego Kapsztadu.

Mooi Klip poprawiła Joelowi koc i wyszła razem z Barneyem przed namiot. Barney wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie. Pocałował ją, a ona przymknęła oczy i odwzajemniła pocałunek, szybko i delikatnie, jak gdyby chciała spróbować *moskonfyt* na jego ustach.

— Za dwa dni wracamy do Klipdrift — powiedziała.

— Kto wraca do Klipdrift?

— Jan Bloem, jego matka, my wszyscy. Rozmawiał już z Anglikami, z kopaczami. Teraz chce wracać do domu.

Barney dotknął jej policzka.

— A co ty zrobisz? Pojedziesz z nim do Klipdrift?

— Tam jest moja rodzina. Moja matka, mój ojciec, moi bracia.

— Wiem. Ale czy wrócisz? Mooi Klip opuściła głowę.

— A chcesz? — zapytała.

Barney zwilżył językiem usta. Kiedy leżał z Mooi Klip na trawie, kiedy kochali się, nawet przez chwilę nie pomyślał o komplikacjach, które mogłyby wyniknąć, gdyby związał się z kolorową dziewczyną. Była ładna, miała w sobie jakąś łagodność, która go fascynowała, chciał ją mieć blisko siebie, opiekować się nią. Ale żyli w Kolonii na Przylądku, a ona nie była czysta rasowo.

— Griqua mówią, — szepnęła Mooi Klip — że to, co czujesz w sercu, kiedy spotkasz kogoś po raz pierwszy — zostanie w tobie przez całe życie.

Barney spojrzał na nią i uśmiechnął się.

— Wiem. To motto, które Jan Bloem powiedział mi, kiedy odkrył, że jesteśmy kochankami. To i jeszcze kilka cytatów z Biblii.

— Ale jest coś złego. Uśmiechasz się, a w twoich oczach widzę, że cierpisz.

Miała rację. Barney czuł ból. Był zbliżony do tego, który odczuwał z powodu matki; i do tego, kiedy wypierał się swojego pochodzenia; ale teraz był dotkliwszy, jakby zapowiadał atak serca. I w gruncie rzeczy — to był właśnie atak serca.

Delikatność i erotyzm Mooi Klip nie miały znaczenia, nieważne, że mogłaby się okazać wspaniałą żoną — była z plemienia Griqua i gdyby się z nią ożenił albo chociaż zamieszkał z nią, to zaprzepaściłby wszelkie szansę zrobienia fortuny w jakimkolwiek biznesie w Kolonii. Spotkał już wcześniej takich ludzi, którzy ożenili się z Murzynkami albo tylko z nimi mieszkali. Byli całkowicie

pozbawieni złudzeń, że coś w życiu osiągną. Byli załamani i klepali biedę na obrzeżach białej społeczności. Byli sprzedawcami, sprzątacami albo służącymi. Biali, ale odrzuceni przez społeczeństwo.

Gdyby Barneyowi udało się zdobyć taką dziewczynę jak Agnes Knight, ożenić z nią i zdobyć przyjaźń jej ojca, przyszłość rysowałaby się bardziej obiecująco. Taka dziewczyna jak Agnes pomogłaby mu zdobyć zaufanie społeczeństwa. I nie było ważne, czy jej ojciec, pracując w Kapsztadzie, wykorzystywał jakieś szarlatańskie sztuczki, wykonując swój zawód: tutaj, w Kimberley, był białym, elegancko wyrażającym się dżentelmenem, a do tego sekretarzem bilardu w klubie Kimberley. Mooi Klip wywarła na Barneyu silne wrażenie, ale nie był jeszcze ślepy ani głuchy, żeby nie zauważyć, co naprawdę liczyło się w kolonialnych kręgach towarzyskich. Mooi Klip mogła doprowadzić do jego upadku. Agnes Knight mogła spowodować, że byłby bogaty.

Pasję wziął Barney po matce, ale trzeźwość umysłu po ojcu. Przetrwały w nim przeciwstawne charaktery rodziców i toczyły boje, chociaż oni sami dawno już nie żyli.

— Pójdę już — powiedziała Mooi Klip w odpowiedzi na jego milczenie.

— Myślę, że cię kocham — odparł Barney.

— Nie — pokręciła głową.

— Posłuchaj, byliśmy ze sobą tylko kilka dni. Jest za wcześnie, żebym mógł ciebie ze sobą zabrać. Moje życie nie jest zbyt łatwe. A teraz jeszcze mam Joela, którym muszę się zaopiekować, przynajmniej do czasu, kiedy rozwiążemy nasze problemy.

Mooi Klip przyłożyła palec do jego ust na znak, że ma przestać mówić. Ale on złapał ją za rękę i odsunął na bok.

— To wcale nie są wymówki. Nie muszę szukać kiepskich wykrętów. Staram ci się powiedzieć, że myślę, że cię kocham, ale mam kilka spraw do zrobienia. Kiedy wszystko załatwię, przyjadę do Klipdrift i odnajdę cię.

Szukała w jego twarzy znaków, że mówi prawdę. Oczy miała wypełnione łzami.

— Nie mów mi, że mnie kochasz, skoro tak nie jest — powiedziała. — W całym swoim życiu oddałam się trzem mężczyznom. Pierwszy był moją pierwszą miłością. Drugi moim mężem. Trzecim jesteś ty. Byłeś taki piękny, kiedy po raz pierwszy cię zobaczyłam. A teraz ciebie kocham, bardziej niż ty kochasz mnie. Nie oszukuj mnie, nie mów, że mnie kochasz, jeżeli mnie nie kochasz.

— Natalio...

— Mooi Klip.

Barney mocno przycisnął ją do siebie. Podniósł głowę do góry i spojrzał w chmury.

— Mooi Klip — powtórzył najłagodniejszym głosem. — Kocham cię i pewnego dnia — wkrótce — przyjadę do Klipdrift, żeby cię odnaleźć.

Jego przeznaczenie spełniało się. Czuł, jak jakaś potężna i mroczna siła pcha go w nieznanym kierunku, jak buduje jego przyszłość. I sny, które miewał, kiedy jechał przez Great Ka-roo, zaczęły się materializować i nabierać realnego kształtu.

Kościół anglikański w Kimberley był małym, białym pomalowanym budynkiem z drewna i blachy falistej, stojącym na końcu ulicy. Był dogodnie usytuowany dla tych, którzy lubili modlić się tuż po popełnieniu grzechu, ponieważ stał przy domu uciech Cioci Olive i naprzeciwko baru.

W niedzielne poranki elita białych chrześcijańskich poszukiwaczy diamentów gromadziła się na zakurzonym podwórku; ubrani w swoje najlepsze ubrania paradowali, wymieniali pełne godności pozdrowienia i zapewniali siebie, że Bóg oraz Anglia są po ich stronie. Chociaż rzadko o tym mówili między sobą, a zwłaszcza w towarzystwie Niemców, Holendrów i kolorowych, już prawie

zapomnieli dźwięki kościelnych dzwonów w Oxfordzie, które gromko przyzywały wiernych na mszę, oraz smak racuchów wypiekanych w tysiącach brytyjskich kominków.

Barney, w nerwowym nastroju, przyjechał bardzo wcześnie. Stał przy płocie ubrany w najlepszy, czarny garnitur i czystą koszulę, którą pożyczył od Harolda Feinberga. Sygnaturka kościelna smutnym, cienkim głosem śpiewała nad ulicą, a wielkie kumulusy gromadziły się na porannym niebie, przybierając kształty zamków z gęstego kremu. Było gorąco i Barney czuł, że marynarka uwiera go pod pachami.

We właściwym momencie, który wybrał pan Knight, na chodniku pojawiły się Agnes i Faith, obie w skromnych, ale eleganckich niedzielnych sukienkach, oraz idący ramię w ramię pan i pani Knight z dobrotliwymi, ale wyniosłymi uśmiechami na ustach. Moment był odpowiedni, gdyż pora była na tyle późna, że wszyscy mogli ich zobaczyć, ale na tyle wczesna, że nikt nie mógł oskarżyć ich o celowe spóźnienie na nabożeństwo.

Barney zdjął kapelusz, kiedy dziewczyny wchodziły na dziedziniec.

— Dzień dobry — powiedział i ukłonił się. — Wyglądacie czarująco.

Pan Knight władczo rozejrzał się dookoła, żeby upewnić się, że wszyscy mieli szansę zauważyć, iż przybyli, i dotknął bokobrodów. Uśmiech pani Knight pojawił się na jej ustach i zniknął jak słońce za chmurami, ponieważ przypomniała sobie, gdzie jest i jakie otrzymała instrukcje.

— Dzisiejsze wejście nie było zbyt dobre — zauważył pan Knight. — Gdzie są Maymanowie? Komunia to jedyna rzecz, która trzyma nas razem, dzięki niej jesteśmy cywilizowanym społeczeństwem.

— Ma pan rację — powiedział Barney. — Proszę posłuchać, widziałem się ze swoim żydowskim przyjacielem. Opowiadałem panu o nim.

— Później, drogi przyjacielu — powiedział pan Knight, lekceważąco machając ręką. — Wcale nie jestem pewien, czy chcę mieć z tą sprawą do czynienia.

— Stafford Parker zgodził się na ponowną rozprawę. Odbędzie się jutro po południu. Wybiera ławę przysięgłych.

— Tak? — zapytał pan Knight nagle zainteresowany. — Hmm, to powinno być ważne wydarzenie.

— I ja tak myślałem — powiedział Barney przymilnym głosem. — A jeżeli będzie pan bronić mojego przyjaciela i wygra... no, to wtedy dopiero zdobędzie pan sławę. Napiszą o tym we wszystkich gazetach i prawdopodobnie będzie o tym głośno w Londynie.

— Ach, Londyn... — zamyślił się pan Knight, podnosząc do góry głowę już na samą myśl o Londynie. — No cóż, mój drogi przyjacielu, zobaczymy. Po mszy wrócimy do domu i porozmawiamy. Nie mamy zbyt wiele czasu, prawda? W poniedziałek po południu.

— To nie będzie rozprawa, na której rozważane będą dowody i fakty — powiedział Barney. — Wykorzystamy ludzkie uprzedzenia i strach. A w tym pan jest mistrzem.

Pan Knight skrzywił się.

— Tak, to moja specjalność.

Faith, która nie mogła się doczekać, żeby wziąć Barney a pod rękę, zapytała:

— Czy możemy już wejść, tatusiu?

Agnes, wyraźnie nadąsana, trzymała się z dala od towarzysztwa, stojąc w cieniu ciernistego krzewu. Ścisnęła swoją szarą torebkę w rękach, jak gdyby to był kurczak, którego chciała po kryjomu udusić. Barney podał ramię Faith, po czym razem podeszli do miejsca, gdzie stała Agnes, i wyciągnął drugie ramię w jej kierunku.

— Chyba nie będą panie miały nic przeciwko temu, że obie wprowadzę do kościoła? —

uśmiechnął się.

Faith zeszytywniała. Barney poczuł, jak jej ramię, które na początku czule obejmowało jego rękę, nagle znieruchomiało i stało się twarde jak deska. Ale Agnes wysunęła się do przodu, uśmiechnęła, dygnęła i wyszeptała:

— Będzie mi bardzo miło, panie Barney. Bardzo miło.

Ostatnie uderzenie sygnaturki zasygnalizowało rozpoczęcie mszy. Tłum ruszył do drzwi. Ludzie zaczęli zajmować miejsca w wyznaczonych ławkach kościelnych. Wewnątrz było gorąco i duszno jak w holenderskim piecu. Naprzeciwko ołtarza, przykrytego wykonanym na szydełku obrusem, stał anglikański duchowny, młody, pryszczaty wikary z Wimbledonu, który poczuł powołanie do pracy misyjnej po smutnych i nieudanych zalotach do pewnej pani. Obok niego, przy wysokim pianinie, siedziała starszawa Angielka w okularach i kapeluszu z piórkiem.

Same ławki były starannie wykonane — z solidnego, rzeźbionego mahoniowego drewna, prezent od St. Davida z Kapsztadu; przeciągnięto je przez pustynię na wózkach zaprzęgniętych w woły. Knightowie siedzieli blisko ołtarza, między co sławniejszymi członkami klubu Kimberley i dwoma albo trzema bogatszymi poszukiwaczami diamentów. Wszyscy wydzielali woń wody lawendowej i naftaliny. Barney usadowił się między Faith i Agnes, mając nadzieję, że Bóg wybaczy mu, iż modli się do Niego w takim otoczeniu i innymi niż zwykle słowami.

Zaczęli śpiewać hymny — Barney jeszcze nigdy nie słyszał takich żalobnych i chropowatych pieśni. Pan Knight miał silny głos i jego falujący baryton przeciągał ostatnią nutę każdej zwrotki, podczas gdy inni członkowie szacownego zgromadzenia od dawna już milczeli. Później przystąpili do komunii i Barney jak cała reszta poszedł uklęknąć przed ołtarzem, aby spożyć Ciało i Krew Jezusa Chrystusa.

Zamknął oczy, kiedy komunijny opłatek rozpuszczał się w jego ustach. Nie nadeszło trzęsienie ziemi, ani jego mózg nie wyparował z czaszki. Kiedy wrócił na miejsce, Agnes na krótką chwilę położyła swoją małą rączkę w białej rękawiczce na jego udzie i uśmiechnęła się do niego.

Po komunii młody wikary stanął przed pulpitem i odczytał dziwnym, szekającym głosem, jak obrażony chow-chow, krótkie, pełne wybaczenia kazanie o cenie zbawienia. Kiedy Barney tak siedział z kolanem przyciśniętym do ciepłego uda Agnes, wydawało mu się, że niektóre słowa skierowane są do niego.

— Wszyscy znamy smutną historię grzechu i kary za grzech. Grzech i śmierć były ze sobą nierozdzielnie związane. O zakazanym owocu powiedziane zostało: W dniu, w którym go zjesz, spodziewaj się śmierci. Mimo wszystko człowiek zjadł owoc. A Bóg kochał go nadal. Ale był doskonale sprawiedliwy i dlatego musiał dotrzymać słowa i domagać się stosownej kary.

Agnes, w swojej jasnoszarej sukience z niewielkim koronkowym kołnierzykiem, przepasana szarą, jedwabną szarfą, utkwiała wzrok w książeczce do nabożeństwa. Faith kręciła się w ławce, jak gdyby siedziała na pokrzywach, i od czasu do czasu przejmująco wzdychała. Jedyne pan Knight skoncentrowany był wyłącznie na słowach kazania; przynajmniej sprawiał takie wrażenie. Może zastanawiał się nad własnymi grzechami oraz nad grzechami ludzi, których bronił. A może poddawał krytycznej ocenie przemówienie młodego wikarego.

Kiedy wyszli z kościoła i znaleźli się z powrotem na zakurzonej, gorącej ulicy, pan Knight założył rękawiczki i powiedział:

— Grzech? Ciekawe, co taki niewypierzony wikary może wiedzieć o grzechu?

I to było wszystko. Wziął żonę pod rękę i poszli ulicą w kierunku domu. Barney z dziewczynami uwieszonymi po obydwu jego stronach szedł za nimi w odległości kilku jardów.

W domu, kiedy usiedli ze szklaneczkami niezwykle wytrawnej sherry, pan Knight poprosił

Barneya, żeby opowiedział mu więcej szczegółów o sprawie Joela i o tym, co wydarzyło się w obozie Jana Bloema. Pan Knight siedział, podpierając głowę jedną ręką, tak że Barney widział jedynie jego lewe oko.

— A więc powiada pan, że Havemann jest Żydem? I że nie nazywa się Havemann ale Blitz? Lepiej nie rozgłaszajmy tego. Przysięgli nie lubią pseudonimów. Jeżeli nosisz pseudonim, to znaczy, że masz coś do ukrycia, a to już prawie jak przyznanie się do winy. Może nie do takiej winy, która umieszczona jest w akcie oskarżenia, ale sam pan wie, jak nielogiczni potrafią być ludzie. Zwłaszcza kopacze diamentów.

Barney pociągnął mały łyk sherry, po czym odstawił szklanekę na chwiejący się stół.

— Czy uważa pan, że można mu pomóc?

— Przyznaje się do kradzieży diamentów? Barney pokiwał głową.

— Oczywiście, nie wolno mu się przyznać przed sądem — powiedział pan Knight. — Musi być oburzony, że ktoś go oskarżył. Musi nie posiadać się z oburzenia. Musi patrzeć oskarżycielowi prosto w oczy i powiedzieć, że jest kłamcą. Nie wolno mu użyć wyrażenia, że świadkowie są innowiercami, ani nie wolno mu używać żydowskich słów i wyrażań, które mogłyby przypomnieć przysięgłym, że jest Żydem. Musi opisać czarnuchów jako niegodnych zaufania kundli, a białych jako równych sobie. No, prawie równych. Musi udowodnić, że zna swoje miejsce na świecie. Musi zachowywać się jak, no, powiedzmy, jak fałszywie oskarżony lichwiarz.

Barney podniósł głowę. Do pokoju weszła Agnes z tacą pełną sztucców, gotowa, żeby przygotować stół do niedzielnego obiadu. Z kuchni dochodził nieprzyjemny zapach gotowanych warzyw. Agnes przetarła łyżki fartuchem i udawała, że przegląda się w ich wypolerowanych, wyrzuszonych płaszczyznach. Barney złapał się na tym, że myśli o jej białych udach i czy kędziory na wzgórku łonowym ma jasne, czy też ciemne. Była bardzo kokieteryjna i bardzo go podniecała.

— I co pan o tym sądzi? — zapytał pan Knight.

— Och, przepraszam, sądzę o czym? — zmieszał się Barney.

— Co pan sądzi o tym, żeby pan Havemann zagrał pokrzywdzonego, skoro nikt nie potrafi przedstawić żadnych dowodów? To znaczy — żaden biały i oczywiście żaden kolorowy również. Proszę dowiedzieć się, czy którykolwiek ze świadków oskarżenia był ochrzczony. Lepiej żeby nie był. Lepiej żeby wierzyli w Unkulunkulu albo Mdali. Pytanie samo się nasuwa. Czy można ocalić duszę czarnucha, skoro oni wcale nie mają duszy? Czy kiedy zostali ochrzczeni, to dusza w nich weszła? Bardzo interesujący problem. A więc, co pan na to, stary przyjacielu?

— Dla mnie rewelacja — powiedział Barney, obserwując, jak Agnes z podniesionym czołem wychodzi z pokoju.

— Dobrze — powiedział pan Knight, wstając od stołu. — Uważam, że wygramy proces. Nie będzie to łatwe, ale wygramy. Aha, jeszcze jedna sprawa. Proszę we wtorek wieczór przyjść do klubu, żeby mógł pan się zorientować, jak rzecz wygląda. Porozmawia pan z członkami klubu. Niektórzy z nich niezbyt lubią Jankesów, przyznaję, ale może pan będzie miał szczęście.

— Będzie mi niezwykle przyjemnie — powiedział Barney.

— Oczywiście — pokiwał głową pan Knight. — I jeszcze jedna sprawa, tym razem ostatnia. Widzę, że pan i Agnes bardzo przypadliście sobie do gustu.

Barney zarumienił się.

— My... no cóż, chyba się lubimy.

— Ależ to dobrze. Jestem bardzo zadowolony. Mało jest tak wartościowych dziewcząt jak Agnes, zwłaszcza tutaj, w miejscu opuszczonym przez Boga. A dlaczego nie miałby pan odwiedzić nas jutro po rozprawie i zjeść z nami kolację? Możemy zorganizować jakąś muzykę, poznalibyście



się bliżej?

— Wspaniały pomysł — zapewnił go Barney.

— Oczywiście. Bardzo mi przykro, że nie mogę zaprosić pana na dzisiejszy obiad, ale przychodzą do nas z wizytą Wilberforce'owie. Zna pan Kennetha Wilberforce'a? Między nami mówiąc, jest bardzo nudny, ale jest też sekretarzem wszystkich członków i czasami muszę go znosić w swoim domu.

— Ojciec — powiedziała Faith, wystawiając głowę przez drzwi i rozmyślnie ignorując obecność Barneya. — Mama pyta, czy możesz już przyjść i pokroić mięso.

Pan Knight złożył dłonie jak do pacierza.

— Mięso! — zawołał. — Oto coś dla mężczyzny, żeby mógł wypróbować swoje zęby. Do zobaczenia jutro rano, mój drogi przyjacielu. Niech pan przyprowadzi Havemanna, żebyśmy mogli przygotować się do procesu. Mięso! To produkt dla mężczyzny takiego jak ja. Mięso i drink!

Gdy Barney wrócił do obozowiska, poszedł z Mooi Klip i Joelem na krótki spacer po zboczach pagórka, na którym znajdowało się obozowisko Griąua. Joel kuśtykał, podpierając się kosturem, który zrobił dla niego kuzyn Pięta Steyna. Ogolił się i ubrał w niebieską bluzę oraz płócienne spodnie. Chociaż jeszcze cierpiał i szybko się męczył, widać było, że następuje wyraźna poprawa.

Gdy doszli do piaskowca, Joel usiadł na ziemi i oparł się plecami o skałę. Barney i Mooi Klip usiedli obok niego.

— Chyba nie przypuszczałeś, że tak piękny kraj może okazać się tak cholernie twardy dla ludzi, którzy w nim żyją? — zapytał Joel.

— Wszystko można przetrzymać — odpowiedział Barney. — Jeżeli wybierzesz odpowiednią drogę.

— A zresztą, co ty tam wiesz. Pracowałeś trochę na farmie. Nie masz pojęcia, co to znaczy grzebać w ziemi, szukając diamentów. To piekło na ziemi.

— Wkrótce się dowiem.

— O czym ty mówisz? Barney dotknął włosów ręką.

— Jutro, zaraz po rozprawie, zaczniemy pracować razem, ty i ja. Spółka Blitz i Blitz, poszukiwacze diamentów.

— Zanadto bym na to nie liczył.

— A to dlaczego? Masz najlepszego adwokata w Kim-berley.

— Jestem Żydem, Barney, i wszyscy w okolicy o tym wiedzą. Chyba nie myślisz poważnie, że Stafford Parker podkopie swój własny autorytet i zmieni decyzję?

Barney pokiwał głową.

— Właśnie tak myślę. Lepiej, żebyś ty też w to uwierzył.

— Nie jestem naiwniakiem — powiedział Joel. — Chociaż chyba jestem, bo gdybym nie był, to zwiewałbym do Wesselstroomu, aż by się kurzyło.

— Uniewinnię cię — powiedział Barney ze spokojem. Joel popatrzył na zasnutą niebieskawą mgiełką dolinę.

— Jeżeli naprawdę tak się stanie, to spółka Blitz i Blitz dojdzie do skutku. Fifty-fifty. Będziemy partnerami. Ale wcale w to nie wierzę.

Odoczywali przez pół godziny, po czym wrócili do obozowiska. Barney i Mooi Klip poszli do namiotu jej kuzynki, która spędzała wieczór u Jana Bloema, śpiewając mu hymny, kolędy i stare hotentockie pieśni.

Wewnątrz namiotu pachniało kadzidłami i jedzeniem. Na ziemi leżał słomiany materac zawinięty w koc i wiklinowy kosz, w którym kuzynka Mooi Klip trzymała swoje osobiste rzeczy. Na

niebieskim maszcie, który podtrzymywał namiot, wisiał obrazek w ramce, przedstawiający zasmuconego Jezusa otoczonego cherubinami.

Barney zdjął kapelusz, koszulę oraz spodnie. Był podniecony. Mooi Klip odwróciła się do niego plecami i rozpięła sukienkę. Jej postać oświetlała mała latarenka zapalana w czasie burzy; zapaliła ją dla nich jej kuzynka.

Zrzuciła sukienkę i odwróciła się do Barneya przodem. Barney zadrżał na widok jej nagiego ciała. Miała brązową skórę, ciężkie piersi i lekko zaokrąglony, zmysłowy brzuch, który przypominał Barneyowi brzuchy kobiet ze starych francuskich malowideł, jakie kiedyś, jako chłopiec, widział na wózku wędrownego handlarza.

Odgarnął palcami włosy z jej czoła i pocałował w usta, po czym powiedział:

— Wiesz, że przyjadę po ciebie tak szybko, jak to jest możliwe?

— Nie — odpowiedziała. — Nie wiem. Ale dzisiaj nie chcę o tym myśleć.

Położyli się na materacu, patrząc sobie prosto w oczy, jak gdyby chcieli odkryć jakąś kosmiczną tajemnicę, która kryła się w ich źrenicach. Barney pocałował Mooi Klip w ramię; było nieco słone i pachniało perfumami. Takiego zapachu Barney do tej pory nie spotkał.

Kochali się powoli w rytm odmierzającego godziny mosiężnego zegara. Chwilami Barney zapominał, gdzie jest i co się dzieje, jak gdyby śnił; budził się i ponownie zasypiał. Nie wiedział, ile czasu upłynęło. Ale pamiętał, że co chwila otwierał oczy, żeby popatrzeć na Mooi Klip, której oczy czasem były zamknięte a czasem szeroko otwarte, podczas gdy burzowa latarenka migotała słabym płomieniem jak znak z zapomnianej przeszłości.

Okolo północy razem osiągnęli szczyt o niezwykłej sile. Barney opuścił głowę i spojrzał w dół, na ich ciała, i dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak głęboko w nią wszedł. Leżeli bez tchu, rozluźnieni, wiedząc, że ich akt miłosny się zakończył. Dlaczego musiał się skończyć? I czy kiedykolwiek jeszcze będą się ze sobą kochać?

Śpiewy w namiocie Jana Bloema skończyły się. Barney oparł się na łokciu i spojrzał na Mooi Klip z miłością, bólem i trochę ze strachem. Dotknął jej twarzy i powiedział:

— Myślę, że lepiej będzie, jak już sobie pójdę.

Zgromadzili się pod gołym niebem: kopacze, szulerzy, pijacy i kurwy. Tego popołudnia w Nowej Gorączce Diamentów De Beerów wyjątkowo nie było słyhać wrzasków, nie było biegania i zwykłej krzątaniny. Sprawa była poważna: ponowny proces uznanego za winnego i skazanego złodzieja diamentów. I obojętnie jak do niej doszło i jaki będzie werdykt Stafforda Parkera, sprawa ta miała zaważyć na przyszłych losach wszystkich poszukiwaczy diamentów w Kimberley.

Dzień był upalny i spokojny. Linia horyzontu marszczyła się i zmieniała, a pokryte blachą falistą dachy budynków drżały od gorąca. Nad głowami zgromadzonych ludzi, pod bezchmurnym niebem, krążyły sokoły. Krążyły i krążyły, jak gdyby były zbyt leniwe, żeby nurkować za zdobyczą. Na zachodnim horyzoncie pokazał się księżyc, blady i nieprzyjazny, nie zaproszony przez nikogo zwiastun zbliżającej się nocy.

Dla Stafforda Parkera i jego doradców wniesiono stół z białym obitym skórą, a dwóch niemrawych czarnuchów rozpięło nad nim poplamione płótno obszyte frędzlami. Na ziemi stało pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt krzeseł o różnych kształtach i wielkościach — krzesła windsorskie, na kółkach, z oparciami i bez. Joel, Barney i pan Knight siedzieli na pękniętej ławce kościelnej. Joel miał mocno zabandażowaną lewą nogę, zgodnie z instrukcją pana Knighta (niech wszyscy widzą, że bardzo cierpisz), a jego kostur stał oparty o poręcz.

O drugiej wszyscy już byli na miejscu. Stafford Parker usiadł na krześle z wysokim oparciem i

był gotów, żeby wysłuchać apelacji Joela. Kciuki wepchnął do kieszeni swojej kamizelki, uniósł do góry głowę — jego biała broda sterczała teraz jak ogon wilgi — i powiedział:

— Rozpoczynam sesję sądu Republiki Poszukiwaczy Diamentów.

Tłum zafalował i zamruczał, a Stafford Parker uderzył młotkiem w stół na znak protestu.

— Proszę o spokój. Stowarzyszenie Ochrony Interesów Poszukiwaczy Diamentów oraz Republika Poszukiwaczy Diamentów utworzone zostały, żeby zapanował porządek. Udowodnijmy to dzisiaj.

Sinobrody doradca Stafforda Parkera wstał i ogłosił:

— Rozpatrzmy dzisiaj sprawę pana Joela Havemanna, właściciela działki numer 172 na terenie kopalni w Kimberley, który wniósł apelację od wyroku rozciągnięcia, jaki zapadł w ubiegłym tygodniu za kradzież diamentów. Pan Havemann został uwolniony przez przyjaciół — niezgodnie z obowiązującym prawem — ale dzisiaj reprezentowany jest przez pana Knighta, który zapewnia, że pan Havemann potrafi wytłumaczyć okoliczności towarzyszące jego ucieczce oraz udowodnić, że został niesłusznie skazany.

Powstało zamieszanie i ludzie zaczęli kłócić się między sobą. Stafford Parker walnął młotkiem w stół, jak gdyby chciał wyprostować pogięty arkusz złotej blachy, i wrzasnął:

— Postanowiłem, że sprawa zostanie ponownie rozpatrzona, to i zostanie rozpatrzona!

Powoli ludzie się uspokajali. Przysięgli, którzy siedzieli na dwóch ławkach naprzeciwko Joela i Barneya, zachowywali się tak samo jak inni uczestnicy rozprawy i kiedy Barney przyjrzał się im, to zrozumiał, dlaczego Stafford Parker mógł sobie pozwolić, żeby udawać praworządneho człowieka, który zgodził się ponownie rozpatrzeć sprawę i do tego publicznie, chociaż był przekonany, że wyrok będzie po jego myśli. Dwunastu sprawiedliwych było purpurowymi na gębach Anglosasami i wszyscy z nich pokończyli w Anglii jakieś mało liczące się szkoły publiczne. Byli plantatorami, kupcami oraz agentami Korony. Gdyby nie fakt, że los jego brata zależał od tych zapamiętałych bigotów z małpią inteligencją, to Barney już od razu popadłby w czarną rozpacz. Siedzieli na swoich ławkach, jak gdyby pozowali do szkolnej fotografii — otyli od alkoholu, z udami jak balerony, zadowoleni z siebie, nie mający pojęcia o prawie i życiu.

— Panie Knight — powiedział Stafford Parker donośnym głosem. — Czy zechciałby pan powiedzieć kilka słów w imieniu swojego klienta?

Pan Knight odwrócił się do Barneya, uśmiechnął się kwaśno, zebrał do kupy kartki i wstał. Poranne spotkanie nie przebiegło w zbyt przyjaznej atmosferze. Joel od razu przyznał się do winy i to w bardzo agresywny sposób. Kiedy pan Knight próbował pochlebstwami przekonać go, żeby uwierzył, że mógł się mylić, że cała awantura warta była funta kłaków, biedny Joel — niewątpliwie w wyniku upału i zbyt dużej ilości wypitej taniej whisky — nazwał go *shtun-kietn* i chociaż pan Knight tego słowa nie rozumiał, poczuł się do głębi urażony.

— *Shtunk* — powtórzył z ostrym brytyjskim akcentem. — *Shtunk*. A więc tym jestem dla pana?

Barney wziął Joela na stronę i tłumaczył mu przez pięć minut, próbując przekonać go, że pan Knight jest jego jedy-

ną nadzieją i jedynym człowiekiem, który może mu pomóc odzyskać działkę diamentową. W końcu, mrużąc pod nosem, Joel zgodził się na współpracę. Ale postawił sprawę jasno i powiedział swojemu młodszemu bratu, który mieszał się w jego sprawy:

— Jestem już dorosłym mężczyzną, Barney. Sam sobie poradzę ze swoimi sprawami. Wdepnąłem w gówna z własnej winy i sam z niego wyjdę.

— A więc duma nie daje ci spokoju? — zapytał Barney.

— Być może — przyznał Joel. A potem splunął na trawę. Barney nigdy jeszcze nie widział brata

plującego.

Pan Knight stanął przed stołem Stafforda Parkera, rękę założył na plecy, wypiął pierś, a klapy jego surduta sterczały jak kogucie piórka. Przez chwilę milczał dla efektu i Barney wyobraził go sobie, jak w tej samej teatralnej pozie przechadzał się przed ławami przysięgłych w Anglii i Kapsztadzie. Na sali sądowej w Londynie jego poza mogła nie wydawać się szczególnie oryginalna, czy robiąca wrażenie, ale tutaj, w oczach pstrokatej gawiedzi, była rzeczywiście imponująca.

— Oto przed wami stoi człowiek, który wyrwany został z objęć śmierci... człowiek, który patrzył w oczy swojemu Stwórcy i nagle został przywrócony do życia. Joel Have-mann, Żyd — przyznaję — ale prawy i prostolinijny przedstawiciel swojej rasy, który został skazany przez Republikę Poszukiwaczy Diamentów za kradzież kilku diamentów z kopalni w Kimberley. Mówi się, że przekupił czarnuchów z British Diamond Mining Company, żeby przynosili mu kamienie, które potajemnie sprzedawał nielegalnie działającym handlarzom, kręcącym się przy kopalniach... Mówi się również, że jego własna działka nie przynosiła żadnych dochodów i że postanowił zbić fortunę na kradzionych diamentach... Ale niech mi będzie wolno zapytać! — wykrzyknął pan Knight, obracając się niespodziewanie na pięcie i podnosząc do góry wyprostowany palec. — Niech mi będzie wolno zapytać, czy ktokolwiek tu obecny znał Joela Havemanna jako bogacza, człowieka garściami wydającego pieniądze? Niech mi będzie wolno zapytać, czy znacie chociaż jeden czyn Joela Havemanna, czyn, który byłby sprzeczny z obowiązującym prawem? Joel Havemann harował na swojej działce i wystarczy, żeby ktokolwiek z was poszedł

na tę działkę, a zobaczy, jak głęboko Joel Havemann kopał, ile w to włożył wysiłku. Czy nieuczciwy człowiek mógłby tak ciężko pracować? Gdyby zamierzał żyć z kradzieży, znosząc się pokątnie z paserami — to dlaczego zaharowywałby się na śmierć? Dlaczego nie czatował na czarnuchów z British Diamond Mining Company, kiedy byli w drodze do swoich szałasów, i tam nie odbierał od nich ukradzionych diamentów? Teraz pan Knight opuścił głowę i oparł brodę na kołnierzyku, kontynuując przemówienie tonem obrażonego uczciwego człowieka.

— Daleki jestem od tego, żeby sugerować, że British Diamond Mining Company chciwym okiem patrzyła na działkę pana Havemanna, która graniczyła z jej własną i tworzyła wyłom w bloku działek posiadanych przez wspomnianą przeze mnie spółkę. Daleki jestem od tego! I daleki jestem od tego, żeby sugerować, że czarni robotnicy, którzy obciążali zeznaniami mojego klienta w zeszłym tygodniu, podczas tak zwanej rozprawy sądowej, byli winni krzywoprzysięstwa. Jeżeli spojrzycie na mapę działek w kopalni Kimberley, z łatwością zauważycie, że działka pana Have-manna była solą w oku British Diamond Mining Company: i czy nie zastanowił was nigdy fakt, że jeżeli mówi się, iż pan Havemann przekupił czarnuchów, to równie dobrze mogła to zrobić British Diamond Mining Company, zainteresowana stroną finansową całej tej sprawy? Pieniądze — powiedział pan Knight, mrużąc oczy. — A im więcej pieniędzy, tym mniej prawdy.

Barney zauważył, że przysięgli byli zainteresowani, ale nie całkowicie przekonani. Jeden albo dwóch siedziało z założonymi rękami i zaciśniętymi szczękami, chcąc wszystkim pokazać, że żadne sprytne argumenty i pochlebstwa nie są w stanie zmienić ich opinii o Żydach, którzy z gruntu byli nieuczciwi, i że Joel, jako Żyd, był kłamcą i złodziejem. Dochodziła trzecia i żar lał się jak z pieca. W drugim i trzecim rzędzie krzesel panie zaczęły energicznie wachlować się wachlarzami. Barney zauważył Agnes, która uśmiechnęła się do niego spod parasolki.

Pan Knight mówił dalej.

— Jestem pewien, że obecny tu przedstawiciel British Diamond Mining Company zaraz skoczy na równe nogi i powie, że pan Havemann był dla spółki niczym więcej jak tylko sąsiadem przedsiębiorcą i gdyby nawet działka pana Havemanna była niekorzystnie dla

spółki położona, to i tak akceptowali powstały stan rzeczy ze spokojem i godnością. Ale przedstawiciel spółki mógłby nie dodać, że British Diamond Mining Company pierwsza zgłosiła chęć kupna działki numer 176, krótko po tym, jak pan Havemann został skazany.

Dzientelmen z bokobrodami i w wysokim kapeluszu, siedzący naprzeciwko sądu, głośno zaprotestował, ale Stafford Parker ponownie użył swojego młotka i mężczyzna uspokoił się, opadł na krzesło i tylko nerwowo co jakiś czas ocierał pot z czoła.

— Chcę powiedzieć tylko jedną rzecz — powiedział pan Knight cicho, ale wyraźnie. — Dowody obciążające mojego klienta zostały przedstawione jedynie przez czarnuchów. Ciemnych, niewykształconych, zdezorientowanych służących British Diamond Mining Company. I jeżeli ten sąd najpierw zdecydował, żeby skazać pana Havemanna, to zrozumiałe jest, że teraz czuje inaczej. Sąd był przekonany o winie mojego klienta i postanowił srogo go ukarać; kiedy zastanowimy się, czym są diamenty w naszym życiu, to przyznamy mu rację. Jednakże przez swoją ignorancję, ze względu na to, że urodził się po to, aby być sługą i niewolnikiem, czarnuch nie może być zakwalifikowany do ludzkiej rasy... nie w takim znaczeniu jak biały człowiek. Czyż w Psalmie 49 nie jest napisane, że jeżeli nie rozumie, to umrze jako bestia? Czarnuch nie rozumie i dlatego, no cóż, bardzo to przykre dla niego, może być jedynie uznany za bestię. Dobrą, posłuszną bestię, ale bestię. I nie ma takiego sądu na świecie, panie Parker, i wy, panowie, nie ma takiego sądu na całym świecie, który skazałby człowieka na podstawie zeznań bestii.

Pan Knight z całą powagą i bardzo plastycznie opowiedział *Precedens Konia Do Gry w Polo*; Barney zauważył, że Stafford Parker był pod silnym wrażeniem. Potem pan Knight usiadł i poprosił przysięgłych, żeby wzięli jego klienta w krzyżowy ogień pytań i zaspokoili w ten sposób swoją ciekawość oraz dowiedzieli się szczegółów.

Ale na to wstał Stafford Parker i uderzył swoim młotkiem w stół. Spojrzał na zebranych z taką siłą, że wszyscy się uciszyli i przestali myśleć o pytaniach.

— Pan Knight — powiedział — wygłosił bardzo elo-kwentne przemówienie w imieniu swojego klienta. Podał w wątpliwość winę swojego klienta i tym samym nie zgodził się z wyrokiem rozciągnięcia. On ma rację: czarnuch nie jest inteligentny w przyjętym tego słowa znaczeniu. I dlatego, chociaż zmieniam swój poprzedni werdykt, publicznie przyznaję się, że nie miałem racji. Zwracam się do przysięgłych, żeby uznali Żyda Joela Havemanna za niewinnego kradzieży diamentów i oddali mu działkę.

Zrobiło się zamieszanie, ale Stafford Parker uderzył młotkiem i zapanował spokój.

— Zgadzam się na uwolnienie Joela Havemanna, ale pod jednym warunkiem: musi pozostać pod nadzorem swojego prawnika albo jakiejś innej odpowiedzialnej osoby. Bez wątpienia złamał ogólnie przyjęte normy zachowania się w społeczeństwie. Jak bardzo — nie jestem w stanie tego określić, ani go za to skazać. Właściwie został już za to ukarany. Ale żądam, żeby był pod kontrolą.

Pan Knight wstał i powiedział:

— Żałuję, ale pan Havemann przestał już być moim klientem, panie Parker. Nie sądzę, abym mógł przyjąć odpowiedzialność za jego zachowanie w przyszłości.

— Czy jest na tej sali ktoś, kto mógłby to zrobić? — zapytał Stafford Parker.

Barney zawahał się. Od samego początku rozprawy unikał spojrzenia Stafforda Parkera, ponieważ Stafford Parker wiedział, że jest Żydem. Gdyby teraz wstał i przyjął odpowiedzialność za brata, pan Knight również by się o tym dowiedział, a to oznaczałoby koniec umizgów do Agnes, i już nigdy nie dostałby się do klubu Kimberley.

— Jeżeli nikt nie poręczy za pana Havemanna, zawsze mogę zmienić zdanie — powiedział Stafford Parker. — Każę go wychłostać, a jego działka zostanie skonfiskowana.

Barney podniósł wzrok. Stafford Parker uśmiechał się do niego i nagle Barney zdał sobie sprawę z tego, jaka będzie cena wolności Joela. Stafford Parker nie dlatego został wybrany na prezydenta Republiki Poszukiwaczy Diamentów, że był ślepy i pompatyczny. Wiedział, kim był Joel i dlatego Barney go uwolnił, a teraz chciał, żeby Barney wstał i wobec wszystkich mieszkańców Kimberley przyznał się, że jest Żydem.

W piątym albo szóstym rządzie Barney zauważył Harolda Feinberga w tropikalnym hełmie na głowie; patrzył gdzieś w bok. A może Harold miał rację? Może nie powinien wypierać się swojej wiary i swojego pochodzenia? A może to, że był Żydem, oznaczało, iż przeznaczenia nie można było uniknąć?

Nagle daleko w tłumie Barney dostrzegł Mooi Klip. Ubrana była w czerwoną sukienkę i czerwony kapelusz z piórkiem. Stała obok jednego ze swoich kuzynów — wysokiego, ponurego mieszańca w czarnym pogrzebowym garniturze i czarnym, zwiotczałym krawacie. Nie pomachała w jego kierunku, nie dała mu żadnego znaku, że go widzi, ale wydawała się czekać z wielką cierpliwością na zakończenie procesu.

Barney podniósł rękę do góry i powstał.

— Ja poręcę za pana Havemanna — powiedział.

— Nie słyszę — odparł Stafford Parker. — Proszę mówić głośniej.

— Powiedziałem, że poręcę za pana Havemanna.

— Pan? A kim pan jest? Proszę się przedstawić.

— Pan wie, kim jestem, panie Parker. Spotkaliśmy się w Gong Gong.

— A, tak — powiedział Stafford Parker. — Ale przysięgli nie spotkali pana w Gong Gong. Tylko ja i do tego prywatnie.

Barney zaczerpnął powietrza. Pot zalewał mu oczy, spływał po karku pod koszulę. Otaczały go różowe twarze i gapiące się w niego oczy, przypominające świeżo złowione krewetki.

— Pochodzę z Oranjerivier, gdzie prowadzę farmę hodowlaną. Znam pana Havemanna od kilku lat. Prawdę mówiąc, znam go ze Stanów Zjednoczonych.

— Aha — powiedział Stafford Parker. — A więc jesteście kumplami Amerykanami?

— Właśnie tak, proszę pana.

— Czy zna pan reputację pana Havemanna ze Stanów Zjednoczonych? Czy był uczciwy? Czy był człowiekiem honoru?

— Och, tak, sir — powiedział Barney, wycierając pot z twarzy.

— A jego życie prywatne? Godne szacunku? Czy był religijny?

— Był bardzo pobożny, panie Parker.

— No cóż, przyjmuję pańskie poręczenie — powiedział Stafford Parker. — Jestem pewien, że będzie pan godnym strażnikiem. Ale jakich gwarancji może pan udzielić sądowi, że będzie się zajmował panem Havemannem na dłuższą metę? Czy możemy być pewni, że będzie pan wykonywał swoje obowiązki odpowiednio długo?

— Ma pan moje słowo — powiedział Barney krótko.

— Aha, pańskie słowo.

— Czy nie wierzy pan memu słowu?

— Nie mam powodu, żeby nie wierzyć. Choć z drugiej strony, nie mam powodu, żeby wierzyć. W Kimberley jest wielu mężczyzn, którzy żyją szybko i lekkomyślnie.

— Próbuje mnie pan zapędzić w kozi róg, panie Parker — powiedział Barney.

— Próbuję jedynie ustalić, czy jest pan człowiekiem godnym zaufania — stwierdził Stafford Parker, gładząc się po brodzie z satysfakcją. — Panie...?

Zapadła cisza tak gęsta jak miód. Wszyscy patrzyli na Barneya, nie wyłączając pana Knighta, czekając, aż dokończy zdanie wypowiedziane przez Stafforda Parkera.

Barney zamknął oczy. Słony pot gryzł go w źrenice jak łyż. Po chwili otworzył oczy i powiedział:

— Blitz. Nazywam się Blitz. A prawdziwe nazwisko pana Havemanna brzmi również Blitz. Jesteśmy braćmi. To chyba wystarczy, żeby rozwiać czyjekolwiek wątpliwości, że jestem osobą, której zależy na jego szczęściu.

Zapanował rozgardiasz, ale Stafford Parker wkrótce uciszył zebranych.

— Jestem szczęśliwy, że pan Havemann, czy też pan Blitz, skoro wiemy już, jak się nazywa, został oczyszczony z zarzutu kradzieży diamentów. Jestem również szczęśliwy, że będzie pod nadzorem bliskiego i zainteresowanego jego szczęściem krewniaka tej samej religii i tego samego pochodzenia. Panie przewodniczący, czy ława przysięgłych ma odmienne zdanie w tej materii?

Wstał wysoki jasnowłosy Anglik i powiedział:

— My, my, my jesteśmy szczęśliwi z powodu pańskiej decyzji, panie Parker. My, my, my dziękujemy panu Knightowi za wspaniałe wystąpienie.

Stafford Parker uderzył młotkiem po raz ostatni.

— Ława przysięgłych zostaje rozwiązana. Dziękuję, panowie.

Joel złapał Barneya za rękę. Jego twarz błyszczała od potu.

— Mój Boże, Barney, udało się. Panie Knight, bardzo panu dziękuję. Nie wiem, co mam powiedzieć.

Pan Knight wstał sztywno i z przesadną dokładnością umieścił kapelusz na głowie.

— Wygląda na to, że rezultat był z góry przesądzony — powiedział chłodnym tonem. — Wygląda na to, że pan Parker już wcześniej zmienił zdanie.

— Nie sądzę — powiedział Barney. — Był pod wrażeniem pańskiego wystąpienia.

Pan Knight spojrział na Barneya z pogardą.

— Żałuję, że nie mogę odwzajemnić się tym samym.

— Panie Knight... — zaczął Barney, ale pan Knight podniósł dłoń do góry, żeby go uciszyć.

— Rozumiem, dlaczego mnie pan oszukał — warknął. — Jest pan Żydem i zdaję sobie sprawę, że wielu Żydów odczuwa zazdrość i frustrację, co z kolei powoduje, że próbuje wedrzeć się do chrześcijańskiej społeczności. Ale fakt pozostaje faktem: pan skłamał; pan zalecał się do mojej córki, udając, że jest dobrą partią; i jest pan Żydem. A ja nie zadaję się z Żydami, moja rodzina nie zadaje się z Żydami i mogę pana zapewnić, że nigdy nie będzie żydowskiego członka klubu Kimberley.

— Agnes mnie lubi — powiedział Barney. — Nie może pan zaprzeczyć.

— Lubi się także psa, dopóki nie ugryzie — odparł pan Knight.

— Chciałbym w dalszym ciągu ją adorować — nalegał Barney.

Pan Knight zrobił surową minę.

— To nie wchodzi w rachubę. Adorować? A w jakim celu?

— Czy miłość nie jest celem samym w sobie?

— Miłość? Phi! Agnes nie kocha pana. Pan również jej nie kocha. Stanowczo nie pozwalam. A teraz muszę już iść. Zrobiłem z siebie durnia. Myślę, że jak na jeden dzień, to wystarczy.

— Pańskie honorarium? — krzyknął za nim Barney z wściekłością.

Nie odwracając się, pan Knight pomachał lekceważąco ręką.

— Nie chcę honorarium. Tego, co musiałem dzisiaj znieść, nie zrekompensują pieniądze.

— Ale pan wygrał!

Pan Knight zatrzymał się i cofnął kilka kroków.

— Nie ja wygrałem, głupcze. Stafford Parker wygrał. Moim kosztem, a zwłaszcza twoim.

Barney patrzył, jak pan Knight wziął Agnes pod ramię i idąc szybkim krokiem, ciągnął ją za sobą, oddalając się od placu. Agnes nie odwróciła się, nie spojrzała na Barneya ani razu. Sposób, w jaki trzymała głowę, świadczył, że jest pełna pogardy i pretensji. Agnes przyciskała udo pod stołem do Żyda; nieprędko to sobie wybaczy, ani jemu.

Na placu przenoszono krzesła i zwijano markizy, a kilku czarnuchów zamiatało. Barney stał oświetlony promieniami zachodzącego słońca, trzymając w ręce kapelusz.

— Przepraszam — powiedział Joel.

— Nie przejmuj się — odparł Barney, kręcąc głową. — Ja sam zdecydowałem, żeby powiedzieć im, że jesteś moim bratem. Jestem z ciebie dumny, Joelu, i wkrótce będziemy bogaci, na przekór tym wszystkim chrześcijanom.

Z przeciwnej strony placu wolnym krokiem szła w ich kierunku Mooi Kup. Stanęła kilka kroków od nich i czekała.

— Mooi Klip — powiedział Barney tak cicho, że prawie go nie słyszała.

Podeszła bliżej i wtedy zauważył, że po policzkach płyną jej łzy.

— Teraz rozumiem — powiedziała ze współczuciem. Barney podniósł głowę do góry i spojrzał na bezchmurne, błękitne niebo.

— Teraz rozumiem wszystko — dodała. — Przykro mi.

Po uniewinnieniu Joela, Barney spędził w Kimberley jeszcze dwa dni. Później, podczas gdy Joel ponownie zarejestrował swoją działkę na dwie osoby i zaczął przygotowywać ją, żeby można było wydobywać z niej diamenty, Barney wziął Donalda i Mooi Klip i pojechał do Oranjerivier, aby zawieźć Monsarazowi jego pieniądze i powiedzieć mu, że rezygnuje z pracy na farmie w Derdeheuvel.

Gdy jechali powozem wzdłuż brzegów Orange, niebo rozświetlały błyskawice suchej burzy, a wysoka trawa wściekle falowała na wietrze, przypominając wzburzone morze. W końcu dotarli do alei topolowej i Donald poluźnił koniom lejce, tak że mogły kłusować do domu swoją własną ścieżką.

— Czuję, że wydarzyło się tutaj coś złego — powiedział Donald, gdy wjechali na podwórkę.

Barney zszedł z wozu i rozprostował kości. Miał przecucie, że Donald ma rację. Farma wyglądała na podupadłą i opuszczoną, jak pierwszego dnia, kiedy on, Donald i Si-mon de Koker przyjechali tutaj po długiej podróży. W stajniach nie było koni; wrota od obory stały otwarte na oścież; wyglądało na to, że stodoły zostały zniszczone przez ogień.

— Czuję upiora — powiedziała Mooi Klip zdenerwowanym głosem, nie schodząc z powozu. Miała na sobie szary płaszcz podróżny i kapelusz z piórami, który Barney kupił dla niej w Kimberley, w sklepie Madame Franceski. Dziwnym sposobem wyglądała bardziej hotentocko, kiedy ubierała się po europejsku.

Donald przywiązał konie do barierki przy stajni i poszedł razem z Barneyem w kierunku domu. Frontowe drzwi były otwarte, a zasłona leżała na deskach werandy.

— Gdzie Murzyni? — chciał wiedzieć Barney. — Gdzie jest Adam Hoovstraten?

Donald wsadził dwa palce do ust i przeraźliwie zagwizdał. Poczekał chwilę, ale nikt się nie pojawił. Za budynkami farmy, na pobliskich pagórkach, stały drzewa, które wyglądały, jak gdyby znaczyły koniec świata. Barney powiedział:

— Może Monsaraz zrezygnował?

Barney ostrożnie wszedł na werandę i zajrzał do środka domu przez uchylone drzwi. Korytarz



pokryty był kurzem i źdźbłami słomy, a tuziny pustych butelek wałały się po dywanie.

— Monsaraz?! — zawołał.

Okrzyk odbił się przytłumionym echem, jak gdyby ściany obite zostały płótnem.

Mając za plecami Donalda, poszedł korytarzem w kierunku pokoju Monsaraza. Dopiero teraz poczuli smród; wstrętny, drażniący odór śmierci. Z trudem przezwyciężyli chęć ucieczki, ale nie było wyjścia.

— Czujesz? — zapytał Barney.

Donald, z nagle poszarzałą twarzą, kiwnął głową.

Podnosząc z ziemi laskę, Barney popchnął drzwi od sypialni Monsaraza. Nie musiał wchodzić do środka, żeby zobaczyć, co się stało; żaluzje, którymi Monsaraz zazwyczaj zasłaniał okno, zostały wyłamane z ram okiennych, przez co promienie słoneczne oświetlały łóżko.

Monsaraz został porąbany na kawałki. Ściana za łóżkiem była poplamiona szernią krwią. Głowa leżała w pewnej odległości od tułowia, pod jakimś dziwnym kątem. Jego biały garnitur był sztywny od zaschniętej posoki. Miał rozpiętą kamizelkę na rozbebeszonym brzuchu. Został również wykastrowany — prawdopodobnie na samym początku, zanim zadano pozostałe ciosy, przez co chutliwy pies z Derdeheuvel cierpiał przed śmiercią niewyobrażalne męki.

— Zazdrosny mąż — zauważył lakonicznie Donald. — Mówiłem mu dwa albo trzy razy, żeby uważał na siebie.

— Mój Boże — wyszeptał Barney.

Wyszli na zewnątrz zaczerpnąć świeżego powietrza. Barney chwiał się na nogach, jak gdyby był pijany. Oparł ręce na barierce werandy, żeby złapać równowagę. Mooi Klip, która ciągle siedziała w powozie, spojrzała na niego z ciekawością.

Kiedy poczuł się lepiej, podszedł bliżej.

— Nie żyje. Zamordowany. Ktoś porąbał go na kawałki.

— Co teraz zrobisz? — zapytała Mooi Klip.

— Nie wiem, nie znam jego znajomych ani krewnych. Nawet nie wiem, gdzie trzymał pieniądze.

— Ale farma... czy farma jest teraz twoja?

— Nie jestem pewien. Musimy przejrzeć papiery i zobaczyć, czy nie zostawił testamentu.

Podszedł do nich Donald. Zdjął płaszcz i podwinął rękawy od koszuli.

— Pochowam go — powiedział zdecydowanym głosem.

— Jesteś pewien, że chcesz? Ja nie wiem, czy wszedłbym po raz drugi do tego domu.

— Byłem przewodnikiem, pamięta pan? Wiele razy podróżnicy umierali, a ja ich zakopywałem. Widziałem gorsze rzeczy.

Donald wyciągnął resztki Monsaraza z sypialni, a Barney i Mooi Klip poszli do saloniku, gdzie Monsaraz trzymał stopy dokumentów i rachunków. Mooi Klip podniosła z podłogi zdjęcie ładnej francuskiej aktorki, wydarte z jakiegoś magazynu, i zapytała:

— Ten Monsaraz był samotny?

— Miał mnóstwo kobiet — ale, tak, myślę, że był samotny, *alav ha-sholom*.

Zamilkli, wsłuchując się w głucho uderzenia pięt Monsaraza ciągniętego przez Donalda. Barney zapytał:

— Czy mogłabyś zrobić herbatę? Kuchnia jest tam.

Usiadł przy biurku Monsaraza i zaczął przeglądać dokumenty. Leżały tam sterty rachunków, papierów potwierdzających kredyty zaciągnięte w Banku Kredytowym w La Corunie; stopy listów oraz nie dokończony pamiętnik pisany po portugalsku. Były tam podniszczone niemieckie magazyny ilustrowane ze zdjęciami korpulentnych Murzynek z buszu, kopulujących z osłami, oraz małe, czarne

pudełko, z wieczkiem obciągniętym jedwabnym materiałem, zawierające niezliczoną liczbę rachunków.

Mooi Klip weszła do pokoju w momencie, kiedy Barney próbował otworzyć lewą dolną szufladę biurka. Wydawało się, że wypchana jest papierami, przez co trudno ją było ruszyć.

— Barney — powiedziała Mooi Klip takim głosem, że natychmiast się wyprostował i na nią spojrzał. Ręce przyciskała do twarzy, a jej oczy błyszczały, jak gdyby miała gorączkę.

Trzęsąc się, usiadła na zakurzonej kanapie, a Barney poszedł do kuchni. Na stole stały trzy filiżanki, czajniczek oraz otwarta puszka z Lapsang Souchong. Barney rozejrzał się dookoła i zmarszczył brwi, nie mogąc znaleźć tego, co ją tak poruszyło. Kiedy udał się w kierunku zacienionej wnęki zmywalni, w miednicy zauważył wystającą zakrwawioną rękoność maczety.

Podszedł bliżej i zatrzymał się. Oprócz maczety leżały tam jeszcze zakrwawione genitalia Monsaraza.

Barney wrócił do saloniku.

— Przepraszam — powiedział. — Nie wiedziałem. Naprawdę przepraszam. Wypijesz drinka? Gdzieś tutaj powinna być whisky.

Mooi Klip potrząsnęła głową.

— Już czuję się lepiej. To był szok. Nie wiedziałam, co to jest, dopóki nie podeszłam bliżej.

Z dworu dochodziły ich przytłumione uderzenia motyki, którą Donald kopał grób dla Monsaraza w ubitej ziemi. Barney ponownie usiadł za biurkiem i szarpnął szufladę tak mocno, jak tylko potrafił. Otworzyła się ze zgrzytem i spadła na dywan.

— Mój Boże — powiedział Barney, zanurzając dłoń w zawartości.

— Co tam jest? — zapytała Mooi Klip. — Pieniądze?

— Pieniądze? Brytyjskie pięciofuntowe banknoty, setki! Wepchnięte do szuflady jak jakieś śmieci. Muszą tutaj być tysiące funtów!

Mooi Klip podeszła bliżej i stanęła obok niego, opierając rękę na jego ramieniu.

— A więc jesteś teraz bogaty — powiedziała. Barney grzebał w szufladzie, wyciągając coraz więcej pieniędzy. Z kilkoma banknotami podeszedł do okna, sprawdzając, czy nie są fałszywe. Wszystkie miały znak wodny Mennicy Królewskiej, a więc były prawdziwe.

— Musi tutaj być dziewięć albo dziesięć tysięcy funtów. Może więcej. Niewiarygodne.

— Co z nimi zrobisz? — zapytała Mooi Klip. Barney wyprostował jeden z pomiętych banknotów na kolanie. Myślał przez chwilę, po czym opuścił głowę.

— Nic — odparł. — Nie są moje.

— Ale one są twoje! Czyje mogą być, jeżeli nie twoje? Monsaraz nie żyje!

— Monsaraz je ukradł albo zdefraudował. Tak samo nie należały do niego, jak i teraz do mnie. Jak sądzisz — dlaczego młody, bystry mężczyzna ukrywał się w takim miejscu jak Oranjerivier? Krył się przed ludźmi, których obrabował.

— Ale kto o tym wiedział? — nalegała Mooi Klip. — Nikt nie wie, że pieniądze są tutaj. Gdyby wiedzieli, to przyszliby, żeby je zabrać. Nawet człowiek, który zabił Mon-saraza, ich nie wziął.

Barney rzucił wyprostowany banknot na stertę pozostałych.

— Człowiek, który zamordował Monsaraza, był nikiem więcej jak tylko zazdrosnym czarnuchem. A czarnuch nie jest człowiekiem — pamiętasz? Biedak, prawdopodobnie nigdy nie widział pięciofuntowego banknotu. Poza tym — przypuszczam, że jak tylko zrobił to, po co przyszedł, natychmiast uciekł, gdzie pieprz rośnie. Chciał krwi, nie pieniędzy.

Mooi Klip zmarszczyła brwi.

— Zostawisz pieniądze tutaj, dla kogoś innego? Barney złapał ją za rękę.

— W tym tygodniu czegoś się dowiedziałem — powiedział. — Dowiedziałem się, że nie ma sensu udawać, że jestem kimś innym niż Żydem.

Potrząsnęła głową.

— Nie rozumiem ciebie.

— Sam siebie nie rozumiem. Kiedy jechałem przez Great Karoo do Oranjerivier, postanowiłem, że moją religię zostawię hen, za sobą. Myślałem, że nie pomoże mi tutaj przetrwać. Nie wierzę, żeby rabbi z Nowego Jorku wiedział, co oznacza szukanie fortuny w tak dzikim kraju jak ten.

Kopnął szufladę wypełnioną pięciofuntowymi banknotami.

— Nie wierzę również, że komukolwiek, kto nie jest gojem, uda się w tym kraju wzbogacić. Czy będąc Żydem, mogę się zaprzyjaźnić z ludźmi typu Stafforda Parkera? Jak dostać się do klubu w Kimberley? Jak mogę zalecać się do Agnes Knight?

Mooi Klip głaskała go po ręce i nie odzywała się.

— Udawanie, że nie jestem Żydem, nie zdało egzaminu — ciągnął dalej Barney. — Nie ukryjesz faktu, że jesteś Żydem. Ani zakładając maskę, ani zmieniając nazwisko, ani kłamiąc. Jedyne, co mogę zrobić, to zdobyć więcej pieniędzy. Zdobyć tyle pieniędzy, że będę najbogatszym Żydem w Kolonii.

— Ale co zrobisz z tymi pieniędzmi? — dopytywała się Mooi Klip.

Barney westchnął.

— Prawdopodobnie oszedłem zbyt daleko od Boga, żeby bez żadnych problemów powrócić — powiedział. — Ale dalej już nie odejdę.

Mooi Klip wyszła, a Barney kończył przeglądanie zawartości biurka Monsaraza. W końcu na samym dnie jednej z szuflad znalazł to, czego szukał — akt własności Derdeheuvel. Schował dokument do kieszeni płaszcza, wytarł ręce i wyszedł na podwórko poszukać Mooi Klip oraz Donalda.

— Znalazłem dokumenty — powiedział. — Myślę, że farma jest moja po tym wszystkim, co dla niej zrobiłem. Prawdopodobnie wydzierżawię ją.

— Jeżeli zgodzi się pan poczekać pół roku na pieniądze, to ja ją wezmę w dzierżawę. Znajdę Adama Hoovstratena i razem będziemy na niej pracować.

— Chcesz tutaj zostać? Donald uśmiechnął się krzywo.

— Myślę, że już najwyższy czas, żebym przestał podróżować, panie Blitz. Podróże mają zły wpływ na duszę człowieka. Poza tym mam kilka dobrych siostr w Oranjerivier.

— Upewnij się, czy nie mają zazdrosnych mężów. Donald rozejrzał się dookoła.

— Pochowałem pana Monsaraza z tyłu obory, panie Blitz. Czy chce pan pomodlić się na jego grobie?

Barney potrząsnął głową.

— Idź do salonu i przynieś szufladę z pieniędzmi. Donald spojrzał na Mooi Klip.

— Jak pan każe, panie Blitz.

Barney i Mooi Klip poszli wolnym krokiem w kierunku grobu Monsaraza — był nim niewielki kopczyk usypany z suchej ziemi, bez krzyża, bez żadnej informacji o tym, że spoczywa tutaj syn pana i pani Monsarazów, który przeżył życie pełne strachu, upodlenia, zalewając się codziennie alkoholem. Barney zdjął kapelusz, a Mooi Klip wymamrotała modlitwę, której nauczyła się w szkółce misyjnej.

Przyszedł Donald z szufladą. Pięciofuntowe banknoty szeleściły na wietrze, a kilka z nich wypadło na podwórko. Donald położył szufladę przy grobie i stanął obok.

Barney przyklęknął na jedno kolano, wyjął pudełko zapalek i jedną zapalił. Cienki papier natychmiast się zajął, a po kilku sekundach szuflada stanęła w płomieniach. Banknoty pięciofuntowe skręcały się, czerniały, a delikatny popiół unosił się w powietrzu.

— Mam nadzieję, że teraz będzie spoczywał w pokoju — powiedział cicho Barney i nie czekając na Mooi Klip, oddalił się.

Barney ciągle jeszcze miał 212 funtów, które dostał od Harolda Feinberga za diamenty, ponieważ te pieniądze zatrzymał dla siebie. Kiedy wrócił razem z Mooi Klip do Kimberley, prawie wszystko wydał na dwupokojową drewnianą chatę, która stała niedaleko działek, po wschodniej stronie głównej ulicy. Od spółki zajmującej się sprzedażą narzędzi górniczych kupił również kilofy, łopaty oraz kołowrót. Wiedział, jak głębokie są niektóre z działek, i zdawał sobie sprawę, że za jakieś cztery albo pięć tygodni będą musieli z Joelem wydobywać żółtą ziemię za pomocą wiadra i liny.

Zatrudnił sześciu nowych czarnych robotników i obiecał im premię za każdy znaleziony przez nich diament o wadze powyżej pięciu karatów. Murzyni tworzyli dziwaczną grupę. Jeden z nich miał tylko jedną rękę, ale tak zręcznie używał swojego kikuta, że zawartość każdej łopaty precyzyjnie trafiała na taczkę stojącą w odległości dziesięciu stóp. Drugi śpiewał całymi dniami, operując jedynie pięcioma nutami oktawy. W upalne popołudnia jego monotony głos doprowadzał Barneya do szału. Szefem całego towarzystwa był najmniejszy z nich — zawsze uśmiechnięty, energiczny skrzat, którego Joel nazwał swoim *shmeck tabac*, szczyptą tabaki.

Po tygodniu wyteżonej pracy na działce numer 172 pokazał się Harold Feinberg. Usiadł na przewróconej taczce, wyjął białą chusteczkę i głośno wysmarkał nos.

— Jak leci? — zapytał, przekrzykując zawodzenia Murzyna.

Barney, ubrany w luźną koszulę, workowate spodnie i kapelusz typu panama z szerokim rondem, wstał, wyprostował się i założył ręce do tyłu. Dopiero kilka dni pracował, a czuł się tak, jak gdyby miał za sobą co najmniej połowę dożywotniego wyroku ciężkich robót.

— Przebaczyłeś mi, Haroldzie, prawda? — zapytał.

— Co mianowicie?

— Ilekroć spojrzałem na ciebie podczas procesu Joela, odwracałeś wzrok.

— Hmm — mruknął Harold, zdejmując kapelusz. — Byłeś wtedy gojem. Ale teraz, słyszałem, że zachowujesz się jak jeden z nas, za co dziękuję opatrności.

— Jest zakochany! — krzyknął Joel, stojący po drugiej stronie działki, gdzie *shmeck tabac* i on sam próbowali podwindować do góry kawałek skały.

— A, tak, o tym również słyszałem. Dwa albo trzy dni temu spotkałem Edwarda Norka, który powiedział mi, że mieszkasz z prześliczną młodą dziewczyną Griqua.

— Po prostu prowadzi nam gospodarstwo, to wszystko — odparł Barney.

— Czy mam w to uwierzyć? — zapytał Harold.

— Powinieneś *hok nit kain tchynik* — powiedział Barney, pokonując działkę długimi krokami i wycierając ręce w szmatę.

— Ach, ci bracia Blitz — zawołał Harold z desperacją na twarzy. — Ale mów mi, jak tam biznes.

Barney sięgnął do kieszeni koszuli roboczej i wyjął z niej garstkę małych, surowych diamentów. Harold Feinberg wziął je ostrożnie od Barneya i obejrzał dokładnie przez lupę, którą miał zawieszoną na szyi.

— I co o nich myślisz? — zapytał Joel.

— Cóż... nie są złe — powiedział Harold. — Nie staniecie się dzięki nim milionerami, ale nie są złe.

Barney wskazał na głębokie rowy ciągnące się wzdłuż brzegów działki.

— Oto miejsca, gdzie Joel nic nie znalazł. Górne warstwy zapadły się, przykrywając żółtą glebę, i przez to dziesięciostopowy pokład nie zawierał diamentów. Ale teraz trafiliśmy na żyłę złota.

— Cóż, życzę wam powodzenia — powiedział Harold. Skrzywił się, słuchając śpiewów pracujących czarnuchów. — Wam oraz waszym klezmerom.

Późnym popołudniem, kiedy długie cienie położyły się na działce, filigranowy robotnik Joela przyniósł dziesięciokaratowy kamień. Położył go na dłoni Joela z taką nonszalancją, jak gdyby to był owoc zerwany z drzewa. Joel potrząsnął nim, skrobął paznokciem i powiedział do Barneya ochrypłym głosem:

— Spójrz tylko, Barney. Chodź tu i rzuć na niego okiem.

Barney odłożył kilof. Wziął diament w dwa palce, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

— Joelu — powiedział. — Teraz zaczynam naprawdę wierzyć, że Blitz Brothers Diamond Company zacznie przynosić zyski.

Każdego dnia zaczynali pracę na działce od świtu, a kończyli wieczorem, kiedy już nic nie było widać. W sierpniu lało solidnie przez tydzień i działki — jedna po drugiej — zaczęły się zapadać, przykrywając narzędzia, worki na piasek, wózki błotem. Trzej australijscy górnicy zginęli zasypani w rowie, a jeden Niemiec został poważnie poraniony i jego partner zastrzelił go, żeby zaoszczędzić mu cierpienie. Kilku kopaczy, którzy zaczęli wcześniej, zadowolilo się diamentami wartości kilku tysięcy funtów, jakie wydobyli z żółtej gleby do tej pory, i zrezygnowało, sprzedając działki na licytacji.

Wiosną większość działek była tak głęboko wyeksploatowana, że ścieżki graniczne pozapadały się, a żółta gleba była magazynowana w wiadrach zawieszonych na stalowych linach. Każda lina przechodziła przez krążek, których dziesiątki przytwierdzono do rozklekotanych drewnianych wież okalających tereny kopalni jak pogańskie fortyfikacje. Później glebę ładowano na wózki, wywożono i sortowano.

Mooi Klip była specjalistką od sortowania diamentów. Większość dnia spędzała w szałasie niedaleko kopalni, nadzorując robotników, którzy wysypywali tam ziemię, rozbijając łopatami wielkie grudy. Patrzyła, jak nakładali glebę na obrotowe sito zwane *trommel*, co po holendersku znaczyło „bęben”, rozbijali co większe kawałki, które nie chciały precyzyjnie przejść przez oczka, a później przesiewali ziemię ręcznymi sitkami z gęstszymi oczkami. Na końcu ona sama siadała przy stole sortowniczym i wyciągała kamienie delikatnymi palcami. Na nosie miała druciane okulary, żeby niczego nie przeoczyć. Barney uwielbiał robić jej niespodzianki i przychodził tak często, jak tylko mógł, ponieważ uważał, że w okularach wygląda ślicznie i niewinnie.

Nocą Barney, Joel i Mooi Klip wracali do chaty, do której teraz dobudowali wielki salon oraz werandę, i jedli kolację złożoną z wołowiny i fasolki, a potem siadali przy kominku, pili rum z kakao, czując, jak ustępuje napięcie i ból mięśni. Nad kominkiem wisiła melodramatyczna litografia przedstawiająca wrak parowca „San Francisco”, o której Joel wyraził się, że jest relaksująca i trzeźwiąca zarazem. Mówił, że zawsze przypomina mu o tym, jak blisko był ruiny i śmierci.

I chociaż Joel był w lepszym nastroju niż wtedy, kiedy został uratowany przez Barneya, to często jednak nachodziły go wątpliwości; miał wtedy pretensje do siebie, do całego świata, a zwłaszcza do Barneya.

— Za pieniądze, które zarobiliśmy, powinniśmy mieszkać w pałacu — powiedział pewnego wrześnieowego wieczoru. Barney pochylony był nad stołem i badał kupkę surowych diamentów, oświetloną jasnym światłem olejowej lampki. Mooi Klip, ze świeżo umyтыми i uczesanyimi kędzierzawymi włosami, siedziała przy kominku, obszywając brzegi swojej czerwonej sukienki w kwiaty. Wnętrze pokoju, oświetlone białym intensywnym światłem, przypominało scenę

amatorskiego teatryku.

Barney powiedział:

— Wolałbym zainwestować pieniądze w drugą działkę. Być może uda nam się kupić pod koniec miesiąca parcelę Stuarta. Harold powiedział mi, że Stuart zaczyna narzekać na klimat i że zamierza sprzedać działkę i wynieść się do Kapsztadu.

— Chcesz kupić jeszcze jedną działkę? — zdziwił się Joel. — Czy nie uważasz, że mamy dosyć roboty zjedną?

— Możemy zatrudnić więcej czarnych robotników.

— Pewnie. Więcej czarnuchów! Ale więcej czarnuchów oznacza zwiększoną kontrolę, a zwiększona kontrola znaczy więcej ciężkiej roboty. Czy ty nigdy nie będziesz miał dosyć?

Barney odłożył pincetę.

— Nie ma sensu wchodzić w interes, którego nie można powiększyć. Teraz wolno posiadać jedynie dwie działki — ale wkrótce to się zmieni. I jak myślisz, co się wtedy stanie w Kimberley? Wielkie spółki zaczną powoli połykać pojedynczych kopaczy, jednego po drugim; a rok, dwa lata później — zapamiętaj sobie moje słowa — nie uchwyci się żaden samotnie działający górnik. Nie będzie się opłacało pracować na jednej tylko działce. Nie będzie warto stemplować boków, usuwać czy transportować ziemi, sortować kamieni. Wielkie spółki nas wykończą tylko dlatego, że będą działać na olbrzymią skalę.

— A więc po co się szarpać? — zapytał Joel. — Sprzedajmy interes, dopóki ceny są jeszcze dobre, i wynośmy się z tej zapomnianej przez Boga ziemi, zanim umrzemy z nudów, frustracji, czy jakiejś nieznanej choroby.

— Joelu, dopiero zaczęliśmy. Jeżeli kupimy drugą działkę, sami zaczniemy tworzyć podwaliny pod naszą własną wielką spółkę. Im szybciej to zrobimy, tym lepiej. Na miłość boską — zamiast czekać, aż nas zniszczą, lepiej samemu przejąć kilka działek. Czy nigdy nie myślałeś o tym, żeby wspólnymi siłami kupić całą kopalnię? Bracia Blitz?

— Zwariowałeś. Upał uderzył ci na mózg.

Barney przechylił się z krzesłem do tyłu i spojrzał twardo na brata.

— Joelu — powiedział. — Jeżeli nie uda się nam z diamentami, to co będziemy robić? Chcesz wrócić do krawiectwa? A może do pracy na farmie? Albo wrócić na morze?

— Nie gadaj do mnie protekcjonalnym tonem — warknął Joel.

— Wcale nie mam zamiaru. Po prostu staram się dowiedzieć, czego chcesz od życia.

— A po jasną cholere? Nie jesteś moim ojcem, a może jesteś? Jesteś moim młodszym bratem, moim małym Bar-nabą, moją małą pociechą. Co, może tak nie jest? I kto za kim pojechał do Afryki Południowej? Kto pierwszy kupił tę działkę? A więc przestań grzebać w moich diamentach i przestań pouczać mnie, co mam robić w życiu.

— Joelu, spokój — powiedział Barney, zaniepokojony wybuchem brata. Ale Joel nie był w nastroju na pojednanie. Wstał, podszedł do stołu i chwycił w rękę kilka surowych, połyskliwych kamieni.

— Gdyby nie ja, to nigdy byś ich nie ujrzał. Żadnego z nich! A teraz siedzisz tu, przesypując, z kupki na kupkę, jak gdybyś był diamentowym królem w Kimberley. I te twoje plany! Te twoje marzenia, żeby kupić więcej działek! Możemy mieć tę całą cholerną kopalnię, prawda? Nie zapomnij tylko, kto kupił tę działkę!

— Nie prosiłem cię, żebyś zaprosił mnie do spółki — powiedział Barney, starając się opanować. — A teraz połóż, proszę, diamenty na stole. Chcę dokończyć sortowanie.

— A gównie! — wrzasnął Joel i rozrzucił diamenty po pokoju. — Dosyć babrania się w moim

życiu! Ośmieszyles mnie przed całym miastem — biedny, głupi Żydek, którego rozciągnięto na ziemi. A potem zabrales połowę moich diamentów. A teraz mieszkam jak sublokator w swoim własnym domu i pracuje jak jakiś czarnuch na swojej własnej działce, podczas gdy ty zajmujesz się sortowaniem diamentów i snuciem absurdalnych planów oraz cudzołożeniem z tą *schwartzeh* jak jakiś wściekły pies!

Barney mocno uderzył Joela pięścią w twarz. Przedni ząb Joela pękł z takim zgrzytem, że w pierwszej chwili Barney myślał, iż złamał palec. Joel zatoczył się, uderzył w krzesło, potknął się i ciężko upadł na podłogę. Leżał skulony, pluł krwią, potrząsając głową.

Mooi Klip bez słowa odłożyła szycie i uklękła między rozrzuconymi diamentami. Przytrzymała głowę Joela i przytknęła chusteczkę do jego krwawiących ust. Barney czuł, że wszystko w nim wrze. Stał drżący z zaciśniętymi pięściami, próbując powściągnąć gniew i starając się sobie wytłumaczyć, że Joel jeszcze jest chory, że nie zaleczyły się w nim rany powstałe w wyniku procesu i późniejszej apelacji. Nie powinien był go uderzyć.

Mooi Klip odwróciła się do Barneya i powiedziała:

— Wody. Ma złamany ząb.

— Nie powinien tego mówić — powiedział Barney. — Nie obchodzi mnie, co myśli o mnie, i mam gdzieś to, co o mnie mówi. W końcu jesteśmy braćmi. Ale nie powinien wyrażać się w taki sposób o tobie.

Mooi Klip powtórzyła:

— Wody.

Barney wszedł do pomieszczenia będącego umywalnią i wrócił, niosąc niebieską emaliowaną miskę. Mooi Klip umoczyła chusteczkę i delikatnie przetarła usta Joela. Po chwili Joel zaczął przychodzić do siebie i odepchnął rękę Mooi Klip.

Barney przykucnął przy bracie i położył rękę na jego ramieniu.

— Joelu, jest mi bardzo przykro, przepraszam. Czujesz się lepiej?

— Jak nigdy przedtem — wymamrotał Joel. Spróbował podźwignąć się do góry, opierając ręce na przewróconym krześle, ale stracił równowagę i ponownie upadł.

— Nie potrzebuję twojej pomocy, dzięki — powiedział ze złością, kiedy Barney złapał go za ramię.

— Joelu, powiedziałem, że przepraszam. Przecież jesteśmy partnerami. Nie wolno ci jednak mówić takich rzeczy o Mooi Klip.

— Ona nie jest *schwartzeh*, czy to starasz się mi powiedzieć? — zapytał Joel, delikatnie obmacując usta koniuszkami palców. — I nie żyjesz w grzechu na oczach całego miasta?

— Nie dbam o Kimberley, Joelu. Wszyscy mogą iść do diabła. A przy okazji — cóż takiego wzniosłego i moralnego widzisz w Kimberley? Na jeden akr przypada tu więcej kurew niż gdziekolwiek na świecie.

— A więc ona jest kurwą? Ta twoja *schwartzeh*? Czy za taką ją uważasz?

— Wcale tego nie powiedziałem — zaprotestował Barney.

— Bo ty nigdy niczego nie mówisz, ty hipokryto — powiedział Joel wstając. — Po prostu bierzesz wszystko, co myślisz, że do ciebie należy, nie przebierając w metodach. Gdyby tylko mama mogła ciebie teraz zobaczyć.

— Ona nie może mnie zobaczyć, Joelu. Ona nie żyje. A poza tym, nie robię niczego, czego miałbym się później wstydzić. Kocham Mooi Klip i kocham ciebie. Gdybyś wreszcie przestał się mnie czepiać, to zobaczyłbyś jak bardzo.

Joel splunął krwią.

— Sakramencki *pisher* z ciebie.

Joel poszedł do swojej sypialni i zatrzasnął za sobą drzwi z taką siłą, że ponownie się otworzyły. Musiał wrócić i zamknąć je delikatniej i bez szarpania. Barney popatrzył na drzwi, po czym uklęknął na podłodze i zaczął zbierać diamenty. Mooi Klip obserwowała go, siedząc na krawędzi krzesła.

— Jest taki zły — powiedziała.

— Masz rację. Problem w tym, że nie wiem dlaczego.

— Oczywiście, że wiesz — powiedziała Mooi Klip. — Zraniłeś jego dumę. Ocaliłeś go, kiedy sam nie umiał się ocalić. A teraz dobrze prowadzisz jego interes, podczas gdy on umiał tylko kraść. Kupiłeś dla nas dom, żebyśmy mieli gdzie mieszkać, i masz kobietę. A co on ma? Czego dokonał? Sprawiał, że czuje się jak dziecko.

— Wcale tego nie chciałem — powiedział Barney zgodnie z prawdą. Nie chciał tego. Kochał Joela i szanował go i nie było ważne, czy Joel odniósł w życiu sukces, czy też nie. Bo czyż Joel nie uczył go, kiedy byli dziećmi, jak robić łuk i strzały z materiałów krawieckich? Czy nie uczył go, jak przycinać len i jak fastrygować klapy? Nie bronił go przed tymi ormiańskimi chuliganami z Hester Street? I czy to właśnie nie Joel, pewnej deszczowej nocy, kiedy leżeli razem w łóżku, objaśnił mu szepem szczegóły tajemniczej anatomii dziewczyn?

Ale teraz Joel był zgorzkniały i obcy, a Barney nie był w stanie wytłumaczyć mu, że chociaż to on miał smykałkę do robienia interesów, a nie Joel, to wcale nie oznaczało, że Joela nie kochał, czy też nie przyczyniał się swoim postępowaniem do osiągnięcia ich wspólnego sukcesu i szczęścia w życiu. Barney bardzo pragnął, żeby tworzyli rodzinę — on, Joel i Mooi Klip — ale okazało się, że Joel jest zbyt zazdrosny.

Barney czuł, że za każdym razem, kiedy próbował scalić rodzinę Blitzów, próby paliły na panewce. Rodzina wydawała się zakażona zawiścią, szaleństwem i parszywymi nastrojami.

Pozbierał porozrzucane diamenty i usiadł przy stole. Nic nie powiedział do Mooi Klip, ale uśmiechnął się do niej, żeby pokazać, że ją kocha i akceptuje. Nie wspominał jej o Agnes Knight — ostatni raz zrobił to w dniu, kiedy znaleźli nieżywego Monsaraza. Spotkał Agnes dwa tygodnie temu na głównej ulicy Kimberley, gdy szła z nosem zadartym do góry, kręcąc parasolką, a jej śliczne małe pantofelki wystukiwały rytm na zakurzonym chodniku. Pomachał jej kapeluszem i zawołał nieśmiało „Agnes?”, ale ona minęła go, nie obdarzając nawet jednym spojrzeniem, a nie miał odwagi, żeby za nią iść.

Agnes uosabiała nie spełnione marzenia. Boleśnie przypominała mu o tym, że w klubie Kimberley był *persona non grata* oraz że Żydzi nie byli mile widzianymi gośćmi w tych zaciemnionych pomieszczeniach, gdzie rozgrywano partie bilarda, pito dżin, a faceci imieniem Biffy i Charles gawędzili o wspaniałych słonecznych dniach w Harrow i długich jesiennych wieczorach w Kent.

Mooi Klip, która wróciła do szycia, powiedziała:

— Być może Joel będzie znośniejszy, kiedy znajdzie sobie żonę.

Barney rozsypał surowe diamenty na ciemnobrązowym pluszowym obrusie.

— Nie wiem. Kiedyś był rozmowny i przyjacielski. Dawał mi to, czego można było oczekiwać od starszego brata. Ale teraz...

Starannie zaczął sortować diamenty. Najpierw musiał podzielić je według koloru i klarowności. Większość diamentów, ponad osiemdziesiąt procent, nadawała się jedynie do użytku przemysłowego, do zastosowania w narzędziach do cięcia szkła, grawerowania, borowania. Tego typu kryształki Barney sprzeda później na wagę Kapsztadzkiej Przemysłowej Spółce Diamentowej albo panu



Schultzowi z Lippert Company z Hamburga, który zawsze dobrze płacił za diamenty dla przemysłu.

Następnie Barney wyławiał szlachetniejsze kamienie i sortował je według wielkości. „Maluchy” — te poniżej jednego karata — odkładał na bok. Większe klejnoty systematyzował według kształtu. Kamienie z nie uszkodzonymi kryształkami, z załamaniem, które spowodowane były pękniętymi kryształkami; płaskie, z uszkodzoną strukturą, które przypominały kawałeczki pękniętej szyby; oraz bliźniacze kamienie z ciemnymi plamami, trójkątne w kształcie.

Niewielu górników potrafiło sortować diamenty tak jak Barney — ale on uważnie słuchał tego, co mówił mu Harold Feinberg i przekazywał całą wiedzę Mooi Klip. Kilka razy próbował zainteresować tym Joela, ale brat machał niecierpliwie ręką i mówił, że to robota dla cierpliwych.

Jego umiejętność sortowania opłacała się. Barney dokładnie wiedział, co sprzedawał, i dokładnie znał cenę, której mógł żądać. Widział po prostu różnicę między dobrym kamieniem a bardzo dobrym kamieniem, między kamieniem ze skazą a kamieniem z ledwie widoczną skazą. Posługując się szkłem powiększającym, mógł odkryć pęknięcia i uszkodzenia, które wyszłyby przy późniejszej obróbce i które obniżały wartość kamieni, oraz skazy, które znajdowały się blisko środka diamentu, co znacznie komplikowało pracę jubilera.

Sortowanie według koloru było łatwiejsze. Te brązowe i żółtawe nie cieszyły się zbytnim powodzeniem, a więc odkładał je na bok, na kupkę, gdzie leżały diamenty do użytku przemysłowego, chyba że były niezwyklej jasności i wielkości. Zielonkawe, niebieskawe i różowawe były rzadsze i osiągało się za nie stałą cenę. Czerwonawe były tak rzadkie, że Barney nigdy takich nie widział.

Najtrudniej było sklasyfikować białe. Te najlepszego gatunku często nazywano „niebiesko-białymi” i kiedy po raz pierwszy w swoim życiu zabrał się do sortowania kamieni, spędzał długie godziny na wykrywaniu błękitnych zabarwień w swoich najlepszych diamentach. W miarę jak zdobywał doświadczenie oraz dzięki cynicznym uwagom Harolda Feinberga odkrył, że niebiesko-białe diamenty były pobożnym życzeniem romantycznych handlarzy diamentami, fikcją raczej niż rzeczywistością, i że większość kamieni sprzedawanych zaślepionej klienteli nie była nawet najwartościowszymi białymi klejnotami.

Prawie wszystkie białe diamenty które Barney i Joel wydobywali z działki numer 172 miały delikatne żółtawe zabarwienie, co oznaczało, że kolorystycznie można je było sklasyfikować najwyżej jako czwartorzędnej jakości. Sporadycznie natrafiali na białe najczystszej wody, ale nie zadowalało to Barneya, który zawsze utrzymywał, że ta działka nie należy do najlepszych.

— Skończyłeś? — zapytała Mooi Klip, stając za plecami Barneya i delikatnie głaszcząc go po policzku.

Barney odłożył szkło powiększające i podrapał się po nosie. Pracował od świtu i bolały go oczy. Jedyne co widział, to połyskliwa tęcza, która mieniła się na ciemnobrązowym obrusie, którym przykryty był stół.

— Prawie — odpowiedział. — Chcesz już iść spać?

— Chcę też porozmawiać.

Otworzył notes i uważnie podliczył zapisane tam liczby, które odzwierciedlały wartość leżących na stole kryształków.

— Siedemset funtów, jeżeli będziemy mieli szczęście. W tym tygodniu powinniśmy zgarnąć dwa tysiące.

— Ciągłe te pieniądze — powiedziała Mooi Klip. — Co zamierzasz z nimi robić?

Barney wstał i zamknął notes.

— Zamierzam włożyć je do banku, tak jak zwykle. I kiedy nadejdzie odpowiedni czas, kupię działkę Stuarta, tę, która sąsiaduje z naszą.

— Słyszałam, że działka Stuarta wcale nie jest dobra. Dokopali się do skalnego łożyska.

— Również o tym słyszałam, chociaż Stuart twierdzi, że sprzedaje ją ze względu na klimat.

— To dlaczego chcesz ją kupić, skoro jest wydrenowana-na? — zapytała Mooi Klip.

— Ponieważ wierzę człowiekowi o nazwisku Nork.

— Nork? — zapytała Mooi Klip niezbyt pewnym głosem.

— Kiedyś pracował z Joelem. Jest trochę zwariowany. Trochę ekscentryczny. Uważa, że łożysko skalne wcale nie jest skalnym łożyskiem, ale czymś, co nazwał Norkitą. Jest przekonany, że znajdziemy tam tyle samo diamentów co w żółtej glebie.

— Czy to prawda?

— Myślę, że tak. Stracę mnóstwo pieniędzy, jeżeli tak nie jest.

Drzwi od sypialni Joela otworzyły się. Stał w nich Joel ubrany w bawełnianą bieliznę. Jego ciemne włosy były zmierzwione, patrzył na Mooi Klip i Barneya z grymasem wyrażającym dezaprobatę.

— Nork — wyrzucił z siebie. — On jest maniakiem.

— Cóż, być może ma w sobie trochę za dużo entuzjazmu — powiedział Barney. — Iz pewnością za dużo pije. Ale jego teorii nie można nic zarzucić.

— I co? — zapytał arogancko Joel. — Zamierzasz wyrzucić pieniądze, aby sprawdzić jego nieuzasadnione teorie geologiczne? Mieszkamy w ruderze, gnieźdząc się w dwóch sypialniach, ubieramy się w najtańszych sklepach, jemy suszoną wołowinę i fasolę, a ty zamierzasz wyrzucać pieniądze w błoto?

— Chcę zainwestować pieniądze w coś, co wydaje się całkiem sensownym przedsięwzięciem — powiedział Barney. — A teraz proszę, nie wywołuj kłótni. Jeżeli masz ochotę o tym porozmawiać, to zróbmy to jutro rano.

— Porozmawiajmy o tym teraz.

— Joelu, ja jestem zmęczony, ty również jesteś zmęczony, Mooi Klip także.

— Barney, mój mały synku pocieszycielu, nigdy nie jestem zbyt zmęczony, żeby rozmawiać o mojej przyszłości. Albo o tym, co zamierzasz zrobić z naszymi pieniędzmi. Siedemnaście tysięcy funtów, oto co mamy. Wszystko utopione w Banku Londyńsko-Południowoafrykańskim. Siedemnaście tysięcy beczynnych, bezużytecznych funtów. Powiedzmy, że kupimy działkę Stuarta. I ile będzie to nas kosztować? Osiem tysięcy, dziewięć? W porządku, zostanie nam jeszcze osiem albo dziewięć tysięcy funtów. Co z nimi zrobimy?

Barney otoczył Mooi Klip ramieniem.

— Chyba to oczywiste, że zakupimy więcej działek. Brwi Joela ściągnęły się jakby za dotknięciem magnesu.

— Więcej jałowych działek? — zapytał. — Jeszcze więcej bezsensownego gruntu?

— Wcale nie jałowego. Być może niektórzy kopacze uważają, że tak jest, ale to nieprawda.

— Ponieważ tak uważa Edward Nork?! — wrzasnął Joel z furią. — *Riboyne Shel O'lem*, Barney, ten człowiek jest szalony! Znam go dłużej od ciebie. Znam go całe lata! Przez pewien czas nawet mu wierzyłem. Ale to wariat. Powinni zamknąć go w więzieniu.

— Jak dotąd nie zrobili tego. Ja mu wierzę.

Joel przecesał palcami tłuste, zmierzwione włosy. Z opuchniętymi i pokancerowanymi wargami wyglądał jak zawodowy bokser.

— Wnioskuje, że moje rady nie liczą się dla ciebie? — zapytał Barneya. — Nie wierzysz, że znam te cholerne działki diamentowe lepiej od ciebie?

Barney wsypał resztę klejnotów do skórzanego woreczka i zawiązał go. Nic nie odpowiedział.

— W porządku — powiedział Joel. — Mimo wszystko dam ci dobrą radę. Nie ufaj Norkowi. I chciałbym cię przestrzec, że jeżeli zaczniemy eksploatować niebieskie podłoże i okaże się jałowe, wyciągnę moje pieniądze z banku bez względu na to, ile ich tam będzie. A tak naprawdę, to wolałbym, żebyś mnie spłacił po dzisiejszych cenach.

Barney spojrział na brata z politowaniem. Nie mógł znieść jego zachowania; bardzo przypominał mu wtedy matkę.

— Skoro tego właśnie sobie życzysz — powiedział ochryplym głosem.

— *Mazel un frachah* — dodał Joel z ironią.

Wypowiedzenie tych słów: „życzę powodzenia i szczęścia”, przypieczętowało zakończenie interesu między kupcami diamentów. Nigdy nie spisywano żadnych umów. Słowo wystarczało.

Joel położył się spać, a Barney zbliżył się do drewnianej klatki, w której trzymali naczynia i sztuce i nalał sobie kieliszek brandy. Wypił jednym łykiem, nie zwracając uwagi na Mooi Klip, która stała w drzwiach sypialni i obserwowała go.

— Chodź do łóżka — powiedziała cicho. — To nie jest dobry czas na wojnę.

Barney odwrócił się i zgasił lampkę. Przeszedł przez zaciemniony pokój, kierując się do sypialni, w której błyskał słaby płomynek świecy trzymanej przez Mooi Klip.

— Wcale nie mam ochoty walczyć — powiedział.

Zamknął za sobą drzwi i zasunął zasuwę. Później zbliżył się do Mooi Klip i rozpiął sukienkę, która zsunęła się z jej ramion. Ciemne sutki rysowały się wyraźnie pod haftowaną koszulką. Pocałował ją i mocno przycisnął jej głowę do swojego policzka.

Był zmęczony i dlatego kochał się z nią wolno, z zamkniętymi oczami. W perkalikowej pościeli było gorąco, więc drżącymi rękami odrzucił kołdrę i zdecydowanym ruchem przyciągnął jej biodra. Za każdym razem, gdy się w nią wślizgiwał, czuł niewypowiedzianą rozkosz.

A później leżeli obok siebie na pościeli, wpatrując się w migotliwe cienie na ścianie. Usta Mooi Klip zbliżyły się do ramienia Barneya i dotknęły go w delikatnym pocałunku, a potem jeszcze raz i kolejny raz, a jej dłoń powędrowała w kierunku jego umięśnionych ud.

— Co o mnie myślisz? — zapytała.

— A co chcesz wiedzieć? — wymamrotał. Już prawie zasypiał.

— Po prostu chcę wiedzieć, co o mnie myślisz. Barney odwrócił głowę.

— Kocham cię. Wiesz o tym.

— Nie myślisz o mnie jako o swojej dziwce?

— Ależ skąd. Oczywiście, że nie.

— Ale przecież mieszkamy razem, kochamy się, a nie jesteśmy małżeństwem.

— Czy to cię martwi? — zapytał Barney. Usiadł i oparł głowę o dębową poręcz łóżka. Po przeciwnej stronie pokoju, na małym stoliku, stał krucyfiks, który należał do Mooi Klip. Jego cień tańczył na ścianie.

— Gdyby wiedziała o tym moja rodzina, to byłaby bardzo nieszczęśliwa — powiedziała Mooi Klip. — Myślę, że ja także jestem nieszczęśliwa.

— Tyyy? — zdziwił się Barney. — Nigdy o tym nie mówiłaś.

Odwróciła wzrok i podniosła źdźbło słomy, które wypadło z siennika na podłogę.

— Nie było kiedy. Ale uważam, że teraz powinieneś sam zdecydować. Nie możesz beze mnie żyć, tyle się po mnie spodziewasz, a nie możesz przestać myśleć o Agnes Knight.

Barney odpowiedział krótko:

— Sporo się nauczyłaś, odkąd jesteśmy razem. Nie myślę jedynie o twoim angielskim.

— Upewniłam się, że jesteś marzycielem, a twoje marzenia są czasami silniejsze od ciebie

samego.

— A czy upewniłaś się, że cię kocham?

— Tak, ale na twój własny sposób.

— I na czym to polega, ten mój sposób? Czy ty nie rozumiesz, że pewnego dnia obsypię cię diamentami?

Mooi Klip pokiwała głową.

— Nie — odpowiedziała. Jej oczy błyszczały w świetle świecy. — Nie, nigdy tego nie zrobisz.

— Ale chcesz za mnie wyjść za mąż?

— Tak.

— Czy Jan Bloem pobłogosławi nas?

— Przypuszczam, że tak. On jest podobny do ciebie, chociaż trudno mu to przyznać.

Barney przewrócił się na bok i usiadł na łóżku.

— Jednego nie potrafię zrozumieć: dlaczego tak nagle zaczęłaś mówić o ślubie. Czy to z powodu Joela? Czy dlatego zmieniłaś zdanie?

— Tak — odpowiedziała. — Ale jest coś jeszcze, coś znacznie ważniejszego.

— A cóż to takiego? — zaciekał się Barney. Delikatnie pogłaskała go po plecach, co spowodowało, że dostał gęsiej skórki.

— Chyba będziemy mieli dziecko — odpowiedziała.

Tydzień później, zupełnie przypadkowo, spotkał Agnes Knight. To było jedno z tych ponurych popołudni, kiedy na niebie wisały ciemne chmury przypominające szare, miękkie szmaty, kiedy konie były niespokojne, a odgłosy dochodzące z Wielkiej Dziury były przytłumione — wydawało się, że to nie górnicy pracują, ale złodzieje okradając groby na wiejskich cmentarzach.

Knightowie ignorowali Barneya i Joela i odwracali głowy, ilekroć spotkali kogoś na ulicy. Kimberley było małą miejsciną i nie sposób było nie natknąć się na siebie w miejscach publicznych, ale pan Knight był znawcą w dziedzinie stosunków międzyludzkich i widocznie poinstruował Faith i Agnes, jak się mają zachowywać, oraz nauczył je zadzierania nosa w pewnych okolicznościach. Cała trójka potrafiła przejść obok nich, pusząc się jak indory z zadartymi do góry dziobami i lekceważąco szeleszcząc spódnicami.

Ale tego wczesnego piątkowego popołudnia, kiedy to Barney wybrał się do miasta, żeby kupić zapasową membranę do pompy, natknął się na samotnie spacerującą Agnes. Szła po chodniku, mając na sobie kremową lnianą sukienkę oraz kremowy letni kapelusik z szerokim rondem, przepasany jedwabną wstążką. Wyglądała, jak gdyby była głęboko zamyślona albo rozmarzona; w każdym razie nie zauważyła Barneya, chociaż był już blisko.

— Agnes — powiedział.

Odwróciła się i spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

— Barney! — zawołała, ale natychmiast opamiętała się, zadarła do góry nos i zamknęła oczy.

Barney nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

— Mogę być Żydem, Agnes, ale nie zamierzam ugryźć cię w kostkę.

— Tatusz powiedział, że nie mam nawet na ciebie patrzeć. Faith też nie wolno. Dostałyśmy dokładne wskazówki, jak się zachowywać — odparła.

— Czy naprawdę jesteś na mnie wściekła? — Barney odchylił kapelusz. — Za to, że jestem Żydem?

Agnes otworzyła jedno oko.

— Jeżeli mnie skaleczysz, czyż nie krwawię? — zacytował Barney.

Agnes powiedziała:

— Przecież nie wierzysz w Jezusa, prawda?

— Oczywiście, że wierzę.

— Tatuś powiedział, że Żydzi są prawie poganami. Nie do końca, ale prawie.

Barney spojrzął przed siebie na zakurzone ulice. Daleko za drzewami, hen na horyzoncie zamigotała błyskawica przypominająca język małej żmii.

— Przecież mogliśmy się kochać — powiedział. — Wiesz o tym.

Była zajęta owijaniem bambusowej rączki od parasolki brązowym jedwabnym sznurkiem. Nic nie odpowiedziała. Słabe światło powodowało, że jej twarz nabrała pastelowych barw, jak na portretach sir Joshuy Reynoldsa; stała się dziwaczna, sentymentalna, alegoryczna. Silny podmuch wiatru poderwał z ulicy kupkę śmieci; w oddali fra północnym zachodzie ponownie zapaliła się błyskawica. Pogoda zaczęła się psuć na dobre.

— Zawsze będę cię darzył uczuciem, kochanie, i ty o tym wiesz — powiedział Barney. — To wszystko, co mam do powiedzenia.

— Miałam kupić mamusi trochę wstążek — powiedziała zmieszanym głosem Agnes.

— Cóż, idź to zrobić — westchnął Barney. — Ale byłoby mi miło, gdybyś powiedziała chociaż do widzenia.

Agnes odwróciła się. Zaskoczony Barney zauważył, że w kąciku jej oka zalśniła łza.

— Nawet nie wiem dlaczego ojciec jest na ciebie taki wściekły za to, że jesteś Żydem. Wcale nie wyglądasz na Żyda, chociaż papa twierdzi, że tak i że powinien był odgadnąć to wcześniej. „Jadł przy moim stole, a na dodatek sam go do niego zaprosiłem!” — wrzeszczy bez końca. Próbowałam go przekonać, Barney. Uwierz mi, że próbowałam, najlepiej jak umiałam. Ale nie pozwala mi się z tobą spotykać. Nie pozwala! A mama to już zupełnie nic nie rozumie!

Barney zrobił krok do przodu i złapał ją za rękę. Jej mała rękawiczka ze skóry jelonka ozdobiona była śliczną brukselską koronką. Jej dłoń, która kryła się wewnątrz, była ciepła jak małe zwierzątko. Zdjął kapelusz, pochylił się do przodu i pocałował Agnes w policzek, chociaż w tym dniu nie golił się i pachniał potem, a od stóp do głów pokryty był pyłem i czuł, jak piasek zgrzyta mu między zębami.

Szepnęła coś niewyraźnie, a Barney zapytał:

— Co?

— Kocham cię — powiedziała. — Nie usłyszałeś? Kocham cię. Marzyłam o tobie, odkąd cię poznałam. Może to źle, może powinnam czuć się winna. Ale jak można czuć się winną, skoro darzy się kogoś tak silnym uczuciem? Barney, ja ciebie kocham.

Barney ścisnął jej dłoń.

— To niemożliwe — powiedział. — Sama wiesz, że to niemożliwe.

Jej twarz wykrzywiła się w grymasie bólu.

— Staralam się — powiedziała. — Staralam się, żeby ojciec nic nie podejrzewał, chociaż Faith twierdzi, że powinnam odważyć się i powiedzieć mu, że pragnę ciebie widywać, bez względu na konsekwencje. Ale ja nie potrafię, Barney. Wszystko, co mogę zrobić, to pielęgnować tę miłość, zatrzymać ją w sercu i mieć nadzieję, że pewnego dnia wszystko się zmieni.

Cofnęła rękę i znalazła chusteczkę, którą wytarła sobie oczy, ale to spowodowało, że rozczuliła się jeszcze bardziej. Barney delikatnie otoczył ją ramieniem i poprowadził w kierunku żelaznej ławki, która stała niedaleko sklepu z artykułami spożywczymi. Posadził ją na niej, po czym usiadł obok.

— Nie wiem, co powiedzieć — westchnął. Mówił to, co czuł. Jak mógł jej wytłumaczyć, że

utracił ją na zawsze w dniu procesu Joela, tylko dlatego że uprzedzenia jej ojca i wszystkich kolonialnych gojów były nie do pokonania? Jak mógł jej powiedzieć o Mooi Klip? Wiedział, że targały nim nieposkromione ambicje; zauroczyła go Agnes, ponieważ była odpowiednią partią dla mieszkańca Kolonii ze względu

na urodę, prezencję, dobre wychowanie i wiarę chrześcijańską. Ale nie tylko — był zauroczony jej twarzą, figurą i dziecięcą ufnością. A do tego dzisiaj dowiedział się, że ciągle go pragnie, ciągle go kocha, pomimo jego żydowskiego pochodzenia. Okropny ból, który go przewiercał na wylot, wynikał z faktu, że ją tracił na zawsze. Ilekroć wypowiadał to słowo w przyszłości, zawsze stała mu przed oczami Agnes.

— Lepiej już sobie pójdę — powiedziała Agnes i z pośpiechem wstała. — Mama będzie zastanawiać się, gdzie jestem.

— Nie zrobisz niczego głupiego? — zapytał.

— Głupiego? Nic takiego nie jestem w stanie zrobić, przynajmniej tutaj, w Kimberley.

— Przepraszam — powiedział cicho. — Wszystko powinno było potoczyć się inaczej.

— To nie twoja wina. Musiałeś ująć się za bratem. I co najważniejsze, byłeś na tyle silny, że to zrobiłeś.

Poprawił kapelusz na głowie.

— Zaczynam się zastanawiać, czy to był dobry pomysł. Agnes wyciągnęła rękę i złapała go za nadgarstek.

— Posłuchaj, Barney — zaczęła. — Wiem, że trudno będzie ci w to uwierzyć, tym bardziej że w przyszłości wiele razy zaprzeczę temu swoim zachowaniem, ale zawsze będziesz miał swoje miejsce w moim sercu. Zawsze będziesz dla mnie drogi. Nie zapominaj o tym, proszę.

— Nie będę w stanie o tym zapomnieć — powiedział Barney.

Rozstali się na rogu ulicy. W oddali burza rozpoczęła się na dobre, słychać było uderzenia piorunów i zerwał się wiatr. Kiedy Agnes już miała się oddalić, Barney złapał ją za rękę i pocałował w usta. Była elegancka i drobna, a jej usta smakowały jak woda różana.

— Barney — wyszeptala. — Nie wolno. Gdyby ojciec się o tym dowiedział...

Puścił ją niechętnie.

— Tak — powiedział. — Wiem. Nie chciałbym cię skompromitować.

Odeszła bez słowa. Zdawał sobie sprawę z tego, że ilekroć spotkają na ulicy, już nigdy nie uda mu się porozmawiać z nią w taki sposób jak dzisiaj. Każde z nich stało u progu nowego życia, wobec nowych zobowiązań; i to ich rozdzieli.

Obserwował, jak zatrzymała się przed sklepem kolonialnym i otworzyła drzwi. Przez moment widział ją jeszcze, jak stała za wzorzystą szybą sklepową. W pewnej odległości od Barneya stał muł przywiązany do palika i podniecony walił w niego kopytem, jak gdyby obawiał się tego, co miało nadejść, ale nie był dość silny, żeby się uwolnić.

W październiku krótkotrwałe rządy Stafforda Parkera, prezydenta Republiki Górniczej, dobiegły końca. Parker abdykował bez żalu, ponieważ pola diamentowe miały przejść pod jurysdykcję brytyjską. Na początku listopada, dwa dni przed planowanym ślubem Barneya z Mooi Klip, nad Wielką Dziurą załopotala flaga brytyjska. Górnicy zgromadzili się dookoła masztu, wiwatowali i podrzucali do góry kapelusze.

Aneksja najzasobniejszych pól diamentowych świata z tygodniowym wydobyciem diamentów o wartości 50 000 funtów okazała się znakomitą osiągnięciem drapieżnej polityki kolonialnej Brytyjczyków. Chociaż kopalnie leżały na terytorium ogłoszonym Orange Free State, Burowie tam

zamieszkali nie mieli wystarczającej ilości pieniędzy ani siły militarnej, aby przeciwstawić się Anglikom, którzy dzięki sprytowi, represji i zdradzieckim knowaniom zagarnęli najbogatsze regiony globu ziemskiego.

W czasach kiedy Orange Free State oraz Transvaal były biednymi krainami, a ich mieszkańcy żyli z uprawy roli, Anglicy zostawiali ich w spokoju. Ale kiedy zaczęto wydobywać diamenty na skalę przemysłową, Burowie stali się zniechęconymi wrogami, a brytyjski sekretarz kolonialny, sir Richard Southey, był coraz bardziej zaniepokojony obserwując, jak dwie bogate i wrogie republiki zaczynają się rozrastać i tworzyć naturalną zaporę między Przylądkiem a dobrami brytyjskimi w centralnej Afryce. „Zgodnie z definicją — zauważył przy okazji jakiegoś przyjęcia — dobry Bur to biedny Bur”.

Zmartwienia sir Richarda ulotniły się, kiedy odkrył, że wszystkie nowe kopalnie diamentów leżą na ziemi zamieszkaną przez Griqua. Jako że przedtem nie miało to żadnego znaczenia, nikt do tej pory nie ustalił w zadowalający sposób, czy Burowie mieli prawo nazywać ziemię Griqua swoją. W związku z powyższym, z wielką pompą i nadzwyczaj uroczystości ogłoszono, że gubernator Natalu, Robert Keate, stanie na czele komisji arbitrażowej i osądzi, co do kogo należy.

Prezydent Jan Brand, przywódca Burów w Orange Free State, zaprotestował przeciwko mieszaniu się niezainteresowanego, obcego kraju w nie swoje sprawy. „To leży w interesie Brytyjczyków — powiedział stanowczo Keate. — I to właśnie oni nie zniosą obcych wsadzających nosy w nie swój interes”.

Końcowa decyzja Keate'a nie była niespodzianką dla nieszczęśliwych Burów. Gubernator stwierdził, że Orange Free State nie może sprawować żadnej władzy nad Griqualandią ani zawiadywać żadną kopalnią, która leży w jej granicach. Kilka dni później przywódcy klanu Griqua, Nicholas Waterboer oraz Jan Bloem, zostali namówieni przez Keate'a, żeby zwrócili się z prośbą do Brytyjczyków o włączenie Griqualandii do Kolonii na Przylądku. Nad Kimberley zawisła flaga brytyjska, a gospodarka angielska otrzymała potężny zastrzyk finansowy w postaci olbrzymiej ilości diamentów, których wydobycie przewyższało sześciokrotnie produkcję tych szlachetnych kamieni przez innego południowoafrykańskiego kolonizatora i rywala — Brazylię.

Rozwścieczony prezydent Brand wysłał do Kimberley niewielką zbrojną kompanię, żeby spróbowała odzyskać pola diamentowe. Ale sir Henry Barkiy, nowy gubernator na Przylądku, natychmiast ustawił przeciwko nim tysiąc umundurowanych brytyjskich żołnierzy. Rozżłoszczeni, zgorzkniali i biedniejsi o miliony funtów Burowie zostali zmuszeni do odwrotu. Otrzymali rany, które miały krwawić przez następne trzydzieści lat.

Barney, Joel i Mooi Klip poszli zobaczyć, jak będzie wciągana flaga na maszt. Daleko, po przeciwnej stronie placu, Barney zauważył wysoki, podobny do rury od pieca kapelusz pana Knighta i dwie czapeczki z piórami należące do jego córek. Nadopiekuńczym gestem objął Mooi Klip, poprowadził ją przez wiwatujący tłum w kierunku niewielkiego wzniesienia i postawił na przewróconej taczce, żeby mogła wszystko dokładnie zobaczyć.

— Nareszcie zapanują tu prawo i porządek — zauważył Joel.

— Ty mówisz o prawie i porządku? — uśmiechnęła się Mooi Klip.

— O właściwym prawie i właściwym porządku — odciął się Joel.

Flaga została wciągnięta na maszt, a niewielka orkiestra wojskowa, której członkowie ubrani byli w białe czapki i jaskrawoczerwone tuniki, odegrała *God Save the Queen* i *Another Little Path of Red*. Wiwatom i okrzykom radości nie było końca. Kiedy uroczystość się zakończyła, większość kopaczy poześlowała w stronę baru Doddsa na solidną wódkę. Barney zсадził Mooi Klip z taczki.

Wtedy właśnie na horyzoncie pojawił się Edward Nork. Jego chód przypominał parę nożyc

krawieckich przy pracy. Szedł i ciągnął za sobą nieśmiało wyglądającego, ale dobrze zbudowanego młodzieńca o okrągłej twarzy i z odstającymi uszami oraz falistymi włosami, uczesanymi w taki sposób, że przypominał Barneyowi chłopca z brytyjskiej szkoły publicznej.

— Oto oni! — zawołał Nork do swojego nowego towarzysza. — To są ci faceci, których szukałem!

Młodzieniec zarumienił się. Miał na sobie białe flanelowe spodnie do krykieta powypychane w kolanach i buty do krykieta. Skinął głową w kierunku Barneya, Joela, Mooi Klip i powiedział:

— Mam nadzieję, że nie sprawiam kłopotu. Spotkałem pana Norka zupełnie przypadkowo i nalegał, żebym poszedł z nim w charakterze łodzi ratunkowej.

— Znałem jego ojca! — zagrzmiał Nork. — Kiedyś jeździłem rowerem do Stortfordu w odwiedziny do pewnej młodej, sprytniej damy, którą dawno temu znałem, a jego ojciec był tam miejscowym pastorem. Dyskutowaliśmy na temat geologii Ziemi Świętej, ja i jego ojciec.

— Nazywam się Cecil Rhodes — powiedział młody mężczyzna z akcentem, który zdradzał jego przynależność do wyższej klasy. — Moim ojcem jest wielebny F. W.

— Jestem Barney Blitz — odparł Barney. — To jest mój brat Joel, a to przyszła pani Blitz.

— Wobec tego gratuluję — uśmiechnął się Cecil Rhodes. — Mój ojciec zwykł był mówić, że małżeństwo przybliży niebiososa.

— Czy na każdą okazję ma pan w zanadrzu anglikańskie motto? — zapytał Joel.

— Wychowywałem się w religijnej atmosferze, jeżeli to pan ma myśli — odpowiedział Cecil Rhodes ostrożnie, ale nie przeprasającym tonem.

— Cóż, tak jak my wszyscy — powiedział Joel. — Jeżeli trochę pan tutaj pobędzie, to niezadługo te nonsensy wywietrzeją panu z głowy. Lepiej proszę zjeść z nami obiad. Czy lubi pan *frikkadeller*?

— Chciałbym zabrać ze sobą moje rzeczy, jeżeli panowie nie macie nic przeciwko temu — poprosił Cecil Rhodes.

— Niedaleko stąd stoi mój wóz zaprzężony w woły.

— Nikt go tutaj nie ukradnie — powiedział Joel. — Co pan na nim ma? Łopatę albo dwie? Siennik? Nikt się nawet na to nie obejrzy. Woda, oto jedyna rzecz, która się tutaj liczy. Woda i kobiety.

Wrócili do domu. Mooi Klip rozpałała ogień i postawiła na blachę patelnię z mięsnymi klopsikami. Barney zaoferował jej swoją pomoc, zwłaszcza że była w ciąży, lecz odgoniła go ruchem ręki. Ale kiedy był już w drzwiach, zawołała go z powrotem i obdarowała długim i słodkim pocałunkiem.

— W przyszłym tygodniu będę już panią Blitz — powiedziała ciepło.

— A ja będę twoim mężem — uśmiechnął się Barney.

— Otóż to.

Joel rozlewał drinki. Rozmawiał głośniejszym niż zwykle, był bardziej ironiczny. Nie lubił gości w domu, a już szczególną nienawiścią darzył Edwarda Norka, zwłaszcza od tego dnia, w którym inny brytyjski geolog, sir Joshua Field, ogłosił, że niebieskie twarde łóżysko skalne znajdujące się pod żółtą ziemią może zawierać więcej diamentów niż wierzchnie warstwy. Cecil Rhodes również nie spodobał się Joelowi. Rhodes miał w sobie sporo typowej angielskiej pewności siebie, co powodowało, że Joel najchętniej zacząłby zgrzytać zębami.

— Uważają, że są właścicielami całego cholernego świata — skarżył się Barneyowi.

— Bo prawdopodobnie nimi są — odpowiedział Barney, niezbyt przywiązując wagę do tego, co mówił.



Cecil Rhodes powiedział:

— Właściwie przyjechałem do mojego brata Herberta z kopalni De Beersów. Herbert miał bawełnianą farmę w Natalu i kiedy pojechał szukać diamentów, ja przejąłem interes. Doczekałem się niezłych zbiorów i prawdopodobnie zajmowałbym się tym do tej pory, gdyby nie śmiesznie niskie ceny za bawełnę. Nie było żadnych perspektyw.

— Kopanie diamentów jest trudniejsze, niż mogłoby się wydawać — powiedział Joel, rozdając kieliszki wypełnione sherry. — A już na pewno nie powinny się tym zajmować dzieci.

— Mam osiemnaście lat — uśmiechnął się Cecil Rhodes. — Uważam, że to wystarczy.

— Czy możemy mówić do pana Cecil? — zapytał Barney, sadowiając się w olbrzymim, miękkim fotelu.

— Wolałbym Rhodes, jeżeli nie sprawi to wam różnicy. Stare przyzwyczajenia ze szkoły.

— Uważasz, że zdobędziesz tutaj bogactwo? — zapytał Barney.

— Bogactwo i władzę, mam nadzieję — odpowiedział Rhodes drętwą. — Widzisz, głęboko wierzę, że Brytyjczycy są najważniejszą rasą na ziemi, nie obrażając wszystkich tu obecnych, i im więcej świata weźmiemy we władanie, tym lepiej wyjdzie na tym cała ludzkość. Wchłonięcie olbrzymich obszarów przez Anglię położy kres wszelkim wojnom.

— Mam nadzieję, że Stanów Zjednoczonych nie chcecie włączyć do swojego przyszłego imperium? — zapytał Joel. Wypił swoją sherry dwoma albo trzema łykami i nalał sobie następny kieliszek.

— A cóż takiego stoi na przeszkodzie? My, ludzie władający tym samym językiem, powinniśmy być blisko siebie. I jeżeli istnieje Bóg na tym świecie, to z pewnością pragnie, tak jak i ja, pomalować jak najwięcej świata brytyjską czerwienią. Również Amerykę.

— Zawsze wiedziałem, że jest więcej bogów niż jeden — powiedział zgryźliwie Joel.

Rhodes zrobił minę, która miała wyrażać, że jeżeli rozmowa ma być utrzymana w takim stylu, to lepiej zmienić temat.

— Jeżeli masz rację, to musi być więcej bogów niż jeden — upierał się Joel. — Ponieważ to my jesteśmy narodem wybranym i to przez Boga prawdziwego, nie brytyjskiego. Oczywiście, możesz to wykpić. Zawsze tak robicie. Ale czy drwina nie jest tanim chwytem, żeby zamaskować beznadziejną zawiść? My zostaliśmy wybrani, a nie wy; i nie ma żadnego znaczenia, ilu żołnierzy potraficie wysłać, żeby zawojowali świat. Nigdy nie uda się wam zmienić tego faktu, ponieważ to jest prawda historyczna i niezmienna.

— Doprawdy, uważam, że nie trafiasz w sedno sprawy — zauważył Rhodes. — W obecnych czasach połączenie bogactwa, siły i dobrych intencji sprawia, że naród brytyjski staje się instrumentem w rękach Boga.

— Dobre intencje? Burowie uważają was za diabłów w ludzkiej skórze.

Barney postanowił wtrącić się i przerwać dyskusję o religii i rasach.

— A tak naprawdę, to co zamierzasz tutaj robić, Rhodes? Wygląda na to, że masz w głowie jakiś plan.

Rhodes spojrzał mu prosto w oczy i wyprostował się w wiklinowym fotelu, jak gdyby był przepytywany przez swojego gospodarza domu.

— Tak naprawdę, Barneyu Blitz, to chcę zdobyć fortunę. Z tego, co dotychczas widziałem, a widziałem niewiele, wnoszę, że w kopalniach panuje chaos. Trzeba wprowadzić porządek, odpowiedni system. Powinny być zarządzane na wielką skalę, na bazie prawdziwego biznesu. Jeżeli będę umiał tego dokonać, to osiągnę cel, dla którego tutaj przyjechałem.

— Wspaniałe słowa jak na osiemnastolatka — powiedział Joel sarkastycznie.

— Brzmi sensownie — wtrącił Barney. — Muszę mieć cię na oku, młodzieńcze, z obawy o własne interesy.

— Na nieszczęście dla was, wasze imperialne zakusy na nic się zdadzą, bo Rada Ochrony Przemysłu Diamentowego nadal nie zezwala na posiadanie więcej niż dwóch działek na głowę — powiedział Joel. — I, na Boga, dwie w zupełności wystarczą.

Rhodes wstał i obciągnął flanelowe spodnie.

— Jeszcze zobaczymy, jak to będzie — powiedział. — A teraz muszę już iść. Obawiam się, że nie będę mógł zjeść z wami obiadu, w każdym razie, dziękuję za zaproszenie.

— Ależ możesz zostać — uśmiechnął się Barney, rozbawiony młodzieńczą niecierpliwością Rhodessa.

— Wielkie dzięki, ale doprawdy nie skorzystam. Nie zgadzamy się z twoim bratem w pewnych delikatnych kwestiach i nie chciałbym zepsuć smaku waszych *frikkadeller*. Proszę przeprosić czarującą narzeczoną.

— Ucieczka z podwiniętym ogonem? — uśmiechnął się Joel. — I jak to się ma do mapy Afryki pomalowanej na czerwono?

— Jeszcze zobaczymy, jak to będzie — powtórzył Rhodes. Ukłonił się z kurtuazją Edwardowi Norkowi, który odwzajemnił ukłon, strzelając przy tym palcami, a później Barneyowi.

Nagle Barney zauważył to, czego nie widział przedtem. Ten na pozór zrównoważony młodzieniec — widocznie w ferworze dyskusji — tak gniótł i szarpał swoje flanelowe spodnie, że w pewnym miejscu puściły w szwie. Był o włos od stracenia panowania nad sobą. Barney wyprowadził Rhodessa na werandę. Był chłodny, wietrzny dzień, a w powietrzu unosił się pył znad Wielkiej Dziury.

— No cóż, wydaje się, że pewnego dnia staniemy się rywalami — powiedział Rhodes metalicznym głosem. Podniósł do góry rękę i uczynił gest, który miał obrazować niezręczną sytuację, jaka między nimi powstała.

— Tak, może tak być — powiedział Barney. — Choć właściwie, to mam nadzieję, że tak będzie.

W bezpośredniości wypowiedzi Rhodessa było coś, co wytrącało Barneya z równowagi. Rhodes wydawał się rozumieć bez trudu, w jaki sposób zbić w Kimberley majątek, podczas gdy Barney stracił kilka miesięcy, aby pojąć, że te kopalnie są bajecznie bogate i że ten, kto zdoła je wziąć pod kontrolę, będzie w stanie praktycznie kontrolować całą Afrykę. Barney zrozumiał nareszcie, że w osobie Rhodessa znalazł godnego sobie i nieprzejednanego przeciwnika, a perspektywa rywalizacji zarówno podniecała go, jak i przerażała.

— Jeżeli dojdzie między nami do współzawodnictwa, to zapewniam cię, diabła zjesz, zanim mnie pokonasz — powiedział Rhodes. Następnie odwrócił się i poszedł w kierunku Kimberley, a nogawki jego spodni wściekle łopotwały na wietrze. Po chwili zatrzymał się i wyjął z kieszeni małą pigułkę przeciwkaszlową. Wsadził ją w usta i poszedł dalej pewnym krokiem, jak gdyby wszystkie kopalnie diamentów już do niego należały.

Noc przed ślubem Barneya była najbardziej katastrofalną nocą w całym jego życiu. Kryzys nadszedł bez ostrzeżenia. Wszystko było dopięte na ostatni guzik; przyjechał młody wimbledoński wikary, który w anglikańskim kościele w Kimberley miał im udzielić błogosławieństwa; odczytano zapowiedzi. Wcześniej rano spodziewano się przyjazdu Jana Bloema i jego matki oraz całej rodziny Mooi Klip. Mooi Klip własnoręcznie oporządziła pół wołu na pieczone i z pomocą młodej kobiety z Yorkshire, mieszkającej ze swoim mężem niedaleko ich domu, upiekła kilka tuzinów biszkoptów i

ciastek.

Wnętrze domu wyglądało jak udekorowane na Boże Narodzenie, wszędzie wisiały girlandy kwiatów i traw, papierowe dekoracje oraz gwiazdy wycięte z blachy. Zakupiono dwie beczki wina oraz beczkę sherry i pożyczono wielką liczbę kieliszków i pucharów. Na stole starannie ustawiono talerze, a Barney przywiózł z jadłodajni Walkera dwadzieścia noży i tyle samo widelców. Joel, bez przerwy marudząc, naciął serwetek z pokrowców na meble, nie dlatego że nie było ich stać na kupno, ale z tego powodu, że nigdzie nie było można ich dostać. Mooi Klip, po której widać już było wczesną ciążę, z błyszczącymi włosami, z iskierkami radości w oczach i biustem obciśniętym stanikiem sukienki była szykowna jak nigdy dotąd. Biła z niej duma, odzyskana godność oraz zwykła, czysta miłość.

Dzień przed uroczystością, przed południem, Barney i Joel pojechali do Kimberley, aby spotkać się z niemieckim kupcem w sprawie pompy. Pogoda była wilgotna i niestabilizowana, a większość działek w Wielkiej Dziurze była tak głęboka, że gdy padało, to wypełniały się mętną żółtą wodą i wydobyte wstrzymane było czasami na całe dni. Nawet pompy nie pomagały, chociaż lepiej było je mieć. Jeżeli kopacz na sąsiedniej działce nie posiadał pompy, to woda z jego zalanej działki mogła przedostać się do drugiej. Na terenie Wielkiej Dziury znajdowało się 3600 działek, a brytyjski pisarz Anthony Trollope napisał, że przypominało to „olbrzymi dom o pięciuset pokojach, zaprojektowany przez jakiegoś diabelnie utalentowanego architekta, w którym każdy pokój znajdował się na innym poziomie, ale za to do żadnego z nich nie prowadziły schody, nigdzie nie było okien ani drzwi”.

Niemiecki handlarz był otyłym mężczyzną z dłońmi jak łopaty i tłustymi paluchami przypominającymi bawarskie serdelki. Siedział przy wydzielonym dębowym stole w restauracji Marshalla. Mając przed sobą olbrzymi półmisek mięsiwa i tłuczonych ziemniaków i popijając whisky, przyjmował przy swoim stole gromadę podnieconych górników. W momencie gdy pojawili się Barney i Joel, nie miał już żadnej z sześciu pomp, które przywiózł ze sobą z Kapsztadu, i przyjmował zamówienia na sześć miesięcy z góry.

— Na pocieszenie postawię wam piwo! — zawołał do nich wesoło, machając kawałkiem mięsa.

Kiedy ponownie znaleźli się na ulicy, Joel powiedział:

— I co teraz? Już straciliśmy sześć dni przez deszcze.

— Może powinienem pojechać do De Beers i zapytać, czy ktoś zechciałby pożyczyć nam jedną pompę — zastanawiał się Barney. — A ty wracaj na działki i spróbuj wyciągać wodę wiadrami.

— W porządku — odpowiedział Joel. Zawahał się przez chwilę.

— Coś się stało? — zapytał Barney.

Joel zdjął kapelusz, oczyścił go z kurzu i ponownie uformował.

— Powinienem cię przeprosić — powiedział.

— Przeprosić? A za co?

— Za to, że zachowywałem się jak wściekły pies. Przepraszam cię za to, że byłem nie do zniesienia, podczas gdy ty zawsze mi pomagałeś. Po prostu, przepraszam.

Barney otoczył brata ramieniem i mocno do siebie przycisnął.

— Pewnie nie uwierzysz, ale potrafiłem cię zrozumieć. Byłeś taki *farbissener!* Ale to już nie ma znaczenia. Kochamy cię, Joelu. Zarówno Mooi Klip, jak i ja. I zawsze będziemy cię kochać.

Joel pociągnął nosem i otarł łzy z twarzy.

— Tak bardzo chciałem być silny — powiedział. — Ale nie umiałem poradzić sobie ani z mamą, ani z krawiectwem. Kiedy byłem na morzu, to też nie mogłem tego znieść. Wiesz, jak się pracuje na parowcu handlowym? Dwie godziny snu i dwadzieścia dwie godziny ładowania albo

rozładowywania towaru. Później kupiłem farmę i za cholere nie miałem pojęcia, co na niej trzeba robić. Zarosła chwastami i wyjałowiała! Ziemia była tak twarda, że nawet nie dało się wbić w nią szpadla. A teraz kopalnia. Do tego ciągle myślę o mamie, mam ją przed oczami, słyszę jej głos. Dlaczego, na miłość boską, nie urodziła mnie inna kobieta?

Barney stał wyprostowany, trzymając Joela mocno w ramionach.

— Jak możesz tak mówić, skoro wcale z tobą nie jest tak źle? Nikogo nie zawiodłeś i w końcu udało ci się w życiu. Masz udział w jednej z najbogatszych kopalni diamentów na całym świecie. Masz brata, który ciebie kocha, i bratową, która również będzie cię kochać.

— Twoja Mooi Klip uważa mnie za wariata i kłótliwego dziada.

— Nie wariuj i nie kłóć się. Oczywiście, że to nieprawda. Joel uśmiechnął się, "złapał Barneya za kosmyk włosów i żartobliwym gestem przekrzywił mu głowę.

— Masz rację. Zachowywałem się jak głupiec. Żalśnie, okropnie i podle, bez powodu. I za to właśnie chciałbym cię przeprosić.

— W porządku — powiedział Barney łagodnie. — A więc to zrobiłeś. Ale przestańmy już o tym rozmawiać, w końcu jutro jest mój ślub.

Uścisnęli sobie dłonie, a potem padli sobie w ramiona. Joel wymamrotał cicho: Do zobaczenia później — i oddalił się główną ulicą Kimberley w kierunku Wielkiej Dziury. Barney wspiał się na wóz zaprzęgnięty w woły, strzelił z bata i skierował ekwipaż w stronę kopalni De Beers.

Popołudnie było niezwykle chłodne i wietrzne. Tumany kurzu oraz wyschnięte chwasty gnały po równinie pędzone wiatrem, i musiał zasłonić usta krawatem, obwiązując go wokół głowy. W oddali słyhać było harcujące wietrzne demony, a drzewa rozpaczliwie machały gałęziami jak tonący rozbitkowie na morzu. Zachodnie niebo, od rzeki Vaal do odległego Kuruman Heuwells, było czarne jak smoła.

Pomimo wiatru dotarł do kopalni De Beers w dobrym czasie. To właśnie w tym rejonie, na Yooruitzigt, po raz pierwszy zostały odkryte diamenty, a uprawne pola, które kiedyś tutaj były, zamienione w krater i transzeje. Odkąd odkryto diamenty na Colesberg Kopje, prawie wszyscy górnicy stąd wyjechali, ale gdzieś tam dziwaczne dźwigi w kształcie szubienic wyciągały z głębokich dołów żółtą ziemię i praca przebiegała tak sprawnie jak w Wielkiej Dziurze.

Barney zatrzymał wóz i zbliżył się do krawędzi kopalni. Zauważył, że niektóre z działek — podobnie jak jego — były zalane żółtą wodą i wielu kopaczy siedziało na obrzeżach, paliło i piło, czekając na zmianę pogody i suchy wiatr, który powstrzymałby powódź. Ale na jednej z działek, kilkaset jardów od miejsca, w którym stał, pracowała pompa, a czarni robotnicy stojący po kostki w wodzie ładowali żółtą maź do wiader.

Barney poszedł w kierunku namiotu właściciela działki. Gdy tylko go zobaczył, zrozumiał, że nie powinien był tutaj przychodzić. Na składanym krzeselku siedział Rhodes w swoich spodniach do krykieta i czytał Plutarcha, podczas gdy jego robotnicy wyładowywali z wiader żółtą breję.

— Barney Blitz — powiedział Rhodes, odkładając na bok książkę. — Jest mi naprawdę bardzo miło.

— Jak leci? — zapytał Barney, pokazując głową działkę.

— Jak dotąd, wspaniale — odpowiedział Rhodes swoim wysokim głosem. — Zarabiam przeciętnie około dwudziestu funtów dziennie. Wyobraź sobie, że w niedzielę znalazłem siedemnastokaratowy diament. Leżał tuż przy wejściu do mojego namiotu. Po prostu sobie leżał!

— Powinieneś dostać za niego przynajmniej ze sto funtów.

— Tak też myślałem — pokiwał głową Rhodes.

— A więc jednak musisz być jednym z wybranych — powiedział Barney, krzywo się

uśmiechając.

Rhodes podniósł do góry swoją książkę.

— To wszystko zależy od wykształcenia. Dobre wykształcenie, do tego właściwie zaaplikowane, jest skuteczniejsze od tuzina haubic. Czy wiesz, co kiedyś powiedział Pliniusz Starszy?

— Pliniusz... jaki?

— Pliniusz Starszy. Urodzony Anno Domini 23, zmarł Anno Domini 79. Powiedział: *exAfrica semper aliquid novi*, co znaczy: z Afryki zawsze coś nowego. Nauczyłem się tego w szkole, kiedy miałem dziesięć lat, a przypomniałem sobie wtedy, kiedy nasz rodzinny lekarz powiedział, że powinienem wyjechać gdzieś, gdzie jest sucho, aby wyleczyć moją gruźlicę. Pomyślałem wtedy, że najlepiej będzie, jeżeli dołączę do Herberta w Natalu i czyż nie postąpiłem właściwie?

— Z pewnością — powiedział Barney. — Czy mogę pożyczyć twoją pompę?

Rhodes roześmiał się i uderzył w ziemię obcasami jak mały chłopiec.

— Zastanawiałem się, kiedy o to zapytasz.

— Taaak? — zadziwił się Barney, czując się raczej nieswojo.

— Nie jesteś pierwszy, kto o nią pyta — uśmiechnął się Rhodes. — Przeciętnie co pół godziny przychodzi do mnie jakiś nieszczęśliwy kopacz i prosi mnie o pompę.

— Rozumiem.

— Niczego nie rozumiesz — powiedział Rhodes, wkładając między kartki książki zabrudzoną, białą skarpetkę, żeby zaznaczyć miejsce, gdzie skończył czytać. — Nie mogę pożyczyć tobie mojej pompy, ponieważ jest mi potrzebna. Ale mogę ci ją wynająć.

— Posiadasz pompę do wynajęcia?

— Mam dwie. Są w namiocie. Bierzesz? Dwa funty dziennie, jeżeli w dalszym ciągu jesteś zainteresowany.

— Skąd, u diabła, je masz?

Rhodes był wyraźnie z siebie zadowolony i drapiąc się z tego ukontentowania po karku, odpowiedział:

— Kupiłem je od pewnego ohydneho Niemca podróżującego do Kimberley. Wydałem wtedy ostatnie moje pieniądze, które otrzymałem za ostatni zbiór bawełny. Ośmiocyndrowa pompa, osiemdziesiąt funtów. Nieźle, co?

Barney powoli pokiwał głową.

— A byłem pewien, że na bawełnie nie można zarobić.

— Bierzesz pompę? — zapytał Rhodes. — I radzę ci nie tracić czasu na zbyt długie myślenie.

— W porządku — powiedział Barney, wyciągając z kieszeni podróżnej marynarki brązowy, skórzany portfel. — Oto osiem funtów, za cztery dni. Ale pozwól, że coś ci jeszcze powiem. Te osiem funtów to pierwsze i ostatnie pieniądze, które dzięki mnie zarabiasz.

— Całkiem słusznie — powiedział Rhodes i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Załadowali pompę na tył wozu i Barney pojechał w kierunku Kimberley. Luźna część pompy uderzała monotonicznie w tylną klapę, przypominając Barneyowi przez całą drogę o cenie, jaką musiał za nią zapłacić. Z jednej strony czuł ulgę, że zdobył cenne urządzenie, ale był zarazem przygnębiony, że musiał skorzystać z usług Rhodesa. Powinien był być na tyle przewidujący, żeby kupić pompę dużo wcześniej. A nawet kilka pomp. Osiem pomp wypożyczanych za dwa funty dziennie przyniosłoby szesnaście funtów zysku, a to znaczyło, że można byłoby zarobić osiemdziesiąt funtów tygodniowo.

W Kimberley mieszkało wielu łebskich facetów — wyróżniali się w tłumie kopaczy i Barney

określał ich mianem budowniczych nowego imperium. Francis Baring Gould był jednym z nich. Poważny, wyniosły, posiadał znakomite powiązania finansowe z Londynem i Barney wiedział, że przez cały czas naciskał na Radę, aby odstąpiła od przestarzałej zasady przydzielania jedynie dwóch działek na głowę. Następnym był Joseph B. Robinson, niezbyt miły w kontaktach towarzyskich, nazbyt kłótniwy mężczyzna, który nawet wśród swoich przyjaciół zdobył przezwisko „Bukanier”. Ale Barney był w dobrych stosunkach zarówno z nim, jak i z tym pierwszym. Po prostu rozumiał, czego szukali w kopalniach diamentów — bogactwa, luksusu i władzy — i w jaki sposób zamierzali to osiągnąć. Jedynie Rhodes go niepokoił. Rhodes, z tym całym swoim humorem, był trudnym orzechem do zgryzienia. Stał na drodze do osiągnięcia życiowego celu.

Ponieważ właśnie teraz Barney wiedział, czego chce od życia — spadło to na niego jak grom z jasnego nieba. Jego marzenia zaczęły nabierać realnych kształtów, stanęły mu przed oczami jak wyrazisty miraż unoszący się nad afrykańskimi piaskami i były niczym innym jak perspektywą zdobycia tytułu króla kopalni w Kimberley. Chciał stanąć na krawędzi Wielkiej Dziury, ogarnąć wzrokiem rozryte tereny i mieć pewność, że to wszystko należy do niego. Chciał zanurzyć ręce w wiadrach pełnych diamentów i poczuć, że są jego.

Długie cienie kładły się już na równinie, kiedy nareszcie dotarł do Kimberley. Zsiadł z wozu, przywiązał woły do palika przed swoim bungalowem i spojrzał na niebo. Wydawało się, że większość ciężkich chmur zniknęła, a zachodnie niebo wyglądało jak jezioro pokryte warstwą pomarszczonego miodu z magnolii.

Wewnątrz chaty zapalone były wszystkie światła i Barney przypuszczał, że Mooi Klip krząta się po pokojach, czyniąc ostatnie przygotowania do uroczystości. Uwielbiał patrzeć, jak była taka podniecona, bardzo kobieca i zdenerwowana, całkiem niepodobna do tamtej kobiety z plemienia Griqua, która opiekowała się Joelem uratowanym przez Barneya od śmierci. Oczywiście, to wcale nie oznaczało, że utraciła zdrowy rozsądek; stała się jedynie wrażliwsza i bardziej od niego zależna, co w skrytości ducha bardzo mu się podobało.

Wyprzągnął woły i zaprowadził je do małej zagrody z tyłu domu, gdzie obmył je wodą i nakarmił. Następnie zamknął starannie wrota i podszedł do frontowych drzwi, próbując je otworzyć.

Zaskoczony odkrył, że były zamknięte na zasuwę. Ponownie złapał za klamkę, pociągnął, ale drzwi nie ustąpiły. Nie mógł wejść do środka.

— Natalio! — zawołał. Następnie uderzył w drzwi otwartą dłonią. — Natalia, jesteś tam?

Wydawało mu się, że słyszy, jak ktoś uderza w podłogę, a następnie hałas upadającego krzesła. Przycisnął ucho do drzwi, uważnie nasłuchując. Przez chwilę nic się nie działo, a później usłyszał głos Mooi Klip przeradzający się w jęk.

— Natalio! — zawył Barney ochrypłym głosem i natarł na drzwi ramieniem. Nic z tego. Były wykonane z solidnego, importowanego drewna i zawieszane na podwójnych mosiężnych zawiasach. — Natalio! — wrzasnął tak głośno, jak umiał i oparł się obiema rękami o futrynę tak, aby bez przeszkód mógł kopać podróżnymi butami w solidne deski.

Jedna z desek zaskrzypiała, ale drzwi w dalszym ciągu nie można było otworzyć.

Rycząc ze strachu i podniecenia pobiegł do szopy z narzędziami, otworzył kopniakiem drzwi i złapał siekiere na długim stylisku. Następnie wrócił pod frontowe drzwi i uderzył toporem w ramę. Walił z całej siły i każde uderzenie czuł w mięśniach ramion.

Kopnął w drzwi jeszcze raz, a potem jeszcze kilkakrotnie, aż w końcu ustąpiły i otworzyły się na oścież. To, co zobaczył, przeraziło go do tego stopnia, że stanął jak wryty, dzierżąc w mocno zaciśniętych dłoniach siekiere, patrząc otępiałym wzrokiem, nie mogąc uwierzyć w to, co ujrzał.

Mooi Klip leżała na dywanie, jej czerwona sukienka zadarta była do góry i obnażała uda i

biodra, a pelerynka podarta była na strzępy. Nogi miała pokaleczone i posiniaczone. Zakrywała twarz rękami, a z jej ust wydobywały się rozdzierające jęki, bardziej zwierzęce niż ludzkie.

W narożniku pokoju stał Joel. Stał nieruchomo, z rozpiętą koszulą obnażającą jego ciemny, zarośnięty brzuch, i z rozpiętymi płóciennymi spodniami. Jego twarz była martwa i dziwna. Barney nigdy nie widział go w takim stanie. W lekko uniesionej dłoni dźmierzył rewolwer, który Barney dawno temu kupił w Nowym Jorku, kiedy przygotowywał się do wyjazdu do Afryki. Lufa była skierowana w sufit, ale sposób ułożenia ramienia uzmysłowił Barneyowi niebezpieczeństwo. Zrozumiał, że w każdej chwili może stracić życie.

Na podłodze były porozrzucane ciasteczka, biszkopty i przewrócony koszyk do połowy wypełniony śliwkami. Nawet tort weselny składający się z trzech warstw, prezent od piekarza Scheinmana, leżał zgnieciony pod ścianą.

Barney, spięty do granic możliwości, powoli odłożył siekiere. Nie odrywając wzroku od brata, przeszedł przez pokój i uklęknął przy Mooi Klip, uniósł jej głowę i oparł na kolanie. Drżała i płakała, nie odrywając dłoni od twarzy. Barney obciągnął sukienkę, przytulił sponiewieraną dziewczynę i łagodnie kołyszając, głaskał po głowie.

— Nic ci nie jest? — zapytał. — Nie jesteś zraniona? Joel zaczął niedbale wymachiwać pistoletem, jak gdyby chciał dać im do zrozumienia, że nikogo nie zamierzał skrzywdzić. Ale nie odkładał go. Obserwując uważnie twarz Barneya, wiedział, co mogłoby się wydarzyć, gdyby to zrobił.

— To nie było tak, jak by się komuś mogło wydawać — powiedział lekkim głosem. Dotknął koniuszkiem palca swojej lewej powieki, strząsając niewidoczny pyłek.

— Nie było tak? — zapytał Barney martwym głosem.

— Hm, no cóż, to był żart. Po prostu żart. Oto jak było.

— Dotknąłeś jej? — ponownie zapytał Barney. Czuł w sobie lodowaty chłód, który uniemożliwiał mu poruszenie się.

— Nic się nie stało. Żartowaliśmy. Głupia zabawa. To wszystko.

— Dotknąłeś jej? — powtórzył Barney podniesionym tonem.

Joel skrzywił się. Wytarł nos grzbietem dłoni, w której trzymał pistolet.

— Nakrywała do stołu, ot co, i myślałem, że jeżeli...

— Dotknąłeś jej?! — wrzasnął Barney.

Joel wzruszył ramionami i rozejrzał się po zabałaganionym pokoju, jak gdyby szukał czegoś szczególnego.

— Czy jej dotknąłem? Hm, to zależy, co przez to rozumiesz?

— Czy ją napastowałeś?

Joel spojrzął na Barneya i zmarszczył brwi.

— Zabiję cię za to. Naprawdę — wycedził Barney. — Zabiję cię.

Ostrożnie położył Mooi Klip na dywanie i wyprostował się. Mooi Klip przewróciła się na bok, podkuliła nogi, przycisnęła dłońmi usta i szeroko rozwartymi oczami wpatrywała się w pokruszone ciasteczka i porozrzucane owoce.

— Powiedziałeś mi, że przepraszasz, i ja ci uwierzyłem — wysyczał Barney, obchodząc dookoła stół. — Uwierzyłem ci!

— Bo naprawdę było mi przykro — odparł Joel, ciężko przełykając ślinę, bojąc się spojrzeć Barneyowi prosto w oczy.

— Teraz też mi jest przykro.

— Tobie jest przykro?

Usta Joela zacisnęły się, a zaraz potem wybuchnął:

— A czy ty wiesz, jak to jest mieszkać tutaj z wami? Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się nad tym, budując to swoje gniazdko rodzinne?

— O czym ty, u diabła, mówisz?

— O niej! — krzyknął Joel zdesperowanym głosem. — O mieszkaniu z nią! Patrząc, jak zmywa i gotuje, i sprząta. Widzieć, jak cię całuje. Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że ja też jestem zdolny do miłości? Nie pomyślałeś, że twój brat Joel mógł się zakochać? Może nie dotarło do ciebie jeszcze, że oprócz wielkiego Barneya Blitza jest jeszcze ktoś, kto tęskni za prawdziwym życiem?

Barney odpowiedział niskim, załamującym się głosem:

— Ona jest moją narzeczoną, Joelu. Wiedziałeś o tym! I pomimo, że wiedziałeś, napastowałeś ją.

— Napastowałem? — zaprotestował Joel piskliwie. — Chyba nie myślisz, że tak nisko upadłem? To ona napastowała mnie! Zdarła z siebie pelerynkę i błagała mnie, żebym ją wziął, zanim zostanie twoją żoną. Błagała mnie! Daj spokój, Barney, ona jest niczym innym jak *schwartzeh*, a sam doskonale zdajesz sobie sprawę, jakie one są, nawet te wykształcone! Posiadają moralność małpy!

Barney odepchnął stół i z zaciśniętymi pięściami ruszył w kierunku Joela. Ten zatoczył się do tyłu, zakaszłał i złapał rewolwer w obydwie dłonie, kierując lufę prosto w twarz Barneya.

— Zabijesz mnie? — zapytał Barney trzęsącym się głosem. — Zabijesz własnego brata?

— Nie panujesz nad sobą — powiedział Joel. — Nie wiesz, co robisz. Chcę, żebyś trzymał się ode mnie z daleka.

Oparł się plecami o ścianę, wciąż trzymając przed sobą rewolwer.

— Już ci mówiłem, że jest mi przykro — powtórzył. Była w jego głosie jakaś straszliwa monotonność, zachowywał się jak głuche i upośledzone dziecko.

— Mówiłem ci, że jest mi przykro i naprawdę tak jest. Tak to czasami bywa. Co na to możesz poradzić? W każdym razie już to mamy za sobą. Nie potrafię cofnąć czasu. A gdybym nawet potrafił, to co by to zmieniło? Nie skrzywdziłem jej. Już wcześniej była w ciąży, a więc nawet nie zrobiłbym jej dziecka. Zresztą wcale bym tego nie chciał. Narzeczonej własnego brata?

Barney zawahał się i opuścił ręce. Joel również opuścił pistolet, ale kiedy Barney zrobił krok do przodu, szybko go podniósł.

— Myślę, że lepiej będzie, jeżeli już sobie pójdziesz — powiedział Barney. — Ponieważ za chwilę rzucę się na ciebie bez względu na to, czy odłożysz rewolwer, czy też nie.

— Powiedz, że mi przebaczasz.

— Po prostu wyjdź.

Joel spojrzał na Barneya przez muszkę rewolweru. Jego oczy były nieprzeniknione jak dwa kamienie. Barney nie mógł uwierzyć, że ten dziki, ogarnięty szałem mężczyzna, jest jego bratem. Wydawało mu się, że znajduje się w pomieszczeniu pełnym krzywych zwierciadeł, że to nie jawa, ale koszmarny sen.

Nagle zauważył dwie wilgotne plamy na podłodze w miejscu, gdzie stał Joel. Brat zachwiał się, ale nie spojrzał w dół. Jego płócienne spodnie poplamione były moczem.

Bracia stali, patrząc na siebie w milczeniu. W końcu Joel zaczął powoli wycofywać się w kierunku drzwi, potykając się o siekiere. Wyszedł na werandę, macając po ciemku poręcz, po czym zniknął w mroku.

Barney nie poruszał się prawie przez minutę. Następnie ukląkł, wziął Mooi Klip na ręce i zaniósł jak świeżo poślubioną małżonkę do sypialni, kładąc ją ostrożnie na wzorzystej kołdrze.

— Zagrzeję ci wody na kąpiel — wyszeptał jej do ucha, czując, jak jej ciemne kędziory



łaskoczą go w policzek. — Umyjesz się, odpoczniesz, a dopiero później posprzątam.

— Barney — powiedziała, nie mogąc opanować płaczu.

— Nie płacz.

— Nic na to nie mogę poradzić. Nie potrafię powstrzymać łez. Nie możesz mnie teraz poślubić...

Barney pocałował ją w powiekę, strząsając łzę, która przylepiła się do rzęs jak kropla deszczu do liścia.

— Urodzisz moje dziecko. Jak mógłbym cię nie poślubić?

Dotknęła jego twarzy w ciemności.

— Nie wiem, jak to się stało. Przez większość dnia był zupełnie normalny. Poszedł na działkę i za jakiś czas wrócił. Rozmawialiśmy o ślubie. Nagle zaczął się ze mną przekomarzać i próbował objąć ramieniem.

Barney dotknął palcami jej ust, żeby zatrzymać potok słów, ale ona chciała mówić dalej i odsunęła jego dłoń.

— Powiedziałam nie. Powiedziałam, żeby przestał. Ale nie chciał się odczepić i chodził za mną po całym domu. W końcu dopadł mnie i próbował zedrzeć ze mnie sukienkę. Wołałam Janet, ale widocznie nie było jej w domu albo nie usłyszała mnie. A on stawał się coraz bardziej natarczywy. Nie chciał zostawić mnie w spokoju.

— Mooi Klip — powiedział Barney łagodnie.

— Och, Barney — załkała, mocno przytulając się do jego ciała. — Jak możesz mnie teraz poślubić?

Barney zamilkł na dłuższą chwilę. Gardło i serce miał ściśnięte od żalu i wściekłości.

— Nic się nie zmieniło. Możesz za mnie wyjść — wykrztusił w końcu. — Nigdy ci nie przebaczę, jeżeli tego nie zrobisz.

Odwróciła głowę, a on spojrzał na jej ciemny profil na białej poduszce. Widział jej oczy, jej kształtny nos. Żałował, że nie jest artystą albo dagerotypistą, ponieważ pragnął uwiecznić jej portret, kiedy tak leżała i zapamiętać ten obraz na zawsze. Mooi Klip, wtorek, 14 listopada 1871 roku, dzień nadziei, radości i nieopisanego bólu.

— Jutro rano przyjadą moi rodzice — powiedziała. — Wrócę z nimi do Klipdrift.

— Nie bądź niemądra. Jutro będziemy mężem i żoną.

— Nie możemy. Jak to sobie wyobrażasz? Musisz zostać z Joelem. Pół działki jest twoje. Nie możesz z niej zrezygnować tylko dla mnie.

— Mam jeszcze farmę. Mooi Klip potrząsnęła głową.

— Chcesz zbić majątek. Działka to jedyny sposób. Jeżeli przeze mnie z niej zrezygnujesz, nigdy mi tego nie wybaczysz.

Barney pocałował ją.

— Jesteś szalona — powiedział. — Jesteś absolutnie zwariowana. — Ale w tym samym momencie, jak duch w ciemnym korytarzu, ukazała mu się przed oczami ich diamentonośna parcela wielkości trzydziestu jeden stóp kwadratowych i zaczął zastanawiać się, co z nią począć.

Mooi Klip zamknęła oczy.

— Nie skaleczył cię, prawda? Nie skaleczył cię tam, w środku? Chyba dziecku nic nie będzie?

Potrząsnęła głową.

— Nie wszedł we mnie zbyt głęboko. Przez cały czas się broniłam. Teraz jestem zmęczona.

— Pójdę przygotować wodę. — Barney czuł, że musi zająć się jakąś nieskomplikowaną czynnością, czymś, co nie wymagało myślenia. Każda myśl, która mu się nasuwała, sprawiała

okropny ból. Wstał i uśmiechnął się do Mooi Klip uśmiechem, który nic nie znaczył, nie był ani przepełniony miłością, ani krzepiący. To był uśmiech człowieka, który cierpi z powodu szoku po fatalnym wypadku.

Wykąpała się w cynkowej balii, którą ustawił na środku gościnnego pokoju, w samym środku pobojuwiska, wśród resztek potraw, które miały być ich ślubnym śniadaniem. Zażyczyła sobie gorącej wody, tak gorącej, że Barney nie mógł zanurzyć w niej ręki. Natychmiast weszła do balii, jej twarz nie miała żadnego wyrazu, włosy podwiązała żółtą wstążką. Prawie się nie odzywała, poprosiła go jedynie, żeby przyniósł jej jeszcze jeden kawałek mydła.

Wcale na niego nie patrząc, uklękła i długo mydliła krocze monotonnymi, kolistymi ruchami dłoni. Kiedy na to patrzył, miał ochotę zawołać: Przestań już — przestań! Jesteś czysta! Ale ona nie zwracała na niego uwagi, aż w końcu przewiesił szorstki ręcznik przez poręcz krzesła i oddalił się, żeby przygotować sobie drinka.

Nieco później zrobił herbatę. Mooi Klip siedziała na łóżku owinięta kocem i ścisnęła filiżankę w dłoniach jak dziecko. Barney usiadł obok niej na łóżku, starając się uśmiechnąć, ale w końcu dał sobie spokój, bo zauważył, że nawet na niego nie spojrzała. Jego uśmiech był udany, ale nie przestawał się wykrzywiać, ponieważ nic innego nie przychodziło mu do głowy. A może powinien zmarszczyć się? Krzyknąć? Albo szarpnąć, żeby się opamiętała? Jutro miał być ich ślub, dzień, który uszczęśliwi ją na zawsze.

Wziął ją za rękę chociaż nie cofnęła jej, czuł, jak gdyby trzymał na otwartej dłoni martwą rybę.

— Mooi Klip?

Nie odpowiedziała. Jej wzrok i myśli błądziły gdzieś daleko.

Około pierwszej nad ranem Barney podparł krzesłem nadwerężone drzwi, powoli rozebrał się i wślizgnął do łóżka. Mooi Klip jeszcze nie spała, siedziała na łóżku, patrząc przed siebie niewidzącymi oczami. Otoczył ją ramieniem, ale zeszywniała i nie uczyniła żadnego gestu, więc po kilku minutach, niezadowolony i zakłopotany, puścił ją.

— Jutro weźmiemy ślub — powiedział. — Planowaliśmy to od dawna i zrobimy to.

Mooi Klip opuściła głowę i spojrzała na swoje ręce leżące na wzorzystej pościeli, jakby zastanawiała się, do kogo one należą.

— Wyjdiesz za mnie, prawda? — zapytał Barney.

— Może kiedyś — odpowiedziała i pokiwała głową. — Może kiedyś.

Przebudzili się o świcie, ponieważ ktoś krzyczał i walił we frontowe drzwi. Barney odrzucił kołdrę, wyskoczył z łóżka i podbiegł do drzwi od sypialni, żeby zdjąć z haczyka szlafrok.

— Barney! — krzyczał głos. — Barney, szybko! Przebiegł przez zaśmiecony pokój i odsunął krzesło od frontowych drzwi. Na zewnątrz było jasno, ale chłodno. Nad ziemią unosiła się mgiełka, na gałęziach wisiały krople rosy, które świeciły jak diamenty. Na werandzie stał Edward Nork. Miał na sobie zabrudzone spodnie, na nogach onuce, a jego marynarka była tak wielka, że wydawało się, iż należy do najgrubszego faceta w Kolonii. Za nim stało dwóch czarnuchów, szczerzących zęby w szerokich uśmiechach; dźwigali na ramionach nieruchome ciało mężczyzny zawinięte w jakąś brudną od błota i zakrwawioną szmatę. Edward Nork powiedział:

— Zachowaj zimną krew, Barney. To Joel. Wydarzył się przykry wypadek.

— Joel? — zapytał Barney.

Nie mógł zrozumieć, co Edward do niego mówi. Spojrzał jeszcze raz na zakrwawione ciało i zauważył zwisającą rękę, która niechybnie należała do jego brata Joela. Koszula, chociaż podarta i

uwalana w błocie, również była Joela. Barney przeszedł przez werandę jak we śnie, a jeden z czarnych powiedział:

— On nie jest martwy, szefie. Jak szliśmy, to krzyczał. Wrzeszczał jak wszyscy diabli.

— Wnieście go do środka — rozkazał Barney. Odwrócił się i zobaczył stojącą w drzwiach Mooi Klip. Była w szlafroku, miała bladą twarz, ręce przycisnęła do piersi.

— Natalio — powiedział Barney. — Natalio, to Joel. Nie poruszyła się ani nie odezwała, po prostu stała i czekała na to, co zrobi Barney.

— Jest ranny — powiedział Barney. — Być może umierający.

Mooi Klip podniosła buntowniczo głowę.

— Pogrzeb? — zapytała.

— Nie wiem, o co ci chodzi. Spójrz na niego. Potrzebuje pomocy.

— Możesz mieć pogrzeb albo ślub — powiedziała Mooi Klip. — Ale nie jedno i drugie.

Edward Nork owinał się luźną marynarką. Widać było, że jest niezadowolony. Był geologiem i pijakiem, ale zawsze źle się czuł, kiedy był świadkiem rodzinnych kłótni. *Dwyka tillite* nie powinna kłócić się z mężem ani stwarzać niezręcznych sytuacji" — powiedział kiedyś Barneyowi przy obiedzie, tego wieczoru, kiedy do miasta przybył Rhodes. „Z whisky nigdy nie ma tego typu problemów. Niestety, z dziećmi i kobietami zawsze jest inaczej”.

— Nie interesuje mnie, czy żyje, czy też umiera, Barney — powiedziała Mooi Klip. — Ja go tutaj nie chcę. I jeżeli pójdziesz na jego pogrzeb, to już nie odezwę się do ciebie słowem. Do końca życia.

Joel zaskamlał. Barney spojrzał na jego zmasakrowaną, pobrudzoną błotem twarz i zauważył, że ma sine usta, a spod powiek widać było mu jedynie białka.

— Jak to się stało? — zapytał Edwarda Norka. Edward wzruszył ramionami, jak gdyby wiedział, ale nie chciał mówić przy Mooi Klip.

— W porządku — powiedział Barney. — Wnieście go do środka.

Mooi Klip wycofała się do pokoju i poszła do sypialni. Zamknęła za sobą drzwi i kiedy Barney wszedł do mieszkania, żeby pozbierać z podłogi połamane ciasteczka i porozrzucone owoce, usłyszał dźwięk zasuwanej zasuwki.

— Połóżcie go tutaj, tylko ostrożnie, na miłość boską.

Murzyni położyli Joela na podłodze i szybko się oddalili. Zmieszany Edward Nork wielkimi krokami przemierzał pokój gościnny. — To dzisiaj jest wasz ślub? Wygląda na to, że jedzenie nieco się przybrudziło.

— Miał być dzisiaj nasz ślub — powiedział Barney. Edward pokiwał głową, zerkając w stronę drzwi do sypialni.

— Jakieś kłopoty? Słyszałem, że niektórzy Griąua mają zbyt gwałtowne temperamenty.

Barney klęknął przy Joelu i rozpiął mu koszulę. Spojrzał na jego posiniaczoną klatkę piersiową i doszedł do wniosku, że cztery albo pięć żeber musiało zostać złamanymi. Joel jęknął i oblizał spieczone usta.

— Edwardzie, czy mogę prosić cię o przysługę? — zapytał Barney. — Rozpal ogień. W kuchni leży drewno. Potrzebuję gorącej wody, żeby go obmyć.

— Nie chcesz wiedzieć, co się wydarzyło?

— Najpierw rozpal ogień. Już dosyć wycierpiałem jak na jedną noc.

— Jak chcesz — odparł Edward i zniknął w kuchni. Pół godziny później Joel był przebrany, umyty i leżał w łóżku. Bez przerwy jęczał i płakał. Oprócz złamanych żeber, miał poważnie roztrzaskaną lewą nogę. Jego ramiona i nogi pokryte były skaleczeniami i siniakami, a środkowy

palec prawej ręki był tak zmiażdżony, że prawie płaski.

Edward złapał Joela za głowę i mocno przytrzymał, a Barney przystawił mu do ust butelkę i wspólnymi siłami zmusili go, żeby przełknął kilka solidnych łyków brandy. Wmusili w niego prawie ćwiartkę. Natychmiast zwymiotował kawałkami na wół przetrawionego mięsa i alkoholem, ale trochę brandy musiało mu zostać w żołądku, bo zasnął.

— W porządku — powiedział Barney. — A teraz powiedz, co się stało.

Wyszli z pokoju Joela i zamknęli za sobą drzwi. Barney spojrział na drzwi sypialni Mooi Klip, po czym pośpiesznie odwrócił wzrok. Jednak Edward to zauważył, bo skrzywił usta w dziwnym, chłopięcym uśmiechu.

— Byliśmy w barze u Doddsa — zaczął Edward. — Nic specjalnego się nie działo. Piliśmy, graliśmy w bilard, wiesz, taki zwyczajny wieczór w Kimberley. Nagle w drzwiach pojawił się Joel i muszę przyznać, że wyglądał jak obłąkany.

— Czy to znaczy, że zachowywał się jak szaleniec?

— Tak, tak bym to określił. Miał pistolet, którym wymachiwał, ale Harry Munt zaraz mu go odebrał i zamknął w sejfie. I jeszcze muszę dodać, że Joel śmierdział. Nie jestem zbyt przesadny, jeżeli idzie o czystość. W końcu tutaj, w tym mieście, można być z wodą na bakier. Ale on zdecydowanie śmierdział.

Barney opuścił nieco głowę i założył ręce na kark.

— Mów dalej — powiedział. — Napijesz się drinka?

— To tak jak byś zapytał strusia, czy marzy o lataniu.

Barney otworzył beczkę sherry przygotowaną na uroczystość weselną i napełnił butelkę. Zamyślił się i spojrział na tort weselny: koszyczek z migdałów był pęknięty na pół, zdobienia z lukru poodpadały, a srebrna podkowa z tektury była zgnieciona.

— Wygląda na nieco zużyty — powiedział Edward, starając się podtrzymać rozmowę.

— Tak — odpowiedział Barney, podnosząc z ziemi podkową, którą za chwilę rzucił z powrotem na podłogę. — Zużyty to odpowiednie słowo.

Edward wziął do ręki swoją szklankę i natychmiast wypił z niej połowę. Wytrzeł usta i ciągnął dalej:

— Prawdziwe kłopoty zaczęły się, kiedy na scenie pojawiła się tamta dama z Kapsztadu. Hm, dama to nie jest właściwe słowo. Kurwa, byłoby właściwsze. Była tak samo pijana jak my wszyscy, ale problem polegał na tym, że siedziała przez całą noc u Madame Lavinia i nikt nie dał jej szansy. Mówiąc prawdę, wcale się nie dziwię. Mi każdym razie była pijana, ruda i w nastroju do figłów, postanowiła wystawić się na aukcji i oddać najwyżej przebijającemu.

Barney nalał do swojej szklanki sherry, ale w tej chwili jego żołądek był zbyt skurczony i nie mógł jej przełknąć.

— Mów dalej — powiedział sucho.

— Teraz będzie najzabawniejszy moment — powiedział Edward Nork. — Był z nami holenderski handlarz diamentami, który najpierw dawał dwadzieścia pięć funtów, potem trzydzieści, a na końcu sto. Było oczywiste, że zamroczył go genewski dzin. To było bezsensowne. Ale Joel postanowił go przebić i w końcu postawił swoją działkę.

— Co zrobił!?

— Przebił działkę. Całe trzydzieści jeden stóp kwadratowych za jedną noc z pannicą z ulicy.

— Ale przecież Joel nie jest właścicielem całej działki. Jesteśmy równouprawnionymi partnerami, fifty-fifty. Nie może sprzedać bez zaproponowania mi spłaty mojej części działki. Nie może dysponować całą parcelą, a już zwłaszcza nie może tego robić u Doddsa, dogadując się z jakąś

zapchlona prostytutką.

— I ja tak myślałem — powiedział Edward. — I niczym się nie przejmując, zakomunikowałem mu to.

— Ale? — zapytał Barney.

— Ale, mój stary przyjacielu, obawiam się, że Joel cię przechytrył. Okazał się sprytniejszy od ciebie. Jeżeli, oczywiście, można nazwać sprytem fakt podarowania działki diamentowej wartej pięć tysięcy funtów zwykłej prostytutce za jedną noc rozkoszy, której zresztą nie zaznał. Joel powiedział mi, że tej działki wcale nie przerejestrowywał na dwa nazwiska. Cała działka należała do niego. I w momencie kiedy postawił ją na licytacji na korzyść tej pijanej, rudowłosej damy, stracił do niej wszelkie prawa. I jeżeli ona zechce ten akt darowizny uprawomocnić, a jestem pewien, że tak będzie, bo jedna noc u Doddsa wystarczyła, żeby ją dokładnie poznać, to nikt jej w tym nie przeszkodzi.

Barney spojrzał na Edwarda w milczeniu.

— Przykro mi — powiedział Edward. — Gdybym wiedział o tym wcześniej, to na pewno bym ci powiedział. Ale, no cóż...

— I co dalej — zapytał Barney spokojnie. — Jak to się stało, że jest tak poraniony?

— Doszło do sprzeczki — odpowiedział Edward. — Czy masz może jeszcze trochę tej doskonałej sherry? Dzięki. Jest naprawdę znakomita. A więc tak, Holender oświadczył, że zakochał się w tej pani od Madame Lavinia i ma gdzieś ofertę Joela i pociągnął ją za sobą. Muszę powiedzieć, że była niezła zabawa... wiesz jak to jest... śmiechy, rzucanie butelkami. A Joel wyprowadził z knajpy całą bandę kopaczy i szli za tym biednym Holendrem przez całą drogę do jego namiotu... i w momencie kiedy on już był przygotowany do działania, no, wiesz, o co mi chodzi... właśnie układał się z tą panią od Madame Lavinia na swoim posłaniu... chłopcy powyciągali śledzie od namiotu i zerwali płótno. Biedak został przyłapany przy robocie.

Barney odwrócił wzrok. Czuł się zmęczony i wytrącony z równowagi, a opowieść Edwarda przytłoczyła go jeszcze bardziej.

— Doszło do bijatyki — kontynuował Edward prawie przepraszającym tonem. — Holenderski handlarz nie był herkulesem, ale Joel był zdrowo zalany. Po krótkiej wymianie ciosów Joel spadł z krawędzi kopalni na czyjąś działkę; ziemia była tak rozmokła, że nastąpił zawał i Joel został przysypany. Wszystko spadło mu na plecy: odłamki skał, narzędzia, dźwig do wyciągania wiader. Trzeba było dziesięciu mężczyzn, żeby go odkopać.

— Byliście z nim u lekarza?

— Postanowiliśmy wezwać Tutera. Ktoś pobiegł do jego domu.

— I?

— Nie przyszedł. A właściwie nie mógł przyjść. Był pijany.

— A więc mój brat umrze. Tak?

Edward kołysał w dłoniach pustą szklankę, ale po chwili postawił ją na stole. Miał zakłopotaną minę.

— Barney, tutaj umiera wielu górników, to naturalne zjawisko w kopalniach diamentów. Zapadają na malarię, dyzenterię i cholere. Umierają przez kobiety, alkohol. Właściwie to twój brat ma szczęście, że długo już tutaj nie pobędzie.

— Szczęście? — zdziwił się Barney. — Taki *miesse meshina* i ma szczęście?

— Względne szczęście — poprawił się Edward. Barney wstał, otworzył drzwi od pokoju brata i zajrzał, nie wchodząc do środka. Joel leżał w tym samym miejscu, gdzie go położyli; miał twarz koloru przybrudzonego płótna. Bez przerwy dzwonił zębami, a jego ciało drżało z bólu. Barney zdawał sobie sprawę, co może się wydarzyć, jeżeli natychmiast nie otrzyma profesjonalnej pomocy

medycznej. Odkąd grzebali się w ziemi, widzieli wielu górników i czarnych robotników, w których rany wdarła się gangrena. Przypomniawszy sobie pewnego Australijczyka, który skaleczył się w lewą rękę stalowym drutem dźwigu. Nie przejął się tym zbyt, zabandażował palce i wrócił do pracy. Dwa tygodnie później zmarł od najpaskudniejszej infekcji, jaką Barneyowi zdarzyło się widzieć w całym swoim życiu.

Na obrzeżach Kimberley, na równinie, był cmentarz i większość mężczyzn, którzy tam leżeli, zmarła z powodu braku pomocy lekarskiej.

— Czy nic nie mogę zrobić? — zastanawiał się Barney. — Po prostu czekać i patrzeć, jak umiera?

Edward nalał sobie kolejną szklaneczkę sherry.

— Słyszałem, że w Durban bawi sir Thomas Sutter, który przyjechał odwiedzić swojego bratanka.

— Sir Thomas Sutter? A kto to jest?

— Najznakomitszy chirurg i składacz kości w Anglii, stary przyjacielu. Oczywiście nie biorąc pod uwagę osobistego lekarza królowej. Nie mów mi, że nie słyszałeś o Sutterze?

— Nie słyszałem. Zresztą, co to ma za znaczenie, jeżeli jest w Durban?

Edward westchnął.

— Mógłbyś spróbować zawieźć tam swojego brata. Pewnie, że nie ma żadnej gwarancji, że przeżyje podróż, a jeżeli nawet przeżyje, to czy będzie na tyle silny, żeby przeżyć operację? Nie ma nawet żadnej pewności, że sir Thomas zgodzi się go operować. Jest niezwykle wybredny, jeżeli chodzi o pacjentów, których ma kroić, a do tego niezwykle drogi. Ale... wydaje się, że warto spróbować.

Barney zamknął oczy. To miał być jego najszczęśliwszy dzień w życiu. A rozpadł się na kawałki jak jego weselny tort. Dlaczego Bóg nie sprawił, że nie urodził się gdzieś indziej, z innych rodziców i w innych czasach? Byłoby lepiej, gdyby nigdy nie spotkał Mooi Klip, nie spotkał, nie zakochał się i nie stracił w taki sposób. I wszystko to przez brata idiotę.

— Myślę, że spróbuję go tam zawieźć — powiedział Barney. — Jak tylko przestanie tak bardzo cierpieć.

Edward wyprostował się w swoim krześle.

— Jeżeli tak cierpi... no cóż, Harry Munt ma twój pistolet.

Krótko po dziewiątej ktoś ostro zapukał laską w drzwi. Barney przemywał czoło Joela wilgotną szmatką, a Edward poszedł do doktora Tutera, żeby przepisał Joelowi jakieś tabletki przeciwbólowe na czas podróży do Durban. Barney ostrożnie położył głowę brata na poduszkę i poszedł otworzyć drzwi.

Na werandzie stał mężczyzna, którego sylwetka wyraźnie odcinała się na tle oślepiąco jasnego krajobrazu. Miał na głowie wysoki kapelusz, a pod ręką trzymał spacerową laskę. Pan Knight.

Barney wytarł ręce w ręcznik.

— Tak? — zapytał. — Czym mogę panu służyć?

— Niczym szczególnym — odpowiedział pan Knight ostrym tonem. — Przyszedłem spotkać się z pańskim bratem Joelem.

— Mój brat jest poważnie chory.

— Domyślałem się. Ale mimo wszystko muszę się z nim zobaczyć. Mam mu do przekazania ważne sprawy natury prawnej.

— Cokolwiek by to było, może pan powiedzieć mnie.

— Nalegam, żeby pan mnie wpuścił do brata. Barney opuścił rękawy koszuli

— Albo pan powie, o co chodzi, albo proszę iść do diabła.

— Bardzo dobrze. Sądzę, że mogę pana potraktować jako jego prawnego pełnomocnika. Przechodzę do sedna sprawy. — W tym momencie chrząknął i za chwilę mówił dalej. — Reprezentuję młodą damę o nazwisku Dorothy Evans, albo „Dottie”, jak mówią do niej przyjaciele. Przyszła do mnie wcześniej rano, aby uprawomocnić akt własności działki numer 172, leżącej na terenie kopalni w Kimberley. Poprzednim właścicielem działki był pan Joel Blitz.

— Obawiam się, że ta młoda dama pomyliła się — powiedział Barney. — Działka numer 172 w dalszym ciągu należy do mojego brata.

— Cóż, myślę, że to jednak pan się myli. — Panna Evans posiada dokument, spisany i potwierdzony przez świadków, że pański brat darował jej parcelę łącznie z całym sprzętem. Akt darowizny miał miejsce w barze Doddsa, około jedenastej ubiegłej nocy.

Barney spojrzał na pana Knighta uważnie. Nie miał żadnych wątpliwości, że pan Knight przeżywa w tej chwili cudowne chwile. Mścił się za poniżenie przez Barneya siebie i całej swojej rodziny. „Najlepszym sposobem na Żyda jest nadzianie go jak robaka na koniec ostrej szpilki” — powiedział pan Knight do Dottie Evans, kiedy przyszła do niego dzisiaj rano.

— Cóż to za dokument? Proszę mi go pokazać. Pan Knight wyciągnął z kieszeni zmięty papier.

— Skromny dowód — uśmiechnął się. — Etykietka zdarta z butelki po piwie, jeżeli się nie mylę. Ale to, co jest na niej zapisane, jest ważne w obliczu angielskiego prawa.

Barney wziął od niego papier i przeczytał. Przewracającymi się kulfonami Joel nabazgrał następujące słowa: „Ja, Joel Blitz, mocą tego pisma przekazuję wszystkie prawa do mojej działki nr 172 w Colesberg Kopje pani Dottie Evans, wraz z całym sprzętem”. To było wszystko. Joel musiał być tak pijany, że nie ujął w dokumencie tego, co miał od panny Dottie Evans dostać w zamian.

— Ten papier jest bez wartości — powiedział Barney. — Joel był kompletnie pijany, kiedy to pisał. Mam świadków.

— Świadków? — zdziwił się pan Knight. — Bandę wykolejeńców i notorycznych alkoholików.

— Panna Dottie Evans jest zwykłą dziwką — przypomniał mu Barney.

Pan Knight podniósł do góry rękę, jak gdyby chciał pobłogosławić Barneya.

— Była dziwką. Rzeczywiście była dziwką. Ale spostrzegła niestosowność swojego postępowania i wydźwignęła się z upodlenia.

— Mogła sobie na to pozwolić, skoro została właścicielką otrzymanej za darmo działki diamentowej.

— Niech pan nie będzie małostkowy, panie Blitz — skrzywił się pan Knight, trzymając drogocenną etykietkę między dwoma palcami ręki odzianej w szarą rękawiczkę.

— Nie jestem — odpowiedział Barney. — Nie mam na to czasu. Mój brat jest śmiertelnie ranny i muszę zawieźć go do lekarza.

— Przykro mi — powiedział pan Knight. — Naprawdę, przykro mi. Ale prawo jest prawem.

Zajrzał do pokoju.

— Czy to nie dzisiaj miał odbyć się pański ślub z tą małą czarnulką? — zapytał. — Słyszałem w kościele zapowiedzi i muszę się panu przyznać, że stanąłem w pańskiej obronie, kiedy niektórzy ze zgromadzonych zaczęli wyrażać swoje oburzenie. „Dlaczego mamy pozwolić, żeby Żyd i czarnucha brali ślub w kościele anglikańskim?” — pytali. Ale ja odpowiedziałem: „Griąua są dobrymi chrześcijanami, a przy odrobinie dobrej woli ten żydowski młodzieniec zda sobie sprawę ze swojego błędu i nawróci się”.

— Ma pan rację — przyznał Barney. — Poznałem swój błąd. I to dzięki panu. Jesteś pan wyjątkowy *momzer*.

Pan Knight spojrział pytającym wzrokiem na Barneya.

— Tym określeniem nazywamy człowieka, który jest sprytny — wyjaśnił Barney. — Zna pan ten typ. Przebiegły, chytry i tak dalej.

— Cóż — powiedział pan Knight. — Cieszę się, że nie chowa pan urazy.

— *Momzer* znaczy również „lajdak” — dodał Barney. Pan Knight wypchnął językiem policzek, a następnie powiedział lodowato:

— Mam obowiązek pana ostrzec, że wszelkie próby szukania przez pana albo pańskich czarnuchów diamentów na terenie działki numer 172 będą uznane za kradzież i jeżeli zostanie pan tam złapany na gorącym uczynku, moja klientka uzna pańskie działania za gwałcące jej prawo własności.

— Wynoś się z mojego domu albo cię uderzę — powiedział Barney.

W tym momencie pojawił się Edward. Na widok pana Knighta uchylił kapelusza i był trochę zaskoczony, że prawnik przeszedł obok niego, nie mówiąc nawet „dzień dobry”.

— To ten twój prawnik, prawda? — zapytał, wyjmując z kieszeni płaszcza tuziny fiolek z białym proszkiem. — Nie wyglądał na zadowolonego.

— Co to jest? — zapytał Barney, podnosząc jedną fiolkę i przyglądając się jej uważnie. — Proszki przeciwbólowe?

— Proszek Dovera, stary przyjacielu. Dziesięcioprocentowe opium. Należy zacząć od pięciu szczypt i dojść do dziesięciu, jeżeli ból będzie się wzmacniał. Jesteś mi dłużny jedenaście funtów za tę drobnostkę. Cztery za lekarstwo i siedem, które dałem doktorowi Tu terowi, żeby mi je zechciał wydać. Wyobraź sobie, że on sam jest od tych proszków uzależniony.

Otworzyły się drzwi od sypialni. Barney odwrócił się i zobaczył Mooi Klip w bladoniebieskiej sukience i kapeluszu na głowie oraz w rękawiczkach. Oczy miała opuchnięte od płaczu.

Edward powiedział szybko:

— Pójdę i podam Joelowi pierwszą dawkę.

— Dziękuję, Edwardzie — powiedział Barney, patrząc na Mooi Klip.

Mooi Klip weszła do pokoju. Dienne światło, które przedostawało się przez otwarte drzwi frontowe, odbijało się w dwupółkaratowym diamencie zaręczynowego pierścionka Mooi Klip, zamówionego dla Barneya przez Harolda Feinberga w Kapsztadzie. Barney włożył go na palec narzeczonej pewnego ciepłego wieczoru, kiedy siedzieli na werandzie pod księżycem świecącym jak oko tygrysa.

Uniosła rękę do góry i zaczęła kręcić pierścionkiem w taki sposób, jak to robią zdenerwowane kobiety. Nie patrzyła na Barneya, ale wpatrywała się smutnym wzrokiem w to, co miało być ich weselnym śniadaniem.

— Spakowałam rzeczy — powiedziała.

— Naprawdę wyjeżdżasz? Pokiwała głową. Zagryzł wargi.

— Co mogę zrobić, żeby cię zatrzymać? Jak cię przekonać?

— Nie teraz — odpowiedziała. — Musisz opiekować się swoim bratem.

— Musiałem pozwolić, żeby tutaj został. Chyba to rozumiesz? I tak prawdopodobnie nie przetrzyma.

— Przykro mi — powiedziała Mooi Klip. — To co powiedziałam, że już nigdy się do ciebie nie odezwę, to nieprawda. Byłam po prostu...

— Jeżeli to nieprawda, to zostań. Proszę. Co ja bez ciebie pocznę?

Mooi Klip potrząsnęła głową.

— Teraz mnie nie potrzebujesz. Będę tylko ciężarem. To co się wydarzyło... zepsuło nasz



najważniejszy dzień i byłoby głupio z naszej strony, gdybyśmy próbowali na siłę wszystko naprawić. Nie chcę wychodzić za mąż, jedząc pokruszony tort. Nie chcę wychodzić za mąż, kiedy jest między nami niezgoda. Chcę poślubić ciebie tak, jak powinno się to robić, w pokoju i miłości, i odczuwać jedynie szczęście.

— Będziemy szczęśliwi.

Uśmiechnęła się do niego. Był to uśmiech smutku i żalu, ale również determinacji.

— Jeszcze nie — powiedziała. — Jeszcze nie jesteśmy gotowi i nawet jeżeli nigdy nie będziemy, to chcę, żebyś wiedział, że cię kocham, Barney. Przypuszczam, że nawet nie wiesz jak bardzo. Nauczyłeś mnie świata, nauczyłeś mnie różnych rzeczy. Ale nie jestem taka, jakiej chcesz czy potrzebujesz.

— Wracasz do Klipdrift? — zapytał.

— Jak tylko przyjadą rodzice.

— I co im powiesz? Co powiesz Janowi Bloemowi?

— Powiem im prawdę. To wszystko. Nie jest trudno mówić prawdę. W dalszym ciągu ciebie kocham i wcale się tego nie wstydzę.

— A co z naszym dzieckiem? — zapytał Barney. Położyła dłonie na brzuchu.

— Będę o nie dbać. I kiedy się urodzi, a jeszcze nie będziemy razem, wyślę kogoś do ciebie z wiadomością, żebyś przyjechał ją zobaczyć.

Barney poczuł, jak coś go drapie w gardle, jak gdyby wpadł tam kawałek pustynnego chwastu.

— Jesteś pewna, że to będzie dziewczynka? — powiedział, z trudem powstrzymując się od płaczu.

— Nie chciałbyś małej, ślicznej dziewczynki, podobnej do mnie?

Barney pokiwał głową. Mooi Klip podeszła bliżej, objęła go w pasie i mocno do siebie przytuliła. Czuł jej zapach, który przypominał aromat kwiatów i ziół. Głaskał ją po głowie, bawiąc się jej kędziorami w taki sposób, jak to zawsze robił od tej pierwszej nocy w obozowisku Jana Bloema. Nie mógł uwierzyć, że odchodzi. Nie mógł się z tym pogodzić, że może już nigdy nie będzie trzymać jej w ramionach. Czuł jej twardy brzuch i przyciskał go do swojego ciała, jak gdyby była to najcenniejsza rzecz, jaką posiadał. Piękniejsza i cenniejsza od diamentów.

— Wszystko słyszałam, co Edward mówił o twojej działce — wyszeptała.

— A to co mówił pan Knight?

— Też. Przykro mi.

— Myślę, że zacznę od początku.

— Będziesz potrzebował pieniędzy na operację Joela.

— Mam dosyć pieniędzy w banku.

— Pieniądze z banku będziesz potrzebował, żeby kupić działkę.

— Mam też farmę w Derdeheuvel. Zawsze mogę ją sprzedać, jeżeli będę musiał.

Mooi Klip odsunęła się od niego i otworzyła torebkę.

— Już dawno chciałam ci to dać. Właściwie byłam nie w porządku, że to zatrzymałam.

— O czym ty mówisz?

W małej kieszonce torebki Mooi Klip był zwinięty rulonik pięcioletnich banknotów. Mooi Klip wyciągnęła je i wetknęła w kieszeń jego koszuli, a potem szybko pocałowała go w usta, tak szybko, że nie zdążył odwzajemnić pocałunku.

Barney wyjął pieniądze z kieszeni i zaczął się im przyglądać.

— Skąd je masz? — zapytał.

— Z Derdeheuvel. To było w dniu, kiedy pogrzebaliśmy Monsaraza. Podobał mi się twój gest,

jak spaliłeś pieniądze, ale czasami kobiety bywają praktyczniejsze od mężczyzn, nawet wtedy, kiedy ich czyny nie są godne podziwu.

— Tutaj musi być sześćset albo i siedemset funtów.

— Sześćset dwadzieścia. Przeliczyłam.

— Powinienem je spalić — powiedział Barney.

— Nie zapomnij, że musisz zająć się bratem.

— A co ty zrobisz bez pieniędzy?

— Moi ludzie zaopiekują się mną — uśmiechnęła się.

— Czyż ja nie jestem twoim człowiekiem?

Znowu podeszła bliżej i dotknęła palcami jego nie ogolonych policzków.

— Na zawsze nim pozostaniesz — powiedziała. — Och, Barney, tak bardzo cię kocham.

Edward stanął w drzwiach i grzecznie zakaszłał.

— Znowu zasnął — zakomunikował. — Ale jego stan ciągle się pogarsza, a nie polepsza. Czy chcesz, żebym ci pomógł wnieść posłanie na wóz i przymocował je?

— Tak, proszę — powiedział Barney i odwrócił się od Mooi Klip czując, że wypełniają go łzy, których nie umiał wyplakać.

Rodzice Mooi Klip przyjechali o jedenastej. Byli odświętnie ubrani. Przybył również Jan Bloem ze swoimi dwoma najbliższymi przyjaciółmi oraz Pietem Steynem. Wszyscy mieli wypolerowane buty, wyczyszczone kapelusze i w swoich lekkich okryciach i pasiastych spodniach wyglądali — jak to określił Harry Munt, który ich obserwował z wnętrza baru, gdy jechali ulicą — jak honorowi goście na balu goryli.

Matka Mooi Klip była niewysoką kobietą, podobnie zresztą jak i jej córka, ale miała okrągłą figurę. Miała na sobie cytrynowego koloru sukienkę z szarym bolerkiem i kapelusz, na którym tańczyły ogromne strusie pióra. Ojciec był wysoki, przystojny i bardzo czarny. Żadne z nich nie mówiło po angielsku — jedynie dziwnym narzeczem afrykańskim Griąua.

Zaraz na samym początku doszło do kłótni, płaczu i wyjaśnień. Już sam fakt, że Mooi Klip była w ciąży i żyła bez ślubu z mężczyzną, był dla jej ojca ciosem. Wykorzystując zmieszanego Jana Bloema jako tłumacza, krzyczał wysokim głosem na wszystkich obecnych, nawet dostało się jego żonie. Zmęczony Barney siedział na werandzie, podpierając rękami głowę i czekał, aż towarzystwo się uspokoi. Wóz był przygotowany do podróży do Durban, załadowano na niego koce, poduszki i skórzane pasy, którymi Barney miał unieruchomić złamaną nogę swojego brata. W tej chwili Barney o niczym innym nie marzył, jak o najszybszym wyruszeniu w drogę.

W końcu ojciec Mooi Klip marszowym krokiem podszedł do siedzącego Barneya, mając u boku Jana Bloema, i wyrzucił z siebie melodię gardłowych dźwięków. Jego świecąca górna warga pokryta była diamencikami potu. Był oburzony i zdenerwowany. W butonierce miał świeżą białą orchideę.

Barney zrozumiał jedynie jedno albo dwa słowa z tego, co powiedział. Domyślał się jednak znaczenia wygłoszonej przez niego tyrady. Jan Bloem powiedział suchym głosem:

— Słyszysz, co on mówi, mój przyjacielu? Mówi, że zabrałeś jego córce wszystko, nie dając nic w zamian. Mówi, że powinieneś wstydzić się za siebie i swojego brata, za to, co jej zrobiliście, i jeszcze, że gdyby nie było to wbrew przykazaniom Boga, to wypatroszyłby cię i rzucił twoje wnętrzności psom na pożarcie.

— Powiedz mu, że jest usprawiedliwiony w swoim gniewie — powiedział Barney.

Jan Bloem przetłumaczył. Ojciec Mooi Klip uważnie go wysłuchał, po czym uniósł w górę drżący palec i powtórnie eksplodował długą retoryczną przemową.

— Jest bardzo zmartwiony — wyjaśnił Jan Bloem. — Chce wiedzieć, co zamierzasz zrobić.

— Zabieram mojego brata do Durban, żeby spróbować uratować mu życie — powiedział

Barney zmęczonym głosem. — Następnie wrócę i ożenię się z jego córką.

— On ci nie wierzy — powiedział Jan Bloem. — Mówi, że jesteś łajdakiem.

— Powiedz mu, że kocham Natalię.

— Mówi, że skoro ją kochasz, to dlaczego tak źle traktujesz?

— Powiedz mu, że wydarzyła się seria tragicznych wypadków i że nie musi cały czas na mnie wrzeszczeć, bo już dosyć wycierpiałem. Kocham jego córkę, chociaż ją utraciłem. Kocham mojego brata, a on skrzywdził jedyną kobietę, którą uwielbiam. Powiedz mu, żeby spojrzał mi w twarz i powiedział, co w niej widzi.

Kiedy Jan Bloem tłumaczył jego słowa, ojciec Mooi Klip nie odzywał się. Po chwili pochylił się do przodu, oparł ręce na kolanach i z odległości pięciu albo sześciu cali zaczął wpatrywać się w twarz Barneya. Jego czarne agatowe oczy penetrowały każdy milimetr skóry na twarzy Barneya z bolesnym skupieniem. Barney przypomniał sobie, że kiedyś tak samo wpatrywał się w surowe diamenty, które wydobywał z kopalni. W końcu ojciec Mooi Klip wyprostował się i wystudowanym ruchem strzepnął pyłek z rękawa swojego płaszcza.

— No i co? — zapytał Barney. — Wkrótce muszę wyruszyć, jeżeli mam pokonać trochę drogi przed zmierzchem.

— Mówi, że w dalszym ciągu uważa cię za łajdaka — uśmiechnął się Jan Bloem. — Wierzy jednak, że ją kochasz. Kiedy twój brat wydobrzeje, musisz przyjechać do Klipdrift, żeby z nim porozmawiać. Mówi, że tak łatwo ci jej nie odda, o ile nie udowodnisz, że masz dobre intencje.

— Rozumiem — powiedział Barney i uklonił się po przyjacielsku ojcu Mooi Klip. Kiedy to robił, poczuł ból w karku, jak gdyby przespał całą noc, mając głowę ułożoną pod niewłaściwym kątem.

— Powiedział coś jeszcze. Powiedział, że przywiózł tobie prezent i chce, żebyś go przyjął bez względu na to, co tutaj się wydarzyło. Mówi, że nie jest zamożnym człowiekiem, ale to dobry prezent i ma nadzieję, że go przyjmiesz.

— Powiedz mu, że przyjmę go z zadowoleniem.

Ojciec Mooi Klip oddalił się, żeby przynieść prezent, a Jan Bloem założył na oko monokl i patrzył na Barneya z figlarnym uśmiechem.

— Wiesz, dlaczego nalegał, żebyś przyjął jego prezent? — zapytał.

— Nie mam zielonego pojęcia — odpowiedział Barney.

— A więc nie jesteś taki bystry, jak myślałem. — Chce, żebyś go przyjął i poczuł się zobowiązany do powrotu i poślubienia jego córki. Ale nie masz mu tego za złe, prawda?

— Skądże — powiedział Barney. — Gdybym miał kontrolę nad wypadkami, to jeszcze dzisiaj odbyłby się nasz ślub.

Jan Bloem uśmiechnął się do niego współczująco.

— Rozmawiałem z Natalią — powiedział. — Nie powinieneś mieć do niej pretensji.

— Mam pretensje do siebie.

— To również bez sensu. Naucz się szukać winy tam, gdzie ona rzeczywiście się znajduje. Nie rób z siebie męczennika. Oto moje motto.

— Masz ich wiele i na wiele okazji.

— To lepsze niż być przemądrzałym.

Za rogu chaty wyszedł ojciec Mooi Klip, ciągnąc za sobą na postrzępionej lince wyliniałego konia z łękowatym grzbietem. Barney popatrzył na zwierzę, a potem szybko odwrócił wzrok i

spojrzał z desperacją na Jana Bloema. Jan Bloem przyjaźnie się uśmiechał, ale z wrażenia spadł mu monokl i zaczął dyndać na czarnym jedwabnym sznurku. Barney był bliski wybuchnięcia śmiechem.

— To dla ciebie — przetłumaczył Jan Bloem, podczas gdy ojciec Mooi Klip obserwował go 7. natężeniem. — Nazywa się Alsjeblieft.

— Alsjeblieft? — zdziwił się Barney. — To znaczy „proszę”, prawda?

— Tak — skrzywił się Jan Bloem. — Za każdym razem, kiedy będziesz chciał, żeby ten koń coś dla ciebie zrobił, musisz powiedzieć Alsjeblieft.

Ojciec Mooi Klip wyciągnął rękę, w której trzymał koniec linki. Barney zawahał się przez chwilę, po czym wziął ją. Koń prychnął, zarżał i obrócił głowę.

Barney powiedział:

— Proszę, podziękuj ojcu Mooi Klip i powiedz mu, że jestem zachwycony podarunkiem i kiedy wrócę, to zaproszę go do siebie na drinka. Ale teraz niech postara się zrozumieć, że muszę wyruszyć w drogę.

— On to rozumie — odparł Jan Bloem. — Mówi, że ten koń należał do pewnego starego *kopje walloper'a*, do jednego z tych facetów, którzy jeżdżą po okolicy między Klipdrift i Dutoitspan, skupując diamenty od górników. W swoim czasie to był dobry koń.

Barney pokiwał głową i uśmiechnął się do ojca Mooi Klip. Ojciec Mooi Klip z poważną miną odwzajemnił ukłon. Następnie wyrzucił z siebie kilka niezrozumiałych afrykańskich słów, kończąc emfatycznym „huh!”, jak gdyby chciał powiedzieć „tak jest!”

— Co on powiedział? — zapytał Barney Jana Bloema.

— Powiedział, że możesz sobie myśleć o tym koniu, co tylko ci się żywnie podoba, ale on zapłacił za niego 27 funtów i 10 szylingów.

Barney, zmęczony, uśmiechnął się ponownie.

— Powiedz mu, że jestem dożywotnie wdzięczny.

Nareszcie rodzice Mooi Klip zaczęli zbierać się do wyjazdu. Mooi Klip wrzuciła torbę na wóz, a sama usiadła między ojcem i matką. Siedziała sztywno i była biała jak marmur. Jej matka skinęła w kierunku Barneya ręką w znaczącym geście i Barney zrozumiał, że Mooi Klip musiała wszystko jej wyjaśnić.

— Pozwól jedno słowo — powiedział Jan Bloem, zanim wspiął się na swój własny wóz zaprzęgnięty w woły.

— Co tym razem? Nie licz kurcząt, dopóki jaja nie zostaną zniesione?

— Nie, tym razem to nie motto. — Czarną, wypielęgowaną ręką złapał Barneya za ramię. — Chcę ci tylko powiedzieć, że jeśli naprawdę interesuje cię los Natalii, to wracaj tak szybko, jak to jest możliwe, i bierz z nią ślub. Ale jeżeli nie, to zostaw ją w spokoju. Jest ładna, z czasem znajdzie sobie kogoś innego. Najprawdopodobniej jednego z naszych i kimkolwiek by on był, będzie troszczyć się o twoje dziecko jak o swoje własne. Ale już więcej jej nie krzywdź.

Barney położył swoją dłoń na dłoni Jana Bloema.

— Dzięki za radę. Ale jedynie ja i Natalia możemy zdecydować o naszym życiu. Nie ty i nie jej rodzice. Nikt poza nami.

— Cóż, w takim razie życzę powodzenia. Jak ty to mówisz? *Mazel tov!*

— Powiesz mi *mazel tov*, kiedy ze zdrowym bratem wrócę z Durban — powiedział Barney. Koń o imieniu Al-sjeblieft zaparskał i szarpnął linką. Wyczuł, że Jan Bloem i rodzina Mooi Klip zamierzają odjechać, i był zdenerwowany, że go zostawiają.

Mooi Klip odwróciła się tylko raz, kiedy jej ojciec cmoknął na woły i skierował wóz na obrzeża kopalni w Kimber-ley. Barney zobaczył, jak jej usta wypowiadają bezgłośnie „do widzenia”,

ale nie był pewien, czy to nie złudzenie. Podszedł do niego Edward Nork i powiedział:

— Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Musi być dobrze. Czy chcesz, żebym zaopiekował się tym pokracznym koniem, kiedy wyjedziesz?

— Chyba tak — powiedział Barney, zerkając na postrzępioną uprząż i wygryzioną przez insekty sierść zwierzęcia. — Jeżeli da się na nim jeździć, to rób to do woli. Jeżeli się nie da, to najlepszą rzeczą będzie, jeśli go zjesz.

Edward spojrzął na konia taksującym wzrokiem, jak gdyby już wyobrażał sobie pieczony udziec leżący na półmisku w towarzystwie pieczonych ziemniaków i świeżego groszku. Koń parsknął nerwowo i dźwięcząc podkowami odskoczył do tyłu.

Nawet podróż Barneya do Afryki Południowej i próby odszukania Joela, przebywającego gdzieś w którejś z kopalni albo w osiedlu północnej Kolonii na Przylądku, nie były tak trudne i beznadziejne jak sześciotygodniowa wyprawa do Durban. Dzień po dniu jechał wytrwale po rozległych równinach Orange Free State, mając na wozie Joela przymocowanego pasami do wygodnego posłania zrobionego z koców i poduszek. Słońce oślepiało mu oczy, drobny pył i kurz wgryzały się w każdą porę odsłoniętej części ciała. Najgorsze było to, że Joel mógł umrzeć od infekcji lada dzień, ale kiedy tylko zaświtał kolejny ranek i Joel był ciągle żywy, mamrocząc coś bez sensu, szepcząc i płacząc z bólu, Barney wspinał się na kozioł, strzelał z bata na woły i ruszał na wschód, kierując wóz na błękitny, zamglony horyzont, który wcale się nie przybliżał.

Czasami Joel odzyskiwał świadomość i leżąc w poduchach, ze skrzywioną w grymasie bólu twarzą, opowiadał Barneyowi krótkimi, urywanymi zdaniami o wydarzeniach tamtej nocy. Przez większość czasu Barney był odwrócony do Joela plecami i rzadko patrzył na brata. W tym okresie życia czuł, jak cięży mu fakt przynależności do rodziny Blitzów, i nie mógł tego znieść. Wiózł Joela do Durban, ponieważ musiał go tam zawieźć, ponieważ to była jedyna szansa, żeby przeżył, i ponieważ Joel był jego bratem. Oprócz tego nie było żadnych innych powodów.

Pewnego czwartkowego poranka po raz pierwszy ujrzeli odległe niebieskie pasmo gór Drakensberg, które musieli przekroczyć, żeby dotrzeć do Natalu, a później przez Colenso i Pietermaritzburg do Durban. Joel leżąc na swoich poduszkach powiedział:

— Wiesz, chyba nie powinniśmy wracać z powrotem.

— Ponieważ przez ciebie straciliśmy naszą działkę? — zapytał Barney.

— Ponieważ nie mamy do czego wracać — odpowiedział Joel. — Kopanie diamentów to zabawa dla głupców. Co z tego za cholerny pożytek? Grzebiesz się w ziemi cały dzień, nadwerężasz plecy, i na co to wszystko?

— Mogliśmy być bogaci.

— Mogliśmy jedynie przedwcześnie się postarzyć. Barney wytarł kark chusteczką. Woły parły wytrwale naprzód, głowy miały opuszczone, a cienkie fałdy skóry łączącej masywne, zadnie nogi z podbrzuszem opadały i podnosiły się za każdym krokiem.

— Możesz zostać w Durban, jeżeli będziesz chciał — powiedział Barney. — Ale ja wracam do domu. Chociażby z tego powodu, że w Banku Londyńsko-Południowoafrykańskim są ulokowane wszystkie nasze oszczędności.

Joel ruchem dłoni odpędził natrętą muchę, która usiadła mu na twarzy.

— Mówiąc szczerze, to jest z tym pewien mały problem. Barney opuścił wodze.

— Problem? O czym ty gadasz? Mamy w banku siedemnaście tysięcy funtów. Jaki problem?

Joel spojrzął na horyzont.

— Jesteśmy dłużni bankowi dwa tysiące.

Ściągając stopniowo wodze, Barney zatrzymał woły. Odwrócił się na swoim siedzeniu i zapytał:

— Co!?

Twarz Joela była blada z bólu. Ściągając usta, powiedział:

— To nie ma znaczenia. Na miłość boską, jedź dalej.

— Ja chcę wiedzieć, Joelu. Jaki problem? Na Boga, jak możemy być dłużni dwa tysiące funtów?

— Trochę grałem. U Doddsa.

— Uprawiałeś hazard? Ale chyba nie przegrałeś siedemnastu tysięcy funtów?

— Popędź woły, dobrze? — Joel pokiwał głową. — Im wcześniej dojedziemy do celu, tym lepiej.

Ale Barney siedział jak sparalizowany, patrząc na Joela szeroko otwartymi oczami.

— Przegrałeś siedemnaście tysięcy funtów w barze u Doddsa? Wszystkie pieniądze? Nawet dwa tysiące więcej?

Joel podniósł do góry rękę w błagalnym geście.

— Barney, proszę, jedź nareszcie. Już dłużej tego nie zniosę.

— Dłużej tego nie zniesiesz?! — wrzasnął Barney. Zeskoczył z kozła i z purpurową twarzą zbliżył się do brata. — Jak możesz w ten sposób mówić? Wszystko, co zarobiłem! Wszystko, na co liczyłem! Wszystko sprzeniewierzyłeś! I całe to twoje gadanie o oszczędzaniu pieniędzy, o trzymaniu się jednej działki! Boże, ty jesteś idiotą! Boże, jesteś szalony jak matka!

Głowa Joela opadła na poduszkę. Był wyczerpany upałem i bliski agonii.

— W porządku, jestem szalony. Masz przy sobie pistolet, który odebrałeś od Harry'ego Munta. A więc zastrzel mnie. Zaoszczędzisz sobie drogi.

Przez ponad minutę Barney stał przy wozie i nie poruszał się. Popołudniowe słońce grzało niemilosiernie, woły oganiały się ogonami od much, w trawie brzęczały owady, na równinie nie było nikogo i niczego i tak miało być aż do osady Paul Roux.

Mógł wyjąć pistolet i strzelić Joelowi w czoło i nikt nawet by się o tym nie dowiedział. Mógł pogrzebać ciało tutaj, wrócić do Kimberley i powiedzieć Edwardowi Norkowi oraz wszystkim mieszkańcom, że Joel umarł od ran. Joel przegrał wszystkie jego pieniądze, zgwałcił jego niedoszlą żonę, sprawił, że nie odbył się ślub, oszukał go z działką. Czy nie zasługiwał na śmierć?

Barney przypomniał sobie ojca, jak siedział przy bladym świetle przy oknie kamienicy na Clinton Street, jak przebierał palcami, przewracając kartki Biblii i czytał: „Co uczyniłeś? Głos krwi twego brata krzyczy do mnie spod ziemi. I jesteś teraz wyklęty z tej ziemi, która otworzyła swoje usta, żeby przyjąć krew twojego brata, którą przelałeś. Wygnańcem i tułaczem będziesz na tej ziemi, która cię wyklęła”.

Barney odwrócił twarz do wiatru i przymrużył oczy, żeby uchronić je przed pyłem i spiekotą. Wspiął się z powrotem na kozioł, cmoknął na woły w taki sposób, jak nauczył go Donald, i kontynuowali drogę przez równinę Orange Free State.

Każdej nocy było tak samo: jedli posiłek składający się z suszonego mięsa i suszonych owoców, popijali ciepłą wodą, owijali się kocami. Każdej nocy Barney musiał opuszczać burtę wozu i pomóc Joelowi stoczyć się na ziemię, aby leżąc w pyle i kurzu, mógł się wypróżnić. Za każdym razem Joel wrzeszczał wniebogłosy przy tej czynności, ponieważ prac nadwierał strzaskaną miednicę, a potem jęczał, kiedy Barney podcierał mu tyłek. I znowu twardy posiłek, trochę proszku z korzenia ipecacuahany na lepsze trawienie i kilka godzin niespokojnego snu. Rano cały proces był powtarzany.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności w strzaskanej nodze Joela nie zagnieździła się gangrena. Kość zaczęła się zrastać, ale krzywo, przez co noga nabrała dziwnego, wygiętego kształtu i Joel cierpiał niewymowne katusze, kiedy wóz zjeżdżał w dół po nierównym gruncie. Wrzeszczał wtedy do Barneya, żeby natychmiast go zastrzelił. Ale skóra była cała i zagoiła się większość ran na całym ciele. Kiedy zbliżali się do Golden Gate, szansę Joela na przeżycie znacznie wzrosły.

Golden Gate przywitała ich ciszą i ponurym wyglądem. Formacja dziwacznych, strzelistych, piaskowych skał wyrastała z buszu jak olbrzymiej wielkości totemy. Nad skałami wisiało ciemne i bezlitosne jak zwykle niebo, a wielkie orły, które potrafiły porwać jagnię, *la.mmarga.yery*, krążyły i krążyły z rozpostartymi skrzydłami jak żaglowce. Kiedy przedzierali się przez góry, mijali Mushroom Rock i Brandwag Rock, które oślepiały swoimi złotymi twarzami. Barney słyszał w oddali dudniące echo, które obudziły koła jego wozu zaprzęgniętego w woły. Przywołało to wspomnienia o *voortrekkerach* jeżdżących tą drogą czterdzieści lat temu. Te góry były świadkami także innych wydarzeń i pamiętały plemiona buszmeńskie z prehistorycznych czasów, które malowały na piaskowcach i w jaskiniach wizerunki ptaków, roślin oraz obrazy przedstawiające dawno zapomniane obrzędy rytualne. Pamiętały kanibali, którzy pewnego razu zaatakowali osady w dolinie rzeki Caledon, zarzynając

1 zjadając ponad 30 000 osób.

W ciszy zakłócanej jedynie rzadkimi podmuchami wiatru, Barney minął ciemny, odległy amfiteatr bazaltowych skał i przez Drakensberg wspinał się na Mont-aux-Sources, gdzie rozwidlały się rzeki. Tam też przekroczył granicę, która wiodła do Natalu. Będąc na Mont-aux-Sources, dzięki temu, że popołudniowe powietrze było wyjątkowo czyste, mógł zobaczyć za sobą Orange Free State i Basutoland oraz Utrecht w Transvaalu, pokryte mgiełką rozległe obszary pyłu, drzew i pasów roślinnych. Przed nim, na prawo, wznosiła się góra, którą nazwano Zamkiem Olbrzyma. Nawet w pogodne dni gromadziły się nad nią czarne chmury i nieustannie zapalały błyskawice. Czarne plemiona nazwały tę górę NTabayi Konjwa, górą, do której nie można było się zbliżyć, nie ponosząc straszliwych konsekwencji.

Joel przeżywał delirium. Pocił się, rzucał i krzyczał. Czasami w nocy wydawał z siebie ohydne, nieludzkie wrzaski; Barney zrywał się wtedy z posłania i czując lodowaty strach, łapał za rewolwer.

Ale w końcu udało im się przejechać przez góry i wjechać do Natalu, wpadając kołami w głębokie koleiny wyżłobione w skałach przez olbrzymie wozy Burów, którzy opuszczali ich nowo ustanowioną republikę burską w 1842 roku. Jan Bloem opowiedział Barneyowi o tamtych czasach i było łatwo mu zrozumieć, co zgorzkniali Burowie czuli do Brytyjczyków. Ich czteroletnia republika została siłą przejęta przez

Anglików, a Volksraad, parlament Burów, niesławnie głosował za aneksją. Prawie natychmiast farmerzy spakowali swoje manatki na wozy i ruszyli na zachód, przez Drakens-berg do Orange Free State i Transvaalu.

Pięć tygodni po tym jak opuścili Kimberley, Barney wprowadził wóz między zbudowane z żółtego drewna domy przy Boom Street, w Pietermaritzburgu, stolicy Natalu. To właśnie tutaj, na brzegach rzeki nazwanej przez Zulusów Mzunduzi, Burowie znaleźli idealne miejsce, które miało być ich ziemią obiecaną. Pietermaritzburg — nazwa wzięła się od dwóch *voortrekkerów*, Pietera Retiefa i Gerrita Maritza — został zbudowany w malowniczej, szerokiej dolinie, nad którą jak wspomnienia przesuwwały się cienie popołudniowych chmur.

Barney i Joel przenocowali u starszego małżeństwa Holendrów, którzy na obrzeżach miasta prowadzili niewielką mleczarnię. Kiedy Joel rzucał się na posłaniu w sypialni na piętrze, Barney siedział przy kuchennym stole i zajadał ser, szynkę i popijał domowym piwem. Stary Holender

obserwował go przez cienkie szkła okularów, trzymając na kolanach nie rozcięty egzemplarz czasopisma „Natal Witness”. Zaczął mówić dopiero wtedy, kiedy Barney wszystko spałaszował i odepchnął od siebie drewnianą tackę, na której podano mu posiłek.

— Zdecydowałeś się na taką długą i trudną podróż? Barney pokiwał głową.

— Nie miałem wyboru. W Kimberley nie mamy chirurga, a ci lekarze, którzy u nas mieszkają, są diabła warci.

— Twój brat musiał bardzo cierpieć.

— Tak. Cierpiał. I jeszcze sporo wycierpi do końca naszej podróży.

— Czy to jest warte twojego wysiłku? — zapytał stary Holender.

Barney popatrzył mu prosto w oczy.

— Pański naród walczył i umierał, żeby zbudować to miasto i zdobyć wolność, a pan mnie pyta, czy to warte wysiłku?

Stary Holender wziął do ręki gazetę.

— Masz rację. Kiedy Volksraad zebrał się pod akacjowym drzewem, żeby przegłosować przejście Natalu przez Brytyjczyków i nie wysłać wojska, ja również tam byłem. Stałem tak blisko Andriesa Pretoriusa, że mogłem wyciągnąć rękę i dotknąć go, tak jak ciebie w tej chwili.

— Tak — powiedział Barney zmęczonym głosem. — Myślę, że pójdę się przespać. Chcę jutro dotrzeć do Durban, jeżeli mi się uda.

— Najwyżej dojedziesz do Pinetown. Ale do Durban? To dobre dziewięćdziesiąt mil stąd.

— Mój brat umiera. Muszę dojechać do Durban.

Po kolacji Barney usiadł w starym bujanym fotelu, stojącym na płytkach podłogi w pokoju gościnnym i zapadł w drzemkę. Płytki ozdobione były niebieskimi kwiatami i dlatego pewnie śniły mu się lilie i watsonie. Następnie śnił, że jedzie przez bezkresną pustynię wozem zaprzężonym w parę straszliwie wyczerpanych wołów. Śniły mu się piaskowe skały, które stały jak milczący strażnicy na przejściu między Orange Free State a Basutoland, a stado dzikich czerwonych antylop i zebry Burchella płynęły w galopie przez zielone bezkresy.

Obudził go kaszel. Był jeszcze nie całkiem przebudzony, wydawało mu się, że to pawiany harcujące na gałęziach drzew. Ale ujrzał nad sobą zakłopotaną twarz starego Holendra.

— Twojemu bratu się pogorszyło — powiedział. — Czy chcesz, żebym wezwał księdza?

Barney został w Pietermaritzburgu przez dwa dni. Przez dwa dni i dwie noce Joel rzucał się na swoim posłaniu, trząsał się i majaczył. Był już grudzień i powietrze było nieznośnie wilgotne. Przez cały pierwszy dzień Barney siedział w domu i odpoczywał, ale następnego ranka poszedł na spacer nad rzekę Umzinduzi, aby pooddychać świeżym powietrzem.

Stary Holender wezwał miejscowego lekarza, Anglika z potężnymi bokobrodami, który podwinął rękawy i odsłonił przedramiona pokryte gęstymi włosami. Niewiele mógł pomóc, zaaplikował Joelowi proszek Dovera, żeby zbić temperaturę, i wyraził opinię, że należy niezwłocznie zamówić miejsce na cmentarzu przy Church Street.

Jednakże trzeciego dnia, kiedy Barney poszedł do góry, żeby zobaczyć brata, Joel leżał na posłaniu z otwartymi oczami i lekko zarumienionymi policzkami. Udało mu się nawet podnieść do góry rękę w kpiącym geście.

— Jak się czujesz? — zapytał Barney, przyciągając krzesło bliżej łóżka.

— Jeszcze nie umarłem, bez względu na to, co uważa lekarz.

— Słyszałeś, co mówił?

— Nic nie mogłem na to poradzić. Okno było otwarte, a facet miał głos jak dzwon.



— Jak myślisz, możemy już ruszać?

Joel niezdecydowanym gestem potarł dłonią lewe udo.

— Jak to jest daleko? Wydaje mi się, że ta noga zaczyna sztywnieć.

— Około osiemdziesięciu, dziewięćdziesięciu mil stąd. Jednakże drogi są już w lepszym stanie, przynajmniej tak mnie poinformowano.

Joel zamknął oczy.

— Podaj mi lekarstwo, ułóż mnie wygodnie na wozie i ruszajmy.

Ostatnie mile podróży były najbardziej wyczerpujące. Spocona twarz Barneya, osłonięta szerokim rondem kapelusza, była pokryta grubą warstwą kurzu, a Joel leżał na swoim brudnym pościeliu i nie poruszał się. Jego twarz była blada jak wosk. Nie byli w stanie dotrzeć do Durban przed zmierzchem, chociaż ich wóz był teraz lekki, ponieważ zjedli już wszystko, co mieli do zjedzenia. Co jakiś czas Barney musiał jednak zatrzymywać woły na środku zapyłonej drogi, wycierać twarz Joela nawilżoną ściereczką i podawać mu lekarstwa przeciwbólowe. Noc spędzili na obrzeżach Pinetown pod płóciennymi pałatkami, słuchając hałaśliwej muzyki cykad.

Kiedy w końcu dotarli do Durban, była sobota, 23 grudnia. Przypominali dwóch wyczerpanych uczestników jakiejś nieudanej, pionierskiej wyprawy i przechodnie gapili się na nich z zainteresowaniem, kiedy powoli jechali w stronę centrum miasta.

Pomimo upału zewsząd zwisały bożonarodzeniowe dekoracje. Sklepy ozdobione były flagami, a żelazne barierki ciągnionych przez konie omnibusów owinięte były kolorowymi wstążkami. Leżące pod błękitnym niebem Durban wyglądało jak małe, dobrze prosperujące brytyjskie miasteczko, z szerokimi ulicami, eleganckimi powozami i solidnymi budynkami podobnymi do tych w Croydon.

Barney zapytał o drogę ogorzałego Anglika, właściciela sklepu z artykułami spożywczymi, stojącego w drzwiach w pasiastym fartuchu i palącego poranną fajkę. Mężczyzna wskazał cybuchem hotel Natalia, ale nigdy nie słyszał o kimś, kto nazywałby się sir Thomas Sutter, a nawet nie znał żadnego z jego krewnych.

— Nie mam zielonego pojęcia — powiedział, po czym dodał: — Ten facet na wozie wygląda nieszczęśliwie.

Barney bez słowa wdrapał się na kozioł i zaciął batem woły.

Jak na ironię, zamieszkał z Joelem w hotelu o nazwie Natalia. Na początku kierownik nie chciał przyjąć Joela, ale kiedy Barney zamówił apartament i zapłacił z góry angielskimi pięciofuntowymi banknotami, mężczyzna gwizdnął na czterech Murzynów w białych szortach i rozkazał im wnieść Joela na hotelowych noszach do pokoju na górze.

— Byle tylko nie umarł — powiedział kierownik, głośno wycierając nos grzbietem dłoni, i spojrzał na Barneya, który wpisywał nazwiska do hotelowej księgi gości. — To odstrasza i niepokoi klientów, wie pan, o co mi chodzi.

Barney rozejrzał się po hotelowym foyer wyłożonym zielonymi marmurami. Zasłony w oknach były zaciągnięte, gdzieś stały fotele obite skórą, a przy wejściu — obowiązkowy stojak do parasoli w kształcie słoniowej nogi. Po tygodniach przebytych w górach, czuł się taki wyczerpany, że żaden z tych pięknych wiktoriańskich przedmiotów nie wywierał na nim żadnego wrażenia. Smukła kobieta, która w letniej, długiej sukni sunęła po wyfroterowanej lustrzanej posadzce, wydawała mu się wyrwana z baletu zapamiętanego ze snów.

— Przy okazji, czy nie zna pan rodziny o nazwisku Sutter? — zapytał Barney.

Kierownik skończył wycierać nos i przyglądał dłońmi swoje czarne, posmarowane brylantyną włosy.

— Sutter? A może Sutterowie?

— Nie wiem. A kim są Sutterowie?

— Sutterowie są właścicielami towarzystwa okrętowego pod tą samą nazwą, którego siedziba mieści się w Port Natal. I są ludźmi, o których pomyślałbyś w pierwszym rzędzie, gdybyś chciał wysłać cokolwiek do jakiegokolwiek portu wschodniego wybrzeża Afryki. Mogłaby to być paczka, papuga albo fortepian.

— Gdzie mieszkają? — zapytał Barney. Kierownik odwrócił księgę i zerknął na podpis Barneya.

— Na pewno pan trafi. To około mili stąd, na południe, w kierunku Umlazi. Duży, cytrynowego koloru dom, stojący na terenie prywatnego ogrodu z palmami. Ale nigdy się pan tam nie dostanie bez zaproszenia. A już na pewno nie, jeżeli będzie pan tak ubrany.

— Proszę wysłać bagażowego, żeby przyniósł kufer z mojego wozu — wydał polecenie Barney. — Wewnątrz są dwa garnitury i kilka koszul. Chcę, żeby zostały odświeżone i wyprasowane. A następnie proszę przysłać na górę do mojego pokoju befsztyk i butelkę wody mineralnej.

— Czy jeszcze czegoś pan sobie życzy, panie Blitz?

— Tak. Czy w Durban jest synagoga? Mężczyzna spojrział na niego z rozbawieniem.

— Zapytam — odpowiedział i zamknął księgę gości z głośnym hukiem.

Barney wziął kąpiel w błyszczącej, emaliowanej wannie na lwich nogach i leżąc w gorącej wodzie, słuchał muzyki mosiężnych rur. Potem wytarł się do sucha ręcznikiem, wyszedł z łazienki i znalazł na łóżku w sypialni swój wyczyszczony ślubny garnitur i wyprasowaną koszulę. Pod wpływem gorącego żelazka i płynu odświeżającego rękawy były tak sztywne i sklezione, że musiał użyć siły królewskiego lodołamacza, przebijającego się przez lody Antarktyki, żeby wcisnąć koszulę na ramiona.

Pod srebrną pokrywą czekał na niego twardy befsztyk, butelka wody Ashbourne oraz lód. Usiadł na brzegu łóżka i łapczywie spałaszował mięso. Następnie dokładnie umył ręce w umywalce, zawiązał krawat i starannie uczesał wilgotne włosy.

Zanim wyszedł, poszedł jeszcze do drugiej sypialni, żeby spojrzeć na Joela. Joel spał, mamrocząc coś przez sen, jak gdyby śnił jakiś skomplikowany i subtelny sen, a nie koszmar pełen bólu, strachu i śmierci.

Poważny i elegancki w swoim szarym garniturze, Barney przeszedł przez foyer, stukając obcasami. Tubylec, który pracował w hotelu jako odźwierny, zatrzymał dla niego dwukołowy kabriolet zaprzężony w konia i powiedział coś o upalnej pogodzie. Na zewnątrz dwóch czarnuchów siedziało na ulicy i grało w karty. Barney dał odźwiernemu szylinga i wszedł do czarnego powozu z miną człowieka, który nic innego nie robił w życiu, jak tylko jeździł powozami. Czarnoskóry woźnica zaciął konia i ledwo zdążył wyjechać za róg ulicy, gdy Barney już poczuł, że się poci, wyszło mu w ustach, a w pośpiechu połknięty stek leżał mu na żołądku jak kawałek twardego drewna.

Wyjechali z miasta i podążali drogą między drzewami w kierunku Umlazi. Z lewej strony Barney mógł zobaczyć błyszczącą powierzchnię Oceanu Indyjskiego i dwa parowce pocztowe płynące do Port Natal. Powietrze było słodkie i mdlące od zapachu kwiatów i obumierającej subtropikalnej roślinności, a łoskot kół powozu zagłuszało brzęczenie owadów i nieustanne świergotanie ptaków.

Wreszcie dotarli do niewielkiego pagórka, który był nienaturalnie okrągły i jaskrawozielony. Okolony był palmami i zarośnięty wypielegnowaną i strzyżoną trawą, a ścieżki pomiędzy poszczególnymi trawnikami były tak proste i czyste, że aż irytowały. U stóp wzgórza stały pomalowane na czarno żelazne paliki w kształcie włóczni Zulu-sów; do posiadłości wjechać można było jedynie przez żelazną bramę przyozdobioną metalowymi, wiernymi replikami tarcz Zulusów.

Na szczycie pagórka stał wspaniały symetryczny budynek, pomalowany — tak jak to powiedział mężczyzna z hotelu Natalia — bładą, cytrynową żółcią. Wokół domu, w zielonych misach rosły owocujące właśnie niewielkie drzewka pomarańczowe, rozstawione w precyzyjnych odległościach, a pod każdym oknem były starannie przystrzyżone żywopłoty. W ogrodzie pawie rozpościerały swoje piękne ogony jak mechaniczne zabawki.

— Czy tutaj właśnie pan sobie życzył? — zapytał woźnica, obracając się na wytartym skórzanym siodle. — Khotso?

Barney siedział wyprostowany.

— Czy tak nazywa się to miejsce?

— Tak, szefie. Wszyscy o tym wiedzą. Tutaj pan chciał?

— Przypuszczam, że tak — odpowiedział Barney. — Ale zaczekaj na mnie.

Woźnica przywiązał konia w cieniu koralowego drzewa i zapalił glinianą fajkę. Barney wysiadł z powozu, przeszedł przez drogę i zbliżył się do bramy strzegącej dostępu do Khotso. Twardy befszyk spowodował, że bolał go żołądek, i powinien raczej leżeć w łóżku hotelowym, aby wypocząć i wyleczyć niestrawność, a nie szukać sir Thomasa Suttera.

Przy bramie nie było żywego ducha, ale wisiała rączka mechanicznego dzwonka, więc Barney pociągnął za nią dwukrotnie.

Czekając, aż ktoś się odezwie, czuł, jak pot cieknie mu po plecach.

Po minucie pojawił się niewysoki czarnoskóry mężczyzna w brzoskwiowych spodniach, w epoletach i białym turbanie na głowie. Szedł równym krokiem, zbliżając się z perspektywy precyzyjnie wytyczonej frontowej ścieżki i wymachiwał rękami jak żołnierz. Barney mógł co do sekundy przewidzieć czas, w jakim dotrze do bramy.

— Dzień dobry, sir — powiedział w końcu mężczyzna. — Czy życzy pan sobie zostawić wizytówkę?

— Chcę zobaczyć się z sir Thomasem Sutterem, jeżeli jeszcze tutaj przebywa.

— Sir Thomasem? Cóż, sir, jeszcze tutaj jest. Ale obawiam się, że je w tej chwili lunch. Czy życzy pan sobie zostawić wizytówkę?

— Powiedz mu, proszę, że tutaj czekam i że to pilne. Przyjechałem aż z Kimberley, z pół diamentowych.

Czarnoskóry mężczyzna podniósł do góry dłonie.

— Z całym szacunkiem, sir. Pani Sutter nie lubi, gdy przeszkadza się w lunchu. Bez względu na okoliczności. Kiedyś Sutterów zaatakowali Zulusi, sir, w czasie gdy urządzali piknik. Pani Sutter rozdawała gościom kanapki z mięsem, podczas gdy służba strzelała z pistoletów do Zulusów. Oto jak sprawy wyglądają, sir.

— Poczekam. To sprawa życia lub śmierci.

— Cóż, sir — powiedział czarnoskóry mężczyzna współczującym tonem. — Życie i śmierć to jedna sprawa, a lunch druga.

— Mój brat umiera i chcę zobaczyć się z sir Thomasem Sutterem.

W tym momencie na schodach domu pojawiła się dziewczyna — wysoka, z ciemnobrązowymi lokami, mająca na sobie rdzawego koloru atłasową sukienkę, obficie obszytą brukselską koronką. Zawahała się przez moment, przytknęła dłoń do czoła, żeby lepiej widzieć, co dzieje się przy bramie, a następnie ruszyła zdecydowanym krokiem w ich kierunku, przekrzywiając głowę z ciekawości.

Gdy podeszła bliżej, Barney zauważył, że jest bardzo wysoka, prawie tak wysoka jak on, chociaż miała na nogach atłasowe trzewiczki bez obcasów. Jej ciało było doskonale proporcjonalne, miała szerokie ramiona, duże piersi i wąską talię. Twarz była regularnego kształtu, miała

zdecydowane rysy i dosyć szeroko rozstawione oczy. Gdyby Barneya poproszono, żeby określił jej narodowość, to powiedziała, że jest Niemką albo Polką, ale na pewno nie Angielką. Wszystkie brytyjskie kobiety, które widział, miały kształty gruszki, opadające ramiona i biodra jak lawety armatnie.

Jednak jej głos był ostry i angielski, jak każdej kobiety, która pochodziła z południowej części Anglii. Kiedy podeszła już zupełnie blisko, zapytała:

— O co chodzi, Williamie? Co się tutaj dzieje?

Czarnoskóry mężczyzna dotknął palcami turbanu, cofnął się o krok, jak gdyby ukąsiła go żmija, lecz nic nie odpowiedział.

— Cześć — powiedziała dziewczyna, patrząc Barneyo-wi prosto w oczy. — Jestem Sara Sutter.

— Miło mi panią poznać — powiedział Barney. — Jestem Barney Blitz.

— No, no! Es-s i Be-e! To ci dopiero zbieg okoliczności! Wierzy pan w przeznaczenie?

— Proszę?

— Proszę nie przejmować się tym, co opowiadam. Ja wierzę! Czy chce pan się zobaczyć z tatusiem?

— Właściwie to szukam sir Thomasa Suttera.

— Wspaniałego wujaszka Te! Wielkie nieba, a cóż pan od niego może chcieć? W tej chwili prawdopodobnie przygotowuje się do poobiedniej drzemki! Ale proszę wejść! Nie mogę pozwolić, żeby pan tutaj stał jak pokutująca dusza.

William otworzył bramę na całą szerokość, chociaż Barneyowi wystarczyłoby aż nadto jedno skrzydło, żeby przejść. Sara Sutter obejrzała go od góry do dołu i powiedziała:

— Wygląda na to, że panu gorąco. Może ma pan ochotę na szklaneczkę soku? Albo na herbatę?

Poszli razem w kierunku domu. Na terenie posiadłości wszystko wydawało się jeszcze bardziej zadbane niż z zewnątrz. Barney odniósł wrażenie, że gdyby na ścieżce pojawił się jakiś odważny ślimak i zabrudził wydzieliną kamienie, to natychmiast przyszedłby służący ze ścierką, żeby je wyczyścić.

— Sądząc z akcentu, jest pan Amerykaninem? — zapytała Sara Sutter. — Zawsze potrafię określić ludzi po akcencie.

— Ma pani rację. Pochodzę z Nowego Jorku. Ale teraz mieszkam w Kimberley. Jestem górnikiem. Wydobywam diamenty.

— Na-praw-dę? Jakie to podniecające. Ojciec na pewno zainteresuje się panem, jeżeli tylko uda nam się go znaleźć. Wspaniałe wujaszek Te również. Och, niech pan spojrzy! Ależ ma pan szczęście! Oto on!

Za narożnika żółtego domu wyszedł wysoki mężczyzna z białą brodą i wspaniałym brzuchem jak u hipopotamicy w ciąży. Usiadł na złoczonej sofie wystawionej na zewnątrz, tuż przed parą otwartych na oścież francuskich okien, i zapalił cygaro. Owinięty był w błękitno-złocisty chiński szlafrok, a na nogach miał płócienne buty do gry w polo. Obok niego leżał stos „Time'ów”, a część gazet leżała na trawniku, zdmuchnięta przez popołudniowy wiaterek.

— Wspaniałe wujaszek Te! — zawołała Sara Sutter, łapiąc Barneya za ramię. — Ktoś chce się z tobą zobaczyć! Pan Blitz, z Kimberley!

Sir Thomas Sutter obejrzał Barneya od góry do dołu jednym okiem — drugie miał zamknięte, ponieważ drażnił je dym od cygara.

— Pan Blitz? Miło mi pana poznać! Pardon, że nie wstaję, ale później potrzebuję dziesięciu minut, żeby się usadowić. Ciężkostrawny lunch, rozumie pan.

Barney zdjął kapelusz.

— Przepraszam za najście — powiedział. — Ale mój przyjaciel z Kimberley powiedział, że jest pan tutaj na wakacjach, i miałem nadzieję, że jeszcze pana tutaj zastanę i że zgodzi się pan mi pomóc.

Sir Thomas pogładził brodę.

— Żydowskie, prawda? Blitz. Barney zamrugał oczami.

— Proszę?

— Nazwisko „Blitz”. Ono jest żydowskie, prawda?

— Tak, sir. Żydowskie. Pochodzimy z północnej części Niemiec. Później przenieśliśmy się do Nowego Jorku. Byliśmy krawcami, ale potem sprzedaliśmy interes i przyjechaliśmy tutaj.

— Rozumiem. Podziwiam Żydów. Są znakomitymi lekarzami. I umieją robić wielkie pieniądze. Rothschildowie są moimi szczególnymi przyjaciółmi.

Barney nie wiedział, co ma powiedzieć. Wzruszył ramionami i uchylił kapelusza, udając, że jest zadowolony z tego, co usłyszał.

— Tak, jeżeli przyjechał pan aż z Kimberley w nadziei, że mnie pan spotka, to z pewnością czegoś pan ode mnie potrzebuje. Jakiejś porady medycznej? Pomocy w założeniu szpitala polowego?

Barney odpowiedział:

— To prawda, potrzebuję pańskiej pomocy. Ale obawiam się, że nie ma to nic wspólnego z filantropią.

— Mam nadzieję, że nie potrzebuje pan pomocy chirurgicznej? Jestem na wakacjach. Ponadto zostawiłem moje skalpele w Londynie.

— Obawiam się, że dokładnie tego od pana oczekuję. Sir Thomas zaciągnął się cygarem i wypuścił dym.

— Ale nie dla pana, mam rację? Wygląda pan na okaz zdrowia.

— Nie, sir. Dla mojego brata Joela. Miał wypadek w kopalni, w Wielkiej Dziurze, w Kimberley. Zgniotło mu nogę i przypuszczam, że ma zmiądzoną miednicę. Złamał też trzy albo cztery zębra.

— Przykro mi to usłyszeć. Kiedy to się stało?

— Około sześciu tygodni temu.

— Sześć tygodni temu?

— Z Kimberley do Durban jest ponad pięćset mil. Przywiozłem go tutaj tak szybko, jak mogłem.

Sir Thomas wydał policzki.

— Tak... rozumiem. Udało się panu dokonać tego w rekordowym czasie. Ale przypuszczam, że złamania zrosły się i wątpię, czy potrafię w czymś pomóc.

— W dalszym ciągu cierpi na bóle bioder, sir Thoma-sie, a jego lewa noga jest zniekształcona.

— Ale skóra nie jest nigdzie pęknięta? Nie ma otwartego złamania?

— Nie, sir. Był pokaleczony, ale wszystkie rany się zagoiły.

— No cóż — powiedział sir Thomas. — Wygląda na to, że nie jest tak źle, skoro przeżył sześciotygodniową podróż z Kimberley do Durban. Na pewno wszystko będzie dobrze. Czy może chodzić?

— Nie, sir.

— Ma uszkodzoną kość udową. Myślę, że tego należy się spodziewać. Rozumie pan, kiedy kość jest złamana, tworzy się sporej wielkości skrzep, który z czasem zamienia się w coś, co nazywamy miękką tkanką. Później miękka tkanka wchłania sole limfatyczne i one pomagają uformować twardą tkankę w postaci pierścienia. Jeżeli złamane kawałki kości nie są odpowiednio ustawione, pierścień

na łączeniu jest grubszy niż powinien być i dlatego tego typu wadę jest trudniej skorygować.

— Przypuszczam, że miednica również nie zrosła się prawidłowo. Przez cały czas narzeka, że go boli i uwiera.

— Nazywamy to *crepitus* — powiedział sir Thomas. — Jeżeli pański brat ma takie odczucia, to znaczy, że jego miednica uległa tak skomplikowanemu złamaniu, że najpierw zrosła się, a później ponownie rozpadła na kawałki. Trudno cokolwiek powiedzieć. Musiałbym go zbadać.

— Zrobi to pan?

Sir Thomas spojrzął na Barneya. W ogrodzie paw wydał przeciągły, smutny krzyk.

— Mój drogi przyjacielu — powiedział. — Jestem na wakacjach.

— Mogę panu zapłacić, ile tylko pan zażąda.

— Jestem pewien, że pan może. Ale w Durban jest wielu dobrych chirurgów. Jest Pięter Botha w szpitalu Kalwina w Durban. Jest Humphrey Young w Port Natal. Nie mam tutaj ani moich asystentów, ani narzędzi.

— Ale jest pan najlepszy — nie poddawał się Barney. Sara Sutter powiedziała:

— Nie wiem, dlaczego droczysz się z panem, wspaniały wujaszku Te. Kiedy tylko tutaj przyjechałeś, zacząłeś mówić o powrocie do pracy. Jestem pewna, że marzysz o tym, żeby zoperować brata pana Blitza, czyż nie mam racji?

— To wykluczone — zaprotestował sir Thomas.

Zza rogu domu wyszedł wysoki, sztywny mężczyzna w białym obiadowym garniturze. Podeszedł bliżej i spojrzął na nich ze zdziwieniem.

— Co jest wykluczone? — zapytał ostrym głosem.

— To jest Gerald Sutter, mój bratanek — wyjaśnił sir Thomas. — Geraldzie, ten dżentelmen przyszedł tutaj, żeby zasięgnąć mojej opinii medycznej.

— Dzień dobry — powiedział Gerald Sutter suchym głosem, nie wyciągając dłoni. — Obawiam się, że mój stryj jest tutaj na wakacjach i naprawdę wolelibyśmy, żeby pacjenci zostawili go w spokoju. Będzie miał dosyć zajęć, kiedy wróci z powrotem do Londynu.

— Jednak pan Blitz wywarł na mnie wrażenie — wtrącił się sir Thomas. — Jego brat miał wypadek w Kimberley, a on przejechał pięćset mil, żeby się ze mną spotkać.

— Obawiam się, że pan Blitz jest zbyt optymistycznie nastawiony do życia — powiedział Gerald Sutter. — Można zaryzykować sześciomiesięczną podróż do Londynu, żeby prosić królową o tytuł szlachecki, ale to wcale nie znaczy, że się na niego zasługuje.

— Och, tatusiu, nie bądź taki pompatyczny — powiedziała Sara. — Tu jest Natal, a nie Londyn! A jego brat może umrzeć!

— Wszystko jedno — powiedział Gerald Sutter, odwracając głowę w stronę Barneya i zimno się uśmiechając. Wykonał przy tym gest ręką, którym dał Barneyowi do zrozumienia, że powinien odejść.

— Nie, nie! — zawołał sir Thomas. — Cała sprawa ma dla mnie pewien urok. Nazwałbym ją... dramatyczną. Kiedy wrócę do Londynu, wygłoszę moim studentom kilka referatów na temat wytrwałości ludzkiej. Geraldzie, gdybyś mógł załatwić dla mnie salę w szpitalu Dalitary, to podjąłbym się operacji.

— Stryju, doprawdy! — zaprotestował Gerald. Zwrócił się do Barneya. — Mój stryj miał odpocząć. Nie jestem zachwycony całą tą sprawą.

— Musiałem spróbować — powiedział Barney krótko. Sara Sutter klasnęła w dłonie.

— Wspaniały wujaszek Te ma absolutną rację! To prawdziwy dramat! Jak w teatrze! Panie Blitz, musi pan zostać na herbacie. Jestem pewna, że wspaniały wujaszek Te chce zadać panu

mnóstwo pytań.

Gerald Sutter westchnął z rezygnacją.

— Czy jesteś pewien, że tego właśnie chcesz, stryju? Czy nic nie mogę zrobić, żeby wpłynąć na zmianę twojej decyzji?

— Drogi Geraldzie, miałem najwspanialsze wakacje w całym moim życiu. Siedem miesięcy błogiej samotności i kontemplacyjnych studiów. Znakomicie się bawiłem. Twój dom został trafnie nazwany. Ale trafił się interesujący przypadek. Kości muszą być ponownie złamane, skrócone i jeszcze raz zestawione, a do tego w kolonialnych warunkach. Muszę przyznać, że bardzo chciałbym się tym zająć.

W końcu Gerald Sutter kiwnął głową na zgodę.

— Dobrze, stryju. Skoro ma to cię uszczęśliwić? Saro, czy mogłabyś zadzwonić na Umizinto, żeby przyniósł herbatę?

Dwóch czarnych służących przyniosło ozdobne ogrodowe krzesła i nakryło stół bladym adamaszkowym obrusem. Następnie nalali herbatę do kruchych filiżanek, ale nie podali ani cukru, ani śmietanki.

— To najdroższa z rodzaju Formosa Oolongs — zauważył Gerald Sutter. — Nazywa się Brzoskwiniowy Kwiat i w Londynie można za nią dostać najmniej osiem funtów. Jej Wysokość pije ją, ale nie zawsze może ją kupić. Ja piję ją zawsze o czwartej po południu.

— Znakomita — powiedział Barney. — Nie mamy takich specjałów w Kimberley, nie mają nawet ci, którzy mogą sobie na nie pozwolić.

Następna godzina minęła w spokoju i cywilizowanej atmosferze; po raz pierwszy od miesiący Barney poczuł się zrelaksowany i wypoczęty. Słońce powoli zachodziło za palmy, których szerokie cienie kładły się na wypielegnowanych trawnikach. Do stołu zbliżyły się pawie gotowe do porwania każdego okruchu spadającego na ziemię. Sir Thomas mówił o problemach związanych z nastawianiem kości, a Gerald o szybkich parowcach i o tym, że mógł wysłać paczkę z Port Natal do zatoki Delagoe i że podróż zajęłaby najwyżej czterdzieści jeden godzin.

— Cała nasza uwaga skupiona jest teraz na Zulusach — powiedział Gerald. — Mpande nie jest dla nas zbyt łaskawy, ale jeżeli Mpande umrze, jego miejsce zajmie Cetewayo, a Cetewayo jest jednym z tych czarnoskórych dżentelmenów, którzy nie mogą zapomnieć o wspaniałych czasach Shaka'i.

— Obawiam się, że czasy Shaka'i nie były aż tak wspaniałe — dodał sir Thomas. — Interesowała go anatomia, tak jak i mnie, szkoda tylko, że nie posiadał tych samych co i ja umiejętności. Pewnego razu rozkazał otworzyć brzuchy setce kobiet w ciąży, tylko dlatego że przez chwilę zainteresowała go embriologia.

— Wspaniały wujaszku Te! — zaprotestowała Sara, odstawiając swoją filiżankę.

— Przepraszam cię, moja droga — powiedział sir Thomas. — Zawsze zapominam, że szczegóły krwawej medycyny doprowadzają ludzi do zasłabnięcia.

Po herbacie Sara odprowadziła Barneya do bramy.

— Jestem pani niewymownie wdzięczny — powiedział Barney. — Dziękuję.

— Przypuszczam, że zostanie pan w Durban jakiś czas, jak tylko pański brat lepiej się poczuje?

— Tak długo, jak to będzie konieczne.

— A co z pańskimi kopalniami diamentów?

— Będą musiały poczekać. Sara uśmiechnęła się.

— Doprawdy, jest pan bardzo bezpośrednim i bardzo zdeterminowanym człowiekiem. Będę zachwycona, jeżeli przyjdzie pan kiedyś do nas na kolację. Porozmawiam w tej sprawie z tatusiem.

— Pani ojciec nie ma uprzedzeń w stosunku do Żydów?

— A dlaczego miałyby je mieć, na miłość boską? Matka mojej matki pochodziła z bardzo arystokratycznej, rosyjskiej rodziny żydowskiej. Musi pan poznać moją matkę. Jest taka piękna, a przy tym lubiana w towarzystwie.

— A więc posiada te wszystkie cechy, które pani po niej odziedziczyła — powiedział Barney. Sara Sutter skrzywiła się zabawnie i zachichotała.

— Uwielbiam, jak mi się pochlebia. Tutaj rzadko słyszy się komplementy.

— Przy okazji, co to znaczy Khotso? — zapytał Barney, dotykając umieszczonej na bramie tabliczki z nazwą.

— W narzeczu plemienia Basuto znaczy „pokój” — odpowiedziała Sara. — Przypuszczam, że pan powiedziałby *shalom*.

Barney wziął ją za rękę.

— Tak. Powiedziałbym *shalom*.

Barney spędził Boże Narodzenie samotnie w swoim apartamencie hotelu Natalia. W niedzielę rano, w Wigilię, przybyło czterech czarnoskórych tragarzy z wojskowego szpitala w Durban, załadowało Joela na nosze i zabrało go do szpitala, żeby mógł zostać dokładnie zbadany, wykąpany i przygotowany do operacji. Tego samego dnia, później, posłaniec przyniósł Barneyowi list na miedzianym talerzu. Pismo było ledwie czytelne. List informował Barneya, że sir Thomas przystąpi do operacji po pierwszym dniu świąt, we wtorek, i że ma nadzieję, iż w dwa albo w trzy miesiące po operacji Joel zacznie chodzić, ponieważ obrażenia wewnętrzne nie były zbyt poważne. Życzył też Barneyowi wesołych świąt.

Świąteczny dzień Barney spędził w łóżku, na zmianę śpiąc i czytając. Przeczytał nawet Pierwszą Księgę Samuela z Biblii, którą zostawiło mu pod drzwiami Londyńskie Towarzystwo Misyjne. „Pan uczynił biednych i uczynił bogatych; jednych wywyższył, a drugich poniżył. Wywyższył biednych, wyciągając ich z pyłu i wydobył żebraka z jamy zwierzęcej, aby posadzić ich między książąt, i pozwolił im odziedziczyć koronę chwały”.

W porze obiadowej kierownictwo hotelu przysłało mu do pokoju tacę z tradycyjnym świątecznym posiłkiem: indyka, kielbasę i pieczone ziemniaki. Na talerzu znalazła się nawet gałązka ostrokrzewu. Barney jadł posiłek w ciszy i skupieniu, siedząc na krawędzi łóżka. Oczywiście, będąc w domu, nigdy nie obchodził świąt Bożego Narodzenia, a kiedy mieszkał w Oranjerivier, to, że były święta, odgadnąć można było z jiodwójnej ilości spożywanego przez Mon-saraza alkoholu. Święta nigdy nie były dla Barneya żadnym religijnym przeżyciem ani okazją do wspomnień.

Całe Durban świętowało, głos dzwonów kościelnych niósł się ponad zardzewiałymi dachami, wykonanymi z falistej blachy, odbijał się od zarośniętych drzewami wzgórz i sprawiał, że Barney czuł się jeszcze bardziej samotny. *Chanukah* obchodził, będąc gdzieś w górach. Leżąc zawinięty w kocach, wyszeptał modlitwę i to było wszystko. Teraz czuł, że jednak potrzebował swojego Boga i swojej religii, a nade wszystko zaczął tęsknić za Mooi Klip.

Pod oknem, na blacie biurka, stał wyschnięty kałamarnica i kilka arkuszy papieru z nadrukiem „Natalia”. Wziął jedną kartkę do ręki i dotknął napisu końcami palców. Natalia. Następnie odłożył ją z powrotem na biurko. Pan jednych wywyższył, a drugich poniżył. Och, Boże, modlił się, nie poniżaj mnie. Och, Boże, nie poniżaj mnie.

O piątej postanowił iść na spacer. Kiedy szedł przez foyer, zawołał go zastępca kierownika i wręczył mu niewielką, zapakowaną w brązowy papier paczuszkę.

— To dla pana, panie Blitz. Pięć minut temu zostawił ją posłaniec.



Barney wziął paczkę, usiadł na jednym ze skórzanych foteli i otworzył ją. Wewnątrz znajdowało się pudełko obciągnięte czerwoną skórą, a w środku pudełka leżał srebrny scyzoryk z wygrawerowanymi inicjałami B.B.

Do scyzoryka przywiązana była mała karteczka, na której skreślono następujące słowa: „Dla pana Barneya Blitza, z życzeniami wszelkiej pomyślności, Sara Sutter”.

Nóż był najwłaściwszym prezentem dla Barneya. Jeszcze tego samego dnia zaciął się nim do kości.

Joel powiedział mu później, że cierpienia, jakie musiał znosić podczas podróży przez góry Drakensberg, były niczym w porównaniu z bólem, jaki mu zadał sir Thomas Sutter. Sir Thomas Sutter musiał ponownie złamać mu nogę i biodro, wyciąć zbędne kawałki kości i zestawić je najlepiej, jak tylko potrafił. Żebra były w porządku, same się zrosły prawidłowo, ale obojczyk trzeba było złamać i nastawić jeszcze raz. Kiedy Barneyowi po raz pierwszy pozwolono zobaczyć się z Joelem, w środę wieczór, Joel leżał na wyciągu. Miał bladą twarz, a zmysły przytępione przez morfinę. Zapytał jedynie:

— Jak się czuje mama?

Sir Thomas Sutter czekał w sąsiednim pokoju w towarzystwie dwóch asystentów.

— Pański brat będzie żył. Dzięki Bogu będzie również chodził, z tym że o lasce. Muszę przyznać, że to był najbardziej interesujący i najtrudniejszy przypadek w mojej karierze. W Anglii rzadko się zdarza, żeby operować tak poważnie poturbowanego pacjenta po sześciu tygodniach od wypadku.

— Jestem panu bardzo wdzięczny — powiedział Barney.

— To ja jestem panu wdzięczny, że go pan tutaj przywiózł. W ten sposób koniec wakacji spędziłem bardzo rekreacyjnie. Proszę mi wybaczyć, że nieszczęście pańskiego brata nazywam rekreacją.

— Prawdopodobnie to jest najwłaściwsze słowo — uspokoił go Barney.

— To doskonale — powiedział sir Thomas. — Koniecznie proszę przyjść dzisiaj wieczorem, żeby zjeść z nami kolację. Moja wnuczka absolutnie nalega, żeby pan przyszedł, ja także. Przypuszczam, że podadzą znowu indyka na zimno. Szczerze mówiąc, Gerald okazał się rozrzutnym człowiekiem i zamówił indyka wielkości strusia; będziemy go jeść w postaci curry i krokietów do marca. Wcale bym się nie zdziwił. Niech się męczą, ja wracam do Londynu zaraz po Nowym Roku.

— Czy mam dosyć czasu, żeby się przebrać? — zapytał Barney.

— Ależ oczywiście, drogi przyjacielu. Zabiorę pana z hotelu o szóstej, kiedy tutaj skończę. Na górze jest kolejny frapujący przypadek. Ordynans z dwudziestego czwartego regimentu piechoty został przydepnięty przez słonia. To cud, że w ogóle żyje.

Barney poszedł do hotelu Natalia pieszo, mijając po drodze oświetlone witryny sklepowe i świątecznie przyozdobione restauracje. Wiała bryza, a niebo było upstrzone gwiazdami. Kiedy mijał róg ulicy Handlowej, z cienia wyszła kobieta i zaczepiła go, ale potrząsnął głową i poszedł dalej, nawet się nie zatrzymując. Z okien dochodził go aromat mocno przyprawionych, wschodnioafrykańskich potraw.

Sir Thomas pomylił się: Sutterowie nie podali indyka na zimno, ale pieczeń z jagnięcia, zupełną zółwiową oraz tacę pełną sałatek i galaretek. Pani Sutter, żona Geralda, okazała się kobietą tak samo piękną jak jej córka — miała ciemne włosy, była szczupła i wysoka, miała długą białą szyję i natychmiast wprawiła Barneya w swobodny nastrój, kiedy zaczęła z siebie żartować, jak to zapomniała, co kazała kucharzom przygotować na dzisiejszy wieczór.

— Byłam pewna, że miała być ryba — powiedziała. — Moje podniebienie jest rozczarowane, że podano jagnię.

Wnętrza Khotso były tak sarno wypielęgnowane jak ogrody. Posadzka jadalni została wykonana z błyszczącego i wypolerowanego angielskiego dębu, a na ścianach zawieszono zwierciadła. Salon, do którego poszli po kolacji, obity był błękitnym jedwabiem i umeblowany eleganckimi mahoniowymi meblami. Pani Sutter usiadła na małej francuskiej sofie. W swojej wieczorowej wzorzystej pelerynie przypominała kwiatowy kielich. Sara siedziała obok Barneya, włosy miała zaczesane do tyłu i spięte sznurem pereł. Ubrana była w jasną, pomarańczową sukienkę, która kolorem przypominała kwitnące drzewo koralowe, zwiastujące południowoafrykańską wiosnę.

Zarówno Gerald Sutter, jak i sir Thomas mieli na sobie wykrochmalone białe koszule, białe krawaty i fraki. Barney czuł się trochę niezręcznie w swoim dobrze skrojonym, ale jednak zwykłym garniturze.

— Wujek jest zachwycony postępami, jakie robi pański brat — uśmiechnęła się pani Sutter. — Muszę przyznać, że my również.

— Przypuszczam, że kiedy to wszystko się zaczęło, to był pan kłębkim nerwów — powiedział Gerald Sutter. — Ale wszystko dobre, co się dobrze kończy. Stryj trochę się rozerwał, pański brat został wyreperowany, a Sara zyskała nowego przyjaciela.

— Co pan robi jutro? — zapytała Sara. — Czy nie ma pan ochoty na małą przejażdżkę?

— Nie mam tutaj konia. Ponadto nie mam odpowiedniego stroju do konnej jazdy.

Gerald Sutter spojrział na Barneya z rozbawieniem.

— Mój drogi chłopcze, mamy tutaj około dwudziestu pierwszej klasy wierzchowców oraz pewną liczbę bezpiecznych, spokojnych koni dla początkujących jeźdźców. Może pan wypożyczyć, jakiego pan tylko zechce. A co do stroju, to mamy tyle kompletów, że możemy ubrać całą armię zuluską.

— Tak — wtrącił sir Thomas. — Byłoby miło zobaczyć dla odmiany tych czarnuszków porządnie odzianych.

Wszyscy się roześmiali, a służący imieniem Umizinto, ubrany na wieczór w biało-żółty kostium i w peruce z mysim ogonkiem, pochylił się nad nimi, żeby dolać kawy.

Następnego dnia Barney i Sara zabrali ze stajni siwka i kasztanka i pojechali w kierunku plaży, w miejsce gdzie rzeka Umlazi wpada do Oceanu Indyjskiego. Był wilgotny, mglisty poranek. Sara jechała z przodu, siedziała wyprostowana w siodle, a kopyta jej rumaka rozbryzgiwały wodę na płycznach, co powodowało, że otoczona była perlistą mgiełką. Kapelusz do konnej jazdy miała modnie przekrzywiony na czoło, materiał sukienki starannie ułożony na bocznym siodle. Zatrzymali konie, aby posłuchać szmeru fal. Od czasu do czasu rozlegało się buczenie syren statków pocztowych, które zbliżały się do Port Natal. Po chwili Sara zsunęła się z siodła i prowadząc konia za uzdę, poszła w kierunku plaży, tren jej sukienki ciągnął się po wodzie. Barney pojechał za nią i kiedy znalazł się już na piasku, również zsiadł z konia.

— Czasami wydaje mi się, że to najodleglejszy zakątek w całym imperium — powiedziała Sara. Jej twarz okolona była trójkątem, którego boki tworzyły pierś konia, jego szyja i dolna krawędź szczęki.

— Czy jesteś samotna? — zapytał Barney. Sara spojrziała na niego.

— A ty nie jesteś?

Oczywiście, towarzyszyła im przyzwoitka — kobieta z plemienia eLangeni, która wychowywała Sarę, odkąd ta skończyła dziewięć lat. Trzymała się od nich w przyzwoitej odległości, była gruba i bardzo czarna. Jechała na kudłatym kucu i trzęsła się i podskakiwała w siodle, tak że Barney nie

mógł oprzeć się pokusie i co jakiś czas zerkał do tyłu, żeby sprawdzić, czy jeszcze nie odpadła od zwierzęcia. Ale w tej chwili kobieta eLangeni zsiadła z kuca i z zainteresowaniem patrzyła w spienione fale.

— To nie jest dobre — powiedziała Sara takim tonem, że Barney zrozumiał, iż mimo wszystko była z tego zadowolona.

Barney nic nie odpowiedział, ale puścił wodze, objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie. W butach do konnej jazdy była prawie tak wysoka jak on, jednakże bardzo kobieca, ciepła i zmysłowa. Pocałowali się Barney poczuł zapach jej perfum. Jeszcze raz się pocałowali. Przyciskał ją mocno do swojego ciała, była tak blisko i Barney modlił się do Boga, żeby trwało to wiecznie. Zamknął oczy, słuchał szemrzącego oceanu, a potem je otworzył i spojrzał w oczy Sary, które były tak blisko, że wyraźnie widział jej brązowego koloru tęczy.

— Jesteś taki silny — powiedziała. — Ale czasami jesteś słaby. Widzę twoją słabość wyraźnie. To dlatego jesteś dla mnie taki atrakcyjny.

Przycisnął czoło do jej czoła, przez cały czas obejmując ją w pasie.

— Czy to ma sens? — zapytał. — Wkrótce będę musiał wyjechać do Kimberley.

Delikatnie dotknęła jego ust końcami palców.

— Jak możesz teraz myśleć o przyszłości? Jutro Zulusi mogą wstąpić na ścieżkę wojenną i wszyscy będziemy martwi. Zakłuci we własnych łóżkach.

— Dlaczego uważasz, że będą chcieli wszystkich pozabijać?

Sara pocałowała go.

— Muszą to zrobić. Mają to we krwi. Każdy musi robić to, do czego zmusza go przeznaczenie.

Uwolnił ją z objęć i odwrócił się. Jego koń szarpał zębami wodorosty.

— Nie proszę cię, żebyś mnie pokochał — powiedziała Sara.

Pokiwał głową.

— Wiem. Ale właśnie teraz czuję, że mógłbym kogoś pokochać.

Joel zaczął chodzić pod koniec lutego. Każdego popołudnia Barney odwiedzał go w szpitalu wojskowym i za każdym razem Joel pocąc się i stękając, chodził chwiejnym krokiem po oddziale, podpierając się laską, po czym zlany potem, ciężko łapiąc powietrze, siadał koło Barneya na łóżku, trzęsąc się jak staruszek.

— Będę chodził, jeszcze trochę, zobaczysz.

— Sir Thomas powiedział, że zawsze będziesz musiał podierać się kulą.

— Tak uważasz? To dowodzi, że sir Thomas byłby nikim innym jak tylko *gonifem*.

— *Gonifem!* Po tym jak cię poskładał?

Joel pochylił się do Barneya i skrzywił usta w uśmiechu.

— Pewnego dnia, mój mały braciszku, nauczysz się, o co chodzi w życiu. Życie polega na braniu, ale nie wolno nikomu ufać. Ty żyjesz inaczej i dlatego jesteś szalony.

— Zaufałem tobie w sprawie naszej działki diamentowej.

— I co z tego? — zachnął się Joel.

— Nie rozumiem, jak możesz spojrzeć mi w oczy po tym, co zrobiłeś. Wszystkie nasze pieniądze. Musisz być niespełna rozumu.

— To był największy poker, jaki widziałem. Mogłem wygrać pięćdziesiąt tysięcy. Wtedy nie miałbyś pretensji.

— Ale nie wygrałeś — powiedział Barney. — Straciłeś wszystko. A do tego kłamałeś. Powiedziałeś, że przepisałeś działkę na nas dwóch. Nawet nie byłeś w Komitecie Górniczym, żeby

tego dokonać, prawda? Jesteś *momzer*.

— Barney — zaprotestował Joel. — Jesteś moim bratem.

— Jasne, że jestem twoim bratem. I często marzę o tym, żeby nim nie był.

Joel roześmiał się niepewnie.

— No cóż — powiedział. — Nawet nie wiem, czy mam  
0 to do ciebie pretensje.

Barney potarł oczy, przesiadł się na składane krzeselko

I podparł głowę rękami.

— Nie ma o czym mówić. Straciliśmy działkę, straciliśmy nasze oszczędności w banku.

*Mechuleh*. Wszystko skończone!

Popołudniowe promienie słoneczne odbijały się w podłodze pokrytej parkietem. Na sąsiednim łóżku leżał brytyjski żołnierz z amputowaną nogą i grał w grę planszową zwaną „Zemsta Lorda Chelmsforda”.

— Czasami myślę, że zwariowałem — powiedział Joel.

— Na miłość boską, wcale nie zwariowałeś!

— Ale to prawda, Barney. Czasami wydaje mi się, że cały świat na mnie napiera i że jedyną rzeczą, jaką mogę zrobić, jest ucieczka, zanim złapie mnie w swoje kleszcze. To jest tak jak było w Kimberley, kiedy mieszkaliśmy z Mooi Klip. Byłeś ty i ona, codzienne czynności, wstawanie, kopanie diamentów, sortowanie i czułem, jak wszystko chce mnie zmiażdżyć na śmierć. Każdy funt, który odkładaliśmy do banku, był jak cegła do mojego grobowca. Rozumiesz, co chcę powiedzieć? Wszystko to waliło się na mnie i czułem, że jeżeli chcę się uwolnić, to muszę wszystkiego się pozbyć. Barney nawet na niego nie spojrział.

— Powinienem był pozwolić ci umrzeć — powiedział gorzko.

— Problem polegał na tym, że nie chciałeś tego zrobić. — Joel na chwilę zamilkł. Później powiedział: — Tak, nie umarłem. I już nie zamierzam.

Całym ciałem oparł się na kulach i niepewnym krokiem poszedł w kierunku przeciwległej ściany, żeby ćwiczyć chodzenie. Barney obserwował go kątem oka; kiedy wreszcie doszedł do ściany, nagle zawołał:

— Aaach! Barney!

Barney zerwał się na równe nogi i pobiegł, żeby go podeprzeć.

Spotykali się z Sarą dwa, trzy razy w tygodniu. Zazwyczaj odbywali konną przejażdżkę pod opieką źle widzącej przyzwoitki, która telepała się za nimi na kudłatym kucu, ale kiedy grzmiało, siadali w pokoju, rozmawiali albo grali w ludo, słuchając, jak tropikalny deszcz uderza w szyby francuskich okien i obmywa kamienne sylwetki lwów stojących w ogrodzie i patrzących z żalobnymi minami i mokrymi nosami na rozpościerające się przed nimi trawniki.

Całowali się tak często, jak to było możliwe i obejmowali się. Ale nie było żadnej wątpliwości, że Sara zachowywała się jak młoda dama o odpowiednim wychowaniu i pójście do łóżka z wielbicielem przed ślubem było dla niej nie do pomyślenia. Miała dwadzieścia lat i dwa miesiące, była dziewicą i jedynym powodem, dla którego wcześniej nie wyszła za mąż, był fakt, że prowadziła w Khotso odizolowane życie, bogate, w atmosferze dobrych manier i nudy. Była przwdzi-wą córką brytyjskiego imperium. Kiedy Barney rozmawiał z Sarą, częstokroć szokował go fakt, że Sara z niezachwianą pewnością siebie twierdzi, że wszystko, czego dokonali Brytyjczycy, było zgodne z wolą Boga i że Zulusi oraz Burowie są niczym innym jak jedynie zakłócającymi spokój kreaturami, które pewnego dnia zakłócą Schemat Rzeczy do tego stopnia, że będą musieli dostać prawdziwą

nauczkę. To było twierdzenie, z którym Barney często się spotykał, odkąd przyjechał do Kolonii: będą musieli dostać prawdziwą nauczkę. Brytyjczycy wyobrażali sobie administrowanie świata jako lekcję geografii w angielskiej szkole publicznej.

Wtedy po raz pierwszy Barney zrozumiał sposób myślenia Cecila Rhodesa.

Na początku marca, pod koniec swojego urlopu, sir Thomas Sutter popłynął parowcem „Agamemnon” w powrotną drogę do Londynu, a Joel zaczął kuśtykać, podpierając się tylko jedną kulą. Barney był prawie zakochany w Sa-rze, do tego stopnia że nie wyobrażał sobie dnia bez spotkania z nią albo chociaż wysłania do niej listu; a kiedy już się z nią widział, to jechali na konną przejażdżkę, a potem wracał do hotelu Natalia w nastroju zadowolenia i zarazem frustracji. Pewnego wieczoru, kiedy wrócił z Khotso, poszedł do łazienki i zaczął się wściekle onanizować, aż poczuł na rękach wytrysk spermy. Powinien był iść do jakiejś dziwki, ale nie chciał. Nie miał ochoty na obcowanie z inną kobietą, pragnął tylko Sary. Położył się później na łóżku, czując się pusty i zaspokojony i obserwował biegające po suficie jaszczurki, żyjące w swoim odwróconym do góry nogami świecie, w którym nieznane było uczucie winy i samotności.

W końcu zaczynały kończyć się pieniądze. Sir Thomas Sutter wziął za operację i rehabilitację tylko 150 funtów, ale 200 funtów trzeba było zapłacić za szpital, a resztę pochłonęły rachunki hotelowe. Rano, jedenastego marca, Barney musiał pojechać do Khotso i powiedzieć Sarze, że wyjeżdża do Kimberley.

Był gorący i słoneczny dzień, ale w oddali, nad Oceanem Indyjskim, zebrały się niebieskoczarne burzowe chmury i błyskawice zaczęły dotykać powierzchni wody.

— Czy jeszcze się zobaczymy? — zapytała Sara zduszonym głosem. — Kiedykolwiek?

Barney skinął głową.

— Wrócę, jeżeli będziesz tego chciała. Ale teraz muszę wyjechać, żeby pilnować swoich spraw.

— Cóż, spodziewam się, że uda mi się być dzielną — powiedziała Sara, uśmiechając się z trudem.

Złożyła ręce i przeszła kilka kroków ogrodową ścieżką, po czym odwróciła się i spojrzała na niego z bólem.

— Musisz? — zapytała. — Czy naprawdę musisz?

— Przykro mi — powiedział Barney.

— Och! — zawołała i jej oczy wypełniły się łzami. — Och, Barney.

Wziął ją za rękę.

— Nie ma innego wyjścia. Muszę wracać do Kimberley.

— Ale mogłabym pojechać z tobą.

— Ty? Do Kimberley? Czy masz pojęcie, co to za miejsce?

— Wiem jedynie, że ty tam będziesz. Beze mnie.

— To skupisko wariatów. Wszędzie panuje brud, brakuje świeżej wody. Brakuje żywności. Towarzystwo handlarzy diamentów, prostytutek i pijanych kopaczy.

— Aleja ciebie kocham — zapiszczała.

Barney objął ją ramieniem i przytulił jej twarz do swojego ramienia.

— Muszę wracać, Saro. To wszystko. Jeżeli nie pojedę, to równie dobrze będę mógł sobie kupić bilet do Nowego Jorku i ponownie zabrać się do krawiectwa. A tam na pewno nie będziesz chciała ze mną pojechać.

— Nie będę chciała? — zapytała wyzywającym tonem. Jej oczy były pełne łez.

W oddali zagrzmiało. Wydawało się im, że to Zulusi uderzają dzidami w swoje tarcze, wydając

przy tym wojenne okrzyki: uSuthu! uSuthu!

— Daj mi trochę czasu — poprosił Barney. Spojrzała mu prosto w oczy.

— Ty mnie również. Nie znajdziesz sobie innej, prawda? Nie dbam o prostytutkę. To jeszcze mogłabym znieść. Ale nie następną narzeczoną.

— Narzeczoną?

Policzki Sary zaróżowiły się.

— Zakładam, oczywiście, że...

Barney złapał ją za rękę i przytrzymał w swej dłoni, mocno, bezpiecznie i ciepło.

— Saro — powiedział. — Jesteś z rodu Sutterów. Spójrz na ten dom, spójrz na jego otoczenie. Nie możesz ożenić się z kimś takim jak ja. Wiem, że nie przywiązujesz wagi do tego, że jestem Żydem, ale ja nawet nie jestem bogatym Żydem. Prawdę mówiąc, to nie mam już własnej działki.

— Barney, to wszystko nie ma żadnego znaczenia. Co mają do rzeczy pieniądze?

Opuścił głowę i spojrzał na swoje ręce.

— Chciałbym, żeby tak było. Ale boję się, że tak nie jest. Przykro mi, Saro. Trochę cię okłamałem, bo dobrze mi było w twoim towarzystwie. Nie, teraz kłamię. Uwielbiałem przebywać w twoim towarzystwie. Myślę, że cię kocham. Ale małżeństwo z tobą to niezbyt dobry pomysł. Nie miałabyś koni, służby, strojów. Nie mógłbym otoczyć cię zbytkiem, do jakiego przywykłaś. To byłby błąd.

— Rozumiem — powiedziała Sara takim tonem, że Barney pojął, iż wcale nie chce się z tym zgodzić.

— Wrócę — powiedział Barney. — Obiecuję. Kiedy zarobię trochę pieniędzy, a klnę się na Boga, że zarobię, wtedy wrócę.

— Kiedy?

— Nie wiem. Zaczynam od zera.

Bardzo starała się opanować, ale nie potrafiła. Spojrzała na Barneya, łzy ciekły jej po policzkach, i zdołała jedynie wykrztusić:

— Niech to nie trwa zbyt długo. Mogą mnie ożenić z kimś innym. I jeżeli tak się stanie, jeżeli przyjedziesz zbyt późno, to nie zniosę tego.

Zaczęło padać. Ścieżki Khotso pokryły się plamkami wielkości jednopensowej monety — angielskiej jednopensówki z głową królowej na jednej stronie i z Brytanią na drugiej. Barney szybko pocałował Sarę w usta — były słone od łez i wilgotne od deszczu.

Jechali nie spiesząc się i dotarli do Kimberley w połowie maja. Na równinie kwitły kwiaty i powietrze było chłodniejsze i bardziej orzeźwiające. Przez cztery dni podróży nie odzywali się do siebie. Barney był zajęty myśleniem o Sarze, którą zostawił w Durban, i o Mooi Klip, która musiała urodzić już dziecko. Mam dziecko — myślał — i nawet nie wiem, czy to chłopiec, czy dziewczynka. Nawet nie wiem, czy żyje.

Nawet nie wiem, czy żyje Mooi Klip.

Byli zaskoczeni głębokością Wielkiej Dziury. Kiedy dojechali do wschodniego krańca kopalni, zobaczyli olbrzymie mrowisko z setkami kopaczy. Każdy z nich z olbrzymią i niegasnącą energią pogłębiał dziurę, kopał jamy, usypywał pagórki z ziemi, uderzał kilofem i windował urobek do góry. Stalowe linki, które łączyły dno kopalni z powierzchnią, zawieszane były na trzech wyciągarkach: najwyższa z nich obsługiwała środek działki, a dwie dolne wyciągały żółtą ziemię wydobywaną na krańcach. Tych metalowych linek było tam mnóstwo, świeciły w popołudniowym słońcu jak gigantyczna pajęczyna.

— Mogliśmy być częścią tego — powiedział Barney bardziej do siebie niż do Joela. — Mogliśmy być bogaci.

— Ale nie jesteśmy — burknął Joel. — A więc zmywajmy się stąd.

Barney strzelił z bata i woły pokonały ostatnie jardy, które dzieliły ich od domu. Edward Nork siedział w skarpetach na werandzie, próbując zeszyć podarte spodnie. Zapuścił długą rudawą brodę, która sprawiła, że wyglądem przypominał pustelnika. Na nosie miał okulary w drucianej oprawie.

— Święty Boże w niebiosach! — zawołał, odkładając szycie. — Wróciliście! I ty, Joelu, w dobrym zdrowiu! Przynajmniej mam nadzieję, że tak jest!

Joel zszedł z wozu i pokuśtykał w kierunku werandy.

— Nie jestem zdrowy, Edwardzie. Czuję się podle. Muszę podpierać się laską. Ale ciągle żyję, jeżeli to miałeś na myśli.

Barney odprowadził woły do zagrody i Edward poszedł za nim.

— Obawiam się, że nie utrzymałem domu w odpowiednim porządku. Nie jestem zbyt dokładny, jeżeli chodzi o sprzątanie — wyjaśnił.

— Najważniejsze, że mieszkałeś w nim i miałeś oko na dobytek — powiedział Barney.

Z pomocą Edwarda, Barney zdjął z wołów uprząż i podprowadził je do koryta, żeby napiły się wody.

— Czy masz trochę paszy? — zapytał.

— Myślę, że trochę zostało.

— Dobrze, zwierzaki zasługują na nagrodę. Edward zdjął okulary i złożył je. Wyglądał na zakłopotanego.

— Miałem wiadomość od Mooi Klip — powiedział.

— Właśnie chciałem o to zapytać. Czy dobrze się czuje?

— O, tak. U niej wszystko w porządku. To straszne, co stało się pomiędzy tobą a Joelem.

— A dziecko?

— O, nie było żadnych kłopotów. Urodziła chłopca. Powiedziała, że nazwie go Pieter.

— Pieter — powtórzył Barney. — Jak Pieter Retief?

— Nie sędzę. Bardziej jak Pieter Steyn. To ten Griqua, który modlił się za Joela, kiedy go rozciągnęli?

Barney skinął głową.

— W dalszym ciągu przebywa w Klipdrift?

— O ile mi wiadomo, tak

— A więc muszę jechać, żeby się z nią zobaczyć. I poznać Pietera.

— Przyjmij moje gratulacje — uśmiechnął się Edward Nork. — Jesteś ojcem.

Do zagrody zbliżył się Joel.

— Widziałeś już, jak jest w środku? Tam jest chlew. A właściwie gorzej niż w chlewie. Gdzie, u diabła, będziemy spać?

— Właśnie — wtrącił zmieszany Edward Nork. — Musiałem pozbyć się niektórych mebli.

— Czy chcesz powiedzieć, że sprzedałeś nasze łóżka, żeby mieć na wódkę? — warknął Joel.

— Można i tak to ująć — powiedział Edward tonem, jak gdyby poczuł się trochę dotknięty. — Myślałem, że nie wrócicie. Właściwie, to nikt w to nie wierzył.

— Czy wiesz, co się stało z działką numer 172? — zapytał Barney.

— Słyszałem, że kupił ją pewien Australijczyk. Facet nazywa się McIntyre. Trzyma się z dala od towarzystwa i nigdy nie stawia nikomu drinków, a więc nie wiem, jak mu się powodzi. W każdym razie nie jest milionerem, jeżeli to dla ciebie jakaś pociecha.

— Bardzo wątpliwa — powiedział Barney.

W tym momencie usłyszeli hałas dochodzący z małego pomieszczenia, zbudowanego w narożniku zagrody.

— To Alsjeblieft — powiedział Edward. — Przypuszczam, że jest głodny.

— W dalszym ciągu trzymasz tu tego pokracznego konia? — zdziwił się Barney.

Edward wzruszył ramionami.

— Właściwie, to nabrałem do niego sympatii. Jest jedynym koniem, który pozwala mi na sobie jeździć. Jest taki pojętny, że zawozi mnie do domu, kiedy się upiję. Myślę, że położyłby mnie do łóżka, gdybym wpuścił go do domu.

— I gdyby były w nim jakieś łóżka — wtrącił Joel ostro.

— Wszystko załatwię — powiedział Edward. — Nie martw się, mój drogi przyjacielu. Wszystko załatwię.

Resztę dnia spędzili na porządkach, zamiatając dom i doprowadzając do użytkowania palenisko. Następnie Barney ugotował kawałki wołowiny z fasolą i usiadł na podłodze w dużym pokoju, jedząc posiłek składanymi podróżnymi łyżkami. Przez chwilę rozmawiali o diamentach. Edward powiedział, że ceny na światowym rynku załamały się i wielu górników z Kimberley zaczęło sprzedawać działki i wyjeżdżać z okolicy. Kopacze zawsze szukali szybkiego i łatwego zarobku, a zaczęto powtarzać jakieś plotki, że w Transvaalu znaleziono złoto.

Następnego ranka niebo zaciągnięte było ciężkimi, ciemnymi chmurami i zaczął padać długo nie ustający deszcz, nazywany przez Burów *motreen* — mżawka. Barney obudził się dosyć wcześnie, zwinął koce, które wcześniej położył na podłodze sypialni, którą kiedyś dzielił z Mooi Klip. Rozpalił ogień i przyrządził sobie śniadanie, które składało się z plasterków smażonej wołowiny oraz jajek, i podgrzał kawę, którą pili ubiegłej nocy z Joelem i Edwardem. Joel jeszcze spał, a Edward Nork chrapał w pokoju gościnnym w alkoholowym śnie. Barney otworzył frontowe drzwi i poszedł do zagrody, żeby osiodłać Alsjebliefta.

Stary koń zadrżał i prychnął, kiedy Barney wyprowadził go na deszcz, ale stał cierpliwie podczas zakładania upręży i siodła i kiedy Barney gramolił mu się na grzbiet.

Nie tak jeździło się w Khotso, gdzie czarny służący zawsze czekał z przenośnymi schodkami, a stajenny przytrzymał strzemiono. Ale Barney nauczył się sporo od Sary Sutter i umiał wyprowadzić Alsjebliefta z zagrody, dojechać do obrzeży śpiącego miasta i skierować konia w północno-zachodnim kierunku, do Klipdrift. Od czasu do czasu Barney musiał mrużyć powieki, żeby strząsnąć kropelki deszczu, ale ponury, dobrze znany krajobraz sprawił, że czuł się wspaniale, bo w domu.

Dziwna rzecz wydarzyła się, kiedy Barney dotarł do kopalni De Beers, gdzie wydobywał Cecil Rhodes. Barney chciał objechać teren kopalni, ale koń pokłusował na północną stronę. Barney ściągnął wodze, próbując skierować zwierzę w przeciwnym kierunku, ale bez powodzenia. Wydawało się, że koń dokładnie wiedział, dokąd chce dotrzeć. Wkrótce znaleźli się przed wyblakłym od słońca namiotem, na którego górnej części były kałuże wody, i koń stanął jak wryty. Stał cierpliwie w deszczu, jak gdyby czekał na Barneya, żeby zsiadł z siodła na ziemię. Zdumiony Barney zeskoczył z jego grzbietu.

Płótno zakrywające wejście do namiotu zostało odsłonięte, woda spłynęła w błocko i w otworze wejściowym stanął niewysoki górnik z brodą, w koszuli w kratę, w kapeluszu z szerokim rondem i bez spodni. Parskając i prychnając wyszedł na zewnątrz, mrużąc oczy, żeby przyzwycząić je do światła.

— Przepraszam — powiedział Barney. — Nie miałem zamiaru pana budzić.



Kopacz spojrział na Barneya, a później na konia.

— Niech mnie piekło pochłonie, jeżeli to niejest Alsjeblieft — powiedział z silnym irlandzkim akcentem.

— Tak, to Alsjeblieft — przytaknął Barney.

— Jaka szkoda. Sprzedaję moje diamenty Danowi Isa-acsowi, odkąd umarł stary Vandenberg. Ale jak się masz, Alsjeblieft? — zapytał, brodząc w błocie i drapiąc konia po nosie. — Mam gdzieś cukier w kostkach, zaraz mu przyniosę.

— Czy Dan Isaacs płaci panu dobrą cenę?

Górnik spojrział na Barneya, po czym wzruszył ramionami.

— Dosyć dobrą. Może nie tak dobrą jak stary Vandenberg, ale mówią, że ceny lecą w dół. Zresztą mówią o tym od momentu, kiedy zacząłem chować cielsko i duszę w tym namiocie.

— Dam panu więcej, niż kiedykolwiek zaoferuje Dan Isaacs — powiedział Barney.

Kopacz zmarszczył brwi i zawahał się.

— Czy przejąłeś interes od starego Vandenberg?

— Być może. W końcu przyjechałem na Alsjeblieft, prawda?

— No tak, pewnie. Ale czy możesz płacić żywą gotówką?

— Proszę mi pokazać, co pan ma.

Kopacz przez chwilę pomyślał i pokiwał głową na znak, że się zgadza.

— W porządku. Ale najpierw założę portki. Nie lubię robić interesów w gaciach..

Barney stał w siekącym deszczu, a górnik w namiocie zakładał spodnie. Po chwili pojawił się znowu, trzymając w ręce skórzany woreczek, który otworzył, i wysypał na dłoń zawartość. Było tam dziesięć albo jedenaście diamentów i żaden z nich nie miał więcej niż dwa i pół karata.

— Ile dasz mi za te? — zapytał.

Barney wsunął dłoń do kieszeni płaszcza i wyciągnął szkło powiększające. Oglądał uważnie kamienie, jeden po drugim, po czym powiedział:

— Sto pięćdziesiąt. Biorąc pod uwagę światowy krach na rynku.

— W porządku — zgodził się górnik. — Dajesz więcej. Isaacs zapłaciłby ze dwadzieścia mniej. Czy zapłacisz mi żywym pieniądzem?

— Jutro. Obiecuję. Nie spodziewałem się, że przyjadę tutaj, żeby cokolwiek kupować.

— Przyjechałeś na Alsjeblieft i nie zamierzałeś niczego kupować? Dlaczego? Ten koń sam by tutaj przyszedł i dokonał transakcji.

Barney poklepał Alsjebliefta po mokrym boku.

— Właśnie zacznam zdawać sobie z tego sprawę.

Barney skierował się do Klipdrift. Deszcz zaczął ustawać, a niebo pokryło się białymi, okazałymi chmurami. Dotarł do brzegów rzeki Vaal, a nad Kaap Plato zaczęło zachodzić słońce. Wieczne powietrze wypełniło się brzęczącymi owadami. Zatrzymał się przy pierwszym z brzegu domu górniczym — długim budynku w angielskim stylu. Dach pokryty był słomą, a ściany gliną; i zapytał siedzącą na schodach kobietę, czy nie wie, gdzie mógłby znaleźć Griąua.

Milcząco wskazała na północną część osiedla. Barney uniósł kapelusz i pojechał we wskazanym kierunku. Błado-niebieskie niebo odbijało się w kałużach stojących na ciemnej błotnistej drodze, przez co wyglądała jak upstrzona kawałkami rozbitego lustro. Gdzieś ktoś grał na harmonijce *Różę Irlandii*.

Domy Griąua, podobnie jak pozostałe, były wąskie i pokryte strzechami. Wyglądały jednak jakby trwały. Prawie wszystkie były ogrodzone i większość miała ogródki warzywne ze starannie przygotowanymi grządkami. W jednym z ogródków stał nawet strach na wróble — smutna, dziwaczna

figura wypchana słomą.

Barney zobaczył Mooi Klip, zanim ona go ujrzała. Szła bosymi nogami po błotnistej drodze, trzymając dziecko w przewieszonym przez ramię nosidełku z indyjskiej bawełny. Szła w kierunku rzeki Vaal, prawdopodobnie po to, żeby się umyć albo przynieść wody. W ręce trzymała duży gliniany dzban. Barney zsiadł z konia i podążył za nią, prowadząc Alsjebliefta na wodzach.

Nagle zabłysnęło słońce i oświetliło stojące dookoła domy. Barney zbliżył się do dziewczyny i najdelikatniej jak potrafił zawołał:

— Mooi Klip!

Mooi Klip zawahała się i odwróciła głowę, a kiedy ujrzała Barneya, stanęła w błocie ulicy, przycisnęła rękę do policzka i patrzyła na niego, jak gdyby nie był realną postacią, ale sennym widziadłem. Na niski murek z gliny, który znajdował się obok Mooi Klip, wskoczył kot — przybłąda i obserwował ich z zaciekawieniem.

— Barney — powiedziała. — Nie wierzyłam, że kiedykolwiek znów cię zobaczę.

— Nazwałaś go Pięter — powiedział Barney, starając się, żeby głos mu nie zdrzął. — Czy mogę go zobaczyć?

Mooi Klip rozwiązała nosidełko z indyjskiej bawełny i ostrożnie wyjęła z niego Pietera. Miał dopiero trzy tygodnie, był rudy, kruchy i maleńki, a jego paluszki zaciskały się w piąstki, jak gdyby chciał złapać coś, czego nie mógł dosięgnąć. Barney wyciągnął ręce, a Mooi Klip pozwoliła mu wziąć dziecko po raz pierwszy w ramiona.

— Jest taki mały — powiedział Barney bez tchu.

Mooi Klip skinęła głową i wzruszyła ramionami. Barney trzymał Pietera na rękach, głaskał go po delikatnych, ciemnych włoskach i ledwo mógł powstrzymać się od płaczu. To był jego syn, jego maleńkie dziecko, urodzone przez kobietę, którą kochał najbardziej na świecie.

— Joel czuje się już lepiej — powiedział Barney, przełykając ślinę, która ledwo przedostała się przez zaciśnięte gardło. — Sporo wycierpiał w drodze do Durban. Ale przeżył i zoperowali go. Może chodzić, ale musi podpierać się laską.

Mooi Klip nic nie odpowiedziała, ale odwróciła głowę. Barney powiedział:

— To nie była moja wina, Natalio.

— Nie. To nie była twoja wina. Ale tak naprawdę, to wcale nie chciałeś się ze mną ożenić, prawda?

— Nie rozumiem, o co ci chodzi.

— Barney, kochałeś mnie, ale nigdy nie byłam dla ciebie odpowiednią kobietą. Dziewczyna z plemienia Griqua. Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, prawie nie umiałam mówić po angielsku. Jak mógłbyś przedstawić mnie, czarną dzikuskę, swoim przyjaciom z towarzystwa albo Agnes Knight?

— Agnes Knight? Była dla mnie niczym. Spójrz na dziecko, które urodziłaś. Pieter Blitz. Moje pierwsze dziecko.

— Pieter Marneweck.

— Proszę?

— On nazywa się Pieter Marneweck. Nie Blitz. Nigdy nie byliśmy małżeństwem.

— Ależ Natalio, on jest moim synem. Ponadto teraz możemy wziąć ślub. Już nic nie stoi na przeszkodzie.

Mooi Klip ostrożnie odebrała Pietera od Barneya. Ostatni promień słońca dotknął jej kręconych włosów i zapalił isierki w oczach.

— Przykro mi, Barney. To już nie ma sensu. Był czas, kiedy myślałam, że wszystko się ułoży.

Nauczyłeś mnie nie tylko angielskiego. Nauczyłeś mnie, że każdy na tym świecie ma swoje miejsce i moje miejsce nie jest przy tobie.

— Co mam zrobić? — zapytał Barney. Poczł w gardle narastające dławienie.

— Dasz sobie radę beze mnie.

— Ale jak?

— Żyłeś beze mnie, odkąd zabrałeś Joela do Durban. A ja żyłam bez ciebie. To było łatwe.

Trzeba jedynie zrozumieć, że ból towarzyszy człowiekowi przez całe życie.

— A co z Pieterem?

— Możesz go widywać, kiedykolwiek zechcesz. Zawsze tutaj będę.

Barney spuścił głowę.

— A co z tobą? — zapytał miękko.

— Dam sobie radę — odpowiedziała Mooi Klip. Barney zaczerpnął powietrza w płuca.

— Chcę ci coś powiedzieć. Jesteś dla mnie najukochańszą osobą na tym kontynencie. Kocham cię bardziej niż kogokolwiek na świecie. To jest dla mnie nie do zniesienia, że stoję tutaj obok ciebie i wiem, że cię nie mogę mieć. Chciałbym znaleźć się w twoich ustach i kierować słowami, które do mnie wypowiadasz. Na miłość boską, Natalio, jak możesz być taka obca? Czy naprawdę za mną nie tęskniłaś? Czy już nic do mnie nie czujesz? Czy nie możesz pojąć, że oprócz ciebie nic dla mnie się nie liczy?

— Chcesz, żebym znowu zamieszkała z Joelem? — zapytała Mooi Klip, unosząc do góry brwi.

— Natalio, to już nigdy się nie powtórzy, mogę ci to obiecać.

— Zdarzyło się raz, może zdarzyć się i drugi.

— Natalio... Uśmiechnęła się.

— Nie nazywasz już mnie Mooi Klip? Ładny kamień. Błyszczący diament, który znalazłeś w błocie, a potem odrzuciłeś.

Barney spojrzł na wieczorne niebo.

— Nie wiem, co powiedzieć — wykrztusił przez zaciśnięte gardło.

— Nic nie mów. Nie teraz. Przyjedź znowu, kiedy będziesz mógł. Przywieź swojemu synkowi prezent. Nie zamykam się przed tobą, Barney. Ciągle ciebie kocham. Ale czas jest nieodpowiedni, a ty jesteś niegotowy.

— Przywiozłem prezent — powiedział Barney i wyjął z kieszeni skórzany woreczek z surowymi diamentami, które otrzymał od kopalnia z kopalni De Beers.

Mooi Klip otworzyła ostrożnie woreczek i popatrzyła na klejnoty szeroko otwartymi oczami. Następnie powiedziała:

— Nie, będziesz ich potrzebował. Nie możesz.

— Zabierz je — nalegał. — Pewnego dnia będą warte tysiąc razy więcej niż teraz. Możesz na nich polegać, nawet wtedy, kiedy zawiodą cię ludzie.

Z wysiłkiem dźwignął się na siodło i dotknął palcami runda kapelusza.

— Co za idiotyczna sytuacja — powiedział. — Kochani cię i muszę odjechać z niczym.

Barney szarpnął wodzami i Alsjeblieft zawrócił i ruszył ulicą, mijając chaty, domy pokryte cynową blachą i do połowy wybudowane bungalowy z drewna. Po chwili koń skręcił na południe, chociaż Barney nie dał mu żadnego znaku, żeby to zrobił, i poniósł go wzdłuż rzeki Vaal, w kierunku najbliższego osiedla górniczego pod wierzbami.

— Powiem ci coś, Alsjebliefcie — wymamrotał Barney. — Naprawdę wierzę, że wiesz, dokąd idziesz.

Koń zaczął się przedzierać przez wysoką trawę, zostawiając światła Klipdriftu daleko za sobą.

Barney zagwizdał melodię, którą usłyszał od wędrownego grajka na ulicach Durban. Piosenka nazywała się: *Czy już nigdy nie powrócisz?*

## Część druga

Edward Nork zostawił mu kartkę na stole w kuchni: „Jestem pijany, ale można mnie znaleźć w barze u Doddsa”. Barney przeczytał, sprawdził, czy było coś napisane na odwrocie, po czym kartkę zmiął. Edward tyle ostatnio pił, że Barney nie zdziwiłby się zbytnio, gdyby któregoś dnia znalazł go nieżywego w rowie. Wiedział, że Edward nie popadł w alkoholizm ot tak sobie. Cena diamentów utrzymywała się od wielu już lat na niskim poziomie, a życie w Kimberley stawało się coraz bardziej dokuczliwe i samotne. Tereny diamentonośne o powierzchni trzydziestu jeden stóp nie przynosiły wysokich zysków. Kopalnie diamentów często zalewane były przez ulewne deszcze, kiedy indziej znowu wysuszało je prażące słońce. Wielka Dziura była teraz tak głęboka i niebezpieczna, że powodzie, które powodowały obsunięcia i zapadanie się terenu, stawały się codziennie przyczyną śmierci czy dotkliwych obrażeń jednego lub dwóch kopaczy. Setki śmiałków porzucało obecnie swoje działki, ponieważ praca była zbyt ciężka jak na otrzymywane zyski. Inni znowu dochodzili do wniosku, że nic już nie znajdują, bo na ich działce diamenty już się skończyły, więc wyjeżdżali, zanim zniesiony został przepis ograniczający liczbę działek przypadających na jedną osobę.

Łatwo było dojść do przekonania, że diamenty skończyły się. Każdy dzień to ciężka praca, błoto, zmęczenie i samotność, a nie zawsze było wystarczająco dużo pieniędzy na powrót do rodzinnego kraju. Nie znaczyło to oczywiście, że w mieście Kimberley nic się nie działo. Cegły i ulepszone materiały budowlane docierały tu z Durban i Kapsztadu wraz z żelaznymi, nowoczesnymi balkonami. Klub Kimberley był teraz imponującą budowlą z czerwonej cegły, żelazne pręty zdobiły werandy, a w mahoniowe drzwi wstawiono ozdobne szyby. Na drugim piętrze znajdowała się sala bilardowa z dachowymi okienkami. Efekt psuł jedynie rdzewiejący dach z blachy falistej, lecz w Kolonii na Przylądku gontowe dachy były rzadsze niż diamenty.

Stanął też nowy hotel The Kimberley Palace oraz nowy dom publiczny z łazienkami i brązowymi, aksamitnymi zasłonami z frędzelkami. Powstało wiele nowych barów, był nawet tor wyścigowy z drewnianymi ławkami, gdzie w soboty odbywały się różnego rodzaju wyścigi. Ścigające się konie rzadko przewyższały sprawnością Alsjebliefta. Zakładano się przeważnie o nie oszlifowane diamenty albo o działki. Joel chodził tam, kiedy tylko mógł, mimo że Barney i zawsze sprawdzał, ile ze sobą brał pieniędzy. Joel liczył się z tym, że wkrótce będzie musiał przekazać Barneyowi prowadzenie ksiąg i pozwoli mu stać się wyłącznym właścicielem ich konta w banku.

Trzeba jednak przyznać, że Kimberley w dalszym ciągu było prymitywnym, niecywilizowanym miasteczkiem, zamieszkanym głównie przez mężczyzn. Nawet najdrobniejsze luksusowe przedmioty, takie jak pędzle do golenia z borsuczego włosia czy perfumowane mydła były prawie nie do zdobycia i nie było tam nic do roboty oprócz picia, hazardu, kopania diamentów i chodzenia do łóżka z prostytutkami. Na Barkly Street znajdowała się mała biblioteka, ale prawie wszystkie książki opowiadały o bohaterskich czynach natchnionych Brytyjczyków. Można tam było również wypożyczyć czasopisma naukowe, które Edward określał mianem „szmat bez żadnej wartości”. Działo również amatorskie kółko teatralne, lecz Barney nie miał ochoty zapisać się, bo wiedział, że Agnes Knight była jednym z jego członków i że zaręczyła się niedawno z głównym aktorem, wysokim Australijczykiem o falistych, złocistych włosach i nosowym, cienkim dyszkancie. Nazywał się Robert Joy.

Cztery lata temu Joel stracił działkę numer 172 na rzecz Dottie Evans. Od tego czasu sprzedawano ją już trzy albo cztery razy, a Dottie Evans, która cierpiała z powodu braku kontaktów towarzyskich, wyjechała z Kimberley do Kapsztadu, żeby tam przyjść do siebie. Joel ciągle jeszcze utykał na jedną nogę, łamało go w kościach, kiedy powietrze stawało się wilgotne lub kiedy zmieniał

się kierunek wiatru, chociaż czuł się już o wiele lepiej. Pracował u Harolda Feinberga w charakterze urzędnika. Haroldowi tak dobrze się teraz powodziło, że postawił murowane biuro przy głównej ulicy, a na górze mieściła się pracownia z oknami wychodzącymi na północ. Zatrudniał siedem osób. Byli to przeważnie Żydzi z londyńskiego East Endu.

Koń Barneya, Alsjeblieft, zmuszał swojego właściciela do codziennej przejażdżki. W miejscowym slangu nazywano ją „galopowaniem przez pagórki”, a polegała na tym, że Barney jeździł od jednej działki do drugiej i kupował od górników surowe diamenty. Każdego dnia, o szóstej rano, Alsjeblieft zaczynał kopać w ogrodzenie i robił to tak długo, aż Barney go osiodłał. Koń był łatwy w prowadzeniu i z wielką ochotą ruszał w dobrze sobie znaną trasę, którą pokonywał już ze swoim poprzednim właścicielem.

Starsi kopacze znali więc Alsjebliefta, a wkrótce zawarli też znajomość z Barneyem. Zawsze ubierał się tak samo, zakładał biały kapelusz, marynarkę przepasaną paskiem, kolorowe spodnie w kratę oraz wygodne buty. Wszędzie był gorąco witany i szybko nauczył się spełniać rozmaite oczekiwania górników. Przynosił wiadomości, roznosił plotki, czasami przywoził ze sobą tytoń oraz whisky albo francuskie karty do gry. Jeżeli do Kimberley dotarła jakaś nowa piosenka z Kapsztadu, to uczył się jej na pamięć i śpiewał każdemu napotkanemu górnikowi.

Te cztery lata „galopowania przez pagórki” pomogły mu przetrwać ból po utracie Mooi Klip oraz wytrwać w zamiarze osiągnięcia bogactwa. Było mu to bardziej potrzebne niż słowa otuchy ze strony Joela czy też wspaniałe wizje, które roztaczał przed nim Edward. Stracił swoją niedoszłą żonę oraz syna, ale poznał mężczyzn, którzy przecież zostawiali wszystko — żony, dzieci, domy — i to właściwie tylko po to, żeby zniszczyć swoje zdrowie w kopalniach Kimberley czy w wodach rzeki Vaal. Spotkał mężczyzn twardych i przygnębionych, małomównych i takich, którzy mieli ochotę rozmawiać z nim przez całą noc. Nie był w stanie policzyć tych wszystkich ognisk, przy których siedział, tych wszystkich dłoni, które ścisnął. Stał się cierpliwy i dowcipny, ale przede wszystkim nauczył się być wyrozumiałym. Pewien górnik opowiadał mu przez trzy godziny o swojej ukochanej żonie Fanny, z którą mieszkał w małym murowanym domku w Streatham, w południowej Anglii. A później, podczas następnej wizyty ten sam kopacz, przyznał się, że zabił Fanny i zbiegł do Afryki Południowej. „Nie wiesz, jak to jest, kiedy się kocha kogoś, a później traci” — powiedział do Barneya.

Barney nigdy z nikim się nie sprzeczał. Nauczył się nie kłócić z ludźmi, od których kupował diamenty. Dostyc mieli kłopotów z tubylcami, pogodą, ze swoimi działkami, na których próbowali coś znaleźć. Od Barneya oczekiwali jedynie słów otuchy oraz przyzwoitej zapłaty za kamienie, jednej czy dwóch piosenek i nieco alkoholu. Nie chcieli słuchać o problemach Barneya, o tym że ma czteroletnie dziecko, którego prawie nie widuje.

Barney nie płacił dużo za diamenty; cztery albo pięć szylingów mniej niż inni handlarze, ale za to zawsze płacił na czas, był uczciwy i dlatego wszyscy górnicy go lubili. Był jednym z nich, zwykłym człowiekiem zmagającym się z przeciwnościami losu. Często sprzedawali mu swoje najlepsze diamenty po niższych cenach tylko dlatego, że czasami udawało mu się ich rozśmieszyć albo zaśpiewać im refren piosenki *Kwiaty Loch Rannoch*. Ze względu na jego akcent szczególnie dobrze wychodziły mu piosenki szkockie. Musiał grać, tak samo jak Agnes i Robert Joy w bożonarodzeniowym przedstawieniu *Romea i Julii*, które wystawiono w kościele. Różnica polegała tylko na tym, że Barney musiał to robić każdego dnia, być zawsze w dobrym humorze, występować w deszczu, na wietrze, w czasie suszy i kiedy muchy oblepiały jego ciało jak rodzyнки ciasto. Na tym polegała jego praca.

Podczas przedstawienia, w którym występowała Agnes, Barney siedział na składanym

krzeselku, na samym końcu, z gołą głową. W Kimberley bardzo niewielu mężczyzn miało zwyczaj zdejmowania nakrycia głowy, kiedy przebywali w zamkniętych pomieszczeniach. Nawet kąpali się i spali z prostytutkami w kapeluszach. „Kapelusz zdejmuje się tylko wówczas, kiedy widzisz prawdziwą damę” — mówili. Barney pomyślał, że wyglądała czarująco i słodko w białej przezroczystej sukience Julii, z blond włosami upiętymi w średniowieczne warkoczyki. A kiedy powiedziała: „A ja w panińskim stanie jestem wdową” — tak się wzruszył, że aż musiał wyjść, aby odetchnąć wieczornym, upalnym powietrzem. Stracił ją, taką piękną i czarującą

i zdawał sobie sprawę, że nigdy go już nie zechce. „Nie dla ciebie, staruszk, przykro mi. Anglicy zdobyli imperium mówiąc — przykro nam”.

— Nudzisz się? — zapytał jakiś głos zniecka.

Barney zmarszczył brwi. To był dziewczęcy głos, w dodatku znany.

— Faith? — zapytał — To ty?

Wyłoniła się z mroku i stała teraz w przymglonym świetle małej lampki wiszącej nad drzwiami kościoła. Miała na sobie turkusową wieczorową suknię i turkusowe rękawiczki. Włosy miała związane dziesiątkami cienkich turkusowych wstążeczek. Za nią ćmy rozbijały się o lampę. Rozległ się głośny aplauz widowni.

— O okno, wpuśćże dzień, a wpuść życie! — powiedziała Faith. — Przez dwa miesiące nasłuchiwałam się tyle *Romea i Julii*, że starczy mi na całe życie. Agnes powtarzała swoją rolę co wieczór, od września.

— Proszę?

Faith uśmiechnęła się.

— To fragment tego przedstawienia. Zaczyna mi się to śnić po nocach.

— Jestem zaskoczony, że jeszcze ze mną rozmawiasz — powiedział Barney. — Nie boisz się, że możesz coś ode mnie złapać, na przykład ochotę na macę czy trwałą niezdolność do pracy w soboty?

— Nigdy nie miałam nic przeciwko Żydom — powiedziała Faith.

— Rozumiem. Tylko twój ojciec i Agnes nie lubią nas, co?

— Agnes też nie ma nic przeciwko Żydom. Zdenerwowała się tylko, bo myślała, że wystawiłeś ją do wiatru.

— W pewnym sensie to prawda. To była moja wina. Myślałem, że szybciej odniosę sukces, kiedy nie będę się przyznawał, że jestem Żydem.

— No cóż, oczywiście masz rację — uśmiechnęła się raczej obojętnie, dotykając swoich wstążek.

— Kiedyś myślałem, że mam rację — powiedział Barney. — Ale teraz myślę, że nie ma znaczenia, czy umiesz grać w bilard w klubie Kimberley, czy też nie. Jeżeli tylko ciężko pracujesz i zarabiasz, kogo to obchodzi?

Faith skinęła głową.

— Chciałabym, żeby ludzi nic to nie obchodziło. Ale ich obchodzi. No, przynajmniej tych, w kręgu których ja się obracam.

— Nie wydaje mi się, żeby ludzie, z którymi przebywasz, byli szczególnie mili, czy też szczególnie tolerancyjni. Nie wydaje mi się również, żeby im się jakoś szczególnie powodziło — powiedział Barney ostro.

— No tak, pewnie masz rację. To znaczy rozumiem, o co ci chodzi. Za to... wszyscy uczęszczali do właściwych szkół. I wszyscy należą do właściwego klubu. I wszyscy stają po właściwej stronie. A ten, kto mozolił się w Eton, i ten, kto służył we właściwej armii... będzie się cieszył dobrobytem

do końca swoich dni.

— Potrzeba wyjątku, żeby potwierdził regułę — powiedział Barney.

— I ty masz być tym wyjątkiem?

Spojrzał na nią. Była przystojną dziewczyną, szeroką w ramionach, o obfitych kształtach. Nie mógł zrozumieć, dlaczego nie wyszła do tej pory za męża. Właściwie rozumiał. Spośród wszystkich angielskich dziewczyn, które spotkał w Afryce Południowej, miała najsilniejszą, nie znoszącą kompromisu osobowość. Wiedział, że interesowała się botaniką, dużo spacerowała i zbierała afrykańskie okazy, być może dlatego właśnie mężczyźni z Kimberley trzymali się od niej z daleka. Oczekiwali od swoich kobiet hartu ducha i oddania. Chcieli, aby umiały znosić wszelkie przeciwności losu i aby równocześnie były delikatne oraz kobiece. Jeżeli kobieta potrafiła nabić rewolwer w czasie zacieklego ataku czarnuchów, a z drugiej strony rumieniła się przy stole na samą tylko wzmiankę o piersiach indycznych; jeżeli umiała rodzić dzieci w zwykłej chacie, w piekielnym upale i jednocześnie przymilać się do swojego męża, kiedy wracał do domu; jeżeli była dobrą gospodynią i krzątała się po domu przez cały dzień, a potem wieczorem pozwalała mężowi na hulanki i zabawy w mieście, wtedy można było bez wahania jej się oświadczyć.

Faith taka nie była i dlatego nie miała męża.

— Pewnego dnia będę bogaty — powiedział Barney. — Jestem tego pewny. Wtedy te wszystkie snoby, ci twoi przyjaciele, będą mi się kłaniać w pas.

— Chciałabym, żebyś miał rację.

Przez chwilę nic nie mówili. Słyszeć było tylko ćmy obijające się o lampę. Z kościoła dochodził niewyraźny głos niani Julii oplakującej śmierć swojej podopiecznej.

— Kiedy mają zamiar się pobrać? — zapytał Barney.

— Kto?

Spojrzał na drzwi kościoła.

— Tych dwoje, Robert i Agnes.

— Nie wiem, wspominali o kwietniu.

— Czy ona go kocha?

Faith uśmiechnęła się do niego i skinęła głową.

— Chyba tak, jest w jej typie. Faliste włosy i ani krzty rozumu.

— Wygląda na to, że tego nie pochwalasz.

— Oczywiście, że pochwalam. Najważniejsze, żeby Agnes dobrze się bawiła.

Barney roześmiał się. Potem nagle spoważniał.

— Myślisz, że twój ojciec miałby coś przeciwko temu, gdybym cię gdzieś zaprosił? Jest koncert wiolonczelowy w przyszłym tygodniu, zaraz po świętach.

— Mnie? — zdziwiła się Faith. — Nie, nie możesz mnie nigdzie zaprosić.

— Dlaczego nie?

— Bo nie.

— Wytłumacz.

— Ponieważ w końcu byś mnie zranił. — Spuściła oczy. — Prosiłam cię kiedyś, żebyś ze mną poszedł do kościoła, pamiętasz? I co się wtedy stało? Nie czułam się wtedy bardzo dotknięta, naprawdę. Ale gdybym zaczęła z tobą chodzić, straciłabym bez wątpienia panowanie nad sobą i wtedy straciłabym również ciebie, a tego bym nie zniosła.

Barney dotknął jej dłoni. Trzy sznureczki perełek na jej rękawiczkach świeciły bladym blaskiem niczym łzy.

— Nie chcę cię zranić — powiedział. — Chcę ciebie tylko zabrać na koncert wiolonczelowy.



— W moim życiu jedna rzecz pociąga za sobą następną. — Uśmiechnęła się smutno. — Po koncercie wiolonczelowym będzie koncert symfoniczny, a ja nie znoszę symfonii. Zawsze kończą się melodramatycznie. Zawsze wtedy płaczę.

— Faith...

— Zostańmy przyjaciółmi — szepnęła. — Kiedy spotkamy się na ulicy, pójdziemy gdzieś razem, wypijemy kawę, kiedy nie będziemy mieli akurat nic innego do roboty. Pokażę ci moją książkę o botanice. Mam kilka wspaniałych rysunków akacji.

— Akacji? — zapytał, jakby nie rozumiał, o czym mówiła. To było półtora roku temu i od tego czasu rozmawiał z Faith tylko dwa razy. Raz na ulicy, kiedy przypadkowo spotkali się w mieście, a drugi raz na koncercie pewnego śpiewaka, Daniela Napiera, odznaczającego się wyjątkowo mocnym głosem. Zaśpiewał wtedy trzydzieści brytyjskich pieśni patriotycznych jedną po drugiej.

Barney lubił Faith. Ufał jej i wiele razy w ciągu tych czterech lat „galopowania przez pagórki” czuł, że mógłby się jej oświadczyć i poślubić, gdyby tylko pan Knight mu na to pozwolił. Lecz w miarę upływu czasu zaczynał dochodzić do wniosku, że popełniłby błąd. Wiedział też, że Faith we właściwy sposób umiała ocenić sytuację. W końcu na pewno by ją zranił, na pewno płakałaby przez niego.

Widywał się z Mooi Klip raz, dwa razy w miesiącu, za każdym razem, kiedy Alsjeblieft zdecydował, że już nadszedł czas, żeby udać się do Klipdrift. Rodzice Mooi Klip mieszkali w schludnej, pomalowanej na biało chatce nie opodal miejsca gdzie rzeka zmieniała swój bieg, wśród Griqua, którzy w sposób nienatrzętny ale stanowczy opiekowali się nią, a zwłaszcza Pieterem. Kiedy Barney odwiedzał ich, czekali w oddali z założonymi rękami, przez co Barney nie mógł nawet swobodnie porozmawiać z Mooi Klip.

Kiedy siedzieli razem na wiklinowych krzeselkach blisko zasłoniętych okien, Barney czuł, że są bacznie obserwowani. Za każdym razem prosił Mooi Klip, żeby do niego wróciła, żeby mogli spróbować jeszcze raz. Ale ona uśmiechała się tylko i potrząsała głową. Nawet wtedy kiedy jej mówił, że wykupi udziały Joela i opłaci mu podróż do Ameryki, Mooi Klip odrzucała propozycję małżeństwa.

— Nie rozumiem dlaczego — syknął.

Jej ojciec siedział w swoim dużym, żółtym, drewnianym krześle kilka metrów dalej.

— Ponieważ nie jestem gotowa, żeby wyjść za męża.

— Przedtem byłaś gotowa. Więc jak to możliwe, że nie jesteś gotowa teraz?

— Wiesz, co się stało — powiedziała Mooi Klip. — To wszystko zmieniło.

— Ale nie rozumiem, o co ci chodzi. Nie kochasz mnie?

— Wiesz, że cię kocham.

— Ja też ciebie kocham i chcę być z tobą. Więc jak to jest, że ty nie chcesz być ze mną?

Mooi Klip odgarnęła włosy z czoła.

— Czasami są ważniejsze sprawy niż bycie razem.

— Na przykład? Co może być ważniejsze niż nasze małżeństwo?

Spojrzała mu prosto w oczy. W łagodnym popołudniowym świetle wyglądała jak gdyby ją ktoś namalował. Barney nie miał nawet jej zdjęcia.

— Dużo ważniejsze jest, abyś stał się bogaty. Oto, co jest naprawdę ważne.

Barney westchnął z rezygnacją.

— Czy ty naprawdę myślisz, że pieniądze są dla mnie takie ważne? Ważniejsze od ciebie?

— Muszą być ważne. — Skinęła głową.

— A co z Pieterem? Myślisz, że on mnie nic nie obchodzi? Myślisz, że nie chcę być mu ojcem?

— Jesteś jego ojcem. Nikt ci go nie odbierze, nikt jemu nie odbierze ciebie.

— Ale jak ja mogę...

Mooi Klip wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka, pogłaskała go czule, żeby się uspokoił.

— Przyjechałeś tutaj do Afryki, aby dorobić się majątku. Musisz go zdobyć. Zrozumiałam, że stałabym ci tylko w drodze.

— Myślisz, że obchodzą mnie ci ograniczeni Anglicy albo ci przesądni Holendrzy?

— Zaczną cię obchodzić, kiedy będziesz bogaty i będziesz musiał robić z nimi interesy. Co powiedzą, kiedy będziesz zabierał swoją żonę Griqua na urządzone przez nich przyjęcia i bankiety? Żonę, która jest czarna, tak jak ich służące? Jesteś Żydem, więc jest ci i tak wystarczająco trudno. Gdybyś się ze mną ożenił, byłoby ci jeszcze trudniej!

— Natalio...

Podniosła rękę, chcąc go uciszyć.

— Mówię tak tylko dlatego, że cię kocham i wiem, że tak będzie dla ciebie najlepiej.

Sprzeczali się tak za każdym razem, kiedy się spotkali. Ale Mooi Klip była cierpliwa i nieugięta. Kiedyś była gotowa go poślubić, teraz było inaczej. Widywał się z Pieterem, kiedy tylko chciał, i jego ojcostwo było sprawą bezsporną. O ślubie nie chciała słyszeć. Kiedy krzyczał na nią i trząsał drzwiami, kiedy starał się ją udobruchać albo przekupić, kiedy płakała — była nieugięta.

Mały Pieter był synem, jakiego sobie wymarzył. Po matce odziedziczył ciemne kręcone włosy i śniadą cerę. Jednak nie było żadnych wątpliwości, że wyraźnie zarysowane rysy twarzy oraz mocną posturę ma po ojcu. „Mały bokser” — mówił o nim dziadek, co było uprzejmym ukłonem w stronę Barneya.

Pieter mówił narzeczem plemiennym, ale Mooi Klip uczyła go angielskiego i nalegała, żeby mówił po angielsku zawsze wtedy, kiedy rozmawiał ze swoim ojcem. Ale kiedy był podniecony albo zdenerwowany, zapominał się. Wtedy Mooi Klip dawała mu dwa klapsy i upominała, aby był grzeczny, kiedy rozmawia z ojcem. Barney opowiadał Pieterowi o swoich przygodach, kiedy wędrował na grzbiecie Alsjebliefta, a jesienią sadzał go na siodło i woził nad rzekę Vaal. Jeździli do zachodu słońca, obserwując ptaki latające ponad drzewami.

Te niezbyt częste wizyty w Klipdrift sprawiały Barneyowi wielką radość i przynosiły ulgę, chociaż nierzadko przepojone były smutkiem i goryczą. Jednak z perspektywy niezwykłych lat, które wkrótce miały nadejść, będzie je wspominał jako chwile pełne ciepła i szczęścia.

Znalazł Edwarda w najciemniejszym kącie baru u Doddsa. Siedział z głową wspartą na ramionach, a przed nim stała pokaźna liczba zapaćkanych kieliszków. Irlandczyk w zielonym meloniku i zielonej jedwabnej marynarce siedział przy pianinie i grał piosenkę Paddy O'Leary, strasznie przy tym fałszując. Trzej inni złapali się za ramiona i usiłowali tańczyć giga na pokrytej drewnianymi klepkami podłodze. W powietrzu unosił się zapach tytoniu Empire — właśnie wczoraj przyszła nowa dostawa z Kapsztadu. Górnicy palili wszystko, co się dało, a kiedy drogi były nieprzejezdne i brakowało tytoniu, palili skręty z suchych liści dzikiego bzu.

Barney usiadł naprzeciwko Edwarda, złapał go za włosy i potrząsnął kilka razy, żeby go obudzić.

— Co się dzieje? — zaprotestował Edward.

— To ja, Barney. Zostawiłeś mi kartkę.

Edward podniósł głowę i spojrzał na Barneya przekrwionymi oczami.

— Kartkę?

— Tak, w kuchni na stole. Napisałeś, że jesteś pijany, ale mogę cię tu znaleźć.

— Naprawdę? No cóż, widać, że jestem głupszy, niż myślałem.

Barney kiwnął na barmana, w niebieskim fartuchu w paski. Jego głowa przypominała kształtem wieprzowy udziec. Spojrzał na Edwarda i skrzywił się.

— Jeżeli chce pan mu kupić jeszcze jednego, to będzie pan musiał wynieść go stąd na własnych plecach — ostrzegł Barneya.

— Przynies mi tylko dzbanek wody — poprosił Barney.

— Pięć szylingów — powiedział barman.

— Przynies mi tylko wody, zgoda? Barman oddalił się, a Edward machnął ręką.

— Nigdy nie mogłem strawić tego faceta — powiedział. — Za ostry.

— Zostawiłeś mi kartkę — powtórzył Barney.

— Zostawiłem — zgodził się Edward. — I nie bez powodu. Sława, majątek, powodzenie, bogactwo stoją przed tobą otworem. Dzięki mnie.

— Aha, jakim sposobem?

Edward sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, potem do bocznej, aż w końcu znalazł to, czego szukał. Wyciągnął plik pomiętych tytułów własności. Podniósł do góry rękę i obdarzył Barneya pijackim uśmiechem.

— Co to jest? — zapytał Barney ostro.

— To są, mój drogi, tytuły własności działek numer 203,202 i 233 oraz połowy działek 201 i 232.

— Ukradłeś je?

— Mój drogi, stary przyjacielu, oczywiście, że ich nie okradłem. Kupiłem je. Powiem więcej, kupiłem je w twoim imieniu. Masz — powiedział i podsunął je Barneyowi pod nos. — Są twoje. Weź je. Powodzenia.

Bardzo wolno i ostrożnie Barney podniósł dokumenty, które Edward położył przed nim na stole. Obejrzał je i odłożył.

— Są autentyczne — powiedział. — Cztery autentyczne tytuły własności.

— Pewnie, że są autentyczne.

— Ale czym za nie zapłaciłeś? Na pewno są warte co najmniej czterdzieści tysięcy funtów!

— Dałem im kwit dłużny. Wypisałem go oczywiście na ciebie.

— Co? Kwit dłużny na czterdzieści tysięcy funtów? Skąd, do jasnej cholery, mam wziąć czterdzieści tysięcy funtów?

Edward gwałtownie pomachał ręką.

— Poczekaj, kolego, nie tak szybko. Działki są wprawdzie warte czterdzieści tysięcy funtów, ale tylko dla nas. Ci faceci, do których należały, dokopali się do niebieskiej warstwy. Pakują się i jadą do domów, bo są przekonani, że to już dno. Sprzedali je po bardzo niskiej cenie.

Barney wlepił w niego wzrok. W banku miał jedynie 3211 funtów — skromne oszczędności, które systematycznie odkładał przez cztery lata „galopowania po pagórkach”.

— Ile? — zapytał szeptem.

Barman przyniósł dzbanek z wodą i postawił go na stole. Bezceremonialnie wyciągnął rękę. Barney dał mu cztery szylingi. Barman splunął na nie i odszedł.

Trzęsącymi się dłońmi Edward nalał sobie pełną szklanekę.

— Trzy tysiące sto funtów — powiedział z triumfem. Barney jeszcze raz przyjrzał się dokumentom. Cztery tytuły własności na działki w samym środku Wielkiej Dziury. Czyżby miał halucynacje, czyżby wracały przywidzenia?

— Edwardzie — powiedział. — Jesteś genialny. Kiedyś postawię ci pomnik z marmuru, taki sam jaki mają rzymscy cesarowie. Wybuduję go w samym środku Kimberley. Edwardzie, jesteś

genialny!

— Tak, wiem o tym — powiedział Edward skromnie.

— Muszę znaleźć Joela — powiedział Barney. Nie mógł usiedzieć na miejscu. — Boże jedyny, to po prostu cud!

— Mógłbyś mi chociaż postawić drinka — zauważył Edward.

— Postawię ci sto drinków. Ale najpierw muszę iść do banku, żeby pobrać pieniądze, aby zapłacić za działki. Muszę się upewnić, że naprawdę są moje.

— Jeden mały kieliszek whisky — poprosił Edward. Barney zawołał barmana.

— Przynieś temu dżentelmenowi jeszcze jeden kieliszek — powiedział. — I okaż mu szacunek, na jaki zasługuje.

W pierwszej chwili Joel nie wiedział, co ma zrobić. Dobrze mu się pracowało w sortowni Harolda Feinberga, tym bardziej że Harold właśnie przyjął do pracy młodą, ładną Francuzeczkę. Opuścić solidny, murowany budynek przy głównej ulicy po to tylko, żeby wrócić do ciężkiej pracy, błota i much? To była trudna decyzja. Spierał się z Barneyem przez kilka godzin, zanim się poddał.

— Uważam, że to strata czasu — powiedział z rozdrażnieniem, kiedy w końcu zgodził się pomóc Barneyowi w kopaniu. — Jeżeli Johnson oraz Kelly sprzedali je, to jak to możliwe, żeby były coś warte? Johnson to największy skąpiec w mieście, jeżeli nie w całej Afryce.

— Zgadzam się z tobą. Ale Johnson sprzedał, ponieważ myśli, że nic już nie znajdzie.

— Ale przecież inni znajdują. Johnson na pewno o tym wie.

— Trzeba cierpliwości, tak mówi Edward, ponieważ niebieska warstwa wietrzeje pod wpływem działania czynników atmosferycznych i robi się żółta. Ale tacy jak Johnson bardzo się spieszą, eksploatują żółtą glebę i szybko wyjeżdżają.

Joel głośno pociągnął nosem i stuknął laską o podłogę.

— Mimo wszystko uważam, że Johnson wie, co robi. Mam tylko cichą nadzieję, że nie przeżyjesz zbyt mocno utraty wszystkich twoich pieniędzy, tak ciężko zarobionych.

— Jeżeli nie zaryzykujemy, nigdy niczego nie osiągniemy.

— Ryzyko? — roześmiał się Joel. — Sam Mojżesz mniej ryzykował, kiedy wyprowadzał dzieci Izraela z Egiptu.

— Mojżeszowi pomagał Bóg. Może nam również pomoże.

— Uwierzę w to, kiedy Boska ręka ukaże się zza chmur i wykopie mi kilka diamentów. Naley mi drinka, dobrze? Na skrzyni stoi butelka porto.

Rozległo się głośne pukanie do drzwi. Barney odwrócił się i zawołał:

— Proszę!

Wszedł Cecil Rhodes. Wyglądał na zadowolonego z siebie. Miał na sobie marszczoną, bawełnianą kurtkę oraz bryczesy całe zapaćkane błotem.

— Co tam, Blitz? — powiedział, kładąc kapelusz na stole. — Słyszałem, że wracasz do kopania! Koniec z „galopowaniem przez pagórki”?

— Na to wygląda — odparł Barney.

— Mówią, że byłeś w tym dobry, uprzejmy, towarzyski i że nigdy nie traciłeś czasu na zdobywanie tytułów własności.

— To dzięki mojemu koniowi. Ta zmyślna bestia nawet nie zbliży się do działki, która nie przynosi zysków, nawet gdyby wypełniona była po brzegi owsem i marchwią.

— A co tam słyhać w De Beers? — zapytał Joel ironicznie. — Słyszałem, że ty i twoi ludzie macie połowę tamtejszych działek na własność.

Rhodes przysunął sobie krzesło i usiadł.

— Teraz, kiedy zmieniły się przepisy dotyczące własności, sprawy mają się znacznie lepiej. Te mikroskopijne działki nie przynosiły spodziewanego zysku! Połączyliśmy jakieś piętnaście czy szesnaście działek, na których możemy kopać na tej samej głębokości.

— Słyszałem, że teraz jesteś naprawdę bogaty — powiedział Joel.

— Mniejsza o pieniądze, przyjacielu. Jesteśmy tutaj po to, żeby przysporzyć chwały Imperium i pokazać, na co nas stać. Efektywność, profity i dobre intencje, oto co się liczy.

Barney przyniósł kieliszki i powiedział do Rhodesa:

— Kiedyś mówiłeś, że być może uda nam się co nieco zarobić. Zobaczymy, jak to będzie.

— Twoje zdrowie — powiedział Rhodes, podnosząc do góry kieliszek. — Wiosną muszę wrócić do Oxfordu. Robię doktorat z prawa. Ale znalazłem zastępcę w osobie wspaniałego faceta o nazwisku Charles Rudd.

— To świetnie — powiedział Joel, wypijając kieliszek dwoma łykami. — To musi być cudowne uczucie być bogatym, a do tego otoczonym przez tylu wspaniałych ludzi.

Rhodes spojrział na niego z zainteresowaniem.

— Tak — odpowiedział po chwili. — To prawda. Następnego dnia rano Barney i Joel poszli obejrzeć działki. Chodzili po nierównych, piaszczystych drogach Wielkiej Dziury i oglądali swoją posiadłość. Edward miał rację, cztery działki były już dosyć głęboko rozkopane; poprzedni właściciele dokopali się do niebieskiej ziemi, która pomimo usilnych starań Edwarda, żeby ochrzcić ją Norkitą, znana była powszechnie pod nazwą Kimberlite. Joel kuśtykał przez działki ze smętną miną.

— Wydaje mi się, że tutaj nic nie ma.

— Johnson też tak myślał. Ale jeżeli wierzyć Edwardowi, to dopiero początek.

— Edward to pijak. Naprawdę nie wiem, czym ci tak imponuje. Pijany krawiec w sklepie nie zrobiłby na tobie takiego wrażenia, prawda?

Barney oparł ręce na biodrach i rozejrzał się dookoła. Tuż obok, na sąsiedniej działce należącej do Compagnie Francaise des Diamants du Cap, czarny robotnik wrzucał łopatą ziemię do wiader, zamocowanych na stalowych linach. Od czasu kiedy Barney przestał tu pracować, zwiększyła się liczba lin i wszędzie wisały wiadra, które powoli windowane były do góry. Tylko kilka lin było napędzanych ręcznie; większość górników posługiwała się dużymi kołowrotami wprawianymi w ruch za pomocą koni zaprzęgowych. Były to tak zwane kołowroty konne. Zwiększały moce wydobywcze kopalni, a poza tym ułatwiały robotę.

— Czy ty naprawdę wierzysz, że staniemy się bogaci? — zapytał Joel niepewnym głosem.

— A dlaczegoż by nie? Rhodesowi udało się. I wcale nie jest sprytniejszy od nas.

— Może nie jest sprytniejszy, ale jest Anglikiem i chodził do właściwej szkoły — odpowiedział Joel.

Barney podniósł porzuconą łopatę.

— Kiedy nam się uda, to nikt nie będzie nas pytał, do jakiej chodziliśmy szkoły. Nikogo nie będzie obchodzić, czy jesteś Żydem, czy nie. Tutaj tak naprawdę liczy się tylko jedno — diamenty.

Wbił koniec łopaty w twardą, niebieską ziemię. Następnie wziął trochę okruchów do ręki. Wybrał kamyki i żwir... i znalazł trzy małe diamenty.

— Widzisz? — powiedział, wyciągając dłoń z diamentami. — Jeden z nich to prawie karat. A dwa pozostałe też są dobrej jakości.

— No to na co czekasz? — zapytał Joel z uśmiechem na twarzy. — Idź po czarnych i zaczynamy.

— Jesteś pewien? — zapytał Barney. Joel skrzywił się.

— Wiem, że nie jestem ci do niczego potrzebny. Sprawiałem ci tylko kłopoty i tak już pewnie

będzie do końca. Ale jesteśmy przecież braćmi i myślę, że to wystarczający powód, żeby pracować razem.

— Chyba masz rację — odparł Barney, po czym wolnym krokiem począł się oddalać.

Joel oparł się na łopacie i patrzył za nim.

Ogarnęła ich gorączka diamentowa. Za każdym razem, kiedy wbijali łopatę w niebieską ziemię, wydobywali coraz więcej kamieni, zyski rosły, a pod koniec 1876 roku zarabiali ponad 2000 funtów tygodniowo. W 1877 roku Barney skończył 29 lat — doszedł wtedy do wniosku, że stać go na wydanie 75 000 funtów; więc aby uczcić swoje urodziny, zatrudnił architekta z Durban i polecił mu zaprojektowanie dworku nie opodal Kimberley, na małym pagórku wśród drzew. Chciał, żeby w środku była sala bilardowa, taka jak w klubie Kimberley, chociaż nie miał zielonego pojęcia o samej grze. Chciał mieć również boisko do gry w polo. Chciał też mieć długą drogę dojazdową z zakrętami, żeby wszyscy, którzy będą go odwiedzać, mieli dość czasu na podziwianie posiadłości, domu i wspaniałych ogrodów.

W weekendy zakładał dobrze skrojony surdut z ciemnoniebieskimi jedwabnymi naszykami na klapach, który zamówił w Kapsztadzie. Zamówił też dziesięć eleganckich dwurzędowych kamizelek i tuzin białych kołnierzyków, krawatów w kropki oraz tweedowe spodnie. Joel kupił sobie mały lakierowany powóz oraz parę rozbrykanych siwych koni i w soboty paradował po głównej ulicy Kimberley w swoim eleganckim białym garniturze, kłaniając się każdej napotkanej kobiecie.

Zaczęto budować dom, a kiedy położono już fundamenty, Barney rozbił butelkę szampana o brązowe cegły z Kapsztadu i nazwał go Vogel Vlei. Joel, stojący obok z rudowłosą Szkotką o imieniu Mary, pomachał mu wesoło laską.

Lecz nawet pieniądze nie zdołały uchronić Barneya przed tragedią. Dwa dni później, ni stąd ni zowąd, Alsjeblieft zaczął się trząść i dygotać. Piana pojawiła mu się na pysku, więc trzeba było zawołać doktora Schoemana.

— Jest już stary — powiedział doktor Schoeman, kiedy wyszedł ze stajni, opuszczając rękawy od koszuli. — Najlepiej będzie go zastrzelić.

— Ale przecież to on tego wszystkiego dokonał. Zawdzięczam mu swój majątek! — wykrzyknął Barney.

— Tym bardziej powinienesz to zrobić — odparł doktor Schoeman. Miał niebieskie wylupiające oczy, które przypominały szklane kulki.

— Poczekajmy jeszcze — powiedział Barney. Doktor Schoeman wzruszył ramionami.

— Skazujesz go na cierpienie. Wysiadła mu wątroba. Jeszcze tego samego dnia, późnym wieczorem, kiedy Joel zabawiał w pokoju Mary, Barney wyszedł z domu z naładowanym pistoletem i skierował kroki do stajni. Powietrze pełne było głosów owadów, które brzęczały w zaroślach. Wysoko na niebie świecił księżyc w pełni, był jasny, zimny i czarował swoim blaskiem. Barney zawahał się przez chwilę, po czym wszedł do stajni.

Alsjeblieft leżał na boku na słomie z szeroko otwartymi ślepiami i ciężko oddychał. Wokół pyska zgromadziła się obfita piana. Kiedy usłyszał Barneya, podniósł łeb. Barney chwycił go za grzywę.

— Jak się czujesz? — zapytał troskliwie. — Bardzo źle, co? — Przypomniawszy sobie, że tak samo mówiła do niego mama w zimowe dni w Nowym Jorku, kiedy był chory i musiał siedzieć w domu.

Alsjeblieft zarżał; w gardle miał pełno flegmy. Barney poklepał go po grzbiecie, myśląc o tych wszystkich eskapadach, które wspólnie odbyli, o wszystkich razem spędzonych dniach. Wspominał czasy, kiedy Pięter wspinał się na siodło i udawał, że jest żołnierzem z gwardii przybocznej Jej Królewskiej Mości.

— Mam nadzieję, że mi wybaczysz — powiedział Barney. Uniósł lufę rewolweru, dokładnie wymierzył broń między uszy konia.

Alsjeblieft czuł, że coś jest nie w porządku, bo poruszył się na słomie i próbował wstać.

— Wybacz mi, Alsjeblieft — powtórzył Barney i nacisnął spust.

Rozległ się ogłuszający huk, koń upadł na słomę z westchnieniem do złudzenia przypominającym jęk człowieka. Barney łudził się, że było to westchnienie ulgi. Wstał, ściskając w dłoniach ciężki pistolet, i wlepił wzrok w konia. Serce pękało mu z bólu. Potem wyszedł ze stajni, ciężko oddychając jak człowiek, który przebiegł kilka kilometrów w sztywnych, wysokich butach. W rozpiętej koszuli wybiegł z domu Joel.

— Co się dzieje? Co to za strzelanina? Barney wskazał głową stajnię.

— Alsjeblieft — powiedział. — Doktor Schoeman orzekł, że tak będzie lepiej.

— Rozumiem i jest mi przykro. Wiem, ile ten koń dla ciebie znaczył.

— Dla ciebie też, Joelu. Bez tego starego konia nie kupilibyśmy tych czterech działek.

Joel poklepał Barneya po plecach.

— Robisz się sentymentalny, stary, a to poważny błąd. Zarobiłeś pieniądze na te działki, bo harowałeś jak wół, to wszystko. Gdybyś nie był taki sentymentalny, to już dawno znalazłbyś sobie porządną żonę.

— Taką jak Mary? — zapytał Barney uszczypliwie.

— Mary jest w porządku. To niezła dziewczyna. I możesz mi wierzyć, że naprawdę jest ruda.

Barney odsunął się ze złością.

— Nie mam ochoty na głupie żarty, Joelu. Nie zapominam wyświadczonych mi przysług i to bez względu na to, kto mi je wyświadczył, obojętne czy to był człowiek, czy też koń.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że ja zapominam? Że dozgonnie powinienem ci być wdzięczny za to, że wlokłeś mnie ze sobą jak bydłę przez całe Orange Free State do jakiegoś głupekowego brytyjskiego chirurga, który tak mnie zoperował, że kuśtykam jak kaleka? Boże, jaki ty jesteś żaloszny!

Barney odwrócił się gwałtownie i chwycił Joela za koszulę.

— Słuchaj, ty... — wysapał. — Jeszcze jedno słowo i przetrączę ci drugą nogę.

Joel odepchnął go od siebie.

— Pewnego dnia przestaniesz mi grozić, Barney. Twój błąd polega na tym, że nie masz zbyt dużo oleju w głowie i bardzo szybko zaczynasz wygrażać pięściami. Te twoje wyszukane ciuchy... ta twoja pretensjonalność... i ten dworek, który chcesz nazwać Vogel Vlei. A dlaczego nie nazwiesz go *Knishes*?

Barney zaczął masować dłonią kark, żeby rozluźnić napięte mięśnie.

— Po prostu zamknij się, Joelu, dobrze?

— No dalej, groziłeś, że przetrącisz mi nogę. To ja mam się zamknąć? Mam ci dać odejść i tak po prostu wybaczyć? I mam nie mówić, jakim stałeś się cholernym hipokrytą? A może to nieprawda? Jesteś fałszywy, masz przecież czarną kobietę i syna mieszańca, których trzymasz daleko od siebie w Klipdrift; i jeszcze zadzierasz nosa, wałęsas się po Kimberley i opowiadasz tym wszystkim kretynom, jacy leniwi są czarni robotnicy, albo narzekasz na prymitywizm Bantu. Powinieneś zrozumieć, Barney, ci faceci nie darzą cię szacunkiem i traktują na równi z czarnuchami. Więc nie próbuj im dorównać, bo nigdy ci się to nie uda.

Barney słuchał w milczeniu, a potem ruszył w kierunku domu, zatrzymał się przy stopniach werandy i odwrócił głowę.

— Nic nie rozumiesz, Joelu. Absolutnie nic. Obchodzi mnie tylko jedno, pieniądze. Widzisz tę

kopalnię? Tylko na niej mi zależy. Kiedy będę miał pieniądze, to będę mógł robić, co tylko zechcę, i nikogo to nie będzie obchodzić.

— Teraz też tak może być.

— Teraz jeszcze nie. Ale nadejdą takie czasy.

— Kiedy? Przecież już jesteś bogaty.

— Kiedy wszystkie działki Wielkiej Dziury będą należeć do mnie. Wtedy.

— Rozumiem. — Joel uśmiechnął się z pobłażaniem. Wtedy dopiero obwieścisz światu, że jesteś Żydem i że do końca życia będziesz chodzić do synagogi odmawiać swoje modlitwy. Dopiero wtedy, co?

— Zejdź mi z oczu!

— A to dlaczego? Bo mnie uderzysz? A właśnie, zapomniałem, masz przy sobie pistolet. Może mnie zastrzelisz?

— Powinienem był to zrobić dużo wcześniej. Jesteś nieuleczalnie chory, bardziej niż był Alsjebieft.

— Nie wysilaj się, Barney — powiedział Joel, podskakując na zdrowej nodze. — Przestań udawać obrażonego młodszego brata. Chodzi ci o tę Murzynkę, tak? Na Main Street jest przynajmniej ze dwadzieścia Murzynek, które w niczym jej nie ustępują, i możesz je mieć za dwa funty. Uratowałem cię wtedy. Uratowałem od ciebie samego. No cóż, gdybyś był teraz żonaty...

Barney uniósł do góry pistolet i wystrzelił. Oczywiście specjalnie chybił o dobrych parę centymetrów, ale głośny huk sprawił, że Joel oniemiał. Z szeroko otwartymi oczami i skrzyżowanymi dłońmi na piersiach przypominał przerażone zwierzę. Stał tak nieruchomo, otwierając i zamykając usta, i obserwował Barneya, który odwrócił się i zaczął wchodzić po schodach na werandę. Echo wystrzału rozniosło się po okolicy i brzmiało jak krzyk nienawiści, który nigdy nie zamilknie.

Później, tego samego wieczoru, Barney wziął mały wóz zaprzężony w parę wołów i pojechał zobaczyć Vogel Vlei. Było już po dziesiątej, ale na niebie nigdzie nie było widać księżyca. Mimo to, fundamenty dworku wyraźnie rysowały się w ciemnościach. Barney stał z rękami w kieszeniach i rozwianymi na wietrze włosami. Oczami wyobraźni widział uroczystości i przyjęcia, i obiady, które tu będzie wydawał; potem partyjka bilardu z ważnymi osobami z branży diamentowej; a czasami urządzi wieczorek taneczny i wszyscy będą mogli podziwiać wspaniałe wnętrza. Słyszał nawet muzykę rozbrzmiewającą wśród drzew.

Pomyślał o Mooi Klip i poczuł łzy spływające po policzkach.

Zimą 1878 roku Vogel Vlei był prawie gotowy. Budynek został zbudowany w kształcie litery E i przypominał wiejski dworek w stylu angielskim. Stajnie mogły pomieścić osiem koni, a z tyłu mieściły się zagrody dla bydła. Działziniec był wysypany żwirem, a na środku stała fontanna, którą architekt kupił w Rawennie, we Włoszech, i którą w szesnastu częściach wieziono przez Great Karoo na wozach zaprzężonych w woły. Nieważne, że w majątku Barneya nie było wystarczająco dużo wody, aby fontanna mogła działać. Miał fontannę i to było najważniejsze.

Mooi Klip pozwoliła kiedyś, żeby Barney zabrał Pietera do Kimberley i pokazał mu nowy dom. Sama jednak nie chciała jechać, chociaż Barney usilnie ją do tego namawiał. Pewien młody farmer Griąua starał się wtedy ojej względy: był wysokim, wyglądającym bardzo po holendersku młodzieńcem o nazwisku Coen Boonzaier. On i Mooi Klip mieli w tym czasie odwiedzić kilku przyjaciół mieszkających nad rzeką Vaal.

Barney wziął Pietera za rękę i poprowadził go przez dębowe drzwi do podpartego filarami holu z błyszczącymi, parkietowymi posadzkami oraz wspaniałymi, szerokimi,

krętymi schodami. Pięter miał teraz sześć lat i był dobrze ułożonym, rozumnym chłopcem. Mama



ubrała go w kre-mowobeżowe ubranko i brązowy beret. Był wysoki jak na swój wiek, miał duże stopy i poważniał, kiedy coś mówił — rozśmieszało to obcych, ale Barneya zawsze wzruszało.

Pięter coraz bardziej upodabniał się do matki. Barney sadzał go czasami na kolanach i obserwował, nie mogąc oderwać wzroku. Przypominał sobie wtedy szeroko otwarte, brązowe oczy Mooi Klip, jej czarne kręcone włosy, jej usta, które rozchylały się, aby go pocałować i powiedzieć, że wyjdzie za niego za męża i że będzie kochać go do końca życia.

— Podoba ci się dom? — zapytał Barney syna.

— Ładny — odparł Pięter.

— Ładny? Jest wspaniały! To najpiękniejszy dom w Kimberley! Prawdopodobnie nie ma takiego w całej okolicy!

Pięter rozglądał się po pustych pokojach, w których nie było jeszcze dywanów. Były zimne i rozbrzmiewały echem kroków. Barney nie wybrał jeszcze odpowiednich zasłon, mebli i dodatków. Jeszcze nie miał pojęcia, jak to wszystko urządzić. Jego architekt dał mu kilka nazwisk dekoratorów z Kapsztadu — między innymi człowieka, który meblował dom sir Henry'ego Sarkly, oraz kilku specjalistów, którzy zmienili spokojne gregoriańskie wnętrze starego domu Quinna w przeładowaną ozdobami płataninę charakterystyczną dla stylu wiktoriańskiego. Ale Barney wahał się. Ciągle jeszcze wracał wspomnieniami do Khotso i chciał, żeby w Vogel Vlei panował ten sam nastrój. Chciał, żeby jego dom był wytworny, piękny, a jednocześnie przytulny.

— Czy mogę już wrócić do domu? — zapytał Pięter z wyraźnym afrykańskim akcentem.

— To jest twój dom — powiedział Barney, obejmując go ramieniem. — No, powiedzmy, że to jeszcze jeden twój dom.

— Nie czuję się tutaj tak jak w domu.

— Jeszcze nie, ale to tylko kwestia czasu, obiecuję ci to. I obiecuję ci coś jeszcze: zawsze będziesz tu mile widziany. Jesteś moim synem, moim jedynym chłopcem, moim pierwszym chłopcem i chcę, żebyś o tym pamiętał, bo to jest ważne. Jeżeli chcesz wszystkim powiedzieć, że Barney Blitz jest twoim ojcem, to nie mam nic przeciwko temu. Będę z tego dumny. Będę z tego naprawdę bardzo dumny.

— Mama nie wyjdzie za ciebie za męża — powiedział Pięter matowym głosem.

Barney spojrzał na Pietera. Był tak podobny do swojej matki, że nagle doznał bardzo dziwnego uczucia, jakby śnił.

— Mówi, że nie wyjdzie. Z powodu wujka Joela.

— Wujka Joela? — zawołał Barney, a jego głos rozszedł się po całym pokoju. Widział odbicie Pietera oraz swoje w oszklonych drzwiach naprzeciwko — dwie blade sylwetki w ogromnym, zalanym słońcem pokoju.

— No, myślę, że częściowo z powodu wujka Joela. Ona go nie lubi.

— Skąd wiesz? Przecież nigdy ci tego nie mówiła. Pieter zaczerwienił się.

— Tak, ale ja czuję, że go nie lubi.

— Rozumiem.

W milczeniu oglądali pierwsze piętro. Salę balową. Bibliotekę. Jadalnię. Kuchnię z zimnymi, czarnymi piecami i nagimi ścianami. Wszędzie unosił się zapach świeżego drewna i tynku.

Na górze, kiedy patrzyli przez okno na rozłożyste drzewa, które otaczały Vogel Vlei od południa, Pięter odwrócił się do Barneya i zniemacka powiedział:

— Kocham cię.

Barney spojrzał na niego uważnie.

— Kochasz mnie? Naprawdę?

Zauważył, że oczy syna są pełne łez, a usta złożone do płaczu.

— Mama mówi, że jesteś dobry. Wiem, że to prawda. Ale ona płacze. Dlaczego nie możesz zostać z mamą, dlaczego ciągle odchodzisz?

Barney uklęknął i chwycił Pietera mocno za ramiona. Zanurzył palce w kędziorkach na głowie chłopca i łagodnie przemówił:

— Czasami nie mamy wpływu na to, co się dzieje. Kiedyś chciałem zamieszkać z twoją mamą, ale nie udało się. Tb nie była moja wina. Nie była to też wina twojej matki. Ale tak się stało i wygląda na to, że nie możemy do siebie wrócić.

— Mogę ją poprosić — powiedział Pieter.

— Poprosić o co?

— Mogę ją poprosić, żeby pozwoliła, abys do nas wrócił i z nami zamieszkał.

Barney wstał, ręce oparł na biodrach i rozejrzał się po pustym pokoju gościnnym.

— Możesz ją poprosić, żeby zamieszkała tutaj. Pieter odwrócił głowę.

— Nie chcesz jej poprosić? — zapytał Barney. — Nie chciałbyś tutaj zamieszkać?

— Tutaj nie jest nasz dom — odparł Pieter. — Dla mamy to nie będzie dom. Dom jest tam, gdzie teraz mieszkasz.

— Ten mały jednopiętrowy domek? Ależ to tylko... to przecież tylko mały domek.

— Ten tutaj, to nie jest dom — upierał się Pieter.

— Ależ oczywiście, że to jest dom. To największy dom w całym Kimberley. Posłuchaj, Pieter, przecież nawet nie zdążyłem się tutaj wprowadzić. Ale kiedy już tu będę mieszkał, zobaczysz, jaki będzie przytulny. Obiecuję ci to.

W tym momencie usłyszeli wołanie Harolda Feinberga:

— Halo, halo! Jest tam kto w domu?

— Słyszysz? — Barney zwrócił się do Pietera. — Mówiłem ci, że to jest dom.

Harold wszedł do pokoju gościnnego, skrzypiąc czarnymi butami i zdjął tropikalny hełm. Oddychał chrapliwie, tak jakby całą drogę pokonał pieszo.

— Dom? — zdziwił się Harold. — To miejsce nigdy nikomu nie będzie domem, a już na pewno nie tobie.

— Chcesz się założyć?

— Pewnie. Założę się o największy diament, jaki dzisiaj znajdę, że w pierwszy dzień nowego roku nie będziesz już tutaj mieszkał.

— Żydowskiego czy gregoriańskiego nowego roku?

— Oczywiście, że żydowskiego — Harold Feinberg udał obrażonego. — To, że wyrzekłeś się swojej religii, nie znaczy, że ja to również zrobiłem. Nie wiem, czym matka go karmi, może drożdżami bo rośnie w oczach.

— Pewnie, że rośnie. Ma już sześć lat.

— Twój syn i spadkobierca, co? — uśmiechnął się Harold.

— Tak jest.

— Więc dlaczego nie ożenisz się z jego matką?

— Ożeniłbym się, gdyby tylko mnie chciała — Barney westchnął.

— Bzdura — odparował Harold. Zaczął chodzić tam i z powrotem, stawiając wielkie kroki. Na koniec zatrzymał się, spojrzął na Barneya przymrużonymi oczami, bo raziło go słońce, i powiedział: — Nigdy się z nią nie ożenisz.

— A ty skąd wiesz? — zapytał Barney, starając się, żeby jego głos zabrzmiał ironicznie.

— Skąd to wiem? Handluję diamentami, a poza tym znam się na ludziach. Rusz głową, Barney,

sam wszystkiego doświadczyłeś, kiedy włączyłeś się z Alsjeblietem po pagórkach. Widziałeś chciwość, rozpacz, bezradność i niczym nieuzasadniony, śmieszny optymizm. Sam to wszystko przecież widziałeś.

— Tak było.

— A może jest tak, że widziałeś to wszystko u innych ludzi, tylko nie u siebie? Kiedy na ciebie spoglądam, wiesz, co widzę?

— Nie wiem — odparł szorstko Barney. — No co?

— Widzę faceta ogarniętego ambicją, ot, co widzę. Widzę ambicję i widzę coś jeszcze.

— Co?

— Widzę, jak się spalasz. Wykończysz się i nie dożyjesz czterdziestu pięciu lat. Umrzesz młodo, Barney. Bo, wierz mi, masz już dom, o jakim inni ludzie mogą jedynie pomarzyć. Zarabiasz więcej pieniędzy tygodniowo niż większość Anglików rocznie. Wiesz, ile płaci się teraz lokajowi, dobrze wyszkolonemu lokajowi w angielskim domu? Siedemdziesiąt pięć funtów rocznie. Rocznie! A ty zarabiasz dwa tysiące tygodniowo.

— Tobie też nieźle idzie, Haroldzie.

— Myślisz, że robię to dla pieniędzy? Robię to, ponieważ daje mi to satysfakcję. Robię to, bo jest mi z tym dobrze. Ale coś ci powiem, Barney, nie będziesz tutaj mieszkał wiecznie, w każdym razie na pewno nie będziesz tutaj szczęśliwy, a ten biedny chłopiec nigdy nie będzie twoim synem i spadkobiercą.

— Nie masz prawa tak do mnie mówić! — Barney podniósł głos.

Harold uniósł oczy do góry, udając niewiniątko.

— Mówię, bo to prawda.

— Prawda? Tak? Coś ci powiem. Ten chłopiec jest moim synem i spadkobiercą, a kiedy umrę, wszystko, co posiadam, będzie należało do niego.

Harold Feinberg zbliżył się do Pietera i z kieszeni swojej szarej kamizelki wyjął pół korony.

— Słyszysz to, chłopcze? Twój ojciec właśnie wszystko ci zapisał. Swój dom, swoje diamenty, swoje złamane serce. Wszystko to kiedyś będzie twoje.

— Haroldzie — powiedział groźnie Barney. Harold wyprostował się.

— Przepraszam. Wychowałem się tylko w Whitechapel. Być może dlatego mój język jest ostrzejszy, niż być powinien.

— Chyba nie przyszedłeś tylko po to, żeby dać Pieterowi pół korony, co? — zapytał Barney. — Albo po to, żeby mnie dręczyć przez całe popołudnie?

— Nie. Przyszedłem ci powiedzieć, że belgijska spółka, która posiada działki znajdujące się tuż obok twoich, chce się ich pozbyć, oczywiście pod warunkiem, że dostanie tyle, ile za nie chce.

— Waterloo? Jesteś pewien? Ale oni mają osiem i pół działki!

— Myślę, że stać cię, żeby je kupić.

— Ile chcą?

— Dwieście tysięcy. Mogę powiedzieć, że to dosyć tanio. Barney wsunął ręce do kieszeni spodni i wykrzywił twarz.

— Mogę zapłacić jedynie sto osiemdziesiąt, ani grosza więcej.

— Myślę, że się zgodzą. Pójdę z nimi pogadać.

— Idź, dostaniesz prowizję.

— Chodzi o coś więcej niż o prowizję — powiedział Harold. Waterloo ma kontakty z Ascherem i Mendelem w Antwerpii.

— Z tymi szlifierzami?

— Tak. I wierz mi, są najlepsi. Specjalizują się w kamieniach o dziwnych kształtach... szlifują takie kamienie, i którymi inni szlifierze nie wiedzieliby, co począć. W ze-iriym roku szlifowali pomarańczowy diament. Siedemdziesiąt jeden karatów!

— Pamiętam. Ale do czego zmierzasz?

Harold pogładził dłonią kłapy marynarki.

— Proponuję zawiązać spółkę. Ty wydobywasz diamenty, ja zajmuję się rynkiem, a Ascher i Mendel szlifują je. W ten sposób moglibyśmy sprawować kontrolę. Wiedzielibyśmy o każdym większym kamieniu znalezionym w Kolonii na Przylądku.

Barney spojrział uważnie na Harolda.

— To jedynie spekulacje. Ale coś w tym jest. Niepokoi mnie tylko jedna rzecz: dlaczego Waterloo chce sprzedać działki?

— Zainwestowali zbyt dużo pieniędzy w diamenty, a teraz potrzebują kapitału. To całkiem proste. Bądźmy szczerzy, diamenty nigdy nie były dobrą inwestycją, prawda?

Barney pogłaskał Pietera po głowie.

— Wiesz, co mi kiedyś powiedział Rhodes? Tak długo jak kobiety będą się zakochiwać, przemysł diamentowy nie upadnie. Co roku potrzeba czterech milionów obrączek z diamentami, a to oznacza, że potrzeba czterech milionów diamentów.

— Rhodes robi się cyniczny, kiedy mówi o kobietach.

— Czasami żałuję, że sam nie potrafię być cyniczny tak jak on — powiedział Barney.

— Cieszę się, że tak jest — uśmiechnął się Harold. — Jeżeli nadejdzie dzień, w którym nie będziesz zakochany po uszy w jakiejś kobiecie, będę musiał posłać po rabina.

Barney poklepał Harolda po plecach i pociągnął do biblioteki. Stał tam jedyny mebel, jaki można było znaleźć w całym domu: mały, porysowany stół, na którym piętrzyły się butelki z południowoafrykańską sherry oraz słodkimi białymi winami. Stała też butelka whisky.

— Napijesz się? — zapytał Barney.

Harold potrząsnął głową. Usiadł na parapecie i patrzył, jak Barney nalewa sobie szkockiej do szklanki.

— Nigdy nie piłeś — zauważył.

— Nigdy nie byłem milionerem — powiedział Barney. — To odpowiedzialne zadanie.

— Co myślisz o spółce? — zapytał Harold. — Chcesz spróbować?

— Nie jestem pewien.

— I tak prędzej czy później będziesz musiał zaryzykować. Słyszałeś, że Rhodes kupuje działki w De Beers? Za kilka lat będzie kontrolować całą kopalnię. Potem weźmie się do Wielkiej Dziury.

— Przejęcie kontroli nad Kimberley nie będzie takie łatwe.

— Zrobi to, jeżeli mu się zdecydowanie nie przeciwstawisz. Dlatego musisz kupić jak najwięcej działek oraz kontrolować cenę diamentów. Jeżeli tego nie zrobisz, nie wygrasz z Rhodesem. I dlatego powinniśmy założyć spółkę. Przy odrobinie szczęścia może nam się udać utrzymać cenę diamentów na wysokim poziomie, kiedy Rhodes będzie chciał kupować, i na niskim, kiedy będzie chciał sprzedawać.

Barney nalał sobie jeszcze jedną porcję whisky. Pieter stał pod ścianą, uderzając miarowo piętą w dębową posadzkę, i zostawiając na niej ślady przypominające olbrzymie brwi, zakrzywione szable czy uśmiechnięte usta.

— Być może masz rację, Haroldzie — zaczął cicho Barney. — Może powinniśmy zająć się szlifowaniem diamentów, rynkiem i detalem. To w końcu handel detaliczny liczy się najbardziej.

— No pewnie — podchwycił Harold. — Sprzedaż detaliczna przynosi największe zyski.

Myślisz, że robię dobre interesy, sprzedając nie oszlifowane kamienie handlarzowi z Europy? Myślisz, że on robi dobry interes? — Harold wydał wargi i potrząsnął głową. — Nic z tego. Tylko się nam wydaje, że robimy dobre interesy. To jubilerzy robią prawdziwy biznes. To oni robią pieniądze na diamentach! Jakiś tam biedak z ulicy zapłaci dwieście funtów za świecidełko, które ty sprzedałeś za dziesięć funtów. A potem chwali się wszystkim swoim znajomym, że zrobił świetny interes, kupując diament za dwieście funtów. Cóż za lokata kapitału! Powinien spróbować go sprzedać, zobaczyłby wtedy, ile za niego mógłby dostać. Od 1720 roku diamenty to najgorsza lokata kapitału.

— Od 1720? — zapytał Barney.

Harold ze zniecierpliwieniem machnął ręką.

— Mówię ci, że to zła lokata kapitału. Ale mogłyby przynosić nam niezłe zyski, pod warunkiem że będziemy kontrolować cały interes, począwszy od kopalni, a skończywszy na sklepach.

— Pod warunkiem że Rhodes nie wejdzie nam w paradę, pod warunkiem że kupimy jak najwięcej działek.

— Jasne.

Barney wypił whisky, wykrzywiając usta przy przełykaniu. Wyciągnął rękę do Pietera.

— Chodź, Pieter — powiedział, po czym zwrócił się do Harolda: — Porozmawiamy później, muszę najpierw pogadać z Joelem.

— Myślałem, że wszystko jest twoje. Działki, dom. Musisz go pytać o zgodę?

— To mój brat, a poza tym odwala kawał dobrej roboty. Nie ośmieliłbym się podjąć tak ważnej decyzji bez zapytania go o zdanie.

Harold wsadził hełm na głowę, przekrzywił go na bakier.

— No dobra. Twoja sprawa. Ale nie zwlekaj zbyt długo. Francuzi też mają chrapkę na te działki. Daj mi znać jutro rano, co postanowiłeś.

Barney podniósł Pietera do góry i powiedział:

— Pieter, pożegnaj się z wujkiem Haroldem.

Harold uniósł brzeg hełmu, pochylił się do przodu i pocałował chłopca w policzek, dotykając jego twarzy swoimi bujnymi węsami.

— Szczęściarz z ciebie — powiedział i uśmiechnął się patrząc na Barneya.

W południe następnego dnia w biurze Głównego Zarządu do Spraw Przemysłu Górniczego, przesyconym zapachem cedrowych ołówków i wełnianych służbowych garniturów, Barney odebrał tytuły własności na osiem i pół działki należących do Waterloo Diamond Co. Następnie przekazał urzędnikowi, Anglikowi w okularach, o bladej jak ściana twarzy i flegmatycznym usposobieniu, czek na osiemnaście i pół tysiąca funtów i kilka pensów. Czek został z kolei wręczony niskiemu, piegowatemu Belgowi o nazwisku Wuustwezel, który z radości zaczął nim wymachiwać w powietrzu. Urzędnik zmierzył go natychmiast surowym spojrzeniem, które wyrażało głęboką dezaprobatę.

— To poważna sprawa, panie Wuustwezel, a nie karnawał.

— Może dla pana — roześmiał się Wuustwezel. Później wszyscy spotkali się w hotelu Kimberley.

Wuustwezel zamówił francuski szampan i cygara. Siedzieli przy złotym, lakierowanym stole, nad którym unosił się dym od cygar i rozmawiali o cenach diamentów, ale przede wszystkim o Cecilu Rhodesie.

— Nigdy nie wygrasz pan z człowiekiem tak zdeterminowanym jak Rhodes — oświadczył Wuustwezel. — On kupi wszystkie kopalnie diamentów w Afryce Południowej, ponieważ wierzy, że

to jego święty obowiązek.

— To, że jest głęboko wierzący, nie znaczy, że będzie miał wszystko, czego zapragnie — zachnął się Joel.

— A pan masz takie pragnienie? Taką ambicję?

Joel rozprostował swoją chorą nogę, usiadł wygodniej i zrobił głupią minę.

— Kocham pieniądze, jeżeli o to chodzi.

— Nie masz chyba innego wyjścia? — wtrącił Edward Nork. — Morfina sporo kosztuje na tym odludziu.

Joel wychylił kieliszek szampana i postawił go głośno na stole.

— Odczuwam ból, ale tylko wtedy, kiedy przebywam w wilgotnym klimacie albo w towarzystwie idiotów — wypalił.

— Ciągłe taki sam — uśmiechnął się do siebie Edward, wyciągając rękę po butelkę irlandzkiej whisky. Nalał sobie do pełna.

— Teraz możemy zacząć kopać naprawdę — powiedział Barney. — Jeżeli nie macie nic przeciwko temu, to chciałbym porozmawiać o interesach. Możemy pogłębić nasze cztery działki, tak żeby wyrównać poziom do belgijskich, a następnie osuszać jedną pompą. Belgowie mają konne kołowroty, jeżeli dobrze pamiętam, i obydwie posłużą nam do wydobywania na powierzchnię niebieskiej ziemi ze wszystkich dwunastu działek. W ten sposób koszty wzrosną tylko nieznacznie, pomimo że powierzchnia wydobycia zwiększy się trzykrotnie.

— Będziecie potrzebowali więcej robotników — powiedział Wuustwezel, podnosząc swój kieliszek do góry, tak że kiedy patrzyło się na niego przez szkło, jedno oko wydawało się większe od drugiego.

— Czarni robotnicy nie są drodzy — powiedział Joel.

— Pańscy na pewno nie. Ale chciałbym wam polecić jednego czarnucha. Ma na imię Jack i jest Ndebele. Będzie was kosztował jeszcze raz tyle co zwykły czarnuch, bo jest inteligentny i wie, o co chodzi. Oprócz tego jest dobrym kierownikiem, pokieruje wszystkimi waszymi robotnikami, zauważy każdy kamień, który znajdują, i potrafi trzymać rękę na pulsie.

— Ile pan mu płacił? — zapytał Barney.

— Dziewiętnaście szylingów miesięcznie. Kiedy zastanowi się pan nad tym, ile cała kopalnia traci tygodniowo w wyniku drobnych kradzieży, to okaże się, że warto.

Joel wyciągnął rękę i nalał sobie szampana.

— Dziewiętnaście szylingów miesięcznie? — zapytał, marszcząc czoło. — Czy nie uważa pan, że zaczną im przychodzić do głowy głupie pomysły, kiedy zacniemy im płacić tyle pieniędzy?

— Jack jest chrześcijaninem, panie Blitz — powiedział Wuustwezel i jego okrągła twarz nagle spoważniała. — Jest uczciwy, opanowany i myśli tylko o tym, jak najlepiej wykonać powierzoną mu pracę, bo chce jak najwięcej zarobić.

— Faceci, którzy nie piją, zawsze są podejrzani — wtrącił Edward. — Nawet czarni.

Barney wstał.

— Myślę, że na nas już czas — powiedział. — Mamy wiele spraw do załatwienia. A za dwa tygodnie chcę pojechać do Durban, żeby kupić meble i sprzęt do Vogel Vlei.

Joel podniósł wzrok do góry.

— Nic mi o tym nie mówięś.

— Właśnie teraz się zdecydowałem.

— Rozumiem. Pewnie znowu jedziesz obwąchiwać tę swoją Sarę. — Zwrócił się do Wuustwezela: — Mój brat nie gustuje w kurwach. Im trudniej zdobyć, tym lepiej. Odrobina tragizmu

też nie szkodzi. Im więcej przeszkód, tym lepiej. Dziewczyny, które leżą na plecach z nogami w powietrzu, nie są wystarczająco dobre.

Wuustwezel sięgnął po swój szary melonik i starannie umieścił go na głowie.

— Też muszę już iść — powiedział.

— Przyjęcie dopiero się zaczęło — zaprotestował Joel. — Proszę zamówić szampana.

— Przykro mi, ale jeżeli chce pan jeszcze szampana, to będzie pan musiał sam za niego zapłacić — powiedział Wuustwezel. — W końcu jest pan teraz współwłaścicielem jednej z największych kopalni diamentów w Kimberley, prawda?

Barney wyciągnął rękę i uściśnął Belgowi dłoń.

— Dziękuję za wszystko, panie Blitz — uprzejmym głosem powiedział Wuustwezel. — Mam nadzieję, że kopalnia przyniesie panu dużo pieniędzy i że poradzi pan sobie z problemami.

— Jakie problemy? — zdziwił się Joel.

Wuustwezel dotknął kapelusza i oddalił się, stawiając ostrożnie kroki na błyszczącej posadzce hotelowego holu.

— Jakie problemy?! — krzyknął za nim Joel. — Jakie problemy?

Potem odwrócił się i spojrzał Barneyowi prosto w oczy.

Chwyił kieliszek szampana i opróżnił go jednym łykiem. Jack Ndebele, okazał się jednym z najlepiej wychowanych Murzynów, jakich Barney kiedykolwiek spotkał. Miał i gęste, kręcone włosy i szeroką, kształtną twarz. W lewym uchu nosił złoty kolczyk i na tym kończyło się jego podobieństwo do innych czarnuchów. Mówił płynnie po angielsku z akcentem Shropshire i zawsze ubrany był w szary garnitur i biały kołnierzyk. Wszyscy z okolic Wielkiej Dziury mówili o nim „Dzentelmen Jack”. Normalnie jego nienaganne maniery budziłyby podejrzliwość, uważano by, że stara się małpować białych i im dorównać, ale Jack był wyjątkiem — pasja, z jaką pracował, i uczciwość wystarczyły, żeby rozwiać obawy tych górników, którzy dla świętego spokoju woleli zatrudniać Murzynów pracujących od świtu do nocy za marne pieniądze. „Najniebezpieczniejszy czarnuch to taki, któremu okazano dobre serce” — powiedział kiedyś Barneyowi pewien farmer z Oranjerivier. „Nie można im robić nadziei, że kiedyś będzie im się lepiej powodzić, ponieważ nadzieja budzi w nich agresję”.

Barney poznał Jacka następnego dnia, kiedy stał się prawnym właścicielem ośmiu i pół działki nie opodal North Reef. Był chłodny ranek i Barney miał na sobie nieprzemakalny niebieski płaszcz oraz czapkę. Prawie na wszystkich działkach rozpoczęto już pracę. Stukot kilofów i łopat oraz skrzypienie urządzeń wyciągowych odstraszały ptaki, które grzebały pazurkami w świeżo wykopanej ziemi, wykorzystując każdą chwilę nieobecności ludzi.

— Dzień dobry, panie Blitzboss — powitał Barneya Jack, wychodząc w szarym garniturze i gumowych kaloszach z wykopanej dziury.

— Dzień dobry — powiedział Barney. — Nie widzę robotników.

— Za to ja jestem, panie Blitzboss. Pracuję tu od dnia, kiedy zaczęto kopać, czyli od samego początku.

— Wiem. Wuustwezel polecił mi ciebie.

— Miałem taką nadzieję, panie Blitzboss. Jestem wzorowym pracownikiem. Mam bardzo dobre referencje ze wszystkich moich miejsc pracy. Od trzeciego roku życia jestem sierotą, panie Blitzboss, rodzice umarli na cholera. Zostałem wychowany przez pana Wallingtona, wspaniałego misjonarza, i jego rodzinę. Nauczyłem się tam dobrych brytyjskich manier. Noszę bieliznę, panie Blitzboss, i myję się co tydzień.

Barney uśmiechnął się do niego z zażenowaniem.

— Dobrze. Miło mi to słyszeć. Jack poprawił krawat.

— Bez krawata, panie Blitzboss, mężczyzna nie jest odpowiednio ubrany. Nauczyli mnie tego, kiedy pracowałem dla pana Jonesa. Sprzedawał fortepiany i pieśni religijne, proszę pana. Moim zadaniem było śpiewanie Psalmu 23, stojąc na baczność, podczas gdy pan Jones demonstrował stojący na wozie fortepian. Potem pracowałem przy budowie domów w Klipdrift i w końcu zainteresowałem się wydobywaniem diamentów. Teraz jestem do pańskiej dyspozycji, jeżeli oczywiście zechce mnie pan zatrudnić.

— Pewnie, że cię zatrudnię. Wuustwezela płacił ci dziewiętnaście szylingów miesięcznie, zgadza się?

— I cztery pensy, panie Blitzboss.

— Cztery pensy za co?

— Specjalne wynagrodzenie, proszę pana. Za wprawianie w dobry humor kucharki pana Wuustwezela. Pan wie, kiedy miała zły humor, źle gotowała, a pan Wuustwezela ma fioła na punkcie dobrego jedzenia. Więc przynajmniej trzy razy w miesiącu tak do mnie mówił: „Zupa jest coraz cieńsza, Jack” albo, „Kotlety były znowu przypalone, Jack”. Szedłem wtedy do niej wieczorem i wprawiałem ją w dobry humor. Dobra była z niej kobieta, panie Blitzboss, no cóż, miała w sobie francuską krew, chociaż była czarna jak smoła. Muszę przyznać, że zasługiwałem na te cztery pensy.

— Na to wygląda — uśmiechnął się Barney. — Być może powinienem płacić ci funta miesięcznie, żeby wynagrodzić stratę?

Lewa powieka Dżentelmena Jacka zadrżała.

— Godzę się na funta, panie Blitzboss. W zamian za to obiecuję panu rzetelną pracę.

— W takim razie, do rzeczy — powiedział Barney. — Za kilka dni wyjeżdżam do Durban i nie będzie mnie w Kimberley miesiąc lub dwa. Przypuszczam, że widziałeś mój dom Vogel Vlei? Trzeba go urządzić, pomalować, więc jadę do Durban, żeby znaleźć kogoś, kto się tym zajmie. Kiedy mnie nie będzie, mój brat, pan Joel Blitz, będzie wszystkim zarządzał. Więc cokolwiek powie, chcę, żebyś słuchał jego poleceń i robił dokładnie to, co ci każe. On jest również twoim szefem, tak samo jak ja.

— Rozumiem — skinął głową Jack.

— Mam nadzieję. Nie chcę tutaj żadnych kłopotów, kiedy wrócę.

— Dobrze, proszę pana. Nie będzie żadnych kłopotów. Barney przyjrzał się ośmiu działkom, które stały się jego własnością. Było już prawie tyle miejsca, że można by ustawić ekskawator i pogłębiać wykop trzy razy szybciej niż dotychczas. Ściany wykopu zawały się teraz regularnie, więc aby dotrzeć do podłoża obfitującego w diamenty, trzeba było nieustannie wydobywać pokaźne ilości gruzu. Rhodes miał rację. Im szybciej wykupi się działki będące własnością setek górników, im szybciej połączy się je, tym szybciej będzie można zastosować nowoczesną technikę i zmechanizować pracę. Barney postanowił, że zamówi dwie maszyny wyciągowe, kiedy będzie w Durban, oraz kilka obrotowych sit do przesiewania wykopanej ziemi.

— W takim razie powierzam ci kierownictwo — powiedział Barney do Dżentelmena Jacka. — Chcę, żeby o jedenastej kopalnia pracowała na pełnych obrotach i żebyś znalazł najlepszych robotników. Możesz im powiedzieć, że jeżeli będą dobrze pracować, to zapłacę im ekstra.

— Myśli pan, że to dobry pomysł, panie Blitzboss?

— A o co chodzi? Jack uśmiechnął się.

— Pan Wallington nauczył mnie, że czarni powinni być zadowoleni z tego, co dostają. Powinni ciężko pracować, dlatego, że to dla nich dobre, a nie dlatego, żeby zarobić więcej pieniędzy.

Barney popatrzył na niego uważnie.

— Naprawdę w to wierzysz? — zapytał.

— Pan Wallington tak mówił, proszę pana.



— Jeżeli uważasz, że pan Wallington miał rację, to dlaczego zgodziłeś się na funta zamiast dziewiętnastu szylingów?

— I czterech pensów, proszę pana.

— Tak, i czterech pensów.

— Może dlatego, że jestem więcej wart, panie Blitzboss. — Jack wzruszył obojętnie ramionami.

— Może — zamyślił się Barney. — A może po prostu jesteś cholernym draniem?

Dopiero po dwóch tygodniach Blitz Brothers Diamond Company zaczęła wydobywać pokaźne ilości diamentów, tak że można było mówić o zyskach. Zaniedbywane przez Belgów ściany wykopów zawaliły się, a na dnie zgromadziły się tony gruzu. Dżentelmen Jack nie mógł się z nim uporać przez pięć dni. Wykop był teraz tak głęboki, że częste zawały były nie do uniknięcia. Zdarzały się dni, kiedy musieli wydobywać trzy tony gruzu i pokruszonych skał, zanim dotarli do diamentonośnej niebieskiej ziemi.

Zniecierpliwiony Barney musiał odłożyć wyjazd do Durban do czasu, aż uporają się z całym tym bałaganem — nie miał innego wyjścia. Joel i Dżentelmen Jack nie wchodzili sobie w drogę, co napawało optymizmem. Edward Nork wpadł na pomysł, aby podeprzeć obrzeża wykopów porzuconymi żelaznymi prętami, które znalazł na placu budowy nowego Banku Londyńsko-Południowoafrykańskiego. W połowie lipca Barney wreszcie zaprzął swoje dwa najlepsze konie, Boitumelo, i Moonshine, i wyruszył w drogę, która wiodła przez wyżyny Transvaalu i góry Natalu.

Mooi Klip zarabiała ciasto w kuchni domu jej rodziców w Klipdrift, kiedy do drzwi zapukał pan Ransome.

— Jest tam kto? — zawołał.

Mooi Klip odgarnęła ręką włosy z czoła, zostawiając na nim mączne ślady.

— Proszę — powiedziała. — Tylko ja tutaj jestem.

Pan Ransome wszedł do środka, kurczowo ściskając kapelusz w dłoniach, tak jak małe, spłaszczone zwierzątko j ściska kurczowo swoje jedzenie. Rozejrzał się po kuchni i nieśmiało uśmiechnął. W końcu rozpromienił się i obdarzył Mooi Klip spojrzeniem, które wyrażało podziw.

— Co za wspaniały widok — powiedział. — Właśnie tak Pan Bóg wyobrażał sobie dom rodzinny. Pracowita kobieta krzątająca się w kuchni. Zapach jedzenia. I te ciasteczka. Nie ma nic lepszego od takich ciasteczek!

— Proszę poczęstować się, jeżeli ma pan ochotę — powiedziała Mooi Klip rozbawiona. — Ale są gorące.

— Nie, teraz nie — podziękował pan Ransome. — Ale za to chętnie napiję się trochę mleka. Całe przedpołudnie przesiedziałem na wozie i jestem wykończony upałem. Okropnie gorąco, prawda?

Mooi Klip wytarła ręce w fartuch w niebieską kratę i podeszła do wygiętej metalowej bańki, w której jej matka trzymała kozie mleko. Wzięła czerpak, zanurzyła w mleku i napełniła szklanę, którą postawiła na dębowym stole.

— Proszę poczęstować się ciasteczkiem, jeżeli ma pan ochotę — powtórzyła. — Nie pogniewam się tylko dlatego, że zmienił pan zdanie.

Pan Ransome przyjrzał się uważnie ciasteczkom i energicznie pokręcił głową.

— Nie, nie. Muszę się powstrzymać. Muszę nad sobą zapanować. Bardzo się staram, aby chociaż raz dziennie od czegoś się powstrzymać.

Mooi Klip wróciła do pracy. Słońce wpadało przez otwarte drzwi i oświetlało kuchnię.

Promienie słoneczne utworzyły wydłużony trójkąt na pomalowanej na biało ścianie. Pomieszczenie było zwykłe i proste, ale zarówno ta prostota, jak i swoboda, z jaką pracowała Mooi Klip, działała dziwnie kojąco. Pan Ransome nie czuł więc potrzeby podtrzymywania rozmowy, usadowił się tylko wygodniej na swoim krześle i sennie mrużąc oczy, przypatrywał się dziewczynie, która wałkowała ciasto i kroїła je w owalne plastry. Takie ciasteczka, które nadziewano później jarzynami, tutejsi ludzie nazywali „małymi ptaszkami”.

W takie dni jak ten pan Ransome czuł, że Bóg jest blisko. Kiedy w dzieciństwie czytał Biblię z obrazkami, widział małego Jezusa i jego tatę — cieślę przy pracy. Teraz ciągle jeszcze zachwycały go promienie słoneczne i rzetelna praca. Gdyby zapytano go o sumienie i skomplikowane doznania duchowe, uśmiechnąłby się tylko i odwrócił w drugą stronę. Jego łagodna twarz poważniała na samą myśl o tych suchych, spiralnie zwiniętych wiórach wokół młodych nóg Mesjasza. Och, gdyby tylko mógł tam wtedy być i pomagać mu przy pracy!

Pan Ransome był misjonarzem i byłym wikarym w kościele św. Augustyna w Kennington niedaleko Londynu. Był jedynym człowiekiem głoszącym Dobrą Nowinę w promieniu setek mil. Miał dwadzieścia dziewięć lat, a ciągle jeszcze wyglądał jak młody chłopak. Jego twarz była podłużna jak jedna z foremek na ciasto pani Beeton. Miał długi, haczykowaty nos i gęste, ciemne włosy, których nie sposób było rozczesać. Jak zawsze miał na sobie sutannę i koloratkę. Wierzył w prostą symbolikę religijną, lubił więc odwiedzać rodziny Griqua, które znane były ze swojej żarliwej, niewzruszonej i bezgranicznej wiary. Griqua łączyli w sobie magię Hotentotów z prostotą Burów i pan Ransome musiał przyznać, że ich wiara była często bardziej głęboka niż jego własna.

Od czasu narodzin Pietera odwiedzał czasami Mooi Klip. Pięter został ochrzczony w kamiennej chrzcielnicy, w kaplicy św. Małgorzaty, żelaznym budynku, nie opodal rzeki Vaal. Mooi Klip fascynowała go już od dawna — było w niej coś wzruszającego i szlachetnego zarazem. Pocieszał ją, dotrzymywał jej towarzystwa i opowiadał o Bogu. Ona z kolei opowiedziała mu o Barneyu i Joelu. Również i o Coenie. Często klęczeli na brązowej kuchennej posadzce i wspólnie odmawiali modlitwy.

— Panie Ransome, mam zmartwienie — zwierzyła się Mooi Klip, przesiewając mąkę na stole.

— Zmartwienie? — zapytał pan Ransome. — Jakie?

— Sama nie wiem. W zasadzie to nic takiego. Tylko Pięter wrócił niedawno z Kimberley, od swojego ojca, i powiedział mi, że Barney chce, abym z nim zamieszkała w jego nowym domu.

— To na pewno dobra wiadomość. — Pan Ransome splótł dłonie.

— Nie wiem. A Coen?

— Czujesz więcej do Barneya niż do Coena, prawda? W każdym razie takie odniosłem wrażenie, kiedy mi o nim opowiadałaś. Tylko nieszczęśliwy wypadek sprawił, że go nie poślubiłaś.

Mooi Klip spojrzała na pana Ransome i potrząsnęła głową.

— To nie był wypadek, panie Ransome.

— Jeszcze mu nie przebaczyłaś?

— Nie mogę.

Pan Ransome podrapał się energicznie po kostce.

— Naprawdę nie wiem, co ci poradzić. Jeśli tak bardzo nienawidzisz Joela, jeśli czujesz, że Barney zdradził cię, stając po stronie brata, jeśli nie wiesz jeszcze, co czujesz do Coena... no cóż, w takim razie mogę ci jedynie poradzić, abyś gorliwiej pracowała nad sobą, modląc się i szukając dalszych wskazówek u Pana. Pochopne działanie byłoby bardzo nierozważne, musisz mieć przecież na uwadze szczęście Pietera i swoje własne.

— Czasami tak mi smutno. — Mooi Klip odłożyła nóż i powiedziała rzewnym głosem: —

Myślę o Barneyu i o tym, jak mogłoby być. Zaraz potem myślę o Joelu i czuję tylko nienawiść. Wiem, że chrześcijanin nie powinien nienawidzić. Powinam mu przebaczyć. Lecz nigdy nie będę szczęśliwa z Barneyem, jeśli jego brat będzie kręcił się w pobliżu.

— A Coen?

— Coen jest dobry i miły. więc mogłabym go pokochać. Lecz czuję, że gdybym za niego wyszła, zraniłabym go. Tego bym nie chciała.

Pan Ransome rozważał słowa Mooi Klip, bębniąc palcami po stole. Po chwili wziął do ręki szklankę z kozim mlekiem i wypił połowę. Wytarł usta, po czym powiedział:

— A może ja porozmawiałbym z Barneyem? W twoim imieniu?

— Nie wiem, czy to by pomogło — odparła Mooi Klip.

— Być może nie — przyznał pan Ransome — choć z drugiej strony nie ma pewności. Nigdy nic nie wiadomo. Jezus dokonywał cudów. A przecież zbawienie świata wydawało się wtedy niemożliwe.

— Ciągle myślę o grzesznych czynkach, których dopuścił się pewien człowiek — powiedziała Mooi Klip.

— Wiem, kogo masz na myśli — westchnął pan Ransome. — Znienawidzony Joel Blitz.

Wstał. Spojrzał na ciasteczka.

— Przy końcu tygodnia muszę jechać do Kimberley — powiedział. — Może mógłbym wtedy do niego zajrzeć.

— Tylko niech pan będzie ostrożny. Nie chcę, żeby pomyślał, że go ponaglam.

— Moja droga Natalio, będę bardzo ostrożny. Uścisnął serdecznie jej dłoń. Z policzkami białymi od mąki i zaczesanymi do góry kręconymi włosami, Mooi Klip była ładna jak obrazek. Jej twarz emanowała blaskiem, a zapach unoszący się wokół niej odurzał. Wszystko to sprawiło, że pan Ransome poczuł się dziwnie niepewnie. Jej włosy błyszczały w słońcu, a twarz promieniała. Pan Ransome spoglądał ukradkiem na jej piersi ukryte pod ciasną sukienką w kwiatki, na zagłębienie między piersiami, gdzie wisiał srebrny krzyżyk, i poczuł, że zaczerwienił się po uszy.

Mooi Klip uśmiechnęła się i pocałowała go w policzek.

— Jest pan dla mnie taki dobry — powiedziała.

Nie wiedział, co powiedzieć. Czuł, że nie znajdzie właściwych słów dla wyrażenia tego, co naprawdę czuje. Słów, które wyrażałyby, jak bardzo na niego działa i podnieca go, które oddawałyby, jak głupio się teraz czuł, godząc się na odszukanie Barneya i rozmowę z nim w imieniu Mooi Klip. Pragnął przecież tylko jednego — mieć tę niezwykle atrakcyjną kobietę tylko dla siebie. Zwykle był pewny siebie, lecz teraz był głęboko przygnębiony i podniecony zarazem. O Boże, to co czuł, doprowadzało go do szaleństwa! Nie zdawał sobie sprawy z tego, że był zakochany, a stan ten trwał już prawie od dwóch lat.

Pamiętał, kiedy pierwszy raz dostrzegł w Mooi Klip kobietę, przedtem była tylko jeszcze jedną nieszczęśliwą owieczką, którą trzeba było się zająć. Zobaczył ją na podwórku przed domem jej rodziców w pewien gorący listopadowy poranek. Zajęta była praniem bielizny w drewnianej miednicy. Prała na blaszanej tarze, a używała do tego celu szarego mydła. Włosy miała związane z tyłu, ubrana była w białą rozpinaną sukienkę z bawełny. Jechał akurat swoją czarną, pająkową bryczką, więc pozdrowił ją i zapytał o zdrowie, a ona podniosła oczy, mrużąc je w słońcu. Wyglądała jak dzikuska, jeden ciemny sutek przebijał przez mokry materiał sukienki jak pocałunek przez mgiełkę.

— Może jednak ulegnie pan pokusie? — zachęcała Mooi Klip.

— Proszę? — Zarumienił się pan Ransome.

— Niech pan ulegnie pokusie. Proszę się poczęstować ciasteczkami. Jestem pewna, że silną wolę może pan ćwiczyć przy innych okazjach.

Pan Ransome poczuł, że ma sucho w ustach. Obliznął je i pośpiesznie skinął głową.

— Tak, masz rację. Nie mogę się przecież wyrzekać wszystkiego. — Wziął jedno ciasteczko i trzymał je przez chwilę w otwartej dłoni, oglądając ze wszystkich stron. — Wygląda wspaniale. Zjem je na podwieczorek.

Patrzyła, jak odchodzi w kierunku swojej bryczki przywiązanej do pobliskiego płotu. Dwukrotnie się odwracał i uchylał kapelusza. Wsiadając do bryczki zawołał:

— Przekażę ci wiadomość, jak tylko będę coś wiedział! Obiecuję!

Mooi Klip pomachała mu ręką i uśmiechnęła się, po czym wróciła do pracy. Pan Ransome zawahał się przez moment, zanim chwycił konia za cugle. Miał ochotę zeskoczyć, popędzić z powrotem przez ogród, wziąć Mooi Klip w ramiona i opowiedzieć jej o namiętności, jaką w nim wzbudza. Zamiast tego krzyknął tylko na konia, trzasnął batem i bryczka zaczęła toczyć się po wyboistej drodze.

— Nie wolno mi — szepnął pan Ransome sam do siebie, opuszczając Klipdrift. — Jestem misjonarzem. Nie wolno mi! — To wyrzeczenie było bardziej bolesne niż odmówienie sobie zjedzenia tysiąca ciasteczek. Jechał tak, chrupiąc ciasteczko i płacząc na przemian, a kiedy był już w połowie drogi do domu, musiał zatrzymać bryczkę i postukać się w piersi, żeby się nie zadławić.

Tego wieczoru kiedy Barney wjeżdżał do Natalu oddalonego o pięćset mil od Kimberley, Joel siedział w pokoju jadalnym w Vogel Vlei na pustych skrzynkach po prochu armatnim przy stole, który tak naprawdę był kiedyś kadłubem statku. Grał w „Pope Joan” z Dzentelmenem Jackiem i z pewnym starym mieszkańcem Kimberley, o przydomku Szampański Charlie. Na błyszczącej parkietowej posadzce poustawiali dziesiątki świeczek, które wyginały się teraz na wszystkie strony. Głosy i śmiech trzech mężczyzn rozlegały się po pustych pokojach, a echo rozbrzmiewało nawet na schodach i wyższych piętrach.

Szampański Charlie był małym, rumianym mężczyzną. Miał ryze wąsy przypominające koński ogon. Mówiono na niego Szampański Charlie, ponieważ w 1874 roku w Du-toitspan rozsypał kilka stłuczonych butelek po szampanie po kompletnie wysuszonym, leżącym odłogiem polu uprawnym, po czym sprzedał je pewnemu naiwnemu poszukiwaczowi diamentów za trzy tysiące funtów. Był też powszechnie znanym hazardzistą i ofiarą zakładów, które z reguły przegrywał.

Jack rzucił swoje karty na stół i wstał.

— Mam chyba na dzisiaj dosyć kart — powiedział. — Może któryś z panów życzy sobie odrobinę porto? Panie Blitzboss?

— Nigdy bym nie przypuszczał, że pewnego dnia będę siedział na drewnianej skrzynce i grał z czarnuchem w „Pope Joan” — zarechotał Szampański Charlie. — Ale całkiem nieźle gra, co, Joelu? Bystrzak z niego. W dodatku pije! To tylko potwierdza starą prawdę, że można nauczyć małpę kilku sztuczek, jeżeli się tylko chce.

Tym razem wygrał Joel. Był najwyraźniej zmęczony. Twarz miał bladą i wilgotną od potu.

— Niektóre małpy uczą się szybciej od ludzi — powiedział, a w jego głosie dało się wyczuć złośliwą aluzję.

— Niepotrzebnie tak się przejmujesz Barneyem — powiedział Szampański Charlie. Wiedział, co Joel miał na myśli. Przecież w każdej knajpie, szulerni czy burdelu w Kimberley, wszędzie tam gdzie gromadzili się spragnieni rozmowy, pieniędzy i wódki poszukiwacze diamentów Joel nieustannie narzekał na Barneya. Opowiadał, jaki to z niego był prawy i dumny człowiek, jak to

unikął czarnych kobiet tylko po to, żeby podkreślać swoją moralną przewagę.

— Barney działa mi na nerwy — powiedział Joel. — Co więcej, wolałbym, żeby jeden z nas wcale się nie urodził. Wszystko jedno który. Jestem teraz skazany na to bezsensowne życie z bratem, którego nie znoszę. Byłoby lepiej, gdybym w ogóle się nie narodził.

— A ja myślę, że nie jest wcale taki zły — powiedział Jack, przynosząc trzy kieliszki porto. — Zapłacił mi od razu ekstra i nigdy mnie nie oszukał.

— Nie pozwolił mi nawet umrzeć — żalił się Joel. Wpatrywał się uporczywie w Szampańskiego Charlie'ego.

— Strasznie cierpiałem, miałem już odejść do mojego Stwórcy. Miałem być w końcu wolny. Ale czy mój wspaniały młodszy brat mógł na to pozwolić? O nie. Miał inne plany. Sześć tygodni bólu nie do wytrzymania, na wozie. A potem sześć godzin męczarni w sali operacyjnej, kiedy to łamano i ponownie nastawiano mi kości. Spójrzcie tylko na mnie. Kuśtykam jak kaleka. Jestem też współwłaścicielem kopalni diamentów, lecz wiem tak samo dobrze jak on, że nawet na to sobie nie zasłużyłem. „Co powiesz o naszej kopalni, Joel?“, „Jak pomalujemy nasz dom?“ A przecież wie dobrze, że to wszystko nie jest moje. Tym większe moje cierpienie. Wie, że go nienawidzę, wie, że z premedytacją staram się zniszczyć mu życie, a mimo to nadal mi wybacza.

— Powinieneś się cieszyć — powiedział Szampański Charlie, zapalając cygaro. — Ja bym się cieszył, gdybym zrobił to co ty, a mój brat mimo wszystko by mi wybaczył. Nie posiadałbym się z radości.

Joel przewrócił swoją skrzynkę po prochu i kopnął ją z głośnym hukiem. Następnie wspierając się na lasce zaczął chodzić po ogromnym pokoju jadalnym, omijając przyklejone do podłogi świece. W tym przytłumionym świetle jego twarz wydawała się upiornie blada.

— Przebaczenie — zaczął — jest równoznaczne z wymierzeniem najstraszliwszej kary. To ponad moje siły.

Dżentelmen Jack stał wyprostowany w swoim szarym surducie. Odwrócił się w stronę Szampańskiego Charlie'ego i wykrzywił wargi, przybierając komiczny wyraz twarzy. Szampański Charlie parsknął nerwowym śmiechem.

— Pewnego dnia — powiedział Joel, a gołe ściany zniekształciły jego głos — wierzę, że Barney zrobi coś, co będzie wymagało mojego przebaczenia.

Przerwał, ciężko oddychając. Końcem laski uderzał o twardą dębową podłogę, stuk-stuk-stuk-stuk-stuk. Jego prawe ramię wygięte było do przodu, a chora lewa noga podkurczona, jakby namalowana niewprawną ręką małego dziecka.

— Ach, marzę o tym — powiedział szeptem. — Marzę o chwili, kiedy przyjdzie i powie: Joelu, przepraszam, proszę, przebac mi.

— I wtedy pluniesz mu w twarz! — krzyknął Szampański Charlie, klepiąc się po udach. Joel rzucił mu szybkie, triumfujące spojrzenie.

— O nie, Charlie! Nigdy bym tego nie zrobił! Przebaczyłbym mu! To bym właśnie zrobił! Przebaczyłbym mu!

Dżentelmen Jack wypił swoje wino.

— Pójdę się położyć — powiedział. — Oczywiście jeżeli i nie ma pan nic przeciwko temu, panie Blitzboss. Jutro musimy wcześniej zacząć. Dużo pracy.

— Nic się nie martw — powiedział Joel. — Nalej sobie jeszcze jednego drinka.

Dżentelmen Jack wzruszył ramionami.

— Tak jest, panie Blitzboss.

Joel zrobił dwa czy trzy niezdarne kroki, omijając świece.

— Wiesz co, Charlie — powiedział w zadumie — myślę, że kocham Barneya. Mimo wszystko naprawdę myślę, że go kocham. Był ulubieńcem mojego ojca, wiesz? Nie matki. Matka zawsze mnie wolała. Lecz myślę, że matki mają słabość do swoich pierworodnych. Myślę, że go kocham.

— Zawsze był w porządku w stosunku do mnie — powiedział Szampański Charlie.

— A wiesz dlaczego? — zaczął Joel. — Bo nie jesteś jego bratem. Aleja go kocham. Nadal go kocham. Jest tylko jedna rzecz, która mnie drażni i złości. Bez przerwy myślę, że jest lepszy ode mnie. Zawsze tak było. A przecież jest moim młodszym bratem i zawsze nim będzie. Przecież jest mniej doświadczony ode mnie. Myśli, że jest lepszy, że to łaska, którą obdarzył go Pan Bóg. I właśnie dlatego mam ochotę go upokorzyć, zniszczyć wszystko, czego się dorobił i co ceni. Rozumiesz? Niszczyłem jego zabawki. Wyrywałem kartki z jego książek. Ale dobrze mu tak. Nie powinien myśleć, że jest lepszy od innych. Rozumiesz? Musi zrozumieć, że jest tak samo grzeszny i słaby jak my wszyscy. Bo jeżeli tego nie zrozumie, słuchasz mnie, Charlie? Jeżeli tego nie zrozumie, będzie bardzo, bardzo żałował.

Szampański Charlie zacisnął mocno wargi i poczuł się trochę nieswojo.

— Zagramy jeszcze raz? — zapytał.

— Napijmy się raczej — powiedział Joel i prostując zeszywniałe ramię, podniósł do góry pusty kieliszek.

Dżentelmen Jack podszedł do stołu i nalał mu porto do kieliszka. Idąc, głośno stukał obcasami.

— Żadnych kobiet dzisiaj? — zapytał Szampański Charlie.

— Nie wiem. Mam dosyć Murzynek. Mam też dosyć tych francuskich kurw, całego tego gdakającego kurnika śmierdzących kobiet, który przyjechał tu z Algierii. Diabli wiedzą, ilu Murzynów i innych durniów już zaliczyły. Mam dosyć wszystkiego.

Szampański Charlie cierpliwie tasował karty. Jego tłuste palce w błyskawicznym tempie posyłały dziesiątki migających w oczach kartoników z jednej ręki do drugiej.

— Słyszałem, że Agnes Knight jest w dobrej formie.

— Córka Knighta?

— Ta blondynka. Ta ładna. Ta, która wyszła za tego głupiego kangura.

— Agnes Knight? — Joel zapytał sam siebie. — Tak, pamiętam ją. Myślałem, że miała wyjechać z Kimberley do Capetown?

— To był pomysł jej męża, ale kiedy przyszło co do czego, Agnes nie chciała z nim jechać. Ludzie mówią, że miała mały romans z kierownikiem Beaconsfield Diamond Mining Company. Nie chciała go porzucić.

— I jej mąż nic nie podejrzewał? — zapytał Joel.

— Jej mąż to kangur. Oni nigdy nic nie podejrzewają aż do momentu, kiedy wchodząc do łóżka i próbując objąć swoje żony, usłyszą słowa: Poczekaj chwilę, chłopie, jeszcze nie twoja kolej!

Szampański Charlie wybuchnął głośnym, zaraźliwym śmiechem tak, że jego żółta kamizelka w kratkę wydymała się jak skórzane miechy. Joel, wsparty na swojej lasce, pozwolił sobie na suchy uśmiech i czekał, aż Szampański Charlie skończy. Po chwili powiedział:

— Barney kochał się kiedyś w Agnes Knight. Gdyby mógł, pewnie by się z nią wtedy ożenił.

— Knight nigdy by nie pozwolił, żeby jego ukochana córka poślubiła Żyda.

— No właśnie. Dlatego się nie pobrali. Ale może uda się nam ją namówić, mogłaby nam pomóc z Bameyem.

Szampański Charlie przestał się śmiać i przełknął ślinę.

— Nie rozumiem cię, stary. Co masz na myśli, mówiąc, że mogłaby nam pomóc z Bameyem?

Joel z głośnym świstem trzasnął swoją laską o podłogę i zahaczył o jedną ze świeczek. Potem

uderzył w drugą i trzecią, aż powoli w pokoju robiło się coraz mroczniej i bardziej ponuro.

— Napij się — powiedział Joel. — Zdrowie. Zobaczysz, co mam na myśli, we właściwym czasie. Zobaczysz!

Siedzieli przy podwieczorku w różowym pokoju gościnnym w Khotso. Gerald Sutter stał przy kominku z jedną ręką założoną pod żakiet i z filiżanką herbaty w drugiej. Filiżankę trzymał sztywno na wysokości klatki piersiowej. W ruchach przypominał żołnierza maszerującego w wojskowym pochodzie. Jego żona siedziała na małym wyściełanym krześle. Wyglądała na nieco zmęczoną po ostatnim bólu głowy, aczkolwiek prezentowała się jak zwykle wspaniale. Miała na sobie cynamonową jedwabną sukienkę oraz jedwabne pantofle.

Sara, zarumieniona, siedziała obok Barneya. Na szyi miała naszyjnik z pereł, jej jasnoróżowa sukienka haftowana była w kwiaty. Różowe obicia foteli i ściany pokryte różowym jedwabiem dodawały jej jeszcze blasku, podkreślając wdzięk. Barney w swoim najlepszym czarnym garniturze wyglądał przy niej jak właściciel zakładu pogrzebowego.

— To dopiero niespodzianka, doprawdy — oznajmił głośno Gerald Sutter, adresując te słowa do Barneya.

— Prawda? — wykrzyknęła Sara. — Uwielbiam niespodzianki!

Pani Sutter nie mogła się powstrzymać od śmiechu. Podniosła swe ramię, kierując wzrok na męża, tak jakby chciała, żeby wziął ją za rękę. Gerald Sutter nie ruszył się jednak z miejsca. Zbyt był zajęty układaniem odpowiedzi na oświadczyzny Barneya.

— Przyjeżdżasz z daleka — zaczął, a filiżanka w jego ręku leciutko się poruszyła. — Tak ni stąd, ni zowąd. I niech mnie kule biją!

— Geraldzie — łagodnie zaprotestowała pani Sutter.

— To przecież prawda — upierał się Gerald Sutter. — Sama widzisz, że ten facet ma tupet. Do jasnej cholery!

— Geraldzie, kochanie, nie musisz kląć po to, by wyrazić to, co czujesz.

— Kląć? Gdybym powiedział na głos wszystkie przekleństwa, które kotłowały mi się w głowie, kiedy ten facet zapukał do drzwi i powiedział mi, że zdecydował się poślubić Sarę, cały ten pieprzony tynk odpadłby zaraz od tych pieprzonych ścian!

— Wiesz, że Sara była zaręczona w zeszłym roku — powiedziała miękko pani Sutter, odchylając lekko głowę w stronę Barneya.

— Mówiła mi — skinął głową Barney.

— To takie smutne. Młody chłopak z Ministerstwa do Spraw Kolonii. Wysoki, szczupły. Kończył Eton. Nie było wcale widać, że mu coś dolega. To wszystko stało się tak szybko!

Teraz odezwała się Sara:

— Naprawdę, mam, ja go nie kochałam. Miałam złamane serce, gdy umarł. Ale to nie była prawdziwa miłość.

— Jak możesz tak mówić? — zapytał Gerald Sutter z pretensją w głosie.

— Bo to prawda, tato. Dlatego to mówię. Był przystojny i bardzo dobrze wychowany. Umiał jeździć konno i grać w brydża. Byłby bardzo dobrym mężem. Tylko że ja go nie kochałam i to wszystko.

Gerald Sutter wydał policzki.

— Hmm — mruknął. — Jeśli nie kochałaś mężczyzny z tyloma zaletami, to sam już nie wiem, co to jest miłość.

Jego żona dotknęła go swymi delikatnymi palcami.

— Oczywiście, że wiesz, kochanie. Nie mogłeś się utrzymać w siodle, kiedy za ciebie wychodziłam, nie umiałeś też skoncentrować się przy brydżu. A mimo to kochałam cię.

— Chodzi o to — powiedział Gerald — czy Sara naprawdę kocha Barneya. To się teraz liczy. Sara spojrzała na Barneya i wzięła go za rękę.

— Nie umiałam o nim zapomnieć od pierwszego dnia, kiedy go zobaczyłam — powiedziała. — Wtedy zakochałam się w nim i nadal go kocham.

— To wszystko jest trochę dziwne — stwierdził Gerald Sutter. — Dlaczego chce się z tobą żenić tak nagle?

— Tato, mam dwadzieścia cztery lata. Jestem więc już wystarczająco dorosła, żeby podjąć taką decyzję, a przy tym zbyt długo jestem już panną.

Gerald Sutter wyglądał, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz zrobił tylko kwaśną minę, po czym wzruszył ramionami na znak zgody. W końcu nie chciał mieć Sary na karku do końca swojego życia. A co, jeśli oświadczyły Barneya były nie przemyślane, co, jeśli powodował się tylko nagłą chęcią założenia rodziny, co, jeśli był to tylko słomiany ogień? No cóż, miał przynajmniej pieniądze, umiał jeździć konno i w końcu Sara oświadczyła, że go kocha.

Jakim prawem on, Gerald Sutter, miałby stanąć na drodze ich szczęścia? A poza tym, spadnie z niego ciężar utrzymywania Sary.

— No cóż — odezwał się po chwili. — Dobrze. Zgadzam się. Lecz wbrew zasadom, którymi się zwykle kieruję.

Barney pochylił się i pocałował Sarę w policzek.

— Widzisz — szepnął — wiedziałem, że będzie rozsądny.

— Rozsądny! — wykrzyknął Gerald Sutter, udając oburzenie. Pani Sutter uniosła rękę i roześmiała się. — Niech to diabli! Rozsądny!

Swoimi oświadczeniami Barney zaskoczony był nie mniej niż państwo Sutter. Sześć lat temu, kiedy wyjechał z Durban, aby zamieszkać w Kimberley, bardzo mu jej brakowało i często stawała mu przed oczami, kiedy „galopował przez pagórki” na Alsjebliefcie. Był jednak przekonany, że Sara wyjdzie za męża, a on wróci do Mooi Klip. Po roku czy dwóch te ich przejażdżki nad brzegiem Oceanu Indyjskiego stały się dla niego czymś więcej niż tylko zwykłymi, zachowanymi w pamięci obrazkami z albumu. Czasami budził się w swoim domu i słyszał pustynny wiatr, myśląc, że to szum morza. Od czasu do czasu przychodził list z Durban od jakiegoś dyrektora spółki czy dealera diamentów. Zawsze wtedy łudził się, że to list od Sary. Lecz miłość nie przetrwa, kiedy pozostaną tylko wspomnienia. W dodatku Barney prowadził bardzo aktywne życie. Kwiaty kołyszące się na wietrze w ogrodach Khotso dawno już zwiędły, zapomniane między kartkami „Pilgrim's Progress”.

Barney przypomniał sobie o Sarze przy wykańczaniu Vogel Vlei. Z początku odganiał te myśli. Ciągłe wierzył, że Mooi Klip wróci do niego i razem wieść będą szczęśliwe życie. Ambicja podpowiadała mu jednak, że nigdy na to nie pozwoli, nie tak od razu, nie teraz. Mooi Klip tylko by mu przeszkadzała w interesach. Nic nie szkodzi, jeśli facet ma jakąś tam Murzynkę na boku, nic się nie stanie, jeśli spłodzi mieszańca. Ale ożenić się z Murzynką, to już zupełnie inna sprawa. I od tej wymówki było już całkiem blisko do następnej, że nie może poślubić Mooi Klip, bo w ten sposób tylko by ją zranił.

Dał im ostatnią szansę. Poprosił Pietera, aby powiedział Mooi Klip, że czeka na nią w Vogel Vlei. Czekał i czekał na odpowiedź. Wmówił sobie nawet, że musi jeszcze trochę poczekać z wyjazdem, po to by dopilnować pracy na belgijskich działkach. Nie doczekał się jednak odpowiedzi i w tydzień później zdecydował się wyjechać. W dzień wyjazdu wiał wiatr, powietrze było tak rześkie jak w każdy inny zimowy dzień w Kolonii na Przylądku. Związany wcześniejszymi planami,



chcąc czy nie chcąc, wyruszył w drogę.

Jechał do Durban z zamiarem obejrzenia domu państwa Sutter. Chciał zapytać, gdzie kupili meble oraz jak dobrali zasłony i dywany. Od zewnątrz pomalowany na biało, Vogel Vlei był wierną kopią Khotso, pokoje miały też podobne wymiary. Barney potrzebował teraz tylko mebli i drobnych ozdób. Chciał, by jego dom był elegancki i przytulny zarazem.

Kiedy jechał samotnie przez rozległe równiny i patrzył w górę na zachmurzone niebo, ogarniało go coraz większe podniecenie na myśl o Sarze, o dniach, które spędzili razem latem 1872 roku, o bólu i cierpieniu, które im wtedy towarzyszyły, o burzowych, monsunowych chmurach. Był pewien, że wyszła za męża. Wróciła do Anglii, to więcej niż pewne. Kiedy tak przemierzał wyżyny Orange Free State, kierując się na wschód, próbując przypomnieć sobie, jak wyglądała, ona spacerowała pewnie ze swoimi terierami po zielonych, falujących pagórkach Sussex w koronkowym czepku i lekkich bucikach. Ale mimo to, nie mógł przestać o niej myśleć.

Barney był teraz bogaty jak nigdy przedtem, bogatszy niż wszyscy, których znał. Lecz teraz czuł, że nadszedł czas, by się ożenić, tym bardziej że Mooi Klip ciągle mu odmawiała, a samotne życie w Kimberley też dawało mu się we znaki. Na gwałt potrzebował żony, kogoś, kogo mógłby obdarzać diamentami i wielbić. Kogoś, przy kim budziłby się co rano i z kim dzieliłby swoje niemądre, największe marzenia. Miał dwadzieścia osiem lat, był zamożny i choć wyrzekł się swojej wiary, był przecież Żydem. Dwadzieścia osiem lat i jeszcze kawaler? Zupełnie jakby słyszał swojego ojca. Co się z tym chłopakiem dzieje? Nie lubi dziewcząt?

Kiedy myślał o Mooi Klip, ojej życiu, ogarniał go smutek, miał w głowie zamęt. Teraz jednak, zbliżając się do celu swojej podróży, coraz bardziej cieszył się na spotkanie z Sarą. Sara była ładna, lecz to nie wszystko. Była Angielką. Byłaby dobrą żoną i podporą w interesach. A jeśli jej tam nie będzie... no cóż, będzie się musiał pogodzić z tym gorzkim faktem.

Otworzyła drzwi. Była o sześć lat starsza, bardziej elegancka i pewniejsza siebie. Jej głos nie drżał już tak jak kiedyś, był jakby bardziej stanowczy. Przez chwilę przyglądała mu się bacznie, tak jak ogrodnik przygląda się chwastom, które niespodziewanie pojawiły się na grządce kwiatów.

— Barney! — zawołała. — Barney.

Stał na progu, nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić.

— Powiedz mi — zaczął, starając się nadać swojemu głosowi normalne brzmienie. — Powiedz mi, wyszłaś już za kogoś?

— Nie — odparła, nie zastanawiając się ani przez chwilę. Była zmieszana. — Nie, nie wyszłam. Ale nie stój tak. Wejdź do środka.

— Dzięki Bogu — powiedział. — Wyjdiesz za mnie?

— Proszę? — Zamrugła zaskoczona.

— Pytam, czy za mnie wyjdiesz. Przyjechałem z Kimberley i tylko to chcę teraz wiedzieć.

Nastąpiła chwila ciszy, wypełniała ją dziwna niepewność.

— Co zrobisz, jeśli dam ci kosza? — zapytała. — Odejdiesz?

— Będę walił do tych drzwi tak długo, aż zmienisz zdanie.

— No nie wiem — powiedziała słabym głosem. — Nie jestem pewna. To znaczy tak, może. Ale nie stójmy tu. Wejdź do środka.

Przez chwilę rozmawiali żywo w sieni, ściszonymi głosami. Barney, widząc swoje odbicie w połączonym holenderskim lustrze, niepokoił się. To, co w nim zobaczył, przypominało mu piętnastowieczny portret zastygłej w bezruchu młodej pary van Eycka.

W końcu pojawiła się pani Sutter, która obrzuciła ich zaciekawionym spojrzeniem. Przechyliła głowę na jedną stronę jak paw i powiedziała:

— Czyżby to był pan Blitz?

Siedzieli teraz przy podwieczorku i wyglądali tak, jakby już byli zaręczeni. Niespełna godzinę temu zapukał do drzwi domu państwa Sutter, a fotografia byłego narzeczonego Sary ciągle jeszcze stała na klonowym biurku przy oknie. Absolwent Eton, którego tak ciężko doświadczył los, uśmiechał się trochę głupawo i nedorzecznie. Lecz teraz wszystko się zmieniło, teraz Sara należała do niego, a za miesiąc będą już małżeństwem. Ta elegancka angielska rodzina odmieni jego życie. Wzbogaci się nie tylko o żonę, również o dom, nowe maniery, no i teściów, którzy cieszyli się szacunkiem i uznaniem. Szkoda, że jego matka i ojciec tego nie widzą. Po co komu klub Kimberley?

— Wybudowałem dom w Kimberley — wyjaśnił Barney Geraldowi Sutterowi. — Nazwałem go Vogel Vlei, co w narzeczu afrykańskim znaczy „Ptasie Błota”. To najokazalszy dom w promieniu pięciuset mil, a wybudowałem go za pieniądze zarobione na diamentach.

— Diamenty to raczej robaczywy i brudny interes — zauważył Gerald Sutter, stawiając filiżankę na stole i klepiąc się po kieszeniach marynarki w poszukiwaniu papierosów. — Nieustanne kopanie i sortowanie. A zdaje się, że ci kopacze to też dziwni ludzie? Mam nadzieję, że będziesz trzymał Sarę z daleka od nich.

— Oczywiście. Vogel Vlei oddalony jest od kopalni o dobrą milę.

— To dobrze. A zdrowo tam żyć? Nie ma cholery?

— Tak samo zdrowo, jak w każdym innym miejscu w Afryce.

— Hm, zbyt wiele mi to nie mówi. Wypiłeś już herbatę? Napiłbym się trochę whisky. Niecodziennie moja córka decyduje się na zamążpójście. Musimy też porozmawiać o wianie. Nie wiem, czy przyda ci się bydło.

Barney wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Myślałem, że to ja będę musiał panu zapłacić za utratę córki i pracownika w jednej osobie.

— Pracownika? Dobrze sobie! Uważasz, że jeżdżenie konno i wydawanie pieniędzy to praca? Ta dziewczyna płaci więcej za jeden kapelusz, niż ja rocznie mojemu stajennemu, wiedziałeś o tym? Piętnaście funtów za kapelusz, a ten biedak musi utrzymać rodzinę, zarabiając dwanaście funtów i sześć szylingów rocznie. To przecież istny rozbój w biały dzień!

Później, po obiedzie, Barney siedział z Sarą na dziedzińcu, podziwiając ogrody Khotso. Mówiono, że ten dom daje ukojenie, może więc wreszcie znajdzie je właśnie tutaj. Interesy szły dobrze, cena diamentów zaczęła w końcu rosnać, a on ożeni się niedługo z tą wysoką, ładną dziewczyną.

— Wiesz, kiedy obchodzimy Paschę, stawiamy cztery pytania — powiedział Barney. — Pierwsze z nich brzmi tak: *Mah nishtana ha-leila ha-zeh mikol ha-laillos?* co znaczy „Dlaczego ta właśnie noc jest inna od pozostałych?” Gdybym miał zadać sobie dzisiaj to pytanie, znałbym odpowiedź.

— Myślałam, że resztę życia spędzę samotnie. Bałam się, że zostanę starą panną — powiedziała Sara, opierając swoją dłoń o jego ramię. — Wiesz, umiem wróżyć z ręki i moja linia życia jest strasznie poprzerywana. Natomiast inne linie... najlepiej będzie, jak sam zobaczysz.

Podawała mu dłoń. Barney wziął je w swoje i przez chwilę studiował. Potem pochylił głowę i pocałował ją w usta.

— Nie znam się na chiromancji — powiedział zachrypniętym głosem. — Wiem tylko, że powinienem się tobie oświadczyć, kiedy cię poznałem.

— Brakowało mi ciebie, kiedy odjechałeś — powiedziała Sara. — Chyba nie powinnam się do tego przyznawać.

— Mnie też ciebie brakowało. Nie wstydzę się tego.

— To dlaczego nie przyjechałeś wcześniej?

Barney zbliżył jej dłoń do swojego policzka i pocałował.

— Musiałem zająć się kilkoma sprawami, nie wspominając już o działkach diamentonośnych...

Miałem problemy... kłopoty, musiałem to wszystko jakoś rozwiązać, poustawić...

— I poustawiałeś?

Spojrzał w kierunku morza. Było zbyt ciemno, żeby je zobaczyć. Wyteżając wzrok, dojrzał tylko białe fale przybrzeżne. Czuł jednak jego bliskość, słyszał szum, wdychał jego zapach, czuł na twarzy jego wilgotny powiew.

— Tak — odparł. — Poustawiałem.

— Mam nadzieję, że w Kimberley są dobre tereny jeździeckie. I klub.

— Tereny jeździeckie są dobre. Można galopować przez dwadzieścia mil i nie spotkać po drodze ani jednego drzewa.

— A życie towarzyskie?

— Jest kółko teatralne. Wystawiają specjalne przedstawienie na Boże Narodzenie.

— A klub?

Barney skrzywił się i kiwnął głową.

— No pewnie, że jest.

— Więc wszystko w porządku. Jest gdzie jeździć, jest gdzie spotkać się ze znajomymi, będzie można potańczyć i rozerwać się. Wspaniale!

Barney wstał i zaczął chodzić po dobrze utrzymanym, krótko strzyżonym trawniku. Włożył ręce w kieszenie. Sara obserwowała go, a jej chustka powiewała na wieczornym wietrze.

— Jesteś bardzo przystojny, wiesz? — powiedziała.

— Jesteś bardzo ładna — odwzajemnił się jej.

Od strony domu dochodziły miarowe, donośne dźwięki fortepianu. To pani Sutter grała koncert Beethovena. Sara wstała z ławki, podeszła do Barneya i chwyciła go za rękę. W domowych pantoflach wydawała się niższa niż zwykle. Oparła czoło o jego ramię, tak że włosami dotykała jego twarzy.

— Będę cię kochać i będę ci wierna — powiedziała. — Nigdy nie zapomnę, że po tylu latach przyjechałeś po mnie.

Powoli, lecz pewnie położył lewą dłoń na jej piersi. Podniosła głowę i spojrzała na niego pytająco, tak jakby chciała się upewnić, czy wszystko było jak należy. Lecz on po prostu pocałował ją dwa razy w usta i przytulił twarz do jej twarzy. W cieniu drzew pomarańczowych rozpiął jej jedwabną wieczorową sukienkę i bawełniany stanik. Trzymał w dłoni jej ciepłą, ciężką pierś jak jakiś skarb i od czasu do czasu ścisnął między palcami nabrzmiały sutek. Wsłuchując się w muzykę Beethovena, gładził i pieścił jej piersi.

Sara przymknęła swoje szafirowe powieki, rozchyliła usta i westchnęła leciutko jak muskający powietrze wiatr.

Barney całował jej szyję i czuł, że pożąda i kochają bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Być może istotnie tak było, przynajmniej w tej chwili, na zielonej trawie Khotso.

Pobrali się trzy tygodnie później przy dzwonych kościoła św. Pawła w Durban. Pani Sutter rozsypała ryż, a amatorska orkiestra dęta Ministerstwa do Spraw Kolonii w Durban zagrała *Brytyjskich grenadierów* pięć razy z rzędu, za każdym razem okropnie fałszując. Następnie udali się do synagogi przy Oxford Road, gdzie odbyła się jeszcze jedna ceremonia, tym razem ślubu udzielił im rabin. Teraz, zgodnie z tradycją, pani Sutter rozsypała jęczmień i zalała się jeszcze większymi łzami niż za pierwszym razem. Cieszyła się, że Sara nie ścięła włosów i nie założyła peruki.

— Moja prababka miała perukę i pamiętam, że jej głowa wyglądała jak zdeformowany bochenek chleba.

W noc poślubną kochali się w ciszy w purpurowym, i aksamitnym pokoju gościnnym. Oddychali cicho jak ptaki j śpiące w gałęziach drzew koralowych. Przez ułamek sekundy obejmowali się tak mocno, że Barney nie wiedział, czy i byli jedną czy dwoma osobami. Potem Sara pocałowała go j w czoło i przez chwilę zmagala się ze swoją nocną koszulą.

— Już nie chcesz? — szepnął Barney, całując jej policzki, oczy, usta.

Zawahała się, zanim odpowiedziała. Po chwili rzekła:

— Było wspaniale, prawda? Lecz to nie wszystko.

Barney nie poruszył się. Leżał wsparty na łokciach, Sara leżała zupełnie nieruchomo, wpatrując się w niego.

— Jesteśmy teraz małżeństwem — powiedział.

— Tak — odparła. — Co za szczęście.

Pochylił głowę i pocałował ją jeszcze raz. Potem położył się na plecach i leżał z rękoma nad głową, wpatrując się w ciemne zasłony łóżka z baldachimem.

Przytuliła się do niego i przycisnęła usta do jego ucha.

— Naprawdę ciebie kocham, Barney. Bardzo.

Spojrzał na nią.

— Tak — powiedział. — I ja ciebie kocham.

Sara kichnęła odurzona aromatycznym zapachem korzeni i ziół unoszącym się w powietrzu.

Następnego dnia Barney obudził się wcześnie rano i ujrział twarz Sary tuż obok swojej. Usta miała rozchylone i cicho chrapała. Patrzył na nią przez długą chwilę, na jej ciemne włosy rozrzucone na haftowanej poduszce, na długie błyszczące rzęsy. Każdy musiał przyznać, że była śliczną kobietą. Koniuszkami palców dotknął jej policzka, tak delikatnie, jak dotyka się czegoś naprawdę cennego.

Francuski zegar na komodzie wskazywał za kwadrans ósmą. Wstał z łóżka i nago podszedł do szafy, gdzie wisiały jego rzeczy. Założył białą koszulę, spodnie z kantem i zapiął szelki. Następnie po cichu wyszedł z pokoju, na palcach przemierzył korytarz i znalazł się na schodach.

Kiedy zszedł do salonu zauważył, że ktoś był tu już przed nim. Przez otwarte oszklone drzwi widać było zroszone trawniki, a Gerald Sutter stał przy zegarze słonecznym, w swoim wspaniałym chińskim szlafroku, i palił fajkę. Barney podszedł do niego i stanął obok. Jego pantofle były mokre od wilgotnej trawy.

— Wcześnie wstałeś — zauważył Gerald Sutter, wyjmując fajkę z ust i poprawiając palcem tytoń.

— Chciałem zaczerpnąć trochę świeżego powietrza — odparł Barney. — Chyba wypilem wczoraj za dużo szampana.

— Wolno ci w taki dzień. W zasadzie wolno ci, kiedy tylko chcesz.

— Chciałbym podziękować za wspaniały ślub. Właściwie za dwa wspaniałe śluby.

— Z tym drugim w synagodze nie miałem nic wspólnego. To robota mojej żony.

— W każdym razie dziękuję.

— Nie ma za co.

— Chciałbym panu powiedzieć, że bardzo kocham Sarę i myślę, że będzie nam ze sobą dobrze.

— Wspaniale. Miło mi to słyszeć.

— Może wybierze się pan wkrótce do Kimberley? — zapraszał Barney.

Gerald Sutter aż podskoczył z fajką w ustach. Zmarszczył brwi i obrzucił Barneya takim spojrzeniem, jakim Anglicy obrzucają każdego, kto powie coś miłego i głupiego zarazem.

— Miło z twojej strony, bracie, ale mam tu mnóstwo pracy. Przy okrętach, sam rozumiesz.

— Jest tam dużo ciekawych rzeczy. Kopalnię w Kimberley naprawdę warto zobaczyć.

— Pewnie masz rację — powiedział Gerald Sutter tonem, który wskazywał na to, że wcale go to nie interesowało. W najmniejszym stopniu.

Prawie przez minutę panowała nieprzyjemna cisza. W końcu Barney ją przerwał:

— To ja już pójdę.

— Dobrze — odparł Gerald Sutter, nie wyjmując fajki z ust.

— W takim razie zobaczymy się przy śniadaniu — powiedział Barney.

— Świetnie. Mam przeczucie, że dzisiaj na śniadanie będzie *kedgeriee*.

— Na razie — pożegnał się Barney. Za chwilę był już w domu, przy schodach, i nagle uświadomił sobie, co się stało. „Jestem żonaty”, pomyślał. „Jestem też zamożny, mam pieniądze i odpowiednią żonę. Być może, za rok czy dwa będę też ojcem”.

Minął go właśnie służący, Bantu, z półmiskiem dymiących cynaderek w ręku. Barney skinął odruchowo głową na jego widok. Przez chwilę czuł się jak mały chłopiec, który ukrył się za wózkami na Hester Street. Wydawało mu się przez ułamek sekundy, że bawi się z Leah Ginzburg.

Usłyszał gong na śniadanie — zaczynał życie od nowa.

— Panie Blitzboss! — wołał już z daleka Dzentelmen Jack. — Panie Blitzboss!

Joel poprawił się na wiklinowym krześle, które wywłókł na werandę, jego twarz wykrzywiła się z bólu. Tej nocy noga dokuczała mu bardziej niż zwykle. Teraz wygrzewał się w porannym słońcu, zaopatrzony w butelkę whisky i swoje prochy (opium + ipekakuana), starając się opanować skurcze, które wydawały się pełzać po jego lewej kości udowej jak rozpalone do czerwoności raki. Kończyły mu się lekarstwa, co wprawiało go w jeszcze bardziej ponury nastrój.

— Co się tak podniecasz? — burknął zirytowany, gdy Dzentelmen Jack zszedł ze swojego zakurzonego konia i przywiązał go pośpiesznie do ogrodzenia. — Nie można w spokoju wypić śniadania?

— Panie Blitzboss, eureka!

— O co ci chodzi, ty głupia, czarna, wystrojona małpo?

— Eureka, panie Blitzboss. Ni mniej, ni więcej! Kompletna eureka!

Joel przeczesał palcami swoje rzadkie włosy. Lata cierpienia sprawiły, że posiwiiał, miał też szeroką łysinę, którą zwykle przykrywał, zaczesując włosy do tyłu. Tego ranka nie próbował jej nawet ukryć. Nie było nikogo, komu mógłby zaimponować, chyba że sobie samemu.

— Podaj mi butelkę, dobra? — powiedział, wyciągając rękę. — Ta cholerna kość udowa nie dawała mi dzisiaj spać. W dodatku wygrałeś ze mną w pokera pięćdziesiąt funtów.

— Mniejsza o butelkę, proszę pana — powiedział Dzentelmen Jack. — Niech pan tylko spojrzysz na to!

Wyjął z kieszeni tłustą skórzaną szmatkę, taką, jakimi Murzyni owijali sobie ręce, kiedy dotykali stalowej liny wyciągowej. Położył ją na wiklinowym stole i rozwinął. Raz, dwa, trzy i oto był. Ogromny, surowy kamień, wciąż jeszcze zapiaszczony. Mierzył dobrych kilka centymetrów. Na prawie całej powierzchni pokryty był szarawą, zaschłą ziemią, lecz w jednym miejscu ziemia odpadła i widać było przezroczystą powierzchnię. Wszystko wskazywało na to, że był to pokaźnych rozmiarów diament.

Joel przypatrywał mu się bardzo długo, w kompletnej ciszy. Dzentelmen Jack obserwował go, szczerząc zęby i dysząc ze zmęczenia.

— Daj mi butelkę — ponowił polecenie Joel. Dzentelmen Jack wykonał je, po czym Joel nalał

sobie pełen kieliszek whisky. Wypił dwa czy trzy łyki i zakrztusił się. Postawił kieliszek na stole i ponownie wlepił oczy w kamień, tak jakby czekał, aż się poruszy albo przemówi do niego czy też zniknie mu nagle z oczu.

— To żart — oświadczył. — Podpisuje się pod nim Edward Norka i Szampański Charlie. To stopiony kawałek butelki po winie. Oczywiście, że tak. Jest brudny od błota.

— Oczywiście, że nie, panie Blitzboss — powiedział Dżentelmen Jack, potrząsając energicznie głową. — Na pewno nie. Ten kamień znaleźliśmy piętnaście minut temu na działce numer 202. Murzyn, którego zwą Ntsanwisi, wykopał go ostrzem swojego kilofa.

Joel wykrzywił się z bólu, gdy pochylił się do przodu, by lepiej przyjrzeć się kamieniowi.

— Jesteś pewny? Mówisz prawdę? Bo jeżeli nie, to jak Boga kocham powieszę cię za jądra i zostawię sępom na pożarcie. Nie jestem w nastroju do żartów.

— To nie jest żart, panie Blitzboss — zaprotestował Dżentelmen Jack. — Ten kamień został znaleziony, tak jak panu mówiłem.

Wreszcie Joel podniósł ostrożnie kamień i poczuł w ręce jego ciężar.

— Jest olbrzymi — przyznał. — Niemożliwe, żeby to był diament. Diamenty nie są takie duże. Widziałeś kiedyś diament tej wielkości?

— Nie widziałem, panie Blitzboss.

— Daj mi swój nóż — powiedział Joel. Wziął scyzoryk Jacka, otworzył go i począł zdrapywać suchą ziemię z powierzchni kamienia. Jack ciągle jeszcze szczyrzył zęby na widok coraz bardziej widocznych krawędzi olbrzymiego diamentu. Kiedy prawie cała ziemia została już usunięta, wytarł delikatnie kamień skórzaną szmatką i położył go z powrotem na stole.

Kamień, choć chropowaty i nierówny, miał tak niezwykły połysk, że Joel patrząc na niego, dostawał dreszczy. Wydawało się, że pod powierzchnią kryje się magiczny blask, blask tak ostry i oślepiający jak światło gwiazd. Joel obracał go na wszystkie strony, widząc niezliczone tęcze, cekiny i łyzy. To był diament, niewyobrażalnie duży, nieskończenie piękny i prawdopodobnie wart więcej niż wszystko, co Joel kiedykolwiek posiadał: ubrania, książki, pierścionki, kapelusze, buty, konie i wozy razem wzięte. Przez ponad sto milionów lat, bo tyle lat liczyły sobie pokłady diamentów w Kimberley, ten kamień ukryty był pod powierzchnią ziemi i świecił tam swoim nieskończonym blaskiem, płonął jasnym ogniem. Przez ponad sto milionów lat czekał, aż zostanie znaleziony, przygotowywał się na tę jedną, niepowtarzalną chwilę, kiedy porazi swoim blaskiem wszystkich, którzy na niego spojrzą. Dealerzy nadawali diamentom imiona, kiedy były takie duże jak ten, lecz Joel nie znał imienia, które byłoby odpowiednie dla czegoś tak odległego, tak wiekowego i tak wspaniale wyniosłego. Ten zupełnie niesamowity diament spoczywał na wiklinowym stole, wydawało się, że przybył na ziemię z dalekiej planety i Joel nie mógł oderwać od niego wzroku.

— To diament — szepnął. — Olbrzymi, nieprawdopodobny, niewiarygodny diament.

— Tak, panie Blitzboss — zgodził się Dżentelmen Jack.

— Jack, to diament. Widzisz, jaki jest wielki, Jack. Musi ważyć, no ile, co najmniej trzysta pięćdziesiąt karatów. Trzysta sześćdziesiąt! Zobacz, jaki jest wielki. To sen! Nie mogę się obudzić! Jack, to niesamowite.

Dżentelmen Jack usiadł, nie zapytawszy przedtem o pozwolenie. Splótł swoje serdelkowate ciemne palce i spojrzał na Joela poważnymi, inteligentnymi oczami.

— Wie pan co, panie Blitzboss? Jeśli ten kamień nie jest uszkodzony, to wart jest co najmniej pół miliona funtów. Może więcej. Może nawet milion.

Joel skinął głową. Wyciągnął rękę po butelkę z whisky, nie odrywając przy tym oczu od diamentu. Nalał sobie kieliszek i wytarł stół rękawem.

— Spójrz na niego — dyszał. — Spójrz na tego drania. Trzysta karatów, o ile nie więcej. Majątek! Słuchaj no, przynieś mi wagę z kuchni. Kitty pokaże ci, gdzie jest. Dalej, pośpiesz się. Muszę zważyć tego drania!

Kiedy Jack udał się do kuchni, aby pożyczyć wagę od kucharki Griqua, Kitty, Joel dźwignął się z krzesła, podniósł diament i stanął z nim na brzegu werandy. Przez chwilę przyglądał mu się pod słońce. Był zimny w dotyku, tak jak należy. Wyciągnął rękę przed siebie, uniósł ją i spojrzał na diament z ukosa, przyglądając się szczególnie miejscu, w którym odłamał się prawdopodobnie od innego, większego kawałka. Edward Nork miał rację mówiąc, że diamenty formowały się pod wpływem wysokiej temperatury wytwarzanej przez podziemne wulkany: ogromna siła wybuchów, która powodowała wydostawanie się diamentów na powierzchnię, bardzo często rozszczepiała je i rozkruszała. Dwa duże pięćdziesięciokaratowe kamienie zostały niedawno wykopane w dwóch różnych miejscach oddalonych od siebie o trzysta jardów. Znaleźli je Murzyni pracujący dla British Diamond Mining Company i później okazało się, że idealnie do siebie przystawały.

W środku diamentu Joel dojrzał dziwny blask, blask, jakiego nigdy przedtem nie widział w żadnym kamieniu, nawet w tych najwyższej jakości. Było to światło o bladoliliowym odcieniu, w kolorze porannego nieba, kiedy to gasną ostatnie gwiazdy. Przypominało nieskalaną jasność, wskazywało na niezmienną prawdę. Przez cały dzień mógł wpatrywać się w to światło, aż po zachód słońca. Czuł, że znalazłby sposób, aby przenieść swoją świadomość do wnętrza tego kamienia i właśnie w nim czułby się pewnie, wiedziałby, czego chce, stałby się silny. Byłby po prostu sobą.

W środku diamentu nie było bólu, alkoholu, morfiny, oszukiwania samego siebie. Tam mieścił się inny świat, czysty i niebiański. Nie było w nim miejsca na whisky, hazard i wszy łonowe. Joel czuł, że wpatrując się w diament, obumiera. Nie było nic bardziej martwego od tej właśnie odmiany pierwiastka węgla, nic twardszego, nic bardziej sterylne. A przecież dealerzy mówili o „ogniu” diamentu, o jego „życiu”, i nie mylili się. W najbardziej wydawałoby się martwej części każdego diamentu tańczyły tysiące promieni. W diamencie takim jak ten wszystkie jego marzenia mogły się spełnić, cały ten bałagan i wszystkie upokorzenia mogły zostać zapomniane. Był to z pewnością prawdziwy, diament i gdy oglądał go ze wszystkich stron wiedział, że musi należeć do niego.

Nie do Barneya. Nawet w połowie. Tylko i wyłącznie do niego.

Dżentelmen Jack przyniósł wagę z mosiężną dźwignią i agatową strzałką, po czym postawił ją na stole. Wyjął z kieszeni małe mosiężne ciężarki i ustawił w rzędki, jeden za drugim. Joel opuścił rękę z diamentem, mocno ją zacisnął i podszedł do stołu.

— Dotknij go — powiedział w końcu, podając kamień Dżentelmenowi Jackowi.

— Jest ciepły — powiedział Dżentelmen Jack.

— Tak. Po tym między innymi można poznać, czy to prawdziwy diament. Powinien być zimny, kiedy się go bierze do ręki, a gdy się go trzyma w ręku, powinien się robić coraz cieplejszy.

— Widzę, że nauczył się pan czegoś od pana Norka — powiedział Dżentelmen Jack z figlarnym uśmiechem na twarzy.

— Nie chcę słyszeć o Norku — ostro odezwał się Joel. — Ustaw wagę i zobaczymy, ile ten drań waży.

Wyregulowanie wagi i zważenie diamentu na małej szalce zabrało im trochę czasu. Waga nie była dokładna, Kitty ważyła na niej przyprawy i zioła. Lecz w tej chwili Joel nie potrzebował dokładnej wagi. Wiedząc, że jedna uncja równa się stu czterdziestu dwóm karatom i wpatrując się w mosiężne ciężarki, które Joel ustawiał ostrożnie na szali, był pewien, że diament musi ważyć więcej niż trzysta pięćdziesiąt karatów.

Wyprostował się, oparł ręce na biodrach i spojrzał triumfująco na Jacka.

— Pół miliona? — myślał głośno. — Na pewno trzy czwarte miliona. Może nawet milion.

— Tak, panie Blitzboss. Ma pan rację.

Joel zdjął kamień z wagi i począł chodzić po werandzie, obracając go w dłoni.

— Nie opłaca się go sprzedawać tutaj, w Kimberley. Będziemy musieli pojechać z nim pewnie do Capetown. Może do Antwerpii albo do Amsterdamu. Tam damy go oszlifować. Wtedy będzie wart jeszcze raz tyle.

— Ascher & Mendel to zrobią, panie Blitzboss. Pan Barney zawarł z nimi specjalną umowę.

Joel spojrział na wschód, na drzewa koralowe błyszczące w porannym słońcu.

— Nie mam zaufania do nich.

— To jedni z najlepszych, panie Blitzboss.

— Jack, ty jesteś Ndebele. Co wiesz o szlifierzach diamentów?

— Znam się na tym, panie Blitzboss. Znam Aschera i Mendla. Dobrze szlifują, wszyscy tak mówią. Zwłaszcza nietypowe kamienie.

Joel zagryzł wargi. Po chwili odezwał się:

— Ten Ntsanwisi. Można mu ufać?

— W jakim sensie, proszę pana?

— Czy można mu ufać? Nie rozumiesz po angielsku?

— Lepiej niż biali rozumieją nasz język, proszę pana. Joel zaczął znowu kuśtykać po werandzie.

— Chodzi o to, czy rozpowie o tym diamencie. Czy wszystkim rozgada.

Dżentelmen Jack zamknął oczy i prawie niedostrzegalnie potrząsnął głową.

— Jesteś pewien? — dopytywał się Joel.

— Tak, panie Blitzboss. Ntsanwisi nigdy nie sprawi panu kłopotu. Może powinien mu pan zapłacić. Pięć, sześć funtów. Nikomu nie powie o tym diamencie, jeśli mu pan zabroni.

— W porządku. A ty?

Dżentelmen Jack uniósł głowę, mając się teraz na baczności.

— Ja, proszę pana?

— Tak, ty.

— Nie rozumiem, proszę pana.

Joel trzymał olbrzymi diament w ręce, między jednym palcem a kciukiem, i obracał go w słońcu, tak że mienił się wszystkimi kolorami tęczy.

— Powiem jasno, Jack, tak, żebyś zrozumiał. Ten diament jest mój. Został znaleziony, kiedy pana Barneya tu nie było. Dlatego właśnie jest mój.

— Pan Barney jest współwłaścicielem, proszę pana.

— Być może. Ale kto zarządzał, gdy diament został znaleziony? Ja. Jest takie powiedzenie: „Ci, którzy znajdują, zatrzymują, a ci, którzy przegrywają, płaczą”. Jest jeszcze i jedno powiedzenie: „Czego oko nie widzi, tego sercu nie żal”.

— Proszę?

— Nie udawaj Greka — warknął Joel. — Zabierzemy ten kamień do Europy, dokąd udamy się pod jakimś pretekstem, i tam go oszlifujemy. Potem sprzedamy go za milion funtów i będziemy bogaci. Jeżeli to do ciebie nie trafia, to jesteś głupszy, niż myślałem.

Dżentelmen Jack zaczął sobie wyłamywać palce, jeden po drugim. Jego przystojna ciemna twarz była bez wyrazu.

— Nauczył mnie pan wielu rzeczy, panie Blitzboss — i zaczął Dżentelmen Jack. — Zostałem wychowany przez dobrych misjonarzy. Zawsze mi powtarzali: bądź uczciwy, nie cudzołóż, nie pij alkoholu, nie kłam.



Joel zmrużył podejrzliwie oczy.

— Nie zawsze mi się udawało — kontynuował Dżentelmen Jack. — Lubiłem cudzołożyć. Nawet bardzo. Dlatego często cudzołożyłem. Wszystko jedno, co jest napisane w Biblii, lubiłem to i myślę, że kobiety, z którymi spałem, też były zadowolone. Jedna z nich, Venda, lubi, gdy śpiewają chóry kościelne, więc gdy chcesz się z nią kochać, musisz i zabrać ją w okolice kościoła i ukryć się gdzieś w krzakach. To nie może być grzech. Sprawiasz przecież tej kobiecie radość, a w dodatku słuchasz niebiańskiej muzyki.

— Do czego zmierzasz? — chciał wiedzieć Joel.

— Tylko do jednego, proszę pana. Zgodnie z prawem kopalnia diamentów należy w połowie do pana Barneya, choć go tu teraz nie ma. Jeśli nie powiemy mu, że znaleźliśmy ten diament, to zupełnie tak, jakbyśmy mu go ukradli, proszę pana.

Joel mruknął coś pod nosem i potarł ręką swoje lewe udo. Jego twarz zdradzała roztargnienie i niezadowolenie.

— Cudzołożę, panie Blitzboss — powiedział Dżentelmen Jack. — Piję i gram w karty. Ale kradzież diamentów to nie to samo. Wykluczone, proszę pana. Proszę się z tym do mnie nie zwracać.

Joel podniósł swoją laskę i szturchnął nią Jacka w okolicach klatki piersiowej. Dwa czy trzy silne szturchnięcia.

— Ja cię nie proszę, Jack. Ja cię po prostu informuję.

— To nie jest w porządku, proszę pana. Bóg mnie skaże.

— Myślisz, że Pana Boga obchodzi jeden mały kamień? Boga nie obchodzą kamienie. Wszystkie kamienie mają dla niego taką samą wartość: granity, sól czy diamenty. Tylko dla ludzi są coś warte. Spójrz — powiedział Joel i podniósł diament na otwartej dłoni swojej prawej ręki. — Mógłbym wrzucić ten diament w krzaki i nikt by go nie znalazł. Ile byłby wtedy wart? Nic. Kompletnie nic. I to właśnie próbuję wbić do twojej głupiej kapuścianej głowy. Ten diament jest cenny tylko dlatego, że został wykopany przez Ntsanwisi i dlatego, że mi go przyniosłeś. I jeszcze dlatego, że wiem, co z nim zrobić. Dla pana Barneya nie ma żadnej wartości. Bo co on takiego zrobił? Nawet go tu nie ma. Ten diament jest nasz, bo jest nasz i basta.

— Pan go zabierze? — Dżentelmen Jack mówił teraz bardzo powoli. — Da go pan oszlifować, potem go pan sprzeda i nigdy nie powie panu Barneyowi, co się stało?

— Jesteś bardzo pojętny — uśmiechnął się Joel. — Lubię pojętnych ludzi.

— A jeśli powiem panu Barneyowi? — Dżentelmen Jack spuścił głowę.

Joel obrzucił go chłodnym spojrzeniem.

— Nie powiesz.

— A jeśli powiem?

— Jesteś czarnuchem — odparł Joel. — Nie masz żadnych uprawnień, żadnej reputacji, nie masz nawet duszy. Możesz sobie mówić dobrze po angielsku, możesz się robić na strojnisia z Capetown, ale na tym się kończy. Pod tą dobrze skrojoną kamizelką jesteś nikim innym jak tylko prymitywnym dzikusiem i nikt ci nie uwierzy, nawet jeśli przysięgniesz, że gotów jesteś poderznąć sobie gardło. Ale coś ci powiem. Jeśli Barney dowie się o tym diamencie, to gorzko pożałujesz, że go sobie nie poderznąłeś.

Dżentelmen Jack patrzył na Joela szeroko otwartymi oczami. Potem westchnął zrezygowany, odwrócił wzrok i wytarł usta dłonią.

— Zrozumiałeś?

— Co?

— Zrozumiałeś, co masz robić?

— Tak — odparł Dżentelmen Jack. — Mam wrócić do pracy i trzymać język za zębami.

Joel jeszcze raz podniósł do góry rękę z diamentem. Słońce świeciło coraz jaśniej. Joel oglądał diament ze wszystkich stron.

— Musisz zrobić jeszcze więcej. Musisz sobie wmówić, że nigdy nie widziałeś tego diamentu.

— Chcę swoją dolę, panie Blitzboss.

— Dolę? A niby z jakiej racji?

Dżentelmen Jack zachował ten sam wyraz twarzy, grzeczny, służalczy, powściągliwy, lecz cała jego sylwetka zastygła jakby w bezruchu, mięśnie ramion napięły się.

— Chodzi o diament, panie Blitzboss. Dobrze pan wie.

Joel włożył ostrożnie diament do kieszeni koszuli. Potem obrzucił Jacka jednym ze swoich najbardziej beczelnych spojrzeń i rzekł:

— O jaki diament?

— Niech pan przestanie, panie Blitzboss. Mam dowód. Ntsanwisi poświadczy, że sam go wykopał.

— I to ma być dowód? Ntsanwisi wykopał bezużyteczną bryłkę ziemi i kwarcu.

— Panie Blitzboss, ostrzegam pana, chcę swoją dolę. Joel obszedł stół i wyszczerzył zęby.

— Oczywiście, że dostaniesz swoją dolę. Myślałeś, że cię oszukam? Przyniosłeś ten diament, więc ci zapłacę. Zapłacę ci też za trzymanie języka za zębami. Co powiesz na pięćset funtów?

— Siedemset pięćdziesiąt, panie Blitzboss.

— Pięćset.

Dżentelmen Jack wolno skinął głową. Jego kolczyk z kości słoniowej zamigotał w słońcu.

— W porządku, panie Blitzboss. Pięćset. Ale musi mi pan zapłacić teraz.

— Zapłacę ci, jak sprzedam diament.

— Nie, panie Blitzboss. Teraz. W przeciwnym razie przekażę dobrą wiadomość panu Barneyowi Blitzboss, gdy wróci. Pomyślna wiadomość, powiem. Szczęście się do pana uśmiechnęło. Olbrzymi diament!

— No dobrze — powiedział Joel, sadowiąc się ponownie na krześle. — Zapłacę ci, kiedy pójdę do banku. Chcesz się napić?

— Nie bardzo mam co oblewać, panie Blitzboss.

W tej właśnie chwili zjawiła się Kitty Griqua. Przyszła zabrać brudne naczynia i kieliszki. Była pulchną, przyjazną kobietą, wdową. Jej mąż i dwoje dzieci umarli na cholera ponad sześć lat temu. Od tego czasu pracowała jako służąca u białych ludzi. Gotowała i sprzątała w domu Barneya i Joela. Przedtem pracowała dla pana Oliviera Petersa z British Diamond Mining Company, który wyjechał w pośpiechu do Anglii, by opiekować się swoją sparaliżowaną matką w East-bourne. Joel nienawidził jej ze wszystkich sił, bardziej za śpiewane przez nią pieśni religijne niż za rostbefy, choć za tymi ostatnimi też nie przepadał.

— Rozmawia pan o diamentach? — zagadnęła, sprzątając z wiklinowego stołu. Na głowie miała ciasno zawiązaną zieloną chustkę. Ubrana była w prosto skrojoną sukienkę z barwionego na zielono perkalu.

— Zawsze rozmawiam o diamentach — powiedział Joel głośno i wolno, tak jakby mówił do opóźnionego w rozwoju dziecka. — Tym się właśnie zajmuję w życiu.

Kitty, wcale nie zbита z tropu, wyszczerzyła swoje rzadkie zęby i wybuchnęła głośnym śmiechem.

— Wiem, proszę pana. Diamenty to pana zajęcie, proszę pana. Ale nie są pana głównym zajęciem. — Chwyciła opróżnioną do połowy butelkę whisky i potrząsnęła nią tak mocno, że aż

prysnęło. — To tutaj, to pana główne zajęcie.

— Nie bądź taka bezczelna — powiedział Joel, lecz bez złości w głosie. — Idź i ugotuj mi kilka jajek, zanim kopnę cię w gruby tyłek i wyrzucę stąd na dobre. Słyszysz? I przypilnuj, żeby nie ugotowały się na twardo, tak jak ostatnio.

— Już się robi, panie Blitz — uśmiechnęła się Kitty. — Pewnie musi się pan teraz zająć swoimi diamentami?

Joel nachmurzył się. Zwolniłby Kitty już dawno temu, gdyby mógł. Nigdy by jej nie zatrudnił. Lecz Kitty przyjaźniła się z rodziną Mooi Klip i Barney lubił, kiedy kręciła się po domu, bo przypominała mu o niej. Pamiętała czasy, kiedy Mooi Klip była małą dziewczynką. Obecność Kitty sprawiała, że Barney wierzył, iż Mooi Klip jeszcze do niego wróci, nie przepadnie tak bez śladu.

Joel uważał, że Barney jest zbyt miękki. Pewnego dnia udusi się w swoich własnych sentymentach i dobrze mu tak. Barney nie był w stanie dostrzec, że jego rzekoma żyłka do interesów czy też godna podziwu determinacja, z jaką walczył z Cecilem Rhodesem, były jedynie blichтром. Pod spodem był ciągle jeszcze naiwnym Żydkiem z Clinton Street, pieszczochem przytulonym do swojej mamy, który z niecierpliwością czeka na szabasowe smakołyki. Miał ambicję, zgoda, lecz nigdy nie wyzwoli się ze swoich wspomnień z dzieciństwa. Nie tak łatwo zapomina się Lower East Side, nawet jeśli jest się tutaj, w dalekiej kolonii. Świecek Murzynów zawsze będą mu się kojarzyły z siedmioramiennym kandelabrem, rozpraszającym ciemności Nowego Jorku.

Dżentelmen Jack przerwał ciszę.

— To ja już sobie pójdę. — Zabrzmiało to jak pytanie.

— Dobrze, wracaj do pracy — powiedział Joel. — Do zobaczenia później. Spotkajmy się może po lunchu.

— Będzie pan dzisiaj jadł śniadanie, panie Joel? — zapytała Kitty, odwracając się przytrzymując jednocześnie stopą rozsuwane drzwi.

— Pasztet albo ser — powiedział Joel.

— Jest zimna wołowina, panie Joel. Może zje ją pan z piklami?

— Obojętnie. A teraz może dałabyś mi spokój, bo muszę wrócić do swoich zajęć, o których nie masz zresztą zbyt pochlebnego zdania.

Kitty przechyliła głowę, tak że jej podwójny podbródek przypominał błyszczącą kielbasę.

— Wie pan, co Griqua mówią o pochodzeniu diamentów, panie Joel?

— Nie, Kitty, nie wiem.

— Za każdym razem, kiedy słyszę, jak poszukiwacze diamentów sprzeczzają się, do kogo jakiś tam diament należy, kto tak naprawdę jest jego właścicielem, przypominam sobie starą opowieść, przekazywaną z ust do ust wśród naszych ludzi. Historia głosi, że dawno temu panował tu głód, smutek i cierpienie. Wtedy pewien dobry duch przybył z nieba z koszykiem pełnym diamentów i postanowił rozsypać je wokoło, aby sprawić ludziom radość. Więc ten duch przeleciał nad rzeką Vaal, rozsypując po drodze diamenty, aż w końcu dotarł do Colesberg Kopje, do miejsca zwanego Kimberley. W tych odległych czasach rosło tu mnóstwo wysokich drzew. Duch zaplątał się w ich gałęziach i wszystkie diamenty rozsypały się po wzgórzu. Tam znaleźli je biali ludzie.

— Tak — powiedział niecierpliwie Joel. — Bardzo ładna opowieść.

— Kiedy o tym wszystkim myślę — przerwała mu Kitty — zadaję sobie pytanie: Jeśli to prawda, że duch rozrzucił te diamenty, to czy jakiś człowiek ma prawo twierdzić, że jakiś diament należy do niego? Diamenty były prezentem z nieba i myślę, że należą one do nas wszystkich, prawda?

Joel zabębnił palcami w stół. Dżentelmen Jack spojrział na niego, nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć, i zagryzł usta.

— Przez wiele setek lat ludzie mieli różne teorie, jeśli chodzi o diamenty — odezwał się wreszcie Joel. — W Indiach ciągle jeszcze wierzą, że diamenty rozrastają się tak jak kryształy i że co dwadzieścia lat będą mogli wykopywać nowe. Jeszcze nie tak dawno temu nawet tutaj ludzie myśleli, że to zastygłe kropelki rosy, które zakrzepły pod wpływem promieni wysyłanych przez określoną koniunkcję gwiazd. Prawda jest jednak zupełnie inna. Diamenty to rozgrzane przez wulkany grudki węgla. Leżą porozrzucane pod ziemią i czekają, aż się je wykopie. Nie mają w sobie magicznej siły i nie są wcale tajemnicze. To po prostu grudki węgla. A teraz może już byś sobie poszła i przyrządziła mi jajka? Tylko nie gotuj za długo.

— Oczywiście, proszę pana. — Kitty skinęła głową i weszła do środka. Rozsuwane drzwi głośnie się zatrzasnęły.

Joel oparł się o krzesło i spojrzał na Dżentelmena Jacka obojętnymi jak kamienie oczami. Jego zdeformowana dłoń znajdowała się na wysokości ust.

— Wiesz co, Jack?

— Słucham, panie Blitzboss.

— Uważam, że błędem jest kształcenie czarnych. Kształcenie czarnych to początek końca. Są tym bardziej szczęśliwi im mniej wiedzą i gdy mogą żyć jak dzikusy. Przedtem śpiewali *ihubo*. A co teraz śpiewają? Ponure anglikańskie pieśni religijne. Zapamiętaj sobie moje słowa, Dżentelmen Jack, edukacja czarnych przyniesie same kłopoty.

— To nie jest zła kobieta — powiedział Dżentelmen Jack, odwracając głowę w stronę domu.

— Tak myślisz? Jest za bardzo dociekliwa i to mi się w niej nie podoba. O co jej chodziło z tymi duchami i diamentami?

— Nie wiem, proszę pana.

— Myślisz, że podsłuchiwała? Dżentelmen Jack wzruszył ramionami.

Joel miarowo gładził swoją łysinę, raz za razem. Wpatrywał się w szparę w podłodze, przez którą widać było połyskujący w słońcu kurz oraz śmieci. Po chwili położył rękę na swojej kieszeni, w której spoczywał diament. Był cieplejszy niż przedtem. Rozgrzał się wydzielanym przez jego ciało ciepłem. Uśmiechnął się do Dżentelmena Jacka. Był teraz w jeszcze lepszym humorze.

— Kiedy powinienem pojechać do Capetown? — zapytał. — Może w przyszłym tygodniu? Edward Nork może mnie przecież zastąpić do czasu powrotu Barneya, prawda? Edward Nork rzadko kiedy jest trzeźwy, ale ma głowę na karku.

— A jaki powód swojego wyjazdu pan wymyśli? — chciał wiedzieć Dżentelmen Jack. — Niech pan pamięta, jeśli pana nakryją z tym diamentem, to i ja wpadnę. I wie pan, co mi wtedy grozi?

— Powiem, że jadę kupić pompy — powiedział Joel.

— Pompy? Po pompy nie trzeba jechać aż do Capetown. Pan Rhodes ma mnóstwo pomp w De Beers.

— To powiem, że jadę poszukać sobie żony.

— Żony, panie Blitzboss?

Joel roześmiał się słysząc zdziwienie w głosie Jacka. — Tak — odparł, ścisząc głos. — W końcu kiedyś trzeba się ożenić, prawda?

Wozy zaprzężone w woły, które wiozły Barneya, pięćdziesiąt cztery krzesła, osiemnaście stołów, szesnaście łóżek, kilkadziesiąt metrów wykładzin, dwadzieścia trzy perskie dywany, trzydzieści jeden obrazów, jedenaście szaf, materiały na zasłony, zegary, biurka, kanapy, klatki na ptaki, wysokie komody — podziwiane były przez wszystkich, których mijaly. Było to jedno z najwspanialszych widowisk 1878 roku. „Colesberg Advertiser” przyrównywał wozy wjeżdżające do

Kimberley do cyrku, który zjechał na występy, a całej tej powoli zbliżającej się do Vogel Vlei procesji towarzyszyli tańczący na bosy czarni chłopcy oraz dwie irlandzkie prostytutki wdzięczące się bez przerwy do woźniców.

Wozy wiozły nie tylko meble. Na samym przodzie orszaku siedziała świeżo upieczona małżonka Barneya w swoim błyszczącym powozie, pod kremową jedwabną parasolką z frędzelkami. Była wysoka, smukła i tak dobrze ułożona jak jeszcze żadna z kobiet przybywających do Kimberley. „Pani Blitz jest kobietą o olśniewającej urodzie!”, pisał „Colesberg Advertiser” w swojej kolumnie towarzyskiej. „To bogini, uosobienie kobiecego wdzięku! Czekamy z niecierpliwością, by oddać jej pokłon!”

Kiedy furmani i portierzy rozładowywali wagony, Barney oprowadzał Sarę po pokojach Vogel Vlei. Ich kroki rozbrzmiewały w jadalni, pokoju gościnnym, kuchni, na schodach, półpiętrach. Dotarli w końcu do głównego pokoju sypialnego.

Barney usiadł na szerokim parapecie w swoim eleganckim, szarym garniturze. Zdjął kapelusz i patrzył na Sarę biegającą to tu, to tam, po błyszczącej drewnianej posadzce.

— No i co powiesz? — zapytał, odkładając kapelusz na bok.

— Barney, jest zachwycający, dużo ładniejszy niż Khotso.

— Cieszę się — powiedział. — Wiedziałem, że będzie ci się podobał.

Podbiegła do niego, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała w czubek nosa.

— Jest wspaniały — szepnęła. — Jest jak marzenie. Poczekaj tylko, aż Nareez zobaczy ten wspaniały pokój!

— Nareez jest teraz zbyt zajęta rozpakowywaniem — powiedział Barney.

— Rozpakowywaniem? Gdzie?

— W swoim pokoju, oczywiście. Co powiesz na butelkę zimnego francuskiego szampana i pasztet z antylopy?

— Nareez jest moją nianią — powiedziała Sara i zmarszczyła brwi.. — Opiekowała się mną od kołyski, od dnia moich urodzin.

— Tak? — Barney nie wiedział, do czego zmierzała.

Sara odsunęła kapelusz Barneya i usiadła na parapecie obok niego. Poprawiła falbany swojej jasnyniebieskiej sukienki podróżnej. Jej ozdobny czepek miał tak szerokie rondo, że prawie dotykał czoła Barneya, więc musiał się trochę odsunąć.

— Wszystko w porządku, prawda? — zapytał. — Kiedy mówiłaś o Nareez, odniosłem wrażenie...

Wyraz twarzy Sary pozostał obojętny. Dwa razy mrugnęła powiekami, kokieteryjnie, pretensjonalnie. Żrenice jej dużych oczu były brązowe i zamglone jak grzybki pływające się w pierwszych promieniach słońca. Zdanie Barneya zawisło w próżni. Pozostało niedokończone i bez odpowiedzi, a kiedy przechylił głowę na bok, chcąc dać w ten sposób do zrozumienia, że czeka na reakcję z jej strony, zacisnęła tylko usta i spojrzała mu prosto w oczy. Przypominała teraz niewinną, kokieterijną bohaterkę kiepskiego, amatorskiego przedstawienia teatralnego.

Barney uśmiechnął się z przymusem. Podróż z Durban do Kimberley okazała się trudniejsza, niż przypuszczał. Kiedy przemierzali Natal, grzmoty rozlegały się prawie bez przerwy, a wolną wędrówkę po podgórskich terenach Drakensberg urozmaicały częste postoje spowodowane błotem, rwącymi się postronkami i łamiącymi się osiami. Pewnego niedzielnego popołudnia, przy wyjątkowo paskudnej pogodzie, dotarli do miejsca, gdzie droga przez góry zablokowana została przez olbrzymie osuwisko skalne, i w potokach deszczu zmuszeni byli rozebrać wozy na części i zepchnąć je po śliskich skałach, zanim mogli powędrować dalej. Przez całą podróż Sara była opanowana i

niedostępna jak skała. Na każdym kroku widać było jej angielskie wychowanie.

Spała w jednym z wozów z meblami ze swoją bengalską nianią, Nareez, drobną kobietą, która nosiła kolczyk z rubinem w lewej dziurce od nosa, smarowała ciało olejkami piżmowymi, owijała się w purpurowy jedwab i bez względu na okoliczności musiała mieć do swojej dyspozycji maszynkę spirytusową, na której gotowała zjełczałe *bhuna ghosth* i smażyła *parathes*. Nareez pachniała jak *brinjal bhaji* w wodzie kolońskiej, lecz Sara uwielbiała ją i traktowała jak własną siostrę, a nawet matkę. Przez całą podróż, która prowadziła przez góry Basutoland i wyżyny Orange Free State, nawet wieczorem, kiedy zachodziło słońce, chmury płonęły, a bzy stawały się purpurowe, Barneyowi nie wolno było zbliżać się do „apartamentów podróżnych” Sary, jak sama je nazywała. Nigdy nie widział jej nawet w bieliźnie. Pewnego ranka, kiedy kropelki rosy na trawie wyglądały jak diamenty, zapukał do jej wozu, lecz został przywitany przez oburzoną Nareez, która wystawiła tylko głowę i krzyknęła: „Idź sobie! Mężczyznom wstęp wzbroniony! Żadnych ciekawskich!”

Barney miał nadzieję, że kiedy przybędą do Vogel Vlei, Nareez nie będzie miała takiego wpływu na Sarę, a on sam umocni swoją pozycję jako jej mąż i kochanek. Wiele tygodni temu zdecydował, że Nareez otrzyma najmniejszą sypialnię we wschodnim skrzydle domu. Jej okna wychodziły na Kimberley i Wielką Dziurę. Główna sypialnia zajmowała prawie całe piętro w zachodnim skrzydle, a jej okna wychodziły na bujną roślinność ogrodu Vogel Vlei.

— Jeśli nie powiesz mi, o co chodzi — powiedział Barney — nie mogę nic zrobić.

— Sam powinieneś wiedzieć! — odparta Sara.

— Nie jestem jasnowidzem. Może powinnaś poślubić jasnowidza?

— Przestań się wygłupiać, jesteś niemą. Myślałam, że wykazesz się większą wrażliwością i może odrobiną *savoir-faire*.

— Nie wiem, co to jest *savoir-faire*. Jestem Amerykaninem, a nie Niemcem.

— To po francusku. *Sauoir-faire* to zręczność w postępowaniu z ludźmi.

Barney poddał się. Podniósł do góry ręce i ponownie opuścił je na kolana.

— No dobrze, nie znam się na *savoir-faire*. A teraz powiedz mi, o co ci właściwie chodzi.

— O sypialnię — powiedziała Sara. — O twoje zarządzenia. W końcu jestem damą, a ty oczekujesz ode mnie, żebym do końca życia przebywała z tobą dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Barney patrzył na nią, a po chwili powiedział:

— Tak, to prawda. Przecież na tym chyba polega małżeństwo?

— Ależ Barney — oburzyła się Sara. Złożyła dłonie jak nadąsana mała dziewczynka. Przesadnie akcentowała każde słowo. Barneyowi aż dreszcze przebiegły po karku. — Dama potrzebuje intymności i samotności, nie może przecież rozbierać się przy swoim mężu. Mój Boże, nie chcesz chyba oglądać mnie przy toalecie, czy patrzeć, jak się ubieram? Kobieta powinna być tajemnicza... tak zawsze mówiła mama... powinna być uosobieniem piękna, nie zdradzając, w jaki sposób osiągnęła taki efekt. A poza tym to krępujące.

— Wstydzisz się przy mnie ubierać?

Sara zarumieniła się i spuściła głowę, tak że kapelusz zakrył jej twarz. Chwycił ją pod brodę i z niedowierzaniem spojrzął jej w oczy.

— Jak to możliwe? Jesteś przecież moją żoną.

— Barney, kochanie, jestem też damą.

— Ale przecież wcześniej nic mi o tym nie mówiłaś. Nie wstydziałaś się w naszą noc poślubną.

— Nie rozbierałam się przy tobie. A poza tym, wstydziłam się.

— Wstydziałaś się? Czego się wstydziałaś? Odsunęła się i ustawiła do niego profilem. Był tak klasyczny jak rzeźby Donatella i tak samo jak one zimny.

— Nie mogę o tym mówić — powiedziała. — Nie godzi się.

— Mąż i żona nie mogą rozmawiać o miłości? Mąż i żona nie mogą rozmawiać o seksie? Jeśli nie godzi się, żeby oni o tym rozmawiali, to komu się godzi?

Sara oblizwała wargi koniuszkiem języka, tak jakby nie smakowały jej słowa, które chciała wypowiedzieć.

— Mężczyźni rozmawiają o tym w klubach i szatniach, przy grze w polo.

Barney czuł się tak zdezorientowany, że nie mógł złapać oddechu. Wstał, przeszedł się po sypialni, odwrócił na pięcie i wrócił do okna.

— W klubach? I w szatniach? To ci powiedziała matka?

— Barney, moja matka tak mnie wychowała, że czuję się teraz stuprocentową damą. Nauczyła mnie jeździć konno, szyć, mówić po francusku, grać na fortepianie i prowadzić dom. Dała mi też instrukcje odnośnie do małżeństwa, uświadomiła, czego mąż będzie ode mnie oczekiwał. Nie jest kobietą pruderyjną. Dawała mi też porady w sprawach intymnych, w sprawach seksu. Nigdy niczego przede mną nie ukrywała.

— Saro — Barney mówił teraz łagodnie, choć stanowczo — seks nie jest obowiązkiem. To przyjemność i najlepszy sposób na okazanie drugiej osobie swoich uczuć. To jedna z największych radości małżeństwa.

— Zapomniałeś chyba o najważniejszym, o dzieciach. Aleja chcę mieć z tobą dzieci, Barney. Nie zawiodę cię. Mam nadzieję, że nigdy cię nie zawiodę.

— Saro, wiem, że mnie nie zawiedziesz. Lecz zrozum, że nie chcę oglądać cię tylko w ubraniu czy w łóżku. Chcę cię oglądać w dzień i w nocy, nieważne, czy twoje włosy są uczesane czy w nieładzie, nieważne, czy masz na sobie koszulę nocną czy bieliznę, z makijażem i bez makijażu.

Sara zachichotała, lecz wcale nie było jej wesoło.

— To nonsens — stwierdziła. — Moi rodzice nigdy nie mieli wspólnej sypialni. Więc jak my możemy?

— Spaliśmy w tym samym łóżku w Khotso.

— To był nasz miodowy miesiąc. To naturalne. Ale teraz mówimy o czymś zupełnie innym. Mówimy o zwykłym, normalnym życiu.

— Normalnym? — z pretensją w głosie powiedział Barney. — Uważasz, że to normalne, gdy mężczyzna skrada się na palcach po korytarzu z pantoflami w rękach za każdym razem, kiedy chce się kochać ze swoją własną żoną?

— Ależ Barney, my nie możemy mieć wspólnej sypialni. Co z Nareez?

— Nareez? A co ma do tego Nareez? Poślubiłem cię, a nie Nareez!

— Nareez to moja niania, Barney. Kąpie mnie, ubiera, czesze. Przynosi mi wodę w nocy, kiedy chce mi się pić. Siada przy mnie i rozmawia, kiedy nie mogę zasnąć. Masuje mi czoło, kiedy boli mnie głowa. To niemożliwe. Nie możemy w trójkę dzielić jednej sypialni. Czysta utopia. Barney utkwiał w niej wzrok.

— Ach tak — powiedział ostrym tonem. — Niemożliwe. Dlaczego mi od razu nie powiedziałaś? Gdybym wiedział od samego początku, nie musielibyśmy się teraz kłócić. Na miłość boską, Saro, o co ci chodzi? To jest nasza sypialnia, twoja i moja. Jesteśmy mężem i żoną. Czy naprawdę myślisz, że wybudowałem tę sypialnię po to, byś dzieliła ją z jakąś grubą, tłustą Bengalką? Mam teraz spać w innym łóżku, w innym pokoju, nie móc się tobą cieszyć, dotykać cię i całować, kiedy tego zapragnę? Nigdy! Jeśli spanie w oddzielnych łóżkach to sprawa zupełnie normalna w Anglii, to wcale się nie dziwię, że Anglicy są tak cholernie ekscentryczni!

— Anglicy nie są ekscentryczni, a Nareez nie jest gruba i tłusta! Jak śmiesz!

— Mówię to, bo to prawda, a ty zachowujesz się jak i stara panna, a nie jak zakochana młoda żona. Mówię to j przede wszystkim dlatego, że cię kocham i nie mam zamiaru spać bez ciebie.

Sara siedziała sztywno wyprostowana, nieruchoma, j Słońce przesunęło się nad domem, wpadało teraz przez okno, na którym siedziała. Jej włosy mieniły się czerwienią i brązem. Ostre światło słoneczne podkreślało też cienie na jej twarzy, a oczy, w których wyczytać można było zmęczenie i niezadowolenie, pociemniały.

Kiedy ponownie się odezwała, w jej głosie wyczuwało się wyższość.

— Z czasem zrozumiesz, że wszystko musi odbywać się we właściwym czasie i miejscu. Dotyczy to również namiętności.

— Ale z ciebie mądrała — powiedział Barney i opuścił ramiona, sprawiając wrażenie kompletnie wykończonego. Wyglądał tak, jakby miał się za chwilę przewrócić.

— W pewnych sytuacjach uczucia można wyrazić, w innych lepiej ich nie ujawniać. Etykieta nie pozwala mężowi i żonie na pewne rzeczy, podobnie jest w relacjach koleżeńskich i między nieznanymi.

— Powiedziała ci o tym twoja matka, czy przeczytałaś to w jednej z tych tanich książek o dobrych manierach?

— Barney, jesteś taki niemiły!

Barney rozluźnił krawat i wyszarpnął go spod kołnierzyka, następnie owinał go sobie dookoła dłoni.

— Pamiętam czasy, kiedy nie przejmowałaś się zbytnio etykietą. Na trawniku w Khotso, pamiętasz?

— Nie powinieneś mi o tym przypominać — odparła Sara. — Jestem teraz taka zdenerwowana. Uważam, że we wszystkim należy zachować umiar, choć to wcale nie znaczy, że ciebie nie kocham i nie żywię do ciebie gorących uczuć.

Barney spojrział teraz na nią.

— No cóż — powiedział. — W takim razie Nareez pozostanie tam, gdzie jest, we wschodnim skrzydle, a my pozostaniemy tutaj. Jeśli chcesz, zainstaluję tu dzwonek, żebyś mogła wezwać Nareez, kiedy będziesz jej potrzebować. Ale pamiętaj, że i ja mogę tobie przynieść wody, mogę też z tobą rozmawiać, kiedy nie będziesz mogła zasnąć, w dodatku bez bengalskiego akcentu, mogę też z powodzeniem masować twoją biedną, bolącą głowę.

— A co z toaletą?

— Mamy osobne garderoby i osobne łazienki. Możesz zamykać drzwi, jeśli tak bardzo nie chcesz, żebym oglądał cię w gorsecie czy w papilotach.

— Nie noszę... — obruszyła się Sara i zaraz potem zorientowała się, że nie powinna rozmawiać na takie tematy. Podniosła się więc i tupnęła nogą. — Jesteś niemożliwy! Dlaczego musisz być taki okropny? Dlaczego jesteś taki uparty i wszystkim rozkazujesz?

Barney podszedł do okna, położył ręce na ramionach Sary i ścisnął tak mocno, że aż krzyknęła.

— Barney — błagała.

Uśmiechnął się do niej, lecz jego głos brzmiał oschle.

— Jestem niemożliwy, ponieważ mam do tego prawo. To jest mój dom, a ty jesteś moją żoną i musisz mnie słuchać, obojętnie czy jesteś Żydówką, czy chrześcijanką.

— A jeśli się tobie przeciwstawię?

Pocałował ją najpierw w policzek, potem w usta. Te pocałunki były szybkie, lekkie, lecz zdradzały wyraźnie jego potrzeby.

— Nie przeciwstawisz się — powiedział. — Za bardzo mnie kochasz.



Całował ją coraz namiętniej, lecz ona odsunęła się i zaprotestowała.

— Nie! — powiedziała z naciskiem.

Echo tego „Nie!” zabrzmiało jednocześnie w dziesięciu pokojach, a nawet na parterze, gdzie czterech robotników pociło się i dyszało przy przenoszeniu przez drzwi olbrzymiego mahoniowego łóża małżeńskiego.

Pojawił się Joel. Był nie ogolony i widać było, że ubierał się w pośpiechu, bo miał na sobie brudne bawełniane spodnie i poplamioną błotem koszulę.

— Nie spodziewałem się ciebie tak szybko — powiedział zadyszczanym głosem i pokuśtykał za Barneyem przez korytarz. — Myślałem, że wrócisz najwcześniej w połowie przyszłego miesiąca.

Barney polecił jednemu z Murzynów, żeby wniósł złożone francuskie krzesło do jadalni.

— My też. Ale ze względu na pogodę zdecydowaliśmy się wyruszyć, gdy tylko kupiliśmy meble. Obawialiśmy się deszczów. Oczywiście nie mamy jeszcze wszystkiego, ale na początek wystarczy. Przynajmniej będziemy mogli już zacząć wydawać przyjęcia.

— Szkoda, że mnie nie uprzedziłeś o swoim powrocie — narzekał Joel. — Postanowiłem w poniedziałek wyruszyć do Capetown.

— Capetown? Po co? Jesteś tu teraz potrzebny.

— Tak, wiem.

— Więc zostań. Nie musisz przecież jechać do Capetown. Podróż cię dobije, jest przecież środek lata. A poza tym w przyszłą środę wydaję obiad i nie możesz mi odmówić. Zaprosiłem nawet Rhodesa.

Joel przywołał jednego z Murzynów, który niósł krzesło na plecach i wnosił je właśnie do jadalni. Murzyn postawił krzesło na ziemi. Joel oparł się o nie, prostując swoje obolałe plecy, a jednocześnie wspierając się cały czas na lasce.

— Barney, prawda jest taka, że chcę poszukać jakiejś pokrewnej duszy. Oczywiście, mam też tam inne sprawy do załatwienia.

— Przecież tu, w Kimberley, masz mnóstwo przyjaciół. I służących. A propos, mam zamiar zatrudnić lokaja, to już postanowione. Może znajdziemy kopacza, który nadawałby się też do wykonywania prac domowych. Poza tym Kitty też potrzebuje pomocników w kuchni. Przecież wprowadzamy się teraz na dobre.

— Mam nadzieję, że będą mieli odpowiednie kwalifikacje i będą umieli doprawić pieczeń. Najzupełniej się z tobą zgadzam — powiedział Joel. — Ale wracając do tego, o czym mówiłem wcześniej, mam zamiar poszukać sobie żony.

Barney usiłował przywołać jednego z Murzynów, który chodził w kółko z figurką z brązu, nie wiedząc, gdzie ją postawić. Lecz teraz odwrócił się i spojrzał na Joela.

— Żony? — powtórzył, nie wierząc własnym uszom. — Poszukać żony? Jest przecież tyle dziewcząt w Kimberley.

— Dziewczęta to dziewczęta, Barney. Ja potrzebuję kogoś, kto by się mną opiekował. Starzeję się. Noga i biodro nie dają mi soku. Chcę dzielić z kimś życie. To wszystko. Potrzebuję prawdziwego przyjaciela.

— A tu takiego nie znajdziesz?

— Wszystkie przyzwoite dziewczyny powychodziły już za mąż, a te mniej przyzwoite to nie Żydówki. Poza tym nie chcę dziewczyny, która spała prawie z każdym kopaczem z Wielkiej Dziury. Chcę kogoś spokojnego, rozumiesz, kogoś, kto cieszy się szacunkiem. Kogo można obdarzyć zaufaniem.

Barney jeszcze nie przyszedł do siebie.

— Mówisz poważnie? Szukasz żony?

— Dlaczego to cię tak dziwi?

— Nie dziwi mnie. Chyba po prostu się cieszę. Widzę, że idziesz w moje ślady.

Joel napiął mięśnie twarzy, lecz tylko osoba, która bardzo dobrze go знаła, mogła to zauważyć. Zmarszczki na jego twarzy, które od czasu wypadku pogłębiły się i wżarły w skórę jak kwas w stalową płytę, zrobiły się dłuższe, bardziej napięte i wyraźniejsze. Przez jedną małą chwilę postarzał się o pięć lat. Słońce wychodzące zza chmury zajaśniało ponownie pełnym blaskiem, a ptak rozpostarł skrzydła na wietrze.

— Co zaszło w Durban? — zapytał cichym, drażniącym głosem.

Barney nie spodziewał się tak ostrej reakcji.

— Co zaszło? Nie domyślasz się, co zaszło?

— Powiedz mi. Chcę usłyszeć od ciebie.

— No cóż... — bronił się Barney. — Ożeniłem się.

— Ożeniłeś się? Tak po prostu? Pojechałeś do Durban i ożeniłeś się?

— Masz coś przeciwko temu? — warknął Barney.

— Nie wiem. Stało się. Nie ma sprawy. To pewnie ta dziewczyna o nazwisku Sutter. Śniła ci się po nocach od twojego pierwszego pobytu w Natal. To ona albo jakaś Murzynka.

— Myślisz, że wolno ci tak ze mną rozmawiać? — Barney nie wytrzymał. — Poślubiłem Sarę, jeśli chcesz wiedzieć. Jest moją żoną. Uważaj na swoje słowa, bo nie ręczę za siebie.

— Co, pewnie mnie zastrzelisz — prowokował Joel. Był oschły.

— To piękna, delikatna dziewczyna — powiedział Barney.

— Na pewno. Nie jest też Żydówką.

— Spałeś z tyloma kurwami, że powinieneś teraz trzymać język za zębami.

— Przynajmniej się z nimi nie żeniłem.

— W porządku, Joelu — powiedział Barney. — Nie kłóćmy się, zgoda? Obojętnie, co powiesz, nie zmieni to faktu, że panna Sara Sutter jest teraz Sarą Blitz i twoją bratową. I niezależnie od tego, co powiesz, i tak zaproszę cię na obiad w środę wieczór.

— Umówiłem się z Henkiem van der Westhuizen. Jadę w poniedziałek.

— Jedź w przyszły piątek. Mógłbyś się wtedy zabrać z Haroldem Feinbergiem. Jedzie ze swoimi diamentami.

Joel spojrzał na dwóch Murzynów, którzy nieśli ciężką, zdobioną szafę. Stąpali po lśniącym korytarzu jak dwie czarne mrówki zmagające się z pudełkiem od zapalek sto razy większym od nich.

— Wolałbym jednak jechać z Henkiem, to wszystko — powiedział niepewnie.

— Jaką różnicę sprawią ci trzy dni? — zapytał Barney. — Masz złapać żonę a nie pociąg.

— Nie wiem — powiedział Joel.

— Ale ja wiem — stwierdził Barney i klepnął go po ramieniu. Joel zamknął oczy z bólu. — Wiem, że zostaniesz i będziesz się dobrze bawił. Patrz, idzie Sara.

Sara schodziła właśnie po kręconych schodach. Miała na sobie jasnozieloną sukienkę i perłowy naszyjnik. Jej lewą pierś zdobiło ciemnozielone strusie pióro oraz diamentowa broszka, którą dostała od Barneya w prezencie zaręczynowym. Jej ciemne włosy zaplecione były w modny warkocz i ozdobione turkusowymi grzebieniami. Barney powitał ją przy schodach i ujął za dłoń.

— Przywitaj się z Joelem. Ostatni raz widziałas go w szpitalu.

Joel wstał z wysiłkiem i bólem. Podał Sarze rękę. Pochylił się i ucałował jej palce, po czym spojrzał na jej dłoń i koniuszkiem palca dotknął linii zdrowia, linii miłości i linii życia. Obserwowała go z zaciekawieniem, litością i wstrętem zarazem. Ostatnimi czasy jego twarz

wydawała się bardziej powykrzywiana i wynędzniała niż zwykle, w dodatku czuć było od niego whisky. Mimo wszystko ciągle jeszcze potrafił oczarować kobietę i powiedzieć jej coś miłego. Tak jak za dawnych czasów.

— Ma pani przed sobą długie i dostatnie życie — powiedział.

— Nie wiedziałam, że umie pan wróżyć z ręki?

— Nie umiem — uśmiechnął się Joel. — Lecz lubię głaskać dłonie ładnych kobiet, a poza tym nie jestem taki głupi, więc wiem, że kobieta, która wychodzi za mąż za jednego z najbogatszych ludzi w Kimberley, będzie żyła dostatnio do końca swoich dni.

— Droczy się pan ze mną — odparła Sara. — Barney, twój brat droczy się ze mną.

— Zgadza się — stwierdził Barney z entuzjazmem w głosie.

— Będzie pan oczywiście na naszym uroczystym obiedzie? — zapytała Sara.

Oczy Joela powędrowały w bok i zatrzymały się na Barneyu. Barney z kolei spojrział ukradkiem na Sarę. Joel przełknął ślinę.

— Miałem zamiar udać się w poniedziałek do Capetown.

— Wykluczone. — Sara uśmiechnęła się. — Musi pan przyjść na nasz środowy obiad, elegancko się ubrać i wygłosić mowę, oznajmiając o naszym ślubie. Jestem pewna, że zrobi to pan najlepiej ze wszystkich.

— Naprawdę bardzo bym chciał — zaczął Joel, lecz Sara nie pozwoliła mu skończyć.

— W takim razie załatwione — oświadczyła. — A teraz chodź mi pomóc z obrazami na górze, Barney, kochanie.

Przestawiłam je chyba dwadzieścia razy i ciągle jeszcze nie wyglądają tak jak należy.

Joel spojrział błagalnie na Barneya, lecz on wzdrygnął tylko ramionami. W tej właśnie chwili pojawiła się Nareez. Człapała powoli w swoich jedwabnych pantoflach i na widok Joela zmarszczyła pogardliwie brwi. Z odrazą spojrzała na jego brudne spodnie i koszulę, więc Joel podniósł tylko do góry swoją laskę, rzucił szybko *shalom*, po czym ulotnił się z Vogel Vlei.

— *Shalom* — krzyknął za nim Barney.

— Czy to jeszcze jeden diabeł? — zapytała Nareez, z wyraźnym bengalskim akcentem.

— To mój brat — sprostował Barney.

— To właśnie miałam na myśli — odparła Nareez, składając ręce. — A teraz, panno Saro, czas na masaż.

— Myślałem, że mamy zawiesić obrazy — zdziwił się Barney.

Sara posłała mu pocałunek.

— Pielęgnacja ciała jest ważniejsza, kochanie. A Nareez jest znakomitą masażystką. Poza tym jestem bardzo zmęczona i mam ochotę się zrelaksować. Nareez tobie też robi masaż, jeśli chcesz.

Barney pokręcił głową.

— Wolałbym już wyjść na drogę i zostać podeptanym przez słonie. Dziękuję bardzo. Kiedy zejdziesz?

— Na podwieczorek, oczywiście. Powiem tej twojej kucharce, żeby nakryła do stołu z tyłu, na tarasie. Proszę cię, kochanie, bądź ostrożny i nie pracuj zbyt ciężko.

— Proszę za mną, panno Saro — powiedziała Nareez, ujmując Sarę za rękę. Za plecami Sary, Barney rzucił niani groźne spojrzenie. Nareez podciągnęła pospiesznie swą szatę i ruszyła po nie przykrytych dywanami schodach. Jej bransolety i inne ozdoby brzęczały tylko hałaśliwie, a tłusty tyłek kołysał się na wszystkie strony.

Barney siedział właśnie w salonie w swoim zielonym szlafroku i czytał londyńską „Morning

"Post" sprzed trzech miesięcy, kiedy Dżentelmen Jack zapukał do drzwi. Był to drugi dzień ich pobytu w Kimberley, więc Sara jeszcze spała. Głowę miała całą w papilotach, a powieki wdzięcznie przymknięte. Barney zszedł wcześniej na dół, żeby napić się herbaty i skosztować wątróbki drobiowej z cebulką przyrządzonej przez Kitty. Raczył się właśnie drugą filiżanką herbaty, owocami i przestarzałymi wiadomościami z Anglii.

— Jack! — przywitał go grzecznie Barney. — Miło mi, że cię widzę. Co tam słyhać w kopalni?

— Wszystko dobrze, panie Blitzboss. Znakomicie. Od kiedy pan wyjechał, każdy tydzień przynosi trzy tysiące siedemset funtów zysku. Niektóre kamienie są całkiem przyzwoite, proszę pana. Jeden miał nawet dwadzieścia trzy karaty.

— To dobre wiadomości, Jack. A jak układały się tobie stosunki z panem Joelem?

— Żadnych kłopotów, proszę pana. Bardzo dobrze. Nie było żadnych spięć.

— Kamień spadł mi z serca. Chcesz się napić herbaty? Kitty ma więcej w kuchni.

— Nie, proszę pana. Przyszedłem tylko, żeby się z panem przywitać.

— To miło z twojej strony. Cieszę się, że już jestem z powrotem. Dostaliśmy już te dwie maszyny parowe do wyciągu?

— Dwie, proszę pana. Jedna jest uszkodzona, ale myślę, że tę drugą uda się uruchomić za dwa dni.

— Dobrze. W porządku.

Barney wrócił do swojej gazety, ale po chwili spostrzegł, że Dżentelmen Jack wciąż stał w miejscu. Jak zwykle, miał na sobie szary garnitur i zabłocone buty. Obracał w rękach kapelusz. Sprawiał wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć.

— Tak? — zapytał Barney, opuszczając gazetę. — Coś jeszcze?

Dżentelmen Jack odetchnął głęboko jak człowiek, który jest zły na samego siebie.

— Tak naprawdę, panie Blitzboss, nie wiem, co zrobić.

— Nie wiesz, co zrobić? W związku z czym?

— Chodzi o diamenty, proszę pana. I o Pana Boga. I o to, do kogo należy diament, kiedy już zostanie znaleziony.

— To proste — odparł Barney. — Zgodnie z prawem, diament należy do człowieka, na którego działce został znaleziony.

— Niezależnie od tego, kto by go znalazł, proszę pana?

— Oczywiście.

Zapanowała dziwna cisza i po chwili Dżentelmen Jack zapytał:

— Jeżeli pewien człowiek posiada kopalnię diamentów i w tej kopalni znajduje się diament, który nigdy nie został wykopany, to do kogo on wtedy należy, proszę pana?

— Jack, obojętnie, czy diament zostanie wykopany czy nie, i tak należy do niego.

— Nawet jeśli ten człowiek nie ma pojęcia o jego istnieniu, proszę pana?

Barney odłożył na bok „Morning Post” i wstał. Podszedł do drzwi, przy których stał Dżentelmen Jack. Ręce włożył do głębokich kieszeni swojego szlafroka i wpatrywał się teraz bacznie w twarz Dżentelmena Jacka. Ten Ndebele był sześć cali wyższy od Barneya i wyraźnie unikał jego spojrzenia. W końcu uśmiechnął się głupawo, jakby z lękiem.

— Co się stało, Jack? — zapytał Barney szeptem.

— Nic, panie Blitzboss. Wszystko jest w najlepszym porządku. Potrzebowałem tylko objaśnień, proszę pana. Prawnych objaśnień, ma się rozumieć. I moralnych. To wszystko. To wszystko, proszę pana. Tak jest napisane w Piątej Księdze Mojżeszowej, proszę pana, że prawa należy bezwzględnie

przestrzegać. Ale żeby postępować zgodnie z prawem, trzeba je znać.

— Jesteś pewien, że wszystko w porządku? Wyglądasz, jakby coś cię dręczyło.

— Jestem pewien, proszę pana.

Barney patrzył przez chwilę na Dżentelmena Jacka, następnie wrócił na swoje miejsce i wziął do rąk gazetę.

— Wiesz co, Jack, kiedy byłem dzieckiem i potem nastolatkiem, sam nie wiedziałem, czego chcę od życia, od otaczających mnie ludzi, od siebie samego. Teraz zarabiam bardzo dużo pieniędzy i dokładnie wiem, co chcę robić, oraz jak się do tego zabrać.

Z przesadną dokładnością złożył gazetę, po czym powiedział, nie podnosząc wzroku:

— Pragnę zostać wyłącznym właścicielem kopalni diamentów w Kimberley. Chcę zostać członkiem klubu Kimberley nie po to, by się jeszcze wzbogacić. Zostanę nim, gdyż będę tak majątny i potężny, że będą mnie po prostu musieli przyjąć. Chcę być szczęśliwy i pragnę mieć dużo dzieci. Chcę odnaleźć też swoją religię, gdyż porzuciłem ją, przenosząc się tutaj, do Kolonii na Przylądku. Starłem się o niej zapomnieć, wymazać ją z pamięci.

— Rozumiem, proszę pana. Barney usiadł.

— A co u ciebie, Jack? — zapytał. — Wiesz, czego chcesz od życia?

Jack wpatrywał się uparcie w swój kapelusz, tak jakby odpowiedź na to pytanie wypisana była na szarej jedwabnej wstążce.

— Chcę dobrze kierować ludźmi, proszę pana. Chcę dobrze wypełniać swoje obowiązki, to wszystko.

— Jesteś pewien?

— O niczym innym Murzyn nie może marzyć, panie Blitzboss.

— Twoje pragnienia są śmielsze niż pragnienia większości Murzynów. Dużo śmielsze.

— Wiem, proszę pana.

— W takim razie w porządku. Najważniejsze, że to rozumiesz. A teraz wracaj do kopalni i zabierz się do naprawy tych maszyn wyciągowych.

— Tak, proszę pana. Jeszcze jedno, proszę pana. W holu czeka jakiś dżentelmen. Nazywa się Ransome.

— Biały?

— Tak, proszę pana.

— Dlaczego nie powiedziałaś wcześniej? Biały człowiek czekał cały ten czas na zewnątrz, a ty zawracałaś mi głowę tą bezsensowną gadaniną o prawnych objaśnieniach?

— Przepraszam, panie Blitzboss. Barney zacisnął gniewnie usta.

— Masz szczęście, że jeszcze u mnie pracujesz — syknął. — Wyjdź do niego natychmiast i poproś. I przeproś, że musiał czekać. Wiesz, czego chce?

— Nic nie mówił, proszę pana. Ale to duchowny, proszę pana. Ma koloratkę i czarną sutannę, proszę pana.

— No dobrze. A teraz ruszaj po niego.

— Tak, proszę pana. Dziękuję.

Po jednej czy dwóch minutach rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi. Barney zawołał:

— Proszę wejść! — i mały, zakurzony mężczyzna w czarnej sutannie wszedł do pokoju i zdjął kapelusz, z którego posypał się kurz.

— Pan Blitz? — zapytał drżącym, młodzieńczym głosem.

— Zgadza się. Barney Blitz. A pan nazywa się Ranso-me. Przepraszam, że mój pracownik kazał panu tak długo czekać. Nie miałem pojęcia, że był pan za drzwiami.

— Ja, to znaczy, nic nie szkodzi. Czekanie sprzyja medytacji, prawda? Bardzo przepraszam za ten kurz. Dzień był taki upalny, a ja jechałem w pośpiechu. Przyjechałem z Klipdrift.

— Proszę usiąść — zaprosił Barney. — Może napije się pan herbaty?

— Chętnie. Zaschło mi w gardle, zupełnie jak dzieciom izraelskim podróżującym przez pustynię. — Specjalnie położył akcent na „dzieciach izraelskich”.

Barney podniósł głowę.

— Do czego pan zmierza, panie Ransome? Pan Ransome poczerwieniał.

— Przepraszam. Nie chciałem być nieuprzejmy. Chciałem w ten sposób podkreślić różnice, które nas dzielą. Chodzi mi o to, że ja jestem anglikaninem, a pan, no cóż, Żydem.

— I to trzeba podkreślać? — zapytał Barney ostrym tonem.

— Nie jestem pewien. Pomyślałem sobie tylko, że zanim panu powiem, po co tu przyjechałem, powinniśmy obaj wiedzieć, na czym stoimy.

Barney zadzwonił mosiężnym dzwonkiem na służącego. Następnie założył ręce na piersiach i z niekłamanym zainteresowaniem przyglądał się panu Ransome. Pan Ransome chwycił w rękę jakąś nitkę widoczną na poręczy jego krzesła i niemalże w tej samej chwili zdał sobie sprawę, że niszczy materiał i to w dodatku w obecności pana domu. Zmieszał siei wyprostował. Zacisnął pięści i zarżał cichutko jak koń Barneya, Alsjeblieft w zimny lipcowy poranek.

— Przyjechałem, żeby porozmawiać z panem o Natalii Marneweck — powiedział pan Ransome. — Nie wiem dlaczego tak uważam, ale wydaje mi się, że ona lepiej ma się bez pana. Niech mi pan wybaczy tę szczerość. Lecz przez te sześć lat nie zapomniała o panu, nie do końca, choć próbowała. I zanim wyjdzie za mąż za swojego nowego narzeczonego, Coena Boonzaiera, o którego sstniem pan przypuszczalnie wie, uznałem, że stosowne byłoby zapytanie pana, czy żywi pan jakieś... hmm, jakieś uczucia w stosunku do niej.

— Czy to ma być żart, panie Ransome? — zapytał Barney. — Bo jeśli tak, to jest naprawdę w bardzo złym guście.

— Żart? — zdziwił się pan Ransome. Jego uszy wydawały się bardzo czerwone w blasku porannego słońca, gdzieniegdzie widać też było pod skórą purpurowe żyłki. — Dlaczego, do licha, miałbym opowiadać takie żarty i to właśnie panu, którego ledwie znam.

— To ja oczekuję wyjaśnień.

— Panie Blitz — zaprotestował pan Ransome. — Co tydzień odwiedzam pannę Marneweck. Jest to kobieta o niezwykłym uroku osobistym, a w dodatku o niezwykłym harcie ducha, delikatna i głęboko religijna. Większość ludzi uważa ją za kobietę upadłą, od czasu gdy poczęła i urodziła nieślubne dziecko. Lecz nawet jeśli upadła, podniosła się znowu, a zawdzięcza to swojej prostocie, uczciwości i miłości Boga.

Barney podrapał się w zamyśleniu po policzku. Jak w kalejdoskopie widział wszystkie te chwile, które spędził w domku Mooi Klip, te noce w skrzypiącym, mosiężnym łóżku, pocałunki, szepty i spacer po wysuszonych drogach Kimberley, kiedy to słońce piekło niemiłosiernie, a kurz nie dawał spokoju. Myślał o torcie weselnym, o szczęściu, o wspólnych planach. Myślał o śniadaniu, które wylądowało na podłodze, i o Joelu.

— Panna Marneweck kochała mnie kiedyś, panie Ransome — powiedział Barney. — Przez sześć lat starałem się ją przekonać, że kocham ją i powinniśmy się pobrać, lecz bezskutecznie. Za każdym razem dawała mi kosza. Przyznaję, że zraniłem jej uczucia, ja i mój brat, panie Ransome. Lecz ona też mnie zraniła. Dlatego właśnie byłem taki podejrzliwy, kiedy zapytał mnie pan, czy żywię do niej jakieś uczucia.

— Czy nadal ją pan kocha? — zapytał pan Ransome ochryplym głosem.

Barney podszedł do okna i ogarnął wzrokiem ogrody Vogel Vlei, w których nic jeszcze nie zdążyło wyrosnąć.

Pewnego dnia będą tutaj grządki z kwiatami, ścieżki posypane żwirem i drzewa pomarańczowe. Pewnego dnia wyrosną tu krzewy ozdobne, wśród których bawić się będą dzieci. Pewnego dnia będą tu dzieci. Obrócił się do pana Ransome i powiedział, akcentując każde słowo:

— Tak. Ciągle ją jeszcze kocham. Prawdopodobnie zawsze będę ją kochał. Ale teraz jestem już żonaty. Ożeniłem się ponad dwa miesiące temu, w Durban.

Pan Ransome otworzył usta, po czym ponownie je zamknął. Był oszołomiony. Rozejrzał się po pokoju, tak jakby miał za chwilę ujrzeć groźną, mściwą żonę wyłaniającą się nagle spod krzesła czy wychodzącą zza zasłony.

— Jest pan żonaty? — jęknął łamiącym się głosem. — Nic nie wiedziałem. Nie wiem, co powiedzieć.

— To nie pana wina — powiedział Barney. Poczul bolesny ucisk w piersiach. Żałował teraz, że poznał prawdę. Wolałby się nigdy nie dowiedzieć, że Mooi Klip ciągle jeszcze go kocha. Nadal go kocha, po tych wszystkich kłótniach, mimo to, że tyle razy go odtrącała, po tych wszystkich wizytach i rozmowach. Kochała go, choć upłynęło już tyle lat. Był teraz kompletnie oszołomiony i zbity z tropu. Czuł się tak, jakby ten jękający się ksiądz wychłostał go do krwi żelazną liną.

Kochał Sarę, to nie ulegało wątpliwości. Lecz miłość, którą czuł do Sary, była częścią miłości, jaką darzył swą pracę i przyszłość. Sara pomoże mu zostać członkiem klubu Kimberley, Sara będzie idealną panią domu, żoną, która wie, że *don't you know* można wymawiać *don't-chi-know* oraz że nie powinno się wymawiać *doing* czy *thinking* z „g” na końcu. Nie trzeba było jej też przypominać, że nie powinno się prosić o dokładkę zupy, że dżentelmeni, którzy zjawili się w domu w porze lunchu i zostali zaproszeni do stołu, powinni wziąć swój kapelusz i laskę ze sobą do jadalni, że wizytówka powinna mieć dokładne wymiary: trzy cale na półtora cala oraz powinna być napisana kursywą.

Była ponadto kobietą o dużej urodzie. Miała regularne rysy twarzy i zgrabną sylwetkę, co zawdzięczała wieloletniej jeździe konnej. Jej włosy były miękkie, oczy niezwykle, a piersi piękne jak płatki azalii.

Sara miała wszystko, co poszukiwacz diamentów mógł sobie wymarzyć. Jej jedyną wadą było to, że nie była Mooi Klip.

Pan Ransome odezwał się ze smutkiem w głosie:

— Myślę, że lepiej będzie, jak sobie już pójdę. Przepraszam, że tu przyjechałem.

— Co pan powie Natalii? — zapytał Barney.

— Że się pan ożenił. Nie chce pan chyba, żebym jej powiedział o pańskich uczuciach w stosunku do niej, prawda?

— Nie — odparł Barney. — Myślę, że nie.

— Nie powinienem jej tego mówić — podkreślił pan Ransome. — W końcu związał się pan z inną kobietą aż do śmierci, nieważne, co pan teraz czuje.

— Tak. Mam tego świadomość — powiedział Barney.

— W takim razie już pójdę — niecierpliwiał się pan Ransome. — Mój koń napiłby się pewnie trochę wody.

— Powiem jednemu z Murzynów, żeby mu nalał.

— Dziękuję. I jeszcze raz przepraszam, że zawracałem panu głowę. Jechałem tu w dobrych intencjach, a okazało się, że zupełnie niepotrzebnie. Przykro mi.

Barney wskazał mu drzwi, lecz kiedy naciskał na klamkę, wydawało mu się, że słyszy pisk sandałów w korytarzu. Rozejrzał się pospiesznie, lecz nie zobaczył żywej duszy. Poczul tylko ledwo

wyczuwalny zapach olejku piżmowego, curry i potu.

— Nareez? — zawołał. Jego głos rozległ się po korytarzu. Pan Ransome uśmiechnął się, nic z tego wszystkiego nie rozumiejąc.

— Chyba nikogo tam nie ma, panie Blitz.

— Nie — zgodził się Barney. — Ale może właśnie dlatego należałoby się zacząć martwić.

Na korytarzu pojawił się jeden ze służących, Malajczyk o chudych nogach i w grubych okularach, w których jego oczy wyglądały jak dwie świeżo złowione ostrygi.

— Dzwonił pan, panie Blitz? Podać herbatę? Barney spojrział pytająco na pana Ransome, lecz ten pokręcił nieśmiało głową i na znak protestu podniósł rękę do góry jak Jezus.

— Myślę, że najlepiej będzie, jeśli jak najszybciej wyruszę z powrotem do Klipdrift.

Tego wieczoru, kiedy Barney wrócił do Vogel Vlei po długim spotkaniu z Haroldem Feinbergiem, zmęczony i zdenerwowany, drzwi do sypialni były zamknięte. Nacisnął klamkę raz, drugi i w końcu zapukał.

— Saro! To ja, Barney. Otwórz drzwi!

Nikt nie odpowiadał, więc zapukał raz jeszcze i nacisnął klamkę bardziej zdecydowanie.

— Saro! Proszę cię! Co się dzieje? — Prawie przez minutę stał pod drzwiami, lecz nie doczekał się odpowiedzi. Znowu szarpnął klamkę i w końcu z całej siły kopnął butem w drzwi. — Saro! Na pewno tam jesteś! Otwieraj zaraz! Znowu się dąsasz z powodu wspólnej sypialni? Saro?

Stał po ciemku pod drzwiami i czekał. Z jakiegoś powodu Sara nie miała zamiaru odpowiedzieć, nie zamierzała też otworzyć drzwi. W przechowalni naczyń stołowych na dole był zapasowy klucz. Na szczęście robotnicy nie zdążyli jeszcze założyć zasuw do drzwi, więc z łatwością je otworzy. Zmęczony i zły zszedł na dół, przeszedł przez hol i wszedł do kuchni.

Była w niej jeszcze Kitty. Kroiła właśnie wołowinę na jutrzejsze śniadanie. Był też Dzentelmen Jack i nowy parobek, John Geumisa, drobny, włochaty Zulus, który pracował przedtem u Jana Branda w Bloemfontein. Widząc Barneya, obydwaj Murzyni odłożyli kubki z herbatą i stanęli na baczność. Nieco przestraszeni okazali mu szacunek i pozdrowili słowami:

— Dzień dobry, panie Blitzboss, proszę pana.

— Proszę klucz do głównej sypialni — powiedział Barney.

Kitty odłożyła nóż, wytarła ręce w fartuch i zniknęła w przechowalni. Barney czekał na środku podłogi wykładanej biało-niebieskimi kafelkami. Był spięty, mięśnie ramion drgały mu ze zdenerwowania, a Dzentelmen Jack i John Geumisa wpatrywali się w niego w milczeniu. Na stole stały białe emaliowane kubki z gorącą herbatą, były też na nim inne przedmioty: guziki, nitki, karty do gry, zapalki i niebieska, papierowa paczka tytoniu. Swym wejściem Barney zakłócił jakiś ustalony porządek.

— Proszę — powiedziała Kitty, wręczając Barneyowi klucz. Barney spojrział na niego i ścisnął mocno między palcami.

— Wszystko w porządku, panie Blitz? — zapytała Kitty, tonem, który wskazywał na to, że nie oczekiwała odpowiedzi.

— Dziękuję, Kitty — powiedział Barney. — Wracaj do pracy. Wy też wracajcie do swoich zajęć, Jack.

— Tak, proszę pana, panie Blitzboss.

Kiedy Barney był już przy drzwiach, Kitty powiedziała nieśmiało:

— Widziałam dzisiaj rano pana Ransome, panie Blitz. Poznałam go, gdy przyjechał do Klipdrift.

Kitty spuściła głowę owiniętą czarno-czerwoną chustką. Jej złote, okrągłe kolczyki kołysały się



w powietrzu.

— Wszystkiego mi nie powiedział, proszę pana. Ale wytłumaczył, dlaczego tu przyjechał. I powiedział jeszcze, że przykro mu z powodu takiego obrotu spraw.

Barney położył rękę na ramieniu Kitty.

— Chyba wiem, co mi próbujesz powiedzieć — rzekł. — Ale wiesz przecież, że powinnaś zachować to tylko dla siebie.

— Tak, proszę pana. Wiem.

Barney po raz kolejny wszedł na górę po spiralnych schodach. Miał klucz i ścisnął go tak mocno, że ręka zrobiła się czerwona. Zanim włożył klucz do dziurki, spojrzął na swoją dłoń i zamyślił się. Co by chiromanta z niej wyczytał? Linia klucza? Linia pokazująca, które drzwi się otworzą, a które zamkną, za którymi drzwiami jest szczęście, a za którymi łyzy?

Najgorsze było to, że domyślał się, dlaczego Sara nie chce go wpuścić do środka. Jeśli Nareez podsłuchiwała jego dzisiejszą rozmowę z panem Ransome, na pewno wszystko powtórzyła Sarze. A jeśli Sara dowiedziała się, że nadal kocha kobietę Griqua, kobietę, która dała mu jedyne dziecko, jej angielska duma została z pewnością urażona i na darmo będzie się starał ją przekonać. Jak wszystkie dziewczyny w Kolonii, Sara była wytrzymała na ból, ataki tubylców i malarię, lecz mdlała i potrafiła zamknąć drzwi, jeśli obrażono jej uczucia.

— Saro! — krzyknął Barney. — Mam klucz i wchodzę.

Przekręcił klucz w zamku i pchnął drzwi. Sara wepchnęła krzesło pod klamkę, lecz niezbyt mocno, więc wystarczyło jedno energiczne pchnięcie i krzesło przewróciło się. Otworzył szeroko drzwi i wpadł do środka.

Sara siedziała na łóżku z prześcieradłem podciągniętym pod szyję. Oczy miała szeroko otwarte z oburzenia i z gniewu. Obok niej siedziała Nareez. Jej włosy ukryte były pod perkalowym czepkiem i wyglądała na równie przerażoną.

— Nie masz prawa! — pisnęła Sara.

— Nie mam prawa? — ryknął Barney. — Zbudowałem ten dom, bo harowałem jak wół. A ty mi mówisz, że nie mam prawa?

— Nie po tym, co Nareez dzisiaj usłyszała. Przywiozłeś mnie tutaj podstępem. Uwierzyłam ci, że mnie kochasz. Okłamałeś mnie. Oszukałeś. A ja tobie zaufałam.

— No pewnie — odgryzł się Barney. — To był tylko taki żart. Przejechałem ponad pięć tysięcy mil do Durban, żeby się trochę rozerwać. Czasami mnie zadziwiasz, Saro. To zupełnie nieprawdopodobne! Wczoraj nie chciałaś ze mną spać. Dzisiaj twierdzisz, że cię okłamałem, że cię nie kocham. Czego ty chcesz? Co mam ci powiedzieć? Myślałem, że wystarczy, gdy powiem to w kościele i w świątyni. Powiedziałem, że chcę cię wziąć za żonę, że będę cię kochał i opiekował się tobą. Przrzekałem ci miłość! Rozumiesz, co to znaczy? A teraz mówisz mi, że mi nie wierzysz? Że wątpisz w szczerłość moich intencji?

— Powiedziałeś temu księdzu, że ciągle kochasz Natalię. — Głos Sary drżał.

— Skąd wiesz? — wrzasnął Barney.

— Co to za różnica? — powiedziała Sara rozdrażnionym tonem. — Od Nareez.

— Nareez — kiwnął głową Barney. — Przeklęta Bengalka.

— Chciała mnie tylko obronić. To wszystko — zaprotestowała Sara. — Nie możesz jej za to winić. Mijała świetlicę i usłyszała przypadkiem. Tak mi mówiła.

Barney obszedł łóżko i stanął w odległości zaledwie kilku centymetrów od Nareez. Niania podciągnęła kołdrę aż pod szyję i wpatrywała się w niego w trwodze.

— Znam kobietę o imieniu Natalia — powiedział Barney, tym razem dużo spokojniej — i wiele

lat temu kochałem ją. A ty sama, czy nie kochałaś nikogo przede mną? A ten młodzieniec z Eton?

Sara spojrzała mu prosto w oczy, po czym spuściła wzrok.

— Nie wiedziałam przecież, że po mnie wrócisz. Nie wiedziałam też, że biedny Trevor umrze.

— To prawda — zgodził się Barney. — Ale to samo, co ty czułaś do Trevora, ja czułem do Natalii. Reszta to zwykłe plotki, złośliwe przekręcanie cudzych rozmów.

— Nie masz prawa! — zawołała Nareez. — To same oszczerstwa! Usłyszałam tę rozmowę przez przypadek, drzwi były otwarte. Jeśli nie zamykasz ich tak jak trzeba, to nie dziw się potem, że ktoś coś usłyszy. To jest otwarty dom.

— Otwarty dom, tak? — ruszył do ataku Barney. — Myślisz, że możesz sobie chodzić, gdzie się tobie podoba, podsłuchiwać cudze rozmowy i wtrącać się do nie swoich spraw?

— Panna Sara jest pod moją opieką. Mam obowiązek ją chronić.

— Nie przerywaj mi, wstrętne, tłuste babo. Wyłaż zaraz z mojego łóżka i żebym cię tu więcej nie widział!

— Barney, to straszne! — krzyknęła Sara. — Biedna Nareez chciała tylko...

— Wynoś się z mojego łóżka! — ryknął Barney. — Zabieraj się stąd, ty wielka, gruba, śmierdząca babo!

Doprowadzona do wściekłości Nareez odrzuciła kołdrę, chwyciła swoje powyginane na wszystkie strony pantofle i ruszyła w kierunku drzwi.

— Nie powiedziałam jeszcze ostatniego słowa, ty diable! — krzyknęła, grożąc mu palcem. — To dopiero początek! Wiem, co usłyszałam pod drzwiami salonu. Wiem, co powiedziałeś o tej dziewczynie! Panna Sara jest pod moją opieką. Pielęgnowałam ją od urodzenia i ani ty, ani nikt inny nie skrzywdzi jej! Dopilnuję tego!

Barney wziął głęboki oddech.

— Masz natychmiast opuścić moją sypialnię, Nareez — powiedział głosem, który drżał jak linia telegraficzna pod rosnącym stopniowo napięciem. — Masz opuścić moją sypialnię i żebym cię tu więcej nie widział, nigdy więcej tu nie wchodź. I jeszcze jedno. Odtąd nie będziesz nazywać pani Blitz panną Sarą. Dla ciebie jest odtąd panią Blitz i tak masz się do niej zwracać. Poczekaj, jeszcze jedno. Masz teraz zejść na dół i powiedzieć Kitty, żeby tu przyszła zmienić pościel. Powiedz jej, że została zabrudzona.

Nareez spojrzała na Barneya z nienawiścią. W swoim czepku i obszernej koszuli nocnej, z długimi, ciemnymi włosami, opadającymi na plecy, przypominała mu rozzłoszczonego kalifa, przywódcę muzułmanów. Zatrzasnęła za sobą drzwi, zostawiając ich samych.

Barney podszedł do komody, odpinając swoje diamentowo-złote spinki od mankietów.

— Rozbierasz się? — zapytała Sara nieprzyjemnym tonem.

— Chcesz, żebym położył się do łóżka w ubraniu?

— Wolałabym, żebyś w ogóle się nie kładł.

Barney wyjątkowo dokładnie i z niezwykłą cierpliwością wkładał swoje spinki od mankietów i od kołnierzyka do czerwonego atlasowego pudełka, po czym zamknął powoli szufladkę komody. W lustrze widział Sarę. Siedziała sztywno na łóżku z ramionami skrzyżowanymi na piersiach. W świetle lampki naftowej przy łóżku jej twarz wyglądała tak jakoś dziwnie i obco. Równie dobrze mogła być swoją własną siostrą lub podstawioną aktorką.

— Jeśli chcesz wiedzieć, Saro — zaczął Barney, wymawiając każde słowo wyjątkowo wyraźnie — jestem potwornie zmęczony. Przez cały wieczór rozmawiałem z Haroldem o interesach i marzę o tym, żeby się położyć i zasnąć.

— Nareez miała rację, prawda? — zapytała Sara.

— W czym? Nareez nigdy nie ma racji. To zrzędliva, zazdrosna, głupia, chciwa, przesądna wiedźma.

— Jak możesz?!

— Mogę, bo to prawda. Od samego początku tylko nam przeszkadza. Próbuje ci wmówić, że jestem jakimś lubieżnym potworem i czekam tylko na stosowną okazję, żeby cię zgwałcić. A najgorsze jest to, że ty jej wierzysz.

— Muszę jej wierzyć, Barney. Jest moją nianią. Kocha mnie.

— Tylko dzieci mają nianie, Saro. Jesteś na tyle dorosła, że sama sobie poradzisz, bez jej pomocy. Gdyby to ode mnie zależało, wysłałbym ją z powrotem do Durban następnym wozem, który tam pojedzie. Zrobiłbym to z największą przyjemnością.

Sara patrzyła, jak Barney rozpina koszulę. Ciągle jeszcze miała ten dziwny wyraz twarzy. Sprawiała wrażenie zatroskanej, lecz Barney nie był pewien, czy myśli teraz o sobie, o Nareez czy o nim. Gdyby uważnie przypatrzeć się teraz jej twarzy, można było zobaczyć napięte mięśnie wokół oczu. Małe dziecko w taki właśnie sposób napina mięśnie, kiedy spodziewa się klapsa.

Kiedy zdjął kalesony i stał tak przed nią nagi, zdał sobie sprawę z tego, że być może ona się go boi. Boi się nie tego, że ją uderzy czy wykorzysta. Być może boi się po prostu jego ambicji, tego, że jest Żydem, jego rosnącej pewności siebie w świecie, który był jej obcy i w którym źle się czuła.

Częściowo miał rację. Sara została wychowana w Kolonii, w tradycyjnej angielskiej rodzinie. Była zachwycona, kiedy Barney poprosił ją o rękę, przemierzając przedtem pięć tysięcy mil. Podniecała ją perspektywa zamieszkania w wytwornym dworku, usytuowanym tuż obok kopalni diamentów, lecz bardzo szybko spostrzegła, że rzeczywistość okazała się zupełnie inna i nie była spełnieniem jej marzeń. Życie w Kimberley było trudne, samotne i pełne wyrzeczeń. Barney był co prawda bogaty, lecz po co być bogatym, kiedy nie można sobie nic kupić, nie można pójść do teatru ani na wystawne przyjęcia, nie można wybrać się na polowanie i nie można snuć podniecających intryg towarzyskich, które tak urozmaicały życie. Co to za życie bez podwieczorku o piątej, bez tańców po kolacji, bez statków parowych taty, które przywoziły londyńską modę? Jak mogła się obyć bez potraw, do których przyzwyczała się w Durban, i bez opery? Jakże tęskniła za wieczornymi rozmowami z matką przy gorącej czekoladzie i miętowym ciastku.

Czuła się wyobcowana i Barney też stawał się jej coraz bardziej obcy. Widziała, jak rozmawiał z liczącymi się dealerami diamentów, takimi jak Harold Feinberg, i z oddanymi swej pracy geologami, takimi jak Edward Nork. Widziała jak, rozkazywał trzydziestu zabłoconym Murzynom pracującym na działkach diamentonośnych braci Blitz, trzymającym w rękach kilofy i łopaty. Był częścią tego dziwnego i surowego świata, którego Sara bała się, i wiedziała, że nigdy do niego nie przywyknie.

W dodatku stał teraz przed nią nagi i obserwował ją z tym dziwnym wyrazem twarzy, którego zupełnie nie rozumiała. Jej twarz też była dla niego zagadką. Było coś jeszcze, co podkreślało jego inność: penis z obciętych napletkiem, znak miłości Bożej.

— Wolałabym dzisiaj spać sama — powiedziała Sara. — Proszę cię... Nie masz nic przeciwko temu?

— Nadal uważasz, że Nareez ma rację? — zapytał Barney.

— Nie wiem. Wszystko mi się pomieszało. Chcę być sama. Muszę wszystko przemyśleć.

Barney usiadł na brzegu łóżka. Sara z podciągniętym pod szyję prześcieradłem odsunęła się od niego.

— Saro, coś jest nie w porządku między nami, prawda? — zapytał łagodnie Barney.

— Co miałyby być nie w porządku?

— Nie wiem. Tego właśnie próbuję się dowiedzieć. Zaczynam myśleć, że przestałaś mnie kochać. Czasami wydaje mi się, że nigdy mnie nie kochałaś.

— A ty mnie kochasz? — szepnęła Sara.

— Oczywiście. Wiesz o tym.

— I jesteś pewien, że nie kochasz nikogo innego? Dziewczyny o imieniu Natalia?

Barney położył dłoń na jej ramieniu, lecz zaprotestowała, gdy próbował przyciągnąć ją do siebie.

— Jesteś moją żoną, Saro, i to jest najważniejsze.

— Naprawdę? Kiedy mężczyźni uganiają się za Murzynkami w Durban, ich żony wcale im nie przeszkadzają.

— Ja nie jestem taki. Poza tym przecież ciebie kocham.

Sara poprawiła się na łóżku i uważnie mu się przyjrzała.

— Jesteś pewien? Kochasz mnie i tylko mnie?

— Przecież nie okłamywałbym ciebie.

— Przysięgnij — domagała się. — Przysięgnij na Biblię, że kochasz tylko mnie.

Barney uniósł rękę i dotknął jej włosów.

— Czy muszę przysięgać na Biblię, abyś uwierzyła, że cię kocham?

— Jeżeli naprawdę mnie kochasz, to nie powinieneś się wahać.

W sypialni zrobiło się nagle duszno i piekielnie gorąco, tak przynajmniej wydawało się Barneyowi. Pościel pachniała jeszcze olejkiem piżmowym bengalskiej niani. Wstał, podszedł do okna i otworzył je nieco szerzej.

— Składałem uroczystą przysięgę w kościele i w synagodze — powiedział. — Nie mam zamiaru ciągle tego powtarzać i nie możesz tego ode mnie wymagać. Kocham cię i nic więcej nie musisz wiedzieć.

— Ach tak — powiedziała Sara niespodziewanie oschłym tonem, tak jakby dowiedziała się właśnie, że jeden ze służących wziął sobie dwa worki cukru, nie pytając wcale o pozwolenie. — W takim razie Nareez miała rację.

— Na miłość boską! — rozgniewał się Barney. — Jak długo jeszcze będę musiał wysłuchiwać, co ta stara kwoka ma do powiedzenia?

Sara wyplątała się z pościeli i jak strzała ruszyła prosto do szafy. Zdjęła z wieszaka swój długi biały szlafrok, czyniąc przy tym dużo hałasu.

— Co robisz? — krzyknął Barney. — Tylko dlatego, że nie chcę, żeby jakaś...

— Wcale nie o to chodzi — wybuchła Sara, kierując się w stronę drzwi i otwierając je z takim hukiem, z jakim zamknęła je przed chwilą Nareez. — Chodzi o miłość, zaufanie i troskę o mnie. Nie masz pojęcia, jak obco i okropnie się tu czuję. Już teraz jestem nieszczęśliwa, a minęły dopiero dwa dni. Nie próbowałeś mnie nawet pocieszyć, nie starałeś się, abym poczuła się tu jak u siebie w domu. Bez przerwy na mnie krzyczysz, na mnie i na Nareez. Uważam, że zachowujesz się podle i nie mam zamiaru zostać tu ani chwili dłużej.

— Saro...

— Nie mam zamiaru cię słuchać. Nienawidzę cię! — Mówiąc te słowa, ruszyła boso po korytarzu, popłakując przy tym jak duszek litujący się nad sobą samym.

Barney stał przez chwilę nieruchomo, wpatrując się w otwarte drzwi. Po chwili zamknął je. Westchnął ciężko. Po raz pierwszy od długiego czasu miał ochotę się napić. Usiadł na brzegu łóżka, oparł brodę na dłoniach i popadł w zadumę. Zastanawiał się, jak radzi sobie Mooi Klip i czy Pięter urósł od ostatniego razu.

Położył się po stronie Sary, lecz długo nie mógł zasnąć. Obudził się o piątej nad ranem. Miał sen, że Dżentelmen Jack pobrudził błotem jego nowe dywany. Wstał i uklęknął przed oknem, przez które widać było zawieszoną w powietrzu ognistą kulę słońca. Z większym niż zwykle skupieniem odmówił *schach ris*, modlitwę poranną.

Dwa dni później, w piątek wczesnym popołudniem, rozmawiał z Haroldem Feinbergiem. Obaj byli po trzygodzinnym spotkaniu z tłustymi, dobrze ubranymi prawnikami Rosę Innes Diamond Mining Company, z którymi negocjowali kupno sześciu działek. Zazwyczaj Joel brał udział we wszystkich negocjacjach, jednak tego dnia ciśnienie barometryczne spadło, a niebo od północy pochmurniało i szarzało, na domiar złego dokuczliwe kurzawy szalały po stepach. W dni takie jak ten Joel nie wychodził ze swojego apartamentu w tylnej części Vogel Vlei. Leżał przy zasłoniętych zasłonach i zmagał się z potwornym bólem.

Nie pomagała mu wówczas ani whisky, ani morfina. Skurcze mięśni wzmagały się niczym ataki dzikiej bestii. Kiedy usłyszał, że jeden z Murzynów został zaatakowany i poturbowany przez lwicę, tylko się roześmiał.

— Lwy dobierały się do mnie ze sto razy.

W czasie spotkania Harold wyglądał na zmęczonego. Miał lekką nadwagę, narzekał też, że serce szamocze się mu w piersiach jak słoń tańczący w węgierskim balecie.

— To przez pracę — narzekał, choć Joel domyślał się, że prawdziwą przyczyną była ładna młoda Francuzka z Na-tal, dziewczyna, która jemu samemu kiedyś się podobała, a którą widział ostatnio na głównej ulicy z Haroldem, a potem w Woodhouse Restaurant przy kolacji.

Około trzeciej Barney doszedł do porozumienia z prawnikami Rosę Innes. Stało na tym, że firma braci Blitz kupi cztery działki za siedemdziesiąt pięć tysięcy funtów, gwarantując sobie jednocześnie prawo do nabycia dwóch pozostałych za dwa tygodnie. Prawnicy podali im ręce, zimne i nieprzyjemne w dotyku jak indycze pazury, po czym wyszli. Harold podszedł do swojego biurka z żaluzjowym zamknięciem, które znajdowało się w rogu pokoju, wyjął butelkę brandy i nalał sobie do dużego kieliszka.

— Chcesz też? Uczcijmy to.

Barney potrząsnął głową. Stał przy oknie. Na dole, na ulicy mignęła mu właśnie Agnes Joy, z domu Knight. Była w towarzystwie dwóch wysokich, młodych kopaczy. Rozpoznał Hughę Johnsona i Davida Mackie, dobrze prosperujących młodych właścicieli Cape Star Diamond Company. Obok Barneya, Johnson i Mackie byli najbogatszymi ludźmi w mieście. Agnes odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się, a potem Barney zobaczył, że Mackie ukradkiem ścisnął jej dłoń.

Harold podszedł do Barneya, popijając brandy.

— To Agnes, prawda? — zapytał, a Barney skinął głową. — Ta dziewczyna powinna być trochę bardziej ostrożna. Psuje sobie reputację.

— Dlaczego? Bo śmieje się na ulicy?

— Wiesz, o co mi chodzi. Nie mam pojęcia, po co wyszła za tego grubego Australijczyka z kółka teatralnego. Nawet nie umie grać.

— Lepiej już pójde — stwierdził Barney. — Sara planuje na dzisiaj wcześniejszą kolację.

— Jak się zadomawia?

— Całkiem niezłe. Jest jej ciężiej, niż się spodziewała, ale myślę, że prędko się przyzwyczai.

Harold pokazał ręką na okno wychodzące na murowane fasady i dachy z blachy falistej z kominami.

— Za pięć lat nie pozna tego miejsca. Będzie tu jak na West Endzie w Londynie. Pamiętasz, jak

wszystko tu wyglądało, kiedy przyjechałeś? Tę starą chałupę, w której pracowałem, i tę irlandzką kurwę w domu obok? To były ciężkie czasy!

Barney zdjął kapelusz z wieszaka i wytarł go rękawem.

— Jestem zadowolony z porozumienia z Rosę Innes — powiedział. — Lecz chciałbym zająć się Octahedron Company tak szybko, jak to tylko możliwe. Mamy kapitał, pora przyspieszyć. Ostatnio wszystko toczyło się w zbyt powolnym tempie, nie uważasz? Wiem, że mnie tu nie było, ale Rhodes kupił już jedną trzecią kopalni De Beers i niech mnie diabli, jeśli pozwolę się prześcignąć.

— Słyszałem, że Rhodes rozpoczął współpracę z Alfredem Beitem — wtrącił Harold.

— Z Alfredem Beitem? Czy on nie pracuje dla Lippert & Company w Hamburgu?

— Pracował. Ale potem został partnerem Julesa Porges, a wszyscy wiedzą, że to najlepiej prosperujący kupcy diamentów na całym świecie, to nie ulega wątpliwości. To geniusz. Myślisz, że ja jestem geniuszem? Beit pamięta każdy kamień, którym kiedykolwiek handlował. Jeden z ludzi Dunkana próbował sprzedać mu kilka kradzionych kamieni, a on w mgnieniu oka rozpoznał, że to te same diamenty, które trzymał w rękach siedem lat temu.

Barney podniósł brwi:

— Więc czeka nas twarda walka?

— Z Beitem? Oczywiście? Beit powiedział mi kiedyś, że jedynym jego celem w życiu jest posiadanie wszystkich kopalni diamentów w Afryce.

— No to z Rhodesem świetnie do siebie pasują. Harold zszedł z Barneyem na dół, bo musiał za nim zamknąć. Po drodze zapytał ni stąd, ni zowąd:

— A tak przy okazji, słyszałeś już o tym olbrzymim diamencie?

Barney otworzył drzwi frontowe i natychmiast rozległ się hałas upalnego popołudnia: wozy, śmiech i odległe dźwięki pracujących urządzeń wyciągowych. Jakiś Bantu siedział na chodniku i grał na instrumencie, który przypominał okarynę. Muzyka sączyła się sennie i monotennie.

— Olbrzymi diament? — zdziwił się Barney i potrząsnął głową. — Co to ma być, dowcip?

Harold oparł się o drzwi. Był cały spocony. Rozluźnił krawat, żeby swobodniej oddychać.

— Nie jestem pewien — powiedział. — Słyszałem coś takiego od jednego z czarnych, który pracuje na działce Isaacsów. Zapytał mnie tak: „Szefie, ile taki kamień jest wart?” Równocześnie dotknął swoim kciukiem wskazującego palca, pokazując w ten sposób wielkość diamentu.

— Diamenty nie są takie duże — powiedział Barney. — W każdym razie nie tu, w Afryce Południowej.

— Dlaczego nie? — zdziwił się Harold. — A Koh-i-Noor miał przecież sto osiem karatów. A French Blue? Ten miał sześćdziesiąt siedem karatów. Zapomniałem o Florentine. Miał sto trzydzieści karatów, pamiętasz?

— No tak, ale to były indyjskie diamenty. A poza tym diament, o którym mówił ci twój Murzyn, musiałby być dwukrotnie większy od nich, dwukrotnie większy od Florentine. To bajka, Haroldzie, nic więcej. Wiesz, jacy oni są, gdy wypiją trochę whisky.

— Nie wiem — powiedział Harold — nie wyglądał na pijanego i nie wydaje mi się, żeby próbował mi wcisnąć jakąś ciemnotę. Zapytał tylko, ile taki kamień mógłby być wart. Ja odpowiedziałem mu, że to zależy od tego, kto chciałby taki diament kupić, że rynkowa cena diamentów nie jest w tym przypadku tak istotna. Wtedy on do mnie: „To chyba trudno go będzie sprzedać, szefie?” a ja do niego: „Tak, oczywiście”. Jeżeli ten diament ma naprawdę ponad trzysta karatów, to daję głowę, że można go sprzedać za ponad milion funtów. Może nawet więcej, jeśli dałoby się namówić do kupna rząd.

Barney otwierał i zamykał na przemian drzwi. Czuł na twarzy lekki wiatr. Ta historia z

diamentem irytowała go i drażniła jak kamień w bucie. Budziła w nim dziwne emocje i uczucia, a ponadto tłumaczyła specyficzną atmosferę, którą wyczuwał od czasu powrotu z Durban.

— Co jeszcze mówił ten Murzyn? — zapytał Harolda. — Czy mówił, że widział go na własne oczy?

— Nie — odparł Harold. — Ale myślę, że gdyby go nie widział, nie pytałby mnie o jego cenę. Lecz gdzie mógłby go widzieć? Sam sobie zadałem takie pytanie.

— Isaacs graniczy tylko z trzema działkami: Francis & Company, The Griqualand Diamond Mining Company, no i z moją. Mamy więc cztery możliwości.

— Razem z twoją — powiedział Harold.

— Tak — zgodził się Barney. — Razem z moją.

— Martwią mnie konsekwencje wynikające ze znalezienia tak dużego diamentu — powiedział Harold i otarł czoło pogniecioną chusteczką. — Sami zarobią milion funtów, ale wiesz przecież, jak zareaguje rynek. Kopacze zaczną wydobywać dwa razy szybciej niż zwykle, bo będą chcieli znaleźć coś większego. Rynek znowu zostanie zalany tak jak w 1874 roku. Wtedy potrzebne były aż cztery lata, żeby podnieść cenę, a jeśli teraz znowu zacznie spadać, to wielu dealerów się nie utrzyma.

Barney położył rękę na ramieniu Harolda.

— Ja bym tak się nie martwił. Prawdopodobnie to zwykła plotka. Może ktoś wykopał okazały kawałek kwarcu?

— Nie wiem — odparł Harold. — Po prostu nie wiem. Ale zatrzymaj to dla siebie, dobra? Wyimaginowany diament może spowodować taką samą panikę jak prawdziwy.

— Możesz się przynajmniej pocieszyć jednym — powiedział Barney. — Kupując dzisiaj po południu działki Rosę Innes, postawiliśmy krok we właściwym kierunku. Pewnego dnia będą tylko dwie czy trzy spółki diamentowe, sprawujące kontrolę nad wszystkimi kopalniami w Afryce Południowej i wtedy sami będziemy mogli dyktować ceny.

Harold trzymał dłoń na piersiach. Nie mógł złapać oddechu i tak się poccił, że jego twarz wyglądała, jakby była pokryta miodem.

— Chyba już nie doczekam tych czasów.

— Dobrze się czujesz? — zapytał Barney, marszcząc brwi.

— Zbyt dużo pracy — powiedział Harold, robiąc duże przerwy między każdym wymawianym słowem, ciężko przy tym dysząc. — Idź już. Zobaczymy się w środę na wydawanym przez ciebie obiedzie.

Barney stał w drzwiach, aż Harold wszedł z powrotem na górę do swojego biura. Słyszał ciężko stawiane przez niego kroki. Potem wyszedł na ulicę. Popołudnie było pochmurne i wilgotne. Poprawił kapelusz na głowie i wolnym krokiem szedł po chodniku w kierunku bocznej ulicy, na której czekał jego powóz. Nowy, czarny woźnica Michael siedział na pudle w samej tylko koszuli, poszarpanych spodniach i eleganckim czarnym szapoklaku. Odpowiednie stroje dla służby nie zostały jeszcze zamówione w Capetown.

— Z powrotem do Vogel Vlei, szefie? — zapytał Michael, strzelając z bata.

— Tak. — Barney był wyraźnie zdenerwowany. Po chwili zagadał do woźnicy. — Michaelu?

— Tak, proszę pana, szefie.

— Czy słyszałeś ostatnio o jakimś diamencie?

Michael gwizdnął na konie, które posłusznie skrzyły, wykonując przy tym pół obrotu.

— O diamencie, szefie? O jakimś szczególnym diamencie, szefie?

— Zgadza się. O jakimś szczególnym diamencie.

— Coś tam słyszałem, szefie.

Barney oparł się wygodnie i skrzyżował nogi, starając się wyglądać na odprężonego.

— Coś słyszał, Michaelu? Czy ktoś mówił ci o olbrzymim diamencie? Dużym jak jajo orła?

— Pan też coś słyszał, szefie.

— Słyszałeś coś więcej? Nie wiesz, kto go znalazł, albo gdzie?

— Nie wiem, proszę pana. Ale słyszałem, że ktoś płaci, żeby to się nie rozeszło.

— I nie wiesz kto?

Michael kazał koniom jechać wzdłuż Main Street i wkrótce minęli wszystkie biura, domy i przybudówki, w których mieściły się sklepy. Dzień był przeraźliwie nudny.

— Gdybym wiedział, kto to jest, szefie, byłbym już pod jego drzwiami i prosił o pieniądze w zamian za trzymanie języka za zębami. Nie dlatego, że pan mi źle płaci, szefie. Pan płaci najlepiej w całym Kimberley.

Barney milczał. Starał się przypomnieć sobie coś, o czym dowiedział się dwa, trzy dni temu. Jedno słowo, kilka słów. Miał przeczucie, że zdarzyło się coś niezwykłego i komuś zależało na tym, żeby się o tym nie dowiedział.

Joel wstał już z łóżka, kiedy Barney wrócił do Vogel Vlei, ale był nadal w złym humorze. Kazał sobie przynieść herbatę, po czym odesłał ją z powrotem, bo była zimna, i nie dostał biszkoptów. Leżał teraz rozwalony na kanapie, lewą nogę położył na stosie poduszek, popijał whisky prosto z butelki i mruczał coś sam do siebie, tak jakby komuś wygrażał.

Barney wszedł do pokoju i od razu skierował się ku oszklonym drzwiom. Idąc po indyjskim dywanie, nawet nie spojrzał na Joela. Scena, którą zobaczył, przypominała jeden z zaczarowanych krajobrazów namalowanych przez Claude'a Lorraine'a: dwaj Murzyni przy pracy, z motyką w ręce wyrównywali duży teren, który Barney przeznaczył na wybieg dla koni. W powietrzu unosił się delikatny, upajający zapach, który po wielu latach zawsze będzie mu się kojarzył z Afryką. Słońce padało na zakurzone bruzdy i odbijało się od uniesionych motyk Murzynów. Barney słyszał też odległe głosy rozmawiających ze sobą mężczyzn.

— Twoja żona układa włosy przed zejściem na kolację — obwieścił Joel ochryłym głosem.

— Nie! — zachichotał.

— Nieprawda. Jeszcze ich nie układa. To znaczy później będzie układać. Teraz je myje.

Barney zamknął drzwi.

— Ile już wypitesz? — zapytał obojętnym tonem.

— Proporcjonalnie do skonsumowanego przeze mnie wcześniej proszku Dovera, prawie nic. To dopiero druga butelka, jeśli koniecznie chcesz wiedzieć. Pierwszą prawie całą zwymiotowałem.

— Daj mi ją — powiedział Barney, wyciągając rękę. Joel przycisnął butelkę do piersi i energicznie potrząsnął głową.

— Nie twój biznes, braciszku.

— Dobra — zgodził się Barney. — Ale jeżeli masz zamiar pić, wracaj do swojego pokoju. Nie chcę, żebyś tu leżał i robił z siebie przedstawienie.

— Przedstawienie? Ja? — zaprotestował Joel.

— Ruszaj na górę — powiedział Barney.

— I ty to nazywasz przedstawieniem? Dobre sobie! Przecież cały dom już wie, że wyrzuciłeś Nareez ze swojej sypialni, że ty i Sara spaliście tutaj ze sobą najwyżej jeden raz! Przedstawienie! Dobre sobie!

— Wynoś się! — warknął Barney.

— Idę — oznajmił Joel. — Już sobie idę. Ale gdybym był tobą, nie rozgłaszałbym wszystkim o swoich kłopotach osobistych. Naprawdę! Co sobie służba pomyśli, kiedy słyszy te kłótnie i bójki na



górze?

— Wynoś się stąd, zanim cię kopnę.

Na chwiejnych nogach, kuśtykając i wędrując od jednego mebla do drugiego, chwytając się po drodze kremowego gzymsu przy kominku, dotarł w końcu do schodów. Barney szedł kilka kroków za nim.

— Jesteś głupi, rozumiesz? — dyszał Joel, stojąc przy schodach. — Takiego skończonego idioty jak ty jeszcze nie spotkałem.

Potem chwycił się poręczy obiema dłońmi i zaczął się powoli wspinać na drugie piętro. Barney, zaciskając usta z gniewu, frustracji i zwykłej rozpaczki, stał przy schodach i obserwował Joela, nie ruszając się z miejsca, nawet nie próbując mu pomóc. Najgorsze było to, że chciał to zrobić, chciał wbiec na schody i podać mu rękę, chciał mu pokazać, że mimo wszystko ciągle jeszcze byli braćmi, narodzonymi z tej samej matki i wychowanymi w tej samej kamienicy na Clinton Street. Joel wgramolił się w końcu na górę i przechylał się teraz niebezpiecznie przez barierkę. Miał tak dziwny wyraz twarzy, że przypominał ulepioną z gliny chimerę.

— Słyszysz mnie, głupku?! — krzyknął. — Nie powinieneś obnosić się ze swoimi niepowodzeniami osobistymi! — Powiedziawszy te słowa, poczłapał do swojej sypialni. Po drodze potknął się i wpadł na przykryty płótnem kufer stojący w korytarzu.

Barney wszedł na pierwszy stopień, gotowy pospieszyć za nim, lecz spuścił tylko głowę i zawrócił. Zbyt wiele razy szedł za Joelem, gdy się pokłócili, i doskonale wiedział, na co go było stać, kiedy był pijany oraz nafaszerowany prochami. Nawet jeśli Barneyowi udało się go uspokoić i porozmawiać o dzielących ich różnicach, Joel i tak zapominał o wszystkim następnego dnia. Przy śniadaniu siedział blady jak ściana, prawie się nie odzywał i jadł tylko suche grzanki, walcząc z nasilającym się głodem narkotycznym oraz kacem. Doktor Tuter, który przychodził co dwa, trzy tygodnie ze swoją zniszczoną, brązową, skórzaną torbą i zardzewiałym stetoskopem, za każdym razem szeptał Barneyowi do ucha, że to prawdziwy cud, że Joel jeszcze żyje.

Gdy Barney szedł przez hol, natknął się na Michaela idącego szybko w jego stronę w swoich dużych pantoflach.

— Panie Blitz?

— O co chodzi, Michaelu?

— Ktoś na pana czeka, szefie. W kuchni.

— W kuchni? Jak to w kuchni? Kto to jest?

Michael zawahał się przez chwilę, po czym spojrzał ukradkiem na schody.

— Stary przyjaciel, proszę pana — powiedział tajemniczym tonem.

— Stary? — zdziwił się Barney, lecz kiedy spojrzał na Michaela, domyślił się, kto to może być.

— Prowadź — powiedział szorstko.

Michael odwrócił się zaraz i poczłapał w kierunku pomieszczenia dla służby.

— Jeszcze jeden dziwny dzień, szefie — zauważył.

— Tak — zgodził się Barney, nie wiedząc nawet z czym.

Czekała na niego przy zawalonym naczyniami kuchennym stole. Siedziała nieruchomo na drewnianym krześle, jak gdyby pozowała do obrazu. Przez firanki w oknach wpadały do kuchni promienie słoneczne, więc bardzo wyraźnie widział jej postać, elegancki płaszcz podróżny i mały modny kapelusz. Światło w kuchni było tak ostre, że Barney miał wrażenie, jakby oglądał ją przez łyżę.

— Natalio — powiedział, wychodząc jej na spotkanie i ujmując za dłonie. Pocałował ją w palce, następnie pochylił się i pocałował ją jeszcze raz w policzek, który był miękki jak dawniej i

pachniał lekko piżmem.

— Słyszałam, że się ożeniłeś? — zaczęła odważnie.

— Tak — odparł. Odsunął na bok cynową tarkę do sera i pół główki czerwonej kapusty, po czym usadowił się na brzegu kuchennego stołu. — Ożeniłem się w Durban. Z Angielką.

— Kitty mi powiedziała.

Barney podniósł wzrok na Kitty, która szorowała ostentacyjnie blachy do pieczenia i robiła dużo hałasu, przestawiając z miejsca na miejsce bańki do mleka. Uśmiechnął się i spojrzał ponownie na Mooi Klip. Pomyślał, że wygląda na zmęczoną. Oczywiście miała podkrążone i prawdopodobnie schudła.

— Nie można niczego utrzymać w tajemnicy, jeśli powie się Kitty — powiedział. — Ale co u ciebie? Kiedy przyjechałaś?

— Po południu. Jeden z kopaczy jechał tu po sprzęt, pompy i łopaty, więc zabrałam się z nim.

— A Pieter?

— Został z mamą i tatą.

— Dobrze się miewa?

— Jest wspaniały. Zaczyna czytać.

— Jesteś dobrą matką, Natalio.

Nastąpiła chwila ciszy. Mooi Klip obracała swój diamentowy pierścienek zaręczynowy, starając się za wszelką cenę zachować spokój, lecz Barney mieszkał z nią wystarczająco długo, żeby wiedzieć, jak bardzo była zdenerwowana. Czuł też, że ma mu jeszcze coś do powiedzenia. Siedział więc cierpliwie na stole i czekał, aż przejdzie do rzeczy. Jego ojciec powiedziałby w takiej sytuacji: „O co chodzi, przyjacielu?... W czym rzecz?” Barney czekał.

— Wczoraj odwiedził mnie pan Ransome — powiedziała wreszcie Mooi Klip. — Przyszedł do mnie zaraz po powrocie z Kimberley.

— Wiedziałaś, że chciał ze mną rozmawiać? To znaczy, zanim tu przyjechał?

Mooi Klip skinęła głową. Słońce kąpało się w jej kręconych włosach.

— To był jego pomysł, przynajmniej na początku. Ale ja nie powstrzymałam go. Nie wiedziałam, że jesteś żonaty. Nikt z nas nie wiedział. Gdybym wiedziała... W zasadzie to bez różnicy.

— Nie myślałem, że mnie jeszcze kochasz — szepnął.

— Nie kochałam cię — powiedziała. — Bardzo długo tak było. Myśl sobie, co chcesz, ale bałam się ciebie, Joela i tego wszystkiego, co mówiłeś. Mówiłeś, że będziesz zarządzał całym Kimberley. Bałam się tego. To przyszło tak nagle. Wiesz, jaki bogaty musi być człowiek, żeby zarządzać całym Kimberley? Taki człowiek musiałby być prawie bogiem. W nocy ciągle o tym myślałam i nie mogłam zasnąć.

Gdybyś był taki bogaty, musiałabym spotykać się z księciem, maharadzą oraz innymi osobistościami. Musielibyśmy wydawać bankiety! Taka prosta kobieta jak ja, bez żadnego wykształcenia, tylko by ci przynosiła wstyd.

— Dlaczego tak mówisz? — powiedział Barney, wstając i podchodząc od tyłu do jej krzesła. — Wtedy gdy chciałem się z tobą ożenić, kochałem cię i nadal cię kocham. Rozmawiałabyś z księciem i z maharadzą jak równy z równym. Poza tym nie mów mi o maharadzach. Nie byłiby tu teraz mile widziani.

— Kitty mówiła mi o Nareez.

— Wierz mi na słowo — wyszczerzył zęby Barney — Nareez jest jak pokrzywa. Lepiej się do niej nie zbliżać.

— Nie byłabym dla ciebie odpowiednią żoną, Barney — powiedziała Mooi Klip tak łagodnie,

jak tylko potrafiła. — Na pewno zdawałeś sobie z tego sprawę. Wiem, że kochałeś mnie, i wierzę ci, że nadal mnie kochasz. Ale czy zrobiłeś wszystko, żeby mnie odzyskać? Bałam się tego i właśnie dlatego tyle razy cię przeganiałam. Zbyt łatwo godziłeś się zawsze z przegraną. Gdybyś się tak szybko nie poddał, nie miałabym w końcu wyboru, musiałabym zostać twoją żoną.

Barney wydał policzki.

— Robiłem, co mogłem. Jak możesz mówić, że tak nie było?

Mooi Klip poprawiła się na krześle i chwyciła Barneya za rękę. W jej oczach nie było łez, lecz malowała się w nich taka rozpacz i żal, że Barney miał ochotę zamienić w parę wszystko, co go otaczało, zniszczyć Vogel Vlei i przywołać czasy przepelnione śmiechem, miłością, te wieczory przy kominku. Chciał przywołać czasy przed gwałtem Joela i przed Sarą Sutter.

— Przyjechałam, żeby się upewnić, że naprawdę się ożeniłeś — powiedziała Mooi Klip. — Wiedziałam, że to musi być prawda, skoro usłyszałam to od pana Ransome. Ale chciałam się też pożegnać. Prawdopodobnie wyjdę za mąż za Coena Boonzaiera i spędzę resztę życia na gospodarstwie. Zapomnę pewnie angielski i będę piekła chleb sodowy.

— Obiecywałem, że obsypię cię diamentami — powiedział Barney ze smutkiem w głosie.

Przesunęła palcem po jego spracowanej ręce.

— Nie przejmuj się, że nie dotrzymałeś obietnicy. Obietnice są tylko po to, żeby powiedzieć, że się kogoś kocha, że chce się mu dać wszystko. Kochankowie nie czekają na dzień, w którym wszystkie obietnice zostaną dotrzymane.

— Natalio... — powiedział Barney, lecz Mooi Klip podniosła się z krzesła, chwyciła go za rękę i potrząsnęła głową, dając mu w ten sposób do zrozumienia, że nie ma nic więcej mówić.

— Jesteś teraz żonaty. Kochasz swoją żonę, nie psuj wszystkiego.

Barney nie mógł na nią patrzeć. Wiedział teraz, że popełnił fatalny błąd. Miał wrażenie, że lada chwila mury tego domu runą i przywalą go, że od tej chwili każda sekunda i minuta jego życia będą wypełnione bólem, że będzie go w sobie nosił aż do śmierci. Kiedy poślubił Sarę, był szczęśliwy i pewny swego wyboru, wiedział, że tak właśnie należało postąpić. Sara była kobietą „dojrzałą”, może nawet zbyt „dojrzałą”, lecz za to bez wątpienia ładną. Ciągłe jeszcze była „dobrą partią”. Z wdziękiem będzie stała przy jego boku podczas niezliczonych przyjęć oficjalnych, uroczystych bankietów oraz zebrań towarzyskich. Jej obfite piersi będą się unosiły pod dużym dekoltem sukien wieczorowych. Będzie z pewnością manifestować swe uczucia patriotyczne głośno i z przekonaniem, obwieszona diamentami, od których uzależnione było jej szczęście. Jej włosy mienić się będą kolorowo, ozdobione różnego rodzaju błyskotkami, wstążkami, spinkami oraz perłami. Będą pewnie kilka razy spali w tym samym łóżku i dostarczać sobie będą wielu zmysłowych wrażeń. Prawdopodobnie da mu syna, córkę, może drugiego syna, który będzie się pasjonował wybijaniem szyb w oknach. Będą często podróżować statkami parowymi, w oddzielnych luksusowych kabinach, i żyć długo i szczęśliwie. Włosy im posiwieją, staną się ekscentryczni, a wspomnienia z Afryki zatrąsą się i zamienią w śmieszne anegdoty, którymi będą się karmić. Postąpił właściwie, żeniąc się z Sarą, królowa i Imperium mogli być z niego dumni. Na pewno będzie szczęśliwy.

Pech jednak chciał, że kochał Mooi Klip.

— To, co powiedziałem panu Ransome... to była prawda — powiedział. — Nadal cię Kocham. Nadal cię pragnę.:

— Nie wolno ci. Pomyśl o żonie.

— Natalio, nie wiem, co teraz powiedzieć. Nie wiedziałem, że coś jeszcze do mnie czujesz. Byłem samotny. Nie wiesz nawet jak bardzo. No i wydawało mi się, że ją Kocham.

Czuł, że coraz większy smutek ściska go za gardło i nie był w stanie wyrazić tego, jak bardzo jej

pragnął. Była teraz tak blisko, pod materiałem jej płaszcza podróznego wyczuwał ciało, które pieścił i które nosiło jego syna. Ciało, którego nie wolno mu było teraz dotykać. Teraz byłoby to złamanie przysięgi małżeńskiej i cudzołóstwo. Oczami wyobraźni widział jej nagie ramiona, dwa identyczne ciemne znamiona po obu stronach kręgosłupa. Widział szyję, którą zasłaniały teraz włosy i którą kiedyś głaskał. Widział jej duże, brązowe brodawki i miękkie piersi. Doznawał strasznego uczucia, podobnego do tego, jakiego doznaje kaleka, któremu obcięli nogę. Uczucia, że na zawsze ją stracił.

Widział ją leżącą obok siebie w łóżku, widział ich złączone ciała. Potrafili rozmawiać przez wiele godzin. Uczył ją angielskich słów, takich jak „namiętność”, „raptowny” i „godny podziwu”.

To wszystko teraz stracił i czuł się tak, jakby umarła jakaś bliska mu osoba.

— Pójdę już — oznajmiła Mooi Klip. — Nic tu teraz po mnie. Będę do ciebie pisać, żebyś wiedział, co się ze mną dzieje. Możesz odwiedzać Pietera, kiedy tylko chcesz. Tęskni za tobą.

— I ja tęsknię za nim — powiedział Barney ze łzami w oczach.

— Szszsz — szepnęła, dotykając koniuszkami palców jego łez. — Jesteś bogatym, dobrze prosperującym, dumnym, żonatym mężczyzną. Nie pozwól, żeby słudzy zoba-«syli, że jesteś też człowiekiem.

Uśmiechnął się ze smutkiem.

— Pewnie masz rację. Nie ma sensu płakać z powodu nieudanego małżeństwa, prawda?

— Jest jeszcze coś — powiedziała, a mówiła tak cicho, że prawie jej nie słyszał.

— O co chodzi?

— O diamenty. Kitty mi powiedziała, ale boi się, że ją rzesz albo wyrzucisz.

— O co chodzi? — powoził pytanie Barney.

— Musisz najpierw obiecać, że nie będziesz zły na Kitty.

Barney poddał się i spuścił głowę.

— Dobrze, jeżeli to naprawdę konieczne, obiecuję.

— Kitty mówi, że Dzentelmen Jack znalazł olbrzymi diament na jednej z twoich działek. Stało się to wtedy, gdy byłeś w Durban. Ten diament jest bardzo duży. Kitty mówi, że wygląda jak słońce. Jasny jak słońce, tak powiedziała.

Barney podniósł wzrok. Był wstrząśnięty.

— Naprawdę go widziała? — zapytał z niedowierzaniem, zbytnio podnosząc głos. — Widziała go i jest mój?

— Słyszałeś już o nim? — zapytała Mooi Klip.

— Tak, słyszałem. Harold Feinberg powiedział mi tego popołudnia. Prawdopodobnie dowiedziałem się ostatni. Wygląda na to, że wszyscy handlarze diamentów, kopacze i plotkarze o niczym innym nie mówią.

— Kitty powiedziała, że Dzentelmen Jack przyniósł go do domu parę dni przed twoim powrotem. Pokazał go Joelowi a Joel kazał Dzentelmenowi Jackowi pożyczyć wagę kuchenną od Kitty, żeby go zważyć.

Barney spojrział w stronę Kitty, która była zajęta praniem ręcznika na tarze i sprawiała wrażenie całkowicie pochłoniętej swoją pracą. Wyglądało na to, że robiła wszystko, żeby nie słyszeć, o czym rozmawiają.

— Czy Kitty słyszała, ile ten diament waży? — zapytał Barney. Nie potrafił się teraz skupić, jego własne słowa wracały z powrotem jak echo. Więc ogromny diament nie został wymyślony przez pijanego Murzyna. Był prawdziwy, ten diament był jego własnością. Byłby jego własnością, gdyby Joel go nie zagarnął.

Mooi Klip odwróciła się do Kitty i zapytała ją o coś w swoim języku. Nie patrząc na nią, Kitty

rzuciła, że dwie i pół uncji.

— Dwie i pół uncji — powtórzyła Mooi Klip. — Byli na tyle nieostrożni, że kiedy przynieśli ją z powrotem do kuchni, można było odczytać wagę ważonego przedmiotu.

Barney dokonał szybkich obliczeń. Następnie ogarnął go jakby lęk i po chwili odezwał się wreszcie do Mooi Klip:

— Dwie i pół uncji to trzysta pięćdziesiąt pięć karatów. Czy wiesz, ile taki kamień może być wart?

Mooi Klip potrząsnęła głową.

— Nie obchodzi mnie, ile jest wart. To twój majątek, Barney. Tylko twój. Ale kiedy Kitty powiedziała mi o tym, nie mogłam się powstrzymać. Nie tak często nadarza się okazja, by zemścić się na kimś, kto wyrządził tyle zła. Uważam, że Joel na to zasługuje. Musiałam ci powiedzieć.

— Boże, powinienem był ożenić się z tobą, kiedy cię tylko pierwszy raz ujrzałem — powiedział Barney.

Stała na palcach i pocałowała go.

— Nie mów nic więcej. Proszę.

— Ale ten diament — powiedział, rozkładając ręce. — Dlaczego Kitty nie powiedziała mi zaraz po powrocie? Albo Dżentelmen Jack?

— To służba — powiedziała Mooi Klip. — Są szczęśliwi, gdy przeżyją w spokoju kolejny dzień. Nie chcą żadnych kłopotów. Nawet jeśli to nie ich wina, myślą, że mogą stracić pracę. Więc nic nie mówią. Przecież nie mogą donosić na pana Joela Blitza, rozum. Ich praca polega na robieniu tego, co do nich należy, to wszystko. A pan Joel Blitz powiedział im, że mają trzymać język za zębami. Być może nawet im zapłacił.

Barney zaczął chodzić po kuchni i nagle uderzył pięścią w stół.

— Teraz wszystko się zgadza! Joel chciał wyruszyć do Capetown tak prędko, jak tylko możliwe. Dżentelmen Jack chciał się dowiedzieć, kto jest właścicielem diamentu, oczywiście zgodnie z prawem. Wszystko pasuje jak ulał! Znaleźli

Olbrzymi diament i Joel chciał to utrzymać w tajemnicy!

Mooi Klip patrzyła na Barneya z szacunkiem, lecz także z niepokojem.

— Nie zrobisz mu krzywdy, prawda?

— Komu? Joelowi? Złamię mu kark!

— Barney, nie mów tak. Ty taki nie jesteś. Jak myślisz, dlaczego ciągle jeszcze cię kocham? Bo wiem, że jesteś wierny pewnym zasadom. Chcę, żeby Joel stracił ten diament, ale nie chcę, żebyś go skrzywdził.

Barney spojrzał na Mooi Klip. Gwałtownym ruchem przysunął sobie krzesło i usiadł.

— Jestem rozdarty — powiedział. — Boże, jestem rozdarty.

Mooi Klip uklękła na podłodze przy nim i mocno chwyciła go za ręce.

— Wiem — powiedziała szeptem. — Wiem, że jesteś zdenerwowany. Ale postaraj się być silny. Pamiętaj, że cię kocham i że Pięter cię kocha. Pamiętaj, kim jesteś.

Barney spojrzał na nią z goryczą.

— Jestem krawcem, oto kim jestem. Krawcem z Clinton Street w Nowym Jorku.

— Nie — zaprzeczyła. — Nie dla mnie. Dla mnie jesteś właścicielem ogromnej kopalni diamentów i milionerem. Jesteś też wspaniałym i czułym kochankiem. Myśl o tych dwóch rzeczach, kiedy będziesz rozmawiał z Joelem. Pamiętaj o tym, że jesteś równocześnie silny i wrażliwy. Wtedy nie przyjdzie ci nawet na myśl, żeby go skrzywdzić. Będzie ci go po prostu żal.

Drzwi kuchenne otworzyły się gwałtownie i do środka wszedł Dżentelmen Jack. Gdy zobaczył

Barneya i Mooi Klip, zawahał się, a kiedy Kitty rzuciła mu ukradkiem ostrzegawcze spojrzenie, skierował się ku spiżarni.

— Jack! — zawołał Barney, nie patrząc na niego.

— Tak, panie Blitzboss — powiedział Jack i zastygł w bezruchu niczym pies myśliwski, który zobaczył nagle zająca.

— Jack, zdarzyła się dziwna rzecz.

— Co takiego, panie Blitzboss?

Barney wyprostował się na krześle, nadal omijając go wzrokiem.

— No cóż, wygląda na to, że ktoś znalazł diament na moich terenach, całkiem duży diament.

— Tak, panie Blitzboss?

— Nie musisz udawać głupka, Jack. To nie kółko teatralne w Kimberley. Słyszałem, że na gwałt potrzebują tam Murzyna, który zagrałby w przedstawieniu bożonarodzeniowym pt. *Robinson Crusoe*.

Dżentelmen Jack milczał. Stał tylko wyprostowany ze zbaraniałym wyrazem twarzy i położył kapelusz na statywie do suszenia naczyń.

— Nie lubię karać ludzi za niewinne błędy, które popełnili, Jack — kontynuował. — Uważam, że każdy ma prawo do popełnienia jednego czy dwóch błędów. Sam je robię (w tej chwili Mooi Klip ścisnęła go za rękę). Lecz kiedy w grę wchodzi kradzież, to co innego. Ludzie, którzy kradną, nie przestrzegają ósmego przykazania, które Pan Bóg zostawił Mojżeszowi. To wszystko.

— Tak, proszę pana — powiedział Dżentelmen Jack niepewnym głosem.

— Więc kiedy okazuje się, że ktoś znalazł diament na obszarze, który należy do mnie, całkiem duży diament, i skoro nikt mi go jeszcze nie pokazał mimo to, że jestem tu, w Vogel Vlei, już od kilku dni, no cóż, nie pozostaje mi wtedy nic innego jak uznać, że ten, kto go znalazł, ukrywa go przede mną.

— Też tak myślę, proszę pana — powiedział Dżentelmen Jack.

— Nie prosiłem cię o komentarz, nie obchodzi mnie też, co myślisz — powiedział Barney nieprzyjemnym tonem. — Proszę cię jedynie o to, żebyś przekazał osobie, która ukrywa przede mną diament, że mam zamiar przeszukać ten dom od piwnicy po strych i że zrobię wszystko, żeby go znaleźć, nawet jeśli będę musiał odrywać podłogi.

— Nie wiem, kto go wiał, proszę pana. Naprawdę — powiedział Dżentelmen Jack.

Barney szybko się odwrócił i spojrzał mu prosto w oczy.

— Wiem, że ci zapłacił za trzymanie języka za zębami, Jack. Wiem też, że boisz się utracić pracę. Ale chcę ci powiedzieć jedną rzecz. Mam wystarczające dowody, żeby obciążyć cię winą za zniknięcie diamentu, więc jeśli mi nie pomożesz i nie powiesz całej prawdy, to każę cię powiesić na drzewie, w surducie lub bez.

Dżentelmen Jack sięgnął po kapelusz i zrobił głupią minę. Był wyraźnie wystraszony

— Tak jest, szefie.

— Mam nadzieję, że zrozumiałeś — powiedział Barney.

Przez chwilę trwała nieznośna cisza. Dżentelmen Jack szarpnął wreszcie za klamkę i już go nie było.

Gdy wyszedł, Mooi Klip wstała i pocałowała Barneya w czoło.

— Ja też muszę już iść.

— Przecież jest już ciemno.

— Zatrzymałam się u znajomych w Kimberley. Jutro rano wracam do Klipdrift.

— Wkrótce przyjadę, żeby się z tobą zobaczyć. Obiecuję.

— Nie obiecuj, Barney. Pomyśl tylko o miłości, którą kiedyś żyliśmy, i o dziecku, które się z

niej narodziło. To wystarczy.

— Natalio, nie odchodź.

— Muszę, Barney.

— Nie odchodź. Zostań ze mną dziś wieczorem.

— Być może nasze gwiazdy mówią, że bylibyśmy ze sobą szczęśliwi, mój almanach tak właśnie mówi. Lecz gwiazdy to nie wszystko. Ważniejszy jest czas, no i okoliczności.

— Nauczyłaś się już kilku długich słów.

— Pan Ransome mnie nauczył. Powiedział, że „to zależy od okoliczności”.

— Tak — powiedział Barney, sięgając po jej dłoń. — Myślę, że pan Ransome ma rację.

Mooi Klip pocałowała go jeszcze raz, niezwykle czule.

— *Ek hetjou lief, Barney, wat ookal gebeur.*

Joel prawie zasypiał, kiedy usłyszał nieśmiałe pukanie do drzwi. Otworzył jedno oko i nasłuchiwał. Pokój był ciemny i jeszcze ciepły od słońca, które zachodziło właśnie nad stepem. W powietrzu rozlegał się śpiew ptaków, które gromadnie oblegały pobliskie drzewo. Pukanie powtórzyło się, po czym usłyszał szept:

— Panie Blitzboss, to ja, Jack. Musi mi pan otworzyć drzwi, panie Blitzboss.

— Jack? — zdziwił się Joel. — Co chcesz, do diabła? Zasypiam.

— Przepraszam, panie Blitzboss, ale to pilne.

— No to wejdź. Otwarte.

Dżentelmen Jack otworzył drzwi, szybko wszedł i z powrotem je zamknął.

— Panie Blitzboss, jesteśmy w tarapatach.

— W jakich tarapatach? Podaj mi szklanek wody, proszę. Jack podał mu wodę i stanął przy jego łóżku. Czekł, aż się napije, przestępując ze zdenerwowania z nogi na nogę. Joel podał mu pustą szklanekę.

— Co jest takie pilne, że musiałeś mnie budzić? — zapytał Joel.

— Chodzi o diament, panie Blitzboss. Pan Barney się dowiedział.

— Dowiedział się o czym? Co ty mówisz? Dowiedział się, że ktoś go znalazł czy że my go mamy?

— Dowiedział się wszystkiego, proszę pana. Wie, kiedy został wykopany, ile waży i że prawdopodobnie pan go gdzieś ukrył, proszę pana.

Joel usiadł na łóżku.

— Kto mu powiedział? Ty? Obetnę ci te twoje głupie, czarne uszy, jeśli to ty!

— To nie ja, proszę pana. To ta dziewczyna Griąua, Natalia Marneweck. Ona tu była dzisiaj po południu, proszę pana. Rozmawiała z panem Barneyem.

— A niech to diabli — złościł się Joel. — To kuzynka Kitty, no nie? Czy coś w tym rodzaju. Ta diabelna Natalia. Co ona tutaj robiła? Nie wiedziała, że Barney się ożenił?

— Nie wiem, proszę pana.

— Pewnie wiedziała — powiedział Joel. — Przez to Barney stał się tylko bardziej atrakcyjny. Ta Murzynka zawsze była taka pyszna, zawsze wyciągała rękę po zakazany owoc.

Joel z trudem wygramolił się z łóżka, chwycił swoją laskę i podszedł do stojącej przy ścianie brzydkiej palisandrowej komody. Wyjął mały mosiężny kluczyk z kieszonki w kamizelce i otworzył drugą szufladę od dołu. W szufladzie leżał olbrzymi trzystupięćdziesięciokaratowy diament, owinięty w niebieską jedwabną chustkę. Dżentelmen Jack rzucił na niego niespokojnie okiem.

— Pan Barney powiedział, że przeszuka dorn, proszę pana. Od góry do dołu. Powiedział, że wyrwie podłogę.

Joel podniósł diament i trzymał go mocno w dłoni. Ścisnął go tak każdego dnia, począwszy od tego, w którym Dżentelmen Jack przyniósł mu go z kopalni. Czasami, kiedy dokuczał mu ból w biodrach i nogach, tak że nie mógł zasnąć, siadał przy oknie w swoim fotelu z wysokim oparciem, oplatając dłońmi swój diament. Czuł, jak powoli pochłania ciepło jego ciała. To był jego diament, tylko jego. Nikt inny nie był w stanie zrozumieć tajemniczego piękna i blasku, którym promieniał. Nie był w stanie pojąć tych migających marzeń, które w niepojęty sposób krystalizowały się wewnątrz. Joel całował go i lizał, przyciskał do serca. Czasami nawet zamykał oczy i pieścił nim swój członek, podniecając się na myśl o bogactwach i ślicznych kobietach.

— Powiemy, że Kitty kłamie — powiedział Joel.

— Kłamie, proszę pana? Ale po co by miała kłamać?

— Żeby się zemścić, oto dlaczego. Nigdy mnie nie lubiła. Powiemy, że usłyszała jakieś plotki, że ktoś w Kimberley wykopał olbrzymi diament i postanowiła powiedzieć, że to ja, chcąc, żebym wpadł w tarapaty. Musimy wszystkiemu zaprzeczyć, kategorycznie zaprzeczyć.

— A co będzie, jeśli pan Barney przeszuka dom, panie Blitzboss? To duży diament, trudno go ukryć.

— Jest wiele miejsc, w których nigdy go nie znajdzie, Jack. Mógłbym go na przykład zakopać w ogrodzie.

— Przekopują teraz ogród, panie Blitzboss. Ktoś mógłby pana zobaczyć i potem go wykopać. A poza tym, jaką ma pan pewność, że zdąży się go wykopać, żeby zabrać do Capetown? Pan Barney będzie od tej chwili bardzo podejrzliwy, proszę pana, szczególnie gdy będzie pan chciał wyjechać. Musi być pan bardzo ostrożny, bo na pewno będzie chciał przeszukać pański bagaż.

— Nie ma prawa przeszukiwać ani mnie, ani mojego bagażu.

Dżentelmen Jack powiedział z przestrogą w głosie:

— Nie sądzę, żeby pan Barney na to zważał, proszę pana. On wie, że zgodnie z prawem diament należy do niego. Myślę, że tym razem nie uda się go panu zbyć byle czym.

— Niech go jasna cholera!

— Proszę pana — prosił Dżentelmen Jack. — Musi pan coś zrobić, panie Blitzboss. Może powinien pan oddać ten diament, powiedzieć, że to było nieporozumienie. Jeżeli pan Barney sam znajdzie ten diament, proszę pana, to każe mnie powiesić.

— Nie bądź śmieszny. Mój brat nie ma tyle odwagi, żeby kogoś powiesić.

— Proszę — nalegał. — Mam rodzinę, proszę pana. Nawet jeśli pan Barney nie każe mnie powiesić czy wychłostać, już nigdy nie znajdę dobrej pracy, proszę pana.

— Powinieneś być o tym pomyśleć, zanim wyciągnąłeś brudne łapy po swoją dolę — odparował Joel. — Chce mi się rzygać na twój widok. Murzyn ze szkółki niedzielnej, dobre sobie! Biały kołnierzyk i dobrze skrojony szary garnitur nie wystarczą, by z czworonoga uczynić człowieka. Wiem, bo sam byłem krawcem. Więc gadasz jak biały, znasz alfabet i wierzysz w Jezusa Chrystusa, tak? Dobrze wyszkolony pies mógłby robić to samo, Jack, z taką tylko różnicą, że pies nie przylazłby, żeby wyrzygać się na moim dywanie i nie narzekałby tak jak ty teraz, że mięso, które zżarł, było trochę tłuste.

Trzymał błyszczący diament przed sobą, a Jack wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczyma.

— Jack — powiedział — to jest mój diament. To wszystko, co mam do powiedzenia. Jeśli piśniesz panu Barneyowi choćby jedno słówko na temat tego, gdzie teraz jest albo gdzie pojedzie, jeśli tylko choć wspomnisz o jego istnieniu, to Bóg mi świadkiem, zamorduję cię. Nie żartuję.

Dżentelmenowi Jackowi przeszły mimo woli ciarki po grzbiecie.



— Panie Blitzboss, naprawdę lepiej by było, gdyby pan... Joel zamachał mu diamentem przed oczami, po czym ukrył go w zaciśniętej dłoni, przyciskając do klatki piersiowej.

— Nic nie mów — ostrzegął. — Nawet nie próbuj mnie przekonywać, bo dopóki nie wywiozę tego diamentu z Kimberley, dopóki nie "będzie już w drodze do Capetown, nie zaznam spokoju. Nie mogę sobie teraz pozwolić na wyrzuty sumienia. Wynoś się stąd.

Dżentelmen Jack był już przy drzwiach. Powoli je otworzył, wychylił głowę, upewniając się, czy nikogo nie ma na korytarzu, i wreszcie wymknął się na palcach. Joel zamknął za nim drzwi i przekreślił klucz w zamku.

Problem w tym, że Jack miał rację. Nie mógł ukryć diamentu w domu, ponieważ niezależnie od tego, jak dobrze by go schował, zawsze należało się liczyć z tym, że Barney go znajdzie, a gdyby tak się stało, gdyby Barney mu go odebrał, Joel prawdopodobnie by tego nie przeżył. Załamałby się wtedy psychicznie i fizycznie. Diament gwarantował mu dostatnie życie aż do śmierci, lekarstwa, jakich potrzebował, dobrobyt, o którym marzył, i niezależność. Nie mógłby teraz tego wszystkiego utracić. Równie dobrze mógłby sobie rozwalić łeb i skonać.

Usiadł w swoim fotelu i trzymał diament na rozpostartej dłoni. Nowe życie — stopiony węgiel. Ognisty, żywy i nieskończenie zwodniczy jak spojrzenie w przyszłość oglądaną przez niezliczoną liczbę tęczyowych pryzmatów.

Nie mógł go połknąć, tak jak to robili Murzyni pracujący na działkach. Mógłby się w ten sposób zadławić. A nawet gdyby się udało, to nie wiadomo, czy by go wydalił. Nawet gdyby go wydalił, to przecież musiałby go bez przerwy połykać aż do przyszłego czwartku, kiedy to miał jechać do Capetown. Już na samą myśl o tym robiło mu się niedobrze.

Otworzył szeroko usta i starał się wepchnąć diament jak najgłębiej, ale na próżno. Zahaczał o zęby i było jasne, że nie uda mu się go połknąć. Udusi się albo rozedrze sobie krtań na strzępy.

Mógłby go sobie włożyć do odbytu, ale wszyscy wiedzieli aż nadto dobrze, że to jeszcze jedna kryjówka Murzynów. Jeśli Barney był pewny, że gdzieś go ukrywa, bez wątpienia zmusi go do rewizji osobistej. Joel wstał i podszedł do lustra. Patrzył w swoje odbicie tak, jakby czekał, że powie mu, co ma robić. Lecz czy ten zmęczony, zniszczony chorobą, opierający się o komodę mężczyzna mógł jeszcze coś wymyślić? W pokoju panował półmrok. Był sam i pragnął zagarnąć ten diament tylko dla siebie. Pozbawiony przyjaciół oraz miłości, uciekał teraz od brata i od prawa. Patrzył na swoją ponurą twarz i zastanawiał się, co doprowadziło go do tego stanu, do tego ostatecznego i fatalnego zarazem zderzenia temperamentu i chciwości.

Pomyślał o matce, której problemy dawno już się skończyły. Lecz nie chciał o niej myśleć. W życiu każdego nadchodzi taki czas, kiedy złość kruszy się i zaciera. Takie przebaczenie przez zapomnienie.

Z dołu dochodziły Joela jakieś głosy oraz odgłosy kroków na korytarzu. Przeszukiwanie domu pewnie już się zaczęło. Powodowany niepowstrzymaną chęcią posiadania, Barney przewracał dom do góry nogami i zaglądał do wszystkich zakamarków. Boże, że też musiał urodzić się w takiej rodzinie. Że też w ogóle się urodził.

Spojrzał na uchylone drzwi od łazienki i coś przyszło mu do głowy. Przypomniał sobie pewien wieczór jakieś dwa lata temu, kiedy Barney zaprosił Harolda Feinberga do domu na obiad. Przypomniał sobie te niesamowite historie, które opowiadał tego wieczoru Harold, a które dotyczyły kilku słynnych indyjskich diamentów. Jedna z tych historii związana była z odkryciem diamentu o nazwie Regent. Był to olbrzymi czterystudziestokaratowy diament, a znaleziono go w kopalni Partaal na rzece Kistna w 1701 roku. Pewien niewolnik przemycił go z kopalni i pojechał z nim nad morze, gdzie próbował wydostać się z Indii, sprzedając kamień pewnemu brytyjskiemu kapitanowi za

pół ceny.

Nieważne, że niewolnik został zamordowany przez kapitana i wyrzucony następnie za burtę. Istotny był w tej chwili sposób, w jaki niewolnik przemycił diament z kopalni Pardeal. Własnoręcznie zadał sobie głęboką ranę w nogę i ukrył diament we własnym ciele.

Joel spojrział jeszcze raz w lustro, w swoje własne odbicie. I tak przecież kuśtykał, więc nikt nie zauważy, jeśli zacznie kuśtykać trochę bardziej. Zawsze przecież może powiedzieć, że noga nie daje mu ostatnio spokoju i kilka dodatkowych bandaży nie przyciągnie niczyjej uwagi.

Mój Boże, gdyby nosił diament w nodze, mógłby się nawet poddać rewizji osobistej, mógłby wówczas pozwolić Barneyowi przeszukać się od stóp do głów, mógłby zajrzeć, gdzie tylko by sobie życzył. Możesz nawet poniżyć się, grzebiąc w moich odchodach, braciszku. Nie znajdziesz tego, czego szukasz.

Przez chwilę stał nieruchomo, bębniąc tylko palcami w palisandrową komodę. Potem chwycił laskę i pokuśtykał do łazienki. Na półce pod lustrem, obok pędzla do golenia, w tym samym miejscu co zwykle, leżała brzytwa. Wziął ją do ręki i otworzył. Będzie ją musiał naostrzyć, musi być ostra jak nigdy przedtem. Musi ją też wysterylizować nad ogniem. Bandaże muszą być w pogotowiu, musi też przygotować ręcznik, żeby zatamować krwawienie, oraz mieć pod ręką mnóstwo whisky. Wziął płytki oddech i wrócił do sypialni.

Za drzwiami słyszał Michaela i kilku innych Murzynów biegających po schodach w górę i w dół. Usłyszał też głos Barneya, który wydawał im właśnie głośnie polecenie przeszukania strychu. Barney domyślał się pewnie, że diament jest tutaj, w pokoju Joela, i urządził całe to przedstawienie tylko po to, żeby go przestraszyć i zmusić do dobrowolnego oddania kamienia. To byłoby dla Joela największe upokorzenie: ukraść szansę na dostatnie życie i zostać potem zmuszonym do poddania się. Czułby się wtedy jak mały chłopiec, który coś przeskrobał.

— Whisky — szepnął Joel sam do siebie. Podszedł do swojej nocnej szafki i wyjął pełną butelkę scotcha. Usunął korek i pociągnął trzy czy cztery razy prosto z butelki. Ostrożnie odłożył ją na bok i zaczął rozpinać spodnie.

Przygotowywał wszystko z wielką starannością po części dlatego, że postanowił nie pozwolić zastraszyć się tym melodramatycznym głosom rozlegającym się w całym domu, a po części dlatego, że bał się tego, co będzie musiał za chwilę zrobić. Lecz po dziesięciu minutach siedział już na brzegu łóżka bez spodni, gotowy rozpocząć operację. Na podłodze przy jego lewej nodze stała porcelanowa miska.

Nagle spostrzegł, że zostawił diament na komodzie, więc musiał go przynieść. Kiedy dziura w nodze będzie już wystarczająco duża, nie będzie pewnie miał siły ani ochoty na chodzenie po pokoju i szukanie go. Jeszcze jeden łyk czystej whisky i był już gotów.

Rozległo się energiczne pukanie do drzwi.

— Kto tam? — zapytał z brzytwą w ręku, szykując się właśnie do przecięcia białej skóry swojego owłosionego lewego uda.

— Barney.

— Idź sobie, jestem zmęczony. Próbuję zasnąć. Idź się teraz kłócić ze swoją żoną.

— Chcę z tobą porozmawiać.

— Nie teraz. Powiedzieliśmy już dzisiaj obaj wystarczająco dużo.

— Nie chcę do tego wracać. Już dawno o tym zapomniałem. Teraz chodzi o coś innego.

— Cokolwiek to jest, może poczekać — powiedział Joel. — Jestem zmęczony i pijany. Nie mam zamiaru, o niczym rozmawiać.

— Obiecuję, że zajmę ci tylko minutę lub dwie.

Joel spojrzął na olbrzymi nie szlifowany diament, który leżał obok niego na łóżku. Ręka, w której trzymał brzytwę w odległości zaledwie kilku centymetrów od uda, zadrżała.

— Możemy porozmawiać później. Teraz nie jestem w odpowiednim nastroju. Idź sobie.

Usłyszał szuranie nogami i czekał teraz w napięciu z zamkniętymi oczami. Niech sobie pójdzie, Boże, niech sobie pójdzie.

Po chwili Barney odezwał się znowu.

— Dobrze. Wrócę za godzinę lub dwie, kiedy się trochę prześpisz. Ale przygotuj się na rozmowę ze mną, Joelu. Możesz być pewien, że tu wrócę, i jeśli będzie trzeba, to wyważę drzwi.

— Tyle razy mówiłem ci, że jesteś zbyt brutalny — powiedział Joel.

Barney nic nie powiedział. Stał jeszcze chwilę pod drzwiami, zanim zszedł na dół. Na sam koniec krzyknął jeszcze do Joela:

— A tak przy okazji, kolacja jest dzisiaj wcześniej niż zwykle, to znaczy o siódmej. Mam nadzieję, że się zjawisz.

Joel nie odpowiedział, nie mogąc się doczekać, kiedy Barney zejdzie na dół i zacznie rozmawiać z Murzynami biegnącymi ciągle po korytarzu. Dochodziły go odgłosy jak w cyrku: krzyki, gwizdy i szuranie nogami. Joel wykrzywił twarz i zanim zdał sobie sprawę z tego, co robi, przeciął skórę brzytwą.

Brzytwa była bardzo ostra, więc weszła jak w masło. Prawie nie odczuwał bólu, ale ciarki przeszły mu po grzbiecie, gdy zobaczył, że ostrze brzytwy nie napotykało prawie żadnego oporu. Wbijało się coraz głębiej, nie mogąc się zatrzymać. Otrząsnął się widząc, jak mięsień udowy otworzył się niczym krwawiące, obojętne usta. Drżącymi palcami położył brzytwę na jednym z ręczników, przycisnął do uda chusteczkę do nosa, żeby zahamować krwawienie, i szybkim ruchem sięgnął po butelkę z whisky.

— Mój Boże — powiedział sam do siebie, starając się nie patrzeć na nogę. Następnie przyssał się do butelki i pił tak długo, aż zaczęło go palić w brzuchu.

Powoli odkrył ranę, chcąc zobaczyć, czy jest wystarczająco głęboka, by pomieścić diament. Tak bardzo krwawiła, że nic nie można było powiedzieć. Nie mając innego wyjścia wepchnął diament w rozcięte miejsce i pchał tak mocno, jak tylko się dało. Zagryzł wargi z bólu. Kiedy się pochylił, zobaczył, że tylko jedna trzecia diamentu zniknęła w ranie. Musiał ciąć dalej.

Przy drugim cięciu brzytwa drżała mu w rękach i trudno mu było zachować zimną krew. Musiał odłożyć brzytwę i wziąć kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić i kontynuować.

— Zaczęłeś coś — powiedział sam do siebie ze złością — to nie przerywaj teraz, kiedy jesteś w połowie drogi. Słyszysz mnie? I tak będziesz miał już bliznę, nie chcesz chyba, żeby to wszystko poszło teraz na marne.

Joel z dziką fascynacją wpatrywał się w swoją własną rękę, tak jakby należała do kogoś innego. Zobaczył, jak brzytwa weszła w ranę i dotknęła samej kości. Następnie ostrze brzytwy zaczęło szybko wędrować w prawo i w lewo, wycinając blade, zakrwawione kawałki mięśni, aż w końcu zrobiła się ogromna, tonąca we krwi dziura.

Upuścił brzytwę na podłogę. Dygotał teraz jak w konwulsjach. Niepohamowanym strumieniem, krew spływała po nodze do porcelanowej miski. Jednym z ręczników, który posłużył mu jako bandaż, dotknął rany i przycisnął tak mocno, jak tylko mógł. Nagle przyszło mu do głowy, że wykrwawi się i umrze. Za jakąś godzinę przyjdzie tu Barney, wyłamie drzwi i znajdzie go leżącego na podłodze oraz diament na łóżku.

Zaciskając usta z bólu, chwycił butelkę whisky i wziął duży łyk. Reszta potrzebna mu będzie do oczyszczenia rany. Rzucił na podłogę czerwony, ociekający krwią ręcznik i wylał alkohol na udo,

pozwalając, by zmieszał się z krwią.

Wtedy nie mógł się już opanować i głośno krzyknął. Noga piekła go do żywego, tak jakby płonęła. Lecz po minucie czy dwóch ból ustał i noga nagle zdrętwiała. Otworzył oczy, rozejrzał się wokoło i uprzytomnił sobie, że od kiedy Barney zapukał do drzwi, nie upłynęło wcale zbyt wiele czasu i że w związku z tym nikt nie będzie go o nic podejrzewać, w każdym razie jeszcze nie teraz.

Podniósł diament, oblał go ze wszystkich stron whisky i wepchnął w ranę. W nodze zrobiło się niewielkie wybrzuszenie, lecz Joel mocno owinął nogę ręcznikiem, a następnie bandażem.

Przez ponad dziesięć minut siedział, nie ruszając się z miejsca. Zaszokowany był tym, co właśnie uczynił, i starał się to sobie jakoś poukładać w głowie. Nie mógł uwierzyć, że diament znajduje się teraz w jego nodze. Przez chwilę myślał, że oszaleje, że być może już oszalał. Lecz powoli opanowywał histerię i po kilku minutach był już w stanie pozbierać zakrwawione ręczniki, miskę, oczyścić ostrze brzytwy.

Chwiejnym krokiem skierował się ku łazience, klnąc przy tym po drodze. Postawił miskę na marmurowym statywie i zmoczył ręczniki w wannie. W przelocie ujrzał swoją twarz w lustrze i stwierdził, że wygląda tak samo jak przedtem, nie była wcale bardziej szara, zniszczona czy nawet bardziej komiczna niż przedtem.

Otworzył kurki z wodą, zęby wypłukać zakrwawione ręczniki, dopóki jeszcze krew na nich nie zaschła. Służbie zawsze mógł powiedzieć, że miał obfity krwotok z nosa. Pił tyle, że często je miewał.

Następnie pokuśtykał z powrotem do sypialni, z nocnej szafki wyciągnął kolejną butelkę whisky i jednym haustem wypił prawie jedną trzecią zawartości. Część alkoholu, który wypił, wydostawała się z powrotem przez nozdrza.

Z dołu dochodził go śmiech służby przeszukującej płaszcze i buty w szafie na korytarzu. I pomyśleć, że było jeszcze coś takiego, z czego można się było śmiać. I pomyśleć, że dla czegoś warto było jeszcze żyć. Zerwał się i poczłapał do szafy. Otworzył ją. Musiał się przecież ubrać na kolację, nie chciał, żeby jakiś służący zobaczył zakrwawione bandaże na jego udzie. Zastanawiał się, czy będzie miał odwagę siedzieć przy stole z diamentem w nodze, jeść zupę, dziczyznę i słodki pudding, udając, że słucha bezmyślnej paplaniny Sary na temat pysznych galaretek, które jadła w Durban. Zastanawiał się, czy będzie musiał wymiotować.

Sypialnia zaczęła się chwiać i musiał szybko usiąść, żeby nie upaść.

Kiedy Sara zeszła na kolację, wyglądała jak europejska księżniczka. Nosiła kobaltowoniebieską suknię, a jej ciemne włosy związane były trzema rzędami pereł z Oceanu Indyjskiego. Ku zaskoczeniu wszystkich, dekolt sukni był bardzo głęboki, tak że widać było różowe obrzeże brodawek, a ozdabiał go szmaragdowo-diaamentowy krzyżyk, który spoczywał w zagłębieniu między piersiami i wskazywał, że właśnie tutaj należało szukać skarbu. W powietrzu unosiły się zapachy drogich, odurzających perfum, olejków wonnych, wetiwerowych oraz różanych. Usta miała pomalowane na czerwono.

Gdy weszła do pokoju gościnnego, Barney we fraku i pod czarnym krawatem, odstawił drinka i wstał. Kiedy wyciągnął do niej ramiona, chętnie podeszła i pocałowała go w policzek.

— Wspaniale dzisiaj wyglądasz — powiedział z nie ukrywanym zachwytem.

— Czyż nie zawsze wyglądam wspaniale?

— Oczywiście, że tak. Ale dzisiaj szczególnie.

Pocałowała go jeszcze raz i ręką w niebieskiej rękawiczce starła szminkę z jego policzka.

— Ubrałam się dla ciebie. Tylko w ten sposób mogą pokazać, jak bardzo mi przykro.

— Nie musi ci być przykro. To ja powinienem cię przeprosić. Zachowałem się jak goryl.

Sara usiadła na sofie, podtrzymując swoją rozłożystą suknię. Jej brzegi ozdobione były jedwabną wstążką w nieco ciemniejszym niebieskim kolorze oraz tuzinami drobnych pereł przyszytych w ten sposób, że tworzyły kwiaty. Stopy miała gołe, co Barney ze zdumieniem odczytał jako prowokację.

— Chyba za wiele od ciebie oczekiwałam — powiedziała. — Na pewno za dużo sobie obiecywałam po przyjeździe do Kimberley. Dla dziewczyny takiej jak ja szokiem było odkrycie, że nie istnieje tu prawie żadne życie towarzyskie. Jest tu tylko kilka osób z angielskich firm badawczych i nie ma kogo zaprosić na podwieczorek o piątej.

— To się zmieni prędzej, niż myślisz — powiedział Barney, który stał odwrócony plecami do ozdobnego, marmurowego kominka. — Harold Feinberg mówi, że miasto szybko się rozrośnie i atmosferą będzie przypominało wyrafinowany londyński West End. To kwestia jednego lub najwyżej dwóch lat. Wtedy życie towarzyskie będzie tu kwitło i wszyscy w Durban będą ci zazdrościć.

— Jestem pewna, że masz rację — uśmiechnęła się Sara. — Niezależnie od wszystkiego, pragnę być twoją oddaną żoną. Przepraszam za te niemądre kłótnie. Nareez prosiła, żebym przekazała, że jej też jest przykro. Ona wie, że ja się bałam. W końcu to dzikie miejsce! A ona chciała tylko mnie chronić. Ochraniała mnie przez całe życie.

Barney wziął Sarę za rękę i przycisnął ją do swojego policzka. Popatrzył jej prosto w oczy i depresja, w której był pogrążony od wizyty Mooi Klip, zaczęła go nagle opuszczać. Być może Sara była mimo wszystko trafnym wyborem i dobrym materiałem na żonę. Być może wszystkie te awantury wynikały po prostu z tęsknoty za domem i spóźnionych nieco obaw przed nocą poślubną.

— Po kolacji możemy udać się na spoczynek — zaproponowała Sara i lekko się zarumieniła. Barney pochylił się i pocałował ją najpierw w czoło, potem w policzki i w końcu w usta.

— Nie zostanie mi ani trochę szminki — szepnęła.

— Czy istnieje jakiś lepszy sposób, żeby się jej pozbyć? Właśnie w tej chwili wszedł ich nowy lokaj Horacy. Miał na sobie źle dopasowane bryczesy oraz brązowy udrapowany strój do konnej jazdy. Przyniósł słodką sherry na srebrnej tacy, po czym wycofał się z pokoju, idąc tyłem i skrzypiąc butami.

— Myślę, że Horacy słyszał coś na temat rodziny królewskiej — powiedziała Sara. — Bez przerwy się kłania, kiedy mnie widzi, i nigdy nie odwraca się do mnie plecami. To dosyć osobliwe, nie sądzisz? Ale nie chciałabym go rozczarować.

Wypili, wznosząc cichy toast za siebie nawzajem, a Barney podziękował Bogu za zmianę, jaka dokonała się w Sarze. Przez wiele miesięcy trudno mu będzie zapomnieć o miłości, którą czuł do Mooi Klip, lecz jeśli Sara zawsze będzie tak piękna i ponętna jak w tej chwili, nie będzie tak strasznie cierpiał.

— Straszne dzisiaj zamieszanie w całym domu — zauważyła Sara. — Pytałam Nareez, ale powiedziała, że nie wie, nie była pewna. Mówiła, że pewnie czegoś szukają. Co takiego mogliśmy zgubić, że w całym domu takie poruszenie? Nic z tego nie rozumiem.

— Hmm — mruknął Barney, przeczesując palcami kędzierzawą czuprynę. — To długa historia.

— Bardzo bym chciała ją usłyszeć, szczególnie że to mój własny dom jest przewracany do góry nogami.

Barney sam nie wiedział, dlaczego nie miał ochoty powiedzieć Sarze. Prawdopodobnie nie do końca jej ufał. Nie miał żadnego konkretnego powodu, żeby jej nie mówić. W zasadzie miała prawo wiedzieć. Mimo to wahał się i bronił przed wyjawieniem jej prawdy.

— Chodzi o to — zaczął — że zgubiłem coś bardzo cennego. Przynajmniej mam nadzieję, że zgubiłem, a nie zostałem okradziony. W każdym razie zarządziłem poszukiwanie, o którym wszyscy

już wiedzą, i mam nadzieję, że ktokolwiek ten przedmiot ukrywa, będzie zmuszony go oddać, a jeśli nikt go nie ukradł, to prawdopodobnie w niedługim czasie zostanie odnaleziony.

Sara rozejrzała się wokoło i wydawało się, że ma ochotę zaapelować do tak samo jak ona zawiedzionej, niewidzialnej publiczności.

— Doprawdy, kochanie, powinieneś zostać zarządcą. Od obiadu, na który tata zaprosił Henry'ego Barkly, nie słyszałam tak długiej, a przy tym tak mało konkretnej mowy. Po pierwsze, nie powiedziałaś mi, co to za cenny przedmiot, jak go zgubiłeś i czy opłacało się go ukraść.

— No cóż... — zaczął Barney, lecz w tej właśnie chwili w drzwiach pojawił się Joel. Miał na sobie nową śnieżnobiałą koszulę oraz żakiet, lecz widać było, że jest wykończony. Barney poczuł, że serce bije mu teraz wolniej niż zwykle. Joel wpatrywał się w niego, opierając się całym ciałem na swojej lasce. Najwyraźniej czekał, aż Barney skończy przerwane w połowie zdanie.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam — chrapliwym głosem odezwał się Joel. — Podobnie jak Sara, ciekaw jestem, co to za przedmiot. Przecież nie możemy ci pomóc w szukaniu, nie wiedząc, co to jest.

— Tak, to prawda — powiedziała Sara. — Bawisz się z nami w kotka i myszkę, kochanie.

— Napij się — powiedział Barney, kierując te słowa do Joela. — Dobrze ci to zrobi.

Joel z ogromnym trudem podszedł do najbliższej stojącego fotela i usiadł.

— Dziękuję — powiedział, wykrzywając twarz z bólu. — Noga strasznie mi dzisiaj dokucza. To chyba pogoda. Ciśnienie spada, a ja już zdycham.

— Czy to list? — zapytała Sara.

— Jaki list? — zdziwił się Barney.

— Ten zgubiony czy ukradziony przedmiot! Ta cenna rzecz, której wszyscy szukają! Listy są zawsze cenne, prawda? Szczególnie miłosne, można nimi przecież szantażować.

— Nie, to nie jest list. — Uśmiechnął się Barney, wyraźnie rozbawiony. — Nie umiem pisać listów miłosnych, nie mam w tym zbyt wielkiej wprawy.

— A może to coś z biżuterii? — zastanawiała się głośno Sara. — Szpilka do krawata albo spinki do mankietów?

— Albo klips — wtrącił Joel bardzo cichym głosem. Te słowa nie umknęły uwagi Barneya, który nie spuszczał teraz wzroku z brata.

— Prawie zgadłaś, Saro — powiedział, nie podnosząc głosu. — Tak naprawdę to diament. Nie byle jaki diament. Olbrzymi. Z tego, co słyszałem, to prawdziwy gigant.

— To ekscytujące! Czy ktoś go ukradł?

Na twarzy Barneya pojawił się grymas.

— Szczerze mówiąc, to nie wiem. Nie mogę nic powiedzieć, dopóki go nie znajdę. Został prawdopodobnie wykopany na jednej z moich działek, kiedy byłem w Durban. Krąży na ten temat wiele różnych plotek, chociaż wcale nie wiadomo, czy on naprawdę istnieje. Nikt się jeszcze nie przyznał, że go posiada.

— To pewnie jeszcze jedna z tych niestworzonych historii wymyślanych przez czarnych — powiedział Joel z wymuszonym uśmiechem na twarzy. — Zawsze wymyślają takie historie, żeby zdenerwować białych, a oni biegają potem w kółko jak pies za własnym ogonem. Jeden z nich powiedział mi, że wie, gdzie jest schowany skarb króla Salomona. Pięćdziesiąt metrów pod ziemią pod twardym podłożem skalnym. Kazałbym go porządnie wychłostać, gdybym go złapał.

— Ale to jest diament, Joelu — powiedział Barney i nagle spoważniał. — To olbrzymi diament. Ma prawie czterysta karatów i został znaleziony na naszej działce.

Joel pokręcił głową i parsknął śmiechem.

— Kiedy ty byłeś w Durban, braciszku, ja tutaj zarządzałem. A powiem ci coś jeszcze, potrafię dopilnować robót w tej kopalni dziesięć razy lepiej niż ty. Nawet jeśli spluną na ziemię, dostają natychmiast kuksańca, a gdybym złapał któregoś na kradzieży, to jak Bóg mi świadkiem, udusiłbym własnymi rękami.

— Próbujesz mi wmówić, że ten olbrzymi diament nie istnieje, co? Myślisz, że to wymyślona historia, tak?

Joel spojrział uważnie na brata.

— Może istnieje, Barney, ale ja go nie widziałam. Nie mów, że mi nie wierzysz. Jałt myślisz, co bym zrobił, gdybym go znalazł? Pokazałbym tobie, prawda? Od razu po twoim powrocie z Durban. Nie jestem złodziejem diamentów, wszystko tylko nie to. A poza tym jestem twoim bratem.

— Cieszę się, że to powiedziałeś — skonstatował Barney. — Bo kiedy teraz rozmawiamy, twój pokój jest przeszukiwany. Kazałem im nawet przekroić mydło.

Sara była zaszokowana.

— Barney, to po prostu nie do wiary! — zawołała.

— W porządku — powiedział Barney spokojnym tonem. — Po prostu nie do wiary, mówisz? Lecz ja tyle się dzisiaj nasłuchałem o tym mitycznym diamencie, że wiem, co robię. W pierwszej kolejności muszę przeszukać ten dom. Chodzi o diament, który może być wart ponad milion funtów, Saro, a kiedy w grę wchodzi tyle pieniędzy, lojalność schodzi zwykle na drugi plan. Lojalność rodzinna, lojalność służby, obojętnie jaka lojalność. Większość ludzi postępuje według jakichś tam norm, zgoda. Większość ludzi zna swoje powinności i żyje uczciwie, starając się nie zawieść swoich bliskich, lecz dla większości ludzi milion funtów jest więcej wart niż uczciwość. Milion funtów wystarczy, by przekonać większość ludzi, że czas zapomnieć o obowiązkach i przyjacielach, nawet o tych, których się kocha. Milion funtów wystarczy, by większość ludzi zapomniała o Bogu.

Nastąpiła chwila ciszy. Joel spojrział na Sarę i wzruszył ramionami, tak jakby chciał powiedzieć, że być może on mi nie wierzy, ale wiem, że ty tak.

— Może myślisz, że oszalałem — powiedział Barney. — Może myślisz, że podejrzewanie własnej rodziny jest równie naganne jak sama kradzież. Może masz rację. Ale chcę ci powiedzieć tylko jedną rzecz. Kiedy w grę wchodzi milion funtów, jestem tak samo chytry i bezwzględny jak wszyscy inni, szczególnie gdy wiem, że to mój milion funtów, który sprzątnięto sprzed nosa.

— Więc oskarżasz mnie o przywłaszczenie sobie największego kamienia w Kimberley, powiem więcej, jednego z największych kamieni szlachetnych na całym świecie?

— Tego nie powiedziałem — powiedział spokojnie Barney.

— Nie musiałeś — odciął się Joel. — Wystarczy, że kazałeś swoim czarnym małpom przeszukać mój pokój. I prze-kroić moje mydło? Jesteś równie zwariowany jak mama.

— A co ty byś zrobił, będąc na moim miejscu? — chciał wiedzieć Barney.

— Gdybym podejrzewał cię o kradzież jakiegoś fikcyjnego diamentu, na miłość boską, Barney, podkreślam „fikcyjnego”, byłbym na tyle przyzwoity, żeby cię uprzedzić. Na pewno zadbałeś o to, żeby grzebali mi w bieliźnie, co? I we wszystkich moich osobistych pamiątkach? W moich listach, zdjęciach mamy i taty? Na pewno zadbałeś, żeby odarli mnie z tej resztki godności, która mi jeszcze została, prawda?

Barney postawił drinka na małym inkrustowanym stoliku obok.

— Przykro mi, Joelu — powiedział ściszym głosem. — Ale taka jest właśnie różnica między nami.

— Jaka różnica? O co ci chodzi?

— O twoje przechwałki, o to właśnie mi chodzi. O głupie gadanie. Bez przerwy mnie pouczasz,

od kiedy tylko zaczęłaś mówić. A teraz bez przerwy odwołujesz się do sprawiedliwości, Boga i do wszystkiego, co ci przyjdzie do głowy. Ale w gruncie rzeczy niczego specjalnego nie dokonałaś, prawda? Nigdy nie uprawiałaś ziemi na farmie w Derdeheuvel. Straciłaś wszystkie swoje pieniądze w Klipdrift. Zostałaś oskarżony o kradzież diamentów w Kimberley. Na próżno użalas się nad sobą, nie pomogą ci żadne moce niebieskie. I tylko mnie zawdzięczasz, że siedzisz teraz w tym pokoju i czekasz na dobrą kolację.

— Rozumiem, że mam się spakować i wynieść? — zapytał Joel, a jego bladą twarz wykrzywiła nienawiść.

— Nie — powiedział po prostu Barney. — Ale masz mi powiedzieć wszystko, co wiesz o tym diamencie, i przestań udawać głupszego, niż jesteś.

— Dobre sobie! — krzyknął Joel, lecz głos uwiązł mu w gardle, co popsuło zamierzony efekt. — To ty udajesz głupszego, niż jesteś! Zaskoczyłaś mnie tą opowieścią o olbrzymim diamencie. Słyszę ją pierwszy raz w życiu, a ty oskarżasz mnie od razu o kradzież! To idiotyczne! A zaraz potem mówisz mi, że udaję!

Sara zwróciła się do Barneya błagalnym tonem:

— Czy nie możemy zmienić tematu, kochanie? Nie chcę, żebyśmy pokłócili się tuż przed kolacją.

Barney ciągle jeszcze patrzył na Joela, a na jego twarzy malowała się nieufność.

— Proszę tylko o jednoznaczną odpowiedź. Wiem, że ten diament istnieje. Jestem tego pewien. Powiedział mi o tym Harold Feinberg; mówili mi też ludzie, którym ufam. Więc jeśli Joel nic o nim nie wie, mogę tylko powiedzieć, że jego pamięć jest tak samo zawodna jak jego lojalność.

W tej chwili Michael wszedł przez otwarte drzwi do pokoju gościnnego, spojrzał ukradkiem na Barneya i potrząsnął głową.

— Aha — powiedział Joel i usiadł wygodniej w fotelu. — To chyba znaczy, że zostałem oczyszczony z zarzutów.

— To znaczy, że nie znaleźli diamentu w twoim pokoju, to wszystko — powiedział Barney.

— Diamenty — kpił Joel, wybuchając głośnym śmiechem. — Gdybyś mnie pytał o zdanie, to powiedziałbym ci, że za długo już siedzisz w Kimberley. Opanowuje cię gorączka.

— Ten diament istnieje — obstawał przy swoim Barney. — Waży ponad trzysta pięćdziesiąt karatów i założę się, że gdzieś tutaj jest.

— Czy zdradzisz nam tożsamość swojego informatora? — zapytał Joel, unosząc brwi.

Barney spojrzał na Sarę. Narecz i tak już dostatecznie narozrabiała, mówiąc Sarze o jego uczuciach do Mooi Klip. Jeśli Joelowi uda się obudzić podejrzenia Sary, informując ją o tym, że Mooi Klip była tu tego wieczoru, będzie musiał przez dwa dni przekonywać ją, że to już skończone, że Mooi Klip wróciła do Klipdrift, aby poślubić farmera i hodować kurczaki. Nie spuszczać wzroku z Joela, powiedział prawie szeptem:

— W porządku. Zapomnijmy dzisiaj o diamentach. Porozmawiajmy teraz o miłości.

— O miłości! — wykrzyknął Joel.

— Uważam, że to bardzo dobry temat — podchwyciła z entuzjazmem Sara. — Dryden twierdził, że miłość jest najszlachetniejszą słabością umysłu.

— Tak — zgodził się Joel — za to Phineas Fletcher twierdził, że miłość jest jak bielizna. Im częściej się ją zmienia, tym lepiej.

Sara nie wiedziała, jak odpowiedzieć, a Barney był zbyt wściekły na Joela, żeby jakoś zareagować, więc kiedy Horacy stanął uroczyście na środku pokoju i uderzył w mały ręczny gong na kolację, ochoczo skierowali się ku drzwiom.



— Czy mogę ci towarzyszyć? — Joel wstał z trudem i podał Sarze ramię. Sara spojrzała na Barneya, żeby sprawdzić, czy nie ma nic przeciwko temu, lecz na jego twarzy pojawił się tylko dziwny grymas, który oznaczał zgodę.

Ani Barney, ani Sara nie mieli pojęcia o męce, przez którą przechodził Joel, pokonując dystans dzielący ich od jadalni. Ani razu się nie potknął, nie krzyknął, lecz gdy byli już na miejscu, jego twarz zrobiła się ciemnoszara i cała była zroszona potem. Wyglądał, jakby cierpiał na dusznicę i przechodził właśnie kolejny atak. Przy stole zajął miejsce pomiędzy nimi i z początku zupełnie się nie odzywał; od czasu do czasu dygotał tak bardzo, że nóż i widelec wypadały mu z rąk.

— Dobrze się czujesz? — zapytał zaniepokojony Barney.

— Co?

— Pytałem, czy dobrze się czujesz. Wyglądasz jak śmierć.

Joel sztywnymi palcami rozłożył swoją płócienną serwetkę.

— Oczywiście, że tak. To ta pogoda, nic więcej. Od czasu do czasu trochę mi strzyka w kościach.

— No cóż, skoro tak mówisz — powiedział Barney. — Możesz przecież odejść od stołu, jeśli wolisz zjeść na górze.

— Czy to aby nie przeszkodzi w poszukiwaniach? — szydził Joel.

— Joelu — łagodnym tonem odezwała się Sara — naprawdę nie bierz sobie tego tak bardzo do serca.

— Pewnie, że nie — powiedział Joel z fałszywym uśmiechem na twarzy. — Już zapomniałem.

Była to lekka kolacja składająca się z pasztetu, grzanek oraz pieczonego drobiu. Horacy z ważną miną obchodził stół, dolewając im schłodzonego białego wina austriackiego, które Harold Feinberg dostał w prezencie od dealera diamentów w Wiedniu. Sara opowiadała o Fanny Brewbaker, młodej dziewczynie, którą poznała w Durban, a która próbowała uciec ze swoim ukochanym o nazwisku Watkins, lecz zamiast w jego objęciach wylądowała na drzewie.

Joel przesuwiał widelcem jedzenie z jednego końca talerza na drugi, nic przy tym nie mówiąc i prawie nic nie jedząc. Barney spojrzał na niego raz czy dwa, oczekując jakiejś reakcji, lecz Joel nawet nie podniósł głowy. Barney nie wiedział, że spacer z pokoju gościnnego do jadalni spowodował otworzenie się rany. Nie wiedział też, że krew sączyła się teraz powoli, brudząc skarpetkę.

Zanim podano kawę, Joel wstał, upuszczając serwetkę, i rzekł:

— Będziecie mi musieli wybaczyć. Miałem zły dzień.

— Może napijesz się przedtem brandy? — zaproponowała Sara. — Jestem pewna, że pogodzicie się przy kieliszku.

Joel oparł się o stół.

— Dziękuję — powiedział. — Bardzo to miło z twojej strony, ale wiesz, jak to z braćmi bywa. Jednego dnia się kłóca, a drugiego są najlepszymi przyjaciółmi. Jestem pewien, że Barney nie mówił tego wszystkiego poważnie.

— Źle wyglądasz — powiedział Barney. — Lepiej idź się położyć.

— To nic takiego — oświadczył Joel. — Po prostu zmęczenie.

Horacy podał mu laskę. Joel wolnym krokiem szedł ku drzwiom jadalni.

— Przykro mi, że nie znalazłeś swojego wyimaginowanego diamentu — powiedział, nie oglądając się za siebie. — Byłoby wspaniale, gdyby okazał się prawdziwy.

— Tak, rzeczywiście — obojętnie powiedział Barney. Nie dawał nic po sobie poznać.

— W takim razie dobranoc — powiedział Joel, z wysiłkiem wchodząc po schodach.

— Jest chyba bardzo chory — zauważyła Sara, kiedy zniknął im z oczu.

Barney obrał sobie pomarańczę.

— Myślę, że to morfina i whisky. Sam się wpędzi do grobu, jeśli nie będzie uważał.

— Tak naprawdę wcale nie jest złym człowiekiem. — Nigdy tak nie twierdziłem.

— Nie, wiem, że nie — powiedziała Sara — ale czasami go krzywdzisz. On jest bardziej delikatny od ciebie, nie widzisz tego? Myślę, że byłby szczęśliwy jako malarz, a może jako muzyk. Nie ma głowy do interesów, nie zna się na całym tym diamentowym szaleństwie. Myśli, że to jego obowiązek, bo ty w tym siedzisz. Ale to wcale nie sprawia mu przyjemności i myślę, że dlatego jest taki nieszczęśliwy.

Barney przeżuwał pomarańczę, wypluwając pestki na rękę. Nauczył się tego, będąc w Capetown i Durban.

— Joel jest nieszczęśliwy, ponieważ nie umie zaakceptować swoich ograniczeń. Żyje w świecie fantazji, wyobraża sobie, że jest bogaty, majątny i niesłuchanie atrakcyjny w oczach kobiet. A prawda jest taka, że wcale nie jest. Nigdy tak nie było. Po prostu nie potrafi.

— Ale nadal go kochasz, prawda? — pytała Sara. Wyciągnęła rękę nad adamaszkowym obrusem i dotknęła nią dłoni Barneya.

Nie chciałabym, żebyś się z nim poróżnił.

— Nie wiem — powiedział Barney. — Kiedyś myślałem, że zawsze będziemy razem, zawsze będziemy się kochać, bez względu na wszystko. Lecz teraz ta sprawa z diamentem...

— Naprawdę wierzysz w istnienie tego diamentu i w to, że Joel go ma?

Barney kiwnął głową.

— Czy mogę wiedzieć, jak się o tym dowiedziałeś? Barney patrzył przez chwilę na Sarę, po czym sięgnął po kilka winogron.

— Powiedział mi pewien Murzyn. To wszystko.

— I wierzysz Murzynowi bardziej niż swojemu własnemu bratu?

Barney nie odpowiedział. Zrywał tylko winogrona, jedno po drugim. Jadł powoli, tak jakby recytował w myślach wyliczankę: kocha, nie kocha, kocha, nie kocha.

Tej nocy, kiedy się położył, Sara miała na sobie tylko mały koronkowy stanik i natychmiast wyciągnęła do niego ramiona. Gdy ją pocałował, przycisnęła łakomie wargi do jego ust. Tak szeroko otworzyła usta, jakby chciała połknąć grejpfruta. Jej palce z długimi paznokciami głaskały go po plecach i pośladkach. Delikatnie przesunęła dłonią po jego jądrach. Pieściła je i od czasu do czasu mocno ścisnęła, aż zapierało mu dech w piersiach.

Rozsunęła uda i gwałtownie go do siebie przyciągnęła. Tracił głowę, tak jak w jeden z tych wietrznych, upiornych poranków w Drakensberg. Jej nieoczekiwana, agresywna namiętność sprawiła, że dawno nie był tak podniecony. Być zaatakowanym w łóżku przez kobietę lekkich obyczajów, to pestka. To było zupełnie coś innego. Ta dziewczyna nigdy nie mówiła brzydkich wyrazów, a tabliczki z nazwiskami zaproszonych gości przy obiedzie uważała za przeżytek. Szeptala mu teraz do ucha czułe słówka, aż w końcu stracił panowanie nad sobą i osiągnął orgazm, któremu towarzyszyły trzy obfite wytryski. Lecz jej ciągle jeszcze było mało, więc kiedy położył się na plecach, ona położyła się na nim i objęła go lepkimi dłońmi, szepcząc przy tym słowa, które wprawiałyby w zakłopotanie nawet australijskiego poszukiwacza diamentów.

— Barney, jesteście wspaniałymi kochankami, prawda? — szczebiotała.

Barney nie odpowiedział. Był zbyt odurzony jej posłuszną uległością i lubieżnymi szeptami. To było jak sen, w którym urzeczywistniły się wszystkie jego zapomniane już marzenia. Obrócił ją na brzuch, a ona natychmiast wypięła pośladki i rozchyliła uda tak szeroko, jak tylko mogła. Barney

wszedł w jej miękkie ciało, ściskając ją rękami za biodra. Po chwili opadł z sił. Czuł się nadzwyczajnie. Nie był pewien, czy śni, czy się modli. Zastanawiał się, czy nie jest pijany.

Nie słyszał, kiedy otworzyły się drzwi. Nie widział też Sary, jej ciemnych włosów rozrzuconych na poduszce, jej wypieków na twarzy, jej dziwnie spokojnych i zamyślonych oczu, którymi wpatrywała się w swoją indyjską nianię Nareez, stojącą na korytarzu nieruchomo jak myśliwy podchodzący do zwierza.

Sara do samego rana nie zmrużyła oka. Słyszała oddech Barneya, słyszała, jak mruczał przez sen. Z jednej strony wstydziła się swojego lubieżnego zachowania, ale wiedziała, że podjęła właściwą decyzję. Uspokoiła się. Była już pewna, szczególnie teraz, kiedy pozbyła się napięcia seksualnego, że wcale nie kocha Barneya, nie tak jak jej matka kochała ojca. Wiedziała, że nie w taki sposób kobieta powinna kochać i szanować swojego małżonka.

Barney wydawał się Sarze przystojny i pociągał ją od pierwszego dnia, kiedy go zobaczyła. Był niezwykle męski, zresztą nadal tak uważała. Często obserwowała jego profil w świetle wieczornego słońca i nie mogła wtedy oderwać od niego oczu. Lecz on zupełnie jej nie rozumiał, nie miał też pojęcia, co było dla niej ważne w życiu i dlaczego. Widział tylko jej nagłe zmiany nastroju, ale uważał je za zwykłe wybryki oraz przejawy jej kapryśnej natury. A prawda była taka, że wszystko, co Sara robiła i mówiła, układało się w logiczną całość oraz potwierdzało fakt, że była angielską córą z krwi i kości.

To nie jego wina. Nie znał po prostu zwyczajów i rytuałów Anglików przebywających za granicą. Był Amerykaninem i Żydem. To wszystko utrudniało mu zrozumienie Boga, Królowej i Ojczyzny; dworskiej etykiety, która dyktowała modę, sposób zachowania się przy stole, podpowiadała, w jakich miejscach należy być obecnym i kiedy; wszystkich tych zawłości związanych ze składaniem wizyt towarzyskich oraz dlaczego było się w bardzo kłopotliwym położeniu, kiedy stawało się oko w oko z osobą, w której domu zostawiło się kiedyś swoją wizytówkę.

Barney nie miał pojęcia o *hurra mem* (indyjskie wyrażenie, które matka Sary, prawdziwa *hurra mem*, przywiozła z Indii), nie był w stanie przeniknąć umysłu dziewczyny, która wyrastała w świecie klubów, polo, pięknej bielizny i pikników, w świecie służących tubylców i corocznych pokazów gimnastycznych, w świecie, w którym rywalizacja między żoną poborcy podatkowego a żoną pułkownika podniecała przez wiele tygodni całe miasto, w świecie, w którym człowiek, który przez roztargnienie włożył na głowę hełm tropikalny po zachodzie słońca, dopuścił się okropnego przewinienia.

Sara straciła głowę, kiedy Barney tak nieoczekiwanie poprosił ją o rękę. Jego majątek też zrobił na niej wrażenie. Oprócz tego podniecał ją, nadal zresztą tak było, choć już nie tak jak na początku. W końcu angielskie damy zamieszkałe w Koloniach charakteryzowały się nie tylko przestrzeganiem norm towarzyskich oraz wdziękiem. Cechowała je również dzika zmysłowość, typowa dla ludzi żyjących w gorącym klimacie. Pewna osoba opisała kiedyś ich życie jako wspaniałe pasmo wydawanych przyjęć, wieczorków towarzyskich, pikników oraz zdrad małżeńskich. Z drugiej strony tylko te sztywne normy towarzyskie, które sami sobie narzucali, ratowały ten odizolowany, stary świat, nie dając mu utonąć w pijaństwie, rozstrojach nerwowych oraz rozpaczach. Nie było mile widziane chodzenie z kieliszkiem w ręku przed zachodem słońca lub po obiedzie. Nie należało też puszczać się na prawo i lewo, żeby wszyscy (szczególnie mąż) o tym wiedzieli. Ścisłe stosowanie się do reguł gry uchroniło już wiele wspaniałych kobiet przed katastrofą.

Lecz tu, w Kimberley, nie było w ogóle żadnych obyczajów towarzyskich, ani dobrych, ani złych. Sara, która wychowała się wśród ludzi stosujących się do pewnych norm, myślała na początku,

że jakoś się bez tego wszystkiego obejdną. Teraz jednak doszła do wniosku, że to niemożliwe. Barney nie byłby nawet w stanie wyobrazić sobie tego wszystkiego, czego jej brakowało. Była to bardzo poważna przeszkoda, która zagrażała im drogę do szczęścia.

Sara zdecydowała, że nie będzie pograżać się w czarnych myślach. Największą zaletą *burra mem*, oprócz jej doskonałego obycia towarzyskiego i niezawodnego kobiecego instynktu, była umiejętność radzenia sobie w trudnych sytuacjach. Zrobi wszystko, by być dla Barneya dobrą żoną, będzie go kochać tak długo, jak to będzie możliwe, będzie z nim sypiać, kiedy tego zapragnie. Lecz ambicja nie pozwoli jej na wycofanie się z życia towarzyskiego, zrobi wszystko by uważano ją za ozdobę Afryki Południowej. Wykorzysta każdą okazję, aby to osiągnąć.

Poczuła, że będzie w stanie uparcie dążyć do obranego celu. Gdyby Barney wiedział, jak bardzo potrafi być bezwzględna, spędzałoby mu to sen z powiek. To jedyne dziecko, które mu podaruje.

Joel nie wychodził z pokoju przez cały szabat i przez prawie całą niedzielę. Drzwi od jego sypialni były przez cały ten czas zamknięte, raz tylko poprosił o przyniesienie na górę rosołu z kury. Barney wchodził na górę dwa czy trzy razy, lecz Joel nie chciał z nim rozmawiać i wpuścił go dopiero w niedzielę wieczorem.

Kiedy w końcu otworzył drzwi, Barney zobaczył, że w pokoju panował półmrok, zasłony były zaciągnięte, a w po-! wietrzu unosił się nieprzyjemny zapach. Miał wrażenie, że Joel w ogóle się ostatnio nie mył. Miał na sobie ciemnonie-!bieski szlafrok. Siedział w swoim fotelu i czytał książkę: o wiejskich domach w stanie Nowy Jork i na Long Isla.

— Dobrze się czujesz? — zapytał go Barney. — *V. &* otworzę okno?

Joel wzruszył ramionami, nie miał najwyraźniej nic; przeciwko temu. Barney odsunął jedną zasłonę i otworzył okno, które wychodziło na tył domu. Chłodny podmuch wiatru wpadł do pokoju i zwiął z biurka Joela kartkę papieru. Barney podniósł ją, spojrzał i zobaczył rysunek dużego imponującego domu z portykiem, kolumnami oraz ogrodami.

— Masz jakiś pomysł na rozbudowanie Vogel Vlei? — zapytał. — Cieszę się, że to cię interesuje.

Joel nic nie odpowiedział. Pochylił się tylko do przodu, wyrwał Barneyowi kartkę z rąk i schował ją za sobą. Ba; patrzył na niego przez minutę czy dwie, po czym usiadł brzegu łóżka, splótł dłonie, przypominając ojca rozmawiającej go z uczniem, który został właśnie przyłapany za oranżerią.

— Joelu — zaczął — wiem, że znalazłeś diament. Wiem też, że gdzieś go ukrywasz.

— Ach tak — powiedział Joel, przewracając kartkę książki.

— Joelu, posłuchaj, jesteśmy równoprawnymi współnikami w tym diamentowym interesie, prawda? Jeżeli znalazłeś diament, który jest naprawdę wart milion funtów, to dostaniesz przecież swoje pięćset tysięcy. Gardzisz taką forszą?

Joel zamknął książkę i odważnie spojrzał Barneyowi w oczy.

— Jaki diament? — udawał zdziwienie Joel.

— Diament, o którym powiedział mi Harold, o którym mówiła mi Mooi Klip i o którym Dzentelmen Jack tak bardzo boi mi się powiedzieć. Wiesz doskonale, o jaki diament chodzi!

— Czy znalazłeś ten diament, kiedy przeszukiwałeś dom? Może pod podłogą? W mydle? Dlaczego nie zajrzesz mi do dupy, może tam go schowałem?

— Jeśli nie znajdę go do czasu twojego wyjazdu do Capetown, to zajrzę i tam. I wcale nie żartuję.

— Niech Bóg mnie broni, jeśli myślę, że ty żartujesz, Barney. Niech Bóg mnie broni! Ty przecież nigdy nie żartujesz. Prędzej byś trupem padł, niż zażartował.

Barney wstał.

— Chcę ten diament, Joelu. To wszystko, co mam do powiedzenia.

— Diament, diament, diament! Zwariuję, jeśli nie przestaniesz marudzić o tym diamencie!

Zrezygnowany Barney opuścił pokój Joela i zamknął za sobą drzwi, lekko je zatrzasnął. Stuk. Więc dobrze. Sam tego chciałeś. Potem zszedł szybko na dół i zawołał Michae-la, kazać mu przygotować konie. Jechał do Kimberley porozmawiać z Haroldem.

Harold siedział na werandzie przed domem, kołysząc się rytmicznie w swoim wiklinowym fotelu na biegunach. Drzemał. Jego francuska asystentka, szczupła, ładna Paryżanka, wyszywała chusteczkę. Miała gęste brwi i włosy zaplecione w warkocz. Gdy wyszedł z powozu, zawołała: *Bonjour, Monsieur Bleatsl*

— Co za niespodzianka — przywitał go Harold i ruchem ręki wskazał na mały wiklinowy fotel.

— Co cię sprowadza w taki dzień? Napijesz się czegoś? Może herbaty? Może trochę pejsachówki?

— Przyjechałem cię trochę powypytywać — powiedział Barney, zakładając nogę na nogę i eksponując swoje krzykliwe żółto-czerwone skarpetki z wełny szetlandzkiej. — Chodzi o ten ogromny diament, o którym rozmawialiśmy kilka dni temu.

— Tak? — zapytał podejrzliwie Harold.

— Założmy, że on istnieje naprawdę. Założmy też, że facet, który go znalazł, chce go wywieźć z Kimberley na wybrzeże, a nie może go, ot, tak sobie, włożyć do kieszeni czy do walizki, ponieważ wie, że jest pod obserwacją. Jak myślisz, co by zrobił w takiej sytuacji?

Harold bujał się w fotelu w przód i w tył, rozmyślając o tym, co przed chwilą usłyszał. Po chwili powiedział:

— Przede wszystkim trzeba wykluczyć wszystkie tradycyjne kryjówki, gdyż to wielki kamień. Jest gdzieś taki duży, prawda? (Dotknął kciukiem koniuszka wskazującego palca.) Jest więc duży. Nie można go połknąć, nie można też ukryć go we włosach. Można go przykleić pod pachą, choć podczas rewizji osobistej od razu zostanie odkryty. W 1739 roku monarcha mongolski, Mohammed Shah, ukrywał Koh-i-Noora przez pięćdziesiąt osiem dni w swoim turbanie. Lecz pewna dziewczyna z jego haremu wydała jego sekret, opowiadając o wszystkim szachowi perskiemu, Na-dirowi. Następnym razem, kiedy Nadir zaprosił go na ucztę, uparł się, że tradycyjnym zwyczajem powinni wymienić się turbanami. Mohammed nie mógł odmówić, prawda? Nadir pospieszył więc do swego namiotu, rozwinął turban i jego oczom ukazał się niezwykle widok. „To góra światła” — powiedział i tak już zostało. Koh-i-Noor.

— To bardzo interesujące — powiedział Barney — ale nikt w Kimberley nie nosi turbanu na głowie. Nikt z tych, których znam.

— Opowiadam ci o wszystkich kryjówkach, które mi przychodzą do głowy — bronił się Harold. — Chcesz je wszystkie poznać czy nie?

— No dobrze już, mów dalej. Gdzie jeszcze można ukryć diament?

— Kiedy Koh-i-Noor dostał się w posiadanie afgańskich książąt, przez wiele lat ukrywano go w ścianie celi szacha Zamana, który został uwięziony i oślepiony przez swojego brata Shuję.

— To świetny pomysł zamurować go w ścianie.

— Tak — zgodził się Harold — tylko że facet, o którym mówisz, chce go wywieźć z Kimberley, prawda? Żeby potem sprzedać? Nie ma wcale zamiaru ukrywać go przez rok czy dwa?

— To prawda — powiedział Barney.

— Diament Regent, który Maria Antonina nosiła w czarnym aksamitnym kapeluszu, został ukryty w belce na jakimś poddaszu, gdy wyjęto go ze skarbcza podczas Rewolucji Francuskiej. Sprawdziłeś już belki?

— Odrywałem podłogę.

— Sprawdź też belki. Sprawdź wszystko, w czym można zrobić dziurę. Materace, poduszki.

Francuzka podeszła do niego i zapytała:

— Może napiłby się pan herbaty, Monsieur Bleats? Chętnie sparzę, jeśli ma pan ochotę.

— Poproszę — odparł Barney.

Harold kontynuował.

— Pamiętasz tę historię z Regentem, o której ci opowiadałem? O tym, jak został znaleziony i wyniesiony z kopalni Pardeal?

Barney wyłączył się na chwilę, skupiając całą swoją uwagę na wysokiej Hotentotce, która przechodziła właśnie obok z glinianym dzbankiem na głowie i zawiniętym w chustkę małym dzieckiem na brzuchu.

— Co mówiłeś? — zapytał Harolda. — Z kopalni Pardeal?

— Tak. Niewolnik znalazł diament Regent w kopalni na rzece Kistna i zrobił sobie dziurę w nodze, żeby go tam ukryć. Trochę przesadził, prawda? Lecz ten niewolnik mógł przecież wiele zyskać, nie mając przy tym nic do stracenia.

— Pamiętam, kiedy nam o tym opowiadałeś — skinął głową Barney. — Joel powiedział wtedy, że ten facet musiał być szalony, posuwając się tak daleko.

Barney chciał powiedzieć coś jeszcze, lecz urwał i popadł w zadumę. Joel też słyszał tę historię, więc kiedy myślał o sposobach wywiezienia diamentu z Kimberley, musiał sobie przypomnieć i o tym. Joel i tak już przecież kuśtykał. Jeśli założymy, że pragnął tego diamentu tak bardzo, że gotowy był nawet...

To tłumaczyłoby nagłe pogorszenie się stanu jego zdrowia w piątek wieczorem, a również i to, że przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny nie wychodził ze swojego pokoju i nikogo do siebie nie wpuszczał. A jeśli naprawdę zrobił to samo, co ten biedny, zdesperowany niewolnik, jeśli zrobił sobie w nodze dziurę, w której schował trzystapięćdziesięciokaratowy diament? Przecież to tłumaczyłoby także dziwny smród w jego pokoju: nieprzyjemny zapach zasuszonej krwi i brudnych bandaży.

— *Riboyne Shel O'lem* — szepnął.

— Co mówiłeś? — zapytał Harold.

— Nic. Ale mam dziwne przeczucie, że wiem, gdzie mogę znaleźć ten diament.

Gdy pojawiła się Francuzka z herbatą, Barney wpatrywał się w pustą przestrzeń. Oryginalną herbatę Darjeeling podano w złoto-zielonych filiżankach Minton. Haroldowi dobrze się teraz powodziło, zamierzał nawet otworzyć kolejne biuro w Bultfontein. Na gwałt potrzebował potomka, więc być może dlatego tak zabiegał o względy tej dziewczyny, którą Edward Nork nazwał „małą żabką Harry'ego”.

— Jeśli znajdziesz diament — powiedział Harold, ważąc każde słowo — daj mi znać pierwszemu. Nie chcemy przecież spowodować niepokoju na rynku, prawda? Zaszkoziłoby to wszystkim, a już najbardziej tobie. Jestem zbyt stary i chory, żeby utrzymać się przy kolejnym spadku cen. Chcę coś po sobie zostawić, dobrze prosperującą firmę. Feinberg i Syn.

— Albo córka — wtrącił Barney.

— Jeśli taka wola Boża? Przepraszam na chwilę. Kiedy Harold udał się do łazienki, Barney rozmawiał przez chwilę z jego „żabką”. Dowiedział się, że ma na imię Annette i pobierała lekcje muzyki w Paryżu, lecz kiedy skończyła szesnaście lat, zmuszona była uciec i zamieszkać w Navarre z pewnym osobliwym ekscentrykiem. Człowiek ten obudził w niej pasję do kamieni szlachetnych. Zabrał ją w podróż morską do Capetown, lecz w połowie drogi, zupełnie nieoczekiwanie i bez

żadnego widocznego powodu, rzucił się do morza. Została więc w Capetown, nie mając żadnych pieniędzy, choć potrafiła jako tako zagrać na pikolo.

Nie wiedząc, co robić, została gosposią, lecz później znalazła pracę u poważnego dealera diamentów w Capetown i została jego asystentką. Od tego czasu bardzo dużo dowiedziała się o diamentach.

— Jak myślisz, czy będziecie kiedyś z Haroldem mieli dzieci? — zapytał Barney. — Wiesz, to dla niego bardzo ważne, miałby wtedy komu przekazać firmę.

Dziewczyna wolno pokręciła głową.

— Wiem, że Harold chce mieć dzieci, ale dziecko by mnie zabiło. Może nie zabiło, ale zniszczyło moją wolność. Nie będę nigdy miała żadnych dzieci, możesz mi wierzyć.

Barney był zaskoczony. Żadna dziewczyna, którą spotkał, nie była tak pewna jak ona, że nie urodzi dziecka. Wiedział oczywiście, że doktor Tuter słynie z tanich i nie do końca bezpiecznych zabiegów usuwania ciąży.

— Co miesiąc wkładam sobie diamenty do macicy — szepnęła dziewczyna. — Pięć jednokaratowych kamieni. To wystarczy, żebym nie zaszła w ciążę.

Barney otworzył usta ze zdumienia, lecz w tej chwili pojawił się właśnie Harold z koszulą wystającą z nie zapiętych spodni. Usiadł z uśmiechem na twarzy i wziął do ręki swoją filiżankę herbaty.

— Wnieśmy toast przy filiżance dobrej indyjskiej herbaty — powiedział. — Życzę ci pomyślności w interesach i dużo szczęścia. I obym jak najszybciej mógł cię zaprosić na obrzezanie mojego syna.

Francuzka spojrzała na Barneya i uśmiechnęła się. Barney wiedział, że przez wzgląd na Harolda nigdy nie zdradzi jej tajemnicy. Szczerze mówiąc wątpił, czy wkładanie sobie diamentów do macicy może zapobiec zajściu w ciążę. Zawsze uważano, że diamenty mają wiele leczniczych właściwości. Hindusi kruszyli je i pili wierząc, że dadzą im siłę, a car Iwan Groźny był przekonany, że zawierały śmiertelną truciznę. Barney wiedział, że Harold ma słabe serce i gdyby dowiedział się, że został oszukany, mógłby tego nie wytrzymać.

— Co masz zamiar teraz zrobić? — zapytał Harold, gdy skończyli pić herbatę.

— Teraz jeszcze nic — powiedział Barney. — Jeżeli mam rację, jeżeli rzeczywiście jest tam, gdzie myślę, to wkrótce wszystko się wyjaśni.

— Czuję, że chcesz się na kimś zemścić — powiedział Harold, kładąc jakby od niechcienia rękę na ramieniu dziewczyny i podkreślając tym gestem, że do niego należy.

Barney lekko się do niego uśmiechnął.

— Powiedz mi coś o tych szlifierzach diamentów w Antwerpii. Myślisz, że oszlifują trzystupięćdziesięciokaratowy diament? — zapytał.

O szóstej wieczorem w środę Vogel Vlei, wspaniale przystrojony i oświetlony, gotów był na przyjęcie pierwszych gości. Dwudziestu Murzynów stało wzdłuż drogi dojazdowej z pochodniami w rękach, wskazując główne wejście. Przy drzwiach stał Michael w stroju lokaja, który Barney wypożyczył z kółka teatralnego w Kimberley. W holu wszystkie lampy były zapalone, a podłoga tak błyszczała, że gościom wchodzącym do domu wydawało się, że stąpają po gładkiej tafli jeziora. Byli czarni kelnerzy szczerzący białe zęby oraz kwintet smyczkowy składający się z pięciu smutnych Burów, których Barney zobaczył po raz pierwszy w Dutoitspan, kiedy jeszcze jeździł na Alsjebliefcie. Był szampan, wino południowoafrykańskie i wiele przystojnych kobiet, które po raz pierwszy w Kimberley można było oglądać wszystkie razem. Nawet w burdelu francuskim na Kopje Street nie

było tylu uroczych dam. Rozmawiano o diamentach, o brytyjskiej aneksji zbankrutowanego stanu Transvaal, o Cetewayo i królu Zulu. Mówiono z akcentami: angielskim, holenderskim, afrykańskim oraz australijskim. Śmiano się bardzo głośno. Niecodziennie w Kimberley wyprawiano takie wspaniałe przyjęcia, więc mniej znakomici goście byli zachwyceni, że w ogóle zostali zaproszeni.

Niektórzy z zaproszonych gości nie pojawili się wcale; panowie i panie, do których Sara wysłała specjalne zaproszenia, grzecznie lecz zdecydowanie odmówili. Sara była tu dopiero od tygodnia i nie wiedziała, że „bywalcy sal bilardowych” klubu Kimberley nie przyjmowali zaproszeń od Żydów, Murzynów i wszystkich tych, których dyskwalifikował akcent i pochodzenie społeczne. Nie wiedziała jeszcze, że Barney nie był wcale członkiem klubu. Nie wiedziała też tego, że tylko i wyłącznie jej nieskazitelna reputacja oraz urok osobisty skłoniły niektórych spośród angielskich gości wywodzących się z klasy średniej do przyjęcia zaproszenia i włożenia swoich starych fraków przez wzgląd na panią domu.

Przybyło jednak kilku szacownych gości, w większości dealerów diamentów. Pojawił się też Cecil Rhodes, który głaszcząc się po swojej kędzierzawej czuprynie, stał wyprostowany przy kominku i od czasu do czasu obciążał nakrochmalone rękawy białej koszuli. Próbował zabawiać rozmową drobną damę ubraną w suknię z frędzelkami, której perlisty śmiech zerwałby umarłego na równe nogi. Barney wiedział, że Rhodes nie czuje się dobrze w towarzystwie kobiet. Wiele razy obserwował go, kiedy towarzyszył damom, prowadząc je do tańca po lśniącej, drewnianej podłodze w Pałacu Tańców w Kimberley. Podczas tańca plecy miał wyprostowane, a brodę uniesioną tak, iż miało się wrażenie, że komponuje właśnie jakiś patriotyczny sonet lub szykuje się do skoku do wody. Rhodes tańczył zawsze z najmniej rzucającymi się w oczy kobietami i po wszystkich obowiązkowych tańcach natychmiast wychodził do domu.

Był też ciemnowłosy, nieśmiały Alfred Beit, który okiem eksperta finansisty spoglądał na dom i dobytek Barneya. Sir Joseph Robinson, obecnie burmistrz Kimberley, złożył krótką i niezbyt miłą wizytę tuż po ósmej, ponieważ uważał najwidoczniej za swój obowiązek wypicie trzech kieliszków szampana z piwnicy pana domu, zjedzenie pięciu kanapek z wędzoną antylopą i nieodzywanie się do nikogo. Mruczał tylko bez przerwy pod nosem i zbierał okruchy jedzenia ze swoich rzadkich wąsów. Francis Baring Gould nie przyjął z początku zaproszenia, lecz w ostatniej chwili zmienił zdanie i pojawił się w towarzystwie młodej Holenderki, która nie była jego żoną. Był też Edward Nork, który starał się nie wypić zbyt dużo szampana zbyt wcześnie, a towarzyszyła mu nowa i zarazem największa gwiazda kółka teatralnego, sympatyczna młoda dziewczyna o nazwisku Fanny Bees. Przybył też Harold Feiberg ze swoją Francuzką, którą wszystkim dumnie przedstawiał.

Sara była zachwycona. Nie można było porównywać tego przyjęcia z przyjęciami wydawanymi w Durban, lecz z drugiej strony przyjęcia w Durban różniły się przecież od przyjęć w Capetown, a te ustępowały bez wątpienia przyjęciom w Londynie. I tak było bardziej huczne i kolorowe, niż myślała, a jej błyszczące oczy wędrowały od jednego gościa do drugiego. W białej atlasowej sukni, ozdobionej białymi piórami, wydawała się wyższa niż zwykle. Poruszała się z gracją jak łabędź. Z radością dziękowała za komplementy i przyjmowała powinszowania. Barney obserwował ją z uśmiechem na ustach. Raz nawet nachyliła się do Edwarda Norka, szepcząc mu do ucha, jak bardzo była teraz szczęśliwa.

O ósmej trzydzieści Joela jeszcze nie było, nie zszedł nawet, gdy goście podeszli do bufetu. Przez ostatnie dwa dni Joel wychodził czasami ze swojego pokoju, lecz robił się coraz chudszy i coraz bardziej chwiał się na nogach. Barney nie pamiętał, czy był on kiedykolwiek równie chory jak teraz. Tak źle nie było nawet po zabiegu Thomasa Suttera w Durban. Gdy coś mówił, zasychało mu ciągle w ustach, a jego oczy błędziły po pokoju, jakby szukały czegoś, czego zapomniał. W ciągu



trzech dni ogolił się tylko jeden raz, a gdy przechodził obok, w powietrzu unosił się okropny zapach, który nawet Nareez przyprawiał o mdłości.

Barney wiedział, co się dzieje, a przynajmniej się domyślał. Poważnie zastanawiał się, czy nie powinien powiedzieć Joelowi, o co go podejrzewa, by w ten sposób ukrócić jego cierpienia. Lecz Joel wybrał sam — postanowił żyć w taki, a nie inny sposób, i ze swojej własnej woli przechodził teraz przez to piekło. Zbyt często i zbyt okrutnie krzywdził Barneya przez te wszystkie lata, by miał teraz ochotę mu ulżyć, Barney nie miał zamiaru mu pomóc.

Dżentelmen Jack widział, że Barney stał się nagle spokojniejszy, przestał szukać diamentu i ten jego spokój tak bardzo go przeraził, że od niedzieli wszystkimi sposobami starał się go unikać, a szczególnie rano, gdy Barney jak zwykle obchodził kopalnię. Barney nic nie mówił. Postanowił, jak ukarać Dżentelmena Jacka, kiedy diament zostanie już znaleziony.

Przy bufecie Harold Feinberg podszedł do niego i powiedział:

— Uważam, że to najlepsze przyjęcie, na jakim byłem. Sara jest czarującą panią domu.

— Dziękuję, Haroldzie — powiedział Barney. Poczęstował się bułeczką z kurczakiem i włożył ją sobie do ust. — Cieszę się, że przyszło tyle osób. Nawet jeśli przyszli z czystej ciekawości.

— Czy znalazłeś już diament? — zapytał Harold, rozglądając się na wszystkie strony, czy nikt nie podsłuchuje.

— Mam kilka pomysłów — powiedział Barney jak gdyby nigdy nic, z ledwo widocznym uśmiechem na twarzy.

— Jakich pomysłów? To znaczy, że wiesz, gdzie jest?

— Myślę, że tak.

— Więc co zamierzasz zrobić? — zapytał Harold. — Barney, posłuchaj, to jest ważne.

— Oczywiście, że jest ważne — odparł Barney.

Ważnie wtedy w otwartych szerokich drzwiach jadalni, tuż przy schodach, Barney zobaczył koniec laski Joela, a następnie jego stopy w błyszczących czarnych butach wieczorowych z kożłęcej skóry. Krok po kroku Joel zmierzał w kierunku jadalni. Barney śledził jego ruchy z pewną litością i żalem, lecz nie ze smutkiem. Jeśli Joel teraz cierpiał, była to tylko i wyłącznie jego wina.

— To mogłoby rozłożyć cały przemysł — kontynuował Harold. — Wiesz o tym, prawda? A ty sam też nie będziesz miał z tego żadnego pożytku, kiedy zechcesz kupić wszystkie działki dookoła. Ceny skoczą natychmiast w górę.

Barney nie spuszczał z oczu Joela, który z ogromnym wysiłkiem i cierpieniem wymalowanym na twarzy szedł przez hol. Harold odwracał się kilka razy, chcąc zobaczyć, co tak intryguje Barneya, lecz nie przyszło mu do głowy, że Barney skupia w tej chwili całą swoją uwagę na własnym bracie.

Joel wyglądał jak trup, który w ostatniej chwili zaprotestował, wylazł z trumny i przyszedł na bankiet. Całe jego ciało wyginało się na wszystkie strony, posuwał się do przodu dzięki lasce, którą chwycił na wiele różnych sposobów, próbując utrzymać równowagę. Wszystko to wyglądało karkołomnie. Miał zaledwie trzydzieści cztery lata, a wyglądał tak, jakby miał siedemdziesiąt.

— Obiecujesz, że mi powiesz, prawda? — domagał się Harold. — Nie pośpieszysz się i nie zawiesz diamentu do Capetown bez mojej wiedzy?

— Haroldzie, powiem ci — uspokoił go Barney. — A teraz dołącz do innych i baw się dobrze. Za bardzo się przejmujesz, przecież nic się jeszcze nie stało.

Kiedy Harold odszedł do innych, pojawiła się Sara, wzięła Barneya pod ramię i pocałowała w policzek.

— To wspaniałe — powiedziała. — Wszyscy są tacy mili. Nie wiem, dlaczego Kimberley tak mnie przeraziło, gdy tu przyjechałam.

— Ciężko tu żyć — odparł Barney — ale ludzie są tacy sami jak wszędzie. To wszystko.

— Poznałam tę miłą panią Forsyth — entuzjazmowała się Sara. — Opowiadała mi o comiesięcznych spotkaniach dla pań w klubie Kimberley. Bardzo bym chciała, żebyś mnie zabrał na takie spotkanie! Jestem pewna, że przyćmiłabym je wszystkie.

— Może w przyszłym miesiącu? — zaproponował Barney.

— Koniecznie! Jeżeli mamy tu mieszkać, to musimy udzielać się towarzysko. Szczególnie teraz, kiedy będziesz milionerem!

Barney oderwał na chwilę wzrok od Joela i spojrzał na Sarę, kompletnie oniemiały.

— Kto powiedział, że zostanę milionerem? Nie jestem żadnym milionerem! Chciałbym nim być.

Sara była teraz zdezorientowana jak ktoś, kto zrobił awanturę jakiemuś nieznanemu w restauracji myśląc, że ten założył jego płaszcz, a później zorientował się, że się mylił, gdyż płaszcz miał inną metkę, inne rękawiczki w kieszeni, pachniał nawet kimś innym.

— Diament sprawi, że zostaniesz milionerem, prawda? Przecież sam mówiłeś, że jest tyle wart.

— Saro, nie mam żadnego diamentu. Jeśli istnieje, nadal jest gdzieś schowany. Wiesz o tym tak samo dobrze jak ja.

— Ale wiesz, gdzie jest. A może nie wiesz?

— Kto ci powiedział, że wiem, gdzie jest?

— Nareez. Rozmawiała z tym Murzynem, Dżentelmenem Jackiem.

Barney powoli skierował wzrok na Joela. Joel opierał się teraz o jeden z bufetowych stołów, na którym stała mała tacka z kieliszkami szampana, i wychylał jeden za drugim w równych odstępach czasu, mruczając przy tym sam do siebie.

— Co jeszcze powiedziała ci Nareez? — zapytał Barney.

— Nic więcej. Powiedziała tylko, że Dżentelmen Jack martwi się, ponieważ przestałeś szukać diamentu, a jeśli przestałeś go szukać, to na pewno wiesz, gdzie jest.

— Masz dobrego szpiega w osobie Nareez.

— To nie szpiegowanie, przecież to mój własny dom! Jakby to było? Sam powinieneś mi o tym powiedzieć!

— Tak — powiedział Barney — może powinienem.

— Oczywiście, że powinieneś! Jesteś taki tajemniczy, a potem dziwisz się, dlaczego tak się bronisz. To wspaniale, że będziesz milionerem! Pomyśl, ile koni będziemy mogli kupić! Będziemy mogli pojechać do Capetown i do Londynu! Będziemy mogli stosować się do najnowszej mody!

— Saro — tłumaczył cierpliwie Barney — nawet jeżeli znajdziemy ten diament i sprzedamy go za milion funtów, będziemy musieli przez kilka miesięcy czekać na te pieniądze, a potem pewnie zainwestuję większość z nich w kupno działek.

— Nie możesz tego zrobić — zaprotestowała Sara. — Masz już przecież i tak wystarczająco dużo działek.

— Chcę zostać wyłącznym właścicielem całej kopalni w Kimberley — odparł Barney zdecydowanym tonem. — Tylko to mnie interesuje.

— Nie to chciałyby usłyszeć żona od męża na swoim przyjęciu weselnym.

Barney chwycił jej dłoń i ścisnął.

— Przecież wiesz, że nie to miałem na myśli. Jestem tylko trochę zaabsorbowany innymi sprawami, to wszystko.

— Słodkimi wspomnieniami o Natalii Marneweck, prawda?

— Oczywiście, że nie! Co to ma, do diabła, znaczyć? Wyraz twarzy Sary zmieniał się teraz tak szybko jak w kalejdoskopie.

— Masz przecież słodkie wspomnienia związane z jej osobą, prawda?

— Dlaczego miałbym je mieć? Takie same jak twoje wspomnienia związane z osobą Trevora czy z innymi mężczyznami, których kiedyś znałaś.

— Ja przynajmniej nie spotykam się z nimi po kryjomu w pomieszczeniach dla służby w domu własnego męża.

— O czym ty mówisz? — zapytał Barney, starając się nie podnosić głosu. Nadal trzymał Sarę za rękę, lecz teraz ścisnął tak mocno, że próbowała ją wyrwać.

— Nie mówię niczego, co nie byłoby prawdą. Nareez weszła akurat do kuchni, żeby mi przynieść ciepłego mleka i zobaczyła, jak rozmawiałeś z Natalią Marneweck. Słyszała wszystko, co mówiłeś, i powiedziała, że byłeś niezwykle czuły.

Bamey patrzył na Sarę przez długą chwilę. Mięśnie wokół jego ust napięły się tak, jakby rozważał, czy ma ją uderzyć, czy wyjść z pokoju. Po chwili milczenia szepnął tylko:

— Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej, że o tym wiesz?

— Chyba się bałam. Poza tym Nareez powiedziała, że będziesz milionerem, więc powinnam być ostrożna. Powinnam być dla ciebie miła oraz starać się, żebyś zapomniał o Natalii.

— Naprawdę jesteś taka naiwna? A może to jakiś głupi żart? Obojętnie, co czułem do Natalii, jestem teraz twoim mężem i możesz sobie wierzyć albo nie, ale chcę, żeby nasze małżeństwo było udane. To wszystko, co mam do powiedzenia na ten temat. Nie chciałem ci mówić, że Natalia tu była, bo pomyślałem sobie, że na pewno się zdenerwujesz. Nic się nie zdarzyło prócz tego, że wróciła z powrotem do Klipdrift, by wyjść za mąż za jakiegoś farmera. *Adonai El Rachum Ve-Chanum*, czy Nareez naprawdę wszystko słyszała? Więc wiedziałaś o diamencie od samego początku? I myślałaś, że zostanę milionerem? Więc dlatego...

Nagle Sara zarumieniła się i w końcu udało jej się wyrwać dłoń.

— Saro? — gorączkowo dopytywał się Barney. — Czy dlatego stałaś się raptem taka namiętna? Dlatego? Ponieważ Nareez powiedziała, że masz zrobić wszystko, żebyś zapomniał o Natalii? Bałaś się, że mój milion funtów przejdzie ci koło nosa?

— Przestań — błagała Sara, najwyraźniej urażona.

— Co mam przestać? Próbuję się tylko dowiedzieć prawdy. Czy mam przez to rozumieć, że cała ta twoja namiętność jest tylko udawana? Że prostytutujesz się przez ten diament?

— Jestem twoją żoną — syknęła Sara. — Jak śmiesz tak do mnie mówić?

Barney stał z opuszczonymi ramionami i patrzył na Sarę tak, jakby chciał porazić ją własnym spojrzeniem.

— Mogę tak do ciebie mówić, bo wydaje mi się, że to wszystko prawda.

— Tak ci chodzi o prawdę, co? Jesteś taki szlachetny, uczciwy i litościwy. Problem w tym, mój kochany, że twoja litość jest jak przekleństwo. Jesteś tak bardzo nieugięty, że miażdżysz wszystkich wokół siebie, nie rozumiejąc przy tym własnej siły. Czy zastanowiłeś się przez chwilę, mój drogi, jaki twoja ambicja ma wpływ na innych ludzi? Chcesz posiadać całą kopalnię w Kimberley i najgorsze jest to, że tak właśnie się stanie. Nareez zrozumiała, do czego dążysz, i robiła, co mogła, żeby uchronić mnie przed upadkiem pod ciężarem twojego miłosierdzia, twojego poczucia obowiązku i winy, którą czujesz, ponieważ ożeniłeś się ze mną. Ale dlaczego masz się czuć winny? Prawdopodobnie się nie kochamy, lecz nie jesteśmy jakimś wyjątkiem, tysiące par ma takie same problemy. Jestem tak samo odpowiedzialna za to, co się stało, jak ty. Oczarowałeś mnie, kiedy w tak niekonwencjonalny sposób poprosiłeś mnie o rękę. Dopiero co straciłam narzeczonego i śmiertelnie nudziłam się w domu. Spieszyłam się do tego małżeństwa tak samo jak ty. Być może byłam niekiedy chłodna i nieprzyjemna. Może byłam sztywna. No cóż, taka już jestem, choć nie zawsze. Kłopot w

tym, że mam popękaną linię życia. Jednego dnia jesteś mi bardzo bliski, a następnego tak mi działasz na nerwy, że najchętniej w ogóle bym z tobą nie rozmawiała. Ale na miłość boską, Barney, nie lituj się nade mną, nie obwiniaj się i nie udawaj, że wszystko jest w porządku. W przeciwnym razie wpędzisz mnie do grobu, tak jak wpędzasz do grobu swojego brata oraz Natalię Marneweck. Nie zdajesz sobie sprawy, jak wielką masz władzę nad ludźmi, Barney. Jesteś jak spadająca lawina — lawina z zasadami, która nie zmienia kierunku, ponieważ nie pozwala jej na to sumienie, poczucie obowiązku oraz niepohamowana, wygórowana ambicja.

Barney otworzył usta i zaraz je zamknął, nic nie mówiąc. Kumulowała się w nim jakaś straszna energia, czuł się jak ciężarowiec, który nie może utrzymać sztangi nad głową, dostaje zawrotów głowy i wreszcie puszcza ją na ziemię.

— To nie jest odpowiednie miejsce na takie rozmowy — powiedział wreszcie.

— Wiem — zgodziła się Sara. — Ale to musiało zostać powiedziane.

Skinął głową, dezorientowany, wyprowadzony z równowagi.

— Czy myślisz, że możemy...? — Nie mógł znaleźć odpowiednich słów. W końcu powiedział tylko: — Przepraszam.

— Nie przepraszaj — powiedziała szybko Sara. — Teraz idę się trochę rozejrzeć. Cała się trzęsę, jeśli chcesz wiedzieć. Muszę się uspokoić, jakaś lekka rozmowa dobrze mi robi.

— Odpowiedz mi tylko na jedno pytanie — powiedział Barney, tym razem delikatnie ujmując jej dłoń. — Czy naprawdę bałaś się, że zarobię milion funtów i ty nic z tego nie dostaniesz? Bałaś się tak bardzo, że...

Sara trochę się zastanawiała, a następnie dwuznacznie głową kiwnęła, co prawdopodobnie oznaczało, że nie chodziło o strach, lecz nie potrafiła znaleźć lepszego słowa, żeby zrozumiał, o co jej chodziło.

— W takim razie dlaczego... — zaczął Barney, lecz w tym momencie rozległ się głośny krzyk, hałas tłuczonych półmisków oraz przewracających się waz z zupą, i nagle Joel runął na ziemię, ciągnąc za sobą długi lniany obrus, a wraz z obrusem jabłka, śliwki, noże, widelce i pokrojoną na plasterki szynkę. Żółty ser Gouda potoczył się po jadalni i zniknął za aksamitnymi zasłonami, tak jakby miał tam coś do załatwienia.

— Przewrócił się! — krzyknęła Fanny Bees, aktorka, która stała blisko niego. — Zaczął się chwiać jak drzewo i potem nagle upadł!

Po kilku fałszywych akordach muzyka nagle ucichła. Barney uklęknął przy Joelu i zdjął mu krawat. Joel był siny wokół ust, lecz nadal oddychał. Jego lewa ręka drżała i zaciskała się nerwowo — zbyt dużo wysiłku kosztowało go podpieranie się laską. Otworzył oczy i patrzył przez chwilę na Barneya jak człowiek próbujący zobaczyć dno w studni.

Barney podniósł wzrok na zgromadzonych wokół gości.

— Niech ktoś pomoże mi go przenieść do pokoju gościnnego. Położymy go na kanapie.

— Nie dotykaj mnie — wyszeptał Joel. — Tylko mnie nie dotykaj.

— Joelu — upierał się Barney — nie możesz tutaj leżeć.

— Nie uważasz, że dostatecznie dużo przez ciebie cierpiałem, ty świnię?

Barney chwycił za obrus i gwałtownym ruchem wyszarpnął go spod pleców Joela.

— Trzymaj za zębami ten swój parszywy język — powiedział głosem drżącym z gniewu i podniecenia. Chciał go jednocześnie uderzyć pięścią i objąć. Boże, ileż musiał wycierpieć, pomyśleć, że posunął się aż tak daleko!

Krępy, rudowłosy kupiec diamentów o nazwisku Na-than Golden przykucnął na podłodze i zaoferował swą pomoc.

— Dobra, Barney, ja chwycę go za ramiona.

— Nie dotykaj mnie nawet jednym palcem — ostrzegął Joel.

Barney schylił się i chwycił Joela za kostki.

— Możesz sobie mówić, co chcesz, Joelu. Nie możesz leżeć na środku podłogi w jadalni, cały w owocach. Jesteś chory i przeniesiemy cię do pokoju gościnnego. Trzymasz go, Nathanie?

Nathan chwycił Joela pod pachy swoimi tłustymi rękami i uniósł.

— Barney! — zawołał Joel. Następnie skrzeczącym głosem, który sparaliżował wszystkich w jadalni, zawołał jeszcze raz: — Barney! Na miłość boską, Barney!

Barneyowi ciarki przeszły po grzbiecie.

Nathan Golden szeroko otwartymi oczami spojrzał na Barneya. Był śmiertelnie przerażony. Na czole pojawiły mu się nabrzmiałe żyły. Barney spojrzał w dół i zobaczył, że twarz Joela wyglądała jak gumowa karnawałowa maska, bezlitośnie wywrócona na lewą stronę. Joel tak bardzo cierpiał, że nie mógł mówić, mógł tylko leżeć na podłodze i modlić się, żeby Nathan i Barney zostawili go w spokoju.

— Połóżmy go, ostrożnie! — powiedział Barney do Nathana, a potem zwrócił się do Sary: — Przynieś mi kilka poduszek. Podeprzemy mu głowę. Horacy, przynieś mi jakieś ostre nożyczki z kuchni, szybko. I kilka ręczników.

Sara przyniosła dwie czy trzy jedwabne poduszki i ostrożnie wsunęła Joelowi pod głowę. Był on teraz prawie nieprzytomny i ślina spływała mu z kącika ust. Od czasu do czasu całym jego ciałem wstrząsały gwałtowne skurcze mięśni, a oczy otwierały się i patrzyły na Barneya z tą dziwną, nieludzką obojętnością, którą widziało się tylko w oczach umierających lub dopiero co narodzonych.

Horacy też przybiegł na ratunek i wręczył Barneyowi nożyce, którymi odcinali skrzydełka kurczaków, oraz sznurek. Goście bankietowi stali w zupełnej ciszy, gdy Barney złapał lewą nogawkę spodni Joela i przeciął ją aż do krocza. Niektóre z pań odwróciły się, lecz większość nie ruszyła się ze swoich miejsc, patrząc z fascynacją na obrzezany członek Joela i czekając na dalszy bieg wypadków. To nie były damy z Capetown.

Nogawka spodni Joela przykleiła się w jednym miejscu do uda. Ze skrzepłej krwi oraz płynu limfatycznego powstał strup. Kiedy Barney chciał ją delikatnie oderwać, Joel wpakował sobie rękę do ust i rozległ się pojedynczy charkot. Najwidoczniej zrozumiał, że najgorsze było jeszcze przed nim, bo nie wyjmował ręki z ust. Barney chwycił jeden z przyniesionych przez Horacego z kuchni ręczników i zanim przystąpił do dalszego odrywania nogawki, wepchnął go pod udo Joela. Potem zwrócił się do Nathana Golden:

— Whisky. Przynieś mi pełną butelkę whisky.

Wszyscy czekali, przypominając zupełnie gustownie ubrane manekiny krawieckie, a Nathan, skrzypiąc butami, podszedł do baru i wyjął z niego butelkę szkockiej.

— Wlej mu to w gardło — powiedział Barney. — Upij go porządnie.

Nathan zawahał się, ale przyłożył butelkę Joelowi do ust.

— Masz go upić, na miłość boską, a nie rozweselić — warknął Barney. Chwycił butelkę, brutalnie włożył mu ją między zęby i porządnie przechylił. Alkohol lał się Joelowi do gardła i wylewał na koszulę. Joel krztusił się, tak jakby zbierało mu się na wymioty, lecz po chwili butelka była już prawie pusta.

Następnie jednym zdecydowanym ruchem Barney oderwał nogawkę wraz z bandażem z podartego płótna i oczom wszystkich ukazała się rana. Rozległ się okrzyk i prawie wszystkie panie wycofały się z jadalni z twarzami bladymi jak ściana. Kilku mężczyzn cofnęło się o kilka kroków, szczególnie wtedy, gdy poczuli smród zalatujący z rany w nodze, która była już dotknięta gangreną.

Wszyscy mogli teraz zobaczyć, jak potwornie Joel się okaleczył.

Rana Joela była wilgotna, otwarta, nabrzmiała, zielonkawa, cała pokryta wodnistymi pęcherzykami. Rana sączyła i gniła. Barney nie mógł znieść okropnego smrodu. Z rany wystawało coś, co wyglądało jak kawałek szkła.

Barney dotknął nożyczkami brzegów rany oraz kawałka szkła. Joel, o dziwo, prawie się nie poruszył. Obrzeże rany przypominało rybie usta i Joel nie miał w tym miejscu czucia, gdyż było ono martwe. Odczuwał jedynie ból w zaczerwienionym miejscu wokoło rany, które gangrena zaczynała właśnie atakować.

Przez wiele dni Barney domyślał się tego, lecz teraz, gdy ujrzał ranę, był tak wstrząśnięty, że nie potrafił nic powiedzieć, nic zrobić. Położył nożyczki na ręczniku i uklęknął przy Joelu z pochyloną głową i zamkniętymi oczami.

— Wyślę kogoś po doktora Tuter — powiedział Rhodes.

Barney podniósł wzrok.

— Dziękuję, sam nie dam sobie rady.

— Czy to jest to, czego szukałeś? — zapytał Rhodes, wskazując na ranę.

— Też już słyszałeś — stwierdził Barney.

— Takie wiadomości rozchodzą się niesłychanie szybko — powiedział Rhodes. — Jeśli się bardzo chce, to można się wszystkiego dowiedzieć. Moi Murzyni o niczym innym ostatnio nie rozmawiają, bez przerwy tylko roznoszą plotki o ogromnym diamencie znalezionym na działce pewnego Żyda w Kimberley.

— Wygląda na to, że ten Żyd dowiedział się o wszystkim ostatni — powiedział Barney.

— Wszystko jedno — uśmiechnął się Rhodes. — Wiesz przeciesz, że ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. Znalazł się przecież, jest twój, trzeba go tylko wydłubać.

— Joel jest moim bratem — powiedział Barney.

— Nie słyszałeś wspaniałych opowieści Harolda o braciach, którzy oślepiali się nawzajem i zamykali, gnijąc potem przez resztę życia w jakichś komórkach? Wszystkiemu winne te diamenty.

— Słyszałem. — Barney skinął tylko głową.

— No widzisz — powiedział Rhodes. — Masz tu przed sobą dowód na to, co ludzie są w stanie zrobić, by zdobyć dużą bryłkę skryzalizowanego węgla. Są w stanie skrzywdzić nie tylko innych. Również i siebie samych.

Barney milczał przez kilka minut, nie podnosząc się z klęczek. Rhodes obserwował go z prawie niewidocznym uśmiechem na twarzy. Gdyby chodził jeszcze do szkoły, sprawiliby mu pewnie niezłe lanie za ten głupi uśmiech. Po chwili Barney znowu wziął do ręki nożyczki, chwycił Joela za łydkę tuż pod kolanem i kiedy unieruchomił już w ten sposób nogę, wolnym ruchem włożył końce nożyc pomiędzy szklaną bryłkę a pokryty pęcherzykami brzeg rany. Joel był już prawie nieprzytomny i kiedy Barney wpychał nożyce coraz głębiej w miękkie, pozbawione czucia ciało, Joel wydał tylko świszczący dźwięk przez zaciśnięte zęby.

Ogromny kamień wypadł wreszcie na ręcznik. Barney wyjął swoją chusteczkę do nosa z kieszonki marynarki i z obrzydzeniem go zawinął. Rhodes chrząknął, co mogło oznaczać rozbawienie, ironię, a może po prostu ulgę, że było już po wszystkim.

Barney wstał. W drzwiach ukazał się właśnie doktor Tuter prowadzony za rękaw przez młodego, bosego Hotentota. Na widok Barneya doktor Tuter zaczął mrugać oczami, tak jakby go nie poznawał.

W rogu pokoju stała Sara. Ręce miała złożone jak do pacierza, a na jej twarzy malowało się ogromne napięcie. Nie opodal stała Nareez w szmaragdowej szacie. Barney podniósł do góry rękę z

diamentem zawiniętym w chustkę nie triumfująco, lecz jakby po prostu chciał powiedzieć: Zobaczcie, znalazłem go!

Rhodes, nie wiadomo dlaczego zadowolony sam z siebie, powiedział:

— Dobra robota — po czym z rękami w kieszeniach zaczął przepychać się przez tłum gości w kierunku Alfreda Beita, z którym nie dokończył wcześniejszej rozmowy. Poczęstował się kolejnym kieliszkiem szampana.

Pan Ransome zamiatał swoje małe podwórko na tyłach domu, kiedy przy płocie pojawiła się Mooi Klip w dużym letnim czepku. Z koszykiem piżmianu jadalnego i czerwonej kapusty pod pachą stała w słonecznym blasku i patrzyła na niego. Oparł miotłę o ścianę i tyłem dłoni wytarł pot z czoła.

— Natalio! Jak miło cię zobaczyć.

Mooi Klip uśmiechnęła się.

— Już tyle razy wybierałam się do pana — powiedziała. Pan Ransome otworzył bramę i wpuścił ją do środka

— Robię, co mogę, żeby tu było czysto, ale jest tyle innych spraw, tyle dusz, które trzeba ratować. Zapamiętaj sobie moje słowa: teraz, kiedy mamy nowego gubernatora, będzie nam łatwiej nawrócić całą Południową Afrykę na wiarę chrześcijańską.

— Nawet nie wiedziałam, że mamy nowego gubernatora — odparła Mooi Klip. — To tylko świadczy o tym, jak wielką jestem ignorantką w tych sprawach.

— Nie wiem, od kogo miałabyś się o tym dowiedzieć — rzekł pan Ransome. — Ale wejdz, proszę, napijemy się herbaty. Przysłali mi właśnie wspaniałą herbatę z Cape.

Poprowadził ją przez zarośniętą werandę swego domku, pod gmatwaniną pnączy tropikalnych i przez otwarte drzwi do skromnego pokoju dla gości, w którym meble dostosowane były ściśle do budżetu Kościoła anglikańskiego. Stało w nim kilka ciemnych, tanich krzeseł i podrabiana jakobińska kanapa z powypychanymi poduszczkami. Ozdobnie oprawione Biblie misyjne i książeczki do nabożeństwa poustawiane były niedbale na biurku, po którym walały się też ozdobne serwetki poplamione herbatą, drewniany krzyż oraz puszka herbatników Huntley & Palmers' Albany.

W całym pokoju był tylko jeden przedmiot, z którym czuł się związany — była nim akwarela przedstawiająca podmiejską ulicę z murowanymi domami i rosnącymi wzdłuż niej drzewami.

— To ulica, przy której mieszkałem — powiedział pan Ransome. — Moja mama namalowała go, kiedy chorowała na szkarlatynę.

Mooi Klip postawiła swój koszyk i usiadła na kanapie. W słońcu wyraźnie zarysowywał się jej profil, a w zagłębieniach obojczyka królował cień. Pan Ransome spojrział na nią i uniósł nieco ręce, tak jakby miał coś ważnego do powiedzenia, ale zapomniał co.

— Przyszłam w związku z Coenem — powiedziała Mooi Kip.

— Chcesz ustalić dzień, prawda? — zapytał pan Ransome. — Zaraz przyniosę kalendarz i wstawię wodę na herbatę. Elretha poprosiła o wolny dzień, żeby mogła odwiedzić kuzyna. Elretha jest silnie związana ze swoją rodziną. To dobra chrześcijanka.

— Zdecydowałam się nie wychodzić za Coena — oświadczyła Mooi Klip.

Pan Ransome utkwiał w niej wzrok.

— Zdecydowałaś się nie wychodzić za niego? Ale dlaczego, moja droga Natalio? Czy coś się stało?

Podniosła głowę i obdarzyła pana Ransome łagodnym, odważnym uśmiechem.

— Razem tak postanowiliśmy. On jest dobrym człowiekiem, jest łagodny jak baranek, ale to nie jest dla mnie odpowiedni mężczyzna. Barney tak bardzo mi pomógł, dzięki niemu poznałam swoje

możliwości. Gdybym wyszła za mąż za Coena, byłabym tylko żoną farmera i prawdopodobnie przez resztę życia nie miałabym do kogo odezwać się po angielsku, chyba że do pana.

Pan Ransome usiadł obok Mooi Klip i chwycił ją za dłoń.

— Moja droga, to przecież nie żaden wstyd zostać żoną farmera. Uprawianie ziemi to bardzo szlachetne zajęcie. W Księdze Przysłów napisane jest, że ten, kto uprawia ziemię, zawsze będzie miał pod dostatkiem chleba, a ten, w tym przypadku ta, która szuka towarzystwa próżnych ludzi, nie ma rozumu.

Mooi Klip odwróciła się i zmarszczyła brwi.

— Nie jestem pewna, czy to rozumiem — powiedziała.

Pan Ransome, natchniony recytacją, wracał powoli na ziemię i stawał się coraz bardziej posępny.

— Sam nie wiem, czy ja to rozumiem. — Wstał. -Pójdę zrobić herbaty. Po herbacie lepiej się poczujesz.

— Ale ja się dobrze czuję — powiedziała.

— To wspaniale — powiedział pan Ransome. — Ale co masz zamiar teraz zrobić? Masz sześciolatniego syna, nie jesteś mężatką i finansowo jesteś całkowicie uzależniona od swoich rodziców. Z pewnością życie, które teraz wiesz, dokucza ci znacznie bardziej, niż gdybyś wyszła za mąż za farmera, a będzie ci jeszcze ciężiej, kiedy rodzice postarzeją się,

Mooi Klip nic nie powiedziała, wygładzając ręką spódniczkę w kwiaty.

— Zwykle nie mówię tego młodym kobietom — kontynuował pan Ransome już dużo ostrożniej. — Widzisz, mówi się, że jedna córka powinna pozostać w domu, nie wychodzić za mąż i opiekować się rodzicami, kiedy będą w podeszłym wieku. Tak zaleca biskup. Ale w twoim przypadku uważam, że sprawa wygląda nieco inaczej.

— Dlaczego? — zapytała Mooi Klip.

— Moja droga dziewczyno, sprawa wygląda inaczej, ponieważ ty jesteś inna. Jesteś Griqua, żywym symbolem jedności tego narodu z Bogiem, przemieszania się białej i czarnej rasy. Czy wiesz, że jednym z pierwszych chrześcijańskich ślubów pobłogosławionych w Cape w siedemnastym wieku był ślub kobiety z plemienia Hotentotów i białego pracownika Dutch East India Company? Jesteś częścią tej wspaniałej tradycji wspólnej dla dwóch ras. A oprócz tego jesteś też piękna i jeśli zgodzisz się na to, aby twoja uroda, przez nikogo nie oglądana/zwiędła jak kwiat w domu twoich rodziców, zmarnujesz wielki dar, który otrzymałaś od Boga.

— Nie rozumiem, do czego pan zmierza — powiedziała Mooi Klip ściszone głosem.

Pan Ransome nie wytrzymał i chwycił się ręką za szyję, tak jakby chciał zabić komara.

— Zmierzam do tego, Natalio, zmierzam do tego, że jesteś naprawdę wyjątkową młodą damą. Próbuję ci wytłumaczyć, dlaczego powinnaś wyjść za mąż. W końcu twój syn także potrzebuje ojca. A ty potrzebujesz mężczyzny, abyś mogła w pełni wyrazić swoją kobiecość, inteligencję oraz urodę.

Przerwał i zwilżył wargi.

— Mam nadzieję, że nie wprowadziłem cię w zakłopotanie?

Mooi Klip potrząsnęła głową.

— Nie jestem zakłopotana, gdy ktoś prawi mi komplementy. Bardzo mi wtedy miło. Ale dlaczego jest pan taki zły? Nigdy pana takiego nie widziałam, nawet podczas kazań. Nie musi się pan na mnie gniewać. Umiem żyć tak, abym była szczęśliwa, pan o tym wie.

— Jestem zły, ponieważ tak źle ciebie traktowano — powiedział pan Ransome. — Wygląda na to, że ten twój Barney nie poznał się na tobie. Zrobił ci dziecko, po czym wyrzucił cię na śmietnik!

Mooi Klip odwróciła od niego wzrok.



— Panie Ransome — powiedziała — takie smutne rzeczy ciągle się zdarzają. Bardzo mnie to wtedy bolało. Nadal boli, po tylu latach. Być może zapomniałabym o tym, gdyby nie Pieter. Ale co się stało, to się nie odstanie. Nie można się złościć tylko dlatego, że pewien mężczyzna zachował się w stosunku do pewnej kobiety w taki sam sposób, w jaki większość mężczyzn zachowuje się w stosunku do kobiet od czasów Adama i Ewy.

Pan Ransome spuścił głowę, a kiedy znowu się odezwał, mówił tak niewyraźnie, że prawie nie można było go zrozumieć.

— Ja nigdy bym tak nie postąpił w stosunku do kobiety, którą kocham.

W małym pokoju zapanowała grobowa cisza. Przez otwarte drzwi widać było liście na pnączach, poruszające się lekko na wietrze, który delikatnie tylko je muskał. Promyk słońca, który oświetlał przedtem krucyfiks na biurku, padał teraz na puszkę z herbatnikami Albany.

Pan Ransome spojrział w górę. Mooi Klip wpatrywała się w niego jak zastygła w bezruchu czarna madonna. Jej czepek tworzył aureolę.

— Nowy zarządca nazywa się sir Bartle Frere — rzekł nagle głośno i zniecka pan Ransome, próbując w ten sposób zmienić temat. — Biskup powiedział mi, że ma twardą rękę. Ma za zadanie skupienie tych wszystkich rozproszonych kolonii, królestw oraz pojedynczych stanów Burów, a także utworzenie z nich jednego dominium podległego Koronie Brytyjskiej. I oczywiście religii.

— Co pan powiedział? — zapytała Mooi Klip.

— Powiedziałem „i oczywiście religii” — pan Ransome zaczął się jąkać i przestępować z nogi na nogę. Cofnął się o jeden krok, przewracając plik Biblii, które spadły na podłogę.

— Nie, przedtem. Zanim pan zaczął mówić o nowym zarządcy.

— Nic nie mówiłem. Słyszałaś, żebym coś mówił?

— Panie Ransome, jest pan pobożnym człowiekiem. Nie powinien się pan wymigiwać.

Pan Ransome podkasał sutannę i schylił się, żeby pozbierać Biblię.

— Coś mi się wymknęło, to wszystko. Obiecałem swojej mamie wiele lat temu, kiedy zostałem księdzem, że będę się powstrzymywał od uciech tego świata, że zachowam czystość, więc to, co powiedziałem, nie było stosowne i wolałbym, żebyś zapomniała, że w ogóle otworzyłem usta. Usta zostały mi dane, abym wychwalał Pana, nie abym formułował nieprzyzwoite propozycje.

— Powiedział pan, że mnie kocha — upierała się Mooi Klip.

— Więc chyba straciłem rozum. Proszę, przebac mi. — Pan Ransome zniknął teraz za kanapą, tak że Mooi Klip widziała tylko jego zniszczone czarne buty oraz czarne dziurawe skarpetki.

— Panie Ransome — zaczęła Mooi Klip. — Czy trzeba przeproszać za to, że się kogoś kocha? Przecież zawsze mówił mi pan, że miłość jest ostoją religii chrześcijańskiej.

Pan Ransome zaczął szurać nogami i sapać, po czym wyszedł zza kanapy. Oczy miał zaczerwienione, a po obu jego policzkach spływały łzy.

— Panie Ransome, co się dzieje? — zapytała Mooi Klip, wyciągając do niego rękę. — Dlaczego pan płacze?

— Płaczę, bo jestem nieszczęśliwy — powiedział. — Przepraszam, to śmieszne. W ogóle nic nie powinienem był mówić, wtedy nie byłoby tego całego przedstawienia. Ale ty nie powiesz nikomu, prawda? Jeśli biskup się o tym dowie... Wysłano mnie do Klipdrift, ponieważ sam zgodziłem się żyć w celibacie. Uważano, że wskazane jest wysłać kogoś żyjącego w cnotcie... żeby inni brali z niego przykład.

Mooi Klip uśmiechnęła się.

— Jaki przykład? Chce pan ich uczyć, jak być nieszczęśliwym? Jak powstrzymywać się od wchodzenia w związek małżeński, choć ma się na to ochotę?

Pan Ransome wstał i włożył rękę pod sutannę w poszukiwaniu chusteczki do nosa. Wydmuchał nos, przetarł oczy i powiedział:

— Przepraszam. Naprawdę bardzo mi przykro.

— Proszę przestać przepraszać. Bardzo pana polubiłam, zanim jeszcze spotkałam Coena Boonzaiera. Polubiłam pana pierwszego dnia, kiedy pan przyjechał do Klipdrift. Wniósł pan tu coś nowego. Możemy zostać przyjaciółmi, prawda?

Pan Ransome przełknął ślinę.

— Oczywiście. Tak. To znaczy, zawsze przecież byliśmy przyjaciółmi. — Położył Biblię z powrotem na biurku i podszedł do kanapy. Usiadł przy Mooi Klip, pochylając się nieco do przodu, z rękami na kolanach. — Jestem zaskoczony, że masz o mnie takie dobre zdanie.

— Dlaczego? Jest pan przecież przystojny. Zna się pan na wielu interesujących rzeczach. Zawsze uważałam, że gdyby pan nie został księdzem, byłby pan idealnym mężem.

— Natalio... naprawdę nie wolno ci tak mówić. Ja... ja jestem bardzo uczuciowy.

— Nie znam tego słowa.

— To znaczy, że na mnie działasz.

Mooi Klip spojrzała na niego z powagą. Była tak kobieca, wrażliwa i ładna, że pan Ransome nie mógł patrzeć na jej opadającą i unoszącą się klatkę piersiową. Wiedział, że to wszystko było absurdalne. Kusiło go ciało. Lecz cały szkopał w tym, że Mooi Klip była tak bezpośrednia i niewinna. Kiedy do niego mówiła, tak szczerze okazywała swoje uczucia, iż nie mógł uwierzyć, że to, co czuł, było sprawą szatana. Zamknął oczy, lecz mógł tylko myśleć o tej chwili, kiedy zobaczył jej ciemną brodawkę przez przejrzystą bluzkę. Myślał też o tutejszych kobietach, które widział przy rzece Vaal, o ich nagich, dużych piersiach i hotentockich pośladkach wychodzących spod kolorowych przepasek, którymi opasywały swe talie. Myślał jeszcze o ciekawym doświadczeniu, kiedy to na bocznej uliczce w Klipdrift ujrzał zadziwiająco piękną, długowłosą dziewczynę, Metyskę, która mogła mieć najwyżej trzynaście, czternaście lat i nie miała na sobie nic oprócz łańcuszka na kostce. Śnił potem o niej, tak jak śnił o Mooi Klip, a jej skośne oczy widział za każdym razem, gdy w pocie czoła i z ogromnym bólem opierał się kolejnej pokusie.

— Najlepiej będzie, jeśli już pójdę — powiedziała Mooi Klip łagodnym tonem.

— Nie zrobiłem jeszcze herbaty — powiedział pan Ransome, wstając ociężale.

— Nic nie szkodzi — odparła Mooi Klip. Też wstała i chwyciła koszyk z warzywami. — Przyszłam tylko po to, żeby panu powiedzieć o Coenie.

— Tak — powiedział pan Ransome. — No cóż, szkoda, że zmieniłaś plany związane z małżeństwem. Ja, ja... ja mogę cię jedynie pocieszyć słowami z Biblii. Jak napisano w Księdze Eklezjasty, „lepszy jest smutek niż śmiech, bo przy smutnym obliczu serce jest dobre!”

Przez chwilę Mooi Klip patrzyła na pana Ransome, po czym zachichotała. Pan Ransome także wybuchnął urywanym śmiechem, co rozśmieszyło ją jeszcze bardziej. Stała na palcach, pocałowała go w policzek i powiedziała:

— Już mnie pan pocieszył. Myślę, że jest pan bardzo dobrym misjonarzem, panie Ransome.

— Mów do mnie Hugh.

— To pana imię? Hugh? Co ono oznacza?

— Nie jestem pewien. Moja matka wie. Zna się na takich rzeczach. Na folklorze, historii, no wiesz. Umie też haftować. Na urodziny przysłała mi cały komplet haftowanych pokrowców na meble. Ale... — Rozejrzał się po swoim skromnym, zagraconym pokoju gościnnym. — Nie miałem czasu, żeby je założyć.

— Mówisz o swojej matce — zauważyła Mooi Klip — dlaczego nie mówisz nic o sobie?

— Nie mam na ten temat nic do powiedzenia.

— A może wybierzemy się razem na piknik. Moglibyśmy w piątek wybrać się do Blaakwopje i porozmawiać. Moja mama zaopiekuje się Pieterem.

Hugh Ransome spojrział badawczo na Mooi Klip i przeciągnął ręką po włosach.

— Powiniennem odmówić — powiedział. Jego głos zabrzmiał nagle bardziej dojrzałe, spokojnie. — Naprawdę byś chciała?

Mooi Klip skinęła głową.

— Chcę posłuchać historii twojego życia, poczynawszy od dnia twoich narodzin.

— Obawiam się, że życie mężczyzny, który nigdy nie poznał bliżej żadnej kobiety, nie będzie nikogo interesować.

— Nigdy nie wiadomo — powiedziała Mooi Klip i skierowała się do wyjścia. Jakiś kundel zaszczekał głośno na sąsiednim podwórku.

— Natalio! — zawołał pośpiesznie Hugh Ransome.

— Tak?

— Nic, idź już. Chciałem tylko wymówić twoje imię. Jest tak samo ładne jak dziewczyna, która je nosi.

— Dziękuję, Hugh — powiedziała Mooi Klip, wychodząc na werandę zalaną jasnym popołudniowym słońcem.

W jego blasku przypominała zjawę, która za chwilę zniknie. Hugh Ransome przez długi czas stał nieruchomo na środku pokoju, obejmując się rękami. Nagle poczuł, że musi usiąść.

— Roztropność uratuje cię od złego, rozum cię poprowadzi — wyrecytował szeptem. — Mądrość uchroni cię przed nieznaną kobietą. Nawet gdy zaczniesz ci szeptać miłe słówka, nigdy nie zbozcz z drogi. Szukaj towarzystwa sprawiedliwych.

Utkwił wzrok w zniszczonym dywaniku na podłodze i zaczął znowu myśleć o Mooi Klip z aureolą nad głową.

— Do licha z mądrością, do licha z roztropnością — powiedział i zaraz wyprostował się na krześle, pośpiesznie rozejrzał dookoła, chcąc się upewnić, że nikt go nie słyszał.

Barney pracował w bibliotece w Vogel Vlei, kiedy Horacy zapukał do drzwi i wsunął do środka czarną głowę. Widać było tylko jego oczy. Barney oderwał wzrok od dokumentów i zapytał: — O co chodzi, Horacy? — nie komentując nawet dziwnej postawy służącego. Przyzwyczał się już do jego dziwnego zachowania. Horacy pracował u niego od sześciu miesięcy i był wyjątkowym indywiduum. Pewnego razu postanowił ogrzać łóżko pewnego gościa, więc włożył pod kołdrę małą czarną kózkę, która leżała w nim do czasu, kiedy ów gość udał się na spoczynek.

— Dżentelmen z Capetown chce się z panem widzieć — powiedział Horacy. — Oto jego wizytówka.

— Dziękuję — powiedział Barney. — Gdzie ją masz? Głowa Horacego znikła jak w źle wyreżyserowanej sztuce teatralnej z kiepskimi efektami scenicznymi. Po chwili w drzwiach pojawiła się jego prawa ręka z wizytówką.

— Proszę cię, Horacy, przynieś ją tutaj — poprosił Barney. — Mam całkiem niezłe oczy, ale nie przeczytam, co jest napisane na wizytówce, z odległości pięćdziesięciu stóp.

Horacy schował wizytówkę i stał dalej, nie ruszywszy się nawet z miejsca.

— No dalej, człowieku, nie ma czasu — zniecierpliwił się Barney.

— Nie mogę, szefie.

— Nie możesz? Dlaczego?

— Moje spodnie, szefie, podarły się.

— To przeczytaj mi nazwisko.

— Nie umiem czytać, szefie.

Barney rzucił długopis, ruszył do drzwi i wyrwał Horacemu wizytówkę z ręki. Było na niej napisane: William Hunt, attache handlowy, Government House, Capetown.

— To ja! — rozległ się przenikliwy krzyk i Horacy cofnął się o dwa kroki, żeby przepuścić drobnego Hunta. Ciągle jeszcze nosił brodę, w której pojawiły się teraz pojedyncze srebrne, kręcone włosy. Był elegancko ubrany w szarola-wendowy garnitur i tak samo jak kiedyś pachniał francuską wodą kolońską. — Mój drogi Barney, jak miło mi ciebie widzieć! Kopa lat!

Barney uściśnął dłoń Hunta.

— Co za niespodzianka — powiedział. — Co może sprowadzać takiego mieszcucha jak ty do Kimberley? Chodź, napijemy się. Horacy, przynieś nam dwa kieliszki dżinu.

Horacy, który stał przyklejony plecami do otwartych drzwi, zapytał:

— Teraz, proszę pana?

— Tak, Horacy, teraz.

Horacy zaczął niezgrabnie przestępować z nogi na nogę, po czym odwrócił się i odszedł tak szybko, jak tylko mógł, chwytając się za trójkątny pasek materiału, który oderwał się od spodni. Hunt obserwował go z wyrazem twarzy, który zdradzał niemalże profesorskie zainteresowanie, wyjął nawet okulary w drucianych oprawkach.

— Ładny brązowy tyłek ma ten twój służący — zauważył.

— Ma w sobie coś z clowna, ale to dobry człowiek — powiedział Barney. — Widzę, że nic się nie zmieniłeś.

— Oj, zmieniłem się, mój drogi przyjacielu. Prawda jest taka, że wszyscy mężczyźni, których sir Bartle sprowadził z Indii, są okropnie butni, a jak nie są butni, to mają pryszcze. Nie wiem sam, co mnie mniej drażni, pycha czy pokrzywka. Jedno i drugie jest raczej przykre i zatruwa atmosferę.

Hunt podszedł do dużego, brązowego, skórzanego fotela przy kominku i rozsiadł się tak, jakby mieszkał w Vogel Vlei od dobrych kilku lat. Oparł swą łaskę o kominek, zdjął rękawiczki i rzucił je na poręcz fotela.

— Słyszałem o tobie wiele interesujących rzeczy — powiedział. — Mówią, że jesteś teraz prawie milionerem.

Barney obszedł swoje szerokie biurko i uprzątnął dokumenty, które właśnie przeglądał. Wkraczał teraz w fazę finałowych negocjacji dotyczących kupna siedmiu dalszych działek, z których dwie były niesłychanie zasobne w diamenty i znajdowały się w centrum Kimberley. Oprócz faktu, że obydwie działki obfitowały w wysokiej jakości diamenty, które wykopywano tu każdego tygodnia począwszy od dnia, w którym rozpoczęto na nich pracę, znajdowały się między terenami braci Blitz a terenami będącymi własnością francuskiej spółki, skupiającej większość działek po południowej stronie Wielkiej Dziury. Ich właściciel żądał 360 000 funtów i Barney robił, co tylko mógł, żeby przekonać go do obniżenia ceny. Barney był milionerem, zgoda, lecz tylko na papierze.

Kłopot w tym, iż wszyscy w mieście wiedzieli, że Barney posiada trzystupięćdziesięciokratowy diament i nawet w miejscowych sklepach galanteryjnych jego słudzy musieli płacić dwukrotnie więcej niż inni za towar zamawiany dla Vogel Vlei. Barney spostrzegł, że pieniędzy bardzo szybko ubywało, a właśnie teraz bardzo ich potrzebował. Miał teraz wpływ na produkcję, lecz bał się postawić na nogi całą kopalnię Kimberley, gdyż nagłe ożywienie pracy mogłoby spowodować ponowne zalanie rynku i obniżenie ceny diamentów. Kiedy publicznie pytano go o olbrzymi diament, odpowiadał, że to jedyny w swoim rodzaju wybryk natury i że szansę na znalezienie drugiego

diamentu o podobnych rozmiarach są praktycznie równe zeru. Przez całe lato roku 1878 oraz 1879 Harold cierpiał na niewydolność serca, połykał tabletki i wytrwale sypiał ze swoją małą żabką. Za każdym razem, kiedy Barney wspominał o diamencie, jego twarz robiła się blada jak ściana.

— To, że posiadam jeden fantastyczny diament, nie znaczy, że jestem najbogatszym człowiekiem na świecie — powiedział Barney.

— Oczywiście, że nie. Ja to rozumiem — powiedział Hunt. — Sir Bartle też to rozumie.

— Czy sir Bartle interesuje się moją osobą? Myślałem, że sir Bartle zajęty jest Zulusami.

— Niezupełnie — sprostował Hunt. — Między innymi dlatego tu jestem. Prawdę mówiąc, źle układają się nam stosunki z Zulusami. Wiesz, że bez przerwy kłócą się z Burami o granicę z Transvaal... Sir Bartle powołał w zeszłym roku komisję do zbadania tej sprawy, lecz niestety, komisja rozstrzygnęła tę sprawę na korzyść Zulusów. Trochę to wszystko kłopotliwe. Sir Bartle upiera się, iż zatwierdzi granicę pod warunkiem, że Cetewayo rozwiąże swoją armię. Barney wysłuchał Hunta i skrzywił się.

— Nie wiem zbyt wiele o Zulusach, ale z tego, co mi wiadomo na temat Cetewayo, myślę, że to ostatnia rzecz, którą by zrobił. Jak może rozwiązać armię i pozostać w dalszym ciągu niezależny? Burowie zjedzą go na śniadanie.

— Tak między nami, stary przyjacielu, masz zupełną rację. Ale sir Bartle liczy właśnie na to, że Cetewayo odmówi. Jeśli Cetewayo nie rozpuści wojska w ciągu tygodnia, sir Bartle wyśle Lorda Chelmsforda wraz z dwoma tysiącami żołnierzy do kraju Zulusów, a ci dadzą mu niezłą nauczkę. W ten sposób sir Bartle uszanuje decyzję komisji i równocześnie pokona Zulusów.

Barney przetarł oczy. Przez ostatnie trzy tygodnie każdego dnia pracował do późna i był wykończony.

— Wy, małpy z Ministerstwa do Spraw Kolonii, lubicie takie rzeczy, co? — szydził. — Ale jaka moja w tym wszystkim rola? Wiem o Zulusach dokładnie tyle co każdy inny, a to przecież niewiele.

Horacy wszedł do biblioteki, niosąc dwa kieliszki dzinu oraz dzbanek wody. Miał na sobie czarny żakiet i jasnożółte bryczesy. Hunt rzucił mu rozbawione, wyzywające spojrzenie, które wprowadziło go w ogromne zakłopotanie. Spojrzał na Barneya, oczekując od niego pomocy, a Barney wyszczerzył zęby i dał mu znak, że może odejść.

— Jesteśmy zainteresowani twoim diamentem — oświadczył Hunt. — Oczywiście pisali już o nim w londyńskich gazetach, choć muszę powiedzieć, że nie podałeś prasie zbyt szczegółowych danych. W „Morning Post” przeczytałem tylko, że w Kimberley wykopano prawdopodobnie wyjątkowo duży kamień szlachetny i „oszacowano”, że waży ponad trzysta karatów.

— Nie powiem nic więcej, dopóki nie będę gotowy — powiedział Barney. — Potrzeba było wielu lat, aby przemysł wydobywczy wyglądał tak jak dziś. My się do tego przyczyniliśmy: Rhodes, Gould i ja. Najgorsza rzecz, która mogłaby nas teraz spotkać, to gorączka diamentów i spadek ich ceny na rynku światowym.

— Masz oczywiście rację — powiedział Hunt. — Choć muszę przyznać, że sir Bartle wymyślił świetną rzecz, kiedy siedział któregoś dnia w wannie. Powiedział, że rozpowie-działby od razu wszystkim o znalezieniu diamentu, urządziłby bankiet z szampanem, trąbkami i „Niech Bóg chroni Królową”, a następnie zaprezentowałby diament Jej Wysokości w Londynie. Powiedział, że mógłbyś nawet ochrzcić kamień, nadając mu imię Gwiazda Wiktorja. Oczywiście na jej cześć.

— Ale po co to wszystko? Hunt uniósł palec.

— W ten sposób, mój drogi przyjacielu, odwrócisz uwagę Jej Wysokości oraz ministrów stanu i w czasie, kiedy ich głowy będą zaprzątnięte tym wspaniałym patriotycznym gestem, sir Bartle

zmiądzzy Zulusów i weźmie do niewoli Cetewayo, zanim ktokolwiek z rządu zacznie się wymądrzać na temat fair play, niehonorowych zagrywek i wszystkich tych bzdur.

Barney rozsiadł się wygodnie w swoim fotelu przy biurku i w zadumie obserwował Hunta. Barney zmienił się bardzo, od czasu kiedy Hunt po raz pierwszy spotkał go na pokładzie „Wesera”. Hunt, który zwracał szczególną uwagę na mężczyzn, miał się teraz na baczności, widząc jego dobrze skrojony, rzucający się w oczy garnitur z tweedu i pewny sposób bycia. Wiedział, że Barney ma świadomość swojej własnej siły. Przeczuwał, że dużo trudniej będzie się z nim teraz rozmawiało niż wtedy, gdy był tylko wynędzniałym żydowskim emigrantem, którego miał ochotę uwieść daleko od brzegów gorącej Afryki.

Hunt nie wiedział jednak, że Barney zrobił się też bardziej bezwzględny. W niczym nie przypominał już tego delikatnego, spontanicznego młodzieńca z Nowego Jorku. Nie był już tak bezgranicznie oddany swemu bratu, nie żył już tak bardzo jak kiedyś wspomnieniami o matce, przyzwyczał się do wyższych sfer, wśród których był zmuszony się obracać. Barney mniej ulegał teraz wpływom, lecz równocześnie zrobił się bardziej spostrzegawczy. Był panem samego siebie, zarówno w domu, jak i w pracy bardzo rzadko przystawał na warunki dyktowane przez innych.

Dawno zapomniał już o tych nie przespanych nocach wypełnionych wyrzutami sumienia. Coraz rzadziej w snach przychodziła matka. Teraz sypiał spokojnie obok dobrze wychowanej kobiety, która robiła wszystko, czego się od niej oczekiwało. Unosiła koszulę nocną, kiedy się ją o to prosiło, i uśmiechała się wdzięcznie, kiedy wypadało. W zamian za to Barney był jej wierny, przynosił jej często diamentowe bransoletki i naszyjniki. Narecz chodziła po domu w swoich jedwabnych pantoflach, patrzyła na niego spode łba, ilekroć tylko mijali się na schodach, choć przestała go już drażnić. Barney miał coraz mniej słabych stron i Narecz nie miała się po prostu do czego przyczepić. Dobrze układały mu się stosunki z atrakcyjną kobietą, której nie kochał i która nie kochała również jego. Był właścicielem prawie jednej trzeciej Wielkiej Dziury w Kimberley. Posiadał też jeden z największych diamentów, jakie kiedykolwiek ujrzały światło dzienne.

— Gwiazda Wiktorja, tak? — zastanawiał się głośno Barney. — Jestem Amerykaninem, więc dla czego miałbym się zgodzić, aby mój diament otrzymał nazwę Gwiazda Wiktorja?

— Jesteśmy przecież przyjaciółmi, prawda? My, Amerykanie i Brytyjczycy?

— Nie wiem — odparł Barney. — Przecież niecałe sto lat temu dziadek królowej Wiktorii toczył z nami krwawe walki.

Hunt głupio się uśmiechnął.

— Chyba żartujesz. Jesteś przecież niemieckim Żydem. Co ciebie może obchodzić Jerzy III? A poza tym królowa też ma w sobie niemiecką krew. Powinieneś się więc cieszyć, że możesz jej podarować Gwiazdę.

— Podarować? — zapytał Barney, ignorując uwagę na temat swojego pochodzenia.

— Nie w tym znaczeniu, mój drogi przyjacielu. Oczywiście, że ci zapłacą.

— Kto?

— Konsorcjum brytyjskich biznesmenów, w których interesie leży, aby Afryka Południowa tworzyła zorganizowane, przynoszące zyski i dobrze zarządzane dominium i aby kraj Zulusów był *Ali Sir Garnet* tak szybko, jak to tylko możliwe.

— Ali Sir co?

— Przepraszam, stary przyjacielu. To modne określenie w Kolonii. Wzięło się od sir Gameta Wolseleya, który pokonał Ashanti w '73. Oznacza „we wzorowym porządku”!

— Wy, Brytyjczycy, macie śmieszne określenia na wszystko, prawda? — powiedział Barney. — Jakiego określenia używasz, chcąc komuś powiedzieć, żeby się wyniósł z twojego domu?

Hunt zrobił głupią minę.

— „Spływaj” byłoby chyba najbardziej odpowiednie.

— Dobra. No to spływaj.

Hunt westchnął.

— Chyba naprawdę nic nie rozumiesz. Jestem tu po to, żeby zaoferować ci niemal każdą sumę, oczywiście w granicach rozsądku i pod warunkiem, że sprzedając nam go, zrobisz dużo hałasu na temat tego, w jaki sposób go znalazłeś i jak dumny jesteś, iż możesz przekazać go Jej Wysokości.

— Diament nie jest jeszcze wyceniony — powiedział Barney. — Mój dealer nadal przeprowadza testy.

— A co te testy wykazały do tej pory? Czy są jakieś pęknięcia? Jaki ma kolor? Nie mam zamiaru kupować kota w worku. Może królowej wcale się nie spodoba?

— To wyjątkowo udany liliowy kamień ważący dokładnie 356,2 karaty. Nie ma żadnych pęknięć. To wszystko, co mam ci do powiedzenia.

Hunt wypił łyk dzinu i wyjął chusteczkę do nosa, by przetrzeć nieco usta.

— Jestem upoważniony, aby zaproponować ci siedemset pięćdziesiąt tysięcy funtów w złocie i w banknotach.

— Być może jest wart więcej — stwierdził Barney — a być może mniej. Nie mogę nic powiedzieć, dopóki nie skończymy testów. A poza tym nie bardzo podoba mi się pomysł wykorzystania diamentu do odwrócenia powszechnej uwagi od jednej z waszych parszywych wojen.

— Uspokój się — powiedział Hunt. — Rozbicie Imperium Brytyjskiego to poważna sprawa. Wszędzie tam, gdzie Brytyjczycy sprawują rządy, panuje sprawiedliwość, wolność, ściśle przestrzega się fair play i na każdym kroku natknąć się można na dzin i cudzołóstwo, więc ci, którzy nie chodzą po czworakach, leżą rozciągnięci na plecach.

Barney skrzywił się, wyraźnie rozbawiony. Lecz po chwili nagle powiedział:

— Nie sprzedaję. Nie teraz. Chcę, żeby ten kamień przeszedł przez wszystkie fazy obróbki oraz marketingu i chcę być przy tym obecny. I dopilnuję, aby został kupiony przez właściwą osobę oraz został użyty do właściwych celów. Gwiazda Wiktoria? Chyba żartujesz.

— Mogę ci dać milion funtów — powiedział Hunt, szczerząc zęby.

— Ot tak, po prostu? Przecież go nawet nie widziałeś.

— Oczywiście po dokładnych oględzinach. Ale jeśli kamień jest taki, jak mówisz, 356,2 karaty i żadnych pęknięć, nie widzę przeszkód. Wtedy jest tyle wart.

— Nie sprzedaję — powtórzył Barney.

— Milion dwieście — powiedział Hunt. — To moje ostatnie słowo!

— Powiedziałem ci, że nie sprzedaję.

— W takim razie jesteś głupcem, drogi przyjacielu. Nigdzie nie dostaniesz więcej niż prawie 1,25 miliona, nawet za trzystupięćdziesięciokaratowy diament bez pęknięć. To najlepsza oferta, jaką możesz dostać, i wierz mi, że jeśli jej nie przyjmiesz, będziesz żałował do końca życia.

Barney wyciągnął rękę nad zielonym skórzany białym swoim biurka i podniósł mały mosiężny dzwonek z twarzą diabła. Zadzwoił trzymając go w dwóch palcach, skupiając jednocześnie całą uwagę na Huncie.

— Nie sprzedaję — powtórzył.

Hunt jeszcze przez sekundę siedział w tym samym fotelu, głośno bębniąc palcami w jego poręcz. Po chwili wstał szybko jak sprężyna, podniósł laskę, rękawiczki i powiedział:

— Bardzo dobrze. Jak nie sprzedajesz, to nie sprzedajesz. Miło było się z tobą znowu spotkać.

Horacy otworzył drzwi.

— Tak, szefie?

— Pokaż panu Huntowi drogę, Horacy.

— Tak, szefie. Tędy, panie Hunt, proszę pana.

— Aha, Barney — powiedział Hunt, kiedy był już przy drzwiach. — Zapomniałem cię jeszcze o coś zapytać.

— O co chodzi?

— O twojego brata, Joela... z tego, co wiem, ulokowałeś go tu, tak przynajmniej napisali w „Colesberg Advertiser”.

— Tak, to prawda.

— Napisali, że nie czuje się najlepiej.

— Tak, miał jakąś infekcję. Stracił lewą nogę.

— Przykro mi — powiedział Hunt. — Więc nadal tu mieszka z tobą?

— Ma swój apartament na górze. Ostatnio trzyma się od wszystkich z daleka. Gra dużo w szachy. Prawie go nie widuję.

Hunt zamyślił się i cały czas lekko się uśmiechał. Po chwili powiedział:

— Mówiono, że twój brat znalazł diament pierwszy i ukrył go potem przed tobą.

— Tak? — zdziwił się Barney.

— W każdym razie tak słyszałem w De Beers. Bardzo możliwe, że to zwykła bzdura.

— Zgadzam się, że to bzdura — powiedział Barney spokojnym głosem. — A teraz przepraszam cię, ale mam dużo pracy. Na długo zatrzymałeś się w Kimberley?

— Tydzień czy dwa. Żeby mieć pokrycie na moje skandaliczne wydatki.

— Musisz w takim razie przyjść do nas na obiad. Porozmawiam z Sarą.

— Mój drogi przyjacielu, zawsze byłeś dżentelmenem. Bardzo dziękuję za zaproszenie.

Kiedy Hunt wyszedł, Barney stał za biurkiem, na którym znajdowała się lampa z zielonym kloszem. Światło padało w taki sposób, że wydawał się wyższy, niż w rzeczywistości. Był w ponurym nastroju, ponieważ dręczyły go tysiące pytań, na które nie mógł znaleźć odpowiedzi — pytań dotyczących jego samego, szczęścia i smutnego, groteskowego świata, w którym najważniejsze były manipulacja oraz pieniądze. Ten świat stawał się powoli jego światem. Powodem takiego stanu rzeczy był ogromny liliowy diament. Jego diament. Przypomniawszy sobie bogatych ludzi, których widywał dawno temu w Nowym Jorku w lśniących melonikach na głowach, w płaszczach z karakułowymi kołnierzami, rozpartych w swoich powozach, ze starannie wy-czesanymi bokobrodami i twarzami obojętnymi jak twarze królów. Teraz wiedział już, dlaczego tak wyglądali. Byli zadbani, ponieważ byli bogaci i mogli sobie pozwolić na służących, lecz obojętność malująca się na ich twarzach wynikała z niepewności, którą odczuwali i której jednocześnie bali się okazać. Barney myślał kiedyś, że bycie zamożnym musi być wspaniałe, lecz teraz był przecież zamożny: w tej okazałej bibliotece, wypełnionej tysiącami nie przeczytanych książek, czuł się jednak obco i niepewnie, a jednocześnie bardziej niż kiedykolwiek przedtem pragnął miłości i przyjaźni.

Nie tęsknił za Clinton Street ani za Lower East Side. Nadal wolał być potentatem diamentowym niż krawcem spełniającym cudze zachcianki. Lecz zaczynał znowu odczuwać tę straszną samotność, którą czuł, gdy po raz pierwszy przepłynął Ocean Atlantycki w drodze do Liverpoolu. Teraz zdał sobie sprawę z tego, że uczucie samotności nigdy go nie opuszczało, z wyjątkiem tych miesięcy, które spędził z Mooi Klip.

Wstał zza biurka i podszedł do stalowocementowego sejfu Union, który został zainstalowany pod jedną z półek z książkami. Wyjął kluczyk i otworzył podwójne drzwi. Na górnej półce, owinięty w miękką skórę gazeli, spoczywał diament. Wyjął go, podszedł do lampy stojącej na biurku, rozwinął



skórzaną szmatkę i oto diament ukazał się w całej swej okazałości, uosobienie prawdziwego piękna.

Kilku kupców złożyło mu już oferty kupna diamentu. Większość z nich występowała w imieniu rządów lub zamożnych kolekcjonerów. Dwór rosyjski interesował się nim wyjątkowo żywo i dwukrotnie wysyłał belgijskich dealerów, którzy proponowali sumę prawie miliona funtów, aczkolwiek byli bardzo powściągliwi. Lecz Harold Feinberg zalecał ostrożność. Diament był na tyle rzadki oraz ogromny, że mógł mieć wpływ na politykę, mógł też w spektakularny sposób pomnożyć czyjś majątek. Został znaleziony na terenach, które Brytyjczycy uważali za swoje i w „The Times” pojawiły się już listy, w których pytano, kiedy diament znajdzie się w kraju, do którego należy. Główny Zarząd do spraw Ochrony Przemysłu Górniczego oraz Government House nie pochwałyby braci Blitz za sprzedanie diamentu carowi lub Prusakom, a już na pewno nie Holendrom. Zbyt wielu było sympatyków Burów wśród kupców diamentów z Amsterdamu, którzy mogliby się pokusić o oddanie go w ręce mieszkańców Orange Free State. Diament stałby się wtedy symbolem ich niezależności, a republika Burów utwierdziłaby się w przekonaniu, że ma pełne prawo do kopalni diamentów. Barney przechowywał diament w sejfie od owego pamiętnego dnia, w którym został znaleziony. Pozwolił Haroldowi na obejrzenie go i przeprowadzenie odpowiednich testów. Harold spędził w bibliotece cały dzień, przerywając tylko na chwilę na wypicie filiżanki kawy i skonsumowanie talerza kanapek z wołowiną, lecz nawet wtedy nie odrywał od niego oczu. Był jak zaczarowany. O czwartej Barney skończył swoją robotę papierkową i przyszedł do biblioteki, aby popatrzeć.

— Prawie skończyłem — powiedział Harold. — Ma kilka malutkich wrostków z jednej strony, ale znikną, kiedy go oszlifują. To zdumiewający diament. Po prostu zdumiewający. Szkoda, że mój stary ojciec nie może go zobaczyć. Wycisnąłby łzy z jego oczu.

— Jakie testy przeprowadziłeś? — zapytał Barney. — Jesteś pewien, że to diament? Na sto procent?

— Nie mam wątpliwości — odparł Harold. — Sprawdziłem twardość, pocierając innym diamentem. Także szafirem. Tego testu nie wolno przeprowadzać na oszlifowanym diamencie, bo można uszkodzić brzegi. Ale w tym przypadku nie ma żadnych wątpliwości.

— Myślałem, że standardowy test polega na uderzeniu diamentu młotkiem — zauważył Barney.

— Tak się mówi. Ale kłopot w tym, że diamenty są kruche, chociaż twarde, i mogłyby rozpaść się na drobne kawałki. Znam dwóch kupców z East Endu, którzy namawiali kopaczy do sprawdzania, czy ich kamienie są prawdziwe, tym właśnie sposobem. Kazali im uderzyć je młotkiem. Kiedy rozczarowani kopacze oddalili się, kupcy pozbierali kawałki, po czym sprzedali je przemysłowcom oraz jubilerom, a ekspedientki w sklepach nosiły je potem w swoich pierścionkach zaręczynowych. Zrobili na tym niezły interes.

Barney podniósł diament i obracał go na wszystkie strony.

— Jakie inne testy wykonałeś?

— Napięcie powierzchniowe, choć trudno coś powiedzieć na sto procent, ponieważ nie był jeszcze obrabiany. Kropla wody zostawiona na jego powierzchni utrzymuje się dłużej niż na innych kamieniach. No i przewodnictwo cieplne. Sam zauważyłeś, jak szybko się rozgrzewa i traci potem ciepło, gdy trzyma się go w ręce i odkłada na biurko.

— Ile jest wart? — zapytał Barney. — Może wiesz chociaż w przybliżeniu?

Harold spuścił rękawy koszuli i spojrzał na Barneya. Był już zmęczony.

— Ten diament wart jest tyle, ile jest się gotowym za niego zapłacić, ale na twoim miejscu nie sprzedałbym go za mniej niż milion funtów w złocie — odpowiedział.

Barney siedział teraz w bibliotece z głową podpartą na rękach, wpatrywał się w diament i

myślał. Nigdy jeszcze nie posiadał tak wspaniałej rzeczy, czystej, jasnej i tak doskonałej, że prawie świętej. Gdyby wszystkie prawa i prawdy zawarte w Pięcioksięgu można było skupić w jednym przedmiocie, tak by właśnie wyglądał. Ten ogromny diament był wart znacznie więcej, pieniądze nie wystarczą, aby go kupić. Jednocześnie niedługo będzie musiał z niego zrezygnować, Barney doskonale o tym wiedział. Zbyt silna była finansowa oraz polityczna presja świata.

Teraz jednak, kiedy samotność tak bardzo mu dokuczała, diament był dla niego prawdziwą pociechą. Mógł się w niego wpatrywać całymi godzinami, obracając na wszystkie strony, próbując zobaczyć wszystkie barwy, którymi się mienił, wszystkie odcienie drzemiące w jego lilioworóżowym wnętrzu. Joel, wpatrując się w niego, marzył o luksusie, bogactwach i kobietach. Dla Barneya diament był dowodem na istnienie Boga, niezbitym i namacalnym dowodem na to, że Barney nie został przez Niego zapomniany, mimo iż tyle razy odchodził, wątpił, zasypiał bez modlitwy.

Barney szeptem wyrecytował w swojej wielkiej bibliotece słowa *Koi Nidre*, modlitwy, którą odmawia się w wigilię Yom Kippur. Następnie położył masywny diament tak blisko lampy, że zaczął mienić się nieziemskim, różowym światłem. Nie płakał. Za późno na łzy. A poza tym na biurku leżał przecież przed nim najdoskonalszy symbol zachłanności człowieka i rozrzutności Boga.

O dziesiątej Barney wszedł na górę, żeby zobaczyć się z Joelem. Robił to niechętnie. Od pamiętnego przyjęcia weselnego obydwaj bracia prawie przestali ze sobą rozmawiać: Joel z powodu wstydu, że został przyłapany, i smutku, że nie udało się mu wywieźć diamentu po tych wszystkich cierpieniach, które sam sobie zadał, a Barney — ponieważ już Joelowi nie ufał.

Kiedy Barney zapukał do drzwi i wszedł, w sypialni Joela była właśnie Sara. Siedziała na brzegu łóżka i grała z nim w karty. Stawką były cukierki miętowe. Jak zwykle była modnie ubrana. Miała stalowoszarą, atlasową suknię koktailową, a na piersiach nosiła długi diamentowy naszyjnik. Jej włosy zaplecione były w warkocz i ozdobione diamentowymi spinkami. Wszystkie diamenty otrzymała w prezencie od Barneya; diamentowy naszyjnik, który został wyceniony na dwadzieścia dwa tysiące pięćset funtów, dostała od Barneya w tydzień po tym, jak dowiedziała się, że nie jest on członkiem klubu Kimberley i że będąc Żydem, prawdopodobnie nigdy nim nie będzie.

Joel wyglądał nieprzyzwoicie zdrowo. Odkąd doktor Tuter odciął mu lewą nogę w dzień przyjęcia — w czasie operacji zarówno chirurg, jak i pacjent byli nieprzytomnie pijani — czuł się lepiej, a dobry humor dopisywał mu jak nigdy dotąd. Doktor Tuter posmarował mu nogę maścią z kwasem bornym, co zapobiegło dalszemu rozszerzaniu się gangreny, i Joel wolno, lecz pewnie, wracał do zdrowia. Gdy ustał ból, który Joel odczuwał po operacji, stwierdził, że dokuczliwe męczarnie, przez jakie zawsze przechodził, ustały. Co prawda lewe biodro ciągle jeszcze dawało o sobie znać w burzowe dni, lecz sypiał lepiej, jadł, jak się należy, przekomarzał się nawet z angielską pielęgniarką, rumianą Betty, którą Barney sprowadził specjalnie z Capetown. Tłumaczył jej, że jednonogi mężczyzna lepiej sobie poradzi z kobietą niż dwunogi. Oczywiście służący mieli teraz dużo mniej kłopotów z odróżnieniem obydwu pracodawców w rozmowach. Rozkazy wydawał teraz „Jednonogi pan Blitz” lub „Dwunogi pan Blitz”.

— Przyszedłem zobaczyć, jak się miewasz — powiedział Barney, przestępując z nogi na nogę.

— Przegrywa w karty, to mówi bardzo wiele o jego samopoczuciu — odparła zamiast Joela Sara.

— Aha — powiedział Barney z uśmiechem, który zniknął równie szybko, jak się pojawił.

— Cieszę się, że przegrywam z twoją uroczą żoną — oświadczył Joel, wręczając Sarze trzy następne cukierki. — Lubię, kiedy jest taka radosna.

— Doprawdy?

Barney podszedł do okna i jedną ręką odsunął zasłonę. Za oknem niebo było czarne jak atrament, z wyjątkiem czerwonego paska, który pokazywał miejsce, gdzie zniknęło słońce.

— Znowu nad czymś rozmyślasz, kochanie? — zapytała Sara, tasując karty. Jej ostre, różowe paznokcie widoczne były z daleka.

— Mmmmh? — wymamrotał Barney, odwracając się do tyłu.

— Pytałam, czy znowu nad czymś rozmyślasz. Całe dni spędzasz w swoim brązowym gabinecie. — Rozdawała karty od spodu tak szybko i sprawnie, jak przystało na kolonialną córkę Imperium Brytyjskiego.

— W brązowym gabinecie albo w diamentowej bibliotece — zachichotał Joel. Sara spojrzała na niego kątem oka i też roześmiała się.

— Otrzymałem ofertę od konsorcjum brytyjskich biznesmenów — powiedział Barney.

— Mam nadzieję, że zaproponowali więcej niż ci okropni Belgowie.

— Istotnie. Powiedzieli, że mogą zapłacić milion dwieście.

Joel podniósł głowę do góry, spojrzał najpierw na Barneya, potem na Sarę.

— To mnóstwo pieniędzy — powiedział. — Nawet połowa tej sumy to mnóstwo forsy.

— Chcesz go sprzedać? — zapytała Sara. — Joelu, mój drogi, tak nie możesz. Oszukujesz.

— Lubię oszukiwać — powiedział Joel. — Oszukiwanie jest prawie tak samo przyjemne jak picie.

Sara zabrała mu jeszcze dwa cukierki.

— Oszukiwanie sprawia przyjemność tylko wtedy, kiedy się nie zostanie przyłapanym lub kiedy cała sprawa wyjdzie na jaw zbyt późno.

— Myślę o tym — wtrącił Barney. — To znaczy o tej ofercie. Kłopot w tym, że chcą kupić kamień z pobudek politycznych, no i oczywiście finansowych. Sir Bartle Frere chce napaść na Zulusów, tak to przynajmniej odebrałem, i w tym samym czasie zaprezentować diament królowej Wiktorii. W ten sposób odwróci uwagę rządu i uniknie nieprzyjemnych komentarzy.

— Co za *chozzerl* — zawołał Joel. — Wiesz, jaki ma pseudonim? Sir Butelkowe Piwo!

— Czy musisz tak się wyrażać? — zirytował się Barney. — To dom, a nie chlew.

Sara zachichotała.

— Uwielbiam, kiedy Joel używa hebrajskich słów. Mają w sobie tyle ekspresji. Dzisiaj rano nauczył mnie słowa *pisher*.

— Życie jest ciężkie tu, w Kimberley — powiedział Barney — ale używanie ordynarnych słów nic nie pomoże.

— Och, Barney — zaprotestowała Sara. — Strasznie się ostatnio wymądrzasz.

— Wcale się nie wymądrzam, Saro — odciął się Barney. — Po prostu nie lubię, kiedy kobieta używa wulgarnych słów, to wszystko. Szczególnie kobieta, która uważa się za wielką damę.

— Mój drogi Barney — powiedziała Sara, rzucając z trzaskiem karty — w tym małym, pożałowania godnym miasteczku nie mogłabym uważać się za wielką damę, nawet gdybym chciała, ponieważ mój ukochany mąż nie jest członkiem jedyne w miarę przyzwoitego klubu w promieniu kilkuset mil. Jedyne przyjęcie, które tu wydałam, zakończyło się dużo wcześniej, niż planowałam, ponieważ mój mąż uparł się i przy wszystkich gościach grzebał w zgangrenowanej nodze swojego brata. A w dodatku nie wydam już chyba żadnych innych przyjęć, ponieważ zainwestował wszystkie swoje pieniądze w jakieś idiotyczne kopalnie diamentów i nie chce sprzedać jedynej wartościowej rzeczy, jaką posiada: tego głupiego, przzerośniętego diamentu.

— Sprzedam go, ale nie byle komu! — warknął. — I nikt nie będzie na mnie wywierał nacisku, zrozumiałaś? Sprzedam go, kiedy mi się spodoba, komu będę chciał i za odpowiednią sumę!

— Jak będziesz się na niego tak ciągle gapić, to się rozplynie i nie będziesz go musiał wcale sprzedawać! — powiedziała Sara.

— Nic nie rozumiesz — denerwował się Barney. — Czy chcesz splamić swoje ręce krwią Zulusów Cetewayo tylko dlatego, że potrzebujesz kilku tysięcy funtów na sukienki i na przyjęcia? Chcą tam wysłać dwutysięczną armię. Wiesz, co to oznacza? Najwidoczniej nie wiesz. To oznacza rzeź!

Sara wstała, zacisnęła pięści, a jej twarz wykrzywiła się z wściekłości.

— Jak śmiesz tak do mnie mówić! Jak śmiesz! Czy myślisz, że przez garstkę jakichś czarnych dzikusów rok za rokiem będę znosić to wstrętne, nudne miejsce bez pieniędzy, życia towarzyskiego i przyjaciół? A jakich potem użyjesz wymówek, żeby mi nie dać pieniędzy? Kto będzie po Zulusach? Hotentoci czy Xhosa? Musisz sprzedać ten diament, to wszystko!

— Nie sprzedam — oświadczył półszepem Barney.

— I tak najadą na Zulusów — powiedział Joel, cierpliwie zbierając porzucane karty i miętowe cukierki i układając je na pikowanej kołdrze. — Czy sprzedasz diament, czy nie i tak będzie masakra.

— Przynajmniej ja nie będę w tym maczał palców — stwierdził Barney.

— Słuchaj, Barney, każdy diament, który znaleziono, splamiony jest czyjąś krwią. Ten diament już został splamiony krwią, moją krwią. Myślisz, że kilkuset zabitych Zulusów ma tutaj jakieś znaczenie?

— Tak właśnie zawsze mówiono o Żydach — powiedział Barney, a silne emocje dławily go i ścisnęły za gardło. — Co za znaczenie? Kilkuset zabitych Żydów nie ma żadnego znaczenia? Dobrze, Joelu, coś ci teraz powiem. Nie wiem zbyt wiele o Zulusach, ale wiem, że są dumni, niezależni, że mają kulturę i własne życie towarzyskie. Wiem też przez przypadek, że Cetewayo stara się żyć w pokoju z Brytyjczykami. A to po prostu zdrada, dobrze przemyślana zdrada, podstęp i zbrodnia. A zarządca postanowił zrobić trochę szumu i ratować swoją reputację za pomocą mojego diamentu, reputację, która i tak utonie niebawem we krwi. Możecie sobie myśleć, co chcecie. Możecie myśleć, że się wymądrzam, możecie myśleć, że jestem śmieszny. Ale nie pozwolę, żeby ten diament pojechał do Londynu jako Gwiazda Wiktorii.

Nozdrza Sary pulsowały jak nozdrza kłaczy, ale zdołała zachować spokój. Usiadła na łóżku, wyprostowała się i sięgnęła po rękę Joela.

— Jeżeli postanowiłeś już, że go nie sprzedasz, to mógłbyś mi przynajmniej pozwolić urządzić następne przyjęcie. Być może tym razem oprzesz się pokusie rozdarcia spodni Joela i pokazania jego członka wszystkim naszym gościom.

— Myślę, że to nie będzie konieczne — oświadczył Barney. — Może przy końcu stycznia?

— Pewnie nikt nie przyjdzie — powiedziała Sara. — Nie po tej ostatniej wpadce.

— Powiedz im, że będą mogli obejrzeć diament — zaproponował. — Wtedy na pewno przyjdą.

— Naprawdę pozwoliłbyś innym ludziom oglądać twój cenny diament i na niego dmuchać, tylko po to, żeby mi sprawić przyjemność? — zapytała Sara z sarkazmem w głosie.

— Sara, naprawdę robię, co mogę, żebyś była zadowolona. Wiesz o tym?

Sara wstrzymała oddech i po chwili z głośnym westchnieniem wypuściła powietrze.

— Tak, kochanie — skinęła głową. — Strasznie mi przykro. — Jej przesadny akcent zdradzał znudzenie i pogardę, z jaką potraktowałyby każdego, kto przejmuje się tubylcami. Cóż za dziwak.

Barney został jeszcze przez chwilę w sypialni, lecz widział, że Sara i Joel czekają aż wyjdzie, zupełnie jak dzieci, które nie mogą usiedzieć spokojnie na miejscu i chcą jak najszybciej zostać same, żeby kontynuować zabawę. Widział, że przeszkadza.

— Zejdę powiedzieć Kitty, żeby przygotowała lekką kolację — powiedział.

— Ja nic nie jem — zakomunikowała Sara.

Barney spojrzał najpierw na nią, potem na Joela. Doskonale znał tę jego zadowoloną minę.

— W takim razie będziesz musiała siedzieć i dotrzymywać mi towarzystwa, prawda? — powiedział. — Powiem Horacemu, żeby uderzył w gong, kiedy będzie gotowa.

Wyszedł z sypialni, zostawiając za sobą lekko uchylone drzwi. Na drugim końcu korytarza zobaczył w ciemnościach Nareez. Indyjska niania zniknęła, nim zdążył cokolwiek powiedzieć, lecz zapach jej perfum unosił się w powietrzu jak niespokojny duch.

— Nie wiedziałam, że duchowni umieją gotować — powiedziała Mooi Klip, siadając wygodnie w tanim, lakierowanym fotelu przy matowej lampce naftowej.

— Nie ma tego zbyt wiele — powiedział Hugh. — Gotowana wołowina i kluski z cebulą to wszystko, na co mnie stać. Może trochę herbaty? Albo kawy?

— Później — odpowiedziała Mooi Klip. — Chodź tu i usiądź przy mnie. Tak się napracowałeś, żeby wszystko przygotować.

— Trochę się martwiłem o kluski — powiedział Hugh, patrząc na resztki obiadu na małym stole jadalnym. Zmarszczył brwi. — Przedtem robiłem je tylko dla siebie, a przecież kiedy gotuje się tylko dla siebie, nie trzeba się tak bardzo przejmować, czy wszystko się uda. Udały się, prawda?

— Oczywiście — uśmiechnęła się Mooi Klip, ujmując go za dłoń. — Były bardzo dobre.

Hugh wyglądał na zadowolonego z siebie. Przyniósł jedno z krzeseł i postawił je obok fotela Mooi Klip. Hugh i Mooi Klip bardzo się ostatnio do siebie zbliżyli. Wybierali się razem na pikniki, zabierając też Pietera, siadywali na szczytach małych pagórków o barwie siana, spoglądali w dół na dolinę i rzekę Vaal, a chmury nad nimi przesuwały się jak dym z niewidzialnych pociągów. Kiedy powietrze robiło się gorące, siedzieli tylko pod szeroką parasolką i patrzyli na krople potu spływające im po twarzach. Byli na balu przebierańców zorganizowanym przez prezbiterianów. Spacerowali, trzymając się za ręce, raz nawet pojechali odwiedzić Coena Boonzaiera na jego farmie. Coen przyjął ich życzliwie i wesoło, poczęstował nawet Hugh'a fajką.

Hugh odmówił, ale z uśmiechem.

Teraz, kiedy Elretha dostała wolny wieczór, Hugh zaprosił Mooi Klip na obiad, przystroił stół polnymi kwiatami, były nawet serwetki haftowane przez jego matkę.

— Czy zostaniesz tutaj do końca życia? To znaczy w Griqualandii?

— To zależy od mojego biskupa — odpowiedział Hugh. — Ale myślę, że każe mi wracać. Bardzo bym chciał zabrać cię ze sobą do Anglii, Pietera też. Kennington jest bardzo ładny latem. I jestem pewien, że mama byłaby tobą zachwycona.

Mooi Klip spojrzała na niego z czułością. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego twarzy, dając w ten sposób do zrozumienia, jak bardzo jest jej bliski. Chwycił jej rękę i mocno ścisnął. Zbyt mocno. Krzyknęła z bólu, więc szybko ją puścił.

— Nie mam wycucia — powiedział Hugh. — Ale naprawdę chciałbym cię zabrać do Anglii, bardzo bym chciał. Tak naprawdę, Natalio, myślę już o tym od wielu tygodni i strasznie chcę się z tobą ożenić, pragnę, byś została moją żoną. Prawda jest taka, że strasznie cię kocham.

Mooi Klip nie była wcale zaskoczona. Uśmiechnęła się tylko i powiedziała:

— Hugh... zawsze byłeś dla mnie dobry.

— To moja praca — powiedział podniecony. — Na tym polega moja praca, żebym był dobry dla ludzi. Za to mi płacą.

Mooi Klip potrzęsnęła głową.

— Ile musieliby tobie zapłacić za uczucia, które mi okazałeś, za wyrozumiałość i ojcowską miłość, którą darzysz Pietera? To byłoby niemożliwe. Nawet gdyby płacili przez dwadzieścia lat, i tak byłoby za mało. Hugh, nawet gdyby ktoś oszczędzał przez całe życie, nie mógłby kupić tego wszystkiego, co tobie zawdzięczam.

— Pieniądze, co? — wtrącił Hugh, zawzięcie drapiąc się po nodze. — No cóż, nie mam ich zbyt wiele.

— Hugh, chcę być z tobą szczerą. Nie będę cię nigdy okłamywać.

— Oczywiście, że nie — powiedział Hugh. — Nie można żyć w małżeństwie, jeśli się kłamie i nie jest się całkowicie szczerym. Zupełnie się zgadzam.

— Barney Blitz zawsze pozostanie człowiekiem, którego kochałam najbardziej — zaczęła ostrożnie. — Tak już jest, nie wiem dlaczego. Daliśmy sobie nawzajem to, co najlepsze. Barney sprawił, że poczułam się kobietą, ale dał mi też siłę. Opiekował się mną, ale nie trzymał mnie na łańcuchu. Był zazdrosny, lecz czułam się wolna. Był namiętym kochankiem i dobrym przyjacielem.

— Rozumiem — wyjąkał Hugh, blady jak papier. Mooi Klip jeszcze raz wyciągnęła rękę. Trzymała teraz jego prawą dłoń w swoich dłoniach.

— Chcę, żebyś wiedział, Hugh, że ani czas, ani miłość do kogoś innego nie zatrze tego, ile Barney dla mnie znaczył. To fakt i zawsze tak będzie. Nigdy o nim nie zapomnę, lecz moja kobieca intuicja i rozsądek podpowiadają mi, że on nigdy już do mnie nie wróci, a nie mogę przecież bez końca żyć bez żadnego mężczyzny przy boku. Kocham cię, Hugh. Nie tak jak Barneya. Lecz kocham cię za przyjaźń, którą mnie darzysz, i za delikatność. Kocham, gdy Pieter bawi się z tobą i woła cię po imieniu. Jeśli możesz mnie wziąć taką, jaka jestem, wiedząc, że gdzieś na dnie noszę w sobie miłość do kogoś innego, obiecuję ci, że zawsze będę dla ciebie dobrą żoną, będę cię kochać, opiekować się tobą i szanować. Jeśli naprawdę chcesz wziąć mnie za żonę, jestem twoja.

Hugh nie posiadał się z radości, łzy napłynęły mu do oczu i nie mógł wykrztusić ani jednego słowa. Wstał, po czym znowu usiadł. Potem przeszedł przez pokój i wydał z siebie dziwny dźwięk, przypominający kichnięcie i szloch zarazem.

— Jestem tak zachwycony — powiedział. — Jestem tak zachwycony, że chyba zaraz się rozpłaczę.

Mooi Klip uśmiechnęła się.

— Wygląda na to, że już płaczesz.

— Co? — gwałtownie zareagował Hugh, ocierając równocześnie łzy. — Dlaczego miałbym płakać, kiedy jestem tak szczęśliwy? Natalio! Prawie nie mogę w to uwierzyć! Moja kochana Natalio, tak bardzo cię kocham!

Mooi Klip wstała, a Hugh objął ją ramionami.

— Czuję się nadzwyczajnie — powiedział. — Czuję też, że Bóg to pochwała! Jestem tego nawet pewien! Będąc twoim mężem, mogę Mu przecież służyć tak samo dobrze. A może nawet lepiej.

Pocałował Mooi Klip z wielką czułością; ich wilgotne usta dotknęły się delikatnie jak rozchylające się powoli skrzydła motyla. Lecz potem przycisnął ją do siebie tak mocno, jak tylko mógł. Drżał z podniecenia. Całowali się w milczeniu, z zamkniętymi oczami. W pewnej chwili Mooi Klip podniosła rękę jak niewidoma i dotknęła jego twarzy, włosów, policzków, rzęs.

Hugh otworzył wreszcie oczy i spojrzał na nią.

— Jest wiele rzeczy, których będziesz musiała mnie nauczyć — powiedział drżącym głosem. — Jestem człowiekiem wykształconym, ale przy tym bardzo niedoświadczonym.

Nie odpowiedziała. Wzięła go tylko za rękę i poprowadziła w kierunku drzwi. Na początku zawahał się i spojrzał na nią pytająco, lecz ona powiedziała tylko: — Chodź — tak ciepło i słodko, że poszedł.

W sypialni panował półmrok. Grawerowana lampa naftowa paliła się niewielkim płomieniem na bieliźniarce przy łóżku. Jej płomyk drżał lekko, gdy powiew wiatru wpadał do pokoju przez uchylone okno. Samo łóżko było niesłychanie proste: nie lakierowany dąb, z jaskółczymi złączami przymocowanymi kołkami. Przykryte było pstrokatą narzutą z muslinu i perkaliku w różne wzory i desenie. Na ścianie nad łóżkiem wisiała ponura litografia przedstawiająca ogród Gethsemani. Hugh stanął przodem do Mooi Klip, wyraźnie nie wiedząc, co robić. Zaparło mu dech w piersiach.

— Jesteś pierwszą kobietą, która tutaj weszła, nie licząc Elrethy.

— Boisz się? — zapytała Mooi Klip.

— Skłamałbym, gdybym powiedział, że się nie boję. I nie jestem pewien, czy nie powinniśmy poczekać do ślubu. To przecież grzech... — Przerwał i po chwili mówił dalej. — Jakby to powiedzieć... — ściszył głos — to przecież cudzołóstwo.

— Jesteś mi oddany? — szepnęła Mooi Klip.

— Wiesz, że tak — odparł Hugh.

— Ja też jestem tobie oddana. Nie przyszedłabym tutaj dzisiaj, gdyby tak nie było, ponieważ przeczuwałam, że miałeś zamiar poprosić mnie o rękę. Gdybym nie była ci oddana, nigdy by mi nawet nie przyszło do głowy, żeby iść z tobą do łóżka.

— Wiem — zamartwiał się Hugh — wiem, ale to takie grzeszne.

Mooi Klip spuściła oczy.

— W takim razie poczekamy, jeśli uważasz, że tak będzie najlepiej. Jesteś przecież służącą Bożym.

Podeszła do drzwi i otworzyła je. Hugh stał w tym samym miejscu, twarz mieniła mu się z nadmiaru wrażeń, mocno zaciskał pięści. Gdy wchodziła do pokoju gościnnego, zawołał:

— Nie!

Mooi Klip odwróciła się. Spokojniejszym już głosem powiedział:

— Nie, nie chcę czekać, nieważne, czy to grzeszne czy nie. Będę musiał prosić Boga o przebaczenie, tak bardzo cię kocham. Słyszysz mnie? Nie chcę czekać. Nie mogę. Ani chwili dłużej.

Powoli Mooi Klip podeszła do niego i chwyciła za obie dłonie.

— Czy jakieś słowo oddaje to, co teraz czujesz? — zapytała.

— Słowo? — zmarszczył brwi.

— Tak się właśnie uczę nowych słów. Pytam ludzi, co czują.

Hugh roześmiał się, lecz był to raczej śmiech rozpaczny.

— Przychodzi mi do głowy tylko jedno: niesforny. Jestem prawdziwie niesfornym księdzem.

Pocałowali się jeszcze raz. Hughowi wydawało się, że ten pocałunek trwa całe wieki, bo jak w kalejdoskopie pojawiały się i znikwały obrazy przeszłości: Oval w Kennington, powozy zaprzężone w konie przy Piccadilly Circus, seminarium duchowne w Caterham, a potem widoki z zachodniej Afryki i z Przylądka Dobrej Nadziei, słomiane chatki, spalone przez słońce pustynie, gołe Hotentotki ze złotymi bransoletkami na ramionach, nagie dziecko przy bocznej uliczce.

Mooi Klip zwolniła uścisk i usiadła na łóżku.

— Chodź — powiedziała. — Chodź, to będzie wspaniałe. Przełknął ślinę, tak jakby miał za chwilę rozpocząć kazanie. Zrobił dwa kroki do przodu i zaczął rozpinać jej sukienkę na plecach. Mooi Klip siedziała spokojnie i z wdziękiem, a on opuścił jej sukienkę aż do talii i pochylił się do przodu, by pocałować jej ramiona.

— Co teraz? — zapytał niecierpliwie. — Nie mam doświadczenia, jeśli chodzi o te sprawy.

— Tutaj — uśmiechnęła się i pokazała palcem na jasnoniebieskie jedwabne wstążki przy białym bawełnianym staniku. Hugh ostrożnie za nie pociągnął i stanik zsunął się na jedną stronę, odkrywając jej pierś.

— O mój Boże — powiedział Hugh i wyciągnął rękę. Trzęsącymi się palcami dotknął jej ciała. Jej sutek zmarszczył się i stwardniał. Mooi Klip dotknęła jego policzka i pocałowała go.

Rozbierali się niezręcznie, lecz z wielką czułością. Po chwili Hugh leżał już na narzucie — jego twarz i ręce były czerwone od słońca, reszta biała. Mooi Klip uklękła przy nim, głaszcząc ciemne włosy na jego klatce piersiowej i nucąc jedną z tych szybko wpadających w ucho, monotonnych piosenek Griąua, których nie sposób było zapamiętać ani zapomnieć. „Ich muzyka jest jak smutne wołanie na wietrze” — powiedział po latach Hugh Ransome biskupowi z Bath.

— Kocham cię — wyszeptał Hugh drżącym z podniecenia głosem. — Nie umiem wyrazić jak bardzo.

Mooi Klip dotknęła palcem swoich warg. W milczeniu patrzył, jak jej dłoń zanurzyła się w gęstszych włosach na jego brzuchu i dotknęła sztywnego członka. Głaskała go namiętnie, przesuwając ręką po jego dziewiczym penisie. Potem uklękła na obu kolanach. Jej duże piersi kołysały się miarowo, gdy najwolniej, jak tylko umiała, opuszczała się na niego. Powoli, centymetr po centymetrze, pozbawiany był dziewictwa.

— Natalio — dyszał. — O Jezu Chryste, Natalio... Osiągnął orgazm bardzo szybko, lecz ona nie ruszała się z miejsca, gładząc go rękami po piersiach, dotykając jego sutków, całując i uspokajając. Po chwili rozluźnił się zupełnie i przycisnął ją do siebie.

Kochali się trzy razy. Zegar w pokoju gościnnym wybił dziesiątą i Mooi Klip musiała wracać. Wyskoczyła z łóżka, zdjęła sukienkę z oparcia krzesła i szybko się ubrała. Hugh leżał na łóżku z rękami pod głową, nie mogąc od niej oderwać wzroku, bojąc się, że za chwilę rozpułynie się jak duch.

Pochyliła się nad łóżkiem i pocałowała go w czoło.

— Mam nadzieję, że masz spokojne sumienie — szepnęła.

Teraz on z kolei ją pocałował.

— Tak, jestem w zgodzie z sobą, jestem w zgodzie z tobą i jestem w zgodzie z Bogiem. Tylko Bóg mógł wprawić mnie w taką ekstazę. Tylko Bóg mógł mi ciebie zesłać. Natalio, nie mogło mi się nic lepszego w życiu przydarzyć.

— Czy mam przyjść jutro?

— Ja przyjdę do ciebie. Obiecałem Pieterowi, że skończymy jego latawiec.

— A ślub? — zapytała.

— Oczywiście będę musiał napisać do biskupa. Ale nie ma żadnych powodów, żebyśmy nie mieli się pobrać na końcu lutego. Dostanę wtedy trochę więcej pieniędzy. Nie tak znowu bardzo dużo, ale wystarczy, by żyć na jako takim poziomie.

— Jeśli tylko nie zabraknie nam twojej gotowanej wołowiny i klusek z cebulą, to nie ma się o co martwić — uśmiechnęła się Mooi Klip.

Hugh owinał siew narzutę, przypominając teraz szejka o bardzo białej skórze i odprowadził Mooi Klip do drzwi.

— Nie wychodź na werandę — powiedziała. — Wiesz, jak ludzie z Klipdrift plotkują. Nie chcę ci popsuć reputacji.

— Wrócisz sama do domu?

— Oczywiście. Dobranoc, Hugh, mój kochany. Pocałował ją po raz ostatni.

— Myślę, że będę dzisiaj spał lepiej niż kiedykolwiek przedtem.



Hunt był wyjątkowo zjadliwy, kiedy przyszedł na obiad w czwartkowy wieczór. Opowiadał skomplikowaną i zdecydowanie niestosowną historię o dyplomacie z Capetown, który na przyjęciu zorganizowanym na cześć francuskiego ambasadora pojawił się jako Maria Antonina z dwiema czarnymi małpami, które wierciły się na wszystkie strony pod jego pożyczoną suknią, starając się za wszelką cenę wydostać na zewnątrz. Hunt irytował Barneya do granic wytrzymałości. Jako gospodarz domu zajmował główne miejsce przy stole, dłubał nerwowo w swojej potrawce z kurczaka i żałował, że w ogóle Hunta zaprosił. Lecz Joel, który poruszał się, podpierając swoje ciało na kulach i wprawiając je w ruch wahadłowy, siedział teraz naprzeciwko Hunta z kikutem mocno zahaczonym o stołową nogę i miał zupełnie inne zdanie w tej sprawie. Uważał, że Hunt jest doskonały i bez przerwy nazywał *gopitseleh*, swoją małą dziecinką. Sara też chyba dobrze się czuła w jego towarzystwie, chociaż od czasu do czasu rzucała Barneyowi zagadkowe spojrzenia, a za każdym razem, kiedy wybuchała śmiechem, mrużyła oczy i badawczo mu się przyglądała. Barney wiedział, że udawała rozbawienie tylko po to, aby go zirytować.

— W ciągu mojej wieloletniej służby kolonialnej pewnego razu wydarzyło się coś, co pamiętam aż do dzisiaj. To było niesłychanie śmieszne. Sir Butelkowe Piwo chciał opuścić flagę na tyłach Government House i ciągnął za złe sznurki — mówił Hunt. — Flaga tak się na górze okropnie zaplątała, że jeden z czarnuchów musiał wdrapywać się na maszt z nożyczkami w zębach, żeby ją zdjąć. Biedny sir Butelkowe Piwo pospieszył czym prędzej do środka i przez tydzień nie wychodził ze swego biura.

— Musi pan mieć zabawne życie — powiedziała Sara.

— Tak bardzo bym chciała pojechać do Capetown, ale mamy tu oczywiście dużo pracy, prawda, Barney?

— Okropnie dużo — wtrącił Joel. — Musimy nadzorować wschody i zachody słońca, musimy każdego dnia liczyć wszystkie łopaty, bo któryś z Murzynów mógłby którąś próbować ukryć w spodniach i przemyć do domu, musimy też przystrajać to mauzoleum na wypadek, gdyby jakiejś grubej rybie z Zarządu do Spraw Ochrony Przemysłu Górniczego przyszło do głowy złożyć nam wizytę. Ciężkie życie, *pitseleh*, proszę mi wierzyć.

Hunt, z winogronami w ręce, spojrzał kątem oka na Barneya. Zrobił figlarną minę i zachichotał.

— Drocą się z tobą, Barney. Ale nie mam im tego za złe. Nie jesteś tym samym człowiekiem co kiedyś, kiedy cię poznałem. Byłeś wtedy pełen nadziei, prawda? Pełen nadziei i szczęśliwy. Byłeś wtedy Żydem nie mającym grosza przy duszy, ale byłeś szczęśliwy. To ten diament. Przez niego stałeś się taki posępny. Słyszałem, że często tak bywa. Te kamienie potrafią wprawić człowieka w przygnębienie, wierz mi, przyjacielu.

— I pewnie jedynym sposobem na pozbycie się przygnębienia jest sprzedanie go tobie? — szydził Barney, dopijając wino.

— Oczywiście — powiedział Hunt, zerkając na Joela.

— Poczulbyś się o wiele lepiej, gdybyś pozbył się kamienia, który wywiera na ciebie taki zgubny wpływ. Gdzie twoje poczucie humoru, stary przyjacielu? Przez ostatnich dwadzieścia minut gonisz ten sam kawałek jedzenia po całym talerzu i jesteś przy tym tak wesoły jak dyrygent chóru kościelnego.

— Nie ma sensu go przekonywać — odezwała się Sara wyniośle. — Postanowił już sam zająć się tym diamentem, nawet jeśli nie będzie miał z tego żadnych zysków. Myślę, że to przez jego wychowanie. Bieda dotyka różnych ludzi na wiele różnych sposobów, ale nie ulega wątpliwości, że z Barneya zrobił się chomik. No wiecie, tak jak ci starzy włóczędzy z papierowymi paczkami pod

pachą, załadowanymi śmieciami i kawałkami sznurka.

Joela ogarnęła nagła wesołość. Krzyknął jak dzika gęś, tracąc przy tym prawie równowagę i rozsypując sól po całym obrusie.

— Sara zna swojego męża od podszewki, no nie? Oj, Saro! O Boże, moje biedne, obolałe *kishkas!* Wpędzi mnie do grobu!

Barney wstał i cisnął na podłogę swoją zmiętą serwetkę.

— Nie napijesz się brandy? — zapytała uszczypliwie Sara.

Barney potrzęsnał głową.

— Będziecie mi musieli wybaczyć. Niestety, muszę spędzić resztę wieczoru w bibliotece i zająć się dokumentami. W przyszłym tygodniu składamy ofertę na kupno tych trzech działek Quadrant i muszę wszystko dokładnie zbadać, muszę też przejrzeć raport Harolda dotyczący jakości ich diamentów.

— Nie ma sprawy, Barney, *bubeleh* — wyszczerzył zęby Joel. — Jestem pewien, że znajdziemy sobie jakieś zajęcie podczas twojej nieobecności. Może trochę brandy, Williamie, a może zagramy w karty? Saro?

Sara obserwowała Barneya poprzez srebrne kandelabry, które raziły ją w oczy, z wyrazem twarzy, jakiego nigdy przedtem nie widział. Na początku pomyślał, że się do niego uśmiecha, tak jak wcześniej tego wieczoru, więc odwzajemnił jej uśmiech. Lecz po chwili, kiedy blask światła prawie zupełnie go oślepił, zmrużył oczy i zobaczył, że patrzy na niego jak na obcego, tak jakby nie wiedziała, kim jest ani skąd go zna. Ten wyraz twarzy był dowodem na to, że Sara nic już nie czuła do swojego męża. Ta kobieta patrzyła na mężczyznę zajmującego główne miejsce przy stole, leżącego obok niej w łóżku i widziała w nim tylko nieznanego. Barney wiedział, że ich małżeństwo właściwie przestało istnieć, lecz teraz, po raz pierwszy wyraźnie zdał sobie sprawę z tego, że czuje się obco w swoim własnym domu. Spojrzał na Joela, który przedrzeźniał Hunta i wznosił za niego toast, potem znów spojrzał na Sarę i poczuł, że nie ma tu nic do roboty. Odsunął krzesło, wstał i wyszedł z pokoju.

Kiedy znalazł się już w bibliotece i zamknął za sobą drzwi, stał przez długi czas z ręką przy ustach, myśląc. Radził sobie z Sarą i z Joelem, kiedy rozmawiał z każdym z nich z osobna. Joel robił się wtedy drażliwy, a Sara wyniosła. Lecz teraz coraz bardziej zbliżali się do siebie, a Barney pozostawał coraz bardziej w tyle. Związek Joela i Sary opierał się na niezadowoleniu, poczuciu samotności i nie-przystawalności do otoczenia, co kontrastowało wyraźnie z odniesionym przez Barneya sukcesem. Pomyślał, że gdy poprzedniego wieczoru wszedł do pokoju Joela, wyglądali jak małe dzieci grające w karty, w pewnym sensie zachowywali się też jak małe dzieci. Mieli przed nim jakieś tajemnice, przerywali rozmowę w pół słowa, gdy wchodził, wymieniali spojrzenia i uśmiechy. Nie przypuszczał, żeby byli w sobie zakochani. Oni nie potrzebowali od siebie miłości. Lecz z całą pewnością dzielili swoje obawy oraz niepewność i byli ze sobą dużo bardziej szczerzy niż z Barneyem.

Przez długie letnie miesiące, kiedy Joel wracał do zdrowia, Barney kopał i nadzorował pracę na działkach diamentonowych przez dwanaście godzin dziennie, następnie wracał, w pośpiechu zjadał kolację, po czym pracował przez następne trzy godziny z Haroldem Feinbergiem. Przez cały ten czas Sara i Joel grali w wista: czasami w apartamencie Joela, kiedy bolała go noga, innym znowu razem na wewnętrznym dziedzińcu w cieniu połyskujących w słońcu dopiero co posadzonych drzew czereśniowych. Czasem sprzeczały się i gdy Barney był w domu, podnosił głowę znad swojego biurka w bibliotece, słysząc, jak Sara wyzywa Joela z przesadnym akcentem tresowanego pudła. Uśmiechał się wtedy i wracał do pracy. Kobieta i mężczyzna klóć się z taką zaciekłością tylko

wtedy, gdy chcą się do siebie zbliżyć. Starają się wtedy dotrzeć do siebie nawzajem, odkryć, co kryje się pod fasadą kłujących docinków i agresywnych szarad.

Wieczorami, pocąc się z gorąca, bólu i frustracji, Joel opowiadał Sarze o swoim dzieciństwie na Lower East Side, o tym jak papa zawsze faworyzował Barneya, sadzając go sobie na kolanach i ramionach. Opowiadał jej też o mamie, o tym, jak przytłaczała go nie tylko swoją miłością, lecz również coraz większą odpowiedzialnością, aż w końcu brakło mu po prostu powietrza. Opowiadał Sarze o rzeczach, których dokonał, i o tych, z którymi nie umiał sobie poradzić. Opowiadał jej o swoich sekretach, których nigdy nie wyznałby Barneyowi. Powiedział jej o swojej rudowłosej dziewczynie Meg i o tym, za co jej płacił.

Sara z kolei opowiadała Joelowi o starannym wychowaniu, jakie otrzymała, o swojej kapryśnej matce i małomównym ojcu. Opowiadała mu o życiu, które tylko na pozór było eleganckie i atrakcyjne, lecz tak naprawdę okazało się puste i pozbawione sensu.

Obydwoje mieszkali w ogromnych, pustych pokojach Vogel Vlei, on z bratem, któremu wszystko zawdzięczał, łącznie z życiem i kalectwem, ona z mężem, który kupował jej eleganckie stroje, wspinał diamenty, który był źródłem jej bezgranicznego rozgorzyczenia.

Barney podkręcił knot w lampie i podszedł do sejfu. Przez chwilę wahał się, ale potem otworzył go i wyjął diament. Leżał w ciemnościach, nie oświetlony. Jego diament. Kiedy Barney położył go na biurku, na białej kartce papieru, zaczął się mienić wszystkimi barwami tęczy.

— Nadam ci imię — powiedział. — Żaden kamień tak wspinał się jak ty nie może nie mieć imienia.

Podniósł kamień i zacisnął palce wokół niego. Miał wrażenie, że trzyma ludzkie serce.

— Daję ci imię Gwiazda Natalia.

Uplłynęło ponad pięć minut, zanim położył diament z powrotem na biurku. Nie odrywał od niego wzroku. Wiedział, że zwerbalizował właśnie swoje najgłębsze i najbardziej bolesne uczucia, ale nie chciał o tym dłużej myśleć. Strata była zbyt bolesna i zbyt dotkliwa.

Pracował przez jakąś godzinę, studiując dokumenty dotyczące Quadrant i pisząc długi list do firmy Ascher & Mendel. Prosił, by przysłali swojego przedstawiciela do Capetown, z którym mógłby przedyskutować obróbkę Gwiazdy Natalii. Odruchowo napisał też do Leah Ginzburg z Nowego Jorku, informując ją o tym, że bardzo ciężko pracuje i że się ożenił „z czarującą Angielką z Natalu”. Czuł, że gdyby opowiedział Leah o swoim małżeństwie, wszystko dałoby się jakoś naprawić. Jego współżycie z Sarą nie było aż tak znowu beznadziejne. Nadal się całowali. Nadal się kochali. Rozmawiali przy śniadaniu. Czego więcej trzeba?

Znowu spojrzął na diament i przypomniał sobie noc w chatce, którą spędził z Mooi Klip. Szeptala wtedy: „Kocham cię, kocham cię, kocham cię” — bez końca. Trwało to przez ułamek sekundy.

Wreszcie odłożył długopis, przykręcił lampę i wyprostował się. Miał właśnie włożyć Gwiazdę Natalię z powrotem do sejfu, kiedy przyszło mu do głowy podrażnić trochę Hun-ta. Zawinał diament w skórzaną szmatkę i zabrał ze sobą do pokoju gościnnego.

Sara, Hunt i Joel skończyli właśnie grać w karty. Śmiali się z jeszcze jednej skandalicznej opowieści Hunta. Tym razem opowiedział im o pewnym rekrucie z kolonialnego wojska, któremu pierwszego dnia podano ugotowane strusie jajo i powiedziano, że zupełnie nie wypada go nie zjeść. Gdy wszedł Barney, momentalnie zamilkli, a Joel wyciągnął rękę po dzwonek, chcąc powiadomić Horacego, że ma przynieść więcej brandy.

— Skończyłeś, kochanie? — zapytała Sara. Jej policzki zaróżowiły się od alkoholu i śmiechu.

Barney skinął głową.

— Przed chwilą. Będę musiał jutro wcześniej wstać i napisać dwa, trzy listy, zanim pójde do kopalni.

— Ty zapracowany biedaku! I pomyśleć, że my wszyscy możemy tu sobie spokojnie siedzieć i zabawiać się, podczas gdy ty musisz wychodzić, żeby nas utrzymać. Ale nie przejmuj się, pojutrze jest szabas i będziesz mógł trochę odpocząć!

— Obchodzicie tutaj w Kimberley żydowski szabas? — zapytał Hunt, unosząc brwi.

— Szabas to szabas, obojętnie czy w Kimberley, czy w Potter's Bar — odpowiedział Barney. — Nie zastanawiałem się nad tym, kiedy tu przyjechałem, ale teraz jest inaczej. Mam czas, żeby przypomnieć sobie o swojej przeszłości i o swoim Bogu.

— Zwykle ma te pięć minut, aby odmówić kilka modlitw w drodze z biblioteki do kopalni — powiedział Joel. — Może odmówić *shachris* podczas golenia, *mincha* w czasie lunchu, a *maireu* podczas wieczornego mycia zębów. Kiedy Murzyni napełniają mechaniczny bęben niebieską ziemią, ma czas, żeby odmówić *shema*, inne modlitwy odmawia w zależności od potrzeby.

— Nie wiedziałem, że z ciebie taki ortodoks — powiedział Hunt.

Barney usiadł.

— Bo tak nie jest. Kiedy przyjechałem tu, do Cape, zupełnie zapomniałem o Bogu. Religia nie wystarczała, aby przeżyć. Lecz teraz próbuję do Niego wrócić, a jedyną drogą jest modlitwa. Żydzi umieją się dobrze modlić, Williamie. Wierzą, że całe ich życie to nieustająca rozmowa z Panem. Dlaczego nie miałbym się modlić, kiedy ujrzałem tak wielki dowód na istnienie Pana?

W tym momencie Barney wyciągnął rękę i pokazał diament. Joel, który siedział na sofie, natychmiast się odwrócił, tak jakby Barney uderzył go w twarz. Lecz Hunt wstał, oszołomiony. Wpatrywał się w kamień, nie mogąc jeszcze uwierzyć, że na niego patrzy.

— Mój Boże — powiedział — nie miałem pojęcia. Barney ciągle trzymał go na wyciągniętej dłoni. Hunt podchodził coraz bliżej, z szeroko otwartymi oczami. Kiedy był już dosyć blisko, poprosił:

— Mogę?

Ostrożnie wziął diament do ręki.

— Nigdy czegoś podobnego nie widziałem — chrapliwym głosem powiedział Hunt. — Czuję się przy nim okropnie głupio. To znaczy... teraz w pełni rozumiem, dlaczego przywrócił ci wiarę w Boga, mój drogi przyjacielu!

— Na twoim miejscu dokładnie bym mu się przyjrzał — powiedział Joel. — Nigdy więcej go już nie zobaczysz. Stary Shylock będzie trzymał go w swojej skrzynce tak długo, aż umrze, wierz mi.

Hunt zbliżył kamień do lampy i barwy tęczy odbiły się na jego twarzy.

— To zadziwiające. Nie mam ci za złe, że chcesz go zatrzymać. Spójrzcie na te kolory!

— Bez przerwy powtarzam Barneyowi — odezwała się teraz Sara — że jest zbyt ładny, aby trzymać go w ukryciu, ale nie chce mnie słuchać, prawda, kochanie? Uważam, że cały świat powinien go podziwiać. Ale nie, Barney chce go tylko dla siebie. Chce go trzymać w sejfie, gdzie nic nie jest wart.

— Ten kamień ma swoje przeznaczenie — powiedział Barney i wyciągnął rękę po diament. — Zrobię wszystko, żeby trafił w odpowiednie ręce.

Hunt raz jeszcze obrócił diament w palcach, po czym oddał go Barneyowi.

— Nigdy nie będziesz pewien, czy trafi do właściwych rąk, stary przyjacielu. Kiedy umrzesz, a kiedyś przecież musisz, ten kamień będzie musiał torować sobie drogę w gąszczu polityki, finansów oraz ludzkich namiętności. Ty nie będziesz mógł nic na to poradzić. Więc co cię obchodzi jego przeznaczenie? Dam ci milion trzysta.

— Nie sprzedaję — powiedział Barney.

— Milion czterysta. Jestem pewien, że szef będzie zachwycony, kiedy go zobaczy.

— Tracisz czas, Williamie — powiedział Joel, w dalszym ciągu nie patrząc na diament. — Pieniądze nigdy Barneya nie skuszają, lubi tylko udowadniać wszystkim swoją niepodważalną wyższość. W Nowym Jorku mieliśmy specjalne określenie na takich ludzi jak on, ale nie chciałbym go tu powtarzać.

Hunt patrzył chciwie na diament, kiedy Barney zawijał go z powrotem w skórzaną szmatkę.

— Jestem w Kimberley jeszcze dzień lub dwa — powiedział. — Przemysł to. Milion czterysta w złocie i papierach wartościowych.

— Nie ma o czym mówić — skwitował Barney cichym, lecz stanowczym głosem. — A teraz napijmy się brandy. Saro, nie wiem, czy Kitty upiekła te holenderskie ciasteczka z cukrem? Może William ma ochotę na ciasteczko z cukrem.

Hunt wrócił na swoje miejsce i usiadł.

— Mam nadzieję, że wiesz, co twoja odmowa oznacza dla firmy braci Blitz? Nie byłbym zdziwiony, gdyby sir Bartle próbował odebrać wam licencję, nawet na drodze sądowej.

— To prawda — uśmiechnął się Barney. — Też bym się nie dziwił.

Kiedy później leżeli w łóżku, a księżyc oświetlał sypialnię słabym, srebrzystym blaskiem, Sara zapytała:

— Naprawdę nie sprzedasz go?

Barney prawie już zasnął, a kiedy usłyszał głos Sary, nie wiedział przez chwilę, co się dzieje.

— Co? — zapytał sennie.

— Chodzi mi o diament. Naprawdę nie sprzedasz go Huntowi?

— Już ci mówiłem. Nie chcę go sprzedawać nikomu, dopóki się go nie oszlifuje. Wtedy będzie dużo więcej wart.

— Ale nie mamy pieniędzy. I życie jest tu takie nudne. Nie widzisz, jaka jestem znudzona i nieszczęśliwa?

— Saro — westchnął Barney. — Nie chcę już do tego wracać. Napisałem do firmy Ascher & Mendel w Antwerpii. Za jakieś sześć miesięcy będziemy mogli wysłać diament do Europy i tam oszlifować. Może sami zawieziemy go do Belgii? Nie chciałabyś tam pojechać?

— Moglibyśmy pojechać, gdzie tylko chcemy, gdybyśmy sprzedali diament Huntowi. A Belgia to taki ponury kraj. A poza tym tak przecież nakazuje patriotyzm. To brytyjska kolonia i wszystkie wyjątkowe skarby tutaj znalezione powinny być przekazane królowej, ze zwykłej grzeczności. Jeśli nie sprzedasz diamentu Huntowi, jeśli nie pozwolisz, by nazwał go Gwiazdą Wiktoria, będzie to afront w stosunku do tronu brytyjskiego.

Barney podparł głowę na jednym łokciu i poprawił poduszkę.

— Po pierwsze, Saro, jestem Amerykaninem i nie mam żadnych zobowiązań w stosunku do królowej. Po drugie, nie ufam tym kolonialnym cwaniakom, nie mam też zaufania do tych ich tak zwanych „papierów wartościowych i złota”. Mam też wiele zastrzeżeń co do ich motywów.

— Och, jesteś taki podejrzliwy. Dlaczego, do licha, nie sprzedasz diamentu i z głowy?

Barney nie odpowiedział, przewrócił się tylko na drugi bok, wygodnie się ułożył i zamknął oczy. Rano miał do napisania trzy listy do prawników Quadrantu, więc musiał wstać o piątej. Praca w kopalni zaczynała się o szóstej, a chciał tam być wcześniej. Jego Murzyni zabiorą się wreszcie do pogłębiania dwóch najnowszych działek. Chciał wyrównać je z pozostałymi wykopami prowadzonymi na terenach braci Blitz. Jeśli wszystko pójdzie jak należy, to będzie wystarczająco dużo miejsca na wprowadzenie ekskawatora. Wtedy ponad dziesięciokrotnie zwiększy się

dotychczasowa produkcja.

Nie wiedział, że Sara przez całą noc leżała obok niego, nie zmrużywszy oka. Nie wiedział też, kiedy wychodził rano z sypialni i pochylił się nad łóżkiem, całując ją w czoło, że wcale nie spała. Lecz co najtragiczniejsze, nie miał najmniejszego pojęcia o tym, że nigdy więcej już jej nie pocałuje.

Rozmawiał w kopalni z kierownikiem robót, kiedy zauważył brak klucza do sejfu. Jadł ciastko z serem, popijając czarną herbatą z kubka. Popołudnie było wyjątkowo upalne i zanim usiedli na ustawionych pionowo skrzynkach z narzędziami przy starym podrapanym stole kuchennym, Barney zdjął kamizelkę i powiesił ją na najbliższej łopacie.

— Nie zostawiałbym tak kluczy — powiedział kierownik robót. — Murzyni mają w dzisiejszych czasach bardzo zwinne ręce. Mówią na nich „kawki”: biorą wszystko, co się świeci.

Barney wyjął z butonierki kółko z kluczami i rzucił na stół. Potem usiadł i wyjął papierową torebkę, którą dostał od Kitty po śniadaniu. Kierownik robót, niski, krępy Australijczyk z długimi jak u goryla ramionami, pałaszował już grubą pajdę chleba z kiełbasą i musztardą: w zasadzie musztardy było dużo więcej niż kiełbasy.

— Wczoraj późno wieczorem widziałem Dzentelmena Jacka — powiedział kierownik robót z pełnymi ustami. — Siedział na chodniku przed barem Dodda, pijany jak bela. Widział pan ten jego elegancki garnitur? Miał dziury na kolanach, łokciach i był tak obrzydliwie brudny, że aż śmierdział. — Sięgnął po kubek i wypił duży łyk żółtawej herbaty, by splukać chleb z kiełbasą. — Nie mam pojęcia, dlaczego pan tego Murzyna nie kazał aresztować i powiesić.

— To nie była jego wina, dlatego — powiedział Barney. — A poza tym nigdy już nie dostanie pracy na polach diamentowych, od nikogo.

— Stafford Parker kazałby go wykastrować.

— Być może. Ale ja nie jestem Staffordem Parkerem.

Spojrzał na klucze i popchnął je trochę, bo słońce odbijało się w mosiężnej owalnej blaszce z imieniem i raziło go w oczy. Klucze rozrzuciły się na kółku i wtedy właśnie zobaczył, że nie ma na nim klucza od sejfu. Marszcząc brwi, odstawił kubek i chwycił kółko. Dotykał klucza po kluczu, sprawdzając, czy się nie pomylił.

— Coś nie tak? — zapytał kierownik robót. Barney ścisnął klucze w dłoni.

— Nie wiem. Słuchaj, muszę na chwilę zajrzeć do domu. Dopilnuj, żeby ta boczna ściana nie zawaliła się, kiedy zaczną wykopywać resztki gruzu, dobrze? Nie chcę, żeby połowa działki Tennenta runęła na naszą.

— Oczywiście. Nie dokończy pan lunchu?

— Zjedz, jak jesteś głodny. Gdzie Michael? Zupełnie nie wiedział, co ma o tym wszystkim myśleć, gdy Michael wioził go po kamienistej drodze prowadzącej do Vogel Vlei. Co chwila wyjmował kółko z kluczami, przeszukiwał kieszenie kamizelki, ale bez skutku — klucza nie było. I na pewno go nie zgubił. Kółko wykonane było z twardej stali i Barney łamał sobie paznokcie za każdym razem, kiedy zakładał czy zdejmował jakiś klucz. Klucz do sejfu został specjalnie przez kogoś wyjęty, a ponieważ nie rozstawał się z kółkiem przez cały dzień, musiano to zrobić w nocy, kiedy spał.

Nie mógł to być Hunt, ponieważ nie wiedział, gdzie Barney trzyma klucze w nocy, pod skarpetkami, w szufladzie swojej komody. Nie mógł to też być Joel, ponieważ poruszał się jedynie o kulach, więc nie wśliznąłby się do sypialni Barneya, nie budząc go, niezależnie od tego, jak mocno by spał.

Nie chciał rozważać innych możliwości, lecz z drugiej strony, nie mógł się powstrzymać. Kiedy powóz wjeżdżał na obsadzoną po obu stronach drzewami drogę dojazdową do Vogel Vlei, zamknął

oczy, lecz zobaczył tylko Sarę; uśmiechniętą Sarę, gniewną Sarę, smutną Sarę. Duży biały dom stał pogrążony w ciszy, pełen majestatu, tonąc w gorącym popołudniowym słońcu. Kiedy Michael zajechał pod frontowe drzwi i zatrzymał powóz, Barney usłyszał tylko odległe pik-pik-pik narzędzi Murzynów pracujących w ogrodzie. Nie było słyhać żadnych innych odgłosów.

— Wraca pan z powrotem do kopalni, panie Blitzboss? — zapytał Michael.

— Nie wiem — odparł Barney. — Daj koniom wody, ale jeszcze ich nie wyprzęgaj.

— Tak jest, proszę pana.

Barney miał ochotę puścić się biegiem przez otwarte frontowe drzwi i hol. Kiedy był już przy drzwiach biblioteki, zobaczył Horacego przy drzwiach pokoju dla służby. Horacy zaczął gwałtownie wymachiwać rękami.

— Panie Dwunogi! Panie Dwunogi!

— Co się stało, Horacy?

— Nie ma ich, panie Dwunogi. Przepraszam, proszę pana. Mówiłem im, że powinni zaczekać. Ale powiedzieli mi, nie martw się, stary przyjacielu. Mówili, że może pan do nich później dołączyć. A może nie.

— Pojechali? Kto pojechał?

— Pan Hunt, proszę pana. I pan Jednonogi, i pani, i niania.

Barney złapał Horacego za rękaw.

— Czeka tu — przykazał mu i pchnął drzwi biblioteki. Szybko podbiegł do sejfu i pociągnął za rączkę. Ciężkie drzwi na grubych, naoliwionych zawiasach otworzyły się i Barney upewnił się w swoich obawach. Gwiazda Natalia zniknęła. Na jej miejscu leżał list zaadresowany do Barneya Blitza, z adnotacją „Do rąk własnych”. Barney rozpoznał dziecinny charakter pisma Sary — same pętelki, zakrętasy i zamaszyste spirale.

Trzęsącymi się dłońmi Barney wyjął list z sejfu i otworzył go. Na pojedynczej kartce papieru, wyrwanej z nowego notatnika i oznaczonej nagłówkiem „Vogel Vlei, Kimberley, Cape Colony”, Sara napisała: „Vincit Qui Patitur. Pozdrowienia, Sara”.

Horacy czekał wytrwale przy drzwiach, nerwowo prze-stępując z nogi na nogę na marmurowej posadzce. Barney zawołał do niego.

— O której wyruszyli? Wcześniej?

— W jakąś godzinę po tym, jak pan pojechał do kopalni, proszę pana. Wzięli lando, proszę pana, i sześć koni, cztery w zaprzęgu i dwa luzem. Powiedzieli, że jadą do Klipdrift na dzień lub dwa, żeby pokazać panu Huntowi tereny diamentonośne. Zapytałem, czy mam panu powiedzieć, dokąd się udali, proszę pana, a oni na to, że oczywiście. „Oczywiście, stary przyjacielu”, powiedzieli, proszę pana. „Do Klipdrift pokazać panu Huntowi tereny diamentonośne”

— To wszystko? Nie powiedzieli nic więcej?

— Nie, proszę pana, panie Dwunogi. Ale byli w wyśmienitych humorach, proszę pana.

— Tak — powiedział Barney. — Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej.

Był zaszokowany. Zrobiło mu się także zimno, choć wszystkie okna w bibliotece były pozamykane przed muchami i było duszno. Przez chwilę stał w miejscu, przy otwartym sejfie, z kartką Sary w ręce. Potem podszedł do biurka, otworzył lewą szufladę, wyjął swój rewolwer marki Shopkeeper, z którego o mało co nie zastrzelił kiedyś Joela. Dobry Boże, szkoda, że wtedy tego nie zrobił. Nie powinien był żenić się z Sarą, powinien już dawno pozbyć się Joela. Otworzył rewolwer, wyjął pudełko z nabojami i nabił go pięcioma. Wątpił, czy rzeczywiście strzeli do któregoś z nich. Nie mógł sobie wyobrazić strzelania do Hunta czy Nareez, nawet do Joela, a tym bardziej do Sary. Lecz samo załadowanie broni dodało mu siłę, zwiększyło jakby szansę na odzyskanie diamentu.

— Horacy — powiedział, dając mu jednocześnie znak, by się zbliżył. Horacy podszedł do biurka i czekał na polecenia. — Przygotuj skórzaną torbę. Zapakuj tak szybko, jak tylko możesz. Włóż kilka czystych koszul, przybory do golenia, skarpety, bieliznę. Przygotuj też dwa koce. I powiedz Kitty, żeby do drugiej torby włożyła chleb, suszone mięso i fasolę.

— Tak jest, panie Dwunogi.

— Wyjeżdżam przynajmniej na jeden dzień — powiedział Barney — może dwa. Dobrze zamykaj dom na noc. Nie wpuszczaj żadnych włóczęgów, kupców czy druciarzy. Zrozumiałeś? Jeśli ktoś będzie o mnie pytał, powiedz, że musiałem nagle wyjechać do Oranjerivier. Jasne?

— Tak, proszę pana.

— Dobrze. To ruszaj się. Wyjechali zaledwie przed pięcioma, sześcioma godzinami, żadne z nich nie zna zbyt dobrze drogi. Powinienem dogonić ich w Modderivier.

— Panie Dwunogi? Myślałem, że pojechali do Klipdrift, proszę pana. To nie w tym kierunku.

Barney potrząsnął głową

— Tych czworo mogło pojechać tylko w jednym kierunku, prosto do Capetown. Powiedz Michaelowi, żeby osiodłał Jupitera, jeśli go nie zabrali. Chcę wyruszyć jak najszybciej.

Za pół godziny kasztanowaty koń był osiodłany i przygotowany do drogi. W tym czasie Barney przebrał się w strój do konnej jazdy koloru khaki, a na głowę włożył kapelusz z szerokim rondem. Michael, który trzymał konia za cugle, powiedział:

— Może pojechać z panem, panie Blitzboss?

— Nie, dziękuję — odparł Barney. — Kiedy dogonię tych czworo, chcę być sam, bez świadków. Poza tym w ten sposób będzie szybciej.

— Proszę na siebie uważać, panie Blitzboss. Barney cmoknął na konia i ruszył drogą dojazdową pomiędzy drzewami w kierunku Capetown. Jego czarni służący patrzyli, jak odjeżdżał, a kiedy zniknął im z oczu, skierowali się ku domowi, stąpając po rozgrzanym żwirze. Nie przyszło im nawet do głowy, że w tym ogromnym klasycystycznym dworku zostali właściwie sami; nie było już w nim nikogo, do kogo zwracaliby się „szefie”. Horacy powoli zamknął za nimi drzwi i przekręcił klucz w zamku.

Barney jechał na południowy zachód po pokrytym bujną roślinnością stepie, a wiatr porywał kurz unoszący się spod kopyt Jupitera i unosił go na zachód. Słońce zaczynało się właśnie chylić ku zachodowi, a krajobraz stawał się purpurowy i tajemniczy jak piec koksowy widziany przez muślinową zasłonę. W oddali, na zachodnim horyzoncie, smukłe gazele biegły w stronę drzew, zwiastując swoją własną, zbliżającą się zagładę.

Potrzebują przecież zapasów, pomyślał. Nie odważą się — dwie kobiety, kaleka i stuprocentowy mieszczuch, jakim był Hunt — przemierzyć trzystu mil przez step i pustynię w ciągniętym przez konie landzie, bez wody, jedzenia i przewodnika. Oczywiście Hunt przywiózł ze sobą pewnie przewodnika z Capetown, a poza tym w Kimberley pełno było leniwych, niezaradnych tubylców, którzy z chęcią wskażą im drogę przez Great Karoo za kilka funtów i butelkę whisky. Lecz przewodnik oznaczał jeszcze jedną osobę dodatkowo. Koniom ciężiej będzie wtedy ciągnąć, a koła będą grzęznąć przy przeprawach przez rzeki czy podczas jazdy przez grząski piach.

Za dużo ich było, byli zbyt mało doświadczeni, a jeśli myśla, że Barney uwierzył im i pojechał za nimi do Klip-drift, może nawet się nie spieszą. Jeśli nie dogoni ich w Modderivier, jakieś dwadzieścia mil stąd, na pewno zatrzyma ich, zanim dojadą do Belmont. Myślał, co powie i co zrobi, kiedy stanie z nimi oko w oko, i wszystko już sobie ułożył w głowie. Wiedział, że najtrudniej będzie mu z Sarą. Kradnąc Gwiazdę Natalię, faktycznie rozwiązała ich związek.

Całą tę sprawę pogarszał jeszcze fakt, że zabrała Barneyowi kamień, któremu nadał imię



kobiety, którą naprawdę kochał, lecz Sara nie miała o tym zielonego pojęcia.

Tuż przed zapadnięciem zmroku, kiedy słońce skryło się za odległymi górami, lecz niebo jaśniało jeszcze jasnoniebieskim światłem, Barney dotarł do małego gospodarstwa rolnego — jeden domek z dachem z blachy falistej i kilka stajni, szalasów oraz pokrytych słomą zagród. Zsiadł z konia i zaprowadził go do koryta z wodą przy płocie. W powietrzu roiło się od komarów, a blade światło na niebie odbijało się w korycie, z którego pił Jupiter.

Na końcu podwórka otworzyły się drzwi i Barney zobaczył pomarańczowe światło lampy. Czyjś głos zawołał:

— Kto tam?

— Zatrzymałem się, żeby napić konia! — odkrzyknął Barney. — Jadę do Modderivier.

— Może pan też się napije? — Mężczyzna mówił z wyraźnym afrykańskim akcentem.

— Dzięki. Przywiążę tylko konia i już idę.

W domku, przy zwykłym drewnianym stole siedziała rodzina składająca się z dziesięciu osób: pomarszczony przez słońce farmer, Bur, jego silna żona i gromadka ośmiorga dziewcząt i chłopców. Wszystkie dzieci miały blond włosy i były do siebie podobne jak kręgle, wszystkie miały wystające kości policzkowe i zadarte nosy. Żona wyjęła z wysokiego, żółtego, drewnianego kredensu niebieski holenderski talerz. Nałożyła gościowi dużą porcję gulaszu z dziczyzny i mączystych ziemniaków. Farmer przyniósł butelkę brandy i nalał do małego kieliszka z grubymi brzegami.

— Jesteś bardzo hojny — powiedział Barney. — Myślałem, że będę musiał zjeść kolację w siodle.

— Źle robi na żołądek, człowieku — powiedział farmer. — Mój stary ojciec zawsze powtarzał, że wszystko można robić na stojąco, z wyjątkiem jedzenia. — Wyciągnął rękę nad stołem, żeby uścisnąć Barneyowi dłoń. — Nazywam się Marais Brink, to moja żona Elsa i małe Brinki. No, nie takie już znowu małe. Barend, mój najstarszy syn, kończy dwadzieścia lat w przyszłym miesiącu. Marietjie ma trzy lata.

— Szukam czterech, może pięciu ludzi — powiedział Barney, ułamując sobie kawałek chleba. — Mają czteroosobowy powóz i dwa konie luzem.

Marais Brink wpackował sobie duży kawałek mięsa do ust i Barney musiał cierpliwie czekać na odpowiedź. Mężczyzna powoli i dokładnie przeżuwał mięso, popił łykiem brandy i przełknął ślinę.

— Nikt taki tu nie przejeżdżał, człowieku. Nie dzisiaj. Dzisiaj mieli przejeżdżać, tak?

— Dzisiaj rano, o jedenastej, może o dwunastej. Trudno by ich było nie zauważyć.

— Zapytam swojego robotnika, ale sam dzisiaj byłem na podwórzu przez całe przedpołudnie, bo naprawiałem pług. Nie przeoczyłbym takiej procesji.

— Tylko tutaj mogliby przejeżdżać, prawda? Obok twojej farmy?

— Tak, zgadza się. — Marais Brink skinął głową. — Nie mogliby przejechać od tyłu, nie powozem, ze względu na rowy. Nie mogą też za bardzo zboczyć z traktu, bo wokoło pełno drzew, kamieni, no i poza tym płynie tu rzeka. Więc wszyscy przejeżdżają obok mojej farmy, od frontu, człowieku. Nic nie ujdzie mojej uwagi.

Elsa Brink poczęstowała Barneya gulaszem, ale podniósł tylko rękę.

— Dziękuję bardzo, ale nie dam rady. W pościgu za tymi ludźmi straciłem apetyt.

— Coś panu zabrali? — zapytała Elsa Brink, kładąc z powrotem pokrywkę na garnek z gulaszem.

— Można to tak nazwać.

— Ciężkie czasy, człowieku — powiedział Marais Brink. — Dużo więcej kradzieży niż przedtem. Były czasy, kiedy można było zostawić konie na noc. Ale nie teraz. Miesiąc temu zabrali

mi muła. Tak jakby życie nie było już i tak dostatecznie ciężkie.

Barney wpatrywał się w niego nieprzytomnym wzrokiem. W końcu dotarło do niego, co powiedział farmer, zamrugnął oczami i skinął głową.

— Masz rację. Jest bardzo ciężko.

Po kolacji zaprosili go do swojego domu na noc. Siedział teraz zamyślony w wiklinowym krześle przy ogniu, popijając brandy, a dzieci śpiewały piosenki. Najstarszy syn, Barend, grał na skrzypcach. Barney rozmyślał o kamienicze na Clinton Street, o Leib Ginzberg, o tańcach *mazel tov* na górze. Myślał o Leah i Moishem. Dudnienie drewnianych wiader na zewnątrz domu Brinków tak bardzo przypominało mu dudnienie rzucanych zwojów materiału w ich pracowni krawieckiej, że usiadł prosto i przez długą chwilę zastanawiał się, gdzie właściwie jest. Był sam, tysiące mil od Lower East Side, w środku nocy, w małym domku Burów w Afryce, bez żony, brata, kobiety, którą kochał, i bez największego diamentu, jaki został wydobyty na tym kontynencie. Zapomniał o czymś jeszcze. Dzisiaj była wigilia szabasowa. Zwrócił się do Marais Brink:

— Czy masz coś przeciwko temu, że odmówię modlitwę? Nazywamy ją *Kiddush*. To szabasowa modlitwa.

— Jest pan Żydem? — zapytała Elsa Brink. Barney kiwnął głową.

— Żydem z Ameryki, daleko od domu.

— Dla Żyda to normalne, że przebywa daleko od domu, prawda? — zapytał Marais Brink. — Proszę odmawiać swoje modlitwy. Wszyscy mamy tego samego Boga.

Później, kiedy Barney nie mógł zasnąć na twardej, drewnianej pryczy w jednej z przybudówek, przy bladym, smutnym świetle księżyca wpadającym do środka przez okno bez zasłon, powtórzył słowa, które już dzisiaj raz wypowiedział, słowa, od których zaczynała się modlitwa *Kiddush*. Szukał w nich pociechy. „W ten sposób zostały ukończone niebo i ziemia oraz wszystkie jej zastępy. A dnia siódmego Bóg zakończył całą swoją pracę i odpoczął...”

Lecz Barney nie zmrużył nawet oka. Księżyc schował się za porannymi chmurami, niebo robiło się coraz jaśniejsze, a po drugiej stronie podwórza kogut zaczynał swe pianie. Wstał z łóżka i podszedł do okna. Był wykończony.

Jeśli nie pojechali do Capetown, to gdzie? Na pewno nie do Klipdrift, nie mieli tam po co jechać, nie dostaliby się stamtąd nawet nad morze. Nie na wschód, do Orange Free State czy przez góry do Natalu. Jaki by to miało sens? Żadnego, chyba że Sara liczyła na to, że jej ojciec pomoże im wydostać się z Afryki Południowej albo sprzeda diament na czarnym rynku IDB. Tylko że na czarnym rynku nie dostaną za niego miliona funtów. Gwiazda Natalia była duża i za bardzo się wyróżniała. Konsorcjum brytyjskich biznesmenów Hunta, jeśli w ogóle istniało, zdecydowało się kupić diament za milion czterysta, lecz tylko pod warunkiem, że zostanie zaprezentowany Jej Wysokości jako Gwiazda Wiktoria.

Więc dokąd Hunt, Joel i Sara pojechali z kamieniem i dlaczego? Wokoło mnóstwo było kupców i pozbawionych skrupułów kolekcjonerów, gotowych zapłacić nie więcej niż trzysta tysięcy funtów bez zadawania zbędnych pytań. Lecz Haroldowi Feinbergowi potrzebny był zaledwie miesiąc lub dwa, by powiadomić wszystkie gazety. W ten sposób wszyscy handlarze diamentów z miejsca dowiedzieliby się o zaginięciu Gwiazdy Natalii i każdy, kto chciałby ją ponownie sprzedać, musiałby z wielką ostrożnością wybrać odpowiedniego klienta albo też pociąć diament na dwadzieścia, trzydzieści kawałków i sprzedawać każdy osobno. Tak czy owak, Sara i Joel otrzymaliby zaledwie drobną część sumy, jakiej mogliby zażądać, gdyby udało im się sprzedać diament legalnie.

Zawsze znajdą się jacyś podejrzani kupcy diamentów, lecz kamienie trzeba było nieraz

wielokrotnie sprzedawać, aby ich wartość odpowiednio wzrosła. Kiedy brytyjski kapitan zabił niewolnika, który ukradł diament o nazwie Regent z kopalni Parteał, obiecawszy mu przedtem, że zabierze go z Indii, sprzedał potem kamień indyjskiemu kupcowi diamentów Jaurchundowi za jedyne tysiąc funtów. Jaurchund musiał zachować wielką ostrożność, informując dyskretnie, że ma „wyjątkowo duże diamenty na sprzedaż”. Kiedy odwiedził go Thomas Pitt, dziadek Williama Pitta i zarządca Fortu St. George koło Madrasu, Jaurchund, chcąc nie chcąc, musiał opuścić cenę i sprzedał go ostatecznie za mniej niż dwadzieścia tysięcy funtów. Pitt wysłał Regenta do Anglii i kazał go tam oszlifować, otrzymując stuczterdziestoipółkaratowy brylant bez skazy, który sprzedał następnie w 1717 roku regentowi Francji, księciu Orleanu, za sto trzydzieści pięć tysięcy funtów. Niestety, nie pomogło to niewolnikowi, kapitanowi czy Jaurchundowi, a Hunt i Sara byli w takiej samej sytuacji jak kapitan.

W tej chwili jednak nieważne było, ile im zapłacą, czy jak czujni będą kupcy — Gwiazda Natalia mogła już nigdy nie powrócić do Barneya. Jedno było pewne, jeśli Barney nie pospieszy się i nie odszuka Gwiazdy Natalii, znajdzie się ona poza jego zasięgiem; zostanie oszlifowana, sprzedana, oprawiona i zamknięta w jakichś prywatnych zbiorach na drugim końcu świata. Barney przypomniał sobie, co mówił dziennikarzom o Gwieździe Natalii, że to diament jedyny w swoim rodzaju, odkrycie wszechczasów. Miał rację. Istotnie tak było. Nawet gdyby stał się właścicielem całej kopalni Kimberley i kopał tak głęboko, jak by się tylko dało, nigdy już nie znajdzie drugiego diamentu tak dużego i doskonałego zarazem.

Czuł się tak, jakby jego żona i brat odebrali mu nie tylko diament. Stracił też całą motywację do pozostania w Afryce, walka z Rhodesem straciła nagle sens, bezsensowny wydawał się też powrót do religii i Boga. Gwiazda Natalia mogła stać się uosobieniem absolutnej prawdy, lecz zbyt łatwo można ją było ukryć w kieszeni złodzieja i wywieźć daleko stąd.

Rano o szóstej zjadł śniadanie z rodziną państwa Brink. Na kredensie, w niebieskim dzbanku na mleko, zostawił im pięciofuntowy banknot. Potem odjechał wolno w stronę Kimberley, do Vogel Vlei, gdzie służący z cierpliwością czekali na jego powrót. Czekał na niego ktoś jeszcze, i to ze strzelbą.

Był to Alf Loubser, hodowca owiec z Beaufort West, i wyglądał niezwykle groźnie. Swoim wozem zaprzężonym w osiemnaście wołów zajechał przed frontowe drzwi Vogel Vlei. Gmatwanina rogów, upręży, cugli i leniwych ogonów przedstawiała widok imponujący. Alf Loubser siedział na wozie długą strzelbą myśliwską na kolanach. Obok niego, w pasiastej bawełnianej sukience, w kapeluszu z wystającym do przodu rondem, z rękami skromnie spoczywającymi na kolanach, siedziała Louise, jego córka, dziewczyna, z którą Barney kochał się po raz pierwszy. Było to wiele lat temu, w ciepłą, gwiazdzistą noc.

Barney zszedł z konia i ociężałym krokiem podszedł do wozu, prowadząc konia za luźno wiszące lejce.

— Alf Loubser, prawda? — zapytał, zdejmując kapelusz i zasłaniając ręką oczy od słońca. — A to Louise. Ale wydoroślałaś, co, Louise?

— Wydoroślała zaraz po twojej wizycie na naszej farmie — skwitował Alf Loubser chrypliwym głosem.

Barney stanął w miejscu i kątem oka spojrzał na Loubsera. Słońce było akurat na wprost, za głową Loubsera.

Przeświecało przez płócienny dach wozu i zamazywało twarz farmera, a także jego przymrużone oczy.

— Nie wiem, do czego zmierzasz — powiedział Barney.

— Nie wiesz? Chyba nie chcesz zaprzeczyć?

— Gdybym wiedział, czemu mam zaprzeczyć, może bym zaprzeczył. Słuchaj, powiedz chłopcom, żeby nakarmili i napoili te bestie, wejdź potem do środka i porozmawiamy jak cywilizowani ludzie, wszystko jedno o czym. — Przyjechaliście aż z Beaufort?

— Można tak powiedzieć. Mam kuzynów w Hoptown. Pojechaliśmy ich odwiedzić.

— To chodźcie do środka. Przyda się wam chyba coś do zjedzenia, mnie też. Pomogę ci, Louise. Alf Loubser wymierzył do niego ze swojej strzelby.

— Ona nie potrzebuje twojej pomocy, człowieku. Zostaw ją w spokoju.

— Chciałem tylko pomóc.

— My nie potrzebujemy twojej pomocy. Możemy się bez niej obejść.

Michael wyszedł zza stajni i wziął Jupitera za cugle. Barney polecił mu przyprowadzić czterech, pięciu chłopców, żeby zajęli się wołami Alfa Loubsera. Woły ciągnące wóz o długości osiemnastu stóp mogły się posuwać ze średnią prędkością pięciu mil dziennie i zwykle po tak długiej drodze potrzebowały jednego dnia na odpoczynek. Furman był też bardzo zmęczony: pełen wóz wraz z zaprzęgiem mierzył sto dwadzieścia stóp, licząc od pierwszego wołu do ostatniego koła. Bardzo często trzeba było się też zatrzymywać z powodu błota, piasku czy wyboistej drogi.

— Okropne tu tereny — powiedział Alf Loubser, gdy wyprzęgano jego woły i prowadzono je do koryt z wodą i paszą.

Barney spojrział na pokrytą łajnem drogę.

— I nic nie zrobiłeś, żeby to jakoś zmienić, co?

Alf Loubser starał się wyglądać groźnie, ale nie mógł się dłużej powstrzymać od śmiechu.

— Nie wiedziałeś, że żwir też potrzebuje nawozu, człowieku, tak jak wszystko inne?

— Pewnego dnia afrykańskie poczucie humoru przebija się przez moją grubą żydowską czaszkę — powiedział Barney. — Wejdź do środka. Aha, możesz zostawić swoją strzelbę Horacemu.

Alf Loubser zmarszczył brwi, gdy pojawił się Horacy i stanął posłusznie przy drzwiach. Zwrócił się do Barney a:

— Nie mogę oddać mu strzelby, człowieku. To twój służący.

— Chcesz powiedzieć, że przyjechałeś tu z zamiarem zastrzelenia mnie?

— Dlaczego nie miałbym tego zrobić, kiedy tak zostawiłeś Louise? Kiedy ją zostawiłeś, po trzech miesiącach urósł jej brzuch, a po dziewięciu urodziła małą dziewczynkę.

Barney spojrział w pierw na Alfa Loubsera, na jego czerwoną, spoconą twarz i oczy blade jak wyblakła na słońcu niebieska koszula, a potem na Louise, która wciąż była na swój sposób ładna, lecz nie zmieniła się wcale od czasu, kiedy z nią spał. Tania bawełniana sukienka wisiała na jej wątłym ciele, a pod oczami widać było fioletowe sińce. Jej kostki robiły się coraz grubsze, a na nogach miała ciemnoniebieskie żyły. Za rok czy dwa będzie wyglądać tak samo jak każda inna zapracowana Holenderka, krzątająca się po gospodarstwie rolnym.

— Dziecko jest twoje, Barney — powiedziała. — Nie spałam z nikim innym miesiąc przedtem ani miesiąc potem.

— Daj Horacemu broń — powtórzył Barney. — Nie będę o tym rozmawiał, kiedy wymachujesz mi przed nosem naładowaną strzelbą myśliwską.

Alf Loubser oddał niechętnie broń, a Horacy biorąc ją do rąk, kiwnął uroczyście głową.

— Wejdźcie do środka — powiedział Barney. — Każę podać herbatę i mięso na zimno. Jesteście głodni?

— Ja tak — powiedziała Louise, lecz jej ojciec spiorunował ją wzrokiem.

Barney zaprowadził ich do pokoju gościnnego. Barneyowi wydał się zimny i obcy bez Sary,

lecz Alf Loubser i Louise rozglądali się z zachwytem. Spoglądali na ściany o morowym deseniu, na zegar z połączanego brązu z cheru-binkami, na wrzecionowate, eleganckie, francuskie meble. Barney podszedł do okien i otworzył je na oścież, by wpuścić świeże powietrze. Ciepły wiatr owiał im twarze.

— Więc chcecie mi powiedzieć, że jestem ojcem, co? — zapytał.

— Nie ulega wątpliwości — odpowiedział Alf Loubser. — Jest nawet do ciebie podobna. Ma ciemną skórę i kręcone włosy.

— Ile ma lat?

— Prawie dziewięć. Jest jeszcze mała, ale za to sprytna.

Barney patrzył ponad polami, na drzewa.

— To było naprawdę dziewięć lat temu? Nie wiem, czy to dawno temu czy nie.

— Nazwaliśmy ją Heloise — powiedział Alf Loubser nie bez dumy. — Ja i żona wychowujemy ją jak własną córkę. Wszyscy w Beaufort myślą, że to nasza córka. Będzie dobrze pracować, kiedy dorośnie.

— Macie jej zdjęcie?

— Zdjęcie?

— A skąd mam wiedzieć, że ona naprawdę istnieje, jeśli nie macie nawet jej zdjęcia?

Alf Loubser wydał dolną wargę.

— O co ci chodzi? Oczywiście, że istnieje! Sam pocałowałem ją w policzek w Beaufort, nie więcej niż dwa miesiące temu!

— To żaden dowód. Pocałunek już wysechł.

Louise pociągnęła ojca za rękaw i powiedziała:

— Masz świadectwo urodzenia. Jest w pudełku z Biblią, na wozie.

— No dobrze — powiedział Barney. — Powiem Horacemu, żeby je przyniósł.

— Co to to nie — obruszył się Alf Loubser. — Ten twój Murzyn może je równie dobrze wziąć i spalić, a potem powiesz, że nie mieliśmy żadnego dowodu. Louise, idź i przynieś.

Louise wyszła, a Barney ruchem ręki pokazał Alfowi Loubserowi, żeby usiadł. Hodowca owiec usiadł niezgrabnie na samym brzegu małego, połączanego krzesła, szeroko rozstawiając nogi i krzyżując ręce na piersiach.

— Przypuszczam, że przyjechaliście tu po pieniądze — powiedział Barney.

— Właściwie to tak — odpowiedział Alf Loubser, wyraźnie już mniej zacierzwiony niż przedtem. — Normalnie wcale bym się ich nie domagał. Wiem, że Louise miała kilku kochanków, chociaż ostatnio nie tak znowu dużo, więc zajście w ciążę to normalna rzecz i trzeba się z tym liczyć. Lecz wiem, że Heloise jest twoją córką i teraz,

kiedy dorasta, potrzebuje rzeczy, butów i chcemy posłać ją do szkoły. Więc kiedy Simon de Koker powiedział, że znalazłeś ten wspaniały, wielki diament, no to... pomyślałem sobie, że poproszę o jakiś skromny datek. Barney przetarł oczy.

— Rozumiem. Więc mogę za to podziękować mojemu staremu przyjacielowi Simonowi de Kokerowi? Kiedy się z nim ostatnio widziałeś?

— Jakieś dwa miesiące temu. Po raz pierwszy od wielu lat. Przestał pracować jako przewodnik w siedemdziesiątym, może w siedemdziesiątym pierwszym roku.

— Co teraz porabia?

Alf Loubser przyłożył do ust serdelkowaty palec poplamiony chemikaliami, w których kąpie się owce.

— Cicho, cicho, nie mogę powiedzieć.

— Jakaś tajemnica?

Alf Loubser przysunął swoje krzesło o kilka centymetrów bliżej i pochylił swoją krótko ostrzyżoną głowę do przodu, nerwowo spoglądając przy tym na boki.

— Między nami mówiąc, jest tajnym agentem. Uwierzyłyś? Pracuje dla ludzi z rządu starego Pretoriusa, dla Transvaalu. Próbują obalić Brytyjczyków i przywrócić niezależną republikę Burów. Ale nikomu nie mów, że to ja ci powiedziałem.

Barney pokręcił głową.

— Nikomu nie powiem. Ale co robił aż w Beaufort, jeśli pracuje jako tajny agent w Transvaalu?

— Mnie o to nie pytaj! O tym, co on robi, cicho, sza. Dzisiaj nie powiem ci nawet, jakiego koloru kapelusz nosi na głowie. Wiem tylko to, że dwa miesiące temu przejeżdżał obok mojej farmy i miał ze sobą drobnego Anglika, takiego małego karła, nie większego niż Heloise, ale za to gustownie ubranego, w elegancki garnitur, no wiesz. Mówili, że jadą do Kimberley w interesach, to wszystko.

Wszedł Horacy i Barney poprosił o herbatę.

— Ale przecież mówiłeś, że Simon de Koker opowiadał ci o moim diamencie? — zapytał Alfa Loubsera.

Alf Loubser wzruszył obojętnie ramionami.

— Byli na dole w kuchni i rozmawiali do dwunastej w nocy. Zszedłem, żeby zapytać, czy czegoś nie potrzebują, to wszystko.

— I przez przypadek usłyszałeś, o czym rozmawiają? — zapytał Barney, unosząc brwi.

— To mój dom! — zawołał Alf Loubser.

— Oczywiście — zgodził się Barney. — Nic się przecież nie stało. Więc powiedz, co słyszałeś.

— Nie mówili dużo. Simon de Koker narzekał na pogodę. Potem ten mały Anglik mówił coś o tobie, o tym diamencie, który znalazłeś i ile jest wart. Nic więcej o tym nie mówił i po chwili poszli spać. Ale rano rozmawiałem z pastorem w kościele i on mi powiedział, że przeczytał w gazecie o tym diamencie, więc wiedziałem, że ten mały Anglik mówił prawdę. Omówiliśmy to z żoną i doszliśmy do wniosku, że powinienem złożyć ci wizytę w Kimberley i poprosić o pieniądze na Heloise.

Barney wstał i podszedł do otwartych oszklonych drzwi. Wszedł na dziedziniec. Alf Loubser obserwował go z niepokojem z pokoju gościnnego.

— Nie powiesz nikomu o tym, co ci powiedziałem? — zawołał Alf Loubser niepewnym głosem. — Niektórzy z tych Burów całkiem dobrze strzelają, a przy tym są bezwzględni.

Barney potrząsnął głową, chociaż nie wiedział, czy Alf Loubser to widział. Myślał o tym, co właśnie usłyszał od hodowcy owiec. Jeśli Alf Loubser widział Hunta w towarzystwie Simona de Kokera, a Simon de Koker był agentem Burów w Transvaalu, to Hunt na pewno nie pracował już dla Government House w Capetown, a przecież mówił zupełnie co innego. Wszystkie te historie o sir Bartle'u Frere i poplątanej brytyjskiej fladze, o świeżo upieczonych dyplomatach zmuszanych do połykania strusich jajek były wymyślone. Były owocem wybujałej wyobraźni Hunta, który pragnął, by cała ta bajeczka o odwracaniu uwagi od wojny z Zulusami za sprawą błyszczącego diamentu, brzmiała bardziej wiarygodnie. Chciał też oczywiście zirytować przy okazji Barneya.

Teraz, kiedy Barney był w stanie myśleć bardziej logicznie, stwierdził, że Hunt prawdopodobnie nie pracował już dla Government House. W końcu od czasu gdy Barney go poznał, zarządca zmieniał się już kilkakrotnie i Hunt stracił pewnie pracę wiele lat temu, kiedy sir Philip Woodhouse powrócił do Anglii. Poza tym homoseksualizm przeszkadzałby mu w zrobieniu kariery w

sektorze państwowym. W dodatku prawie wszyscy ci wyedukowani faceci w Government House byli strasznie nudni i prostolinijni, nie chcieliby więc na pewno zostać przyłapani z opuszczonymi spodniami za moskitierą jakiegoś innego faceta.

Barney nie miał żadnego dowodu, ale wydawało mu się prawie pewne, że Gwiazda Natalia miała powędrować do Burów jako symbol ich niepodległości oraz roszczeń w zachodniej Griaualandii lub jako środek zapewniający sfinansowanie powstania zbrojnego przeciwko Brytyjczykom, a może jako jedno i drugie. Może Hunt nie miał wcale zamiaru zapłacić za diament? Może konsorcjum biznesmenów też było jego wymysłem, a on przybył do Vogel Vlei ze swoją ekstrawagancką ofertą zapłacenia miliona czterystu tylko po to, żeby przekonać się, jak trudno będzie ukraść diament z sejfu Barneya? Jeśli tak było, Hunt uznał z pewnością niezadowolenie Sary oraz z trudem opanowywaną złość Joela za dary niebios.

Louise weszła do pokoju gościnnego ze świadectwem urodzenia w ręce. Wręczyła je ojcu, lecz on dał jej tylko znak, żeby sama zaniosiła je Barneyowi.

Barney wziął je do rąk i czytał, a Louise stała przy nim i od czasu do czasu odgarniała z oczu powiewające na wietrze włosy. Przeczytał, że urodziła się mała dziewczynka, jej matką jest Louise Stella Loubser z Beaufort West, dziecko zostało ochrzczone w Kleine Kerk, a nazywa się Heloise Petra Loubser. Barney złożył dokument na pół i oddał jej.

— Naprawdę myślisz, że to moje dziecko? — zapytał Louise.

— Zawsze miałam taką nadzieję — odparła. Patrzył na nią przez chwilę — była taka młoda, blada i smutna. Ta dziewczyna żyła w świecie bajek i niewyszukanych marzeń. Pamiętała o nim przez tyle lat, mimo że prawdopodobnie bardzo się zmienił i nie był już podobny do tego barczystego kopacza diamentów sprzed wielu lat. Ta dziewczyna potrafiła dostrzec gwiazdy nawet na zachmurzonym niebie, a ze zwykłego kupca diamentów potrafiła uczynić księcia.

— Dam ci trochę pieniędzy — powiedział Barney. — Nie wiem, czy to dziecko jest rzeczywiście moje. Moi prawnicy zrobiliby dużo zamieszania, gdybym im kazał się tym zająć. Ale będę ci dawał sto funtów rocznie przez pięć lat, tylko dlatego że cię lubię. Kupuj za nie rzeczy dla małej i opłać szkołę.

Louise obdarzyła go ładnym, nieśmiałym uśmiechem.

— Czasami kiedy patrzę na Heloise, dokładnie pamiętam twoją twarz.

— Będiesz się nią opiekowała? — zapytał Barney.

Louise kiwnęła głową, wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

Alf Loubser wyszedł na zewnątrz z rękami w głębokich kieszeniach.

— Widziałeś świadectwo? I co powiesz?

— Mówiłem już Louise, że dam jej trochę pieniędzy. Niedużo, bo nawet świadectwo urodzenia nie jest dostatecznym dowodem na to, że dziecko jest moje. Ale wystarczy, żeby ją kształcić i dobrze karmić.

Alf Loubser rzucił okiem na tereny wokół Vogel Vlei i zmrużył oczy od ostrego światła słonecznego.

— Kiedy tu przyjechałem, byłem zły — powiedział. — Teraz przepraszam. Zachowałeś się jak dżentelmen. Myślałem, że będę cię musiał zmuszać, abys pomógł Heloise. Ale to nie było konieczne. Czuję się trochę jak świnia, lecz mam nadzieję, że zechcesz uścisnąć mi rękę.

Wyjął jedną rękę z kieszeni i wyciągnął do niego. Barney podał mu swoją i uśmiechnął się.

— Przenocujcie tu — zaprosił. — Jest mnóstwo wolnych pokoi.

— Mieszkasz sam w tym ogromnym domu? Bez żadnych dzieci?

Barney kiwnął głową.

— Wiesz, jakie są dzieci. Dorastają i zostawiają ciebie samego.

Podał swoje ramię Louise Stelli Loubser i weszli z powrotem do pokoju gościnnego, gdzie Horacy rozłożył już sztywny różowy obrus na stole i układał na nim właśnie półmiski z ozorem na zimno, soloną wołowiną i sałatką z ziemniaków. Alf Loubser zatarł łakomie ręce i z zadowoleniem spoglądał to na stół, to na Barneya. Ani on, ani Louise nie wiedzieli, jak bardzo czuł się teraz opuszczony przez wszystkich i jak bardzo cenił sobie ich towarzystwo, ich prostotę i naturalność. Jasne włosy Louise otarły się o jego ramię. Dotknął ich jak dziecko, które nie może powstrzymać się od dotknięcia jedwabistego materiału.

Później tego samego wieczoru, kiedy Alf Loubser z córką jedli kolację w małym pokoju z tyłu domu, Barney odbywał w bibliotece spotkanie z Haroldem Feinbergiem i Edwardem Norkiem. Harold nie czuł się zbyt dobrze, jego „mała żabka” straszyla, że weźmie sobie innego kochanka, a po odkryciu dwóch nowych terenów diamentonośnych w Dorstfontein rynkowa cena diamentów „wisiała na włosku”, jak mówił Harold. Im szybciej południowoafrykański przemysł diamentowy stanie się monopolistą, tym lepiej dla nich wszystkich, rzędził. Wtedy mogliby wreszcie regulować napływ diamentów i kontrolować ich cenę.

Edward Nork wyglądał, jakby był po wczorajszym kacu i przed dzisiejszą popijawą. Bez przerwy mrugał oczami, kaszłał, przecierał okulary mankietem koszuli i wychodził do łazienki.

— Sary nie ma? — zapytał Harold. — Co tym razem? Robótki szydełkowe? Kółko teatralne?

Barney zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła.

— Właśnie dlatego prosiłem, żebyście przyszli.

— To co? — zmarszczył brwi Edward. — Też mamy robić na szydełku?

Harold kaszlnął, żeby usunąć flegmę z gardła. Był blady i źle ostatnio wyglądał; odnosiło się wrażenie, że powoli umiera. Barney nie był wcale zaskoczony, że jego Francuzka chciała sobie poszukać innego kochanka, choć trudno jej będzie znaleźć kogoś, kto będzie ją regularnie zaopatrywał w jej ulubione środki antykoncepcyjne.

— Chcesz sprzedać diament, prawda? — zapytał Harold. — Leopold & Wavers złożyli ofertę, której nie chciałbyś odrzucić, co?

— Naprawdę nie wiem, dlaczego się tak denerwujesz, Haroldzie — wtrącił Edward. — Diament trzeba sprzedać. Trzeba się go będzie pozbyć wcześniej czy później, wszystko jedno kiedy, cena diamentów jest i będzie niekorzystna. Powinieneś się cieszyć, że współpracuję z tobą. Dostaniesz całkiem niezłą prowizję. Pomyśl, przecież mógłby go zabrać do Manny'ego Greene'a.

Harold uderzył ręką w skórzaną poręcz krzesła, na którym zaledwie kilka dni temu siedział Hunt z nogami elegancko założonymi jedna na drugą, proponując Barneyowi kupno w imieniu konsorcjum brytyjskich biznesmenów.

— Nie można teraz sprzedać — warknął gniewnie. — A poza tym przecież Barney miał zamiar najpierw go oszlifować i dopiero potem wystawić na sprzedaż. To chyba lepszy pomysł. Będzie to dla nas wszystkich duże doświadczenie, nabędziemy umiejętności w obchodzeniu się z dużym kamieniem, od początku do końca, no a zyski zwiększą się o trzysta procent. I nie wspominaj o tym głupku, Mannym Greenie.

— Jesteś taki ostrożny — kontynuował Edward. — Jeżeli Barney nie zareaguje szybko na ofertę złożoną mu przez firmę Leopold & Wavers oraz na całą resztę innych ofert, to skończy się na tym, że kamień będzie wart trzy razy tyle co teraz, tylko że nikt go wtedy nie kupi.

— Zajmij się swoją geologią — odciął się Harold. — Co wiesz o marketingu diamentów?

*Shikkerl*

Edward westchnął, zdjął okulary i środkowym palcem zaczął obmacywać swoje gałki oczne, tak



jakby sprawdzał, czy śliwki są już wystarczająco dojrzałe.

— Wy, Żydzi, doprowadzacie mnie do szału — powiedział z zamkniętymi oczami. — Ktoś się z wami nie zgadza

I zaraz wybuchacie potokiem niezrozumiałych słów.

— *Shikker* znaczy pijak — powiedział Barney szeptem. — A poza tym nie macie się o co kłócić.

— O co ci chodzi? — odezwał się Edward. — Zawsze się kłócimy. To dobrze robi na wątrobę.

— No właśnie, ja o rynkowej cenie diamentów, a on o wnętrznościach.

— Wszystko jedno — stwierdził Barney. — Nie ma diamentu. Został ukradziony.

Zapanowała pełna wyczekiwania cisza przerywana tylko sapaniem Harolda. Edward założył ponownie okulary

I utkwił wzrok w Barneyu jak Galileusz wpatrujący się w swój siedemnastowieczny, prymitywny teleskop, który nie może się zdecydować czy planeta Saturn jest okrągła, czy trójkątna, lecz ma nadzieję, że nie jest jednak trójkątem.

— Został ukradziony? Mój drogi przyjacielu! Ale jak? Nie trzymałeś go pod kluczem w sejfie? Nie mogę w to uwierzyć!

Harold nic nie powiedział, opuścił tylko głowę na piersi. Jego oddech stawał się coraz bardziej chrapliwy; odgłosy, które wydawał, przypominały dźwięki wydobywające się ze starych miechów fisharmonii w drewnianym kościółku w Klipdrift.

— Odwiedził mnie ktoś, kogo znam jeszcze z Capetown — powiedział Barney. — Złożył ofertę kupna, mówiąc, że Brytyjczycy chcą zaprezentować diament królowej. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, ale dowiedziałem się później, że prawdopodobnie nie pracuje już dla Brytyjczyków od wielu lat. Ma jakieś powiązania ze zwiadowcą Burów o nazwisku Simon de Koker, który jest z kolei tajnym agentem ruchu oporu w Transvaalu.

Harold podniósł głowę i ciągle jeszcze z niedowierzaniem patrzył na Barneya. Był wstrząśnięty i miał trudności ze złapaniem oddechu.

— Wpadł w ręce Burom? Diament powędrował do Burów?

— Takie są moje przypuszczenia — powiedział Barney.

— Miłosierny Boże, nie mogę w to uwierzyć — powiedział Harold. — Wiesz, co będzie, kiedy Burowie położą na nim swoje łapy? Albo zażądają za niego okupu i będą domagać się uznania ich niepodległości, albo sprzedadzą go Rosjanom i kupią wystarczająco dużo broni oraz amunicji, żeby wykurzyć Brytyjczyków z pól diamentowych i zepchnąć ich aż do Oranjerivier.

— Wiem o tym, Haroldzie. — Barney wzruszył ramionami. — Nie mam stuprocentowej pewności, że chodzi o Burów. Nie ma żadnych pewnych dowodów. Ale to wydaje się najbardziej prawdopodobną wersją. Burowie mogliby bardzo wiele zyskać, kradnąc diament, i równocześnie bardzo wiele stracić, gdyby został oszlifowany i sprzedany za granicą.

— Jak oni...? — zapytał Edward, pokazując ręką na sejf.

— Obawiam się, że Sara dała im klucz — powiedział Barney. — Uciekła razem z nimi, z Joelem i nianią.

— Pstrokata załoga — zauważył Edward.

— Pstrokata czy nie, mają Gwiazdę Natalię i nie wiadomo, gdzie są.

— Wybaczcie mi, ale muszę poprosić o szklankę wody — powiedział Harold.

Barney zadzwonił dzwonkiem na Horacego. Harold rozluźnił krawat. Siedział w fotelu, ocierając czoło i ciężko dysząc.

— Więc nazwałś go Gwiazdą Natalią? — uśmiechnął się Edward. — Czy to między innymi

dlatego Sara tak gorliwie służyła im swoją pomocą?

Barney spuścił wzrok i zaczął układać pióra oraz ołówki na biurku.

— Powiedzmy, że nasze małżeństwo dalekie było od ideału. Ale mimo wszystko przeżyłem szok, kiedy zorientowałem się, że to jej sprawka.

— Kiedy to się stało? — zapytał Harold.

— Wczoraj rano, kiedy byłem w kopalni. Dopiero wczesnym popołudniem spostrzegłem brak klucza i zrobiłem z siebie kompletnego idiotę, puszczając się za nimi w pogoń wzdłuż Hopetown Road, myśląc, że pojechali do Cape. Jednak ani śladu po nich.

— Z tego, co mówiłeś o Simonie de Kokerze, wydaje się bardziej prawdopodobne, że pojechali do Transvaalu — powiedział Harold.

Wszedł Horacy i Barney poprosił o szklankę wody dla Harolda oraz o filiżankę mocnej kawy dla siebie. Edward powiedział, że „zadowoli się” karafką whisky, która stała na biurku.

— Najważniejsze, żeby przeszkodzić tym draniom w oszlifowaniu go — powiedział wolno Harold, kiedy Horacy wszedł. — Kiedy się go oszlifuje, nie masz prawie szans na udowodnienie, że jest twój. Kiedy znajduje się jeszcze w stanie surowym, możemy go zidentyfikować. Robiłem zdjęcia ze wszystkich stron i rysunki. Mam też odlew gipsowy.

— Nie powinni mieć wielkich trudności z oszlifowaniem go, prawda? — Zastanawiał się Barney. — Jest przecież wielu dobrych szlifierzy w Amsterdamie, którzy zrobią to, nie zadając zbędnych pytań.

— Tak, masz rację — westchnął Harold. — Lecz szlifowanie takiego dużego diamentu, Gwiazdy Natalii, jak go nazwałeś, może potrwać nawet do osiemnastu miesięcy.

A zanim wyglądzą wszystkie powierzchnie, ciągle jeszcze będziemy mieć szansę udowodnienia, że jest twój.

— Jeśli w ogóle pojedzie do Amsterdamu i jeśli go tam odnajdziemy. Równie dobrze mogą go teraz sprzedać na dwór rosyjski lub Austriakom, mogą go też wysłać do Ameryki.

Harold wypił wodę i wytarł usta chusteczką.

— Trzeba się trochę rozejrzeć i koniecznie musimy się dowiedzieć, dokąd go wywieźli. Jedno jest pewne — nie powierzą go drugorzędnym szlifierzom. Będą musieli dotrzeć do najlepszych, więc nie mają specjalnie wyboru.

— Myślę, że tylko trzech szlifierze wchodzi tutaj w rachubę: Josef van Steenwijk, który pracuje dla Costera w Amsterdamie, Levi Baumgold z Annen's, także w Amsterdamie, oraz Itzik Yuseel, który jest czołowym szlifierzem Roosendaal w Antwerpii.

Barney usiadł wygodnie na krześle i małymi łyżkami popijał kawę. Był niepokieszony.

— Mogą trzymać diament w ukryciu przez wiele lat, zanim zdecydują się go oszlifować. Mogą też sprzedać go teraz, w ogóle nie szlifując.

— No cóż — powiedział Harold — musimy się z tym liczyć... wtedy nie zobaczysz go już nigdy na swoje oczy. Ale myślę, że każdy, kto decyduje się sprzątnąć największy diament na kontynencie jego właścicielowi prosto sprzed nosa, jest na tyle inteligentny, że będzie próbował zarobić na nim jak najwięcej pieniędzy. Nie szlifowany będzie zbyt łatwo rozpoznawalny i równocześnie zbyt trudno będzie go potem ponownie sprzedać. Przypomnijcie sobie, co Thomas Pitt zrobił z Regentem... wysłał go prosto do Londynu i dał tam oszlifować, żeby nikt inny nie mógł go sobie przywłaszczyć. Moim zdaniem w ciągu miesiąca diament zostanie przemycony do Amsterdamu lub Antwerpii.

Edward Nork nalał sobie pełen kieliszek whisky i głośno zatkał karafkę. Przeszedł przez pokój i stanął przy oknie z okularami zatkniętymi na czole pogrążony w swoich własnych myślach.

— Trzeba będzie wysłać kopie rysunków Harolda do wszystkich głównych kupców diamentów,

informując jednocześnie, że diament został skradziony. Nie powstrzyma to co prawda tych pozbawionych skrupułów, ale być może przestraszy niektóre szacowne domy. Na zdrowie!

Przełknął whisky, po czym dostał takiego ataku kaszlu, że aż zsiniał na twarzy.

— Zgoda — powiedział Barney. — Jeśli to najlepsze wyjście z sytuacji, to zrobmy tak. Ale coś wam powiem: wolałbym, żeby ten diament wpadł mi do przepaści, niż dostał się w ręce tych ludzi.

— Wiem — ze zrozumieniem powiedział Harold — ale tak to już jest z diamentami. Wyzwalają w ludziach zaborczość i zazdrość. Ci którzy je mają, przestają wtedy być sobą. A dlaczego? Pięć karatów, dziesięć karatów, piętnaście karatów, są warte więcej niż inne kamienie. Prawie dwa razy tyle co szmaragdy, sto razy tyle co złoto.

— Nic nie są warte, jeśli się je straci — wtrącił swoje trzy grosze Edward z przesadnie ponurym wyrazem twarzy, po czym czknął.

Przypuszczenia Barneya dotyczące Hunta i Simona de Kokera okazały się słuszne, chociaż Hunt zrezygnował z posady państwowej zaledwie dwa miesiące temu, dzień po tym, jak Koker spotkał się z nim w restauracji hotelowej i zaoferował swą pomoc w zdobyciu Gwiazdy Natalii. De Koker nie palił się zbyt do opowiedzenia Huntowi o tajnej misji Burów, ale z drugiej strony potrzebował kogoś, kto swoim pojawieniem się w Vogel Vlei nie wzbudzi żadnych podejrzeń. Poza tym obawiał się, że Barney dowiedział się o tym, że jest agentem i pracuje dla Burów. Gdyby tak było, kazałby Brytyjczykom aresztować go, gdyby tylko przestąpił próg jego domu.

Hunt, ze swojej strony, spragniony był odrobiny podniecenia i odrobiny niebezpieczeństwa, a poza tym kusiła go perspektywa wzięcia udziału w domowo-kryminalnych szachrajstwach. Kiedy przyjechał do Vogel Vlei, bardzo mu było na rękę, że Barney uparcie obstaje przy swoim i nie chce sprzedać diamentu za żadną cenę — zwłaszcza, że na koncju bankowym w Capetown Hunt miał trzydzieści sześć funtów, więc do miliona czterystu trochę mu brakowało. Szczególnie zainteresował się Sarą — znudzoną, zirytowaną burżujką — i starał się za wszelką cenę wykorzystać jej niezadowolenie dla zrealizowania swoich planów. Mówił jej, że jest ładna i jednocześnie, że ją zanedbywano, porównywał ją do angielskiej róży, niedocenianej i więdnącej w tym suchym, szarym zakątku Imperium. Joela łatwo było pozyskać, jego niechęć do Barneya była tak wielka, że jak mawiał Hunt, „mogłaby wypalać dziury w dywanie”.

Kiedy ukradli diament, pojechali jednak nie w kierunku Transvaalu, jak zakładali Barney oraz Harold, nie mieli wcale takiego zamiaru. Zgodnie z instrukcjami de Kokera ze Swarplaas (farmy na Witwatersrand, kwatery głównej ruchu oporu Burów), mieli wywieźć diament z kraju tak szybko, jak to tylko było możliwe. W trzecim tygodniu marca miał na nich czekać holenderski parowiec w porcie Lourenço Marques. Podróż nad morze miała być trudna i prawdopodobnie niebezpieczna. Lecz de Koker zorganizował mały konwój Burów, ochotników, który miał na nich czekać w Wesselstroom i poprowadzić przez góry Drakensberg do New Scotland. Po dotarciu do Lake Chrissie mieli skręcić ponownie na wschód i jechać wzdłuż rzeki Impellus. Kiedy będą już na terenach Portugalii, mieli kierować się nad morze.

Na samym początku, aby zmylić Barneya, skierowali się na północ i pojechali kawałek drogą, która wiodła wzdłuż doliny Vaal do Klerksdorp, prowadząc do samego serca Transvaalu. Lecz po przejechaniu kilku mil skręcili na wschód i znaleźli się na otwartej równinie. Pierwszą noc spędzili przy dymiącym ognisku na otwartym stepie, niedaleko osady Boshof. Wcześniej rano wyruszyli w kierunku stolicy Orange Free State, Bloemfontein. Zabrało im dwa dni, aby się tam dostać. Jechali tak szybko, jak tylko mogli, lecz za to kiedy zajechali na miejsce, odpoczywali przez następne dwa dni. Sara wykapała się, kupiła kilka sukienek na dalszą podróż, a Joel zaopatrzył się w niezbędne

lekarstwa: proszek Dovera oraz maść z kwasem bornym.

Simon de Koker wymienił ich eleganckie, lecz niepraktyczne lando na zwykły wóz, który załadował wołowiną, szynką, wędzonym serem oraz ośmioma beczkami wody.

Edward miał rację, nazywając ich pstrokatą załogą. Już na samym początku trudnej podróży przez Orange Free State wybuchały ostre kłótnie o to, gdzie kto ma siedzieć, kto jest szefem i najważniejsze ze wszystkiego, do kogo należy teraz Gwiazda Natalia. Sara, która wyjęła klucz z komody Barneya i wzięła kamień z sejfu, była najzupełniej pewna, że diament należy teraz do niej. Simon de Koker powiedział, że jeśli tak, to po co miałyby teraz ją wieźć taki szmat drogi? Diament jest teraz własnością prawdziwego rządu Transvaalu, własnością Burów. Zostanie oszlifowany i sprzedany w Amsterdamie, żeby sfinansować powstanie Burów przeciwko brytyjskim ciemieżcom. Joel utrzymywał, że diament jest w połowie jego własnością, ponieważ jest właścicielem połowy kopalni, w której go znaleziono. Hunt upierał się, że diament powinien zostać sprzedany w stanie surowym, tak szybko jak to tylko możliwe. Zyski powinny zostać podzielone na cztery części, z czego kilkaset funtów miała dostać Nareez. Niania cierpiała na udar słoneczny i nic nie mówiła, żując nasiona kolendry i patrząc na malownicze jeziora i rzeki błyszczące w oddali jak Ganges w Rajshahi w gorące dni jej dzieciństwa.

Powoli zbliżali się do podnóża gór Drakensberg, lecz żadne z nich nie wiedziało, że inwazja na kraj Zulusów, prowadzona przez sir Bartla Frere, już się rozpoczęła i że zaledwie dwieście mil na wschód Lord Chelmsford posuwał się w kierunku stolicy, Ulundi, na czele trzech kolumn regularnego wojska oraz ochotników. 11 stycznia, na tydzień przed kradzieżą diamentu, główna kolumna Lorda Chelmsforda przepłynęła się przez rzekę Buffalo w Rorke's Drift, a 20 stycznia, kilka mil dalej, założyła nowy obóz u podnóża tajemniczej góry o kształcie sfinksa i nazwie Isandhlwana.

22 stycznia w środę, po tym jak Sara, Hunt i Joel ukradli Gwiazdę Natalię i gdy znajdowali się o dzień drogi na wschód od Bloemfontein, dwadzieścia tysięcy wojowników Zulu zaatakowało obóz Lorda Chelmsforda, mordując prawie tysiąc czterystu żołnierzy oraz ochotników z Natalu i zostawiając stoki wzgórz usiane spalonymi namiotami, splądrowanymi wozami oraz martwymi ciałami. Z sześciu kompanii drugiego regimentu Warwickshire nikt się nie uratował, a popękana ziemia wzdłuż rzeki Buffalo przesiąknięta została krwią parobków, kucharzy, furmanów i muzykantów, którzy próbowali zbiec, kiedy Zulusi przebili się przez pierwszą linię frontu. W tym samym dniu zaledwie stu czterech żołnierzy brytyjskich odparło atak czterech tysięcy Zulusów na brytyjską stację misyjną i szpital w Rorke's Drift. Lord Chelmsford był jednak zmuszony się wycofać, poczekać na posiłki oraz zrewidować swoje pogardliwe opinie na temat armii Cetewayo.

Przez trzy dni bez przerwy rozlegały się huki strzałów, kiedy Hunt, Sara i Joel przemierzali Drakensberg. Wokoło rozbrzmiewał ogień zaporowy, niebo płonęło łuną, a strugi ulewnego deszczu spływały im po twarzach. Konie płoszyły się i stawały dęba, a ich kopyta ślizgały się po mokrych skałach. Przy pokonywaniu każdej mili, sześć, siedem razy koła wpadały w żleby czy bruzdy i za każdym razem Simon de Koker z Huntem musieli je podwazyć drągami i pchać. Joel przeklinał i narzekał, kiedy Sara i Nareez musiały mu raz pomóc zejść na dół, bo trzeba było odciążyć wóz. Musieli siedzieć na deszczu na pobliskim gładzie jak zmokłe kury, czekając, aż wóz znajdzie się ponownie na szlaku.

— Od czasu do czasu dostaje się porządną nauczkę za to, że nie jest się zadowolonym z tego, co się ma — zauważyła przemoczona do suchej nitki Sara, w dzień, w którym osiągnęli najwyższe rejony Drakensberg. Siedziała przy drodze z płócienną torbą barwy khaki na głowie, w przeciwdeszczowej pelerynie zarzuconej na ramiona i w białych botkach zabłoconych i zupełnie przemoczonych. Lodowaty deszcz zacinał, wiał przy tym wyjątkowo silny wiatr, kiedy to wóz

ponownie się zaklinował, tym razem w starych, wąskich koleinach wyżłobionych w skale przez ciężkie wozy Burów.

— Zadowolonym? — zdziwił się Joel. — Jak mogłaś być zadowolona z Bameyem? Nawet to jest lepsze od siedzenia w tym grobowcu, na próżno usiłując sobie przypomnieć, co to jest ludzka godność.

— Myślisz, że teraz odnalazłeś swoją godność? — zapytała zgryźliwie Sara.

Joel na głowie miał szeroki, mokry kapelusz, z którego kapało mu na ramiona, miał jeszcze na sobie zabłocony brązowy płaszcz i postrzępione szare spodnie. Owinął się kocem, żeby nie przeziębnić nerek oraz nie przemoczyć lewego kikuta, a prawą nogę wsadził w skórzaną torbę, żeby deszcz nie dostał się do buta.

— Przynajmniej jestem wolny — powiedział, choć nie zabrzmiało to szczególnie przekonywająco.

Sara wyjęła wilgotną chusteczkę do nosa i przetarła nią twarz.

— Oddałabym każdą wolność za gorącą kąpiel.

— Mamy diament — powiedział Joel. — Za miesiąc będziemy już daleko stąd, w drodze do Amsterdamu. Kiedy go oszlifujemy, sprzedamy i każde z nas dostanie swoją część, będziemy bogaci. Będziemy mogli wtedy robić wszystko. Za rok o tej porze nie będziemy mieli żadnych zmartwień, *heleuai*.

Sara patrzyła na niego przez chwilę, a krople deszczu ściekały jej po rzesach.

— Naprawdę myślisz, że podzielę się diamentem z Burami?

Teraz z kolei Joel utkwiał w niej badawczy wzrok.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Dokładnie to, co usłyszałaś. Nie ukradłam diamentu po to, żeby pomóc Burom, wierz mi. Oni mnie nic nie obchodzą. Są dzicy, prymitywni, bez przerwy palą fajki i jedzą jakieś dziwne gatunki sera. Spójrz tylko na tego Simona de Kokera. Śmierdzi jak muł i nie wiadomo, kiedy ostatni raz czesał tę swoją brodę.

Joel podniósł kamyk i zaczął go obracać w palcach. Kilka jardów stąd Simon de Koker próbował wydostać żelazną obręcz koła z wyżłobienia w skale. Posługiwał się łomem i słychać było zgrzyt metalu trącego o mokry piaskowiec. Hunt, prawie fioletowy na twarzy, starał się pchnąć wóz naprzód.

— Nie pozwoli ci z nim uciec — powiedział Joel. — Nie jedź dalej tej drogi z Capetown i z powrotem, a potem do Lourenco Marques tylko po to, żeby ci pomachać na pożegnanie.

— Może on jedzie do Lourenco Marques, bo ja nie — powiedziała Sara z naciskiem.

Joel podrzucił kamyk do góry, po czym go złapał.

— A dokąd ty jedziesz? — zapytał ironicznie.

— Zdradzisz mnie, jeśli ci powiem. Prawdopodobnie i tak mnie zdradzisz.

— Dlaczego miałbym to zrobić? — Joel udawał zdziwienie.

— Zdradziłeś swojego własnego brata. Joel prychnął pogardliwie

— Tak to nazywasz?

— A jak ty to nazywasz?

— Ja to nazywam walką o przetrwanie. Czasami nazywam to sprawiedliwością.

Simon de Koker smagnął batem i krzyknął na konie:

— Prrr! No już stać! Stać, kościotrupy!

— Wrzaski tu nic nie pomogą! — zawołał głośno Joel, przekrzykując deszcz. Simon de Koker rozejrzał się wokół i posłał mu chłodne, wrogie spojrzenie. Joel wyszczerzył do niego zęby i

powiedział: — Nie przejmuj się. Co ja wiem o koniach?

Gdy konie szarpały się na wszystkie strony, ich kopyta ślizgały się, a boki parowały, Sara powiedziała szeptem:

— Milion funtów dla jednej osoby to suma idealna. Milion funtów podzielony na dwie osoby to też nieźle. Lecz milion funtów podzielony na cztery? To po prostu za mało. A podejrzewam, że nasz śmierdzący przyjaciel, Bur, nie ma nam wcale zamiaru dać więcej niż symboliczną sumę w dowód wdzięczności za fatygę. To nadgorliwiec, a takim powinno się mniej ufać niż pospolitym kryminalistom. W każdym razie tak mówi tata.

Joel nadal obracał kamyk, wreszcie zamachnął się i rzucił go w stronę drogi wiodącej z powrotem do Orange Free State.

— W takim razie będziesz musiała pomyśleć, w jaki sposób się go pozbyć, prawda? Jego i Hunta.

— Z Huntem nie będzie kłopotów. Jest jak dziecko. Będą natomiast kłopoty z de Kokerem.

— Co masz zamiar zrobić? Chcesz uderzyć go w głowę butelką, związać i zostawić?

Usta Sary były sine z zimna.

— Będziemy musieli go zabić — oświadczyła. — Zna tutejsze tereny lepiej od nas. Jeśli go nie zabijemy, przetnie liny i podąży naszym tropem. W każdym razie należy przypuszczać, że chce to samo zrobić z nami. Gdybyś był na jego miejscu, włókłbyś ze sobą pełny wóz taki szmat drogi do Lourenco Marques, jeśli sam mógłbyś tam dotrzeć o wiele szybciej? Ciągnąłbyś ze sobą kalekę i dwie kobiety? Prawdopodobnie czeka tylko na dogodne miejsce w górach, żeby przeciąć postronki koni, a nas strącić w przepaść.

— Masz zbyt bujną wyobraźnię, żeby nie użyć bardziej dosadnych określeń — powiedział Joel. — I nie przesadzaj z tym „kaleką”, bardzo cię proszę.

— Gdybyś nie był kaleką, sam byś sobie z nim poradził — odparowała Sara. — A tak, ja to muszę zrobić.

— Co masz zamiar zrobić? — zapytał Joel z figlarną miną. — Każesz Nareez zaściskać go na śmierć?

— Nareez jest moją towarzyszką — oświadczyła Sara. — Nie prosiła wcale, żeby ją wleczono po całej Afryce, i jest bardzo dzielna. — Zawahała się i po chwili rzekła: — Zastrzelę go.

— Czym? Nawet nie masz pistoletu.

— De Koker ma karabin. Wystarczy.

— On z nim śpi. Nosi go bez przerwy przy sobie. Myślisz, że pozwoli go sobie odebrać?

— Zobaczymy — powiedziała Sara.

Rozległ się huk dalekiego pioruna i jak w kiczowatym przedstawieniu operowym, błyskawica rozjaśniła niebo nad górami. Po chwili deszcz zaczął powoli ustawać. Spieniona woda spływała po pokrytym koleinami szlaku i rozpryskiwała się o koła wozu.

— Wio! wio! wio! — zawołał Simon de Koker, i tylne koła wozu wydostały się wreszcie z zagłębienia w skale. Wóz ruszył jakieś sześć, siedem stóp do przodu, a mokry płócienny dach powiewał na wietrze, raz po raz uderzając o szkielet wozu.

— Jest tylko jeden problem — szepnął Joel do Sary, kiedy zostali sami (Hunt z Nareez pospieszili na pomoc de Kokerowi, popychając wóz od tyłu). — Jeśli zabijemy de Kokera, to jak się stąd wydostaniemy?

— Stąd już łatwo — powiedziała Sara, a kiedy zorientowała się, że Simon de Koker usłyszał jej słowa, uśmiechnęła się. — Prawda, panie de Koker? Całkiem łatwo?

Simon de Koker chwycił Joela tak brutalnie, jakby był szmacianym strachem na wróble. Nareez

chwyciła za jedną nogę i wspólnie zanieśli go z powrotem na wóz, przy czym Joel przez cały czas chwiał się niepokojąco na wszystkie strony.

— Droga stąd do Lourenco Marques jest bardzo trudna — powiedział Simon de Koker. — Sam jej dobrze nie znam, dlatego musimy zabrać dodatkowo kilku przewodników z Wesselstroom. Specjalnie nie jedziemy łatwiejszą drogą. Jeżeli złapią nas Brytyjczycy i zabiorą diament, będziemy musieli czekać wiele lat, zanim przystąpimy do kolejnej próby walki o niepodległość.

— Za to łatwo dostać się stąd do Durban, prawda?

— Do Durban? — powtórzył podejrzliwie de Koker, kiwając na Hunta, że może puścić wóz.

— Mieszkałam tam — powiedziała Sara, uśmiechając się zalotnie.

Simon de Koker odchrząknął i popchnął Joela na tył wozu. Hunt, z mokrymi włosami klejącymi się do czoła, z wilgotnymi ciemnymi plamami na rękawach płaszcza, podniósł klapę wozu.

— Zobaczymy, jak daleko zajedziemy, zanim będziemy musieli powtarzać wszystko od początku — powiedział.

Przez następne cztery mile jechali w milczeniu. Wjechali do Natalu, zjechali do doliny Sand River i jechali dalej w kierunku Ladysmith. Deszcz padał coraz słabiej, a gdy ustał zupełnie, pojawiła się delikatna szara mgła. Górzysty krajobraz spowity mgłą zrobił się tak tajemniczy i nierzeczywisty jak na księżycu. Simon de Koker siedział z przodu, powożąc. Nareez, otulona w swój indyjski szal, siedziała obok niego. Joel leżał z tyłu z głową opartą o wór z mąką i chrapał. Hunt i Sara siedzieli naprzeciwko siebie, nic nie mówiąc, za to ich oczy bez przerwy się spotykały. Hunt przyglądał się jej natarczywie, wyczekująco; Sara patrzyła na niego z udawaną obojętnością, raz po raz odwracając wzrok.

— Kiedy masz zamiar pozbyć się...? — zapytał Hunt, kiedy z hałasem przejeżdżali przez zagłębienie w drodze nie opodal rzeki Klip.

Sara zmarszczyła brwi, lecz Hunt kiwnął energicznie głową, patrząc w stronę zgarbionych pleców Simona de Kokera.

— Nie wiem, o czy mówisz — oświadczyła Sara.

— Oczywiście, że wiesz, o czym mówię — odparł Hunt ze złośliwym uśmiechem na twarzy. — Jutro rano skręcamy na północ, do Ladysmith, a potem do Wakkerstroom, no i stamtąd za trzy tygodnie powinniśmy być w Lourenco Marques. Tutaj droga się rozgałęzia. W prawo do Lourenco Marques, w lewo do Durban. Mnie pani nie oszuka, pani Blitz. Wiem, co zamierzasz. Wiem, że bomba zegarowa już została uruchomiona. Kiedy nastąpi wybuch? Słyszałem, jak szeptałaś do ucha Joelowi. Nie pozwolisz, aby Burowie uciekli z twoim cennym diamentem, prawda? Tym bardziej

że zamierzają się nim posłużyć w walce z Brytyjczykami. De Koker nie mylił się co do twojej perfidii, ale zapomniał chyba o twoim patriotyzmie. Prawdziwa z ciebie dama. W Capetown aż się od nich roi. Same patriotki.

Turkot kół z metalowymi obręczami był na tyle głośny, że Simon de Koker nie mógł usłyszeć, o czym mówi Hunt. Spędziwszy tyle lat w służbie państwowej, Hunt nauczył się plotkować o ludziach tuż pod ich nosami, nie wzbudzając przy tym najmniejszych podejrzeń. Nazywał to „ambasadowym szeptem”.

Sara spojrzała na Joela, który spał z otwartymi ustami i głową wciśniętą między worki z mąką.

— Rozważam różne możliwości — powiedziała Sara.

— Oczywiście. De Koker na pewno zrobi to samo. Sara dotknęła ręką sakiewki ze skóry, która wisiała

teraz na jej szyi przywiązana do złotego, wysadzanego diamentami naszyjnika.

— Będzie musiał najpierw mnie zabić. Też na pewno o tym wie.

— Jestem pewien, że tak. Nie wiem, dlaczego nie zabił jeszcze nas wszystkich.

— Myślę, że wiem dlaczego — powiedziała Sara. — To jeden z tych ludzi, którzy potrzebują wpieryw moralnego usprawiedliwienia dla wszystkich swoich czynów. Tak to jest z kalwinistami oraz politycznymi entuzjastami. Nie mogą zacząć działać, póki się ich nie skrzywdzi. To surowi ludzie, ci Burowie, bardzo surowi, ale także bardzo religijni i dlatego Simon de Koker nic nam nie zrobi, dopóki my nie zrobimy pierwszego kroku.

— Hmm — mruknął Hunt, marszcząc czoło. — Interesująca teoria.

— Mam nadzieję, że to teoria, która sprawdzi się w praktyce — odparła Sara. — Mam też nadzieję, że kiedy zrobimy pierwszy ruch, będzie na tyle skuteczny, że pan de Koker nie zdąży się na nas zemścić.

— Co właściwie zamierzasz? — zapytał Hunt z uśmiechem.

Sara spojrzała na Joela, który ciągle chrapał na workach z mąką.

— On też chciał to wiedzieć.

Tej nocy odbili od głównej drogi i przywiązali konie do kępy krzaków. Nadal było mgliście i kiedy rozpalili ognisko, żeby przegotować wodę na herbatę oraz ugotować garnek solonej wołowiny z fasolą, paliło się najpierw słabym płomieniem, po czym strzeliło w górę jasnym pomarańczowym ogniem. Znajdowali się o dziesięć mil od Ladysmith i drogi, która miała ich poprowadzić na północ, do Newcastle, następnie do Wesselstroom i wreszcie do New Scotland i Lourenco Marques, lecz konie były zmordowane, trzęsły się, w dodatku Joel prawie od godziny klął i skarżył się Simonowi de Kokerowi na swoją nogę. W końcu małomówny Simon de Koker powiedział:

— Tu się zatrzymamy — i pociągnął za drewnianą rączkę hamulca.

Przy jedzeniu prawie się do siebie nie odzywali. Wszyscy byli wykończeni i zmarznięci, a ponieważ wierzchołki gór zostały już daleko z tyłu, stawali się w stosunku do siebie coraz bardziej nieufni. Simon de Koker siedział z dala od reszty, z bronią opartą o młode drzewko, i mozolnie zdejmował scyzorykiem skórkę z kiełbasy.

— Jestem wykończony — odezwał się wreszcie Joel. — Nareez, przynieś mi moje koce, proszę.

Niania specjalnie ociągała się z jedzeniem, zanim w końcu wstała i przyniosła Joelowi koce. Nie była niczyją służącą, no, może tylko Sary, a nawet Sara traktowała ją raczej jak matkę niż jak pomoc domową. Hunt poszedł szukać swojej pościeli i zrobił sobie pod gałęziami drzew mały namiot z płóciennego pokrowca, który w czasie jazdy przykrywał pudełka i beczki wystające z wozu. Po chwili przy ogniu zostali już tylko Sara i Simon de Koker. Siedzieli w odległości dziesięciu stóp od siebie, po przeciwnych stronach ogniska. Z napięciem obserwowali się nawzajem. Ogień trzaskał, strzelał w górę, a zewsząd otaczała ich srebrna mgła, która wydawała się nie mieć ani początku, ani końca. W pewnej chwili Sara poczuła, że istnieje tylko ten zamazany, tajemniczy świat mgły, niewidzialnych gór i upiornych drzew.

— Myślę, że wkrótce ja poniosę diament — powiedział Simon de Koker, nie podnosząc wzroku.

— Tak pan myśli? — Sara uniosła brwi.

— Aha, ze względu na bezpieczeństwo. Kobieta nie powinna nosić przy sobie tak cennej rzeczy.

— A ja myślę, że sama sobie poradzę, dziękuję. Wychowałam się w końcu w Natalu. Mam głowę na karku.

— Hmm... tego się właśnie obawiam — powiedział Simon de Koker.

Ukroił jeszcze jeden kawałek kiełbasy i wpakował go sobie do ust prosto z noża.

— Obawia się pan, że ucieknę z diamentem sama? Simon de Koker żuł powoli, przełknął i



powiedział:

— Przeszło mi to przez głowę. Proszę nie mówić, że i pani o tym nie myślała.

— Oczywiście, że tak. Ale w końcu wszyscy jedziemy na tym samym wózku, prawda? Wszyscy jesteśmy tak samo winni. Wszyscy więc powinniśmy mieć z tego jakąś korzyść. Spodziewam się, że zażąda pan znacznego procentu od zysku na ruch oporu w Transvaalu, ale nie mam panu wcale tego za złe. Brytyjczycy nie mieli nigdy dobrego zdania o Burach, więc dobrze rozumiem pańskie motywy.

Simon de Koker bacznie obserwował Sarę. W świetle ogniska jego oczy połyskiwały pomarańczowym blaskiem.

— Myślałem, że jest pani zagorzałą patriotką — powiedział.

Sara uśmiechnęła się do niego.

— Obawiam się, że korzyści materialne są ważniejsze niż patriotyzm. Tak mi zawsze powtarzano w domu. Mój ojciec, Gerald Sutter, zajmuje się handlem morskim, może pan o nim słyszał?

Simon de Koker kiwnął głową.

— Panie de Koker, jest pan bardzo odważnym człowiekiem — powiedziała Sara. Czekala kilka sekund, aby wypowiedziane przez nią słowa w pełni do niego dotarły, po czym dodała: — Jest pan odważny, ponieważ naraża pan swoje własne życie, aby obalić tyrana i obojętnie jaki to tyran, ma pan moralne i religijne prawo do walki z nim. Po raz pierwszy jestem po stronie Burów.

— Czy jest wielu Anglików, którzy myślą podobnie jak pani? — zapytał ostrożnie Simon de Koker.

— Paru. Ci, którzy przyjechali do Afryki dawno temu i na własne oczy widzieli, z jakim uporem i trudem musieli walczyć o swoją niepodległość. Nie wszyscy jesteśmy pozbawieni wrażliwości, niech mi pan wierzy. Podziwiamy waszą walkę i wiemy, że pewnego dnia odniesiecie zwycięstwo.

— Hm — mruknął Simon de Koker, podejrzliwie spoglądając na Sarę. Widać było, że jej pochwały sprawiały mu przyjemność.

Sara wstała, obeszła ognisko i stanęła o kilka kroków od Simona de Kokera. Blask dogasającego ogniska oraz mgła nadały jej twarzy dobroduszny, łagodny wyraz.

— Gdyby mnie pan tak nie unikał, zauważyłby pan, że jestem kobietą czułą i wrażliwą — powiedziała Sara.

— Tak — powiedział Simon de Koker. Złożył scyzoryk i spojrzał na swoje ręce. Były tłuste od kiełbasy. Wytarł je dokładnie w mokrą trawę.

Sara podeszła bliżej, podciągnęła spódnicę i uklękła tuż przy nim.

— Niech się pan mnie nie boi — powiedziała. — Podczas wojny i w czasie niebezpiecznych podróży zdarzają się takie rzeczy. Mężczyźni i kobiety, którzy przeżywają trudne chwile, biorą od siebie nawzajem, co tylko mogą, zapominając o swoich obowiązkach i nie troszcząc się o przyszłość. Pan jest agentem Burów, a ja angielską damą. Powinnam myśleć o mężu i nie zapominać o swoim dobrym wychowaniu. Pan powinien mnie pilnować, traktować jak więźnia i nie wysłuchiwać tych moich wywodów. Powinien pan myśleć o Transvaalu.

— O Transvaalu? — Simon de Koker zmarszczył czoło, tak jakby nie zrozumiał, co powiedziała. Był sparaliżowany zapachem jej perfum, jej kobiecością, sugestywnym tonem głosu oraz zimnym angielskim akcentem. Ostatnim razem spał z dużą Murzynką o grubym tyłku, w pokoju na zapleczu Maloney's Bar, w Dutoitspan, a było to trzy miesiące temu.

Sara wyciągnęła rękę i delikatnie pociągnęła Simona de Kokera za rzadką brodę.

— Nie zadawaj żadnych pytań — szepnęła. — Nie spodziewaj się dalszego ciągu. Zawsze wszystkiemu zaprzeczę, możesz być tego pewien. Idź teraz do wozu i rozłóż koce, za chwilę do

ciebie przyjdę.

Simon de Koker wolnym i niezdecydowanym ruchem chwycił ją za przegub dłoni. Pod paznokciami miał czarne obwódki z brudu i obydwójce spostrzegli kontrast między bladą skórą Sary z widocznymi na niej gdzieniegdzie nie-

bieskimi żyłkami a oblepionymi błotem, twardymi paznokciami Simona de Kokera, lecz Sara położyła swoją drugą rękę na dłoni Simona, tak jakby chciała mu w ten sposób dodać otuchy.

— Jesteś bohaterem — powiedziała — a żaden prawdziwy bohater nigdy nie miał czystych rąk.

— Kiedy już skończymy... dzisiaj... oddasz mi diament? — zapytał Simon de Koker chropawym głosem.

Oczy Sary były duże i wydawały się szczere.

— Jeśli udowodnisz, że mi ufasz... wtedy ja też pokażę, jak bardzo ci ufam...

— A diament?

— Wszystko — szepnęła. — Wszystko, co zechcesz.

Simon de Koker rozejrzył się wokoło — pozostali uczestnicy wyprawy leżeli zawinięci w kocy. Wszyscy już spali. Wreszcie głęboko odetchnął, chwycił swój karabin i stał przez chwilę w mgle, nie mogąc się zdecydować.

— Za chwilę przyjdę — powiedziała Sara.

Chcąc go zachęcić, uniosła swój złoty naszyjnik, tak by zobaczył skórzany woreczek, w którym spoczywał diament. Skinął głową, założył kapelusz z szerokim rondem i odszedł w stronę wozu. Jego wysoka, pałakowata sylwetka rozplynęła się we mgle.

Sara czekała pięć, sześć minut, patrząc na migoczący, gasnący ogień. Potem zdjęła sakiewkę z szyi, zniosła ją w miejsce, w którym spała Nareez, i włożyła pod jej koc. Ostrożnie ominęła Joela i na palcach odeszła w stronę wozu.

Simon de Koker czekał na nią na postaniu z koców, które przygotował na podłodze wozu, między skrzynkami z herbatnikami a beczkami z wodą. Siedział teraz, pykając swoją fajkę. Kiedy podeszła bliżej, ujrzała jego spoconą, brodatą twarz, mocno zarysowane pod skórą łukowate żebra, klatkę piersiową pokrytą ciemnymi znamionami oraz gęstymi, kręconymi włosami. Powiesił kapelusz na jednym z haczyków z boku wozu, a obok niego, w zasięgu ręki, tak blisko jego nagiego ciała, jak to tylko możliwe, leżał jego karabin Mauser, błyszczący i ciemny.

— Nie spieszyłaś się zbyt — uśmiechnął się.

— Chciałam się upewnić, czy wszyscy śpią.

Wyjął fajkę z ust i wysypał tytoń na jedną z beczek z wodą.

— Całe to towarzystwo zasypia, jak tylko się im pomacha kocem przed oczami. To zwykłe żółtodzioby. Pochowałem takich dziesiątki na Great Karoo, palców u rąk i nóg by nie starczyło.

Sara zdjęła i złożyła płaszcz. Następnie zaczęła rozpinać swoją niebieską suknię w kwiaty. Simon de Koker głośno przełknął ślinę.

— Chyba się nie boisz? — zapytała Sara.

— Dlaczego miałbym się bać — wyszczerzył zęby Simon de Koker. Mówił z wyraźnym afrykańskim akcentem.

— Gdybyś się bał, nie byłoby w tym wcale nic dziwnego — stwierdziła Sara. — Jesteśmy tak różni, ty i ja. Nie jesteśmy tylko dwójkiem ludzi pragnących się ze sobą przespać. Jesteśmy wrogami w jednym łóżku.

— Nie jestem twoim wrogiem — powiedział Simon de Koker.

Pochyliła się do przodu z rozpiętą suknią, pod którą widać było jej biały stanik, i pocałowała go w czoło.

— Ani ja nie jestem twoim wrogiem. I mam nadzieję, że Bóg nam wybaczy.

Simon de Koker patrzył w milczeniu, jak zdejmowała suknię przez głowę. Stała potem na samym środku wozu, pod łukowato wygiętymi drewnianymi, pomalowanymi na niebiesko prętami, i zrzuciła bieliznę. Jedyne nikłe światło ogniska wpadało do wozu przez płócienną plandekę, więc kontury jej ciała rozmazywały się w ciemnościach chociaż przez ułamek sekundy dostrzegł jej kołyszące się nagie piersi.

Kiedy położyła się na nim, odrzucił koc i objął ją obiema dłońmi. Na udzie poczuł jej miękkie włosy łonowe.

— Simon... — szepnęła mu do ucha. — Nie wolno ci nigdy tego żałować. Los tak chciał. Zobaczyłam linie na twojej dłoni, kiedy po raz pierwszy wziąłeś do rąk te lejce. Zobaczyłam przerwana linię życia.

Simon de Koker pocałował ją w policzek, potem w usta i wreszcie zapytał:

— Co?

— Twoją linię życia — powtórzyła. Nie przestawała go całować po czole, po policzkach, co najpierw trochę go tylko drażniło, lecz potem coraz bardziej się niecierpliwił. — Przerwana linia życia prawie zawsze oznacza chorobę lub stratę kogoś bliskiego. Czasami oznacza jakiś wypadek.

— Dziwna z ciebie kobieta — szepnął Simon de Koker. Dotknął jej ramienia i przesunął ręką wzdłuż jej pleców.

Usiadła. W ciemnościach Simonowi de Kokerowi zdawało się, że ma zamiar usiąść na nim okrakiem, więc podniósł głowę, żeby to zobaczyć. Nagle rozległ się głuchy, przerywany huk, po czym nastąpiła szybka seria ostrych metalicznych trzasków, przypominających dźwięki wydawane przez kastaniety. W tym samym momencie, w którym jego umysł zarejestrował, że Sara sięga po broń, podnosi ją i zwalnia bezpiecznik, nacisnęła na spust. Rozległ się ogłuszający świst i połowa jego żołądka wyleciała w powietrze, uderzając o ścianę wozu.

— Co się stało? Saro! Co tam się, u diabła, dzieje? Saro! — rozległ się głos Joela.

Również i Hunt wygramolił się spod koców i puścił biegiem w stronę ogniska. Rozchylił pokrowiec wozu i ujrzał na podłodze Sarę, która nie miała na sobie nic prócz zabłoconych białych pończoch, z karabinem pod pachą. Zobaczył też Simona de Kokera leżącego na podłodze z szeroko otwartymi oczmi, zbroczonego krwią.

— O mój Boże, morderstwo! — zawołał Hunt. — O mój Boże.

Simon de Koker patrzył na Sarę ze zdziwieniem na twarzy. Przez chwilę ruszał tylko ustami, lecz w końcu udało mu się powiedzieć:

— Zastrześliś mnie.

Sara nie była w stanie mówić. Myślała, że jeśli go zastrzeli, to on umrze, a strzał pozostawi jedynie małą okrągłą dziurkę w jego ciele. Nie była zupełnie przygotowana na ten nagły wstrząs, nie spodziewała się, że kule wprawiającego brzuch w konwulsyjne drganie przypominające targany na wietrze namiot. Nie wiedziała, co począć, kiedy czerwień zalała mu ciało, nie wiadomo w ogóle, skąd się to wszystko wzięło. W dodatku ciągle jeszcze żył i z nią rozmawiał!

— Nieźle mnie podziurawiłaś — powiedział Simon de Koker ledwo słyszalnym szeptem.

Oddychał przez nos, krew wydostawała się na zewnątrz również przez nozdrza.

— Ja... ja — zaczęła, lecz zbyt mocno się trzęsła, żeby powiedzieć coś więcej. Było jej zimno, a kiedy zakryła piersi ramieniem, poczuła, że sutki były tak twarde jak guziki.

— Musisz dokończyć — powiedział Simon de Koker. — Nie chcę tak umierać. Nie chcę się wykrwawić.

— Nie wiem, co mam robić — powiedziała Sara. Zbyt wiele słów cisnęło jej się na usta. Nie

panowała nad sobą. — o mój Boże, przepraszam. Nie wiem, co robić.

Simon de Koker szukał przez chwilę oczami swojego płaszcza, który zostawił na beczce z solą.

— W lewej kieszeni znajdziesz naboje — powiedział. — Wyjmij jeden, zaraz ci powiem, co dalej.

W ciemnościach Sara upuściła płaszcz na podłogę i dwa, trzy pociski potoczyły się pod skrzynie z prowiantem. Udało jej się złapać jeden z nich, ścisnęła go mocno w dłoni i ponownie usiadła naprzeciwko Simona de Kokera. Czuła ból i wstyd, bo nie mogła zrobić nic więcej, jak tylko pokazać mu pocisk i czekać na dalsze instrukcje.

— Mam go — oświadczyła.

Simon de Koker kiwnął głową. Potrzebował czasu, by nabrać do płuc wystarczająco dużo powietrza, żeby coś powiedzieć. Po chwili szepnął:

— Odciągnij język spustowy karabinu... wyrzuć pusty... potem włoż nowy nabój... dobra... czekaj, źle cię widzę... potem jeszcze raz pociągnij za język... kiedy to zrobisz... karabin będzie... gotowy do strzału.

Ręce Sary straciły koordynację ruchów. Miała wrażenie, że zamiast ramion ma drewniane belki. Wreszcie udało się jej odsunąć metalowy języczek, wycelować i obwieścić grobowym tonem:

— Zrobione.

Powoli, jak ktoś potwornie zmęczony czy przygnębiony, Simon de Koker wyciągnął rękę całą umazaną we krwi i skierował lufę karabinu prosto w swoją twarz. Następnie wpakował ją sobie do ust i spojrzał na Sarę. Jego oczy nie błagały o litość, wyrażały jedynie rezygnację i zgodę na to, co teraz musiało się stać. Sara ledwo go widziała przez łzy, które nagle stanęły jej w oczach.

— Saro! — zawołał Hunt i tego właśnie potrzebowała. Słowa, które przerwie tę zaczarowaną, przerażającą ciszę. Słowa, które przypomni jej, że nie może tu tkwić ani sekundy dłużej — naga, z broczącym krwią, zranionym mężczyzną. Pociągnęła za spust i głowa Simona de Kokera rozleciała się na kawałki jak porcelanowy czajniczek zepchnięty z wysokiego muru. Tym razem nie słyszała nawet wystrzału.

Kiedy zeszła z wozu, Hunt czekał już na nią z kocami. Kolana miała poplamione krwią i trzęsła się tak gwałtownie jak epileptyk. Hunt zajrzał do ciemnego wnętrza wozu, po czym dogonił ją przy ognisku.

— Więcej drewna — powiedział do Nareez. — Rozpal porządnie ten ogień, co? I daj brandy.

Joel siedział na swoim posłaniu z napiętą i bladą jak płótno twarzą.

— Nie żyje? — zapytał. To pytanie było zupełnie zbędne, ale musiał usłyszeć odpowiedź.

— Ofiara wojny — stwierdził Hunt z kwaśną miną. — Ten pomysł, żeby sprzedać taki wspaniały diament i wymienić go na amunicję oraz uzbrojenie, to istne szaleństwo, szczególnie że miały zostać użyte w walce z Brytyjczykami. Musimy przecież mieć jakieś zasady, prawda? Jakąś godność. Musimy czuć się związani z krajem, który jest naszą ojczyzną.

— Zamknij się — syknął Joel. — Saro, nic ci nie jest? Sara podnosiła i opuszczała głowę jak marionetka.

— Jest w szoku — wtrącił Hunt. — Trochę brandy, snu i poczuje się lepiej.

Nareez zignorowała wprawdzie polecenie Hunta i nie poszła po drewno, lecz przyniosła za to pół butelki Napoleona, wlała do emaliowanego kubka i ostrożnie włożyła Sarze do drżących rąk.

— Pij — powiedziała z troską w głosie, głaszcząc Sarę po włosach. — Nie myśl o niczym. Tylko pij.

— No cóż, myślę, że zasługuje na gratulacje — powiedział Hunt. Wsparł ręce na biodrach jak zwinny mały chłopak na boisku szkolnym, podziwiający wyśmienity strzał do bramki. —

Powiedziała, że go załatwi i tak też zrobiła. Uważam, że sprawiła się na medal.

— Na miłość boską, przestań się zachowywać tak, jakby to była sala bilardowa w Government House — błagał Joel. — Idź po drewno, przyda się. Niania tego nie robi.

Hunt westchnął, nie znajdując zrozumienia u Joela, lecz wcale się tym nie przejął. Zaczął krążyć w kółko w poszukiwaniu opału.

— Zawsze myślałem, że Hindusi lubią te rzeczy — mruknął sam do siebie i zniknął za przywiązanymi do drzew kołmi.

Sara wypila brandy, odrzuciła głowę do tyłu i zamknęła oczy. Siedziała tak nieruchomo i w milczeniu przez dwie, trzy minuty. Mokra mgła, która powoli unosiła się coraz wyżej nad doliną rzeki Sand, otulała jej delikatną twarz. Joel spojrzał pytająco na Nareez, lecz ona potrząsnęła tylko głową, tak jakby chciała powiedzieć, że nie ma się czym martwić. Gdzieś daleko w ciemnościach zaszczekał pies, a może to była małpa.

Sara otworzyła oczy. Joel obserwował ją jeszcze przez chwilę.

— Nie myślałem, że to zrobisz — rzekł.

Sara spuściła głowę i palcami dotknęła swoich włosów.

— Musiałam — oświadczyła.

— Światu potrzeba więcej takich kobiet.

Obróciła się do niego z gorzkim uśmiechem na twarzy.

— Naprawdę? Czy raczej tacy mężczyźni jak ty potrzebują więcej takich kobiet jak ja?

— Jesteś niesprawiedliwa — powiedział Joel.

— A ty nie wiesz, co mówisz. Gdyby na świecie więcej było kobiet takich jak ja, nie byłbyś chyba wcale tak bardzo zadowolony. Ja też nie. Kiedy patrzysz na mnie, widzisz tylko to, co chcesz, prawda? Nigdy nie zobaczysz tej walki, która toczy się pod koronkami i biżuterią.

— Jakiej walki? — zdziwił się Joel. — Dlaczego miałabyś walczyć?

Sara wstała szczerze owinięta kocem wokół ramion.

— Muszę walczyć, ponieważ jestem silna. A przynajmniej mogłabym być silna, gdyby nie moja przeszłość i wychowanie. Czy możesz sobie wyobrazić jak to jest, kiedy wzrasta się w zamożnej, kolonialnej rodzinie? Prawdopodobnie nie jesteś w stanie. To najbardziej uprzywilejowane, cudownie leniwe życie, jakie sobie można wyobrazić. Uwielbiałam je, skłamałabym, gdybym powiedziała, że tak nie było. Lubiłam przejażdżki konne, przyjęcia, lubiłam plotkować. I całe szczęście, że to wszystko lubiłam, ponieważ gdybym, jak niektóre kobiety, zbuntowała się przeciwko temu życiu, prawdopodobnie skończyłabym w domu wariatów.

Ucichła na krótką chwilę i potem powiedziała już spokojniej:

— Miałam oczywiście wolność, pieniądze i wszystkie sukienki, które chciałam. Lecz wypowiedanie przeze mnie opinii na temat polityki, interesowanie się kimś z niższych warstw czy zbytne okazywanie swoich uczuć uważane było za niestosowne. Byłam zdumiona, że moi rodzice zgodzili się, bym wyszła za Barneya, choć z drugiej strony miał przecież kopalnię diamentów i przejechał taki szmat drogi, żeby mnie odszukać, no i był Żydem. Mamie wydawał się taki romantyczny.

Joel podrapał się po szyi.

— Tak, chyba masz rację. — Zamyślił się i dodał z wyraźnym sarkazmem: — Jest romantyczny. Nie wiem, co jeszcze można o nim powiedzieć, ale z pewnością jest romantyczny.

Sara wzięła głęboki oddech i spojrzała w stronę wozu.

— Tak czy inaczej, moja siła zwyciężyła w końcu moje wychowanie i zobacz sam, jak daleko się posunęłam.

Joel trzymał w ręce przywiązaną do złotego naszyjnika sakiewkę ze skóry.

— Nie zapomniałaś chyba, dlaczego to zrobiłaś? Zostawiłaś to w kocu Nareez.

Sara podeszła do niego, wzięła sakiewkę i zawiesiła ją sobie z powrotem na szyi.

— Dziękuję — powiedziała. — Jesteś chyba jedyną osobą, która naprawdę wie, co czuję.

Joel uśmiechnął się do niej i pocałował ją w policzek.

Zadaniem Hunta było wywleczenie o świcie martwego ciała Simona de Kokera z wozu i pochowanie go w niewielkim zagłębieniu przy kępie drzew. Ciągłe jeszcze dyszał z wysiłku i pocił się, kiedy razem z Sarą stali przy grobie, odmawiając modlitwę za jego duszę. Nareez zajęta była myciem zabrudzonej krwią podłogi w wozie, a Joel siedział przy wygasłym ognisku, próbując się ogolić w lodowato zimnej wodzie.

Wobec braku innych możliwości zdecydowali, że udadzą się prosto do Durban, gdzie, jak mówiła Sara, jej ojciec pomoże im sprzedać diament. Być może znajdzie na niego nabywcę wśród swoich indyjskich czy perskich partnerów handlowych. Hunt mógł popłynąć z Durban do Anglii na pokładzie statku parowego, zachowując w pełni anonimowość. Sara wiedziała, że Barney prędzej czy później domyśli się jej miejsca pobytu, lecz do tego czasu diament będzie już sprzedany, a prawnicy Harolda poradzą sobie z każdą podłą sugestią Barneya, jakoby to ona ukradła Gwiazdę Natalię. Odeszła od niego, ponieważ jego pozycja społeczna w Kimberley okazała się dużo niższa, niż oczekiwała, i ponieważ okrutnie się z nią obchodził. Był wilkołakiem i to w dodatku żydowskim wilkołakiem. Teraz wszyscy mogą przekonać się o jego okrucieństwie — oskarżają o kradzież cennego diamentu! W każdym razie taki był ich plan. W głównej mierze był to plan Sary i Hunta. Joel jeszcze nie zdecydował, co robi, a jeśli podjął jakąś decyzję, nikomu o tym nie mówił. Uśmiechał się, lecz milczał, kiedy dźwignęli go w górę i posadzili na świeżo umytej podłodze w wozie, zaprzęgli konie i w porannej mgle czynili przygotowania dojazdu na wschód.

— Muszę powiedzieć, że wszystko dobrze poszło — zauważył radośnie Hunt. — Ale żal mi tych biednych Burów w Wesselstroom. Będą musieli koszmarnie długo czekać, jeśli spodziewają się nas za dzień lub dwa!

— Mnie żal de Kokera — powiedziała odważnie Sara, a Hunt nie wiedział, jak ma zareagować. Nadał się jak rozgrymaszone dziecko i przez następne pół godziny w ogóle się nie odzywał.

Wczesnym popołudniem dotarli do Colenso, gdzie zatrzymali się, żeby nakarmić i napoić konie. Chcieli też kupić wędzony boczek i otręby od jakiegoś farmera. O około pięćset, sześćset jardów od miejsca, w którym się zatrzymali, zobaczyli kilka rozbitych namiotów armii brytyjskiej. Namioty stały nie opodal jednego z dopływów rzeki Tugeli, wśród krzaków i drzew. Widzieli też ognisko oraz dym, który leniwym zygzakiem unosił się w górę. Kiedy farmer przyniósł na plecach wielki kawał boczku, opowiedział im o masakrze w Isandhlwana, jakieś niespełna pięćdziesiąt mil na północny wschód od wioski, oraz o obronie Rorke's Drift. Był czerwonym na twarzy, posiwiiałym, drobnym Afrykańczykiem, który w 1842 roku stwierdził, że przeprawa przez góry z powrotem do Transvaalu zbyt wiele by go kosztowała. Dawał boczek i świeże jajka żołnierzom brytyjskim i w zamian za to zostawiali jego i jego córki w spokoju.

— Więc co — odezwał się Hunt, kiedy siedzieli nie opodal wozu przy drodze i zajadali kiepski lunch złożony z herbatników i boczku — wygląda na to, że sir Butelkowe Piwo ruszył w końcu do przodu i porządnie narozrabiał!

— Pokonają w końcu Zulusów, prawda? — upewniała się Sara.

— Oczywiście — odparł Hunt. — Zulusi są strasznie dzicy, ale nie wiedzą, jak wielką Brytyjczycy mają nad nimi przewagę. Poza tym stosują tylko jedną taktykę: walą na oślep i robią

dużo hałasu. Nawet Lord Chelmsford powinien wiedzieć, jak sobie z nimi poradzić. Bóg raczy wiedzieć, co się stało w tej Isandhlwana, ale założę się, że sir Butelkowe Piwo szykuje już odwet. Za żadne skarby świata nie chciałbym teraz siedzieć w Ulundi. Dziękuję bardzo!

— Przypomniało mi się, że nie mamy ani grama herbaty — cichym głosem powiedziała Sara.

— A farmer nie miał? — zapytał Hunt.

— Zapomniałam go zapytać, przepraszam, Saro — odparła Nareez. — Pojadę i rozejrzę się. Sara pośpiesznie wstała.

— Nic się nie stało. Mam ochotę na przejażdżkę. Pojadę i zapytam żołnierzy. Muszą przecież mieć herbatę. Brytyjscy żołnierze nie obyliby się bez niej.

Odwiązała jednego z koni biegnących luzem za wozem, zarzuciła mu koc na grzbiet i dosiadła go.

— Zaraz wracam! — zawołała i odjechała poboczem drogi po skalistym stoku w kierunku obozowiska armii. Koń ślizgał się i płoszył, lecz pokonał wreszcie pochyły odcinek drogi i popędził prosto przed siebie.

— No tak — powiedział Joel. — I już jej nie ma. Hunt zmarszczył czoło.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Właśnie to, co powiedziałem. Już jej nie zobaczymy. Prawda, Nareez?

— Pojechała po herbatę. To wszystko. — Nareez była wyraźnie niezadowolona.

— Aha, pojechała po herbatę, co? Akurat. Przejedzie obok tych namiotów, zboczy z drogi i przez jakieś trzy mile pojedzie równoległe do niej, na wschód. Potem wjedzie z powrotem na drogę i pogna co tchu w piersiach, żebyśmy nie mogli jej dogonić. Zresztą i tak byłoby to niemożliwe, mamy przecież wóz.

— To nieprawda — zaprotestowała Nareez. — Nie zdradzi was!

Joel pokręcił głową.

— Myślała o tym przez cały dzień. Obserwowałam jej twarz i wszystkiego się domyśliłem. Na początku, po zabójstwie de Kokera, wydawało jej się, że to całkiem dobry pomysł, żeby pojechać z diamentem do Durban i podzielić zyski między trzy osoby. Lecz potem pewnie zaczęła się zastanawiać, po co w ogóle miałyby się dzielić. Zabiłam de Kokera, odwaliłam najgorszą robotę, dlaczego mam się z kimś dzielić? Z takim lalusiem jak Hunt i z takim kaleką jak Joel? Ci dwaj nie zrobią krzywdy Nareez, więc mogę się z nią spotkać później.

— Mówię panu, panie Blitz, pojechała po herbatę! — powiedziała Nareez.

Joel podniósł się trochę i pokazał palcem leżącą w dole dolinę nad rzeką Tugelą. Sara minęła już obozowisko wojskowe, słyszeli nawet pogwizdujących za nią żołnierzy. Przez mgłę widzieli, jak posuwa się naprzód wzdłuż jednego z dopływów rzeki w kierunku północno-wschodnim. Jej koń ostrożnie mijał skały, a ona sama prawie była niewidoczna na tle szarego nieba. Po chwili zniknęła im z oczu jak duch.

Joel uśmiechnął się szyderczo.

— No i co, Nareez, odjechała, tak jak obie zaplanowałyście. Cała ta śmieszna gadka o herbacie! „Przepraszam, Saro. Pojadę i rozejrzę się za tą herbatą”. „Nie trzeba, Nareez. Wezmę konia i pojadę do tych żołnierzy. Armia brytyjska nie obyłaby się bez herbaty!” Herbata! Wy, kobiety, doprowadzacie człowieka do szału.

— Ten diament słusznie jej się należy — powiedziała Nareez. — To skromna nagroda, która zrekompensuje jej te wszystkie cierpienia.

— Jakie cierpienia? — wykrzyknął Joel. — Kilka nudnych miesięcy w Kimberley? Przecież Barney się nad nią nie znęcał, prawda? Wszystko można mu zarzucić, ale zawsze postępował jak

dżentelmen. Starał się też być dobrym mężem, kiedy tylko Sara mu na to pozwalała. Nie kochał jej. To oczywiste. Ale nigdy nie musiała przez niego cierpieć.

— Jak to miło, kiedy bracia tak się bronią — powiedział dobitnie Hunt.

Joel zignorował go, wygiął się do tyłu i włożył rękę głęboko do kieszeni płaszcza. Postępując, czegoś w niej najwyraźniej szukał. Szarpnął za podszewkę i w końcu wyciągnął rękę złożoną w pięść. Usiadł prosto.

— Może sobie myśleć, co chce, ta twoja pani i pupilka zarazem — powiedział Joel. — Lecz jej marzenia a rzeczywistość to dwie różne rzeczy! Zobacz!

Wyprostował palce i oto na jego dłoni leżała połyskująca na tle szarego popołudniowego nieba Gwiazda Natalia. Zachwycony Hunt zaczął klaskać w ręce.

— Joel, jesteś po prostu genialny! Myślałem, że diament wisi na jej szyi!

— Na jej szyi wisi kamień, który znalazłem koło Mont-aux-Sources, kiedy przeprawialiśmy się przez góry Drakensberg. Za każdym razem, kiedy wóz stawał, przyglądałem się kamieniom przy drodze i w końcu znalazłem jeden, który odpowiadał wielkością i kształtem. Wczoraj wieczorem, zanim załatwiła de Kokera, zostawiła sakiewkę w kocach Nareez. Myślała, że śpię. Wyjąłem diament, a podłożyłem kamień. Kamień za kamień.

— Jest pan złodziejem! Jest pan okropnym złodziejem! — Nareez zacisnęła pięści.

Joel roześmiał się jej w twarz.

— Co ze mnie za złodziej w porównaniu z Sarą albo z wami. Ten diament jest w połowie moją własnością, jakkolwiekby na to patrzeć. Podzielę się z wami, jeśli pomożecie mi dostać się do Durban, ale ostrzegam was, jeśli doniesiecie na mnie władzom, nic wam z tego nie przyjdzie. Powiem tylko, że mnie porwaliście i próbowaliście ukraść diament, który zgodnie z prawem należy do mnie i do mojego brata. W najgorszym razie będę się musiał podzielić z Barneyem. W najlepszym razie będziecie wisieć za porwanie i za kradzież.

— Przypuszczam, że wy, Żydzi, macie jakieś słowo na określenie takiego podstępu — powiedział uszczypliwie Hunt.

Joel uniósł rękę z diamentem i Hunt ujrzał, jak zalśnił migotliwym blaskiem.

— Mówimy *chachma* — powiedział Joel. — Chytra sztuczka.

Odwrócona w drugą stronę Nareez głośno splunęła na ziemię.

Nawet w biały dzień doliny uformowane przez dopływy rzeki Tugeli, mogą okazać się niesłychanie zwodnicze. W gęstej mgle są istnym koszmarem nie kończących się zakrętów i ślepych uliczek tworzących labirynt, w którym bardzo łatwo zabłądzić.

Sara wiedziała, że dopływ Tugeli, płynący w kierunku północno-wschodnim od Colenso, wpada do głównego koryta jakieś piętnaście mil za Ladysmith. Wiedziała, że jeśli pojedzie wzdłuż głównego koryta rzeki, to po trzydziestu milach dotrze do Tugela Ferry i równocześnie do drogi wiodącej z Newcastle do Durban. Dalej będzie musiała jechać wytrwale prosto przed siebie, minie Ugg, Greyton i po dwóch, trzech dniach dotrze wreszcie do Durban.

Musiała pojechać zupełnie inną drogą na wypadek, gdyby jej koń okulał. Wtedy Joel mógłby ją dogonić, mogli też wysłać Hunta przodem.

To, co teoretycznie wydawało się całkiem łatwe, okazało się trudniejsze i bardziej przerażające, niż można się było spodziewać. Kiedy dotarła do małej osady Stendal, stwierdziła, że zabłądziła. Pojechała na skróty, pokonując tonący we mgle pagórek między jednym dopływem a drugim, i wzięła Tugelę za dopływ, który wpadał do Tugeli w Empangueni. Przeprowadziła się przez rzekę na koniu i jechała dalej na północny wschód. Była przemoczona i trzęsła się z zimna.



Późnym popołudniem mgła zaczęła się przerzedzać i wyszło słońce, na początku blade i żółte, lecz potem coraz jaśniejsze. Po ziemi kładły się długie cienie, a ptaki zaczynały swoje trele. Sara poczuła się lepiej i zatrzymała się na krótki odpoczynek przy małym strumieniu. Nie miała ze sobą jedzenia ani wody; liczyła na to, że przed zapadnięciem zmroku znajdzie drogę prowadzącą do Greyton i zatrzyma się na kolację u jakiegoś farmera czy w obozowisku armii brytyjskiej.

Teraz, kiedy wokoło gęstniał już zmierzch i przybywało coraz więcej cieni, zrobiła swój najgłupszy błąd. Postanowiła jechać, jak długo się tylko da. Zarzuciła koc na grzbiet konia, dosiadła go i mając gasnące światło dnia po swojej lewej stronie, jechała na północny wschód. Sakiewka na szyi rytmicznie uderzała o jej pierś w trakcie jazdy.

Ciągle jeszcze miała szansę odnaleźć drogę, lecz przecież jadąc od północnego zachodu, przepравиła się już przez dopływ Tugeli, biorąc go za Tugelę. Przy świetle prawie niewidocznego księżyca jechała dalej na północny wschód i rozpaczliwie szukała dopływu, który zostawiła już za sobą. Wykończona, głodna i przestraszona minęła w ciemnościach drogę z Newcastle do Durban, nie zauważwszy jej.

Po raz ostatni widziano ją żywą następnego ranka. Żołnierze pododdziału zwiadowczego z siedemnastego pułku wrócili do swojego obozowiska, wywołując ogólną konsternację, kiedy zameldowali, że widzieli przez lornetkę Europejkę jadącą galopem przez zalesione wąwozy w kierunku rzeki Buffalo, kilka mil na południowy wschód od Rorke's Drift. Najprawdopodobniej nie miała broni, zapasów, przewodnika i albo nie usłyszała trzech wystrzałów karabinowych zwiadowców, które miały na celu ostrzeżenie jej przed niebezpieczeństwem, albo też zignorowała je.

Pięć dni później zwiadowcy z ochotniczego oddziału z Natalu znaleźli ciało białej kobiety, brunetki, przy drodze dla wozów, prowadzącej na południowy wschód z Isandhlwana do Inkanhlda Bush. Rozpruto jej brzuch krótkimi dzidami, jakimi posługiwali się wojownicy Zulu, i okrutnie okaleczono. Na szyi miała pustą, skórzaną sakiewkę, a w prawej ręce zaciśniętej tak mocno, że żołnierze mieli duże kłopoty z rozprostowaniem palców, trzymała duży, chropawy kamień. Metka na płaszczu pozwoliła zidentyfikować ją jako Sarę Sutter z Durban.

Joel, Hunt oraz Nareez przybyli do Durban w wilgotny i pochmurny dzień. W taki dzień każdy marzy o kąpieli oraz o kieliszku dzinu na chłodnej werandzie. Z początku Joel nie chciał pozwolić Nareez odejść, lecz kiedy Hunt przekonał go, że niania czym prędzej popędzi prosto do Khotso na spotkanie ze swoją panią, która pewnie już tam dotarła i rozpacza teraz po stracie swojego diamentu, w końcu zgodził się zapłacić za dorożkę i tym sposobem pozbył się jej raz na zawsze.

Dziwaczne poczucie humoru nie opuszczało Joela ani przez chwilę, nawet tutaj, w Durban, po udanej ucieczce z diamentem. Pamiętając swoją pierwszą wizytę w tym mieście, ze zmiądzoną miednicą i złamanymi nogami, wynajął pokoje dla siebie i dla Hunta w Natalia Hotel. W rejestrze hotelowym napisał „Bhtz”, a wpis opatrzył zamaszystym zakrętasem. Jeśli Barney przyjedzie go szukać, nie będzie miał żadnych wątpliwości, że właśnie tu się zatrzymał. Wspierając się na kulach, wszedł na górę. Mógł wreszcie położyć się na miękkim łóżku, zdjąć buty i zamknąć oczy. W głowie miał zamęt od różnorodnych odgłosów, które dochodziły go z ulicy. Głosy ulicznych handlarzy, stukot kopyt koni, kół wozów — wszystkie te dźwięki wpadały do pokoju przez okna z częściowo spuszczonej żaluzjami. Miał wrażenie, że to wszystko nieprawda, że tylko śni.

Joel spał twardo, a kiedy się obudził, miał słonawy zapach w ustach i zmoczył śliną poduszkę. Przyjął pozycję siedzącą i zdjął ze stolika przy łóżku tanią, płócienną serwetkę, by wytrzeć usta i przetrzeć czoło. Siedział przez chwilę nieruchomo, myśląc o Barneyu, o Sarze, o diamencie, potem chwycił kule oparte o ścianę przy łóżku i pokuśtykał do łazienki, żeby napuścić gorącej wody do

wanny.

Woda leciała, a para leniwie wydostawała się przez okno, kiedy rozległo się energiczne pukanie do drzwi.

— Tak? — ostrożnie zapytał.

— Pan Blitz? — odezwał się nieznajomy głos.

— Kto tam? — zapytał Joel.

— Kierownik, panie Blitz. Charles Pope. Czy mógłbym zamienić z panem dwa słowa? To potrwa tylko chwilę.

— Proszę wejść — zawołał Joel.

Kierownik otworzył drzwi swoim własnym kluczem i wszedł do pokoju szybkim, zdecydowanym krokiem jak żołnierz. Był młodym mężczyzną o okrągłej głowie, krótkich wąsach i rumianych policzkach z małymi, popękkanymi żyłkami, które zawdzięczał promieniom słonecznym oraz brandy. Dobrze się prezentował w czarnym garniturze, frakowej koszuli i białym eleganckim krawacie. Stał wyprostowany i patrzył Joelowi prosto w oczy.

— Zobaczyłem pańskie nazwisko w rejestrze, panie Blitz, i zaniepokoiłem się.

Joel siedział na brzegu łóżka.

— Zaniepokojony? — zapytał ze zdziwieniem. — Dlaczego?

— Chodzi o coś, co miało miejsce kilka lat temu, proszę pana, o coś, o czym nie można tak po prostu zapomnieć. Nie mogę tej sprawy zlekceważyć przez wzgląd na siebie samego i na moją rodzinę.

— Proszę powiedzieć, o co chodzi — domagał się Joel.

— Proszę pana, zanim objąłem zarząd nad tym hotelem, to znaczy, kiedy przeszedłem w stan spoczynku, a służyłem w Royal Engineers...

— Tak, tak... — niecierpliwił się Joel.

— Chodzi o to, proszę pana, że ktoś o nazwisku Blitz zatrzymał się tu kilka lat temu.

— Zgadza się. To byłem ja oraz mój brat Barney. I co z tego?

Charles Pope zacisnął swoje błyszczące, żółte sztuczne zęby i zmieszał się jeszcze bardziej.

— Chodzi o rachunek, proszę pana.

— Chce pan powiedzieć, że nie uregulowaliśmy rachunku? Chodzi o pieniądze?

— Nie, proszę pana. Rachunek został uregulowany. W każdym razie tak mi powiedziano. Problem w tym, że został zapłacony pięciofuntowymi banknotami wątpliwego pochodzenia, proszę pana.

— Były fałszywe?

— Nie, proszę pana, nie były fałszywe. Lecz jeden z tych banknotów dostał się później w ręce pewnego dżentelmena ze związku kupieckiego w Durban, proszę pana. Ów dżentelmen przyszedł do naszego hotelu, żeby zjeść obiad. Ten banknot wydano mu jako resztę. Otóż ten dżentelmen ze związku kupieckiego zbadał serię i numer tego banknotu, ponieważ od dłuższego już czasu czynił duże wysiłki w celu odnalezienia pewnej serii banknotów, które zniknęły, że się tak wyrażę, z pewnego banku w Portugalii.

Joel spojrzał w stronę łazienki.

— Czy mógłby pan zakręcić kurki? Nie chciałbym zalać pańskiego wspianiałego hotelu.

Charles Pope wszedł do łazienki i zakręcił wodę.

— Nadaża pan za moim tokiem myślenia, prawda? — zapytał, kiedy wrócił do pokoju.

— Nie jestem tego taki pewny. Próbuje mi pan dać do zrozumienia, że pieniądze, którymi zapłaciliśmy nasz rachunek hotelowy blisko osiem lat temu, były kradzione?

— Tak, tak bym to określił. Joel pokręcił lekceważąco głową.

— Będzie pan miał kłopoty, żeby to udowodnić, przyjacielu. A poza tym, bank prawdopodobnie i tak spisał już te pieniądze na straty.

Charles Pope klasnął w dłonie najwyraźniej głośniej, niż zamierzał.

— W tym właśnie cały problem, proszę pana! Bank być może tak. Ale dżentelmeni, którzy tych pieniędzy szukają, na pewno nie. Są wyjątkowo wytrwali.

— Najlepiej będzie, jak mi pan powie całą prawdę — powiedział Joel.

— Dobrze... — powiedział Charles Pope — ale nie są to wiadomości z pierwszej ręki, ponieważ kiedy pan zatrzymał się tu, pierwszym razem, byłem jeszcze kierownikiem starego hotelu, Muharrik Hotel, w Kairze. Ale były kierownik tego hotelu powiedział mi, że z banku La Coruna w Portugalii ukradziono kilka lat temu kilkaset tysięcy funtów. Tej grabieży dokonała zorganizowana grupa przestępców. W jej skład wchodził księgowi, prawnicy, urzędnicy bankowi, archiwiści. W wyniku tej kradzieży bank stracił wszystkie swoje pieniądze i niewiele brakowało, aby portugalski rząd podał się do dymisji.

— A co to wszystko ma wspólnego ze mną? — zapytał Joel.

Charles Pope zaczął się krzywić, nie mogąc się zdecydować, jaki przybrać wyraz twarzy. Lecz po chwili odezwał się znowu.

— Właściwie to ma bardzo ścisły związek z panem, ponieważ pięciofuntowe banknoty, którymi zapłacił pan rachunek w hotelu, zostały skradzione z tego właśnie banku. A mógł je pan otrzymać jedynie od człowieka, który maczał w tym napadzie palce, przechytrzył swoich kolegów i zwiął z całą forszą w najmniej oczekiwanym momencie. Sześciu oszustów należących do tego gangu już złapano i odsiadują teraz dożywocie. Dwóch innych zastrzelono, kiedy próbowali uciec z aresztu. Ośmiu pozostałych zmieniło nazwiska i rozjechało się po całym świecie. Pięciu z nich założyło firmę eksportową w Lourenco Marques, na terytorium portugalskim; jeden z nich pracuje jako agent dla swoich kolegów tutaj, w Durban. To właśnie on jadł tu obiad, po tym jak pan oraz pański brat opuściliście ten hotel, i rozpoznał jeden ze skradzionych banknotów.

— Bardzo to wszystko interesujące — powiedział Joel. — Ale nie ma pan żadnego konkretnego dowodu na to, co mówi. Mocno mi się wydaje, że zgrzyta pan tymi swoimi sztucznymi zębami, żeby mnie przestraszyć. Nic nie wiem o żadnych kradzionych pieniądzach ani o portugalskich oszustach, ani w ogóle o niczym. Jestem ignorantem, a za to nie można przecież nikogo winić.

— Panie Blitz — tłumaczył cierpliwie Charles Pope — pan i pański brat zapłaciliście w tym hotelu kilkaset funtów. Płaciliście panowie tylko i wyłącznie pięciofuntowymi banknotami. Pan Salgadas bardzo się ucieszy, kiedy się dowie, że pan tu znów przyjechał.

Joel myślał przez chwilę o tym, co usłyszał, i co chwila wydymał policzki.

— Domyślam się, że ma pan zamiar poinformować go o tym, że tu jestem? Zgadłem?

— To mój obowiązek, proszę pana. Muszę to zrobić przez wzgląd na moją rodzinę. Gdyby pan Salgadas dowiedział się, że pan tu był, a ja go o tym nie zawiadomiłem...

— Rozumiem — powiedział Joel. — Chce pan ode mnie wyłudzić pieniądze, tak? Ile pan chce? Charles Pope przybrał błagalny wyraz twarzy.

— Pięćset funtów, proszę pana, powinno zupełnie wystarczyć. Pięćset funtów za dwa tygodnie milczenia, to chyba uczciwe.

— Ile to wyniesie za minutę? — zapytał Joel. Charles Pope przyłożył palec do czoła i zamknął oczy.

— Prawie sześć pensów, proszę pana — wyrecytował po chwili i uśmiechnął się szeroko, odsłaniając wszystkie nienaturalnie równe sztuczne zęby. — Zanim zainteresowałem się

hotelarstwem, byłem księgowym, proszę pana.

Joel chwycił kule i pokuśtykał do okna.

— Niech pan otworzy te okiennice, dobrze? — poprosił Pope'a.

Pope podszedł do okna i spełnił jego życzenie. Joel mógł teraz zobaczyć faliste, pokryte dachówką dachy.

— Coś panu powiem — powiedział Joel. — Zawrzemy umowę. Lecz kłopot w tym, że musi mi pan uwierzyć na słowo.

Charles Pope wyjął chusteczkę i przyglądał się z zainteresowaniem Joelowi, wycierając nią jednocześnie nos.

— Człowiek, który przechytrzył portugalski gang oszustów nazywał się Monsaraz — powiedział Joel. — Bardzo dobrze go znałem. Prawdę mówiąc, prowadziliśmy wspólnie gospodarstwo rolne w Oranjerivier, w kolonii północnej. Kłopot w tym, że zachorował na płuca i jego stan był ciężki. Była to prawdopodobnie gruźlica, której nabawił się w Portugalii.

Charles Pope obejrzał swoją chusteczkę. Po chwili wtrącił:

— Proszę mówić dalej. Ja słucham. Joel uśmiechnął się.

— Zanim Monsaraz umarł, powierzył mi wszystkie zrabowane pieniądze, mnie i mojemu bratu Barneyowi. Polecił nam wywieźć je z kraju z powrotem do Portugalii i przekazać je jego krewnym. Ukryliśmy je w paczkach z suszonymi owocami. W zamian za tę przysługę dał nam po pięćdziesiąt tysięcy funtów. Może pana zainteresuje fakt, że swoją część zainwestowałem prawie w całości w Sutter Shipping Company i aktualnie mam w banku siedemdziesiąt tysięcy funtów.

— Co pan proponuje? — zapytał Charles Pope matowym głosem. — Chyba nie chce pan mnie wciągnąć w to wszystko?

— Nic takiego nie proponuję. Próbuję tylko uświadomić panu, że jeśli pan Salgadas zemści się na kimś, święcie wierząc, że w ten sposób wyrówna rachunki z Monsarazem, mimo że ten ktoś nie jest tym prawdziwym kimś, wtedy skończą się wszystkie moje kłopoty i pana kłopoty też się skończą, ponieważ zapłacę panu za pańską pomoc dwadzieścia tysięcy funtów.

Na ulicy jakiś włóczęga śpiewał piosenkę cienkim głosem do złudzenia przypominającym głos Simona de Kokera, kiedy krzyczał na konie: „Wio! wio! wio!”

Charles Pope wolnym ruchem wpakował chusteczkę z powrotem do kieszeni ciasnych urzędowych spodni i zmarszczył czoło, wpatrując się w odległy kąt pokoju, tak jakby spodziewał się, że za chwilę pojawi się w nim tabliczka z napisem, co powinien teraz zrobić.

Po długiej, pełnej wyczekiwania ciszy, zapytał:

— Co pan ma na myśli mówiąc, że ten ktoś nie jest tym prawdziwym kimś?

Następnego ranka o ósmej Hunt zjadł śniadanie w pokoju jadalnym Natalia Hotel. Zamówił grzanki i marmoladę. Czytał gazetę poranną, którą oparł o srebrny pojemnik z marmoladą. Wtem dwaj wąsaci mężczyźni wpadli przez drzwi wahadłowe do środka, popchnęli kelnerkę do ściany i wyjęli rewolwery.

Hunt nawet ich nie widział. Za bardzo był pochłonięty czytaniem plotkarskiego artykułu o poruczniku Oglivy z 224, o tym jak zwlekał z zaręczynami z panną Patricią Penrose z Marianhill. Przeżuwał jeszcze grzankę, kiedy dwaj wąsaci mężczyźni w białawych, tropikalnych garniturach podbiegli do jego stołu, uklękli na jedno kolano i wycelowali rewolwery w jego twarz. W przeciwieństwie do porucznika Oglivy'ego nie mieli zamiaru się oświadczać.

Rozległo się pięć strzałów, z których cztery były całkowicie zbędne, było też dużo stłuczonego

szkła, niebieskiego dymu i krwi. Następnie mężczyźni w pośpiechu opuścili pokój. Jeden z nich uniósł nawet kapelusz, przepraszając kelnerkę za popchnięcie jej przy wejściu. Nikt nie krzyknął, nie zapłakał, nikt nawet nie ruszył się z miejsca. Hunt pochylił się nad gazetą, tak jakby chciał się czemuś przyjrzeć z bliższej odległości, potem uderzył głową w stół i runął na ziemię.

W tym samym czasie na wietrznym pokładzie statku towarowego „Wallasey” znajdującym się o dwie mile od Port Natal i widocznym jeszcze z trawnika w Khotso, Joel popijał whisky z butelki i opierał się o barierkę jak wytrawny marynarz.

Pierwszy oficer minął go, pozdrawiając słowami:

— Ładny ranek, proszę pana. Niech pan tylko nie wypadnie za burzę.

Joel lekko się do niego uśmiechnął i zakręcił butelkę. Głowę miał zaprzątniętą zupełnie czym innym — świeże powietrze i gładkie morze mało go w tej chwili podniecały. Myślał o Huncie, o Sarze i o Charlesie Pope'u. Szczególnie delectował się myślą o kierowniku hotelu — wyobrażał sobie, jak zapuka do drzwi jego pokoju z tacą z herbatą i z poranną gazetą. Kiedy wejdzie do środka, stwierdzi, że w łóżku tej nocy nikt nie spał, a wraz z Joelem zniknął też jego pantofel.

Szantażysta otrzymuje to, na co zasługuje, pomyślał, czyli nic.

O śmierci Sary Barney dowiedział się dopiero piątego lipca, w dzień po tym, jak Lord Chelmsford wyruszył na stolicę Zulusów, Ulundi, z dobrze wyszkolonymi oddziałami wojska brytyjskiego. Po drodze ich karabiny i strzelby skosiły tysiąc tubylców. Podpalili też dom królewski.

List od Geralda Suttera został przez pomyłkę wysłany do Oranjerivier i na kopercie widoczne były okrągłe, brązowe plamy, tak jakby przez tydzień lub dwa leżała na kominku i ktoś stawiał na niej filiżanki z herbatą. Dwa razy zmieniano na niej adres — najpierw zaadresowana była do Colesbergu, a potem do Kimberley.

Barney otworzył ją w pokoju gościnnym, gdzie pił kawę z Haroldem. Pracowali od siódmej rano, zastanawiając się nad propozycją kupna trzech ważnych działek, złożoną im przez Standard Diamond Mining Company. Barney miał na sobie jedwabny, niebieski szlafrok. Cała podłoga usiana była papierami, niektóre dokumenty oparte były o imbryk do kawy. Harold wyjął właśnie torebkę z tytoniem, żeby zapalić fajkę.

— To z Durban — powiedział Barney, odwracając kopertę.

W rogu na welinowym papierze widniał herb rodziny Sutterów — statek otoczony przez pelikany. Rozdarł kopertę kciukiem i otworzył list. Przez dwie minuty nie odzywał się, zajęty czytaniem.

— Czy to wiadomość od Sary? — zapytał Harold, ubijając tytoń w fajce.

Barney złożył list i ostrożnie położył go na tacy z kawą, na stercie dokumentów. To był smutny list, łagodny i delikatny. Nareez przybyła do Khotso i opowiedziała, że obie z Sarą były w drodze do domu państwa Sutter. Towarzyszył im przewodnik, Bur, oraz przyjaciel Barneya. Po drodze wszystko się skomplikowało i przewodnik został przez przypadek zabity. Sara odjechała sama, by sprowadzić pomoc i od tego czasu nie widziano jej żywej.

W trzy dni po tym, jak Nareez przybyła do Khotso, państwo Sutter poinformowali garnizon armii brytyjskiej o zaginięciu Sary w rejonie między Colenso a Tugela Ferry. Żołnierze wszczęli poszukiwania i w dziesięć dni później oddział ochotników z Natalu poinformował, że pochowali zmaltretowane ciało białej kobiety kilka mil na południe od Isandhlwana.

„Wierzę w to, że umarła z godnością, i że przed śmiercią otworzyła swoją duszę przed Bogiem, który rozumie naród angielski i jego gotowość do poświęceń w imię wyższego dobra” — pisał jej ojciec.

— Dobrze się czujesz? — zapytał Harold. Barney kiwnął głową.

— To od ojca Sary — powiedział słabym głosem. Przełknął ślinę. — Nie żyje. W każdym razie znaleźli ciało odpowiadające jej rysopisowi.

— Co się stało? Och, Barney, tak mi przykro.

— Masz — powiedział Barney i wręczył Haroldowi list.

Harold założył okulary, badawczo przyjrzał się kartce papieru i zaczął czytać. Przy czytaniu poruszał ustami, a ręka lekko mu drżała.

— To szok — odezwał się wreszcie, odkładając list na bok. — Nie wiem, co powiedzieć.

— Nic nie musisz mówić — powiedział Barney. — Myślę, że wyleczyłem się z miłości do Sary w dzień po naszym przyjeździe do Kimberley. Żadne z nas nigdy się nie dowiedziało, co tak naprawdę chcieliśmy od siebie nawzajem. Oboje czuliśmy się lepiej z dala od siebie. Przykro mi tylko, że musieliśmy się rozstać w taki sposób, przykro mi, że ona nie żyje.

Harold złożył okulary i oparł się o oparcie krzesła.

— Prawdopodobnie jechali w kierunku wschodniego wybrzeża — powiedział. — Z tego, co pan Sutter pisze w swoim liście, wynika, że ten twój przyjaciel, jak on się tam zwie, ten Bur, też miał pecha i nie przeżył tej podróży.

Barney podszedł do stolika przy oknie i nalał każdemu po małym kieliszku brandy.

— Tak mówisz, jakby jego śmierć nie była przypadkowa.

— Mój drogi przyjacielu — powiedział Harold, sapiąc

— kiedy żyje się tak długo jak ja w sąsiedztwie diamentów, to wie się, że to niebezpieczne kamienie. Im bliżej się podchodzi, tym bardziej są niebezpieczne. Kamień taki jak Gwiazda Natalia wytwarza wokół siebie pole magnetyczne i kiedy znajdziesz się w jego zasięgu, jesteś zagrożony. Pamiętasz, jak opowiadałeś mi, że jest dowodem na istnienie Boga? Otóż nie wszyscy myślą tak samo jak ty. Niewielu podchodzi do diamentów z taką czcią. Za to wszyscy bez wyjątku przywiązują do nich ogromną wagę. Dla wszystkich diamenty są jednakowo ważne, mimo że nie wszyscy uważają je za namacalny dowód mocy Bożej. Ponieważ są dla nich tak ważne, są gotowi zabijać.

Barney podał Haroldowi kieliszek z brandy i mruknął:

— *Mazel tov.*

Harold wypił mały łyk, odstawił kieliszek i rzekł:

— Pojawia się teraz następujące pytanie: jeśli dwoje ludzi, którzy ukradli Gwiazdę Natalię, nie żyje, to co się stało z pozostałymi? Oczywiście wiemy, gdzie jest Nareez, ale co z Joelem i Huntem?

— Najważniejsze teraz to, gdzie jest diament — powiedział Barney.

— Istnieje wiele różnych możliwości — odparł Harold.

— Jeśli Sara została zamordowana przez Zulusów, diament mógł trafić do rąk tubylców, którzy z kolei mogli go przekazać Cetewayo.

— To raczej mało prawdopodobne — zauważył Barney.

— Może, lecz wszystko, co ma związek z tak dużym diamentem, wydaje się mało prawdopodobne. Bardziej przychyliłbym się do tezy, że Joel i Hunt są nadal w posiadaniu kamienia, ale jeśli Sara miała go przy sobie i jeśli został dostarczony Cetewayo, to wcale nie byłoby tak źle. Słyszałem dzisiaj rano na poczcie, że imperium Zulusów upadnie lada dzień. Wojska brytyjskie otaczają Ulundi z trzech stron, więc moglibyśmy wkrótce odzyskać diament. Powinniśmy napisać do Lorda Chelmsforda i do jego komendantów, informując ich, że diament jest twój, na wypadek gdyby armia brytyjska znalazła go w Ulundi.

— Dobrze — powiedział Barney — jeśli naprawdę uważasz, że to konieczne.

— Oczywiście, że tak. Przecież chodzi o milion funtów. Może o więcej, jeśli powiemy, że

diament należał kiedyś do Cetewayo. Nie wolno nam niczego przegapić, obojętnie jak bardzo nieprawdopodobne się to wydaje.

Barney przez chwilę milczał. Potem spojrzał na Harolda.

— Przepraszam — powiedział — nie słuchałem cię.

— Nie szkodzi — odparł Harold. — Przeżyłeś mały szok, dostałeś złe wiadomości. Może lepiej pójdę.

— Wolałbym, żebyś został — powiedział Barney. — Chcę załatwić tę sprawę z kupnem działek od Standard Diamond Company.

— Zostawmy to teraz — powiedział Harold. — Wielka Dziura nie zniknie do jutra rana.

— Nie, załatwmy to teraz. Straciłem żonę, zaginał mój brat, ale ciągle jeszcze prowadzę interesy. Jak myślisz, ile zażądają za 170 i 169?

— Barney... — zaprotestował Harold, rozkładając ręce.

— Przestań mi matkować, Haroldzie — warknął Barney. — Wiem, co robię.

— Dobrze. Chcesz dokończyć tę sprawę, to dokończmy ją. Proponuję, żebyś zapłacił im dwadzieścia siedem tysięcy funtów za 170 i 169, a dwadzieścia tysięcy za 168.

— To mniej niż zapłaciliśmy Stewardowi.

— Zgadza się. Chcę ci zaoszczędzić pieniędzy. Barney podszedł do kominka z rękami w kieszeniach szlafroka.

— Wiesz co, Haroldzie, myślałem, że mam wszystko, Sarę, diament, ten dom. Myślałem, że mi się udało. Teraz wszystko straciłem, oprócz domu, lecz co komu po domu, jeśli jest pusty? I wiesz co, wszystkie te kłótnie i sprzeczki, na nic się to wszystko zdało.

Harold wyjął zegarek kieszonkowy z kamizelki i zaczął go nakręcać, raz po raz przystawiając sobie do ucha.

— Wolisz słuchać tykania swojego zegarka niż moich narzekań na życie? — zapytał Barney. — Wolę ci nie mówić, co myślę, to wszystko.

— Powiedz.

Harold obrócił się na krześle.

— Naprawdę chcesz wiedzieć?

Barney spojrzał mu śmiało prosto w oczy, po czym odwrócił gwałtownie wzrok.

— Nie powinienem tak szybko rezygnować z Natalii, powinienem być mniej pobłażliwy w stosunku do Joela. Zapomniałem tylko, że to Bóg błogosławi związki małżeńskie, a nie angielska śmietanka towarzyska.

Harold kiwał głową, a jego podbródki kurczyły się i rozciągały jak akordeon.

— Ale zrozum, Haroldzie — kontynuował — i tak już ciężko mi żyć, ponieważ jestem Żydem. Jestem outsiderem ze względu na pochodzenie i religię. Gdybym jeszcze ożenił się z Murzynką, odizolowałbym się zupełnie od reszty ludzkiej rasy!

— Ciągle o niej myślisz, prawda? — zapytał Harold. — Po tylu latach ciągle o niej myślisz.

Barney odwrócił się plecami do Harolda i oparł głowę o półkę nad kominkiem.

— Urodziła mi jedynego syna — powiedział.

— Ale to nie wszystko — wtrącił łagodnie Harold.

— Tak — potwierdził Barney. — To nie wszystko, nadal ją kocham.

Podniósł głowę i spojrzał w wiszące nad kominkiem lustro. Postarzał się przez to krótkie, nieudane małżeństwo z Sarą. W okolicy uszu widać było trzy, cztery siwe włosy, oczy straciły blask. Na jego twarzy malowało się zmęczenie i ból, które w pełni zrozumieć mógł tylko ktoś, kto przeżył to samo co on. Myślał o Sarze, chciał nawet rozplakać się nad jej losem, lecz nie mógł wycisnąć ani

jednej ły. Gorąco wierzył, że nie musiała zbyt wiele cierpieć. Miał też nadzieję, że gdziekolwiek była, wybaczy mu to, że był nieodpowiednim człowiekiem, który zjawiał się w nieodpowiednim czasie i na siłę wtargnął do jej świata. Zbliżył się do tego środowiska tylko jako właściciel kopalni diamentów, lecz ze względu na pochodzenie, a nawet ze względu na ambicje nie mógłby nigdy znaleźć w nim swojego miejsca.

Harold wyciągnął rękę z kieliszkiem.

— Daj mi jeszcze trochę brandy — poprosił. — I sam też się napij. Powinieneś się napić. To smutne, ale przecież jesteś znowu wolnym człowiekiem. Pomyślałeś o tym?

Tydzień później odwiedził Barneya Cecil Rhodes. Przyniósł butelkę whisky i depeszę kondolencyjną z czarnymi brzegami. Przybrał na wadze, jego jasne, kręcone włosy trochę się przerzedziły, ale był opalony i wyglądał zdrowo. Miał na sobie jasny garnitur, który dobrze leżał i pasował do jego raczej okrągłej sylwetki. Barney miał nadal zwyczaj oceniania ludzi po ubiorze, wiedział wtedy, jaką mają osobowość i jak bardzo są zamożni. Sądząc po garniturze Rhodesa, można się było domyślić, że nadal dobrze mu się powodzi i przybywa mu pewności siebie oraz umiejętności.

— Strasznie mi przykro z powodu tego, co się stało — powiedział Rhodes. Chodził w kółko po bibliotece i raz po raz wyciągał z półek książki, przyglądając się ich oprawie i zerkając na tytuły. — Widzę, że masz *Complete Gemology* Appelbo, nic dziwnego, że wiesz tyle o kamieniach szlachetnych. O, nie poprzecinane strony.

— Wkrótce odbędzie się nabożeństwo żałobne — powiedział Barney, wyjmując mu książkę z rąk i odkładając ją na swoje miejsce. — Mam nadzieję, że znajdziesz czas i przyjdiesz.

— Oczywiście, drogi przyjacielu — powiedział Rhodes. — Ostatnio nie jestem aż tak bardzo zajęty. Czy wiesz, że ponad pięćdziesiąt procent kopalni De Beers należy do nas? Mam nadzieję, że w przyszłym roku uda nam się założyć własną spółkę: De Beers Diamond Mining Company Limited; w każdym razie Alfred Beit ma takie plany. Za rok czy dwa zmonopolizujemy całą kopalnię i wtedy dopiero będziemy ciągnąć prawdziwe zyski.

Barney podszedł do biurka.

— Pewnie potem zaczniesz się łakomić na Wielką Dziurę?

— No cóż — powiedział Rhodes — musisz przyznać, że wszystko tu się trochę wlecze. Zostawiliśmy was daleko z tyłu.

— Robimy porządek — powiedział Barney. — Kiedy tu przyjechałem, było tysiąc sześćset odrębnych działek. Teraz cała kopalnia została podzielona na dwanaście spółek, nie licząc jednego czy dwóch uparciuchów trzymających się kurczowo swoich działek.

— Dwanaście to i tak o wiele za dużo — odparł Rhodes, potrząsając głową jak wół usiłujący odpędzić muchę. — Dokopałeś się w niektórych miejscach do głębokości sześciuset stóp, a musisz się przecież liczyć z zalaniem, zawaleniem czy obsunięciem. Trzeba pogłębiać całą kopalnię pod auspicjami jednej spółki.

— Zgadzam się z tobą — powiedział Barney. — Zgadzam się, że kopalnia powinna być własnością jednej spółki. Prawdopodobnie nie zgadzamy się tylko co do jednego, a mianowicie której spółki.

Rhodes podniósł kapelusz.

— Pewnego dnia Brytania będzie zarządzać całą Afryką i całym jej bogactwem. To było moim największym marzeniem, kiedy tu przybyłem, i nadal nim jest. Ale nie rozmawiajmy już o diamentach. Muszę wracać, chcę ci tylko powiedzieć, że wiadomość o śmierci twojej żony



wstrząsnęła mną do głębi.

— Dziękuję ci — powiedział Barney. — Dziękuję za wizytę.

Kiedy Rhodes zbierał się do wyjścia, do drzwi biblioteki zapukał Horacy i wsunął głowę do pokoju.

— Przepraszam, panie Dwunogi.

— Panie Dwunogi? — Rhodes zmarszczył brwi.

Barney uśmiechnął się pod nosem.

— Mój brat ma jedną nogę. A raczej miał.

— Chcesz powiedzieć, że stracił też drugą?

— Nie, ale zaginął, to wszystko. Nie wiemy, gdzie się podziewa.

— Tak mi przykro. Nic o tym nie wiedziałem. To musi być dla ciebie prawdziwie trudny okres.

Barney spojrział na papiery na biurku. Potwierdził, lecz powoli tracił już cierpliwość. Rhodes zorientował się, że nadużywa gościnności, więc zaczął się żegnać.

— Do zobaczenia. Sam znajdę drogę, daj mi znać, kiedy odbędzie się nabożeństwo żałobne.

Zniecierpliwiony Barney machnął mu tylko ręką na pożegnanie i Rhodes opuścił bibliotekę.

— Jakaś pani do pana — oznajmił Horacy piskliwym głosem. — Pani Agnes Joy.

— Agnes? Jest sama?

— Tak, proszę pana. Nie licząc oczywiście woźnicy. Jest w kuchni i pali papierosa, proszę pana.

— Pali papierosa, mówisz? To musiał być pewien, że jego pani zatrzyma się tutaj dłużej.

— Nie wiem, panie Dwunogi — powiedział Horacy. — Nie chciałbym wysuwać pochopnych wniosków.

— Dobrze, Horacy — powiedział Barney. — Wprowadź panią Joy do pokoju gościnnego.

Gdy wszedł do pokoju, Agnes siedziała na małym, połączanym francuskim krześle. Podbródek dumnie podniosła do góry. Jasne loki schowała pod skromnym, aczkolwiek modnym kapelusikiem. Ponieważ na dworze robiło się coraz zimniej, ubrana była w niebieski płaszcz podróżny oraz wysokie wiązane buty. W ręce trzymała jasnoniebieskie rękawiczki. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Był to uśmiech, który niewinnego człowieka wprowadziłby w zakłopotanie, a człowieka z nieczystym sumieniem w zadumę.

— Agnes! — zawołał Barney, podchodząc do niej i biorąc ją za rękę. — To najmiłsza niespodzianka od wielu tygodni.

— Przepraszam, że tak zwlekałam z wizytą — powiedziała, a jej głos wydał mu się bardziej gardłowy niż zwykle. — Dopiero w zeszłym tygodniu dotarła do mnie wiadomość o twojej żonie i dopiero dzisiaj udało mi się wyrwać z domu. Robert pojechał do Hopetown na dzień, dwa w sprawach służbowych.

— Napijesz się sherry? — zapytał Barney.

— Z chęcią — odparła. — Bardzo lubię słodkie, jeśli takie masz. Nie jem cukierków, ale lubię słodkie sherry.

Barney usiadł naprzeciwko niej.

— Co słyhać? — zapytał. — Czasami widuję cię w Kimberley. Jak tam Faith? A twoja rodzina? Nadal nie chcesz mieć dzieci?

Agnes wydeła wargi.

— Robert oczywiście chce. Tak jak wszyscy Australijczycy. Jest tak niewielu Australijczyków w stosunku do obszaru, jaki zajmują na mapie, że szybkie płodzenie dzieci uważają za swój święty obowiązek. Lecz prawda jest taka, że jako mała dziewczynka nabawiłam się infekcji, czegoś w

rodzaju szkarlatyny, i lekarz powiedział mi wtedy, że prawdopodobnie nigdy nie będę mogła mieć dzieci.

— I Robert o tym nie wie?

— Dlaczego miałabym go rozczarować, biedaka? Jest bardzo przystojny, ale za to niespecjalnie namiętny i tak naprawdę, to podnieca go jedynie myśl, że jest w stanie mnie zapłodnić. Więc sama nie najlepiej bym na tym wyszła, gdybym powiedziała mu prawdę.

Zjawił się Horacy. Barney poprosił go o jeszcze jeden kieliszek brandy i o kieliszek oloroso dla Agnes.

— A jak tam Faith? — zapytał, próbując przejść od kłopotów seksualnych Roberta Joya do tematów bardziej ogólnych.

— U niej wszystko w porządku, chociaż z każdą minutą robi się coraz bardziej zrzędliva. Uważa, że już dawno powinnam zostawić Roberta. Tak naprawdę, to uważa mnie za kompletną idiotkę, że w ogóle za niego wyszłam. Oczywiście ma rację. Robert nie ma ani grosza i jest taki niemądry. Ojciec ciągle mi powtarza, że o wiele lepiej by mi się powodziło, gdybym wyszła za ciebie, pomimo że jesteś Żydem. Nazywa cię Wybrańcem Wariatem, nie mam zielonego pojęcia dlaczego. „Powinnaś mi była powiedzieć, żebym pilnował swoich spraw i wyjść za tego Wybrańca Wariata”, ciągle powtarza. „Przynajmniej połowa Kimberley do niego należy, a ten twój Robert nie posiada nawet połowy sedesu”. Tak naprawdę, to ojcu, no wiesz, maści się już trochę w głowie.

— Rozumiem — powiedział Barney. — A może twój ojciec ma rację. Może powinniśmy byli wziąć ślub. Ale wtedy wcale nam tego nie ułatwiał, prawda? Faktycznie nie dał nam żadnej szansy.

— Teraz nie można mu o tym przypominać. Ma bardzo wybiórczą pamięć. Oczywiście nadal nie lubi Żydów. Ale teraz, kiedy jego sytuacja finansowa jest nie najlepsza, widzi, kto ma najwięcej do powiedzenia na rynku diamentowym, i jest gotów pójść na ustępstwa. Wiesz, że pracuje nawet dla Yosel & Farber?

— To przecież Żydzi — uśmiechnął się Barney. Agnes odwzajemniła uśmiech. Wiek i doświadczenia

podkreśliły nordycki kształt jej twarzy i odebrały nieco blasku jej oczom — były bledsze i bardziej przezroczyste niż opale. Wydawała się teraz Barneyowi ładniejsza niż dawniej, być może dlatego że kiedy pan Knight ukrócił ich miłosne zapędy, usiłował wmówić sobie, że Agnes wcale nie jest taka atrakcyjna, że jest jeszcze jedną nadobną Angielką nie mającą do zaoferowania nic oprócz akcentu, od którego najlepszy serwis mógł się rozpaść na drobne kawałki.

— Zaskoczył mnie twój list — powiedziała Agnes. — Nie wiem, czy byłeś wtedy po prostu zły na swoją żonę, a może zobaczyłeś mnie na ulicy w Kimberley z Robertem albo z kimś innym i pomyślałeś, że moglibyśmy być razem...

Barney patrzył na nią z takim osłupieniem na twarzy, że urwała.

— List — powtórzyła. — Ten, który wysłałeś do mnie dwa, trzy miesiące temu. Dlatego powiedziałam, że tak długo zwlekałam z przyjściem do ciebie. Nie byłam pewna, czy to rzeczywiście prawda.

— Nie byłaś pewna, czy...

Agnes otworzyła swoją niebieską torebkę z krokodylej skóry. Grzebała chwilę i wyjęła w końcu pognieciony list. Został napisany na papierze listowym Vogel Vlei.

— Przeczytaj mi — poprosił Barney.

— Nie pamiętasz, co napisałeś?

— Przeczytaj!

Agnes zamknęła głośno torebkę, rozłożyła kartkę i zaczęła czytać z obojętnością i zdumieniem,

które zupełnie nie pasowały do namiętnej, ciepłej treści.

„Moja najdroższa, ukochana Agnes, piszę, abyś wiedziała, że nadal cię pragnę i jeśli zgodzisz się jeszcze raz mnie odwiedzić i zbliżyć swoje różane usta do moich, tak abym mógł je ucałować (tutaj zawahała się i zająknęła), moja radość nie będzie miała granic! Zapomnijmy o przeszłości... odrzućmy myśli, które każą nam dochować wierności osobom, które poślubiliśmy, gdyż byliśmy samotni i zdezorientowani. Przyjedź do Vogel Vlei wieczorem 26 stycznia, jeśli będziesz mogła. Mojej żony nie będzie i jestem pewien, że sama znajdziesz jakąś dobrą wymówkę. Jak zawsze twój, Barney”.

Barney wyciągnął rękę po list. Agnes podała mu go, lekko marszcząc czoło. Barney rzucił okiem i rozpoznał natychmiast charakter pisma Joela. Zegar z połączanego brązu na kominku zdążył tyknąć zaledwie trzy razy i Barney wiedział już, dlaczego Joel napisał ten list.

Przez cały okres rekonwalescencji Joel próbował podburzyć Sarę przeciwko Barneyowi, przemienić jej rosnące niezadowolenie w kompletną niechęć. Kiedy został okaleczony i przykuty do łóżka, był odizolowany od otoczenia.

Sara była jego ostatnią deską ratunku. Przy jej pomocy mógł zemścić się za stratę Gwiazdy Natalii; była zarazem jego jedyną nadzieją na ponowne odzyskanie diamentu. Zgodnie z prawem ciągle jeszcze należała mu się połowa diamentu. Być może myślał, że jeśli uda mu się przekonać Sarę, by rozwiodła się z Barneyem, podając jako motywy swojej decyzji jego okrucieństwo oraz niewierność, uda mu się też przekonać Barneya, że oddanie Sarze swoich pięćdziesięciu procent wyniesie go taniej, niż gdyby musiał jej płacić sporą sumę pieniędzy ze swoich zysków z kopalni diamentów. Potem Joelowi zostałyby już tylko wyłudzenie od Sary tych pięćdziesięciu procent, co nie byłoby prawdopodobnie takie trudne i zajęłoby mu nie więcej niż kilka tygodni. Być może powiedziałby jej, że cena rynkowa dużych kamieni szlachetnych gwałtownie spadła i zaproponowałby jej jedną z działek należących do Blitz Brothers w zamian za diament. Być może zaoferowałby działkę numer 176, która była najmniejsza i przynosiła najmniej zysków. Ten list do Agnes miał mu z pewnością pomóc w zrealizowaniu planów. Joel najwyraźniej miał nadzieję, że Agnes pojawi się na schodach Vogel Vlei ubrana w swoją najbardziej prowokacyjną sukienkę wieczorem 26 stycznia, kiedy to Sara urządzała przyjęcie z okazji swoich urodzin. Jeszcze jeden gwóźdź do trumny dogorywającego małżeństwa.

— Ja tego nie napisałem — powiedział Barney, przedzierając list na pół.

— Nie rozumiem — powiedziała Agnes.

— Mówię, że go nie napisałem. Nie zaprosiłem cię tutaj ani na dwudziestego szóstego stycznia, ani na żaden inny dzień.

— Ale przecież dlatego przyszedłam!

Barney wziął ją za rękę.

— Wiem. I cieszę się, że twoje wycucie oraz rozsądek wzięły górę nad emocjami. Przyszedłaś tutaj teraz, kiedy usłyszałaś, że Sara nie żyje. Jesteś większą damą od tych roznoszących plotki, zarozumiałych *yentas* w klubie Kimberley. Siedzą tam od rana do wieczora.

— Jeśli nie ty napisałeś ten list, to kto? — cicho zapytała.

— Joel, mój brat. To był taki paskudny żart.

Agnes spuściła wzrok i przez długą chwilę patrzyła na ręce swoje i Barneya. Każde z nich nosiło pierścionek ślubny.

— W takim razie pewnie chcesz, żebym już sobie poszła? — zapytała Agnes.

— Agnes...

— Nie mogę przecież zostać i narzucać się mężczyźnie, który nawet mnie tu nie zapraszał.

Nawet jeśli idę gdzieś z kopaczami, muszą mnie wpierw o to poprosić. Nie jestem upadłą kobietą. W każdym razie jeszcze nie. Nadal czytam „Morning Post” i na samym końcu wlewam mleko do herbaty.

Barney spuścił głowę.

— Agnes, chciałbym, żebyś została.

— Tylko tak mówisz, żeby mnie dowartościować.

— Zbyt długo żyję na tym świecie, żeby mieć ochotę kogoś dowartościowywać, siebie samego czy kogoś drugiego.

— Drogi Barney — powiedziała, całując lekko jego brwi i nasadę nosa — tak bardzo ciebie lubiłam. Szkoda że ojciec zrobił tyle zamieszania, kiedy dowiedział się, że jesteś Żydem.

Barney też pocałował ją w kącik ust i potem w usta.

— Wszyscy chyba muszą trzymać się jakichś zasad. Ja pozostaję wierny swoim ambicjom, dla twojego ojca ważny jest angielski sposób bycia oraz klub Kimberley.

Agnes spojrzała mu prosto w oczy.

— Powinnam teraz odejść — szepnęła.

— Czy twój mąż nie wie, jak bardzo jesteś rozgoryczona? — zapytał Barney. — Nie wie, że szukasz towarzystwa innych mężczyzn?

— Okłamuję go. Nie wiem, czy w to wierzy, czy nie.

— Nie wiem, jak ty to znosisz. Agnes uśmiechnęła się smutno.

— Znoszę to, bo nie mam wyboru.

Barney podniósł podarty list i znowu wypuścił go z rąk.

— Prawie żałuję, że nie napisałem tego listu. Powoli Agnes wyswobodziła ręce z uścisku Barneya i wstała. Dotknęła jego włosów, pochyliła się do przodu i pocałowała go w czoło.

— Nie zniosę jeszcze jednego zawodu, Barney. W Boże Narodzenie podjęłam decyzję, że spróbuję być wierna Robertowi, nie dlatego że tak bardzo się o niego troszczę. Nie mogę już po prostu znieść tych wszystkich przelotnych związków. W ciągu ostatnich sześciu lat zakochawałam się chyba z tuzin razy. Lecz za każdym razem wszystko się rozlatywało i zostawałam sama. Kiedy cię poznałam, szalałam za tobą. Od tego czasu zawsze byłeś takim moim małym marzeniem. Ale nie mogę z tobą zostać. Jeszcze jedno odrzucenie byłoby zbyt bolesne, szczególnie odrzucenie przez ciebie.

Barney podniósł wzrok. Jej twarz była niespokojna i taka ładna. W promieniach słońca wpadających do pokoju wyglądała jak angielska tancerka, jak zrównowazona, a jednocześnie namiętna dżokejka, jak lekko zmęczona życiem, lecz wciąż jeszcze śliczna gwiazda cyrku objazdowego. Być może nie umie oddać się nikomu bez reszty, nawet jemu, być może dlatego zawsze była zawiedziona i nieszczęśliwa. Lecz miłość dziewczyny, która nie zadawała żadnych pytań o przeszłość czy przyszłość, dziewczyny, która w łóżku była namiętna, a jednocześnie wymagająca, która nie torturowała nikogo etykietą i dobrymi manierami — miłość takiej dziewczyny była być może tym, czego Barney potrzebował. Prawdopodobnie nie trwałoby to zbyt długo. Nie umiał tego przewidzieć. Lecz tego popołudnia, gdy Agnes stała przed nim w swoim płaszczu podróżnym, wiedział, że musi poprosić ją, aby z nim została. Musiał to zrobić z tego prostego powodu, że nie miał nikogo innego.

— Zostań — powiedział.

Prawie przez minutę nie odpowiadała, patrząc na niego swoimi bladymi, zamyślonymi oczami.

— Jeśli zostanę, będziesz musiał się ze mną związać, ostrzegam cię.

Barney wyciągnął do niej rękę.

— Zostań — powtórzył.

Kochali się tej nocy tak gwałtownie, że chwilami sami byli przestraszeni. Byli nadzy. Drapali

się, szczykali, rzucali na siebie. Ich pocałunki były tak dzikie, że obojgu usta aż napuchły. Walczyli ze sobą z takim zapamiętaniem, jakby ich popęd seksualny można było zaspokoić jedynie przez zadawanie cierpień ciału, które ich podniecało. Wiele lat później Barney pamiętał tę chwilę, kiedy Agnes leżała pod nim, pamiętał jej głowę odrzuconą do tyłu na poduszce i jego palce, które tak mocno ścisnęły jej pierś, że krzyknęła, by przestał, tak naprawdę wcale tego nie chcąc. Pamiętał, jak chwyciła go za przedramię, dając mu w ten sposób znak, by nie zwalniał uścisku.

Następnego ranka otworzył jedno oko i spojrzał na porozrzucane prześcieradła. Wskazówki zegara przy łóżku wskazywały szóstą trzydzieści. Niebo było jasne, ale słońce jeszcze nie wstało, a step był dziwnie cichy. Agnes już nie było. Zostawiła wiadomość na dole w bibliotece, jej charakter pisma był równie ładny jak ona. Napisała: „Nie masz w stosunku do mnie żadnych zobowiązań. Całuję, Agnes”.

Barney ubrał się szybko i zawołał na Michaela, każąc mu wyprowadzić powóz. Kiedy stał już gotowy przed wejściem, wszedł do niego i usiadł na obitym skórą siedzeniu z ozdobnym oparciem.

— Dokąd jedziemy, szefie? — zapytał Michael. Barney wyprostował się na siedzeniu. Na głowie miał kapelusz, lekko przekrzywiony na bok. Przed sobą sztywno trzymał laskę. W świetle wschodzącego słońca powóz prezentował się okazale na tle drzew osnutych delikatną, złotawą mgiełką. Koła, resory, konie — wszystkie te elementy tworzyły harmonijną całość. Mogliby pozować do osiemnastowiecznego obrazu.

— Szefie? — powtórzył Michael, odwracając się do tyłu.

Barney zdjął kapelusz.

— Rozmyśliłem się, nigdzie nie jadę, Michaelu. Dziękuję. Przepraszam za to całe zamieszanie.

— Nie szkodzi, szefie — powiedział Michael. Zeskoczył na ziemię i otworzył, ozdobne drzwiczki powozu, by wypuścić Barneya.

W ostatni dzień sierpnia 1879 roku statek „Mulhausen” przybił do Antwerpii. Dzień był wilgotny i szary. Dzwony były smętnie w katedrze pod wezwaniem Najświętszej Panny. Stada mew darły się wniebogłosy, kołując nad wieżami, dachami i płaskimi fasadami miasta, obniżając loty nad szerokimi, srebrzystymi wodami rzeki Skaldy.

Kiedy silnik statku przestał pracować, Joel był gotowy do zejścia na ląd. Zaczął się powoli przepychać w kierunku wyjścia. Miał na sobie jasnoszary kapelusz, płaszcz w tym samym kolorze i dość staromodny garnitur, który kupił w Dieppe, gdzie przesiadał się na inny statek. W skórzanej walizce miał dwie zapasowe koszule, bawełnianą bieliznę, butelkę whisky i prawy pantofel od pary. Zapusił sobie ciemną brodę oraz gęstego wąsa i gdyby nie brak lewej nogi, nawet Barney minąłby go na ulicy, nie rozpoznając.

Postarał się, aby jego podróż z Afryki Południowej do Antwerpii zmyliła każdego potencjalnego szpiega. Wiedział, że Barney dowie się wkrótce od Nareez, iż udało mu się dotrzeć do Durban. Stosunkowo łatwo dojdzie do tego, którym statkiem odpłynął, mimo że kupił bilet na nazwisko Leonard Matthews. Tego dnia do Europy płynęły tylko dwa statki, z których jeden płynął do południowej Walii.

Statek „Wallasey” przyplłynął do Lizbony, gdzie Joel wysiadł i kupił nowy bilet do Dieppe na nazwisko Henry Lester. W Dieppe opuścił statek i zatrzymał się w małym pensjonacie przy rue de Varengeville. Zamieszkał w ponurym, wysokim pokoju z brudnym, dużym lustrem i skrzypiącym łóżkiem. Okna z obszarpanymi firankami wychodziły na Epicerie Auffay oraz ławkę z kutego żelaza, na której siadywały i trajkotały całymi popołudniami pulchne, stare kobiety w długich czarnych sukniach.

Joel wziął ze sobą z Kimberley dwieście funtów, ale pieniądze powoli mu się kończyły. Miał książeczkę czekową Blitz Brothers, lecz kłopot w tym, że jeśli wypłaci jakieś pieniądze, Barney będzie mógł zorientować się, gdzie przebywa. Próbował namówić puciołowatego dyrektora banku Credit Seine-Maritime, aby wypłacił mu sto funtów na sam paszport lecz po długiej, cichej wymianie zdań z głównym urzędnikiem, dyrektor uśmiechnął się i pokręcił przecząco głową. Joel musiał w końcu wypisać czek w nadziei, że Barney nie zajrzy tak szybko do wyciągów z konta bankowego firmy.

Przybył do Antwerpii w parną, leniwą niedzielę z nie oszlifowanym diamentem zawiniętym w zieloną bibułę, schowanym w kieszeni płaszcza. Był jednym z najzamożniejszych ludzi w mieście, a równocześnie jednym z najbardziej samotnych. Brudny powóz z kolorową, skórzaną budą wioził go przez szeroki plac Grote Markt przed ratuszem; wszędzie wokół ludzie spieszyli się na mszę, pochyleni, opatuleni w szale, w chodakach na nogach. Koła wozu obracały się nierówno, z głośnym klekotem. Joel, który opuścił mgliste, żywotne, surowe Kimberley, wjechał teraz w stęchły, pozbawiony kolorów świat wdów, mew oraz wąskich, płaskich budynków. Był to świat szary, świat, którego można było dotknąć i w którym ludzkie istoty były anonimowe jak cienie.

— Szuka pan taniego hotelu? — zapytał flamandzki woźnica, zatrzymując dorożkę na ulicy niedaleko ratusza.

Ulica była tak wąska, że mieściła się na niej tylko jedna dorożka. W powietrzu unosił się zapach jawańskiego tytoniu oraz gotowanego mięsa. Nieprzyjemny zapach wydostawał się też ze ścieków.

Joel spojrzął na odrapane drzwi i szyld oznajmiający, że tu znajduje się Grand Hotel Putte.

— Może być — odparł. — Może mi pan pomóc z walizką? Grand Hotel Putte był ciemny i dość stary; półpiętra i parapety okienne wyłożone były boazerią, wszędzie pełno było zdechłych much oraz kurzu.

Pulchna młoda Flamandka w białym fartuszku i białym czepku zaprowadziła Joela do pokoju na ostatnim piętrze. Kiedy słała łóżko, Joel otworzył okno i wyjrzał, spoglądając na spadziste dachy.

— Anglik? — zapytała, będąc już przy drzwiach. Joel uśmiechnął się niepewnie.

— Tak, Anglik. Masz tu franka za pomoc.

Wzięła pieniądze i schowała do kieszonki fartuszka. Szukała jakichś słów, a Joel czuł, że nie może się od niej odwrócić, dopóki sobie nie przypomni, co chciała powiedzieć.

— *Je lijkt zo eenzaam. Heb je geen vrienden hier?* — powiedziała wreszcie.

Potrząsnął głową.

— Przykro mi, ale nic nie rozumiem.

Poczekala jeszcze chwilę i jednym tchem wyrecytowała:

— Moje imię Anna.

— To miło — powiedział Joel. Żadne inne słowa nie przychodziły mu do głowy.

Anna stała jeszcze przez chwilę w drzwiach, nie mogąc się zdecydować, co robić. W końcu wyszła, zostawiając drzwi lekko uchylone. Joel chwycił kule, dopadł drzwi i zatrzaskał je z głośnym hukiem. Potem ciężko dysząc, pokuśtykał z powrotem i usiadł na łóżku. Po kilku minutach otworzył walizkę i wyjął butelkę whisky. W pokoju nie było żadnego kubka, więc zaczął pić prosto z butelki. Pił tak łapczywie, że niewiele brakowało, a udławiłby się.

Podróż dobiegła końca. Teraz musi znaleźć kogoś, kto oszlifuje diament, kogoś, kto zna się na rzeczy i nie będzie przy tym zadawał zbędnych pytań. Oszlifowanie diamentu tak ogromnego i drogocennego jak Gwiazda Natalia wymagało nie lada umiejętności. Taki diament należało bardzo ostrożnie rozszczepić, obrobić, wygładzić. Tylko renomowane firmy szlifierskie zapewniały odpowiedni sprzęt. Ukrywanie diamentu przez dłuższy czas było prawie niemożliwe, choć Joel

zdawał sobie doskonale sprawę, że Barney mógł się dowiedzieć, gdzie był szlifowany. Ryzyko było duże, lecz należało je podjąć; gdyby próbował sprzedać Gwiazdę Natalię w stanie surowym, prawdopodobnie dostałby nie więcej niż trzysta tysięcy funtów, być może mniej. Za to jeśli najpierw go oszlifuje i uwierzytelni jego pochodzenie, sprzedając kilkakrotnie przez agenta czy inną osobę, która chciałaby zarobić parę groszy, może go potem sprzedać, żądając cztery, pięć razy tyle, może nawet więcej w zależności od tego, ilu będzie chętnych.

Miał listę nazwisk, niektóre z nich wyciągnął z akt Harolda Feinberga, inne znał, ponieważ wszyscy o nich mówili. Rozszczepienie diamentu jest najtrudniejsze i zarazem najważniejsze. Osoba, która podejmie się tego zadania, musi najpierw dokładnie obejrzeć kamień i znaleźć płaszczyzny, które należy rozszczepić. Od jej zręczności zależeć będzie efekt końcowy. Osoby zajmujące się rozszczepianiem diamentów należały do diamentowej elity i wiele z nich jeździło każdego ranka do pracy swoimi własnymi powozami oraz mieszkało w okazałych domach w centrum miasta. Bezspornie najlepszy w Antwerpii był Itzik Yussel z Rosendaal's, lecz Joel nie chciał się z nim kontaktować, gdyż jego nazwisko było zbyt znane. Słyszał o innym fachowcu w tej dziedzinie o nazwisku Frederick Goldin, który zaczynał się coraz bardziej liczyć i powoli zdobywał sobie renomę. Mówiono o jego niezwykłym talencie, gdyż starał się, by ubytek masy był stosunkowo niewielki, a jednocześnie jego brylanty miały prawie idealne proporcje.

Joel nie wiedział tylko, czy Goldin zajmie się obróbką trzystupięćdziesięciokaratowego diamentu, nie pytając o jego pochodzenie.

Tego wieczoru, kiedy znowu odezwały się dzwony katedry, Joel leżał na łóżku i kończył butelkę whisky. Ze swojego miejsca widział skrawek nieba w kształcie latawca, między mansardowym oknem a dachem sąsiedniego budynku. Kiedy się w niego tak wpatrywał, coraz bardziej zmierzchało, aż w końcu zrobiło się ciemno. Powietrze było łagodne, ciepłe i lekko duszące. Wokoło roiło się od komarów, które rozmnażały się na bagnach i błotach nad szerokimi wodami rzeki Skaldy.

O dziesiątej rozległo się ciche pukanie do drzwi.

— Proszę wejść — powiedział obojętnym tonem.

W drzwiach ukazała się Anna w czarnej sukience z białym koronkowym kołnierzykiem. Jej rzadkie, mysie włosy upięte były czarnymi spinkami i wsuwkami. Wyciągnęła brązową szklaną butelkę, pokazując, że powinien nasmarować tym ramiona i resztę ciała. Potem zrobiła kolisty ruch palcem w powietrzu i zaczęła bzyczeć jak mucha.

— Aha, na komary — powiedział Joel niskim głosem. Bez słowa zbliżyła się i uklękła przy łóżku, ściągając z Joela prześcieradła i koc. Joel otworzył szeroko oczy, kiedy podniosła do góry jego koszulę nocną i odkorkowała butelkę.

— Co robisz? — zapytał, lecz nie odpowiedziała. Ręce miała grube, lecz twarde i energicznie zaczęła go smarować po klatce piersiowej i brzuchu, tak jr kby woskowała blat stołu. Płyn był zimny i pachniał kamforą. Natarła mu plecy, pośladki i nogę. Napiął mięśnie ud, odczuwając w tym miejscu dziwne mrowienie, lecz nie był pewien, czy naprawdę chciała go tam dotknąć. Utkwił w niej wzrok, ona też spojrzała mu prosto w oczy. Miała młodą, rumianą twarz, a na jasnych włoskach nad górną wargą pojawiły się kropelki potu.

Zupełnie bez skrępowania wtarła płyn we wszystkie pozostałe części jego ciała. Trzymała jego członek w zaciśniętej pięści jak kij od miotły, przesuując ręką w górę i w dół. Po kilku sekundach wydał głośny okrzyk i poplamił rękaw jej sukienki. Wstała, zakorkowała butelkę z płynem i spojrzała na niego, lecz jej twarz była zbyt pulchna i zbyt obojętna, by mógł z niej cokolwiek wyczytać. Nie mogła mieć więcej niż siedemnaście lat.

— Anna — powiedział.

— Śpij — odparła.

— Ale dlaczego? Dlaczego to zrobiłaś?

Spojrzała w bok. Prawdopodobnie nie zrozumiała, co powiedział. Potem podeszła do okna i zamknęła je.

— Śpij — powtórzyła.

Kilka godzin później obudził się dziwnie zaplątany w prześcieradłach. Tak mocno pachniał kamforą, że zbierało mu się na wymioty. Śnił o Kimberley, o Wielkiej Dziurze, o tym jak złamał sobie nogę i miednicę. Było duszno, a pokój wydał mu się ciasny; było tak gorąco, że przez ułamek sekundy wydawało mu się, że jest znowu w Afryce, natychmiast wyciągnął rękę, dotknął stolika przy łóżku i przypomniał sobie, gdzie się znajduje.

Po raz pierwszy od dawna zmówił modlitwę.

Spotkali się wreszcie w pracowni Fredericka Goldina na trzecim piętrze de Pecq's, w przestronnym pokoju z wysokimi oknami wychodzącymi na północ, na dachy dzielnicy diamentowej w Antwerpii. Do spotkania doszło dopiero w trzecim tygodniu września — aż tyle czasu zajęło Joelowi umówienie się z Goldinem. W pierwszym tygodniu swojego pobytu w Antwerpii odwiedzał bez przerwy kawiarnie i restauracje, do których przychodzili najczęściej kupcy diamentów. Siadywał w kącie przy lampce likieru z czarnej porzeczki, zagryzał faszerowaną cielęcina i podsłuchiwał ich rozmów na temat cen rynkowych, jakości, zysków i obróbki. W tych miejscach gromadzili się przeważnie ortodoksyjni Żydzi. Siedzieli przy swoich stolikach, w swoich *shlreimels*, czarnych kapeluszach z szerokim rondem, *zpayess*, czyli bokobrodami, które młodzi, nowojorscy Żydzi zgolili już dawno temu. Joel poczuł się wśród nich dziwnie swojsko, po długim pobycie w Afryce Południowej znów otaczali go Żydzi. Przez pierwsze dwa dni miał ochotę przeszkodzić kupcom w ich prowadzonych szeptem rozmowach, wziąć ich za rękę i powiedzieć, że miło ich znowu widzieć.

W handlu diamentami umowy, które zawierano, zawsze były umowami ustnymi, nigdy nie podpisywano żadnych kontraktów. W grę wchodziły nieraz ogromne sumy pieniędzy, setki tysięcy franków wymieniano na diamenty bez żadnych dokumentów. Transakcje regulowane były tylko i wyłącznie uczciwością samych kupców. Dzięki tym szeptom, które tak bardzo podobały się Joelowi, migoczący potok diamentów zalewał handlowców, kupców, szlifierzy i w końcu detalistów.

W drugim tygodniu pobytu Joel zagadał wreszcie do mówiącego po angielsku dealera, Josepha Mandelbauma, małego, brzuchatego mężczyzny pod pięćdziesiątkę, w okularach, o wyglądzie gnoma. Sądząc ze sposobu mówienia Mandelbauma, można się było domyślać, że prowadzi handel przewozowy i więcej rusza się po świecie od swoich kolegów z tej samej branży w Antwerpii: spędził prawie połowę życia w Londynie, w Hatton Garden, i regularnie handlował diamentami z amerykańskimi dealerami.

— Gdyby miał pan duży diament i chciałby go pan po cichu oszlifować, komu by go pan powierzył? — zapytał Joel, gdy siedzieli w zacisznej kawiarni o nazwie Boom's.

Mandelbaum popijał herbatę ze szklanki, od czasu do czasu dmuchając, żeby ostygła. Wtem znieruchomiał, odstawił szklankę i spojrzał na Joela przez cienkie szkła swoich okularów. Zmrużył lekko oczy.

— Co pan ma na myśli, mówiąc „duży diament”?

— Nie wiem. To tylko przypuszczenie. No ale powiedzmy, że trzysta karatów z hakiem.

Mandelbaum wbił oczy w swoją herbatę.

— To duży diament. Gdzie można taki znaleźć?

Joel oparł się o oparcie swojego twardego, drewnianego krzesła.

— Chyba źle mnie pan zrozumiał. Pytałem przecież gdzie można po cichu oszlifować taki



diament, przypominam „po cichu”, więc pańskie pytanie „Gdzie można go znaleźć” jest raczej niestosowne.

— Hm — mruknął Mandelbaum i też oparł się o swoje oparcie.

— Zakładam, że osoba, która podejmie się oszlifować taki kamień, zażąda dużej sumy pieniędzy — powiedział Joel. — Zakładam też, że dostanie należną zapłatę i nie będzie się musiała wyklócać.

— Będzie pan musiał pójść do najlepszych szlifierzy — powiedział Mandelbaum i zamyślił się. — Do kogoś takiego jak Yussel, Steinberg czy Frederick Goldin. Powierzenie trzystukaratowego diamentu byle komu byłoby, proszę mi wybaczyć, zbrodnią.

Joel wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Rozumiem, ale niech mi pan powie, z tych trzech szlifierzy, których pan wymienił, który zgodziłby się wykonać robotę bez zadawania pytań i rozpuszczania plotek? Jestem po prostu ciekaw.

— Frederick Goldin, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Obchodzi go tylko to, co szlifuje. Kamień taki jak ten potraktuje jako wyzwanie, jako kolejny krok naprzód. Musi pan wiedzieć, że on konkuruje z Yusselem. Uważa siebie za mistrza w tej dziedzinie. Twierdzi, że przy obróbce diamentu usuwa dużo mniej niż Yussel, a przy tym jego diamenty są równie wysokiej jakości co diamenty szlifowane przez Yussela.

Joel kiwnął głową.

— Zna pan go dobrze, tego Gol di na?

— Tak dobrze jak każdy inny.

— Dobrze. To może zapytałby go pan o to samo, o co ja pana pytałem? Ze zwykłej ciekawości.

Mandelbaum wypił jeszcze jeden łyk herbaty, ostrożnie, żeby się nie poparzyć.

— Być może powinienem panu powiedzieć, że ufundowano nagrodę w wysokości jednego procenta od zysków ze sprzedaży pokaźnych wymiarów, południowoafrykańskiego diamentu o wadze trzystu pięćdziesięciu karatów, o nazwie Gwiazda Natalia. Pomyślałem sobie, że być może zainteresuje pana ta informacja.

Joel spojrział Mandelbaumowi prosto w oczy. Był zupełnie spokojny.

— Proponuję prowizję w wysokości dwóch procent — powiedział.

Tym właśnie sposobem w tydzień później znalazł się w pracowni Fredericka Goldina. Poruszał się tylko o jednej kuli. Usiadł na krześle z drabinkowym oparciem przy mocno zniszczonym warsztacie. Frederick Goldin zajęty był oglądaniem kilku diamentów przez dziesięciokrotnie powiększającą lupę.

— Pan Deacon — przedstawił Joela Mandelbaum i stanął z tyłu z kciukami zahaczonymi o ciasne kieszonki czarnej kamizelki.

Frederick Goldin odłożył lupę, zawinął diamenty i podniósł wzrok na Joela. Miał szczupłą twarz, która trochę przypominała oblicze psa. Był wysoki, miał kędzierzawe, rude włosy, był też piegowaty jak indyjskie jajo. Jego nadgarstki były tak luźno połączone z przedramieniem, że olbrzymie dłonie latały na wszystkie strony jak dyrygenckie pałeczki.

— A więc nazywa się pan Deacon i jest pan właścicielem olbrzymiego diamentu — powiedział Goldin.

Joel kaszlnął.

— Sprostowanie. Chcę się dowiedzieć, czy jest pan zainteresowany obróbką olbrzymiego diamentu i to wszystko.

— Nie musi pan się bawić w gry słowne — powiedział Frederick Goldin. — Wiem, co pan chce i dlaczego pan tu jest. Chce pan oszlifować olbrzymi diament i chce pan to zrobić jak najlepiej. Nie życzy pan też sobie rozgłosu, który zwykle towarzyszy takim przedsięwzięciom, innymi słowy,

chce pan to zrobić po cichu.

Joel nic na to nie powiedział. Nie znał jeszcze intencji Goldina i wolał poczekać, aż nabierze stuprocentowej pewności, że można mu ufać. Dopiero wtedy powie, że tak naprawdę to kamień jest tu, w Antwerpii, razem z nim.

— Mogę tylko powiedzieć, że nie tylko trafił pan do właściwego człowieka, lecz również i do jedyne — powiedział Goldin. — Mógłby pan pójść do Itzika Yussela, pewnie stanąłby na wysokości zadania, ale prędzej czy później rozpuściłby nowinę. Jest próżnym i napuszonym starym człowiekiem i nie mógłby się powstrzymać, żeby nie obwieścić światu, że to on tak wspaniale oszlifował kamień.

— A pan? — zapytał po cichu Joel. — W panu nie ma ani odrobiny próżności?

— Ja też jestem próżny. Każdy, kto jest tak bardzo utalentowany jak ja, zawsze będzie próżny. Ale ja jestem outsiderem w przemyśle diamentowym. Nic ich nie obchodzi ani moje metody, ani to, że podaję w wątpliwość ich tradycyjne sposoby szlifowania. Ód tylu już lat krytykuję niektóre beznadziejne szlify stosowane przez nich w obróbce wspaniałych kamieni, które dostają się w ich ręce. Jest taki słynny skośny szlifo nazwie Antwerp Rose. Większość tutejszych szlifierzy nie chce nawet słyszeć, że to brzydki szlif, w końcu powstał tutaj, w Antwerpii. Lecz to jeden z najnudniejszych i najbardziej tępych szlifów, jakie można sobie wyobrazić, szlif, na który nie zasługuje nawet topaz.

— Hmm — mruknął Joel — bardzo to wszystko interesujące. Ale jaką mam gwarancję, że pan nie zmieni zdania, że kiedy pan już oszlifuje diament i robi to naprawdę po mistrzowsku, nie ulegnie pan pokusie obwieszczenia wszem i wobec, że to właśnie pan jest twórcą tego wspaniałego dzieła?

Frederick Goldin pochylił się nad swoim stołem.

— Panie Deacon — zaczął — bądźmy ze sobą szczerzy. Wiem, że diament, który przywiózł pan ze sobą tu, do Antwerpii, to diament, który zaginął kilka miesięcy wcześniej i który został wykopany w kopalni należącej do Blitz Brothers Diamond Company w Kimberley. Diament ten znany jest jako Gwiazda Natalia. Do de Pecq's wpłynęły przynajmniej dwa listy w tej sprawie, jeden z orientacyjnym szkicem diamentu. Listy ostrzegają, że diament jest prawdopodobnie w posiadaniu pana Joela Blitz, który rzuca się w oczy, ponieważ ma tylko jedną nogę.

Joel potarł wolno brodę i zamyślił się.

— Dobrze — odparł — jeśli wie pan już tak dużo, to proszę mi odpowiedzieć tylko na jedno pytanie: Czy oszlifuje pan diament i czy zachowa pan tajemnicę?

— To dwa pytania.

— Jeśli nie dochowa pan tajemnicy, nie będzie pan mógł go oszlifować.

Frederick Goldin wyprostował się i spojrzał na Josepha Mandelbauma, lecz ten wzruszył tylko ramionami.

— To będzie duże ryzyko — powiedział Goldin.

— Nie takie znowu duże — stwierdził Joel. — Zgodnie z prawem ten diament w połowie należy do mnie.

— Chce pan, abym oszlifował tylko połowę? — zażartował Goldin.

— Chcę usłyszeć tak lub nie, oszlifuje go pan czy nie?

Była taka chwila, kiedy Joel naprawdę się bał, że Frederick Goldin nie przyjmie zamówienia; wydawało mu się, że Goldin posmutniał, tak jakby miał zamiar z przykrością odmówić. Lecz po chwili rozpogodził się i jednocześnie przybrał chytry wyraz twarzy. Kiwnął głową i kiwał nią jeszcze przez dłuższą chwilę.

— Bardzo dobrze — powiedział — jeśli ktoś dowie się o tym, co robię, cały przemysł dozna

szoku. Ale to taki diament, o jakim marzy każdy szlifierz, i modli się, żeby choć raz przed śmiercią ktoś złożył mu taką ofertę. Taka okazja może zdarzyć się tylko raz w życiu. Zgadzam się.

Bez słowa Joel sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął zielone, papierowe zawiniątko. Położył je na stole Goldina.

Goldin patrzył na pakunek tak nerwowo, jakby w środku znajdował się żywy wąż. Lecz po chwili wyciągnął rękę z długimi, rozbieganymi palcami i otworzył pakunek. Gwiazda Natalia ukazała się w całej okazałości, błyszcząca i chropowata. Przy pięcio- i dziesięciokaratowych diamentach porozrzucanych na stole Goldina, sprawiała wrażenie jeszcze większej niż w rzeczywistości.

Goldin usiadł.

— Dlaczego nie pokazał mi pan tego diamentu od razu? — zapytał. — Ten diament żyje swoim własnym życiem.

Joel uśmiechnął się skromnie i rzucił rozbawione spojrzenie na Josepha Mandelbauma, który me spuszczał wzroku z diamentu; usta miał szeroko otwarte i Joel pomyślał, że tylko głośny wystrzał z karabinu sprowadziłby go z powrotem na ziemię.

Frederick Goldin wziął diament do ręki i zaczął go obracać na wszystkie strony.

— Przez dwa lata nie będę zajmował się niczym innym — westchnął. — To wspaniałe!

— A czy ci, dla których pan pracuje, nie zrobią się podejrzliwi, kiedy nie będzie pan obrabiał tylu kamieni co zwykle? — zapytał Joel.

— Nie — odparł Frederick Goldin — tego się nie obawiam. Poza tym będę przecież nadal wyrabiać jakieś dwie trzecie normy. Pozostawiają mi wolną rękę częściowo dlatego, że jestem taki utalentowany, a częściowo dlatego że tak ich wszystkich krytykuję. A przecież sześć, siedem miesięcy zajmie mi dokładne zbadanie diamentu i przygotowanie go do obróbki.

— I będzie pan nad nim pracował dwa lata? — zapytał Joel.

— Może trochę mniej. Przy obróbce takiego kamienia nie można się nigdy spieszyć. Trzeba dokładnie wymierzyć, szlifować pod odpowiednim, ściśle określonym kątem oraz zdecydowanie ciąć. Dobrze rozszczepiony i oszlifowany, da jeden fantastyczny klejnot i pięć innych, wszystkie pokaźnych rozmiarów.

Frederick Goldin podszedł do okna i trzymał diament na podniesionej dłoni. Miał wrażenie, że trzyma kawałek księżycy.

— Już samo trzymanie tego diamentu w dłoni jest dla mnie prawdziwym zaszczytem — powiedział. — Jeszcze nigdy czegoś podobnego nie widziałem. I wątpię, czy kiedykolwiek zobaczę.

Joel spędził resztę dnia z Goldinem. Szlifierz wytłumaczył mu, że musi najpierw dokładnie zbadać kamień i określić na podstawie płaszczyzn łupliwości najkorzystniejsze kierunki szlifowania. Złe oznaczenie płaszczyzny łupliwości może spowodować uszkodzenie diamentu, a nawet jego zniszczenie, objaśniał Joelowi. Lecz jeśli dzielenie kamienia się powiedzie, należy mu następnie nadać właściwą postać brylantu, pocierając go o inny surowy kamień — ten proces też wymagał od szlifierza ogromnych umiejętności i doświadczenia. Następnym etapem jest piłowanie. Diament przeznaczony do obróbki umieszcza się w specjalnym uchwycie i szlifuje przy użyciu specjalnej piły pokrytej proszkiem diamentowym zmieszany z olejem oliwkowym. Na początku szlifuje się płaską, górną płaszczyznę diamentu, zwaną taflą. Następnie szlifierz obrabia boczne ścianki (fasetki) korony, biegnące od górnej płaszczyzny do płaszczyzny pasa, czyli rondysty. Potem odwraca diament i szlifuje fasetki podstawy, znajdujące się w dolnej jego części, poniżej pasa. Kończy, szlifując wierzchołek podstawy, tak zwany kolet, który musi być idealnie równoległy w stosunku do tafli.

Na samym końcu szlifuje się wszystkie pozostałe fasetki. Nawet prosty szlif szmaragdowy składa się z pięćdziesięciu ośmiu fasetek i każda z nich musi być szlifowana niezwykle precyzyjnie,

tak aby poszczególne ścianki były nachylone pod odpowiednim kątem, w przeciwnym razie kamień utraci ogień, nabierając martwego wyrazu.

Tego wieczoru Frederick Goldin zaprosił Joela na kolację do francuskiej restauracji L'Ecstase na Consciencestraat. Rozmawiali tylko o diamentach i wypili wspólnie cztery butelki Chateau Hauteville.

Kiedy Joel wrócił wreszcie do Grand Hotel Putte, ojciec Anny musiał mu pomóc wejść na górę, chociaż strasznie zalatywało od niego czosnkiem.

Tuż przed świtem, kiedy kawałek nieba w kształcie latawca robił się coraz jaśniejszy, drzwi Joela otworzyły się i weszła Anna. Miała na sobie białą koszulę nocną. Bez zaproszenia i bez słowa uniosła koszulę do pokrytych grubą warstwą tłuszczu bioder, po czym usiadła na Joelu całym ciężarem swojego rubensowskiego ciała.

W lutym następnego roku Barney był już właścicielem całej kopalni Kimberley z wyjątkiem garstki działek w kształcie litery L, które należały do firmy francuskiej. W zasadzie zaczynał być z siebie zadowolony. Odczuwał także potrzebę odpoczynku oraz kontaktów towarzyskich. Tak ciężko pracował nad modernizacją maszyn górniczych i tak był zajęty kupowaniem działek od swoich konkurentów, że od wielu miesięcy nie wydał żadnego obiadu w Vogel Vlei. Przez rok zaniedbywał też swoje wizyty w Klipdrift. Pięter zmienił się na pewno nie do poznania.

Przyjaźń Barneya z Haroldem stawała się coraz większą fikcją, lecz za taki stan rzeczy nie można było winić tylko Barneya. Haroldowi tak bardzo ostatnio dokuczało serce, że z wysiłkiem wchodził po schodach do swojego biura, często szedł też do domu wcześniej niż zwykle. Skończyły się nocne rozmowy o interesach oraz wczesne spotkania rozpoczynające się o piątej rano. Wszystko załatwiali pośpiesznie w biurze Harolda. Przestali się naw<sup>^</sup>t ze sobą przekomarzać, chcąc jak najszybciej uporać się z robotą. Negocjacje, podpisy, płace i trzeba było się zbierać.

Barney widywał od czasu do czasu Agnes, raz z mężem, raz w towarzystwie muskularnego młodego Australijczyka, i myślał o niej nieustannie, aż w głowie huczało mu od tych wszystkich myśli jak w bębnie. Agnes miała w sobie coś, co wyzwalało w nim emocje, które pozostawały jakby uspione, kiedy był z Mooi Klip; niewytłumaczalne pragnienie cierpienia seksualnego oraz prawdziwego bólu. Zastanawiał się, czy nie ma w sobie ukrytej potrzeby bycia ukaranym za swoją arogancję, lecz podniecenie, które odczuwał, kiedy przypomniał sobie, jak Agnes wbiła swoje ostre paznokcie w jego pośladki, zdawało się temu przeczyć. Sprawiało mu też dziką przyjemność zadawanie bólu Agnes. Im więcej się nad tym zastanawiał, tym większy był jego niepokój, więc starał się myśleć o czymś innym.

Prawie nie przestawał też myśleć o Gwieździe Natalii. Zamykał oczy i wyraźnie ją widział, jej łagodny, magiczny kolor, jej wspaniałe blask. Była symbolem jego najgłębszych uczuć i Joel zabrał mu ją tak samo, jak zabrał mu Natalię.

Stracić Gwiazdę Natalię, to trochę tak jak zgubić drogę w lesie. Nie umiałby tego nikomu wytłumaczyć, ale tak właśnie czuł.

Powierzył Edwardowi Norkowi kontrolę nad kopalnią i pewnego marcowego dnia, w czwartek wcześniej rano, wyruszył w drogę do Klipdrift na swoim koniu Jupiterze. Był słoneczny dzień i tylko kilka chmur tuliło się do siebie na dalekim horyzoncie. Barney był w nadzwyczajnym humorze. Prawie rok już upłynął od śmierci Sary i kończył się okres oficjalnej żałoby. Zaprowadził porządek w Wielkiej Dziurze, a jego działki przynosiły ponad siedemdziesiąt pięć tysięcy funtów tygodniowo. Wreszcie kończyły się długie lata pracy, kłótni i rozgoryczeń. Mógł teraz cieszyć się podróżami, przyjęciami i rozrywkami. Vogel Vlei był prawie wykończony, mimo że przy wykańczaniu sypialni

zabrakło dobrego smaku Sary, a Edward Nork mawiał, że salon wygląda jak „przedpokój w domu Lukrecji Borgii”.

Barney przyjechał do Klipdrift po czwartej i kiedy dotarł wreszcie na miejsce, był spocony i zmęczony. Zsiadł z konia przy frontowej bramie domu Mooi Klip i ze zdziwieniem zobaczył, że stoi przy drzwiach w letnim płaszczu i czepku przystrojonym kwiatami, z parasolką w ręku. Obok niej, czarnooki i poważny, stał Pięter. Wydatny nos oraz klinowate czoło upodabniały go do Barneya. Wokół nich leżały kufry, skrzynie, wszystkie pozamykane i oznaczone.

— Natalio! — zawołał Barney, przywiązując Jupitera do słupka.

Spojrzała na niego i jej twarz zaróżowiła w świetle popołudniowego słońca, które padało na parasolkę.

— Barney... dlaczego przyjechałeś?

Otworzył bramę i przeszedł przez podwórze. Kiedy był już przy niej, powiedział:

— Jak to dlaczego przyjechałem? Przyjechałem, żeby zobaczyć się z Pieterem, no i oczywiście z tobą.

Mooi Klip wyglądała na wpół sparaliżowaną, stała nieruchomo i mówiła z trudem.

— Ale dzisiaj? — wyjąkała. — Musiałeś przyjechać akurat dzisiaj?

— O co ci chodzi? — zapytał Barney. — Wyjeżdżasz z Klipdrift? Wyprowadzasz się?

— Wysłałam do ciebie list — powiedziała.

— Nie dostałem żadnego listu.

— Wysłałam go dzisiaj.

Podszedł do niej bliżej i rzucił okiem na leżące wokół kufry.

— Tak po prostu wyjeżdżasz, nic mi o tym wcześniej nie mówiąc?

Opuściła nieco parasolkę.

— Myślisz, że miałabym się załatwić to inaczej? Barney dotknął jej dłoni w białej rękawiczce.

— Czy tak mówi Natalia Marneweck? — zapytał. — Odważna Natalia Marneweck?

Podniosła oczy. Były ciemne jak oczy sowy.

— Nie — odparła. — Tak mówi Natalia Ransome. Nastąpiła bardzo długa cisza. Barney puścił jej dłoń.

Złożył ręce i dotknął swoich ust jak pasterze Bantu, kiedy gwizdali przez trzcinę. Pięter na wszelki wypadek chwycił Natalię za rękaw, chcąc się w ten sposób upewnić, czy wszystko w porządku. Mooi Klip dotknęła uspokajająco jego rączki.

— A więc wyszłaś za niego — powiedział Barney.

Mooi Klip kiwnęła głową.

— Jest bardzo dobry — powiedziała drżącym głosem.

— Tak — uśmiechnął się Barney. — Tak sobie pomyślałem, kiedy przyjechał złożyć mi wizytę.

Słońce chowało się powoli za wierzchołki drzew po drugiej stronie rzeki Vaal. Na przeciwległym brzegu Barney zauważył poszukiwacza diamentów, który stał pochylony w płytkiej, złocistej wodzie i wkładał do wiadra żółtą ziemię. Wiele lat temu spacerował wzdłuż rzeki Oranjerivier i patrzył na kopaczy przesiewających ziemię przez sita — te czasy wydawały mu się teraz tak odległe.

Ukucnął i wyciągnął ręce do Pietera.

— Jak tam mój ukochany syn? — zapytał. — Dawno się nie widzieliśmy, prawda?

Mooi Klip popchnęła go lekko w stronę Barneya.

— Wiele rzeczy wydarzyło się tymczasem — powiedziała. — Jedziemy teraz do Anglii.

Barney trzymał Pietera za rękę. Chłopak był tak delikatny i poważny jak Barney, kiedy był mały.

Podniósł wzrok na Mooi Klip i zapytał:

— Do Anglii? Na jak długo?

Zacisnęła usta i zrozumiała, że wyjeżdża na zawsze.

— Pewnie przełożeni go tam przenieśli? — zapytał, a Mooi Klip skinęła głową.

Barney wstał i oparł rękę na ramieniu Pietera. Chłopiec miał najwyraźniej ochotę wrócić do matki, lecz w spojrzeniu Mooi Klip było coś, co kazało mu pozostać przy ojcu.

— Przeczytałam w gazecie o twojej żonie — powiedziała Mooi Klip. — Było mi ciebie żal, ale wiedziałam, że nie mogę pojechać do Kimberley. To ty musiałeś zdecydować. Czasami myślałam, że może przyjedziesz. Ułożyłam sobie nawet w głowie, co mogłabym wtedy powiedzieć Hughowi. Ale nie przyjechałeś, a ja musiałam dotrzymać obietnicy i pomyśleć też o Pieterze, nie tylko o sobie; więc wyszłam za Hugh'a w Hopetown, a teraz jedziemy do Anglii.

Barney dotknął włosów Pietera, jego chudej, dziecięcej szyi, policzków i pozwolił mu wreszcie wrócić do matki.

— Więc przyjechałem za późno — powiedział z żalem. Był bardziej rozczarowany, niż myślał.

Mooi Klip nie mogła oderwać od niego oczu, tak jak on nie mógł oderwać oczu od Gwiazdy Natalii. Łzy popłynęły jej po policzkach i musiała przyłożyć rękę do ust, żeby nie wybuchnąć głośnym płaczem. Barney był bezsilny, mógł jedynie patrzeć w te piwne, łagodne oczy i myśleć o przeszłości, o wszystkich tych dniach przepełnionych miłością oraz samotnością. Miał wrażenie, jakby tych dziesięć lat życia minęło jak jeden dzień, jedna kartka kalendarza goniła drugą, coraz szybciej i szybciej, aż wreszcie teraz, w ten marcowy wiosenny wieczór, nie zostało mu już nic prócz goryczy i żalu.

— Pocałuj mnie tylko jeden raz — poprosił Natalię. — Pocałuj mnie tak jak kiedyś.

I oto w drzwiach białego domku w Klipdrift, przy szczebiocie ptaków nadlatujących znad rzeki, pod ciemniejącym niebem objęli się po raz ostatni i pocałowali tak jak dawniej.

W środę, 14 lipca 1880 roku, Harold Feinberg przewrócił się na schodach prowadzących do jego biura znajdującego się na głównej ulicy Kimberley. Runął na ziemię tak sztywno jak strach na wróble. Umarł trzy godziny później w swoim bungalowie, we własnym łóżku. Barney był przy nim, kiedy umierał, i czytał mu jego ulubiony Psalm 84, Psalm Synów Koracha:

„Jak miłe są przybytki Twoje, Panie Zastępów! Dusza moja pragnie i tęskni do przedsieni Pańskich. Moje serce i ciało radośnie wołają do Boga Żywego... Zaiste jeden dzień w przybytkach Twoich lepszy jest niż innych tysiące; wolę stać w progu domu mojego Boga niż mieszkać w namiotach grzeszników. Bo Pan Bóg jest słońcem i tarczą. Pan hojnie darzy łaską, nie odmawia dobrodziejstw postępującym nienagannie... Panie Zastępów, szczęśliwy człowiek, który ufa Tobie!”

Barney z otwartą Biblią na kolanach siedział przy Haroldzie prawie przez godzinę po tym, jak umarł. Nie było jeszcze południa, a słońce wpadało do pokoju przez żaluzje i kłuło w oczy. Jakiś kundel szczekał i szczekał, a Harold i tak go nie słyszał. Srebrne włosy w uszach Harolda nadal się kręciły, jego nos był tak samo dumny, mięsisty i żydowski jak przedtem, jego dłonie mogły się w każdej chwili poruszyć. Lecz nie żył i nigdy już nie przemówił.

Barney nie opłakiwał Harolda, lecz wiedział, że Harold nie miałby mu tego za złe. Stał po prostu przy oknie i patrzył na ulicę, zastanawiając się, dlaczego Bóg, który był przecież uosobieniem pokory, obdarzył swoje dzieci taką niepokonaną ambicją.

Po tygodniu oraz jednym dniem mały chłopiec ostrzyżony najeża, w chodakach na nogach, przyszedł do Grand Hotel Putte i zapytał o Joela. Kiedy Joel wychodził z hotelowej jadalni, ocierając serwetką sos z ust, chłopak wręczył mu liścik. Joel dał mu dziesięć centymów i przegonił.

Następnie pokuśtykał z powrotem do swojego stolika, na którym stygła gotowana sola w sosie cytrynowym, i otworzył kopertę, posługując się nożem.

Na kartce było napisane: „Jestem gotowy do cięcia diamentu. Oczekuję pana w południe. Z poważaniem, Frederick Goldin”.

Joel wolno kończył śniadanie, kawałkiem chleba zebrał nawet resztki sosu holenderskiego z talerza. Po kawie poprosił o sznapsa i przez pięć minut gapił się w kieliszek, zanim wychylił go jednym haustem. Anna, która w czasie posiłków pracowała jako kelnerka, odsunęła trochę stół, żeby łatwiej mu było wstać.

— Dobrze się pan czuje? — spytała.

Skinął potakująco głową.

Ubierał się starannie, zawiązał nawet krawat na szeroki węzeł. Był potem tak zmęczony, że musiał usiąść na łóżku i nalać sobie brandy z butelki, którą trzymał w szafce przy łóżku. Już od roku mieszkał w Antwerpii i kończyły mu się pieniądze. Z ledwością starczało mu najedzenie, dlatego też czekał niecierpliwie, aż Frederick Goldin skończy wstępne oględziny Gwiazdy Natalii i zacznie wreszcie szlifować.

Anna zapukała do drzwi i zajrzała do środka.

— To była zła wiadomość? — zapytała.

— Nie — odparł Joel — bardzo dobra wiadomość. Wiadomość, na którą czekałem od dłuższego czasu.

— Będzie pan miał wkrótce pieniądze? Ojciec martwi się o rachunek.

Joel wychylił następny kieliszek brandy.

— Twój ojciec będzie musiał okazać trochę więcej cierpliwości. Ale niech się nie obawia. Kiedy wszystko się ułoży, zapłacę mu podwójnie i z procentem.

Anna podeszła i wzięła go za rękę.

— Nie wiem, czy się pana boję, czy mi pana żal — powiedziała po flamandzku.

Joel odchrząknął.

— Nie podoba mi się ani jedno, ani drugie. Bądź po prostu czuła.

Pocałowała go.

— Może ci się nie podobać. To, co naprawdę czuję, to moja osobista sprawa i słodka tajemnica.

— Anno — szepnął Joel.

Zanim poleciał dorożkarzowi, aby go zawiózł do de Pecq's, kazał mu zatrzymać się przed małą synagogą na Pelikanstraat. Chciał pomodlić się, zanim pojedzie przyglądać się cięciu diamentu. Lecz kiedy dorożka zatrzymała się przed wejściem, Joel zmienił zdanie. Mógł teraz polegać tylko i wyłącznie na sobie, zdać się na łut szczęścia, zaufać losowi. Zastukał kulą w boczną ścianę dorożki, dając woźnicy znak, żeby jechał dalej.

Cięcie olbrzymiego diamentu było zwykle doniosłym wydarzeniem, szeroko reklamowanym i dyskutowanym. W pracowni roiłoby się normalnie od dygnitarzy, dziennikarzy i artystów. Lecz kiedy Joel znalazł się w pracowni kilka minut po dwunastej, nie zastał w niej nikogo oprócz Fredericka Goldina, Josepha Mandelbauma oraz dwóch asystentów. Za oknem niebo było zupełnie szare. Joel stał przez chwilę w otwartych drzwiach, potem jeden z asystentów podsunął mu krzesło. Drugi asystent zamknął za nim drzwi i na polecenie Goldina przekręcił klucz w zamku.

Gwiazda Natalia została umieszczona w małym drewnianym uchwycie i zalana specjalną zaprawą składającą się z tłuczonej cegły, szelaku oraz kalafonii, tak że wystawał tylko kawałek, który miał zostać odcięty. Goldin, naciął już Gwiazdę w odpowiednim miejscu odłamkiem innego

diamentu i włożył drewniany uchwyt w stożkowy otwór w małym warsztacie. Teraz należało już tylko umieścić ostrze noża w małej szczelinie i przez lekkie uderzenie żelaznym prętem podzielić diament na dwie części wzdłuż wybranej płaszczyzny łupliwości. Przynajmniej tak to wyglądało od strony teoretycznej.

— Mam zamiar nałożyć na ten diament szlif szmaragdowy — powiedział Goldin. — Po obróbce kamień będzie ważył około stu sześćdziesięciu karatów. Oprócz tego będą jeszcze trzy inne kamienie całkiem pokaźnych rozmiarów: kwadratowy szmaragd, briolet oraz bagiet.

— Z trzystu pięćdziesięciokaratowego surowego diamentu będzie pan w stanie zachować tylko sto sześćdziesiąt karatów? — nachmurzył się Joel.

— Niech mi pan wierzy, ubytek materiału byłby jeszcze większy, gdyby powierzył pan swój kamień Yusselowi. Regent ma jedynie 140,5 karatów, a początkowo ważył przecież 420 karatów. Waga diamentu jest ważna, lecz nie wtedy gdy szkodzi jego brylacji. Niech pan pamięta, że taki efekt końcowy i tak graniczy z cudem.

— Dobrze — powiedział Joel. — To niech pan lepiej zaczyna.

Frederick Goldin podwinął rękawy koszuli, przysunął sobie stółek i usiadł przy warsztacie. Umieścił długie, prostokątne, metalowe ostrze noża w szczelinie, trzymając je między kciukiem i palcem wskazującym prawej ręki. Minęło chyba pół godziny, zanim umieścił ostrze pod odpowiednim kątem. Joel zaczął się kręcić na wszystkie strony, nie mogąc sobie znaleźć miejsca i żałując, że nie został w Grand Hotel Putte. Za chwilę cała jego przyszłość zawisnie na jednym włosku, a on nie mógł nic zrobić, nie mógł się nawet odezwać. Bezczyenne siedzenie i przyglądanie się było nie do zniesienia. Wiele by teraz dał za drinka. Żałował, że nie wziął ze sobą butelki. Frederick Goldin szykował się właśnie do pierwszego cięcia i wszyscy wstrzymali oddech.

— Po pierwszym cięciu będę wiedział, jak duża okaże się strata masy, będę też mógł określić dokładną wartość Gwiazdy po oszlifowaniu — powiedział Goldin obojętnym tonem. — Rozumie pan przecież, że najdrobniejszy błąd z mojej strony, minimalnie złe obliczenie może spowodować stratę tysięcy franków. Więc muszę być niesłychanie ostrożny, prawda?

Bez żadnego uprzedzenia uderzył żelaznym prętem w ostrze noża, zrobił to jakby od niechcienia. Surowy kawałek diamentu wystający z drewnianego uchwytu spadł na stół Goldina.

Joseph Mandelbaum odetchnął z ulgą. Zachwyceni asystenci zaczęli spontanicznie bić brawo Frederickowi Goldinowi, który spojrzał na Joela i wyszczerzył zęby w uśmiechu, puszczając przy tym jak paw.

— To wszystko? — zapytał Joel.

Wąska twarz Goldina nachmurzyła się jak niebo przed burzą.

— Jak to „to wszystko”? — zdziwił się.

— Potrzebował pan prawie roku, żeby się do tego przygotować? Do jednego puknięcia?

— Chyba pan ze mnie żartuje? — zirytował się Goldin.

Jego dwaj asystenci roześmiali się.

— Tak? — złościł się Joel. — Zaczynam się zastanawiać, kto tutaj żartuje, pan czyja. Potrzebował pan prawie roku, żeby odciąć jeden kawałek diamentu, to kiedy pan robi całą resztę?

— Panie Blitz, rozumiem pańskie zniecierpliwienie, ale sam pan wie, że przy takiej robocie nie należy się spieszyć. Przecież przede wszystkim dlatego powierzył pan ten diament właśnie mnie. Abym go oszlifował najlepiej, jak tylko umiem, nie po to, abym się spieszył. A teraz próbuje mi pan dać do zrozumienia, że pracuję zbyt wolno?

Joel zaczerpnął powietrza.

— Kiedy przyszedłem tutaj po raz pierwszy z Gwiazdą Natalią, miałem trochę pieniędzy. Teraz



nie mam nic. Jestem goły jak święty turecki, więc jak się pan pewnie domyśla, potrzebuję pieniędzy.

— Naprawdę nie ma pan pieniędzy? — zdziwił się Joseph Mandelbaum. — Ale jest pan przecież właścicielem połowy największej na świecie kopalni diamentów.

— Oczywiście. Jestem zamożnym człowiekiem. Tylko że jeśli zacznę pobierać pieniądze z moich kont bankowych w Capetown, mój brat dowie się, gdzie jestem, w ciągu paru tygodni.

Frederick Goldin spojrział na Josepha Mandelbauma i wykrzywił twarz.

— Może się jakoś dogadamy i wypłacimy panu jakieś dwa, trzy tysiące franków — zaproponował. — Żeby miał pan z czego żyć, dopóki nie skończę roboty.

— To wspaniałe, nieprawdaż — powiedział gorzko Joel. — Milioner klepiący biedę. Kiedy pierwszy raz ujrzałem ten diament, zamarzyłem o niezmiernych bogactwach. A teraz proszę tylko na mnie spojrzeć.

Goldin wziął do ręki odcięty kawałek Gwiazdy Natalii.

— Kiedy ten diament zostanie oszlifowany, przyjacielu, nie będzie pan musiał klepać biedę. Będzie pan królem i będzie pan mógł mieć, co tylko dusza zapagnie. Przecież pan o tym wie. I właśnie dlatego nie może pan ponaglać mnie, gdyż chcę wykonać swoją pracę z należytą precyzją.

Joel sięgnął po swoje kule.

— Chodź, Mandelbaum — powiedział. — Postawi mi pan drinka w ramach tej pożyczki, której mi udzielicie.

W pewien lutowy dzień 1881 roku Burowie zabili dziewięćdziesięciu trzech żołnierzy brytyjskich, zaskakując ich na szczycie Majuba Hill w Transvaalu. Była ich zaledwie garstka, lecz udało im się zatrzymać duży oddział wojsk brytyjskich idący przez Laing's Nek na pomoc swoim garnizonom uwięzionym w Transvaalu, gdzie miało niedawno miejsce powstanie Burów. Ta potyczka została opisana przez brytyjskiego zwierzchnika sił zbrojnych jako „druzgocąca klęska, która zostanie odnotowana w kronikach naszej armii jako nie mająca sobie równej”.

Burowie płakali, strzelając do cofających się wojsk Gordon Highlanders oraz Northamptons. W sierpniu rozpoczęły się negocjacje, które okazały się pomyślne dla Burów, gdyż Brytyjczycy po klęsce na Majuba poszli na pewne ustępstwa. Burowie mieli gorącą nadzieję, że będzie to pierwszy krok w kierunku osiągnięcia pełnej niepodległości. Rząd brytyjski zgodził się uznać Paul a Krugera oraz jego doradców za oficjalnych przywódców Burów i pozwolił im na samodzielne sprawowanie rządów w Transvaalu (choć w dalszym ciągu byli zobowiązani podporządkować się czemuś, co mgliście określano mianem „brytyjskiego zwierzchnictwa”).

Traktat pomiędzy rządem brytyjskim i Burami, podpisany w Pretorii, został przyjęty z ogromnym niepokojem przez wszystkich związanych w jakiś sposób z przemysłem diamentowym. Zawsze tak zresztą było, kiedy Burowie zrywali się do walki o niepodległość. Najpierw Burowie zaatakowałyby pola diamentowe w Kimberley, tym bardziej że mieszkańcy Orange Free State ciągle jeszcze byli niezadowoleni z powodu aneksji.

Wiadomość o potyczce na Majuba Hill odmieniła jednak w pewnym sensie życie Barneya. Kiedy następnego dnia dotarła do Kimberley, wszyscy dowiedzieli się, że wśród stu trzydziestu trzech rannych był młody marynarz australijski o nazwisku James McPherson. McPherson, jak się okazało, był kuzynem męża Agnes Knight, Roberta Joya. Kiedy byli jeszcze dziećmi, mieszkali obaj w Sydney i nie rozstawali się ze sobą ani na chwilę. Mówiono na nich „Bob i Jim”. Robert Joy przez tydzień się wahał, aż w końcu ni stąd, ni zowąd stwierdził, że musi pojechać do Durban, aby zobaczyć się z Jamesem McPhersonem, który leżał w tamtejszym szpitalu wojskowym. Wydawało się, że wyjeżdżał z wyraźnym zamiarem sprowadzenia go do Kimberley na rekonwalescencję.

Dwa miesiące później, w kwietniu, Agnes otrzymała depeszę z Port Natal, z której wynikało, że Robert zdecydował się zabrać swojego kuzyna do Australii. Kuzyn stracił prawe oko i nie mógł poruszać lewą ręką, więc Robert zaopiekował się nim. Prawdopodobnie nie wróci do Kimberley.

„Kimberley nie jest dla mnie i prawdę mówiąc, ty chyba też nie, moja droga”, przeczytała Agnes. „Możesz domagać się rozwodu z racji porzucenia i zatrzymać wszystko, czego nie zabrałem ze sobą. Jestem pewien, że będziesz szczęśliwsza z kimś innym, w końcu zawsze lepiej ci było w ramionach innych mężczyzn”.

Pan Knight był oburzony, że honor jego córki został splamiony, wszak o tej depeszy plotkowało już z pewnością całe Kimberley. Agnes szybko go jednak uspokoiła. Była zadowolona, że w tak bezbolesny sposób pozbyła się Roberta. Co prawda odkryła później, że zanim wyruszył do Sydney, pobrał ostatnie trzysta sześćdziesiąt funtów z ich konta bankowego i zostawił ją z kilkoma miedzakami, ale nie było na to rady.

Być może z tego właśnie powodu pojawiła się na progu Vogel Vlei w pewne gorące, skąpane w słońcu popołudnie tuż przed świętami Bożego Narodzenia 1881 roku. Ubrana była w szeroką, białą pelerynę oraz białą jedwabną sukienkę obszytą koronką brukselską. Zapytała Horacego, czy może zobaczyć się z Barneyem.

Barney wyszedł przed dom, trzymając jeszcze w ręku gazetę „Capetown”, którą akurat czytał. Miał na sobie koszulę z czystego jedwabiu, kamizelkę koloru p owego i spodnie, które zamówił w Londynie. Jego ciemnobrązowy jedwabny krawat leżał jak ulał przypięty szpilką ozdobioną dwudziestodwukaratowym diamentem.

— Agnes? — zawołał już z daleka. — Nie wejdiesz do środka?

Biała woalka przy kapeluszu sprawiała, że wyglądała, jakby przed chwilą płakała.

— Wejdę, ale tylko wówczas, jeśli tego chcesz.

— A dlaczego nie miałbym chcieć, abyś weszła?

— Wiesz, dlaczego. Nigdy nie potrafiłam być nikomu wierna.

Barney złożył gazetę i uśmiechnął się.

— Nie wiem, czy szukam kobiety, która potrafi być wierna.

— Słyszałeś o Robercie? — zapytała. Skinął głową.

— Przez cały miesiąc całe Kimberley o tym mówiło. Nawet gdybym chciał, nie uszłoby to mojej uwagi.

W oddali jakiś wóz przetoczył się po popękanej od słońca drodze i Barney słyszał jeszcze odgłos obracających się żelaznych kół, mimo iż wóz był już o kilka kilometrów od domu.

— Małżeństwo zostanie anulowane dopiero po sześciu miesiącach, jeśli nie później — powiedziała. — Ale musiałam przyjechać, żeby cię o coś zapytać.

Barney spuścił głowę. Wiedział, co Agnes chce powiedzieć, wiedział też, czego sam chce. Lecz w ten gorący, leniwy dzień wszystko było niepotrzebne, nieprawdziwe, pozbawione sensu. Jakiegolwiek słowa były zbyt oczywiste, zbyt napuszone, spóźnione. Lecz czy miał jakieś inne wyjście? Mieszkać w tym okazałym pałacu przez jeszcze jedną cichą dekadę, paradować w swoich modnych garniturach przyozdobionych diamentami, jadać samotnie w jadalni, która mogła pomieścić sto osób?

Kiedy był biedny i mieszkał jeszcze w Nowym Jorku, czuł się więźniem swojego własnego życia, ale teraz w Vogel Vlei był przecież tak samo uwięziony i odizolowany, mimo iż powszechnie uważano go za bogatego człowieka.

— Przyjdź, kiedy twoje małżeństwo zostanie unieważnione. Będę tu czekał — powiedział.

— Jesteś pewien? — zapytała tak cichym głosem, że ledwo ją słyszał.

Skinął głową. Potem chwycił jej dłoń i dotknął nią swojego policzka.

— Coś mi mówi, że jesteśmy dla siebie stworzeni — powiedział.

Padał śnieg, kiedy Joel wchodził mozolnie po schodach wiodących do pracowni Fredericka Goldina. Było to w ostatnim tygodniu lutego 1882 roku. Za oknem widział, jak szare płatki śniegu wirują nad dachami Antwerpii i malują całe miasto na biało.

Frederick Goldin obiecał mu, że właśnie dzisiaj, w środę, Gwiazda Natalia będzie wreszcie gotowa. Joel uczestniczył we wszystkich kolejnych etapach obróbki diamentu, począwszy od piłowania, a skończywszy na szlifowaniu i polerowaniu. Ostatnim razem kiedy go oglądał, a było to zaledwie dwa tygodnie temu, wydawało się, że diament jest już skończony. Zobaczył wtedy brylant, iskrzący się romb, o doskonałej formie. Lecz Goldin powiedział mu, że jeden z najbardziej utalentowanych jubilerów antwerpijskich spędzi kilka dni w pracowni Goldina, nadając diamentowi doskonały blask. Według Goldina wszystko musiało być „doskonałe”.

— Nigdy nie będę mógł nikomu pokazać tego diamentu i rościć sobie do niego prawa, więc moja reputacja nie jest narażona na szwank — powiedział Joelowi — ale muszę zaspokoić swoją ambicję.

Joel zapukał do drzwi pracowni i jeden z asystentów Goldina wpuścił go do środka. Światło w pokoju było przyćmione. Miasto za oknem wydawało się nierzeczywiste i ponure. Takielunek statków przycumowanych do brzegu ciemnoszarej rzeki Skaldy kontrastował z białym krajobrazem — wyglądały jak upiorne pojazdy przybyłe nie wiadomo skąd.

Frederick Goldin ciął właśnie mały diament o jasnożółtej barwie, więc Joel musiał chwilę poczekać. Kiedy przeciął wreszcie kamień na pół, podniósł wzrok na Joela.

— A więc? — zagadał Joel, zdejmując wilgotne, skórzane rękawiczki i wkładając je do kieszeni płaszcza.

Goldin patrzył na niego przez dłuższą chwilę.

— A więc co? — zapytał wreszcie.

Joel przełknął ślinę.

— Gdzie jest diament? — zapytał. — Czy jest już gotowy?

Goldin wyprostował się na swoim stołku i spoglądał to w jedną stronę, to w drugą, wyraźnie zakłopotany i zaskoczony.

— Nie wiem, o czym pan mówi.

— Jak to nie wie pan o czym mówię? Chcę zobaczyć diament!

— Nie wiem, o jaki diament panu chodzi — zaprotestował Goldin.

— O Gwiazdę Natalię — szepnął Joel. — O jakież by inny?

Goldin wstał.

— Nie mam takiego diamentu — oświadczył.

— Co się, do diabła, panu stało? — warknął Joel. — Gwiazda Natalia. Lilioworóżowy, trzystupięćdziesięciokaratowy diament. Obrabiał go pan przez ostatnie dwa lata!

Frederick Goldin odwrócił się do jednego ze swoich asystentów, lecz ten potrząsnął tylko głową.

— Zajmuję się obróbką diamentów wystarczająco długo, aby znać każdy większy kamień — powiedział Goldin. — To mój obowiązek. Ale nigdy nie widziałem ani nie słyszałem o diamencie o nazwie Gwiazda Natalia.

— Sam go tutaj przyniosłem — powiedział Joel. — To mój diament i chcę wiedzieć, gdzie jest.

— Powiada pan, że go tutaj sam przyniósł? Że jest pański?

— Wie pan cholernie dobrze, że mówię prawdę! Na Boga, Goldin, wsadzę cię za to do więzienia! Gdzie, do diabła, jest mój diament?

— Przykro mi. Nigdy mi pan nie przyniósł żadnego diamentu — uśmiechnął się Goldin. — A co do pańskich grózb... no cóż, jeśli umie pan udowodnić, że wziąłem od pana taki diament, wtedy oczywiście będą mnie musieli aresztować i być może sądzić. Ale czy ma pan dowody? Czy może pan udokumentować swoją tezę? Czy ma pan jakieś dokumenty? Czy może pan udowodnić, że taki diament kiedykolwiek istniał, a jeśli nawet istniał, to czy był pańską własnością?

Joel zamknął oczy i zachwiał się lekko.

— Nie mogę uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszałem — powiedział. — Policzę do dziesięciu, a kiedy skończę, ma mi pan pokazać mój diament. Bo jeśli nie...

— To co? Uderzy mnie pan swoją kulą?

Joel otworzył oczy i spojrzał na Fredericka Goldina straszonym wzrokiem.

— Cierpiałem przez ten diament, tułałem się przez niego po świecie, Goldin. Dla niego męczyłem się przez wiele lat. Niech ci się nie wydaje, że możesz mi go odebrać, bo to ci się nie uda.

Goldin zamyślił się. Po chwili uśmiech pojawił się znowu na jego twarzy.

— Nigdy nie było takiego diamentu, panie Blitz. Jest pan przecież chorowity. Musiało się panu to wszystko przyśnić. Pan pije, prawda? Być może miał pan jakieś halucynacje.

— Zabiję cię — powiedział Joel.

— Wcale nie — odparł Goldin. — Nie ma pan powodu.

— Mam mnóstwo powodów. Doskonały diament o szmaragdowym szlifie o wadze 158,4 karatów to wystarczający powód. Gwiazda Natalia. Istnieje, bo go widziałem. Świeci jak żaden inny diament na całej kuli ziemskiej. Jest mój, Goldin, i jeśli mi go nie oddasz, przysięgam, że umrzesz.

— Jest pan przemęczony — powiedział Goldin. — Może pan usiądzie i napije się wody. Gilbercie, przynieś panu Blitzowi szklankę wody.

— Chcę mój diament — powtórzył Joel. Goldin pokręcił głową.

— Nigdy nie było żadnego diamentu — powiedział. — To był tylko sen.

Joel stał w milczeniu, podpierając się o swoje kule, kiedy jeden z asystentów przyniósł szklankę wody, a drugi podsunął mu krzesło. Zignorował ich obu, mimo że asystent stał przy nim ze szklanką wody w jednej ręce, a drugą rękę opierał o krzesło, zatroskany i milczący. Joel patrzył na śnieg, który przysypywał Antwerpię, Jezusstraat, Twaalfmaandenstraat, Oude Koornmarkt, gotycką wieżę katedry, pomniki Rubensa i Quintena Matsysa, Vlacykengang oraz rzekę. Czuł się tak, jakby ktoś zatrzymał czas, jakby nic nigdy nie miało się już wydarzyć. Klucz do jego przyszłości przepadł tak nagle i bezpowrotnie jak gwiazda, która schowała się raptem za odległym dachem, gwiazda, która miała wskazać mu drogę, lecz okazała się gwiazdą fałszywą, błakającą się po przestworzach, gwiazdą zbyt jasną.

— Wiesz, kochanie, powinnam była od razu wyjść za ciebie — oświadczyła Agnes.

Barney siedział pochylony nad swoim biurkiem, dotykając go niemalże nosem, i czytał listy, które nadeszły tego ranka z Kimberley. Światło wpadające do pokoju było jesienne i szare, ale nawet o czwartej godzinie za wcześnie było wołać służących, aby zapalili lampy.

— Hmm? — mruknął, pisząc coś ołówkiem na marginesie jednego z listów. Potem podniósł głowę. — Dziwna z ciebie kobieta, kochanie — powiedział.

Agnes uśmiechnęła się do niego. Prawie przez całe popołudnie siedziała przy kominku na małym niebieskim krześle obitym grubym, szorstkim materiałem i wytrwale robiła frywolitki. Falbany jej sukni zdradzały zaawansowaną ciążę. Okrągłość twarzy oraz jasne, króciutkie włoski nad

górną wargą demaskowały kobietę, której ciało przygotowuje się na rozwiązanie. Ich drugie dziecko miało przyjść na świat za dziesięć dni, może wcześniej.

Barney odłożył list i wstał. Minęło już pięć lat, odkąd Joel stracił Gwiazdę Natalię w pracowni Fredericka Goldina, pięć lat i cztery miesiące. W tym okresie Barney pracował ciężiej niż kiedykolwiek. Agnes uważała, że postarzał się i był przemęczony, lecz żadnym sposobem nie mogła odciągnąć go od biurka i diamentów. Starła się zaakceptować jego nieustanną pracę na tej samej zasadzie, na jakiej musiałaby akceptować obecność kalekiego szwagra w ich domu; była cierpliwa, wyrozumiała i w miarę możliwości troskliwa. W końcu Barney był dobrym mężem, kochał ją i uwielbiał ich pierwszego syna Davida. Widział w nim małego cherubinka.

— Nie masz ze mną łatwego życia, prawda? — zapytał Barney. Dotknął kosmyka jej włosów, który opadł na skroń. — Jestem zaskoczony, że nie zapytałaś mnie, dlaczego w ogóle się z tobą ożeniłem, ani dlaczego nie ożeniłem się z tobą wcześniej.

— Musisz robić to, co jest dla ciebie najlepsze — powiedziała Agnes.

Barney pochylił się i pocałował ją najpierw we włosy, potem w czoło i w końcu w usta. W popołudniowej ciszy rozległ się dźwięk przypominający głośnie plaśnięcie, tak jakby spławik dotknął spokojnej powierzchni jakiegoś stawu — to ich wargi się spotkały.

— Inne pary małżeńskie mniej się widują — powiedziała Agnes. — Uważam, że powinniśmy się cieszyć z tego, co mamy.

Barney patrzył na nią przez chwilę, po czym pocałował ją jeszcze raz, chcąc uciec przed jej kochającym, lecz natarczywym spojrzeniem. Podszedł do okna za biurkiem i wyrzwał na zasypany liśćmi ogród. Byli w Londynie od trzech tygodni, a już zaczynało ogarniać go przygnębienie. Ciężkie niebo, wirujące liście, szare budynki. Londyn był miastem pełnym majestatu, miastem wpływowych osobistości, miastem, w którym rządziło prawo, lecz z drugiej strony było to jedno z najbardziej melancholijnych miejsc na ziemi. Smutek w Nowym Jorku przemieniał się w przygnębienie, rozpacz, a nawet lament. Lecz smutek w Londynie był uczuciem nie do zniesienia, w Londynie człowiek czuł się tak, jakby ktoś zakuwał jego nogi w kajdany historii, kajdany, które musiał ze sobą nosić, idąc z Regent Street na Hatton Garden, z Hatton Garden do Barnes, kajdany przypominające łańcuchy, które duch Marleya ukuł dla siebie w *Kolędzie bożonarodzeniowej*.

Barney wiedział, że nie ma właściwie powodów do smutku. Stracił Joela, to prawda, stracił też Sarę. Stracił Mooi Klip i stracił Gwiazdę Natalię. Lecz w kwietniu 1882 roku, zaledwie trzy miesiące po tym, jak Joel został oszukany przez Fredericka Goldina, poślubił Agnes. Złączyły ich ponownie te same uczucia, dzięki którym odnaleźli się dawno temu. Była ładną, kokieterijną blondynką i Barney uważał jej chwiejność oraz niestałość w uczuciach za kuszące zalety, których brakowało tak wielu żydowskim dziewczętom. On z kolei wydawał się jej indywidualistą, a nawet dziwakiem i odludkiem. Lecz był przystojny, delikatny i dotykał jej ciała tak, jak żaden inny mężczyzna nie potrafił. Być może przyciągało ją jakieś fatum, które zdawało się nad nim ciążyć, przeznaczenie, nieubłagana konieczność. Zawsze miała wrażenie, że pewnego dnia popłtnei samobójstwo, a ona nigdy nie dowie się, dlaczego. Nie umiała przeniknąć jego myśli — czasami otwarcie odmawiał rozmowy i chował się w sobie, innymi znowu razy ukrywał się pod mglistym pancerzem wymijających odpowiedzi lub ciszy.

Kochali się, lecz żadne z nich nie umiałoby powiedzieć jak bardzo. Na pewno nie tak bardzo, jak mogliby się kochać, gdyby wzięli ślub wiele lat temu, kiedy się poznali. Od tego czasu przez ich życie przewinęło się zbyt wielu ludzi, oboje mieli na swym koncie wiele bolesnych doświadczeń. Na pewno nie tak bardzo, jak mogliby się kochać, gdyby Gwiazda Natalia nigdy nie została znaleziona i gdyby nie zostawiła piętna na jego duszy, którego nikt nigdy nie usunie.

Pobrali się w Capetown w kwietniu 1882 roku, najpierw w synagodze, a potem w kościele anglikańskim. Tego dnia padało i płatki kwiatów rzucone im przez gości powpadały do kałuż, a niektóre przykleiły się do kół powozu. Miesiąc miodowy spędzili w Paarl, w zacisznym małym domku z ogródkiem. Przez pierwsze dwa tygodnie rozmawiali, całowali się i kochali niczym szaleni, młodzi kochankowie. Barney ciągle jeszcze pamiętał te ciepłe popołudnia, stare holenderskie łóżko, dach pokryty słomą, otwarte okna wychodzące na kwiecisty ogród i odległe chmury ospale przesuwane nad górami. Pamiętał tykanie zegara stojącego w korytarzu, w które wsłuchiwali się przytuleni do siebie w nocy. Myślał wtedy, że nic nigdy nie będzie już tak jak dawniej.

Praca pochłaniała go bez reszty i był z tego powodu zadowolony. Kiedy zaczynał myśleć, myślał o Joelu, o Gwieździe Natalii i o ciemnoskórej fascynującej kobiecie, której imieniem nazwał swój diament. Przez ostatnie dwie noce ich miodowego miesiąca miał koszmarne sny. Śniła mu się matka, krew, noże i dawne czasy na Clinton Street.

Kiedy Barney i Agnes wrócili do Vogel Vlei, Barney pracował dużo więcej niż przedtem. Często wstawał przed świtem, nachylał się nad miednicą i wymiotował, gdyż jego organizm był wyczerpany z powodu bezsennych nocy. Przeważnie wracał do domu po zapadnięciu zmroku tak zmęczony, że jadł tylko lekką kolację składającą się z chleba i gulaszu, kąpał się, po czym opadał na łóżko. Agnes leżała obok, słuchała, jak oddycha, przewraca się z boku na bok; czasami mamrotał przez sen, gdy koszmary nie dawały mu spokoju i często blisko była załamania nerwowego. Miała wtedy ochotę krzyknąć z bólu i z dzikiej namiętności.

Pewnego razu na przyjęciu obiadowym w Capetown, Agnes zauważyła przystojnego, smukłego, brytyjskiego oficera artylerii. Dwa razy ze sobą tańczyli, a po drugim tańcu oficer zapytał ją, czy chciałyby się z nim spotkać. Ta propozycja bardzo ją kusiała, lecz odmówiła, całując go tylko w policzek na pocieszenie.

Agnes doceniła uroki życia w małżeństwie, kiedy urodziło się im pierwsze dziecko, David, w 1884 roku. Niedługo potem Cecil Rhodes przedstawił Barneyowi syna swojego kolegi z lat szkolnych, eleganckiego, przystojnego młodzieńca o nazwisku Lance Pollock. Pollock mówił z charakterystyczną flegmą, której nabrał, ucząc się w prywatnych szkołach. Lubił krzykliwe koszulki polo, słomiane kapelusze i używał monokla, lecz był też młodym biznesmenem z krwi i kości. Wyręczał Barneya, sprawując administrację i zajmując się robotą papierkową, a oprócz tego kierował pracą w kopalni. Z Murzynami nie patyczkował się zbytnio. Kiedy szedł do kopalni, zabierał swoją szpicrutę Roger Taylor i nigdy nie wahał się, by jej użyć. Barney zawsze powtarzał, że nie ufa Pollockowi, lecz Pollock był zdecydowany, szybki i niezmiernie efektywny w działaniu. Barney przekonał się, że kiedy powierzał Pollockowi zarząd nad kopalnią, mógł spokojnie spędzać całe dni z Agnes i swoim ciemnowłosym synkiem. Po raz pierwszy mógł też wybrać się na wakacje, więc polegał na nim coraz bardziej.

Jesienią 1887 roku księgowi Barneya uprzejmie poinformowali go, że jest jednym z najzamożniejszych ludzi w Imperium Brytyjskim. Razem z Agnes kupili olbrzymi wiejski dom w Barnes nad Tamizą i drugi dom na Fifth Avenue w Nowym Jorku, sąsiadujący z domem pani Astor. Ze względu na interesy państwo Blitz coraz częściej opuszczali Vogel Vlei, aż wreszcie ludzie nazywali ich dom w Kimberley, Domem Duchów.

Za majątkiem idzie zwykle sława. Barney i Agnes Blitz byli zapraszani na wszystkie najlepsze przyjęcia, fotografowano ich razem z państwem Vanderbilt oraz Huntington, a nawet w Mount McGregor z umierającym prezydentem Grantem. Agnes ubierała się w jedwabie, atłasy i koronki, a w trzecią rocznicę ślubu dostała od Barneya studwudziestokaratowy diamentowy naszyjnik. Sfinansowali nowojorską *Trauiatę* z Gisellą Fini, przedstawienie, które na długo zostało wszystkim

w pamięci. Zostali przedstawieni królowej Anglii, której sprezentowali wydobyty w kopalni Kimberley diament w kształcie łzy — łza symbolizowała jej rozpacz po śmierci Alberta. Sześć razy płynęli z Ameryki do Europy i z powrotem, przy czym każda ich podróż odnotowywana była w londyńskim „Timesie” oraz w „New York Timesie”. Niektóre z najbardziej wystawnych weekendowych przyjęć wydawanych przez państwo Blitz opisywane były szczegółowo na łamach popularnych magazynów kupowanych przez gosposie domowe i guwernantki.

Agnes uwielbiała przyjęcia, kosztowności, podobało jej się, że była zawsze w centrum zainteresowania. Była trochę przewrażliwiona na punkcie żydowskiego pochodzenia Barneya, choć nigdy nie roztkliwiał się, opowiadając o swojej młodości, ani razu też nie prosił jej, aby poszła z nim na Clinton Street. Sam też nigdy tam nie zaglądał. Clinton

Street była zdradliwą studnią bez dna, siedliskiem zła, miejscem, które kojarzyło mu się z koszmarem. Była grobem, a nie wspomnieniem. A poza tym za bardzo przypominała mu o Joelu.

— Czy chciałbyś teraz zjeść podwieczorek? Czy trochę później?

— Wolałbym teraz — odparł Barney. — Głowa mnie rozboleła od tych listów.

Agnes podeszła do dzwonka, lecz nim zdążyła zadzwonić na służącą, w drzwiach pojawił się ich lokaj Edwards.

— Jakiś dżentelmen pragnie się z panem zobaczyć. Pan Cecil Rhodes.

— Rhodes? Tutaj? — zdziwił się Barney.

Agnes obrzuciła go szybkim spojrzeniem, tak jakby chciała zapytać, co się stało, lecz Barney powiedział tylko:

— Niech wejdzie. Wskaż mu drogę. I powiedz Harriet, żeby podała podwieczorek.

Rhodes wszedł pewnym krokiem do pokoju gościnnego. Był jeszcze bardziej opalony i pulchny niż ostatnio, jego szary garnitur Savile Row wydawał się zbyt obcisły, a guziki marynarki ledwo się dopinały. Był za to w wyborzym humorze i serdecznie uścisnął dłoń Barneya.

— Barney, mój drogi przyjacielu! I Agnes! Jak miło was widzieć! Przepraszam, że zjawiam się tak nagle, lecz przyjechałem do Londynu tylko na dwa, trzy dni i czas mnie goni. Mam nadzieję, że nie przeszkodziłem w niczym ważnym?

— Próbuję odpowiedzieć na parę zaległych listów — odparł Barney. — Pisanie listów nigdy nie było moją mocną stroną.

— No tak — powiedział Rhodes, odsuwając na bok poły marynarki i wkładając ręce w kieszenie spodni. — Jestem tu, żeby zaoszczędzić nam obu pisania. Chciałem cię poinformować, że złożyłem ofertę kupna firmie French Company i jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, będziemy sąsiadami w Wielkiej Dziurze.

Barney spojrzał uważnie na Rhodessa, lecz nic nie powiedział. Nie przeszkadzało mu sąsiedztwo francuskiej firmy z tego prostego powodu, że musiałby wydać ponad milion funtów, gdyby chciał kupić jej działki. Był też pewien, że nikt inny nie zdecyduje się na ich kupno, ponieważ były zbyt drogie. Francuzi byli spokojni i niezachłanni, a jeśli Rhodes stanie się ich nowym właścicielem, za kilka miesięcy zacznie naciskać również i na niego. Rhodes nie spocznie, póki nie będzie kontrolował całego przemysłu diamentowego w Afryce Południowej. Udowodnił to, stając się wyłącznym właścicielem kopalni De Beers, a zresztą bezustannie mówił o stworzeniu monopolu diamentowego, który dyktowałby ceny rynkowe kamieni szlachetnych na całym świecie.

Tylko że Barney był już zmęczony. Nie miał żadnych marzeń, pragnął, aby jego dzieci były szczęśliwe i radosne. Miał teraz wszystko, o czym marzył, kiedy mieszkał na Clinton Street: pieniądze, sławę, dobrobyt; przy okazji stracił wszystko, co było kiedyś bliskie jego sercu. Dzięki Mooi Klip przeżył szaloną, dziwną, bezgraniczną miłość. Joel wyzwolił w nim również bezgraniczną

nienawiść. Sara napawała go dumą, a jednocześnie upokarzała, sprawiła mu zawód, odeszła od niego i zawsze traktowała go z góry. Pomyślał, że nic nigdy nie wyzwoli już w nim tak gwałtownych emocji.

Wiedział ponadto, że nawet gdyby przekopał całą południową Afrykę, nie znajdzie drugiej Gwiazdy Natalii.

Rhodes stał z rękami w kieszeniach, z głową przechyloną lekko w prawo i czekał na odpowiedź Barneya. Zamiast niego odezwała się Agnes.

— Może zjesz z nami podwieczorek, Cecilu? Przed chwilą prosiłam, żeby Harriet przyniosła.

— Dziękuję, wspaniale — powiedział Rhodes. — Chociaż ostatnio za dużo jem. Czy mogę usiąść?

— Przepraszam, oczywiście — odparł Barney. — Mów dalej.

— No więc — z ważną miną kontynuował Rhodes — no więc N.M. Rothschild's dają milion, a ja czterysta tysięcy funtów. French Company wydaje się zainteresowana. No cóż, wiesz przecież tak samo jak ja, że przestają się powoli liczyć na rynku diamentowym. Nie są w stanie dyktować swoich własnych warunków, tak jak ty albo ja. Są zmuszeni sprzedać wcześniej czy później.

Barney podszedł ponownie do okna. Czarno-biały kot chodził po murze okalającym ogród.

— Znowu zbiera się na deszcz — stwierdził. — Bez przerwy tutaj pada. Czasami wydaje mi się, że się topię.

— Powinieneś wrócić z powrotem do Kimberley — rzekł Rhodes.

— Po co? — zapytał Barney. — Żeby mnie złożono w ofierze na ołtarzu brytyjskiego imperializmu?

Rhodes roześmiał się i spojrzał na Agnes.

— Bez przerwy sobie ze mnie żarty stroi. Zawsze taki był.

Barney uśmiechnął się niepewnie.

— Obojętnie jak dużą ofertę złożysz Francuzom, przebiję cię — oświadczył. — Mogę ci to obiecać.

— Zaskoczyłeś mnie — powiedział Rhodes. Momentalnie stracił humor. — Myślałem, że będziesz się cieszył. W końcu od samego początku pracujemy w tej samej branży, prawda?

— Tak — powiedział Barney — i właśnie dlatego tak dobrze cię znam. Dlatego obojętnie ile zaoferujesz Francuzom, dam więcej.

— Nie możesz dać więcej niż dwa miliony — powiedział niepewnie Rhodes.

Barney usiadł i założył nogę na nogę. Dużo by dał, żeby pozbyć się teraz tego zmęczenia, wyzwolić się z apatii, która coraz częściej go ogarniała. Zabębnił palcami w poręcz krzesła, uśmiechnął się raz jeszcze i powiedział:

— Mogę dać tyle co ty, a nawet więcej.

Służąca Harriet, blada dziewczyna o rozmazanych rysach twarzy, wniosła rogaliki z rodzynekami i herbatę Darje-eling... Ilekroć Barney ją widział, zawsze ulegał złudzeniu, że patrzy na zdjęcie dziewczyny, która niechcący poruszyła się przy pozowaniu do zdjęcia. W popołudniowym świetle unosząca się w górę para wyglądała jak włosy topiącej się kobiety. Na twarzy Rhodesa pojawił się uśmiech, poklepał się po brzuchu i wziął dwa rogaliki, smarując je masłem oraz dżemem renklodowym.

— Możesz podbijać cenę ad *infinitum*, drogi przyjacielu, i tak w końcu ja będę górą — powiedział Rhodes po chwili milczenia.

— Tak myślisz? — zapytał Barney. Rhodes kiwnął głową.

— Jestem tego pewien — powiedział. — Najzupełniej pewien.



Barney przyglądał się małym pęcherzykom powietrza krążącym w kółko w jego filiżance herbaty.

— Mam wrażenie, że przyszedłeś tutaj z jakąś konkretną propozycją — powiedział. — Tak się jakoś dziwnie puszysz.

— No cóż, zgadłeś — powiedział Rhodes. Spojrzał na Agnes i uśmiechnął się do niej zwycięsko, przynajmniej chciał, żeby tak to właśnie wyglądało.

Agnes dotknęła swoich zaczesanych do góry włosów i przesłała Barneyowi nerwowe spojrzenie.

— Najlepiej będzie, jeśli powiesz, o co chodzi — powiedział sucho Barney.

— Barney — zapi atestowała Agnes — jemy przecież podwieczorek.

— Cecil nie przyjechał tutaj na rogaliki i herbatę — powiedział Barney. — Przyjechał porozmawiać o interesach i lepiej dowiedzmy się, co ma do powiedzenia.

— To bardzo proste — oświadczył Rhodes. — Mam propozycję, żebyś pozwolił mi kupić tę francuską spółkę za cenę miliona czterystu tysięcy funtów, ponieważ jestem pewien, że na to przystaną. Ja zaś sprzedam ci ją za jedyne trzysta tysięcy funtów plus jedną piątą udziałów w Blitz Brothers.

— Chcesz jedną piątą udziałów w Bli<sup>t</sup> i Brothers? I pozwolisz, żebym odkupił od ciebie francuską spółkę?

Rhodes kiwnął głową.

— Przeceniłeś chyba nieco moją zachłanność, przeceniłeś też moje monopolistyczne zakusy. Dopóki obaj będziemy wspólnie kontrolować cenę diamentów, to co to za różnica? Chcę po prostu wykluczyć Francuzów. Od wielu lat produkują zbyt wiele i przez to zaniżają ceny. Ktoś musi się za to wszystko porządnie wziąć i jestem pewien, że obaj doskonale się do tego nadajemy.

Barney popijał herbatę małymi łydkami. Potem odstawił filiżankę na stół.

— Będę musiał porozmawiać z moimi księgowymi.

— Oczywiście — powiedział Rhodes. — Ale ogólnie, co o tym myślisz?

Barney myślał przez chwilę, po czym skinął głową.

— Ogólnie brzmi to dosyć sensownie — odparł. Agnes miała wrażenie, że Rhodes odetchnął z ulgą, a kiedy spojrzała na Barneya, stwierdziła, że podejrzliwość oraz obawy ustąpiły miejsca ostrożnemu optymizmowi. Pochyliła się do przodu.

— Może jeszcze jednego rogalika, Cecilu? — częstowała. Rhodes zawahał się, lecz sięgnął po kolejnego. Barney patrzył, jak wpychał ciastko do ust, łakomie przeżuwał, po czym zaczął zlizywać masło z palców, głośno przy tym cmokając.

— Ściemnia się — powiedział Barney. — Proszę cię, Agnes, poleć służącym, aby zapalili lampy.

Następnym razem Barney widział się z Rhodesem prawie sześć miesięcy później. Państwo Blitz zdążyli w tym czasie opuścić Londyn i wrócić do Afryki Południowej. Pewnego kwietniowego ranka jedli śniadanie na balkonie swojego domu Vogel Vlei, kiedy jeden z sześćdziesięciu pracujących dla Barneya czarnoskórych służących przyniósł mu kopertę z pieczęcią spółki De Beers Mining Company.

— Od Rhodesa — powiedział Barney do Agnes.

Zajęta była haftowaniem pelerynki dla Naomi, ich córki, która urodziła się na początku grudnia zeszłego roku. Poród był bolesny i trwał dwadzieścia trzy godziny. Agnes przysięgła sobie, że Naomi była ostatnim dzieckiem, które urodziła. Nigdy więcej. Ból i upokorzenie były zbyt wielkie.

Barney otworzył list. Domyślał się jego treści. Rhodes chciał spotkać się z nim dzisiaj w klubie

Kimberley, aby porozmawiać o interesach. Barney wiedział, że Rhodes będzie usiłował nakłonić go do sprzedaży.

Od kiedy Barney podpisał dokumenty przyznające spółce De Beers prawo do zarządzania jedną piątą spółki Blitz Brothers, Cecil robił wszystko, aby nabyć jeszcze więcej akcji Blitz Brothers. Rhodes obiecywał akcjonariuszom Barneya przyszłość usianą różami, diamentami oraz złotem. Był gotowy zapłacić czterdzieści funtów za piętnasto-funtową akcję, chcąc się dać poznać z jak najlepszej strony.

Z początku tylko garstka akcjonariuszy opuściła Barneya, lecz gdy Rhodes podniósł cenę do czterdziestu pięciu funtów i potem do pięćdziesięciu funtów, wszyscy upłyniali swoje akcje na łeb na szyję, bojąc się, że nie zdążą przed kolejną obniżką ceny. W marcu, mimo protestów Barneya, było już jasne, że Rhodes skupił w swoim ręku znaczną część akcji spółki Blitz Brothers. Czuł się na tyle pewnie, że zdecydował się wysłać do Barneya posłańca, który miał za zadanie dostarczyć mu list oraz przywieźć go do klubu. O szóstej wieczorem Barney wsiadł do powozu i pozwolił się wieźć po wyboistej drodze na spotkanie z Rhodesem.

Było mu gorąco, w dodatku pod kołnierzykiem dostał jakiejś wysypki i kiedy powóz zatrzymał się przed klubem, był tak rozdrażniony, że chciał, żeby ktoś podstawił mu nogę albo potracił niechcący parasolem — miałby wtedy okazję się wyładować. A tak musiał się jedynie zadowolić mocnym zaciśnięciem dłoni i skoncentrować na rytmicznym oddychaniu.

— Czy mam tu poczekać, panie Dwunogi? — zapytał czarny woźnica.

— Tak — odparł Barney grubym głosem i wszedł po schodach prowadzących do głównego wejścia.

Podłoga werandy, po której stąpał, ozdobiona była wspaniałym indyjskim dywanem, a kiedy zbliżył się do wejścia, przywitał go odzwierny, Pers, w białej jedwabnej marynarce i bursztynowym jedwabnym turbanie na głowie.

— Dzień dobry, panie Blitz. Pan Rhodes oczekuje pana na górze.

Jego pantofle skrzypiały, kiedy szedł po wypolerowanej podłodze, prowadząc Barneya przez korytarz, a następnie po schodach do małego pokoju. Cecil Rhodes siedział w sportowej, płóciennej marynarce, czytał „The Field” i raz po raz popijał brandy z wodą mineralną. Okna były szeroko otwarte, ponieważ klub Kimberley, mimo całej swojej eks-kluzywności i blasku, ciągle jeszcze pokryty był dachem z blachy falistej, a o tej porze roku było gorąco nie do wytrzymania.

— O, Barney — przywitał go Rhodes, nie wstając z miejsca. — Mój drogi przyjacielu, usiądź, proszę. Napijesz się?

— Proszę o herbatę — powiedział Barney.

— Polecam rum z gorącym mlekiem — powiedział Rhodes.

— Dobrze, poproszę — zgodził się Barney.

Pers oddalił się, skrzypiąc butami. Rhodes i Barney zostali sami. Rhodes wolno podniósł szklankę i kostki lodu głośno stuknęły o jej ścianki.

— No tak — powiedział — toczymy ostatnio ze sobą niezwykłą walkę, prawda?

— I tak cię w końcu przebiję.

— Może i tak — powiedział Rhodes. — Ale może się okazać, że nie to jest najważniejsze w tej naszej przepy-chance. Ty swoim akcjonariuszom możesz jedynie zaoferować banknoty, a ja jestem w stanie zaoferować im coś znacznie cenniejszego. Ja mogę zaoferować im monopol oraz kontrolę cen diamentów na rynku światowym, a to, mój drogi, przyniesie im znacznie większe zyski niż cokolwiek innego. Nie jesteś po prostu w stanie zatrzymać ich przy sobie.

Barney spojrział na Rhodesa, lecz nic nie powiedział. Myślał o dniu, w którym przybył do Afryki

Południowej. Był wtedy pulchnym, żywym chłopcem w wieku szkolnym, z książkami pod pachą i miętowymi cukierkami w ustach.

— Pokonam cię — powiedział Rhodes. — Historia oraz Imperium Brytyjskie podziękują mi za to. Zaanektowałbym chętnie planety, gdybym mógł. Często o tym marzyłem. Pokonam cię, ponieważ jestem po właściwej stronie.

— To twoje zdanie — powiedział Barney. — A ja na razie nie mam zamiaru niczego sprzedawać.

— Wiedziałem, że się uprzesz — uśmiechał się Rhodes. — Dlatego prosiłem, żebyś przyjechał. Chcę ci złożyć ofertę, która pomoże ci to wszystko jakoś przełknąć. Zresztą, wiesz przecież, że monopol będzie chronił interesy nas wszystkich. Teraz, kiedy ciągle ze sobą konkurujemy, jesteśmy uzależnieni od ilości diamentów, jaką ten drugi zdecyduje się wypuścić na rynek. Gdybym wypuścił wszystkie nie szlifowane diamenty, które mam w Amsterdamie i Londynie, cena natychmiast by spadła. Byłbyś wtedy zrujnowany, nawet ja potrzebowałbym kilku miesięcy na pozbieranie się.

— Mam nadzieję, że mi nie grozisz — powiedział Barney.

— Wiesz, że nie — powiedział Rhodes. — Proszę, oto rum z mlekiem. Zawsze mi pomaga, kiedy jestem głodny i do tego w złym humorze.

Barney wziął napój od czarnego kelnera w zapiętej pod samą szyję białej marynarce. Wypił jeden łyk, zanim postawił filiżankę na małym mosiężnym stole, przy którym siedzieli.

— Co proponujesz? — zapytał. Rhodes uśmiechnął się.

— Może się myłę w stosunku do ciebie — powiedział — chociaż nie sędzę. — Po tych słowach sięgnął do kieszeni swojej płóciennej marynarki i wyjął mały pakunek owinięty w ciemnoniebieską bibułę. — Proszę — powiedział, podając go Barneyowi nad stołem. — Rozwiń. Zobaczymy, co na to powiesz.

Barney zawahał się, ale wziął ostrożnie zawiniątko i zważył je w rękę.

— Rozwiń — przynaglał Rhodes.

Barney wolno rozwijał bibułę. Intuicyjnie przeczuwał, co było w środku, i ciarki przeszły mu po plecach. To na pewno nie to, jednocześnie wiedział, że to musi być to — inaczej Rhodes nigdy nie wyszedłby z taką propozycją. Tylko do tego przedmiotu miał słabość.

Wreszcie bibułka została odwinięta, a w rękę Barneya spoczywał olbrzymi, lilioworóżowy diament o szmaragdowym szlifie, ważący co najmniej sto pięćdziesiąt karatów. Wdarł się do pokoju skapanego w wieczornym świetle tak gwałtownie jak mały pies i wypełnił go pomarańczowym światłem.

Rhodes z rozbawieniem przyglądał się twarzy Barneya.

— Rozpoznajesz? — zapytał. Barney skinął głową.

— Został oczywiście oszlifowany. Ale nie ma żadnych wątpliwości, jeśli chodzi o kolor. To Gwiazda Natalia.

— Teraz nazywa się Diament Rio.

— Skąd go masz?

— Jest tylko pożyczony — powiedział Rhodes. — Jest teraz własnością South American Diamond Company i mówią, że został znaleziony cztery lata temu w Brazylii.

— To Gwiazda Natalia — szepnął.

— Tak właśnie pomyślałem, kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy — zgodził się Rhodes. — To na pewno on. Nie ma żadnej wzmianki o jakimkolwiek diamencie znalezionym w Brazylii, przynajmniej w ciągu ostatnich kilku lat. Waży 158,4 karata i można w przybliżeniu określić jego wagę przed oszlifowaniem. Musiał ważyć tyle co Gwiazda Natalia. Nie jestem wielkim entuzjastą

szlifów szmaragdowych, lecz muszę przyznać, że osoba, która go szlifowała, zrobiła to po mistrzowsku. W zasadzie tylko dwie osoby mogły tego dokonać. Tak naprawdę to tylko jeden, a mianowicie Frederick Goldin z de Pecq's w Antwerpii.

Barney wyciągnął rękę z brylantem w stronę ostatniego promienia krwistoczerwonego słońca, a fasetki diamentu przemieniły krew w światło i ogień.

— Natalia — szepnęła, nie poruszając prawie wargami. Rhodes patrzył na niego z satysfakcją.

— Mój agent w Antwerpii rozmawiał z Goldinem — powiedział. — Oczywiście Goldin zaprzeczył, że kiedykolwiek widział taki kamień. Ale mieszka teraz w nowym domu, w bogatej dzielnicy, a jego koledzy po fachu mówią, że zarobił pieniądze na dużym, czarnorynkowym kamieniu.

— Czy ten kamień jest na sprzedaż? — przerwał mu Barney.

— Za bardzo się spieszysz — powiedział Rhodes. — Miałem ci właśnie powiedzieć, że mój agent powziął dalsze kroki i pokazał w de Pecq's zdjęcie, które mu wysłałem. To jest to zdjęcie z „Cape Courier”.

Wręczył Barneyowi mały pozółkły kawałek papieru gazetowego z niewyraźnym zdjęciem marszczącego brwi mężczyzny. Pod spodem widniał napis: „Pan Joel Blitz z Kimberley”.

— Mężczyzna o takim wyglądzie, jednonogi mężczyzna o takim wyglądzie odwiedzał wiele razy de Pecq's w latach 1881, 1882.

Barney zacisnął palce wokół Diamentu Rio, tak jakby nie chciał go już nigdy wypuścić z rąk.

— W takim razie ten kamień jest mój — oświadczył.

— Nie możesz tego udowodnić — powiedział Rhodes. — South American Company ma wszelkie możliwe dokumenty stwierdzające jego pochodzenie.

— W takim razie ile kosztuje?

— Chcą go wystawić na licytację. Spodziewają się dostać jakieś dwa miliony.

— Funtów?

Rhodes skinął głową.

Barney zrozumiał wreszcie drogę, którą nieuchronnie musiał przebyć. Zrozumiał swoje własne przeznaczenie, którym kierował, a które tak naprawdę zostało wytyczone przez jego namiętności. Całe jego życie kręciło się wokół tego kamienia, Gwiazdy Natalii, i wokół kobiety, której imieniem go nazwał, Natalii Marneweck, Mooi Klip. Kamień był symbolem kobiety, a kobieta symbolem kamienia, natomiast kobieta i kamień symbolizowali jego nadzieję, wiarę, zrozumienie życia i Boga. Kiedy trzymał brylant w ręce, zobaczył całe swoje życie jak na dłoni, jego regularną symetryczną strukturę przypominającą strukturę dobrze oszlifowanego diamentu. Tylko że było już za późno. Stracił wszystko, co składało się na tę strukturę. Samo zrozumienie nie przywróci treści jego życiu.

— Ile zapłacisz mi za kopalnię Blitz Brothers? — zapytał Barney.

— Milion sześćset tysięcy — odparł Rhodes spokojnym głosem. — Jeśli zechcesz, przekażę ci też dożywotni zarząd nad kopalnią De Beers, będziesz też zawsze największym akcjonariuszem, ponadto możesz stać się pełnoprawnym członkiem klubu Kimberley.

— Milion sześćset tysięcy? — upewnił się Barney.

— To cena tego kamienia — powiedział Rhodes, wyraźnie zadowolony z siebie. — South American Company już się zgodziła sprzedać mi go za tę cenę, jeśli się zdecyduje. Wystarczy więc twoje jedno słowo i kamień jest twój.

Barney wyszedł z kamieniem na balkon i podniósł w górę. Wyglądał jak gwiazda wśród innych gwiazd, które pojawiły się już na niebie.

— I gwarantujesz mi członkostwo klubu?

Rhodes przechylił głowę, tak jakby chciał mu w ten sposób dać do zrozumienia, że to zależy

tylko i wyłącznie od niego.

Barney wiedział, że się zgodzi. Nie było sensu unosić się ambicją, która i tak już umarła, ocalić uczucia, które już wygasły, sięgnąć po laury, które przypadły już innym i które dawno straciły swój blask. Poza tym perspektywa regularnych wizyt w klubie Kimberley, pogawędek przy kieliszku brandy, przyjemności, których musiał sobie do tej pory odmawiać ze względu na swoje żydowskie pochodzenie, wydawała się bardziej ponętna niż cokolwiek innego.

Barney spojrzał na diament, który trzymał w dłoni.

— Świetnie — powiedział. — Nie mogę już dłużej opierać się biegowi historii.

— Napij się jeszcze rumu z mlekiem — powiedział Rhodes.

Wywieszała flagi na letni jarmark Świętego Juliana, kiedy pani Cross przyszła powiedzieć jej, że jakiś dżentelmen czeka na nią na zewnątrz. Oddała więc resztę chorągwi pannie Hornchurch i z wdziękiem zeszła z podwyższenia. Spódnica i fartuch uniosły się odrobinę, odkrywając jej białe, płócienne, letnie buciki.

— Czeką w przedsionku, pani Ransome — oznajmiła pani Cross. Pani Cross wyglądała na zgrzaną, a owoce i piórka na jej kapeluszu były jak zwykle w nieładzie. — Ale to nie Anglik.

Natalia przeszła przez świetlicę, kierując się w stronę drzwi z małym okienkiem z mleczną szybą. Zanim je otworzyła, usiłowała zobaczyć, kim jest ów dżentelmen pragnący się z nią widzieć. Nie opodał, na najwyższym szczeblu drabiny, stała pani Unsworth i śpiewała *The Old Hundredth* — „Wszyscy którzy mieszkacie na ziemi... śpiewajcie Panu radośnie...”

Przez szybę Natalia widziała jedynie ciemną, zamazaną postać i nie miała pojęcia, kto to może być. Otworzyła więc drzwi i stanęła przed „dżentelmenem”, uprzejmie go witając.

— Dzień dobry, proszę pana. Pani Cross powiedziała, że pytał pan o mnie.

Mężczyzna stał wyprostowany z rękami przy sobie. Nosił szary garnitur i koszulę ze stójką. Nie miał kapelusza, być może zostawił go w powozie.

— Mooi Klip — szepnął.

Serce skoczyło jej do gardła. Oniemiała. A jednak to był on. Był starszy, włosy mu posiwiały, przybrał chyba na wadze. Lecz stał przed nią Barney Blitz we własnej osobie, przystojny i silny jak zawodowy bokser.

Nie mogła wydobyć głosu, nie mogła też ruszyć się z miejsca, lecz jej usta zacisnęły się ze szczęścia i smutku, a w oczach pojawiły się łzy.

— Barney? Czy to naprawdę ty?

— Natalio — szepnął i wszelkie inne słowa były właściwie zbyteczne.

Szli obok siebie słoneczną, podmiejską alejką. Raz po raz Barney musiał schodzić z chodnika, żeby przepuścić nianie z wózkami, w sukienkach ozdobionych koronkami oraz haftami, z parasolkami w rękach. W powietrzu unosił się słodkawy zapach lipy i suchego, końskiego łajna, zapach

Londynu, zapach Tamizy u schyłku lat osiemdziesiątych XIX wieku, kiedy to Chiswick był jeszcze wioską, a ludzie jechali do Notting Hill, by zaczerpnąć świeżego powietrza i podziwiać malownicze widoki.

— Przyjechałeś na długo? — zapytała Natalia.

— Mam dom w Barnes — odparł. — Jestem tu już tydzień, ale w piątek muszę wracać do Nowego Jorku.

— Czytałam o tobie w gazetach — powiedziała. — Jesteś prominentem.

— Przesada.

Spojrzał na nią pod słońce. Miała na sobie brązową letnią sukienkę oraz kapelusz z woalką, lecz nadal była tą samą Natalią Marneweck, jej twarz miała tę samą karnację i była tak samo piękna jak

tamtego dnia, kiedy przyprowadził Joela do obozowiska Griąua, prosząc o pomoc oraz schronienie. Nie mógł się temu nadziwić. Minęło przecież wiele lat. Lecz oni wciąż żyli: on był mężem Agnes, a ona żoną Hugh'a i wszystkie te noce, które spędzili razem w Kimberley, były teraz jedynie słodkim wspomnieniem o zapachu kwiatów polnych i smaku miodu. Te czasy nigdy już nie wrócą.

— Dlaczego przyszedłeś? — zapytała.

— Żeby się upewnić, że jesteś szczęśliwa.

— Tak... — odparła, odwracając twarz. — Jestem szczęśliwa.

— Na pewno?

— Tak, Barney.

Poszli na herbatę do małej kawiarenki na rogu. Siedzieli przy oknie z firankami, za którym konie zaprzężone do bryczek i powozów, uderzały rytmicznie kopytami o bruk. Barney nawet nie spróbował swojej herbaty. Za to po wielu latach ciągle jeszcze pamiętał zwisający z sufitu lep na muchy i przyklepione do niego martwe owady.

— Muszę wracać — powiedziała wreszcie Natalia. — Panna Hornchurch nie może robić wszystkiego sama. W sobotę odbywa się nasz coroczny letni jarmark.

— Szkoda, że nie będę mógł przyjechać — powiedział Barney ze smutnym uśmiechem na twarzy.

Dotknął jej dłoni na białym obrusie. Był to zbyteczny gest, ponieważ prowadził donikąd, wyrażał jedynie ich wzajemne przywiązanie i uczucia, którymi się darzyli. Oboje wiedzieli, że on nigdy nie zostawiłby swojej Agnes, a ona nigdy nie zdradziłaby swojego Hugh'a.

— Będę stała przy straganie z ciastkami — powiedziała Natalia. — Będziemy sprzedawać ciastka domowego wypieku, a ludzie będą musieli zgadywać, ile jest rodzynek w dużym placku z owocami.

Barney próbował się uśmiechnąć, lecz na próżno. Boże jak bardzo chciał wziąć ją w ramiona. Boże, jak bardzo je pragnął. Kochał Agnes. Agnes podobała mu się, podniecał; go i opiekowała się nim. Lecz Agnes nigdy nie zastąpi Moc Klip, tak samo jak milion sześćset tysięcy funtów nie zastąpi Gwiazdy Natalii.

— Mam coś dla ciebie — powiedział na schodach ka wiarni. — To tylko skromny prezent, ale musisz mi obiecać że przyjmiesz go, zachowasz na pamiątkę i przekażesz Pie terowi.

— Barney... ja nie mogę nic przyjąć.

— Nie chcę od ciebie nic w zamian. Proszę cię tyjk o jedno, weź to.

Barney zdecydowanym mchem wyciągnął z kieszeń małe skórzane pudełko.

— Co to jest? — zapytała.

— Otworzysz, kiedy wrócisz do domu. To nic wielkiegc Obiecaj mi tylko, że zachowasz to na pamiątkę, a potem przekażesz Pieterowi.

— Dobrze — powiedziała po chwili wahania. Czowała, że bardzo mu na tym zależało. — Dobrze — powtórzyła i wzięła od niego skórzane pudełko. Bez wahania włożyła je d torebki.

Ich usta spotkały się. W tej jednej chwili zobaczyli całe swoje życie przepełnione wzajemną miłością. Potem Natalia wolnym krokiem odeszła w kierunku świetlicy, do swoich flag i przygotowań do jarmarku.

Barney przeszedł na drugą stronę ulicy, przy które czekał na niego powóz. Tego dnia popołudnie było tak zamazane i zamglone jak wspomnienie, którym miało się dopiero stać. Za trzy, cztery lata to właśnie popołudnie będzie przecież tylko wspomnieniem. Barney siedział w powozie z pięściami mocno przyciśniętymi do ust, żeby nie wybuchnąć płaczem, a żona proboszcza, tajemnicza Mooi Klip, wróciła do straganu z ciastkami. Była przepełniona prawdziwym smutkiem.

Tej nocy, kiedy Hugh Ransome już spał, Natalia otworzyła otrzymane od Barneya małe skórzane pudełko i jej oczom ukazał się brylant.